



Od lewej:
Anna, Antoni (sen.) i Antoni (jun.) Jadaccy

III tom cyklu *Wiek XX oczyma Jadackich* dotyczy głównie pierwszych czterech dziesiętków lat minionego stulecia, ale sięga także w pewnym stopniu dziesięcioleci ten okres poprzedzających i – w mniejszym stopniu – po nim następujących.

Trzon tego tomu tworzą wspomnienia trzech osób uwidocznionych na umieszczonej obok fotografii: Antoniego (sen.) Jadackiego, jego syna i synowej.

Wspomnienia te są uzupełnione bogatą korespondencją, obejmującą m.in. listy Anny z Modzelewskich i Antoniego (jun.) Jadackich z okresu narzeczeństwa.

Czwarty bohater tomu – to ks. Roch Modzelewski, który wywarł ogromny wpływ wychowawczy na Annę Jadacką; jest on jednak bohaterem „milczącym”: mówi się o nim, ale on sam we własnym imieniu (jeśli nie liczyć jednego listu i krótkich wypowiedzi przytaczanych przez inne osoby) nie zabiera głosu. Podobnie jak w poprzednich tomach – ważną częścią III tomu są ilustracje: pełnią one analogiczną jak w tamtych tomach funkcję. Zostały one dobrane według dwóch zasad. Po pierwsze, nie ma tu ilustracji, które znalazły się w tomach I i II. Po drugie, najwięcej fotografii związanych jest z dwiema postaciami, widocznymi na fotografii: Antonim (sen.) i Anną Jadackimi; jest tak dlatego, że obfita ikonografia związana z Antonim (jun.) Jadackim znalazła się w tomie *Antoni Jadacki: muzyk – animator kultury – pedagog* (Zambrów 2023), wydany poza niniejszym cyklem, ale i charakterem, i tematyką do niego nawiązującym.

Nowością tego tomu są drzewa rodowe Modzelewskich i Jadackich – oraz rodzin spokrewnionych bądź spowinowaconych. Nie sięgają one wcześniej niż końca XVIII wieku i później niż połowy XX wieku – chociaż dyplom szlachecki wydany w połowie XIX wieku poświadcza, że rodzina Anny Modzelewskiej ma udokumentowaną historię zaczynającą się w czasach księcia mazowieckiego Janusza I Starszego.

Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce

Jacek Jadacki

Jacek Jadacki

Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce



Jacek Jadacki

(przy współpracy z Bożeną Jadacką-Józków)

Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce

Wspomnienia i listy

**Antoniego Jadackiego (sen.), Antoniego Jadackiego (jun.)
i Anny z Modzelewskich Jadackiej
– oraz osób z nimi związanych –
z dodatkiem o Rochu Modzelewskim**

*Pamięci dwóch ofiar II Wojny Światowej:
Ludwika Brunona Świdorskiego z Grodna,
przyjaciela Matki, literaturoznawcy,
zamordowanego w 1941 roku w KL Auschwitz,
oraz Eugeniusza Bali z Broku,
przyjaciela Ojca, lotnika-telegrafisty,
który zginął w 1942 roku w katastrofie na lotnisku w Lindholme*

Kamieniec Podolski 2024

Jacek Jadacki (przy współpracy z Bożeną Jadacką-Józków).

Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce. Wspomnienia i listy Antoniego Jadackiego (sen.), Antoniego Jadackiego (jun.) i Anny z Modzelewskich Jadackiej – oraz osób z nimi związanych – z dodatkiem o Rochu Modzelewskim. – Kamieniec Podolski: TOV „Drukarnia Ruta”, 2024. – 560 s.

ISBN

Printed in Ukraine

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE 7

CZĘŚĆ I. WSPOMNIENIA

1. Antoni Jadacki (sen.): Pamiętnik z całego mojego życia	22
2. Antoni Jadacki (sen.): Okruchy myśli	136
3. Genowefa z Jadackich Tytek: Powiastki spod Myszyńca	141
4. Jacek Jadacki: Kurpie	145
5. Anna z Modzelewskich Jadacka: Między Modzelami Starymi a Wygodą (<i>wspomnienia</i>)	150
6. Anna z Modzelewskich Jadacka: List do redakcji <i>Gońca Kresowego</i>	165
7. Anna z Modzelewskich Jadacka: Moje harcerstwo	167
8. Anna z Modzelewskich Jadacka: Ze złotych myśli	170
9. Andrzej Sieczkowski: Świadcstwo znad Niemna	172
10. Antoni Jadacki (jun.): Zapiski do pamiętnika	184
11. Antoni Jadacki (jun.): Z nastrojów miłosnych	203
12. Anna z Modzelewskich Jadacka i Antoni Jadacki (jun.): Nasze doświadczenia życiowe	205
13. Anna z Modzelewskich Jadacka i Antoni Jadacki (jun.): Swoi i obcy	220

CZĘŚĆ II. LISTY

14. Anna z Modzelewskich Jadacka i Antoni Jadacki (jun.): Listy z lat narzeczeństwa	226
15. Antoni Jadacki (sen.): Listy do Anny i Antoniego (jun.): Jadackich	312
16. Antoni Jadacki (sen.): Listy do Bożeny i Jacka Jadackich	317

17. Roch Modzelewski: List do Jana Modzelewskiego i do Anny Modzelewskiej	324
18. Aleksandra i Jan Modzelewscy: List do Anny i Antoniego (jun.) Jadackich	327
19. Helena Modzelewska: Listy do Anny i Antoniego (jun.) Jadackich	329
20. Honorata Modzelewska: Listy do Anny Jadackiej	331
21. Eugenia Jadacka: List do Antoniego (jun.) Jadackiego	339
22. Ludmiła Smellówna: Listy do Anny Modzelewskiej	342
23. Maria Korycka: List do Anny Modzelewskiej	344
24. Zofia Maciejewska: List do Anny Modzelewskiej	345

CZĘŚĆ III. O ROCHU MODZELEWSKIM

25. Władysław Feiner: Bohater z Bargłowa	348
26. Józef Kaczyński: Roch Modzelewski w Piekutach	352
27. Anna Jadacka i Bożena Jadacka-Józków: Osobowość Rocha Modzelewskiego	359
28. Jacek Jadacki: <i>Curriculum vitae</i> Rocha Modzelewskiego	361

CZĘŚĆ IV. DRZEWA RODOWE

365
A. Drzewo rodowe Modzelewskich. B. Drzewo rodowe Trzasków.
C. Drzewo rodowe Kossykowskich. D. Drzewo rodowe Jadackich (1).
E. Drzewo rodowe Jadackich (2). F. Drzewo rodowe Zielińskich. G. Drzewo rodowe Tytków. H. Drzewo rodowe Pysznych (1). I. Drzewo rodowe Pysznych (2)

CZĘŚĆ V. ZDJĘCIA

373
A. Jan i Aleksandra Modzelewscy i ich przodkowie. B. Potomkowie Jana i Aleksandry Modzelewskich (poza Anną i Honoratą Jadackimi).
C. Ks. Roch Modzelewski. D. Antoni (sen.) i Waleria Jadaccy. E. Antoni (jun.) i Anna Jadaccy. F. Inni potomkowie Antoniego (sen.) Jadackiego. G. Potomkowie Władysława i Genowefy Tytków. H. Potomkowie Cecylii Jaworskiej. I. Potomkowie Jana i Bronisławy Jadackich. J. Po-

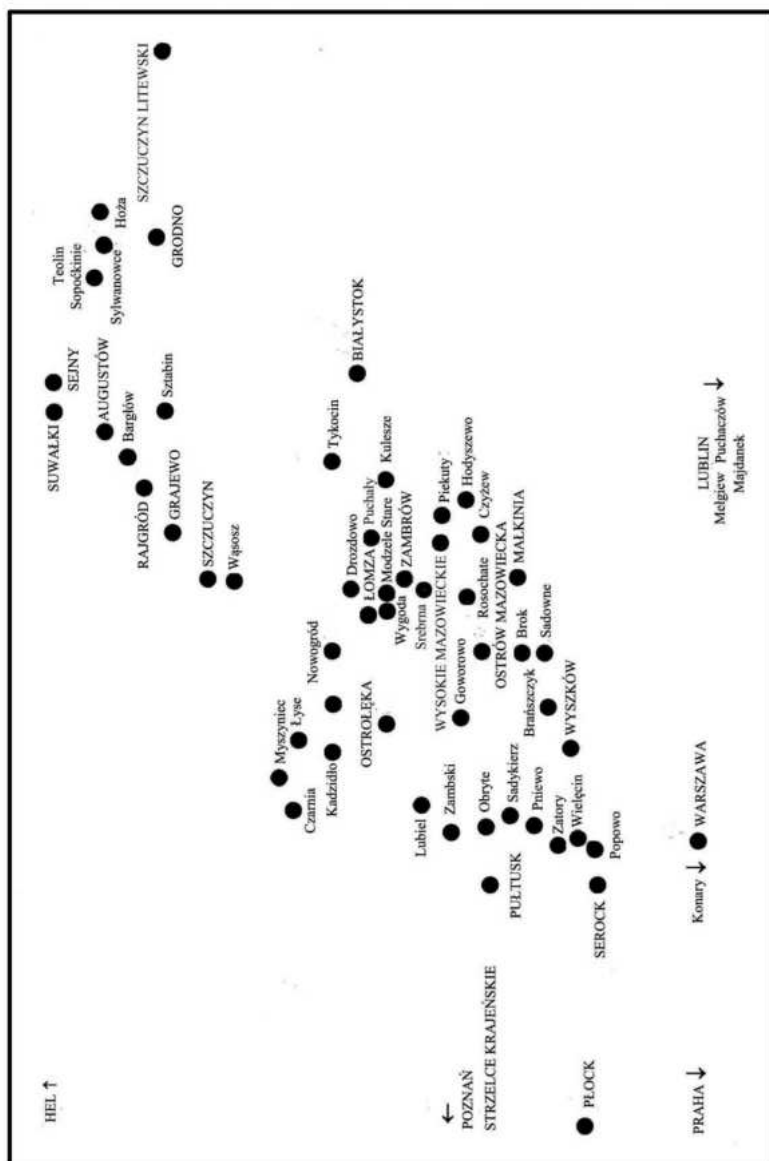
tomkowie Antoniego Pysznego (poza Walerią Jadacką). K. Potomkowie Magdaleny Baczewskiej. L. Zdjęcia rodzinne (mieszane). Ł. Losy Jana i Aleksandry Modzelewskich. M. Losy ks. Rocha Modzelewskiego. N. Losy Antoniego (sen.) i Walerii Jadackich. O. Antoni (jun.) Jadacki w Brańszczyku. P. Młode lata Anny Modzelewskiej (późniejszej Jadackiej). R. Anna i Antoni (jun.) Jadaccy: ślub, dzieci i śmierć

SPIS KRAJÓW, MIEJSCOWOŚCI I RZEK

SPIS NAZWISK

OSOBY WSKAZANE TYLKO Z IMIENIA, INICJAŁAMI LUB PSEUDONIMEM

SŁOWNICZEK TRUDNIEJSZYCH SŁÓW I WYRAŻEŃ GWAROWYCH



SŁOWO WSTĘPNE

1. O ile tom serii „Wiek XX oczyma Jadackich” zatytułowany *Melgiew* (Kamieniec Podolski 2020) poświęcony jest okresowi II Wojny Światowej, a tom zatytułowany *Znad Świnki, Jegrzni, Elku, Netty i Łyny* (Kamieniec Podolski 2024) – kilkunastu latom bezpośrednio po II Wojnie Światowej – o tyle niniejszy tom odnosi się głównie do czasów sprzed II Wojny Światowej. Do głównych bohaterów tego tomu należą, siłą rzeczy, nasi Dziadkowie: Aleksandra i Jan Modzelewscy – oraz Waleria i Antoni (sen.) Jadaccy. Babcie Aleksandra i Waleria nie mówią przy tym własnym głosem, ale mówi się o nich – zwłaszcza o Walerii – stosunkowo dużo. Dziadkowie Jan i Antoni (sen.) zabierają zaś głos sami, chociaż jest tutaj ogromna dysproporcja: po Dziadku Janie zachował się tylko jeden list, a po Dziadku Antonim (sen.) – obszerny pamiętnik. Z Babcią Aleksandrą spotkało się jedynie starsze z nas; z Babcią Walerią żadne z nas nie zetknęło się osobiście (zmarła w 1936 roku). Natomiast obu Dziadków znaliśmy oboje stosunkowo dobrze.

2. Co ich łączyło?

Otóż i Dziadek Jan, i Dziadek Antoni (sen.) przywiązywali dużą wagę do swego pochodzenia.

U Dziadka Jana sprawa była jasna: dysponował dyplomem Heroldii Królestwa Polskiego z 1848 roku potwierdzającym jego szlachectwo, przyznane jego przodkom w 1402 roku. Mimo że ze swego szlacheckiego pochodzenia był bardzo dumny, do osób z „niższych stanów” – w tym do licznej grupy Modzelewskich nie-szlachty – odnosił się z szacunkiem.

Inaczej było u Dziadka Antoniego (sen.). Wspominał on, że do rzezi Pragi w 1794 roku Jadaccy (którzy cudem uniknąć mieli śmierci z rąk Rosjan) nosili nazwisko „Piasecki” i pieczętowali się herbem Gozdawa. Była to jednak raczej legenda rodzinna – nie są nam w każdym razie znane żadne dokumenty fakt ten potwierdzające; inna sprawa, że Krzysztof Jadacki, prapradziadek Dziadka Antoniego (sen.) zmarł niecały miesiąc po „głównej” rzezi Pragi. W każdym razie podtrzymy-

wanie tej legendy świadczyło bez wątpienia, że Dziadek Antoni (sen.) miał w sprawie pochodzenia „wyższe aspiracje”; nieprzypadkowo w pamiętniku wymieniał tych z krewnych i powinowatych, którzy mogli się „wylegitymować” szlachectwem. Jak to bywa w wypadku osób o aspiracjach niemających pokrycia w faktach – do osób z „niższego stanu” odnosił się, w przeciwieństwie do Dziadka Jana, z lekceważeniem jako do „chamów”. Szczególnie przykre było nazywanie tak rodziny mieszkającej w Gulczewie, chociaż właśnie do Gulczewa prowadziły najstarsze (XVIII-wieczne) ścieżki rodzinne. Przykre też były jego obraźliwe opinie o Kurpiach – zważywszy, że Kurpianką była jego żona.

3. Pod względem charakteru Dziadkowie różnili się zasadniczo.

O Dziadku Antonim (sen.) można powiedzieć bez przesady, że był kochliwy; ciekawe, że u schyłku życia, jako wdowiec od kilkunastu lat, zdecydował się na zawarcie drugiego małżeństwa, które skądinąd wkrótce po ślubie się rozpadło. O Dziadku Janie wolno przypuszczać, że przeżył jedną „prawdziwą” miłość (do „pięknej Kasięni”), a Babcię Aleksandrę poślubił nie dlatego, że się w niej zakochał, lecz dlatego, że mu ją wyswatano.

W wyrażaniu uczuć rodzinnych – Dziadek Jan był bardzo powściągliwy, a Dziadek Antoni (sen.) był bardzo wylewny, a w wypadku swojej (przedwcześnie zmarłej) żony i córki Eugenii (zamordowanej przez Niemców w czasie II Wojny Światowej) – nawet skłonny do egzaltacji.

Dziadek Jan był człowiekiem niezwykle pracowitym; o Dziadku Antonim (sen.) wolno chyba powiedzieć, że chociaż może nie był próżniakiem, to w każdym razie na pewno nie zasługiwał na miano „pracoholika”. Znamienne, że Dziadek Jan nie przestał intensywnie pracować nawet po wypadku, który zakończył się trwałym kalectwem (utykał na jedną nogę), podczas gdy Dziadek Antoni (sen.) utratę słuchu uznał za usprawiedliwienie „błogiego próżnowania”, któremu się już później wyłącznie oddawał. Formą tego „próżnowania” było u Dziadka Antoniego (sen.) „chodzenie na ryby”; Dziadek Jan czas wolny od zajęć zawodowych (prace w polu i w „obejściu”) poświęcał domowemu rzemiosłu i pszczelarstwu (jeśli pszczelarstwa nie zaliczymy do tych pierwszych zajęć).

U Dziadka Antoniego (sen.) wiązała się z tym postawa roszczeniowa – właściwa zresztą także sporej części jego najbliższych: od in-

nych ludzi, a zwłaszcza krewnych, oczekiwał przez całe życie pomocy, zwłaszcza gdy sami (przeważnie o własnych siłach) osiągnęli pewien stopień zamożności.

Dziadek Jan był bardzo oszczędny a może nawet skąpy. Dziadek Antoni (sen.) był rozrzutny – jeśli tylko miał co „rozrzucić”; ciekawe, że rozrzutność u innych potępiał.

Jak było u nich z uzdolnieniami?

I Dziadek Jan, i Dziadek Antoni (sen.) mieli zdolności muzyczne – ale Jan czynne uprawianie muzyki zakończył wraz z opuszczeniem wojska carskiego, Antoni (sen.) zaś był czynnym muzykiem aż do chwili, gdy dotknęła go głuchota. Jeśli chodzi o zdolności literackie – ujawniły się one u Dziadka Antoniego (sen.) pod postacią pamiętnikarstwa, obfitej epistolografii i wierszopisarstwa, obejmującego wiersze poświęcone pamięci żony i córki, a także bieżącym sprawom rodzinnym i «człowieczym». Co do tych wierszy ograniczymy się do uwagi, że nie była to w każdym razie poezja najwyższego lotu; dlatego zamieszczamy w niniejszym tomie jedynie kilka ich reprezentatywnych fragmentów.

4. Obaj Dziadkowie byli z pewnością religijni. Ale ich religijność bardzo się różniła.

Dziadek Jan był głęboko wierzący i w warstwie wewnętrznej, i w warstwie obrzędowej. Wszystko wskazuje na to, że do innych – w tym do kleru – odnosił się zgodnie z nakazami katolicyzmu, a więc przede wszystkim z szacunkiem i wyrozumiałością.

Ogromną – symboliczną – rolę w życiu Dziadka Jana – odgrywały kościoły puchalskie: kościoły – bo za jego życia były w Puchalach dwa kościoły. W pierwszym, drewnianym, pochodzącym z 1762 roku, brało ślub wiele pokoleń Modzelewskich – w tym także Dziadkowie Aleksandra i Jan; został on w 1937 roku przeniesiony do Tabędza. W drugim, murowanym, zaprojektowanym przez Józefa Piusa Dziekońskiego, zawarli związek małżeński nasi Rodzice. Oto co w 1924 roku o jego dramatycznych perypetiach pisze anonimowy korespondent łomżyńskiego tygodnika *Życie i Praca* (r. I, nr 15, s. 3):

Mieszkańcy parafii naszej, leżącej w ramionach trzech szos, mają ułatwiony dostęp do miasta, ale za to w czasie zawieruchy światowej i najazdu bolsze-

wickiego dotkliwie ucierpieli od przemarszu wojsk nieprzyjacielskich. Moskale uciekając przez Niemcami – ludność wypędzili do Rosji, a wioski podpalili: z 28 wiosek 5 ocalało, 5 [jest] na wpół spalonych, inne spłonęły doszczętnie.

Jak cała Polska, tak samo i my dźwigamy się z rumowisk: już od kilku lat wyrastają nowe domy i gumna, nie zawsze tak duże i wygodne, jak poprzednie, ale mimo to sercu miłe i drogie, bo swoje.

Muszę zaznaczyć, że kto liczył na własne siły, wierzył w siebie i od razu zabrał się do pracy, ten mocno stoi na nogach; a kto ciągle oglądał się na cudzą pomoc, ten dotychczas siedzi w lepiance albo w chlewie. Choć – dzięki Bogu – dużośmy zrobili, ale jeszcze więcej mamy do zrobienia.

Najważniejsza nasza troska – [to] dokończyć budowę kościoła i szkoły oraz scalić grunta, rozdrobnione w szachownicy.

Kościół, w stylu gotyckim, zaczęliśmy budować z cegły w 1908 r., bo stary drewniany [okazał się] za szczupły, tak że w większe święta i uroczystości nie może zmieścić wszystkich parafian. Wystawiliśmy ściany i coś [z] dachu, gdy wybuchła wojna i musieliśmy budowę przerwać.

W 1918 r., w czasie okupacji, Niemcy chcieli nam wykończyć kościół za 50 tysięcy mk., ale nie zrozumieliśmy swej korzyści i nie zgodziliśmy się, a bylibyśmy dobrze wyszli na pomysł niemieckim. Teraz musimy sami zbierać grosz do grosza i budować... Nie tracimy nadziei, bo prace nad budową kościoła, dzięki mrówczej pracy i zapobiegliwości ks. prob. Teofila Czarnowskiego, ciągle posuwają się naprzód. Roboty zewnętrzne [są już] skończone.¹

Roboty wewnętrzne, jak się okazało, przeciągnęły się aż do 1936 roku. Niestety został on zburzony w 1944 roku. Wybudowano więc nową prowizoryczną kaplicę drewnianą; dopiero w latach 1975-1992 powstał – na fundamentach starego – nowy, nieco mniejszy od poprzedniego, kościół murowany.

¹ Andrzej Majdowski w książce *Budownictwo kościelne w twórczości projektowej Józefa Piusa Dziekońskiego (1844-1927)* (Warszawa 1995, Neriton) pisze o kościele puchalskim: „W 1907 r. otrzymano pozwolenie na [jego] budowę, o które występowano dwa lata wcześniej. W 1908 podjęto prace, ale jeszcze w 1936 r. kryto dach kościoła i meblowano wnętrza. Podczas I Wojny Światowej zostały zniszczone wieże, które odbudowano w 1919 r., lecz o zmniejszonej wysokości” (s. 52). Nie jest jasne, dlaczego o falcie zniszczenia wież nie wspomina cytowany korespondent *Pracy i Życia*.

5. Trudno powiedzieć, jak głęboka była wiara Dziadka Antoniego (sen.) – zwłaszcza w warstwie wewnętrznej, bowiem w warstwie obrzędowej manifestowała się u niego siłą rzeczy w czynnym uczestnictwie w ceremoniach: Dziadek był wszak przez dziesięciolecia organistą. Nie ulega przy tym wątpliwości, że cechował go silny antyklerykalizm. Większości księży przypisywał najcięższe grzechy: łamanie celibatu (i to nie raz ostentacyjne – a wtedy łączyło się ono ze zgorszeniem), pogarda dla biednych i uprzywilejowanie bogatych, chciwość... Gdyby wszystko to, co tym pisał w pamiętniku, było prawdą, duchowieństwo, z którym się zetknął, przedstawiałoby obraz rozkładu moralnego. Być może jednak, choćby nawet opisane przez niego zdarzenia miały rzeczywiście miejsce, były to zdarzenia w istocie sporadyczne, a Dziadek odnotował je zgodnie z zasadą, że zło jest bardziej interesujące niż dobro. Przemawiałoby za tym to, że również w odniesieniu do nie-księży Dziadek opisywał głównie to, co można by podciągnąć pod rubrykę zepsucia obyczajów.

Za objawy tego zepsucia Dziadek Antoni (sen.) uważał m.in. rozpustę i pijaństwo – należące bądź co bądź, na gruncie etyki katolickiej, do siedmiu grzechów głównych. Dziadek potępiał oba bardzo stanowczo; *nb.* za uosobienie ich miał swego brata Jana (sen.) – jego zachowanie pod tym względem opisał w pamiętniku tak drastycznie, że wahaliśmy się czy w ogóle tych fragmentów pamiętnika nie opuścić. Nie zrobiliśmy tego ostatecznie, uznając, że fragmenty te są interesującym dokumentem mentalności i kultury tamtej epoki. Są one pod tym względem interesującym dokumentem, jeśli się zważy, że pamiętnikarz nie ukrywał, że sam nie stronił o „kieliszka”; w odniesieniu do siebie znajdował jednak zawsze usprawiedliwienie w postaci takiej czy innej racjonalizacji: pił, żeby ukoić swoje cierpienia duchowe, dla kurażu albo w celach zdrowotnych (picie alkoholu miało np. chronić przed następstwami epidemii). Dodajmy – dla kontrastu – że Dziadek Jan był całkowitym abstynentem; nie też nie wiadomo o tym, aby grzeszyli przeciw zakazowi „nieczystości”.

6. W cytowanym wyżej tygodniku *Życie i Praca* jest opis Uroczystości Trzeciomajowych w Puchalach w 1925 roku – podpisany przez „parafianina”. Warto może ten opis przytoczyć, gdyż oddaje on dobrze atmosferę szczerzego patriotyzmu mieszkańców tamtych stron; oboje pamiętamy, że taki właśnie stosunek do tych spraw miał Dziadek Jan. Oto ten opis (*Życia i Praca*, r. II, nr 42, s. 3-4):

Uroczystość 3-go Maja odbyła się w naszej parafii z całą okazałością.

Już na tydzień wcześniej ks. proboszcz ogłosił w kościele program mającego się odbyć obchodu. Zapowiedziano też i przedstawienie, urządzone przez nauczycielstwo tutejszej parafii, z przeznaczeniem dochodu na budowę kościoła.

W niedzielę dnia 3 maja widzieliśmy w Puchałach wiele osób z sąsiednich parafii, którzy na odpuszcie ubiegłej niedzieli słyszeli o zapowiedzianej uroczystości.

Piękny to był widok, kiedy nauczycielstwo nadciągnęło z okolicznych wsi z dziećmi, ze sztandarami i chorągiewkami. W kościele po nabożeństwie dziatwa odśpiewała „Boże coś Polskę”, po czym odbył się pochód w następującym porządku.

Na czele sztandarów kościelnych i szkolnych maszerowała czwórkami dziatwa szkolna, a za nią ksiądz proboszcz z ludnością.

Niespodzianie zjawiała się też dęta i smyczkowa orkiestra, zorganizowana dzięki ks. proboszczowi i organiście, p. Krajewskiemu, która towarzyszyła pochodzi, grając marsz „Jeszcze Polska”. Pochód zatrzymał się przy nowym kościele. Na mównicę wszedł p. Kliszcz, kier[ownik] szkoły z Lutostani, i wygłosił mowę o Konstytucji 3-go Maja, jej znaczeniu, [oraz] o upadku i powstaniu Ojczyzny. Była to rzewna chwila, kiedy mówca przypominał te straszne koleje, jakie przechodził Naród Polski: ile krwi i łez kosztowała nas ta wolność i niepodległość – którą dziś tak sobie nieraz lekceważymy. Starsi, tak mężczyźni, jak [i] kobiety, co chwila ocierali łzy, a wszyscy jak wmurowanie śledzili każdy ruch i słowo mówcy.

Po obchodzie odbyło się zaraz przedstawienie dramatu pt. *Dziesiąty Pawilon*² i wesołej komedyjki. Widzów było około półtora tysiąca. Na wszystkich miłe wrażenie wywarło przedstawienie, gustownie wykonane dekoracje i stroje.

Za to wszystko w imieniu całej parafii na tym miejscu składam gorące podziękowanie ks. proboszczowi Czarnowskiemu, p. Krajewskiemu, nauczycielstwu naszemu, w szczególności p. Kliszczowi i p. Dardzieńskiemu.

Dodajmy, że patriotyzm Dziadka Antoniego zaprawiony był nie, jak u Dziadka Jana, rzewnością, lecz – właściwą mu z natury cierpkością.

² Chodzi o jednoaktówkę Adama Staszczyka, dotyczącą Powstania Styczniowego, kończącą się słowami prowadzonego przez Rosjan na szubienicę bohatera – Konrada: „Umre, ale *Jeszcze Polska nie zginęła!*”.

7. Kiedy latem 1975 roku młodsze z nas odwiedziło w Sea Cliff Genowefę z Jadackich Tytkową, naszą cioteczną babkę, i zapytało ją, dlaczego Waleria Pyszna, późniejsza żona Antoniego (sen.) Jadackiego – a nasza rzeczywista babka – powróciła na rodzinne Kurpie po kilkuletnim zaledwie pobycie na dobrowolnej przeciw emigracji w Stanach Zjednoczonych, Babka Genowefa pomyślała chwilę, jakby szukała odpowiednich słów, i rzekła: „Opowiem Ci powiastkę o jaskółce, którą usłyszałam z ust swojej matki. W tej powiastce znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie”. Sprawa stała się jasna: nasza przyszła babka wróciła z tęsknoty za rodzinną ziemią.

Na odchodnym – Babka Genowefa podarowała nam małą książeczkę, zatytułowaną *Polish Legends*, opublikowaną w 1968 roku przez jej córkę, Reginę z Tytków Piotrowską. Zawierała ona m.in. angielski przekład wspomnianej powiastki o jaskółce – a także kilku innych powiastek, opowiedzianych jej – po polsku – przez matkę.

Dajemy kilka z tych powiastek w wersji polskiej – oczywiście bez gwarancji, że tak one brzmiały w oryginale. Naszym zdaniem oddają one szczególną religijność Kurpiów – religijność przenikniętą tkliwością i pogodą ducha – o wiele lepiej niż to zrobił, raczej niesprawiedliwie, Dziadek Antoni (sen.) Jadacki w zamieszczonym wyżej pamiętniku. Dajemy je także m.in. dlatego, że nie zostały one zanotowane przez Oskara Kolberga w żadnych z tomów jego *Mazowsza*.

Uzupełnienie stanowi krótki tekst „Kurpie”, w którym zawarte są podstawowe informacje o ziemiach, na których rozgrywa się duża część wydarzeń, o których mowa w pamiętniku Dziadka.

8. Sporą część niniejszego tomu wypełniają wspomnienia naszych Rodziców: Anny i Antoniego (jun.) Jadackich. Nie ma potrzeby charakteryzowania autorów tych wspomnień: sami w tych wspomnieniach mówią wiele o sobie.

Uzupełnieniem autocharakterystyki Ojca jest wydany poza serią „Wiek XX oczyma Jadackich” tom *Antoni Jadacki: muzyk – animator kultury – pedagog* (Zambrów 2023), który jednak mieści się poniekąd we wspomnianej serii. Uzupełnieniem autocharakterystyki Matki jest jej korespondencja z koleżankami i rodziną z lat trzydziestych; opubli-

kowaliśmy przy tym tylko te listy, które zawierają ciekawe informacje dotyczące Matki i jej środowiska; natomiast wszelkie okolicznościowe kartki (imieninowe, świąteczne itp.) pominęliśmy; wyjątek zrobiliśmy dla dwóch kartek: od p. Anny Grohman z Warszawy i od p. Natalii Świdorskiej z Grodna – a więc od nie-koleżanek i nie-rodziny – ale daliśmy je w postaci reprodukcji w dziale „Ilustracje”.

Ze szczególnym wzruszeniem zamieściliśmy też jedyny zachowany list od Zofii Maciejewskiej, która była wnuczką Magdaleny Baczewskiej, siostry Marianny Kossykowskiej – a więc babki naszej Matki. Pokrewieństwo między nimi było dość dalekie – bo w szóstej linii – ale powinowactwo dusz wielkie. Z rodziną Maciejewskich oboje Rodzice utrzymywali zresztą kontakty osobiste także po II Wojnie Światowej. Echa tych kontaktów można znaleźć w II tomie naszej serii: to właśnie z okien pięknego mieszkania Maciejewskich przy ul. Targowej 15 (gdzie się zatrzymaliśmy w czasie przeprowadzki z Puchaczowa do Rajgrodu) mieliśmy okazję po raz pierwszy odczuć „puls” wielkiego miasta. Zналиśmy też perypetie życiowe Franciszki i Franciszka Maciejewskich. Wiedzieliśmy o ich nie zawsze udanych handlowych „interesach” w branży bieliźniarsko-ubraniowej na warszawskiej Pradze: o tym, że na początku lat trzydziestych w niejasnych okolicznościach spłonął młyn, w który za-inwestowali dużo pieniędzy; i wreszcie o tym, że wszystkie „interesy” po II Wojnie Światowej odebrały im ostatecznie władze komunistyczne.

Uzupełniliśmy tę korespondencję z lat trzydziestych listami od Andrzeja Sieczkowskiego z początku lat czterdziestych dotyczące rodziny Świdorskich z Grodna. Zrobiliśmy to z dwóch powodów. Po pierwsze, pp. Świdorscy – obok ks. Rocha Modzelewskiego (mimo konfliktu, którym zakończyły się ich relacje, o czym będzie mowa niżej) – w najwyższym bodaj stopniu wpłynęli na osobowość Matki. Po drugie, syn pp. Świdorskich, Ludwik Brunon, a z nim i z jego rodzeństwem Matka w okresie grodzieńskim bardzo się zaprzyjaźniła, był postacią wartą utrwalenia: jego krótkie życie, tragicznie zakończone w KL Auschwitz, wydało nadspodziewanie obfity plon naukowy.

Pewne dodatkowe światło rzucają na osobowość Matki wybrane przez nią – a przytoczone przez nas – „złote myśli” (sentencje i liryki).

Natomiast uzupełnieniem charakterystyki obojga Rodziców jest zamieszczona w tym tomie ich korespondencja z okresu narzeczeństwa.

Jest ona bardzo osobista, a nawet – w pewnych fragmentach – intymna. Zdecydowaliśmy się ją opublikować – ja i moja siostra Bożena, a więc główni tej korespondencji spadkobiercy – z następujących powodów.

Po pierwsze, została nam ona przekazana przez Rodziców, a więc nie wykluczali Oni jej publikacji; gdyby było inaczej – po prostu by ją zniszczyli. Po drugie, stanowi ona dokument stosunków narzeczeńskich i życia rodzinnego tamtych czasów i tamtego środowiska – dokument, nie wahamy się go tak określić, naprawdę unikalny. Po trzecie, zdecydowaliśmy się na publikację bez żadnej cenzury – ale zarazem uznaliśmy za potrzebne poprzedzić publikowane listy niniejszym wstępem, który uchroni czytelników nieobeznanych z ówczesnymi *realiami* przed pochopnymi uogólnieniami i niesprawiedliwymi ocenami. Chcemy wyraźnie podkreślić, że sami również jesteśmy dalecy od wspomnianych uogólnień i ocen – zwłaszcza, że uczestnicy tego „dramatu rodzinnego” są nam w większości osobami bliskimi.

9. Główne postacie owego dramatu są trzy: nasi przyszli Rodzice oraz nasz wuj (dokładniej: cioteczny brat naszej Matki). Oto krótka charakterystyka tych postaci i relacji między nimi – pod względami, które mają znaczenie dla zrozumienia ich postępowania i uchwycenia motywów tego postępowania.

Zacznijmy od najstarszego z tej trójki: ks. Rocha Modzelewskiego. Jest to postać o niemałej wadze publicznej: prężny proboszcz w kilku parafiach, waleczny kapelan Wojska Polskiego (w czasie I Wojny Światowej) i świetny organizator życia duchowego w kierowanych przez siebie społecznościach. Nawiasem mówiąc – jego postawę życiową dobrze charakteryzuje to, co napisał w 1929 roku do cytowanego już wyżej dwukrotnie tygodnika *Życie i Praca* w tekście „Refleksje z obchodu 10-lecia 41 p.p. w Suwałkach”; tekst ten, który w swoim ogólnym przesłaniu zachował aktualność do dziś – reprodukowujemy w dziale M części V. Natomiast szczegóły jego działalności zawarte są w specjalnym rozdziale tej książki jemu poświęconym.

Anna Modzelewska – zabrana we wczesnym dzieciństwie od rodziców przez ks. Modzelewskiego i znajdującą się pod jego troskliwą opieką aż do momentu, w którym rozpoczyna się nasz dramat.

Antoni Jadacki – absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie; Piekuty były właściwie jego pierwszą samodzielną posadą organizatorską. Skądinąd niedawno Państwowa Szkoła Muzyczna w Zambrowie, którą założył, wydała obszerną jego biografię.

Bliższym tłem dla tej trójki są: dla Antoniego Jadackiego – jego najbliższa rodzina, tj. ojciec Antoni i siostra Eugenia; dla Anny Modzelewskiej – również jej ojciec Jan i siostra Honorata; wreszcie dla ks. Rocha Modzelewskiego – jego matka Aleksandra oraz dwoje służących, Franusia i Józef. Dalszym tłem dla całej trójki są mieszkańcy Piekut, gdzie dramat się rozgrywa.

10. Początek dramatu jest właściwie banalny.

Anna i Antoni spotykają się w Piekutach i zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia. Co do siły tego uczucia i jego spodziewanych przez oboje następstw – korespondencja nie pozostawia wątpliwości: jest to uczucie wielkie i zarówno Anna, jak i Antoni, chcą, aby zostało ono przypieczętowane małżeństwem. Powiedzmy od razu, że do małżeństwa ostatecznie doszło i – wiemy to już z własnej obserwacji – miłość między małżonkami przetrwała aż do ich śmierci.

Ani jednak miłość Anny i Antoniego – ani tym bardziej ich małżeństwo – nie jest, jak się okazuje, do zaakceptowania przez ks. Modzelewskiego. Powód jest prawdopodobnie taki: traktuje on Annę niemal jak własną córkę i chciałby jej nieba przychylić – ale po swojemu. Już sobie – zapewne – upatrzył dla niej właściwego kandydata na męża; właściwy zaś może być tylko ktoś poważny z miejscowego „towarzystwa”, a nie jakiś „egzaltowany fircyk” i „impulsywny gbur”, jak świeżo przez niego zatrudniony organista. Nie jest zresztą wykluczone, że Antoniemu – później dobrze ułożonemu i powszechnie lubianemu – w czasie, kiedy rozpoczynał zawód organisty, brakowało późniejszej galanterii i autokontroli. Skądinąd trudno też odmówić pewnej egzaltacji oraz impulsywności ks. Modzelewskiemu...

11. Jak zachowują się w tej sytuacji ludzie z bezpośredniego otoczenia naszej trójki?

Dla matki ks. Modzelewski jest ubóstwianym synem. Ale i do Anny odczuwa niemal matczyną miłość. Wiadomo o tym nie z kore-

spondencji, lecz z relacji ustnej samej Anny. Po latach mówiła nie bez wzruszenia, że ciotka Aleksandra przez piętnaście lat zastępowała jej matkę – i to matkę wyrozumiałą, czułą i wręcz rozpieszczającą swoją siostrzenicę. I inaczej niż jej syn zareagowała na pojawienie się w Piekutach przyszłego męża Anny. Mogła obserwować jego zachowanie, ponieważ Antoni początkowo stołował się na plebanii. Na tej podstawie wyrobiła sobie o nim jak najlepsze zdanie: że jest młodzieńcem poważnym, odpowiedzialnym – o pogodnym usposobieniu. Małżeństwo Anny i Antoniego – jej zdaniem – miało widoki na to, że będzie udane. W ogóle – nie podzielała uzurpacji swego syna do kierowania losami Anny – już przecież dorosłej panny. Miała zresztą przed oczyma swój własny los: ona sama wszak, „herbowa” szlachcianka, poślubiła wbrew woli swych rodziców (Modzelewskich) syna „prostych” wieśniaków (*nb.* także Modzelewskich). Jakoś o tym mezaliansie ks. Modzelewski nie pamiętał, kiedy rozgoryczony pisał swej ciotecznej siostrze, że jej małżeństwo z Antonim byłoby plamą na honorze rodziny.

Spośród dwojga służących ks. Modzelewskiego – Franusia jest całym sercem za młodymi, natomiast Józef okazuje się, z nieznanых powodów, ich wrogiem i godzi się przyjąć na siebie niemiłą rolę donosiela, a nawet oszczercy.

Ojciec Anny – jest wobec planów córki raczej neutralny. Matka – jest wobec nich nastawiona pozytywnie. Honorata wydaje się z zamierzonego przez siostrę małżeństwa zadowolona – zwłaszcza, że sama ma plany matrymonialne wobec Mieczysława, brata przyszłego szwagra (plany skądinąd urzeczywistnione).

O stosunku części rodziny Antoniego do jego małżeństwa z Anną wiemy z listów dwojga członków tej rodziny oraz z opinii, którą o nich wypowiada ks. Modzelewski. Opinia tego ostatniego jest negatywna: uważa, że po prostu „czyhają” oni na posag przyszłej żony Antoniego; trudno powiedzieć, czy opinia ta jest słuszna – czy też jest to *ad hoc* wyszukany dodatkowy *minus* środowiska, z którego wywodzi się Antoni. Natomiast listy ojca i siostry Antoniego nie robią najlepszego wrażenia: spoza deklaracji głębokich uczuć rodzinnych – wyzierają z nich wątpliwe żale wobec syna i brata oraz oczekiwania bezzasadne w świetle jego faktycznych możliwości.

12. Piekutczanie – to jakby chór w starożytnym dramacie greckim, tyle że tutaj chór niemy: o tym, co myślą oni o konflikcie Antoniego i Anny ze swoim proboszczem, dowiadujemy się wyłącznie z relacji i aluzji z listów Antoniego do Anny. Można zaryzykować hipotezę, że ich stosunek do tego konfliktu w ciągu dwóch lat jego trwania ulegał zmianie.

W szczególności – Antoni był początkowo traktowany co najmniej z rezerwą jak każdy „obcy”; później jednak – w miarę, jak się okazywało, że nie jest to żaden „egzaltowany fircyk” i „impulsywny gbur”, lecz pogodny i świetnie znający się na swojej robocie młodzieniec – Piekutczanie w większości wzięli jego stronę. Sprzyjała tej zmianie postawa polityczna proboszcza: w przeciwieństwie do niektórych swoich parafian nie krył on swojej dezaprobaty dla ostrzejszych form, jakie zaczęły w tym czasie przybierać konflikty narodowościowe – i nie wahał się ujawniać z ambony tej dezaprobaty.

13. Podkreślmy jeszcze raz: nie zamierzamy publikując poniższą korespondencję dezawuować żadnej z osób „dramatu familijnego”, którego ta korespondencja jest zapisem. Kochaliśmy i będziemy nadal kochać naszych Rodziców, ceniliśmy i będziemy nadal cenić naszego wuja-księdza, szanowaliśmy i będziemy nadal szanować ich bliższe i dalsze otoczenie. Treść „dramatu” utwierdza nas tylko w przekonaniu, że osoby przez nas kochane, cenione i szanowane – to są nie wydumane sztuczne manekiny, lecz żywe, niewolne od ludzkich dobrych i złych namiętności osoby z krwi i kości.

14. W „Drzewach rodowych” umieszczamy nazwiska przede wszystkim tych osób, które są połączone więzami pokrewieństwa lub powinowactwa z rodziną Dziadków – i które są wzmiankowane w publikowanych tekstach. Jeśli chodzi ich przodków – uwzględniamy wszystkich, których udało nam się zidentyfikować. Jeśli zaś chodzi o potomków – ograniczamy się do pokolenia ich dzieci i wnuków. Wyjątek stanowią potomkowie Jana (sen.) Jadackiego, najmłodszego brata Dziadka Antoniego (sen.): tutaj dajemy tylko jego dzieci, ponieważ należą one mniej więcej do pokolenia wnuków Dziadka.

Jeśli chodzi o ostatnie uwzględnione w „Drzewach rodowych” (i także z dziale ilustracji) pokolenie – to dajemy nazwiska (i fotogra-

fie) małżonków tylko w wypadku pań, m.in. dlatego, że kto by chciał ustalić dane niewymienionych w tomie dzieci męskich przedstawicieli tego pokolenia, łatwo to będzie mógł zrobić bez informacji o matkach owych dzieci.

15. Jeśli chodzi o ilustracje, to każdego z pewnością uderzy w ich doborze dysproporcja, po pierwsze, między ilustracjami związanymi z Matką – a ilustracjami związanymi z Ojcem. Dysproporcja ta jest nieprzypadkowa: te ostatnie zostały w dużej liczbie włączone do wspomnianego tomu *Antoni Jadacki: muzyk – animator kultury – pedagog*. Druga dysproporcja jest konsekwencją przyjęcia zasady, żeby nie umieszczać w poszczególnych tomach naszej serii dwu- czy tym bardziej wielokrotnie tych samych fotografii.

16. W „Spisie nazwisk” po nazwiskach osób z „Drzew rodowych” staramy się podać możliwie dokładne dane o ich urodzeniu i (jeśli nie żyją) śmierci, tj. dzień, miesiąc i rok – oraz miejsce. Nie zawsze niestety starania nasze uwieńczone zostały sukcesem: wtedy dane te są z konieczności uboższe. Natomiast w wypadku pozostałych osób ograniczamy się do podania wyłącznie ich lat życia – jeśli, oczywiście, dysponujemy informacjami na ten temat. Niekiedy nie wiadomo, jakie dane osoby nosiły imiona. Z kolei na końcu „Spisu” umieszczamy imiona tych osób, dla których nie udało się ustalić nazwiska.

Osoby, które wskazane są w tomie wyłącznie za pomocą deskrypcji – pomijamy.

Jeżeli nie znamy czyjegoś imienia lub nazwiska lub daty – dajemy w ich miejsce znak zapytania: w pierwszym i w drugim wypadku w nawiasie, a w trzecim bez nawiasu; jeżeli natomiast mamy wątpliwości co do wstawionych imion, nazwisku lub dat – dajemy znak zapytania (bez nawiasu) bezpośrednio po nich.

Wszystkie przypisy pochodzą od nas; nasze uzupełnienia do tekstów głównych umieszczamy w nawiasach kwadratowych.

17. Na zakończenie – lista tych osób, którym zawdzięczamy wiele informacji zawartych w tym tomie. Ich wkład w udokumentowanie owych informacji był różny – trudno jednak wyważyć, jaki był w po-

szczególnych wypadkach. Dlatego lista nazwisk osób, wobec których zaciągnęliśmy z tego tytułu dług wdzięczności, ułożona jest po prostu alfabetycznie.

Są to więc: śp. ks. Władysław Archacki, Joanna Banasiak (wnuczka Leokadii Gorlińskiej), Elżbieta Borkowska (*de domo* Wiśniewska, córka Janiny), Łukasz Faszczka, Anna Herbich (*de domo* Maciejewska, córka Stanisława), Piotr Herbich (syn Anny), Irena Jadacka (*de domo* Kłosowicz, żona Ryszarda – wnuka Jana), Krzysztof Jadacki, Marek Jadacki (syn Zenona – wnuka Jana), Zbigniew Jadacki, śp. ks. Witold Jemielity, Małgorzata Józków, Małgorzata Juchimowicz (*ce domo* Sołińska, wnuczka Zygmunta Jadackiego), Elżbieta Kaczmarek (*de domo* Lenda), śp. ks. Józef Kaczyński, Janina Kwiecińska, Andrzej Majdowski, Bożena Modzelewska, Kazimiera Modzelewska (*de domo* Głębocka, żona Jerzego), Leokadia Modzelewska (*de domo* Jaskielewicz, żona Stanisława – syna Adama), Marie-Thérèse Modzelewska (*de domo* Lafosse, żona Stefana), Franciszek Modzelewski (syn Adama), Jarosław Modzelewski (syn Stanisława), Johann Modzelewski (syn Marie-Thérèse), Krzysztof Modzelewski (prawnuk Jana), Marek Modzelewski (syn Stanisława), Waldemar Partyka (zięć Ireny Kłosowicz-Jadackiej), Daria Pełka (wnuczka Zbigniewa Jadackiego), śp. Andrzej Sieczkowski, ks. Zdzisław Słomka, ks. Marek Średniewski i Barbara Turowska.

Białystok – Warszawa, Wielkanoc 2024.

Bożena i Jacek Jadaccy.

CZĘŚĆ I. WSPOMNIENIA

1. Antoni Jadacki (sen.)

Pamiętnik z całego mojego życia³

Wszystkim moim Dzieciom i Wnukom poświęcam –
na wieczną pamięć.
Kochający Was wszystkich jednakowo ojciec i dziadek –
Antoni Jadacki.
Strzelce Krajeńskie,
dnia 2 lutego 1957 roku.

Dnia 7 maja 1885 roku w miejscowości Zatory – powiatu pułtuskiego, województwa warszawskiego – pierwszy raz ujrzałem światło dzienne. W ciągu mojej opowieści wielokrotnie będę jeszcze wracał do tej miejscowości.

1. Rodzice

Czym się mój Ojciec trudnił, gdy przyszedłem na świat, nie wiem. Wiadomo mi tylko to, że gdy Ojciec się żenił – był zwykłym robotnikiem; a że był bardzo pracowitym człowiekiem – nauczył się prawie sam dwu rzemiosł: mularki i stolarki. W lecie uprawiał rzemiosło mularskie, a w zimie – stolarskie. Gdyby był miał odpowiednią żonę-gospodynię, być może by był zdobył jaką-taką fortunę. Ale jego Żona – a moja Matka – zbyt lekko podchodziła do życia. Pracował Ojczysko, lecz wszystko to szło na marne. O «zaletach» Mamusi dokładniej napiszę później.

Z Zator Ojciec wyjechał do Warszawy i dostał się do pracy w Hucie Szklanej. Jak mi Ojciec opowiadał – zaczęło się Im nieźle powodzić. Ja byłem wówczas jeszcze dzieckiem: Warszawę pamiętam – jak w legendzie. Miałem tam już rodzeństwo. Jedna z siostr moich, Marysia, zmarła w dzieciństwie w Warszawie; została pochowana na Bródnie. Pamiętam też dobrze, że ilekroć Rodzice byli w Warszawie, tylekroć

³ Dochowała się tylko część pamiętnika obejmująca lata 1885-1935? oraz ostatnia strona z dedykacją dla dzieci i wnuków.

odwiedzali jej grobek, odświeżając i strojąc mogiłkę.

2. Rodzina Ojca⁴

Miał mój Ojciec w Warszawie rodzoną siostrę. Jak jej było na imię, nie pamiętam. Była bardzo przystojną kobietą i wielką damą. Z męża nazywała się Sałyga; za moich czasów była już wdową. Miała troje dzieci: dwie córki i syna. Jednej córce na imię było Julia; imienia drugiej nie pamiętam; syn miał na imię Zygmunt.⁵ Kiedy żył jeszcze mąż, siostrze Ojca bardzo dobrze się wiodło. Mieli aż cztery dorożki i własny domek. W owych czasach ktoś, kto miał własną dorożkę, a nie był utracjuszem, mógł z biegiem czasu dojść do pokaźnego majątku. Po śmierci męża cioci się pogorszyło, ale nadal radziła sobie nieźle.

Miał Ojciec i drugą siostrę w Warszawie. Ta była niezamężna. Mieszkała bardzo skromnie na jakichś Piaskach: miała tam chałupinę. Również i ona była kobietą przystojną, ale czas upływał i jakoś nie wyszła za mąż. Gdy nadeszły starsze lata – została dewotką-tercjarką.⁶ Chodziła po wszystkich odpustach w Polsce i do wszystkich cudownych miejsc, o których zdołała się dowiedzieć. Kiedy byłem w Broku, odwiedziła mnie z matką Piszewskiej – po drodze do Częstochowy. Jeszcze się wtedy dobrze trzymała i widać było, że kiedyś musiała być urodziwa; świadczyły o tym piękne, wielkie oczy.

Oprócz tych dwu sióstr Ojciec miał w Warszawie i dalszych kuzyńców po [mieczu i] kądzieli – tak że Ojciec nie czuł się w stolicy osamotniony. Za ich protekcją Rodzice moi mogli się czegoś dochrapać w przyszłości. Ale... Właśnie w tym „ale” mieści się cała tragedia życia mojego Ojca i całego rodzeństwa. A było nas całkiem sporo. Dwie moje

⁴ Według legendy rodzinnej – w relacji Antoniego (sen.) – pierwotne nazwisko Jadackich brzmiało: Piaseccy. Nazwiska „Jadacki” zaczął używać pradziadek Antoniego (sen.) – Stanisław; miało to związek z rzezią Pragi przez wojska rosyjskie w 1794, z której miał się uratować z rodziny jedynie właśnie Stanisław.

⁵ Ciotka Dziadka Antoniego, o której mowa, miała prawdopodobnie na imię: Rozalia; dziećmi jej byli: poza Julią i Zygmuntem – Marianna (po mężu: Kuchta). Rozalia miała – zdaje się – dwóch mężów: Jana Trześniewskiego i drugiego, po którym nosiła nazwisko: Sałyga. Wymieniona trójka – to były dzieci Trześniewskiego. Zgodnie z informacjami metrykalnymi Rozalia nie żyła jednak „za czasów” Dziadka.

⁶ Ciekawe, że Dziadek nie zapamiętał jej – bądź co bądź rzadkiego – imienia: Scholastyka...

siostry – starsza Henia i młodsza Fela – zmarły w Wielęcinie na dyfteryt. W owych czasach nie było jeszcze – jak dziś – zastrzyków przeciwko tej chorobie: ot, pędzlowano gardło, a jeśli zrobiono to zbyt późno, dziecko dusiło się żywcem. Jeszcze gorzej było, kiedy pojawiała się gdzieś ospa: wtedy nie było domu, w którym ktoś by na nią zachorował; z tych co zachorowali, mało kto uchodził z życiem; a jak wyzdrowiał, to tracił urodę na zawsze. Kto przechodził ospę lżej, to pół biedy; ale kto miał ostrą ospę, to całe ciało, z twarzą włącznie, stawało się kostropate. Po każdej kroście pozostawał dołek, a zdrowi o takich mówili, że na nich diabeł groch młócił. Ludzie nigdy serdecznie nie współczują!

Ojciec miał jeszcze jedną siostrę rodzoną – także piękną kobietę. Ta wyszła za mąż za ziemianina – Podgórskiego – ze wsi Drwały, parafii Pniewo, gminy Obryte, powiatu pułtuskiego. Dobrze jej się powodziło, bo i ona i jej mąż byli ludźmi pracowitymi. Oprócz gospodarki wujek Podgórski miał sporą pasiekę. Nieraz – bywało – mój Ojciec odwiedzał szwagra i mnie ze sobą zabierał. Kiedy wujek nas oprowadzał po tej pasiece i jakaś pszczoła bżyknęła mi na uchem, zmiatałem – wtedy mały brzdąc – co żyw do cioci, choć wujek uspakajał mnie, że w jego obecności żadna pszczoła nie robi mi krzywdy. I rzeczywiście nigdy mnie żadna pszczoła z pasieki wujka nie ugryzła.

Wujek Podgórski miał kilkoro dzieci, więc Ojciec nie mógł liczyć na większą pomoc z jego strony. Zresztą trzeba przyznać, że z okazji każdych odwiedzin u wujka dostawaliśmy zawsze tyle miodu, owoców i tłuszców, ile zdołaliśmy udźwignąć. No a Ojciec był wtedy młody, silny i mógł sobie sam świetnie radzić, gdyby nie wspomniane „ale”.

Dalszych kuzynów – Jadackich – Ojciec miał jeszcze w Gulczewie koło Wyszkowa, ale u nich mało bywał, bo to było wiejskie chamstwo. Jeden z Jadackich był karbowym we dworze w Cienszy, w powiecie pułtuskim. Było też wielu kuzynów po kądzieli noszących inne nazwiska.

Ojciec mój w piątym roku życia został sierotą: odumarli go oboje rodzice – więc dzieciństwo i młodość spędził na służbie, gdzie przeszedł twardą szkołę życia.

3. Rodzina Matki

A teraz kilka słów o moim dziadku macierzystym – Józefie Zielińskim. Dziadek mieszkał wówczas we wsi Wielęcin, gminy Zegrze,

powiatu pułtuskiego. Miał tam włókę ziemi, parę eleganckich koni, cztery krowy, a ponadto świnię, owce i drób. Dom dziadka – jak go pamiętam – był bardzo stary: składał się z jednej olbrzymiej izby i maleńkiej izdebki. (Proszę sobie teraz wyobrazić życie rodziny dziadka w tym domu. A jednak moją Matkę zawsze ciągnęło do tej hałastry.) Z domem stykała się stajnia dla koni i obora dla krów. Stajnię zamykano od wewnątrz domu na żelazną sztabę, aby zabezpieczyć konie przed kradzieżą, bo dawniej w każdej wsi był ktoś, kto naprowadzał koniokradów na źle strzeżone stajnie. Wokół domu był piękny, choć niezbyt duży ogród – pełen wyniosłych grusz, śliw, wiśni i agrestu bardzo dobrych gatunków. Nikt tych drzew nie czyścił, nie pielęgnował, nie nawoził – a rodziły: jedna z grusz, jesienna, dawała czasem 12 metrów owoców.

W lecie nieraz wynosiliśmy wszystkie łóżka z pościelą do ogrodu – i tam spaliśmy; w razie deszczu – sadowiliśmy się w stodole na sianie. Pamiętam, jak przyjemnie było spać, gdy nad głową śpiewają słowiki i szczygły, których w dziadkowym ogrodzie gnieździły się całe masy.

Tak się przedstawiał stan gospodarki dziadka w Wielęcinie.

Żona dziadka, a moja babka, była bardzo przystojną, pracowitą kobietą. Ulegała jednak dziadkowi we wszystkim – jak mój Ojciec Matce. Babka dożyła 75 lat, a dziadek – 109. Po śmierci babki ożenił się po wtórnie i drugą żonę również przeżył.

Dzieci dziadek miał sześcioro: czterech synów i dwie córki. Starsza córka, Franciszka, wyszła za Balińskiego; młodsza – Katarzyna – za Jadackiego. Synowie mieli kolejno imiona: Jan, Stanisław, Adam i Aleksander. To były imiona nadane na chrzcie św. Ale w domu posługiwano się głównie przezwiskami. Najstarszego, Jana, nazwano „Jankiele”, ponieważ był wysokim brunetem. Młodszego, Stanisława, bardzo przystojnego blondyna, przezwano „Psiutą”, bo wszystkie dziewczki za nim przepadały. Średniego, Adama, największego łobuza i świetnego tancerza, bracia ochrzcili „Abrumu”. Najmłodszy, Oleś, ponieważ już od piątego roku życia handlował gołębiami, nazwano „Golapica”, bo kiepsko jeszcze władając językiem, tak wymawiał słowo „gołębica”. W domu posługiwano się tymi przezwiskami i nikt się nie obrażał ani nie uskarżał na to. Nawet rodzice musieli się z tym pogodzić.

4. W Wielęcinie

W wioskach zresztą w owym czasie większość ludzi miała swoje przezwiska. Jakie – o tym decydował zazwyczaj przypadek. Oto kilka przykładów.

W Wielęcinie była rodzina z trojgiem dzieci: dwiema córkami i synem. Chłopak do dziesiątego roku życia nie był w stanie opanować dobrej wymowy i przekręcał nieraz tak wyrazy, że nie można było zrozumieć, o co mu chodzi. Nie potrafił na przykład wymówić słowa „koniczyna” inaczej niż „kucina” – i został na zawsze Kuciną. To on zniekształcił imię Marysi Turkówny: w domu nazywano ją „Marcychą”, a w jego wymowie brzmiało to „Cipa” – i w ten sposób Marysia została Cipą. Inny znów chłopak z Wielęcina – Staś Słabiak – dla swego wzrostu, a był wysoki i do swego wzrostu miał za cienkie nogi, przewany został „Dydkiem” i tak już pozostało. W czasie jednej z kłótni dwóch sąsiadek jednej wymknęło się zdanie: „Cóż ty myślisz, że ja jestem taka goła pita jak ty?”. I została Piciną, jej mąż Pitą, a dzieci – Piciakami. Jeden z naszych sąsiadów, Piotr Aksamitowski, trochę utykał na nogę i był sybiasty, koślawy, dostał więc przezwisko „Gajda”, jego żona została Gajdziną, a dzieci – Gajdziakami. Itd. Itd.

Wielęcina składała się z 18 nędznych chałup. Pamiętały chyba potop, a jednak w każdej z nich gniotło się po kilkanaście osób. Całe szczęście, że za moich czasów trafił się tam tylko jeden pożar – u wujka Jankieła. Nie pamiętam też, żeby kiedykolwiek w Wielęcinie uderzył grom. Może dlatego, że woda podskórna była tam bardzo głęboko? Nawiasem mówiąc – cała wioska nie posiadała ani jednej studni. Wodę noszono na tzw. pydach ze dworu, odległego od wsi o 1/6 kilometra. Cztery wiadra wody musiały wystarczyć rodzinie na cały dzień. Dla inwentarza czerpano wodę z sadzawki, umiejscowionej na środku wsi. Dziwne, że nigdy nie wyschła i nigdy jej nie wybrano do dna. Takich sadzawek było jeszcze za moich czasów pięć: trzy niewyschnięte i dwie zamulone. Te ostatnie zamuliły się pewnie dlatego, że hodowano w nich karasie. Za moich czasów karasie trafiały się już bardzo rzadko.

Trzeba Wielęciniowi oddać sprawiedliwość i przyznać, że wszystkie dziewczęta i chłopcy we wsi stanowili istny kwiat. Kiedy młodzież wyległa na drogę, to było na co popatrzeć. W trzech domach były jedy-

naczki, ale za to w jednym – było aż dziewięć córek i jeden syn. Dziwne, że nikt z tej gromadki nie chorował na żadną chorobę zakaźną. Ale w innych domach śmierć kosiła strasznie.

5. Okolice

Od Wielęcina do szosy warszawskiej jest kilometr drogi, a stamtąd kilometr do miasteczka Popowo, położonego tuż nad Bugiem. Z drugiej strony było 4 kilometry do Zator – wsi parafialnej, do której wówczas należał Wielęcina; dziś Wielęcina należy do parafii Popowo. Od Wielęcina w stronę Zator jest gościniec, który ciągnie się aż do Pułtusza. Przy tym gościńcu przez pierwsze pół kilometra leżały wieleckie pola uprawne; na tej przestrzeni po obu stronach drogi stały olbrzymie, niebotyczne topole. Co za cudowna to była panorama! Co za śliczny widok! Co za wspaniałe cień i chłód w lecie! Nigdy się nie zdarzyło, żeby jakąś topolę zwała burza. Zwała ją jednak ręka Niemca-szubrawca.

Te topole należały niby do dworu. W owym czasie w Wielęcinie i okolicy istniały jeszcze folwarki. W Popowie miał swoją siedzibę pan dziedzic Stanisław Skarżyński. Lecz pan Skarżyński z żoną i dziećmi nie korzystał z chłodu topól w swych wieleckich dobrach, bo wolał cieszyć się cudami francuskimi. Dobrami zarządzili administratorzy-rządcy. Otóż kiedy rządcą został niejaki Tur, wszystkie topole kazał pozrywać. Nie zostawił ani jednej. Koło samej wsi stała topola z obrazem [świętym] w wyciętej wnęce: nawet tej nie darował – zrąbał ją nad tą wnęką. W ten sposób gościniec stracił swoje wielowiekowe piękno – przez Szwaba-drania.

Od Wielęcina do lasu było mniej niż pół kilometra. Najpierw szedł las chłopski, wielecki, a potem dworski i rządowy. W czasach, kiedy ja tam się wychowywałem, lasy te były jeszcze ogromne i obfitowały w zwierzyńę. Spotykało się sarny, a trafiały się i daniela. Najwięcej było dzików, lis, kun i zajęcy – oraz mnóstwo kuropatw i innego drobnego zwierza i ptactwa. Niestety administratorzy dóbr dworskich rąbali las – działka za działką. Cóż: panowie-szlachta przebywali za granicą, a to kosztowało. Nie szczędził też lasów i Moskal. Przy wyrębie drzew i ja nieraz – mając zaledwie 12 lat – pracowałem z Ojcem. Wyrąb odbywał się przeważnie zimą. Bywało, że zwały się śniegi do 3–4 metrów

i najpierw trzeba było odwalić ten śnieg, żeby dostać się do sosny i ją zerznąć. Kiedy dana działka była już położona – przyjeżdżała specjalna komisja do sklasyfikowania drzewa. Drzewo pierwszej klasy było wywożone na bindugi – nad rzekę – którymi spławiano je w świat. Resztę piłowano i układano w sążnie, a gałęzie – w kupy.

6. Matka

W tym czasie mieszkaliśmy w domu dziadka.

Matka – jak wspomniałem – zawsze tęskniła do domu rodziców i robiła wszystko, żeby z Ojcem tam wracać. Przed takim powrotem wybierała się najpierw sama do Wielęcina, umawiała się z dziadkiem i ten przyjeżdżał po nas wozem drabiniastym zaprzężonym w parę koni. Wtedy zaczynało się wymarzone życie Matki – usłane rodzinnymi kłótniami, a nawet bijatykami.

Kiedy wyrąb lasu się kończył, biedny Ojczysko szukał nowej pracy, żeby dogodzić swej Kasi, która nic nie robiła, ale lubiła się pięknie ubierać. Suknie musiały być uszyte u pierwszorzędnej krawcowej w Serocku. Modne były wtedy suknie z watowanymi poduszczkami nad tyłkiem – przyszywanymi na fiżbinach tak, aby uwydatnić figurę; cała taka suknia na fiszbinach rozpościerała się jak parasol. Nosiło się oprócz tego różne bufiaste bluzki, zakieciki i pałta. A na lato – gdy się szło do kościoła – trzeba było mieć w rękę elegancką parasolkę i piękny stroik-kapelusik na głowie. Tak ubrana chodziła moja Matka do kościoła do Zator, 4 kilometry, lub do Popowa, 2 kilometry. Ojciec zaś zostawał w domu z dziećmi.

Nie mogę powiedzieć o swojej Matce, że nic nie umiała. Owszem – znała się na robocie domowej, bo przecież była córką gospodarską. Jak to jednak wyglądało w czasach, kiedy była u swoich rodziców, tego oczywiście nie wiem. W moich czasach Matka pracowała tylko dorywczo, sezonowo. Kiedy na przykład we dworze był nawał pracy, a żniwa się opóźniły, to dawano miejscowym chłopom-gospodarzom robotę. Szli do niej i moi Rodzice – Ojciec z kosą, a Matka z sierpem. Jesienią brali udział – później już i ze mną – w wykopkach kartofli.

Sam dziadek prowadził swoje gospodarstwo sumiennie i nigdy nie miał długów. Inna rzecz, że nie wyposażył z niej swoich dwóch córek. Sprawę wiana dla córek pozostawił synom – starszemu Janowi i młodszemu Stanisławowi – którym odpisał po połowie posiadaną ziemię.

Spłaty dla córek tak zostały pokręcone, że starsza córka, Franciszka, dostała tylko 50 rubli i się odpisała, a młodsza – czyli moja Matka – niewiele więcej, bo 100 rubli. Nie były to duże pieniądze: za 50 rubli można było kupić dwie kiepskie krowy.

Matka, kiedy dostała te swoje 100 rubli w jednym banknocie, zamiast zacząć do nich dokładać, od razu poszła je rozmienić, żeby kupić buty Ojcu: na te buty wcześniej nie było pieniędzy, choć na poduszcзки nad tyłek – i owszem. Rozmienił im je Bogacki, organista w Popowie, który wziął banknot do ręki, ucałował – i wręczył rodzicom drobniejsze banknoty; inna sprawa, że – jak się okazało – jakoś i ten Bogacki niewiele na tych rublach zbudował. Więc jak się te pieniądze rozmieniło, to pomału poszły – i po posagu. I znowu brzęgu z końcem nie można było związać.

7. Dawne zimy

Najgorzej było zimą. A dawniej, za moich młodych lat, zimy były o wiele sroższe niż teraz. Jak śniegi zwały, to do samych strzech chat i budynków gospodarskich. Sąsiad – żeby dostać się do sąsiada – musiał przekopywać tunel. A jakie wtedy były mrozy – niech Bóg broni. Płoty pękały, ziemia pękała.

W takie śnieżne i mroźne zimy zwierzyna przychodziła z lasu do samych wiosek. Kłusownictwo było na porządku dziennym; nie uprągnęło się dziczyzny – nieraz przynoszono w zimie z nocy pół worka kuropatw. Dziś jak się zobaczy parę kuropatw – to tylko jako świadków. Kiedyś kuropatw było mnóstwo: uszło się parę kroków – i zrywało się ich stado. Pamiętam, jak babcia mówiła: „Jak wyginą kuropatwy, to wyginą i Żydzi”. Słowa te okazały się prorocze: Hitler wymordował Żydów, a i kuropatw zostało na pokazkę.

Zimy w tych czasach zaczynały się z listopadem, a kończyły przed 20 marca. Za to w końcu marca wiosna była już w pełni – a po zimie nie pozostawało ani śladu: jakby jej nie było. W polu zaczynała się praca.

8. Dziadek macierzysty

A teraz opiszę dokładniej osobę dziadka Zielińskiego.

Dziadek poza zajęciami gospodarskimi w młodych latach uprawiał zawodowo muzykę: był okrzykniętym grajkciem. Grał na skrzypcach,

na których prowadził prym. Dawniej w zespołach były tylko dwa instrumenty: skrzypce i klarnet – no i bas z bębniem do taktu. Dziadek jeździł wszędzie: na chrzciny, wesela, zabawy. Prowadził się przy tym dobrze: nie widziałem nigdy dziadka pijanego, ani nie słyszałem, żeby komuś ubliżył. Był raptus, nerwowiec – ale umiał się powściągnąć. Baby podmacywać lubił – ale nie przekraczał nigdy pewnych granic.

Po tym względem synowie daleko od niego odeszli: babiarze, pijacy i awanturnicy. Szczególnie «wyróżniał się» w tym wszystkim Adam-Abum: z każdego jarmarku czy odpustu musiał przynieść guza na głowie – łeb miał spisany samymi szwami. Pozostali bracia wiele z jego powodu ucierpieli, bo i im się nieraz oberwało, gdy stawali w jego obronie. Najspokojniejszy był Stanisław-Psiuta.

W każdą niedzielę u mego dziadka aż gotowało się od muzyki i tańców, a tańce nie mogą się obyć bez picia. Nic więc dziwnego, że moja Mamusia tak tęskniła do tego towarzystwa. Nawiasem mówiąc w czasie odwiedzin u dziadka mieszkaliśmy zwykle w izdebce-ciupce. Ale kiedy bracia wyrosli i najstarszy się ożenił, musieliśmy zatrzymać się u sąsiadów – w podobnych lub nawet jeszcze gorszych ciupkach. Nie zrażało to Matki: tak była żądna sąsiedzkich plotek. A Ojciec nie umiał się Jej przeciwstawić: za mocno Matkę kochał.

9. Dzieciństwo

Cofnę się teraz do mych lat dziecinnych.

W Warszawie Rodzice wytrzymali zaledwie rok i przenieśliśmy się na Strugę pod Warszawą. Ojciec został tam leśnikiem-gajowym. Mogłem mieć wtedy jakieś 4 lata. Ze Strugi pozostały mi dwa obrazy-wspomnienia. Pamiętam, jak zimą Ojciec znalazł w lesie zmarzniętego Żyda. I pamiętam, jak kiedyś dziadek przyjechał na Strugę wozem drabiniastym, posadził mnie koło siebie, a ja wziąłem lejce w swoje rączyny i cmoknąłem na konie, żeby ruszyły z kopyta. Przyznam się, że dziadek mnie bardzo kochał, bo byłem wtedy jego jedynym wnukiem; jego najstarsza córka Franciszka, za Balińskim, była bezdzietna.

Ze Strugi wróciliśmy ponownie do Wielęcina – tym razem na czas dłuższy. Dziadek osadził nas w izdebce, o której już była mowa. Ojciec po kupnie butów z posażnych rubli Matki zaopatrzył się też w narzę-

dzia stolarskie i zaczął wyrabiać prostsze sprzęty domowe. Nie obyło się bez kłótni z Matką, której się to nie podobało, i która dostała z tego powodu spazmów, aż Ojczyśko musiał jej grzać fajerkę i kłaść około serca – bo tylko takie zabiegi wtedy pomagały. Ale tym razem Ojciec okazał się stanowczy. W odległym o dwa kilometry Popowie poznał bezdzietnego stolarza, Alojzego, uczciwość człowieka i mistrza w stolarce. Ów Alojzy pokierował Ojcem, udzielił mu odpowiednich wskazówek i zdradził różne sekrety stolarskie; nieraz też bezinteresownie pożyczał Ojcu – jak było trzeba – różnych statków stolarskich. A kiedy Ojciec zabrał się do robienia rzeczy trudniejszych, pomagał mu w sklejanju, fornirowaniu i politurowaniu.

Pierwszym sprzętem, jaki Ojciec zrobił, były saneczki dla mnie. Ojciec posadził mnie na nie, w ręce dał bicz, sam chwycił za sznurek i kazał się poganiać jak konia. Ten obraz pozostał mi na zawsze w pamięci: jak okładam Ojca biczem i krzyczę: „Wio!”.

Przeszła zima i nadeszło lato. Na wprost nas mieszkał sąsiad – Józef Żmijewski. Miał córkę-jedynaczkę – Julcię, bardzo urodziwą pannę. Otóż ta Julcia mnie od razu polubiła i zawsze, kiedy szła po trawę dla krowy lub zielsko dla świń, albo pleć len, zawsze mnie ze sobą zabierała. Dostawałem od niej nieraz cukierki albo bułkę własnego wypieku, posmarowaną masłem. Kiedy teraz się zastanawiam, dlaczego mnie ze sobą zabierała i dlaczego zabierała ze sobą właśnie mnie, przychodzą mi do głowy dwa powody. Julcia – jak każda uczciwa dziewczyna – potrzebowała do towarzystwa kogoś, kto byłby stróżem jej cnoty; a ja się do tego szczególnie nadawałem, bo (mogę się tym pochwalić) byłem grzecznym dzieckiem.

10. Pierwsze nauki

Moje dziecinne dni upływają niepostrzeżenie – i oto mam już 7 lat: czas, by pójść do szkoły. Mojej Mamusi to specjalnie nie interesowało, ale Ojczyśko znał biedę i wartość wykształcenia. Do szkoły – ale gdzie? Do szkoły w Zatorach były 4 wiorsty drogi i to koło lasu. Jak tu posyłać dziecko samo na taką odległość – zwłaszcza zimą, w śniegi i zadymki? Popowo, gdzie była także szkoła, odległe było o 2 wiorsty, ale to inna gmina, więc nie przyjmą. Co robić?

W Wielęcinie była staruszka – nazywała się Słabiak – która uczyła potajemnie miejscowe dzieci: potajemnie, bo gdyby ją z dziećmi wysłodziła jakaś cobaczka moskiewska, wsiakłaby i staruszka, i jej wychowankowie. Niektórzy tyle się nauczyli, że mogli z tego korzystać podczas mszy św. Ale byli i tacy, którzy po trzech zimach nie umieli składać liter. Do jednego takiego nasza nauczycielka mówi: „A więc zaczynaj: A–P–T–E–K–A. Co to będzie?” A ten odpowiada: „Capka”. Bo tej czapki było mu brak: latem i zimą z gołym łbem latał.

Otóż Ojciec postanowił, że mnie odda właśnie do Słabiak. Zaczęło się nas schodzić na początek pięcioro. Staruszka była dusza-człowiek, ale uczyła nas kiepsko. Była Mazurką i mazurzyła, i dzieci też uczyła po mazursku: nie istniało dla niej „ż”, „cz” i „sz”. Do Wielkanocy nauczyłem się: Be, A, BA, Ca, A, CA itd. Zrobiłem więc ogromny postęp. W czasie drugiej zimy musiałem sobie wszystko przypominać od nowa, ale szło mi już łatwiej. Na trzecią – nauczyłem się już czytać do mszy św.

11. Wiejskie zabobony

Trzeba trafu – a dla nas, uczniów, klęski – że nasza nauczycielka właśnie wtedy umarła. Jakies dwa-trzy tygodnie po pogrzebie ta uczciwość-dusza poczyną straszyć swoje własne dzieci. A było to tak.

Kiedy się w jej mieszkaniu paliło światło, to nic nie było słychać; ale jak tylko światło zgaszono, zaczynała się robota na górze, na strychu. Rodzina zmarłej tak się tym przejęła, że prosiła do siebie na noc sąsiadów. Byli tacy, co po jednej próbie uciekali; byli tacy, którzy nie wracali, bo im cała sprawa zbrzydła. Biedna rodzina dała na kilka mszy, ale to nie odniosło skutku. W końcu zwieźli proboszcza, by ten wyświęcił przeklęty dom. Ale i to nie pomogło.

Aż jakiś czas później przechodził przez Wielęcin pewien wędrowny mędrek (w owe czasy takich ludzi, gotowych skorzystać z głupoty innych, włączyło się wielu), który za odpowiednią zapłatę wykrył tajemnicę staruszki, rzekomo straszącej po nocach swych bliskich. Otóż dom był bardzo starą murowanką; kiedyś należał chyba do zabudowań dworskich. Nigdy go nie rozmontowano – nie naprawiano polepy. Na strychu zagnieździła się więc nieprzeliczona moc szczurów, myszy, tchórzy, kun i nietoperzy, a nawet puchaczów. I to ich harcami obarczano duszę biednej staruszki. Co za ciemnota! Dlaczego proboszcz nie zbeształ tych

ludzi za potwarz miotaną na zmarłą? Skąd taka uczciwa – i w dodatku religijna – dusza jak ona mogła po śmierci niepokoić swoich najdroższych krewnych? Ale cóż – księżom było dobrze z tym ciemnym narodem, bo ten naród się ich bał. Co ich mogło więcej obchodzić?

Za radą owego wędrownego mędrka mieszkańcy porobili w polapie otwory, tak by mogły w nie zmieścić się koty a nawet mniejsze psy. I zaczęła się prawdziwa walka. Kilka kotów zdechło z przeżarcia, ale na szczęście o koty na wsi nie trudno. A strachy się skończyły.

Powstaje pytanie, dlaczego tych rzekomych strachów nie zauważono wcześniej? Prawdopodobnie dlatego, że kiedy wszyscy żyli, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby się tymi hałasami przejmować: wszyscy zasypiali twardo, jak tylko położyli się do łóżek.

12. Dalsza nauka

Mnie w każdym razie staruszka-nauczycielka dała z siebie tyle, że mogłem już od biedy czytać wszystkie książki. A że mój Ojciec znał wagę umiejętności czytania (którego nauczył się sam), więc pokierował dalej sam moją edukacją. Kupował mi u obrażników na jarmarkach różne książki, a ja je wszystkie czytałem – co prawda po mazursku. Później zacząłem się uczyć pisać – posługując się do tego celu zeszytami wodnymi. Nabrałem stopniowo dużej wprawy w czytaniu, bo zimą – kiedy miałem ze 12 lat – czytałem godzinami różne historie o Magellanach, Eustachiuszach i Zaklętych Królownach ludziom z całej wsi, którzy schodzili się po to do nas całymi kupami. Bractwo słuchało i płakało.

W okresie między piątym a dwunastym rokiem życia trzykrotnie robiliśmy «wycieczki» mieszkaniowe. Mówiąc „wycieczki” – mam na myśli przeprowadzki, których inicjatorką była Matka. Ojciec zawsze szukał miejscowości, gdzie się chłopci budowali, bo wtedy stawiał im wszystkie mury wewnętrzne. Zwracał też uwagę na to, czy jest blisko do lasu, żeby łatwiej było o opał. Ale cóż z tego – Matka nigdzie miejsca nie zagrzewała. Zawsze znalazła jakiś pretekst, żeby lecieć do swego Wielęcina: a to potłukła jakąś babę, a to naubliżała jakiemuś chłopu. Wtedy dziadek zaprzęgał parę koni i zabierał do siebie. Kiedy dziadek oddał już gospodarkę synom – przyjeżdżał po nas jeden z wujów: Jan-kiele lub Psiuta.

13. Dwory

Opiszę teraz w jaki sposób Ojciec nauczył się mularki. Zaczął od kupna dwóch pędzli do bielenia mieszkań.

W owym czasie w okolicy było sporo folwarków: w samym Wieleńcu, w Jankach, Czarnowie, Henrysinowie i Przyługu; centrum – z pałacem i wszystkimi zagranicznymi ulepszeniami – znajdowało się w Popowie, gdzie mieszkał sam dziedzic, pan Stanisław Skarżyński. Dokładniej – państwo Skarżyńscy mieszkali głównie w Paryżu, a do Popowa zjeżdżali czasem na lato; w pałacu stale mieszkał tylko administrator – tj. rządcą.

Sąsiedni dwór – to były Zatory, do których należały folwarki w Wólce, Mierzęcinie, Ostrówku, Psarach itd. W samych Zatorach był ogromny pałac, przed którym biła fontanna, olbrzymi sad i ogród. Była tam oranżeria i cieplarnia; kwiaty sprowadzano z zagranicy. Obok ogrodu był zarybiony staw. Całość była ogrodzona wysokim parkanem i pilnie strzeżona.

Podobnie było w Popowie. Właścicielem dóbr w Popowie był pan hrabia Iżycki. Państwo Iżycy nieraz dłużej gościli w swych dobrach. Pani Iżycka często robiła sama obchód majątku – zawsze uzbrojona w łaskę. Kiedy zauważyła coś w nieporządku, grzmociła tą łaską tego, kto się akurat pierwszy nawinął. Obrywał nawet pan administrator i pan ekonom. A bywało, że wlała i własnemu mężowi. Pani Iżycka była kolatorką. Oboje z mężem i całą rodziną mieli w kościele własną łóżę – wysoko, koło samego ołtarza. Nieraz kościelny oberwał, gdy kiepsko pogasił świece i się dymiło. To była herod-baba. Córka państwa Iżyckich była kaleką. Kiedy dwóch kolejno sprowadzonych lekarzy nie umiało nic jej pomóc, trzeci wezwany lekarz, który także okazał się bezradny, dostał od pani hrabiny łaską i wysłany do diabła.

14. Służba dworska

Każdy dziedzic w tych czasach miał rozbudowaną administrację. Na szczyście stał administrator, ten miał pod sobą ekonoma, a ekonom – karbowego. Oprócz tego byli i przystawcy. Dalej był gorzelany, który wyrabiał okowitę-wódkę; potem młynarz, kowal, ślusarz, rymarz, cieśla, bednarz, szewc i ogrodnicy, a nawet hodowcy ryb w stawach. Resztę

stanowili robotnicy: fornale z rodzinami. W poszczególnych folwarkach byli już tylko: ekonom, karbowi, rymarz, stolarz, cieśla, ogrodnik i szewc.

Służba – fornale – mieszkali w murowanych ośmiorakach lub czworakach. Każdy fornal musiał chować tzw. posyłkę: dziewczynę lub chłopca do pomocy. Kiedy podrosły mu dzieci, to one pełniły tę funkcję; opłacało się to, bo jak się dało jeść, to swemu dziecku, a jak się sprawiło łać na grzbiet, to także swemu dziecku. Każdy fornal mógł chować krowę w pańskiej oborze. Żona parobka, jeśli była starowna, mogła świetnie wyżywić tę krowę i mleka im starczyło. Ale bydło parobków chodziło osobno, a pańskie – osobno. W zimie każdy fornal dostawał wywar z gorzelnii: po dwa wiadra na krowę; a wywar to pożywna pasza dla krów. Każdy parobek dostawał ponadto 12 korcy zboża – ordynarii w naturze: żyta, pszenicy, jęczmienia itd. Miał też działkę na kartofle i na len. Chociaż więc nie otrzymywali wielkiej opłaty – czasem tylko w lecie dawano mi trochę więcej – żyło im się świetnie. Nigdy nie uwierzę w bzdury, że dworskiej służbie źle się wiodło.

Nawet i mój Ojciec próbował fachu karbowego. Funkcją karbowego jest: stać nad ludźmi i pilnować, żeby nikt nie usnął, tylko żeby wszyscy się ruszali – choćby jak żółwie. Ale czy mój Ojciec mógł gdzieś z Matką dłużej popasać? Nie wiem, czy tę funkcję karbowego pełnił dłużej niż od Wszystkich Świętych do Zadusznego Dnia.

Droga od każdego folwarku była wysadzana gatunkowymi drzewami owocowymi: jak grusze, to grusze; jak jabłonie, to jabłonie; śliwy, czereśnie, szlachetne wiśnie itd. Trzeba przyznać, że zatorskie folwarki miały glebę pierwszej klasy. Urodzaje zbóż i owoców bywały obfite.

15. Gospodarka Rodziców

Wracam teraz do Ojca.

Zaczął więc rzemiosło mularskie od kupna dwóch pędzli i chodził po folwarkach bielić chałupy u parobków na święta. Przy takim bieleniu a to temu poprawił kuchnię, a znów innemu – piec. I stopniowo zapoznawał się z układem przewodów i luftów i zaczął stawiać nowe mury w chałupach. Do takich robót i mnie nieraz zabierał; pamiętam, że od czasu do czasu oberwałem od Ojca kielnią po plecach, jak źle zrobiłem glinę w korycie. W końcu Ojciec nauczył się stawiać wszystkie wewnętrzne mury w domach, a nawet budować piece kaflane. Gdyby

Matka była gospodarna, byłby Ojciec wystawił sobie własny domek. Taki był zresztą – pamiętam – plan Ojca na przyszłość.

W Wielęcinie miał sklepik Żydek Chaim z żoną. W tym sklepiku – jak na owe czasy – mogłeś dostać wszystko: igłę, szwajcę, świeczkę, szkło do lampy i okna, kaszy wszelkiej, cukru, tytoniu różnych gatunków, mąki, a nawet pomarańczy, cytryn, fig, rodzenek, cynamonu, pieprzu, cebuli, goździków, liści bobkowych, nafty, wszelkich lekarstw na rozwolnienie – oraz piwa i wódki oraz wspaniałych śledzi. Nawet i produktów bławatnych najróżniejszego rodzaju też się znalazło. Wszystko to mieściło się w jednej chałupie – leżało jedno na drugim: cukier na nafcie, nafta na mące, cukier na mydle itd. Taki Żydek na wsi – to był istny «ojciec» wszystkich biedaków. Każdemu zborgował, a nieraz i pożyczył, ale odbierał – w stu procentach. Tam i kradzione rzeczy przyjęto – pod hajrem. Stary Chaim miał syna Abramka, który już był żonaty. Abramek trudnił się ubojem. Ale w owe czasy Żydzi świniny nie jadali. Więc Abramek bił tylko cielaki, stare i zdechłe krowy oraz barany. A z wołowiną u Abramka bywało różnie: temu się krowa wzdęła, temu udławiła, innemu padła itd. Abramek wszystko ogarnął i dobrze sprzedał.

Otóż kiedy Ojciec wracał ze świata – bo nieraz zapuszczał się daleko w poszukiwaniu roboty mularskiej – zawsze kilka rubli przynosił. Jak tylko Abramek dowiedział się o powrocie Ojca – już był u nas z mięsem i to z całą ćwiartką. Ojciec mówi: „Odetnij tam, Abramku, ze trzy-cztery funty”. Abramek na to: „Uj, panie Jadacki, jak można taki kawałek ładne mięso psuć?”. Ojciec: „Ale ja nie mam tyle pieniędzy. A po drugie, przecież i chleba trzeba kupić.” Abramek: „A czy ja od pana Jadackiego zaraz chcę zapłata? Na moje sumienie: ani o tym pomyślałem”. I już go nie ma: mięso zostawił i uciekł. Matka tej ćwiarki użyła na cztery razy. Jedliśmy wszyscy – ile nas było – przez cały tydzień. Był chleb – to z chlebem, a jak nie było – to samo mięso. Ma się rozumieć, że kochana Mamusia poczęstowała i swoje kumoszki. I tak z tym Abramkiem było zawsze: jak jest – to szelest, a jak nie ma – mrzej d... głód. Zanim Ojciec wrócił z pracy, Mamusia już tyle narobiła długu u Abramka i starego Chaima, że Ojciec po powrocie spłacał dług i wracał w świat, by znowu pracować na darmo.

Był czas żeśmy się dochrapali krowy. Ale żeby krowa dawała mleko, trzeba jej dać jeść. W lecie – to było pół biedy, bom ją pasał po

drogach i drózkach – albo i poszła z trzodą. Gorzej było zimą. Gdyby Matka była pracowita, to byśmy uciulali zielska i trawy, i w lecie dla jednej krowy nasuszyli. Ale nie z moją Matką. Zarobił tylko Abramek na naszej krowie – bo niedługo zdechła. Nawet Matczysko płakało, ryczało. Cóż, jak się nie ma oleju we łbie!

Chowaliśmy czasami i prosiaka.

16. Zarazy

Kiedy miałem siedem lat, Moskałe zawlekli do Polski cholerę. Były wypadki śmiertelne. W każdym powiecie i w każdej gminie dano ogłoszenie, żeby wójtowie i sołtysi, jak ktoś zachoruje, natychmiast zawiadamiali władze zwierzchnie.

W Wielęcinie akurat zachorowała pewna kobieta i – ja. Ja po prostu przeziębilem się i dostałem grypy. Do naszej wsi zjechała komisja z powiatu, bo sołtys zawiadomił władze, że we wsi jest dwoje chorych. Kiedy Matka dowiedziała się, że tę kobietę zabierają na furę, natychmiast ściągnęła mnie z łóżka, ubrała i kazała chodzić po pokoju. Kiedy komisja zjawiała się w naszym mieszkaniu, zaraz od progu zapytano o mnie. Matka na to: „U nas nie ma chorych. Ktoś nagadał głupstw. Proszę patrzeć – mój syn jest zdrow jak ryba.” W ten sposób ocalałem, bo nie wiem, czy bym wrócił. O tych, których zabrano, słuch zaginął. Nie ma pewności, co się z nimi stało, ale fama głosiła, że tych biedaków otruto, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się epidemii.

W związku z tą epidemią, kiedy zaczęły się wypadki śmiertelne, nasz lud polski – mocno wierzący – zaczął się uciekać do Boga i gorliwiej modlić. Zbierali się ludziska tłumnie nocami przy krzyżach i zanosili modły, aby Bóg odsunął tę klęskę od Polski. Czasem do najbliższego krzyża trzeba było iść kilometr i więcej. Zdarzali się wtedy śmiałkowie, którzy przebierali się na biało lub przykrywali białymi płachtami, ukrywali się w przydrożnych krzakach i kiedy ludzie wracali od figur – napadali na nich i straszili.

17. Czary i wróżby

Za czasów mego dzieciństwa w każdej wiosce były dwie-trzy czarownice, a bywało, że i o niektórych mężczyznach mniemano, że mieli do czynienia z diabłami. Taka czarownica miała ciężkie życie. Każdy ją

omijał, nigdy nic od niej nie przyjął. Czarownice nie tylko czarowały, ale też i mleko od krów sąsiadom zabierały. Księża tego nie zwalczali. No cóż, pewnie było im z tym dobrze.

Oprócz czarownic były i miejsca zaczarowane: bagna, trzęsawiska i rokicina. Mówiło się nawet: wygląda jak diabeł z rokiciny. Wierzono, że niejednego – pieszego czy jadącego końmi – takie diabły wodziły w kółko przez całą noc i tak stropiły, że dopiero następnego dnia rano odnajdywał drogę.

Były jeszcze uroki i zażegnania. Krążyli wszelkiej maści znachorzy, owczarze, którzy leczyli ludzi o oznaczonych porach: zwykle o wschodzie i zachodzie słońca.

Wiele zła wiązało się z krzywoprzysięstwem. Jeśli kogoś do niego nakłoniono, a był człowiekiem mocno wierzącym, często umierał wkrótce ze zgrzyoty. Ale adwokaci nie umierali...

Najgorszą plagą byli jednak Cyganie. Mężczyźni kradli, a ich żony – wróżyły. Wiara w ich wróżby była tak wielka, że prowadziło to nie-raz do tragedii. Kiedyś Cyganka wstąpiła do chałupy, w której była gospodyni z podrastającą córką. Zaczyna od gosposi: plecie jej różne głupstwa – i dostaje trochę mąki i kaszy, i kawałek słoniny. Potem podchodzi do córki i mówi: „Niech panienka da sobie z ręki powróżyć”. Panna trochę zawstydzona, ale ciekawa, co też ją czeka, podaje Cygan-
ce rączkę. Ta patrzy i mówi: „Moja panienko – źle! Panienka pożyje jeszcze tylko z rok, bo tak linie na dłoni wskazują.” Naplotła jeszcze parę podobnych głupstw, dostała drugi kawałek słoniny i – dalej szukać głupich. Biedna dziewczyna tak się tą wróżbą przejęła, że już nie chcia-
ła nic robić i tylko myślała o rychłej śmierci. No i proszę: nie upłynął rąk – i zmarła. To była wiara!

18. Nauka po rosyjsku

Wracam do właściwego tematu.

Jak zaznaczyłem powyżej, w latach 1890–1897 kilkakrotnie zmie-
nialiśmy miejsce pobytu. Ojciec próbował nieustannie odwiedzić Matkę
od powrotów do Wielęcina, a szukał takich miejscowości, gdzie mógł-
by zarobić jako mularz i stolarz.

Jedną z takich miejscowości była Dąbrówka nad Bugiem, wieś
kościelna, w której w tym czasie organistą był Ochrynik. W czasie po-

bytu w Dąbrówce mój mały brat, Janek, oparzył się gorącą kartoflanką
i wiele przecierpiał, zanim się z tego oparzenia wyliżał. Będzie o nim
jeszcze mowa później. Byliśmy w Dąbrówce raptem pół roku – i zno-
wu wróciliśmy do dziadka. Matka miała swój ukochany Wielęcin; ale
Ojciec opuszczał go w poszukiwaniu pracy na całe tygodnie.

Tymczasem ja podrastam, a Ojciec koniecznie chce, żebym po-
szedł do szkoły. W końcu udało mu się do tego przekonać Matkę i zna-
leźć mieszkanie dla mnie w Pobyłkowie, parafii Karniwek – tuż nad
Narwią za Serockiem – gdzie zacząłem chodzić do prawdziwej szkoły.
Nauczycielem w tej szkole był niejaki pan Szabot, podobny – kropla w
kroplę – do Sienkiewicza; dostał on od mojej Matki koguta, żeby mnie
dobrze uczył. Właśnie w Pobyłkowie przyszedł na świat mój najdroż-
szy braciszek Janek. Nic więcej stamtąd nie pamiętam – poza tym, że
w końcu przyjechał brat Matki i nas zabrał: jak zwykle do Wielęcina.

Ojciec nie dał jednak za wygraną – i przenieśliśmy się do Somian-
ki pod Wyszkowem – 6 wiorst szosą warszawską od Wielęcina, więc
Matka często odwiedzała swoją wielęcką rodzinę. Szkoła była stamtąd
o trzy wiorsty – na tak zwanej Strudze: stała koło samej szosy. Cho-
dziło do niej sporo dzieci. Ucierpiałem od nich niemało – niewinnie,
tylko dlatego, że byłem dla tych chamów inteligentem – a dawniej w
szkole nieźle grzano. Wszystko to cierpliwie znosiłem, byle się uczyć;
i rzeczywiście – w tej Somiance coś-niecoś się nauczyłem. Wynajmo-
waliśmy tam małą izdebkę; nasza gospodyni uchodziła we wsi za cza-
rownicę. Pewnego dnia Matka pokłóciła się z nią, gospodarz stanął po
stronie żony i napadł na Matkę. Wtedy Matka złapała tasaka i rozwalila
mu całą rękę; gdyby nie uciekł, chyba by mu łeb rozwalila. Był to chłop
silny, słusznej tuszy, ale moja Matka była bardzo odważna. Trzeba było
się jednak stamtąd wynieść.

Ojczysko tym razem dał spokój na parę lat. Zaczęło się zwykle
życie w Wielęcinie. I znowu puszczało się pokrojone listki kartofli na
wodę, żeby starczyło na dłużej; ale mięsa nie umiało się puszczać po
kawałku – tylko po kawale. Ojciec wychodził w świat po robotę na całe
tygodnie, a jak wracał, Matka oddawała długi Chaimowi i Abramkowi.
Ja już na tyle podrosłem, że latem pracowałem razem z Ojcem, ale zimą
mogłem chodzić te cztery wiorsty do szkoły w Zatorach – jeden jedyny

z Wielęcina. Jak była dziesiątka na obiad, to dobrze; a jak nie było – to się i tak obyło. Na jeden rok Ojciec załatwił mi szkołę w Popowie, ale wolałem chodzić do Zator, choć było tam o wiele dalej.

Kiedy osiągnąłem piętnaście lat, miałem za sobą trzecią klasę начальной школы. W szkole nie można było rozmawiać po polsku, tylko trzeba było rozmawiać po rosyjsku. Chcę na przykład pożyczyć od kolegi pióra lub ołówka – to muszę mówić: Слуш, одолжи мне пера! Albo: Одолжи мне карандаша! Itd. Chcę wyjść na dwór – to wstaję i muszę powiedzieć: Господин учитель, позвольте на двор! Ale jak wybiegaliśmy na pauzę, to już było tylko po polsku. Raz do roku przyjeżdżał do szkoły inspektor Moskal i sprawdzał, czy dzieci dobrze się uczą po rosyjsku. Kiedyś dał mi – в память книгу о Пушкине...

Pewnego dnia po drodze do Zator zobaczyłem leżącego zająca. Podchodzę – nie rusza się. Biorę go na ręce i oglądam się, czy nikt nie widzi – z obawy, żeby mi go nie odebrano. Jeszcze był ciepły: widocznie kłusownik go rano postrzelił i biedak nie zdążył uciec do lasu. Ale co tu z nim zrobić? Gdybym szedł ze szkoły, to pół biedy; ale do szkoły – marna sprawa. Po namyśle postanowiłem go schować w lesie pod znajomą jodełką; nakryłem mchem i udałem się do szkoły. Nauka mi tego dnia szła źle, bo miałem głowę zajęętą tym zającem. A nuż ktoś jednak mnie widział i zabrał zająca? Albo wywachał go pies i pożarł? Niedaleko była przecież wioska – Wólka-Pieńki. Po lekcjach pędzę do mojej jodełki: Jest! Mieliliśmy tego zająca na dwa razy – i ponadto wspaniały barszcz zajęczy.

19. Znowu w Wielęcinie

Kilka słów poświęcę teraz wujowi Stanisławowi Zielińskiemu. Wuj był całe cztery lata w wojsku w Rosji. Kiedy wrócił, rączki miał jak papierowe. Dlaczego? Bo grał w orkiestrze – i przywiózł nawet ze sobą piękny kornet, na którym nam potem grywał.

Starsi bracia Matki – Jan, Stanisław i Adam – wkrótce się poženili. Został tylko Olek-Gołapica. Tego też wzięto do wojska. Kiedy wrócił, ja już też chorowałem na kawalera.

Muszę się teraz trochę cofnąć we wspomnieniach.

Kiedy w domu dziadka pojawiła się synowa, moja Matka nie mogła już u niego szukać schronienia, chociaż jeszcze ze dwa lata gniętli-

śmy się tam na kupie. Ojciec wynajął więc jakąś ciupkę u sąsiadów w Wielęcinie i tak się męczył ze swoją Kasią.

Było nas w Wielęcinie tylko dwóch, cośmy jako-tako pisali. Ten drugi, to był Stanisław Szczęśny, przezwany „Paluszkciem”, bo żeby nie iść do wojska uchlaścił sobie palec; stary Szczęśny, ojciec Stanisława, nazywany „Morosem” – bo miał takie same brwi i rzęsy jak jego pies Moros – załatwił to z wójtem. Otóż z tym Paluszkciem rywalizowałem w pisaniu listów dla całej wsi. W końcu go pobiłem, bo jednak – inaczej niż on – chodziłem do szkoły.

20. Kłusownictwo

W Wielęcinie było kilku myśliwych-kłusowników. Każdy z nich miał jednorurkę, a z jednorurką była bieda, bo taką flintę trzeba było nabijać stemplem. Wyglądało to tak. Sypało się w lufę porcję prochu, natykało pakułami i waliło stemplem, aż się wszystko ubiło; jednocześnie sypało się śrut lub tak zwane luftki; następnie na brantkę nasadzało się kapiszon i dopiero waliło. Broni – jak zwykle – nie wolno było trzymać. Ale kłusownicy wzajemnie się znali – i w razi rewizji jeden drugiego ostrzegał. U moich wujków też taka strzelba zawsze była.

Pewnego razu wujek Olek zabrał mnie ze sobą na dziki. Był sierpień – jeszcze widno. Pole Wielęcików-gospodarzy graniczyło z Lasem Zatorskim, który należał do hrabiego Iżyckiego. Podeszliśmy do granicy i wujek zauważył w owsie dzika – tak wcześnie wyszedł na żer! Wujek kazał mi obejść dzika z przeciwnej strony i napędzić go wprost pod strzał. Ale dzik okazał się mądrzejszy niż się nam wydawało: uderzył w bok, obłożył polem i machnął do lasu.

Kłusownicy, wybierając się na polowanie, szli razem w nocy do granicy koło lasu i umawiali się, gdzie kto staje. Kiedyś jeden z nich nie powiedział kolegom, że wybiera się na polowanie. Pozostali rozstawili się na umówionych stanowiskach i czatują. Nagle kilku z nich zauważyło, że coś się rusza w miejscu, gdzie nikogo nie miało być – więc sypnęli w to miejsce. A stamtąd krzyk: „Nie strzelać, bo mnie ubijecie!”. Okazało się, że to był Piotr „Gajda”; całe szczęście, że to było zimą, więc był opatulony, a na wierzchu miał kozuch – bo ten kozuch był w całości podziurawiony od śrutu i luftek.

Moim wujaszkom często udawało się upolować – czy to koziołka, czy dzika; a zając to był już powszedniością. Zimą zastawiali różne sidła-wnyki. Ja jakoś się tych rzeczy nie imałem; jeśli uczestniczyłem w polowaniach, to jedynie na gapia lub jako naganiacz.

Najstarszy wuj, Jan, nie służył w wojsku – właśnie jako najstarszy. Następny, Stanisław, był w wojsku, ale działa mu się tam dobrze, bo był w kapeli, a rosyjska orkiestra należała do pierwszych w Europie. Wuj Adam nie służył w wojsku, bo było kuternogą: wyrwali mu nogę z biodra, kiedy u dziadka – na muzyce – grali w brzdca; kiego mu ją zestawiono, tak że miał ją krótszą i lekko utykał. Najmłodszemu wujowi, Olkowi – który też odbył służbę wojskową – było w Rosji dobrze, bo to był oberstrzelec, więc odbył ją w ochotnickiej komendzie.

21. Dalsza nauka

Ukończyłem szkołę w Zatorach, gdy miałem piętnaście lub szesnaście lat. Władałem trzema językami: rosyjskim, polskim i... mazurskim; czytałem też poprawnie po łacinie. W tej szkole nauczyłem się wreszcie czystej polskiej wymowy. Kiedy teraz poprawnie czytałem ludziom powieści, ludzie wybałuszali oczy i się ze mnie naśmiewali. Dostałem świadectwo warszawskie, bo w Warszawie je zatwierdzało ministerstwo oświaty. W rozmowach z kolegami i w domu posługiwałem się jeszcze jakiś czas językiem mazurskim. Ale kiedy zacząłem się uczyć na organistę, zacząłem mówić wszędzie i ze wszystkimi czystą polszczyzną – bez mazurzenia.

Kiedy otrzymałem świadectwo szkolne, stanęła sprawa, jak daleką drogą pokierować. Nauczyciel radził Ojcu, żebym poszedł na telegrafistę. Ale Ojciec był człowiekiem bardzo religijnym; każdy ksiądz to był dla niego mały bóg, więc uznał, że zawód przy tym małym bogu – zawód organisty – będzie dla mnie właściwszy; poza tym wydawało mu się, że jest to zawód stosunkowo popłatny. Powstał jednak problem, u kogo mógłbym się tego zawodu wyuczyć: po posażnych stu rublach nie było już ani śladu, a nikt przecież nie zechce uczyć za darmo. Ojciec obmyślił więc, że odda mnie do Bogackiego, a ponieważ był już nie w Popowie, lecz w Ostrowi, więc wybraliśmy się tam obaj do niego.

22. Nauka zawodu

Bogacki przyjął nas jak wielki pan. Powiedział Ojcu, że zgodzi się mnie przyjąć za darmo – ale na sześć lat. Przez trzy lata mnie wyuczy zawodu, a przez następne trzy – mam u niego pracować i się wypłacić za naukę. Pozostałem więc u Bogackiego, ale wytrzymałem tylko dwa tygodnie, bo traktowano mnie tu bardzo źle. Napisałem o tym do Ojca; ten przyszedł po mnie i wróciliśmy do domu. Czy postąpiłem dobrze – nie wiem. W każdym razie Ojciec oddał mnie do organisty w Zatorach, pana Wieliszewskiego; płacił mu trzy ruble miesięcznie za naukę; zacząłem chodzić znowu codziennie z Wielęcina do Zator. Czy te trzy ruble opłaty za naukę – to było drogo? I tak, i nie. Dla nas było drogo. Więc Ojciec – pod rządami Matki – nie uiszczał regularnie tej opłaty.

Nauka odbywała się bez żadnych podręczników. Pan Wieliszewski dał mi po prostu kawałek papieru, na którym było napisane „Zasady muzyki” – i to wszystko. Była jeszcze *Szkoła* Różyckiego – a poza tym nic więcej. Organista pokazał mi tylko piąte-przez-dziesiąte jak z niej grać. Żadnego systematycznego przegrywania zawartych w niej ćwiczeń; żadnych zadanych lekcji! Tyle tylko, że poznałem nuty i ich podział; ale do tego już sam doszedłem metodą prób i błędów. Resztę kułem na pamięć: zwykłymi, prostymi akordami. Po roku umiałem już *Litanie do Matki Boskiej*, którą później grywałem co sobota na organach. Organy w Zatorach były w owym czasie bardzo małe. Nigdy nie brałem udziału w śpiewie ani w grze na organach podczas nabożeństwa.

Pół roku później mój pryncypał przyjął drugiego ucznia – Józefa Wiesiołka ze wsi Sadykierz, parafii Obryte. Józio był synem bogatych chłopów, więc był na stole u organisty. Był wyraźnie – choć nie rażąco – lepiej traktowany niż ja.

O moim pryncypale mówiono, choć w wielkim sekrecie, że zdarzył mu się wypadek: żona kościelnego miała z nim jakoby dziecko. To dziecko zmarło. Ale sam zauważyłem, że między panią organiściwą a panem organistą są pewne kwasy. Po przyjęciu Józia pani organiściwa zaczęła z nim romansować, ale bardzo delikatnie – tyle, żeby mężowi za jego dawny występki trochę dokuczyć. Ten jednak zachowywał się tak, jakby tego nie zauważał. Państwo Wieliszewscy mieli dwoje dzieci: w czasie, gdy tam byłem, córka Sabcia miała lat dziesięć, a synek

Wacuś – pięć. Pani organiścina była dość przystojna i elegancko się ubierała: chodziła zawsze pod woalą. Mimo że stale narzekała na zdrowie, przeżyła swego męża.

23. Dziecko szczęścia

Na moje szczęście Józio był w Zatorach tylko rok, bo w Obrytem, jego parafii, zmarł organista Zalewski i Józio poszedł tam na zastępstwo.

Zalewscy mieli dorosłą już wówczas córkę Marysię, która przy ojcu poznała dość dobrze obowiązki organisty. A że zmarły Zalewski był długie lata organistą w Obrytem, więc proboszcz się zgodził, by Józio Wiesiołek z organiścianką Marysią objęli po nim funkcję. Józio co prawda dopiero poznał gruntownie białe klawisze, a czarnych tylko kilka; za to córka po zmarłym nieźle czytała nuty, a ponadto znała wszystkie obrzędy kościelne. Czego brakowało Józiovi, to dopełniała Marysia. I w ten sposób mój kolega Józio zdobył łatwo porządną posadę. A gdy Józio znalazł się blisko Marysi, niedługo trzeba było czekać, aż wywiązał się gorący romans – i Józio poślubił jedynaczkę. To, co się przydarzyło Józiovi, było naprawdę czymś wyjątkowym, bo był to chłopiec więcej niż brzydki, słabo wykształcony, a poza tym – kawał chama. A Marysia było delikatną, wypieszczoną jedynaczką. Wątpię, żeby się w nim rozkochała. Ale nie miała innego wyjścia, więc się poświęciła: dla matki i dla kariery. Mamusia Marysi nie była przeciwna temu małżeństwu, bo bez Józia gdzie by się podziały? W mieście sprawy, rzecz oczywista, wzięłyby inny obrót; ale na wsi nie było lepszej partii dla organiścianki.

Niedługo potem zmarła teściowa i państwo młodzi znaleźli się w dobrych warunkach. Na zewnątrz Józio i Marysia kochali się ogromnie; widziałem to, kiedy ich raz odwiedziłem. Ale dłuższym pożyciem z kochaną Marysią Józio się nie cieszył; widocznie odziedziczyła po ojcu gruźlicę i zmarła w kilka lat po ślubie, zostawiając Józiovi dwoje czy troje dzieci. I one nie były zbyt zdrowe; ile mu ich pozostało – nie wiem.

Józio opuścił Obryte i przeniósł się na jeszcze lepszą posadę. Utył jak prosiak, a że miał dość forsy – nawet go na tej nowej parafii zrobiono wójtem. No i drugi raz się ożenił. Widziałem go raz w Ostrowi, ale już mu coś szczęście nie dopisywało: zmarniał i nie był szczególnie

przyzwoicie ubrany. Mam wrażenie, że to wójtostwo go zjadło; pewnie za dużo zaglądał w kieliszek. A poza tym nasi księżulowie sobie nie życzą, żeby dwie sroki za ogon łapać; oni chcą tylko, żeby przed nimi padać plackiem.

24. Pierwsza miłość

Mam już siedemnaście lat. Mieszkamy w Wielęcinie, skąd codziennie chodzę rano do Zator i na wieczór wracam do domu. Natura-matka budzi mnie do dorosłego życia. Jak już zaznaczyłem uprzednio, droga do Zator wiodła ze dwie wiorsty koło lasu. Po jednej stronie gościńca był Las Zatorski, gdzie było moc zwierzyny. Po drugiej – pola uprawne, a tuż koło gościńca – wioska Wólka-Pieńki.

Otóż w tej wiosce poznałem Marysię Dobrzyńską – dziewczynę, którą pierwszą w życiu pokochałem. Panna Marysia często się ze mną spotykała: zawsze, kiedy wracałem z Zator od organisty, ona – ze swymi młodszymi siostrzyczkami też się ukazywała na mojej drodze. Czy to w lesie na jagodach, czy w polu za zielskiem – zawsze się oboje spotykaliśmy. Było ich wszystkich pięcioro dzieci: Marysia była najstarsza.

Trzeba przyznać, że państwo Dobrzyńscy mieli pretensję do szlachty. Inaczej się ubierali i inaczej gospodarzyli. Doszło do tego, że czasami osobiście u nich bywałem. Panna Marysia nie była pięknoscią, tylko miłą i sympatyczną dziewczyną. Ale nasz związek to był tylko młodzieńczy romans – nic więcej. Panna Marysia była w tym wieku, co i ja, ale ona była już niewiastą, a ja jeszcze podlotkiem. Czy ja mogłem marzyć o żonie – mając siedemnaście lat? A Marysia – tak. Wkrótce oświadczył się jej mój kolega z Zator, pan Tadzio Jagielski i został przyjęty. Ja nawet byłem mu starszym drużbą.

I tak się zakończyła moja pierwsza miłość.

25. Druga miłość

A ja nadal chodziłem codziennie do Zator do organisty. Na skraju lasu – po drodze – stoją budynki leśniczóWKi.

Pewnego pięknego dnia wracam do domu, a po przeciwnej stronie idzie śliczne dziecko z dzbankiem na ręku. I tak – kilka kolejnych dni: ilekroć szedłem w polu gościńcem, zawsze spotykałem tę ślicznotkę

na swojej drodze. Zrozumiałem, że nie jestem jej obojętny i że chce ze mną zawrzeć znajomość. Co mam robić – taki młody szpicak? To nie była Marysia ze wsi, tylko dziewczyna inteligentna. Skąd się wzięła tu, w Zatorach, gdzie prawie wszystkie panny znałem – zarówno wiejskie, jak i spode dworu? Nie byłem jakimś łobuzem ani nawet łobuziakiem: Ojciec wszczepił mi głęboko zasady moralne i religijne. Nie miałem więc odwagi tej ślicznotki zagadnąć, a nie mogłem przecież wymagać, żeby ona pierwsza mnie zaczęła.

Okazało się, że codziennie chodziła do tej leśniczówki z dzbankiem po mleko; a była córką żandarma, który mieszkał z całą rodziną w Zatorach. Ten żandarm – to była taka moskiewska собачка, która niczego poza carem nie widziała i nie uznawała; ale o tym dowiedziałem się daleko później. Była to więc Rosjanka – na imię miała Liza. Ale po polsku mówiła o wiele lepiej ode mnie: czyściutko, bez akcentu, dźwiękiem tak śpiwnym i miłym, że niech się schowa przeciętna Polka-inteligentka; ja zawsze miałem do czynienia z Mazurami, więc się krępowałem wdawać z nią w głębszą dysputę.

Wreszcie się jednak odważyłem i przeszedłem na tę stronę drogi, którą ona stale chadzała. Nie było wtenczas w zwyczaju po wioskach się rekomendować. Zresztą było to, prawdę mówiąc, zbytczne, gdyż ona już o mnie wiedziała, kto ja jestem. Podchodzę więc już śmiało do niej i mówię: „Może bym ulżył pani tego ciężaru?”. A ona na to, że to jest zbytczne, bo ten dzbanuszek z mlekiem nie jest wielkim ciężarem. Oboje wiedzieliśmy, że to jest tylko wstęp do bliższej znajomości. I rzeczywiście: od tej pory miałem w swej podróży stale i koleżankę, i znajomą, i kochaną dziewczynkę. Przyznam się, żeśmy oboje zachowywali się w czasie tych spotkań moralnie i przyzwoicie. Nie było tam żadnych komplementów. Ja ją na tyle szanowałem, że nie ośmieliłbym się do niej zbyt zbliżyć. Ona również się mi nie narzucała. Ale odtąd zawsze była gotowa ze dzbanuszką towarzyszyć mi do leśniczówki.

Do tej leśniczówki od Zator można było liczyć półtorej wiorsty. Kiedyśmy dochodzi do leśniczówki, zamienialiśmy parę słów na pożegnanie, serdeczny uścisk dłoni – i każde ruszało w swoją stronę. A jednak pewnego razu zaczął mnie gajowy i mówi: „Panie, niech pan sobie da spokój z tą dziewczyną, bo może być źle”. Pytam go: „Dla-

czego ma być źle? Przecież sam pan widzi, że ja jej nie obłapiam, ani nie całuję, a że idziemy razem, to cóż to takiego strasznego?” A gajowy na to: „Przecież ode mnie do Zator jest półtorej wiorsty – i to polem, a zboża wysokie...”. Ja aż raka spiekłem ze wstydu i odpowiadam: „Po pierwsze, ja jestem młody chłopiec, niezsputy; a po wtóre – pan zna mego ojca i całą moją rodzinę, więc chyba to panu wystarczy. Ale jestem za delikatny, żeby pogardzać tak miłym towarzystwem: ani nie mogę przed nią uciekać, ani jej powiedzieć, żeby ze mną przestała chodzić.” A gajowy na to: „To ja panu powiem więcej, właśnie dlatego, że was znam. Otóż ten Moskał, to jest jej ojciec, już wie o tych waszych romansach, i parokrotnie u mnie czaił się ukryty na górze, i obserwował was i wasze pożegnania. I gdyby coś zauważył, co by mu się nie podobalo, gotów jest pana zabić. Niech pan nie zapomina, że to jest Moskał, a my Polacy. Więc pana uprzedzam i ostrzegam. Ta panienka jest młodziutka, bo ma zaledwie z górą piętnaście lat. Gdyby była dorosła, być może ojciec by nie mógł nic poradzić.”

Podziękowałem gajowemu serdecznie i poszedłem do domu. Ale tym się zbyt nie przejąłem, bo byłem ze swej strony w porządku. Przecież ojciec nie mógł ani swej córce, ani mnie niczego zarzucić. I tak trwało jeszcze z tydzień. Ale piękny kwiat nie kwitnie długo. Prędko da się zauważyć i zerwać. Naraz nasze spacerowanie się urwało. Ojciec tej dziewczynki wyprowadził się do Pułtuska. Za trzy miesiące dowiedziałem się, że panna Liza wyszła za mąż.

Tak zakończyła się moja druga młodzieńcza, czysta miłość.

26. W Zatorach

Tymczasem przeprowadziliśmy się do Zator i zamieszkaliśmy u Kalinowskiego. Tu mój braciszek Janek, o którym wspominałem na początku pamiętnika w związku z poparzeniem się kartoflanką, dostał silnej galopowej gruźlicy i umarł mi na rękę mając dziewięć lat. Pozostało nas czworo: ja, Genia, Cela i drogi-drugi Janek (obecny pijak). U Kalinowskiego nie zagrześliśmy długo – nie wiem, czy dłużej niż tydzień – bo choć dom był blisko domu organisty, do którego chodziłem, to stał na skraju lasu, w pobliżu cmentarza grzebalnego, i Matkę... nawiedzali nieboszczycy. Ojciec wynajął więc mieszkanie we Drwałach,

w wiosce odległej od Zator ze dwa kilometry. Ale i tam się Matce nie spodobało i przenieśliśmy się do innego domu, także we Drwałach, tyle że w środku wsi. Ale cóż: i to mieszkanie trzeba było wkrótce opuścić, bo wszyscy tam byli ludźmi pracy, mrówkami, i Matka nie miała z kim plotkować. Więc Ojciec wynajął z powrotem mieszkanie w Zatorach u Sobocińskich – rodziców matki obecnej Piszewskiej – skąd było do organisty kilkadziesiąt metrów. Oto jak wyglądało nasze koczownicze życie!

Do organisty chodzę już trzy lata. Mój pryncypał jakoś nie kwapi się, aby dopuścić mnie do organów. Gram – jak zwykle – co sobotę *Litanie do Matki Boskiej*. Znam już na pamięć wszystkie obrzędy kościelne, ale znam tylko teoretycznie – nie praktycznie. Wszystkich odpowiedzi po łacinie wyuczyłem się sam na fortepianie; podobnie – wszystkich pieśni przygodnych oraz niesporów; poznałem pobieżnie kancjonał i wiele pieśni z nim związanych. Słowem – od biedy mogłem już awansować na organistę. Ale w owym czasie trudno było o jaką-tąką posadę. Ze dwa-trzy razy wyruszaliśmy z Ojcem w poszukiwaniu posady, i nie udało nam się żadnej zdobyć. Więc chodziłem do organisty nadal, bo co miałem robić?

27. Rozparzeńcy

Z tymi organistami to było tak. Wielu było takich, którzy nie umieli pisać ani po rosyjsku, ani po polsku. Każdy taki rozparzony organista był więcej kościelnym niż organistą – a raczej spełniał obie funkcje, a brał zapłatę za jedną. W dni powszednie pracował jako kościelny, a w niedziele i uroczyste święta rzekomy prawdziwy kościelny pokazywał się dla pozoru parafianom. I chociaż taki kościelny był bardziej parobkiem niż kościelnym, był pewniejszy siebie niż organista. Bo takich organistów-rozparzeńców miał ksiądz wielu na zawołanie. A o dobrego parobka było trudniej. Toteż tacy niedowarzeni organiści trzymali się parafii zębami i nogami. Ja, choć w muzyce byłem słaby, pisałem prawie kaligraficznie. Pod tym względem Ojciec dopiął swego, mimo że kosztowało go to wiele nerwów i zdrowia: nauka szkolna nie poszła na marne.

Otóż taki niedowarzony organista był w tym czasie w Barcicach. Nazywał się Adam Jarosik. Był to stary kawaler: mógł mieć wówczas około trzydziestu lat – a może i przeszło. Miał u siebie matkę, która

była mu i za matkę, i za służącą, i za gospodynię; ojca swego nie znał wcale. Boże! Co to była za karykatura organisty! Ni to pisać, ni to grać; a już śpiewać – to można było boki zrywać, jak zaczął układać usta, język – nawet plecy... Miał jednak jedną zaletę: umiał się podlizywać. I to go właśnie trzymało. Wszystkie służące u księdza całował w ręce, a Naczynie Duchowne⁷ – to i w paluszki. Gdyby proboszcz wymówił miejsc takiemu człowiekowi, to powstałby ryk i trzęsienie ziemi. Hodował proboszczowi psy, kury, indyki... Doglądał ogrodu i pszczół. Nawet gdy się krowa cielila (oczywiście nie u niego, bo takowej nie miał, a jak by miał, to by mu z głodu zdechła), to wzywano organistę, który się na tym daleko lepiej znał niż na fortepianie. Kościół był na drugim planie.

Proboszcz postawił mu jeden warunek: żeby nauczył się pisać akta. Na szczęście parafia Barcice była mała – liczyła zaledwie dwa tysiące dusz. Na razie proboszcz sam wpisywał wszystkie akta urodzenia, ślubów i zejścia do unikatu, a Adaś miał tylko przepisywać je do duplikatu. Mój Boże! Ile on zmarnował papieru! Ile go to kosztowało zdrowia! To wie tylko nas trzech: Bóg, ja i on sam. Ale nie było rady: akta trzeba było przepisywać, bo i episkopat mógłby zajrzeć w czasie wizytacji. Pan Adaś kupił więc ładną księgę – rozmiarów mniej-więcej duplikatu – i zaczął te akta na próbę w niej przepisywać. Kiedy ich kilka przepisał – pokazał proboszczowi do oceny. Jak mi opowiadała w sekrecie gospodyni, proboszcz spojrzał na te próby i pyta: „Zna Adaś Amerykę?”. „Znam” – odpowiada Adaś – „ze słuchu”. Proboszcz: „A czy to daleko do tej Ameryki?”. „Adaś odpowiada: „Za morzem – bardzo daleko”. A proboszcz na to: „Mój Adasiu! I od twojego duplikatu do unikatu tak daleko. Nieprędko pozwolę ci akta do prawdziwej księgi wpisywać. Ale akta z unikatu w duplikat muszą być wpisane. Jak to zrobisz – to nie moja rzecz. Pisz nadal, litera za literą, słowo za słowem – choćbyś miał pisać bodaj po tysiąc razy jeden akt, aż się nauczysz na pamięć, jak mała w klatce. Ale te, co są w zapasie, muszą być zaraz wpisane do duplikatu. To jest twój obowiązek. Co mogłem, to ci zrobiłem – reszta należy do ciebie.”

Cóż miał robić biedny chłopak? Zjawił się pewnego dnia u mego pryncypała w Zatorach – u którego rok pobierał nauki, tyle że długo

⁷ „Naczyniami Duchownymi” nazywane są w pamiętniku zatrudnione na pleba- niach.

przede mną, więc go słabo znałem – i prosi go o pomoc. Mój pryncypał pewnie by mu te akta przepisał, ale chyba sam nie bardzo potrafił; w Zatorach aktami zajmował się proboszcz-sknera, który przepisywał je z wielką starannością – niemal kaligraficznie: ani mój pryncypał, ani ja nie byliśmy do tego dopuszczani. Ostatecznie uradzili obaj, że ja się tym zajmę. A ja – nie mając nic do stracenia – chętnie się zgodziłem. Pan Adaś wynajął furmankę i pojechaliśmy do Barcic.

Na drugi dzień Adaś przedstawił mnie proboszczowi. Ten dał mi arkusz czystego papieru i poprosił, żebym na nim przepisał jeden akt. Kiedy przepisałem, proboszcz popatrzył, zawołał Adasia i mówi: „Patrz Adasiu! To jest pismo!” Adaś cały zzieleniał... Ale ja byłem delikatny z usposobienia i nie zamierzałem pod Adasiem dołków kopać, żeby wykorzystując swoją przewagę wygryźć go z posady. I Adaś to docenił. Latał koło mnie – jak babka przy położnicy. Miałem świetną wyżerkę, bo akta przepisywałem u proboszcza – więc i stół miałem u proboszcza. Tylko sypiałem u Adasia w dziurawej organistówce. W końcu przepisałem wszystkie akta, które były w zapasie i wróciłem do domu.

Dodam jeszcze, że Adaś swoją chytrą przebiegłością jakoś pokonał wszystko: po dwóch latach nauczył się pisać na pamięć i proboszcz pozwolił mu w końcu bazgrać te akta. Mówię „bazgrać” – bo to było nie pisanie, a bazgranie.

28. Trzecia miłość

A ja chodziłem dalej do organisty w Zatorach... Bo co miałem robić? Musiałem czekać na jakiś los szczęścia – na to, że Opatrzność i na mnie zwróci kiedyś Swe Oko. Moj Oczysko, marząc o wykierowaniu mnie na bakałarza, myślał, że na tym w trójnasób skorzysta. Po pierwsze, Ojciec uważał, że skoro organista ma stale do czynienia z kościołem, to łatwiej wprowadzi swoich bliskich do Królestwa Niebieskiego; jak wspomniałem, myślał, że księża są już tu, na ziemi, pół-świętymi; nie wiedział jeszcze o tym, że oni pracują tylko dla zysku i spraw doczesnych – przekonał się o tym na własnej skórze daleko później. Po drugie, Ojciec uważał, że posada organisty zapewni mi godziwy byt materialny – i że całej rodzinie się poprawi. Po trzecie, Ojciec uważał, że będzie miał do śmierci u mnie zapewniony kąt. Niestety okazało się, że we wszystkich trzech punktach Ojca czekał zawód.

A teraz chciałbym opowiedzieć o swojej trzeciej miłości.

Co sobota grałem – jak zwykle – *Litanie do Matki Boskiej*; po trzech latach grałem także godzinki w niedziele i święta rano. Przed litaniami uderzało się kilka razy w dzwon, a gdy się szło na chór, to jeszcze uderzało się kilka razy w sygnaturkę – na znak, że litanie się rozpoczyna. Zawsze rozglądałem się po wnętrzu kościoła, czy też ktoś na te moje modły przyszedł. Nigdy na tej litanii nie widziałem proboszcza ani Naczynia Duchownego; toteż i ludzi prawie nigdy nie było. Po co to było więc ciągnąć? Grałem, śpiewałem i sam sobie odpowiadałem.

Otóż podczas pewnej takiej sobotniej litanii zauważyłem z chóru klęczącą na dole damę – jasną blondynkę, mającą może ze dwadzieścia lat. Dama miała w oczach łzy: rzęśiste łzy. Dlaczego płakała – taka młoda, niebrzydka panna? Odtąd widywałem ją później co sobota na litanii – i często znowu ze łzami w oczach. Z kościoła wychodziła ostatnia, jeżeli poza nią w ogóle ktoś jeszcze tam był. Pewnego razu zamykałem kościół, a moja dama prawie otarła się o mnie. Zaczepiłem więc ją: była to najstarsza córka miejscowego ekonoma. Zawiązał się między nami romans – który tym razem rozwijał się bardzo szybko: bo nie tyle ja, ile panna Bronia napierała.

Jej rzekomy ojciec, ekonom, był prawosławny, a matka była Polką; sama Bronia była zapisana w katolickich księgach metrycznych – na matkę. Takie mieszane małżeństwa pod zaborem rosyjskim wcale nie należały do rzadkości. Reszta rodzeństwa Broni była już ochrzczona w cerkwi i nosiła nazwisko ojca. Bywając później w domu Broni zauważyłem, że między nimi były pewne odrębności. Rodzice jej byli jeszcze młodzi, oboje bardzo przystojni i – trzeba powiedzieć – inteligentni. Przyznam się, że to właśnie u nich nabrałem ogłady towarzyskiej. W czasie moich wizyt papa nas nie krępował; przeciwnie – czasem się z nami bawił.

Miałem w zapasie drugą panienkę, Łodzie, córkę miejscowego technika-ślusarza. Ale z Łodzią rzadko się spotykałem, bo Łodzian miała młodszą siostrę Izię, więc trudno mi było aż dwie bawić. Nie będę ukrywał, że taki chłopiec jak ja miał w Zatorach pewną cenę. Chodzi o to, że oficjaliści dworscy żyli w zamkniętym, odrębnym świecie – i nie zadawali się z wsią. Łatwo więc można było zawrzeć znajomość.

29. Burze w Zatorach

Zatory w tym czasie były dużą wsią: ciągnęły się z półtora kilometra, zabudowania były po obu stronach drogi; nieopodal była szkoła i kancelaria gminna. Kawałeczek drogi wysadzany był olbrzymimi lipami, a nieco dalej był staw. Koło stawu rozciągał się ogród hrabiego: spacerowy, luksusowy, ze wszystkimi – jak zaznaczyłem wyżej – ulepszeniami: szpalery, aleje, uliczki, trawniki, klomby itd. Kwiaty, kwiaty i jeszcze raz kwiaty. Pośrodku olbrzymi pałac, przed pałacem fontanna i znowu kwiaty. Inspekty, oranżerie, cieplarnie i lodownie. Z boku budynku gorzelni, a naokoło budynki dla oficjalistów i służby. Zaraz obok kościół, plebania i organistówka. Wszystkie zabudowania – murowane. Razem czyniło to z Zatorów miejscowość przepiękną. A jeszcze tuż-tuż las, ciągnący się do samego Pułtuska: piętnaście wiorst.

Plagą okolicy były burze w lecie: pożary i śmiertelne porażenia. Mówi się, że gromy wałęsają tam, gdzie wysoko. Zatory – zda się – położone były nisko, a gromy waliły często i to omijając wysokie drzewa, a wałęsając w niskie zabudowania. Opiszę dwa takie wypadki.

Pewnego dnia siedzimy sobie w pokoju z panią ograniściwą i jej dwojgiem dzieci. Pan organista majstrował coś tam na podwórku. Naraz robi się ciemno: nadchodzi burza. Gromy wałęsają; my skuleni czekamy końca tej kanonady. A pan organista chodzi sobie po podwórku i patrzy w górę, jak się ze sobą te błyskawice ścierają. Woda się z niego leje ciurkiem, a on sobie nic z tego nie robi. Naraz – bęc! Tuż koło nas – niedaleko. Pana organisty nie widać: przepadł jak kamfora. Po chwili przychodzi i zabiera nas do dwu osób rażonych od gromu. Ze dwieście kroków od organistówki stał budynek dworski w jednym kluczu, ciągnęły, w którym mieszkali kolejno: nadleśny, rymarz, ekonom, młynarz i Żyd-pachciarz. Nadleśny niedawno się ożenił i pojechał z żoną do Warszawy po sprawunki. Służąca, żeby się przypodobać państwu, postanowiła gruntownie posprzątać w domu i przynajęła do tego jeszcze jedną dziewczynę; obie miały nie więcej jak po 16 lat. Zmywały i szorowały właśnie podłogę. Lufcik był otwarty. Na ścianie wisiała dubeltówka. I oto uderza piorun i we wszystkich mieszkaniach owego budynku pozostawia ślady. U nadleśnego zabił służącą i poparzył jej towarzyszkę, tak że trzeba było ją odwieźć do szpitala w Pułtusk, a dubeltówkę skrócić

jak obarzanek. U młynarza kontuzjował i ogłuszył dwie córki; u ekonomy zerwał wszystkie obrazy i przewracał i osmalił wszystkie figurki, które stały na meblach. U Żyda-pachciarza obdarł wszystkie piece aż do wiązań drucianych; a że było to w sobotę, więc Żydzi akurat piekli pieczywo na szabas i Żydówki stały akurat koło tych pieców; na szczęście nic im nie zrobił złego i wyleciał dachem, niszcząc jedną dachówkę.

Innym razem burza wypadła, kiedy mularze robili parkan wokół kościoła, plebanii i budynków plebańskich. Wydawało się, że już przeszła, i proboszcz stanął z jednym z mularzy, może dwudziestoletnim chłopcem, na ganku przed progiem plebanii. A tu – bęc! Mularz wali się trupem księdzu proboszczowi pod nogi, a jemu – nic. Potem okazało się, że ten piorun był i w pokoju gosposi, gdzie przewracał wszystkie cacka na komodzie.

30. Zerwanie

Wracam do romansu z panną Bronią.

Sprawy zaszły już tak daleko, że nie tylko ja chodziłem do domu Broni, ale i ona do nas przychodziła. Rodzice nie mieli nic przeciwko temu, bo nie mogli mi niczego niemoralnego zarzucić. Ale moja Bronia, jak się później okazało, flirtowała nie tylko ze mną.

Wiadomo, że przy tak wielkim dworze jak w Zatorach chłopców nie brakowało: młynarczycy, pomocnicy gorzelanych, rozmaici subieci, rymarczycy, lokajczycy, mularzycy i malarze. Otóż pewnego wieczora, gdy wracałem troszkę później od organisty do domu, napadło na mnie z zaskoczenia – spod mostu – dwóch chłopców z kluczami; na szczęście udało mi się zwać, ale łeb mi tymi kluczami rozwalili. Okazało się później, że Bronia zdradziła nasz sekret: to, co jej o tych chłopcach kiedyś powiedziałem; jeden z nich był malarzem, a drugi – lokajem. Dostałem dobrą szkołę i nauczkę na przyszłość.

Po tym napadzie chciałem zerwać z Bronią, ale z takim diabłem jak Bronka niełatwo się było od razu rozstać. Nie widziałem się z nią z tydzień, aż pewnego dnia, kiedy nie było mnie w domu, przyszła do nas jak gdyby nigdy nic. Moja Matka złapała miotłę i pannę Bronię zdzieliła po buzi, wołając: „Paszoł won, ty k....!”. Ale Bronia nie dała za wygraną. Po pewnym czasie znów przyszła, Matkę ucałowała, przeprosiła

i powiedziała, że ona niczemu nie jest winna. No i troszkę stosunki się poprawiły. Ale ja już byłem ostrożny i jej łzom nie wierzyłem.

Po roku jej rodzice się wyprowadzili do Grajewu i nasza sielanka się zakończyła. Parę razy pisaliśmy jeszcze do siebie – ale coraz rzadziej. Aż w końcu wszystko ustało.

31. Widoki na przyszłość

Tymczasem z wojska powrócił wujek Olek-Gołapica i zaczął często przyjeżdżać z Wielęcina. Mamusi zrobiło się od razu weselej, bo miała z kim poplotkować. Zaraz też zapoznała go z pannami Sobocińskimi – i wkrótce jedna z nich została żoną wujka; ich córka – to pani Piszewska w Warszawie.

Miałem i ja jeden przypadek, z którego mogłem skorzystać i mieć – jak na początek – świetną posadę. A było to tak. W Zambskach organista Kocot powracał z miasta Makowa i po pijanemu z koleżkami zwalili się z mostu, a ci tak go potłukli, że jak wrócił, położył się do łóżka i już nie wstał, aż go wynieśli na cmentarz. Kocot miał troje dzieci. Najstarszy synek mógł mieć z osiem lat. Pani Kocotowa mogła mieć trzydzieści lat z górą. Wypadek miał miejsce na początku karnawału.

Kocot najpierw napisał do mego pryncypała, czy nie ma czasami takiego ucznia, który by go mógł zastąpić w chorobie – mając jeszcze nadzieję, że wyzdrowieje. Więc mój pryncypał nie odpowiedział na list, tylko poradził mi, żebym nie omieszkając od razu do Zambsk się udał. Tak też zrobiłem.

Jestem więc na zastępstwie u organisty w Zambskach. Z odpowiedziami poszło mi dobrze, ale nie mogłem poradzić sobie z organami. Trzeba przyznać, że organy w Zamsku były piękne – tylko nie dla takiego początkującego ucznia jak ja. Próbuję w rozmaity sposób i nic z tego nie wychodzi. Co wyciągnę któryś głos, to beczy. Aolina była śliczna – tak cichutko grała, jakby gdzieś za górą – ale to było za cicho. Inne znowu – grały za głośno. Nie można tak grać w niedzielę. Nie widziałem jeszcze takich organów; a jeżeli widziałem, to tylko z posadzki kościoła – rury. Żeby to było lato, to zamknąłbym się w kościele i sobie stopniowo dobrał odpowiednie głosy. Radziłem się chorego Kocota, ale jemu z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Proboszczem

w Zambskach był wówczas ksiądz Wacław Przedpełski. Radziłem się i jego, ale i on widocznie tyle się na tym znał, co i ja. A zresztą w ogóle nie zwracał uwagi na grę. Dobrałem sobie ostatecznie baryton i kilka cichych głosów i tak na tych organach rzępoliłem. Życie miałem już odpowiednie. Z proboszczem chodziłem po całej parafii po kołędzie. Byłem – co się zowie panem organistą w Zambskach.

Panu Kocotowi z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Pani organistka przewidywała, że spotka ją katastrofa, bo zaczęła mi nadskakiwać. Ale coż mogło mnie do niej ciągnąć po Marysiach, Lizach i Broniach?

Tymczasem ksiądz proboszcz po paru tygodniach woła mnie do siebie i pyta: „Co ty tam, taki młody chłopiec, robisz, że siedzisz stale w domu? Przecież ty sobie d... odparzysz!” (Szkoda, że nie było przy tym Ojca, bo by był usłyszał, jak się księżulki wyrażają...) Dość, że mnie prawie zmusił do pracy fizycznej z kościelnym. Nie była to – przyznaję – praca ciężka, ale dla pana organisty i to tymczasowego bardzo upokarzająca i mnie do siebie tym proboszcz bardzo zraził. Pomagałem kościelnemu sieczkę rżnąć i wykonywać inne drobne robotki przy plebanii. Postanowiłem, że nawet jeśli bym miał czekać jeszcze pięć lat, nie będę sługą proboszcza, który ma do tego kościelnego i służbę. Zambski – to parafia z górą cztery tysiące dusz, więc organista ma czym czas zapełnić.

32. Napad na księdza

W czasie mego pobytu w Zambskach wydarzył się niezwykle incydent.

Otóż rano, przed mszą św., przyszedł – rzekomo do spowiedzi – jakiś dosyć przyzwoicie ubrany jegomość. Kiedy proboszcz przyszedł do zakrystii, mówi do nas: „Uważajcie, czy ten jegomość będzie przystępował do komunii św. I to na razie wszystko.” Po mszy św. nasz jegomość zaszedł do proboszcza na plebanie i – może pół godziny później – został tam aresztowany przez policję, która go obezwładniła i przytrzymała na razie na plebanii. Po jakichś czterech godzinach zjawił się jego rodzony brat z Sokołowa tejże parafii. Później pojawiła się także bratowa z dziećmi. Zapakowano ich wszystkich na furę i odwieziono pod konwojem do powiatu – do Pułtusza. A za nimi w ślad pojechał i proboszcz.

Okazało się, że ci dwaj bracia umówili się, że nastraszą księdza i wymogą na nim dwa tysiące rubli. I właśnie ten, który był rzekomo u spowiedzi, w rzeczywistości przy konfesjonale zapowiedział księdzu, że przyjdzie do niego na plebanie po mszy św. i jeśli proboszcz nie da tych dwóch tysięcy rubli, to czeka go śmierć. Ale proboszcz go przechytrzył. Wszystko się wyjaśniło, gdy wrócił z Pułtuska. Samemu bandycie nie darował, ale bratu – ze względu na żonę i dzieci – wybaczył.

33. Stracona możliwość

W zambskiej parafii był dwór w Sokołowie, który miał własną kaplicę. Państwo z tego dworu często kupowali msze i proboszcza do tej kaplicy zapraszali. Więc i ja zmuszony byłem z proboszczem jechać. Zawsze przysyłali elegancki wolant po nas i z powrotem. Byłem tam dwa razy. W kaplicy stała fisharmonia, więc rzępoliłem i gniotłem ile wlezie. Po takiej mszy proboszcz był zapraszany na poczęstunek, z którego wracaliśmy w nocy. Dzięki temu spróbowałem jaśniepańskich smakołyków. I tak mi schodził karnawał w Zambskach.

Aż tu pewnego poranka słyszę krzyk i płacz organiściny: zmarł jej mąż. Bardzo uroczyście pochowaliśmy kolegę Kocota – z wszystkimi przysługującymi mu honorami. A po paru dniach powiedziałem proboszczowi, że chcę opuścić Zambski. Proboszcz przyjął to do wiadomości, ale jego zacna matka zawezwała mnie do siebie i mówi: „Co ty kochanku myślisz? Mój syn bardzo pochlebnie się o tobie wyraża – a ty tym pogardzasz? To bardzo nierozsądne z twojej strony!” A ja na to, całując ją w rękę: „Proszę pani! Mam jeszcze pewne braki, które muszę uzupełnić, więc nie mogę tu zostać na posadzie organisty.” A ona: „Ależ te braki mój syn ci daruje i powoli je usuniesz. Pomyśl, dziecko! Dla ciebie to wielka kariera! Pomyśl, zastanów się i w ciągu tygodnia daj mi znać.”

Ale Zambski miały być jeszcze nie dla mnie. Nie czekałem tygodnia i je pożegnałem. Nie mogłem patrzeć na sieroty po organiście. Byłem zbyt religijnie wychowany przez Ojca, żeby postąpić inaczej. Powróciłem więc do domu w Zatorach. Czy dobrze zrobiłem? Nie wiem. Tak widocznie musiało być. Nie ukrywam, że najbardziej do Zambsk zraziła mnie ta nieszczęsna sieczka.

34. Niemądra pobożność

Człowiek nie może i nie powinien być zbyt religijny – bo zginie. Wierzyć – ale tylko do pewnych granic. Nie tak jak mój Ojciec, który wierzył w sposób niemądry. Wielu w owe czasy było takich ludzi. Toteż przez swoją głupią wiarę powoli zdychali. Mój Ojciec by po dwakroć głupio wierzący. Latał po wszystkich odpustach i prowadził na nie całe kompanie.

Do świętych miejsc, gdzie musiał być co roku, na Pańskie Przemienienie, należał m.in. Radzymin pod Warszawą. Na taki odpust przychodzono zawsze w przeddzień. Zanim Ojciec ze swoją kompanią wszedł do wnętrza kościoła, obchodził go na zewnątrz procesją. Może z półtorej wiorsty za Radzyminem była chałupka i parę wysokich drzew. Koło tej chałupki była cudowna studzienka. Rano, w dzień samej uroczystości, szły kompanie z Radzymina, z kościoła, ze śpiewami do tej studzienki; zwykle śpiewano godzinki do Matki Boskiej. Tam odbywała się ceremonia picia cudownej wody.

Kiedy kompania wkroczyła na teren Zjawienia (bo tak to miejsce nazywano), przełożony kompanii ustawiał swoich ludzi w rząd. Przy studziennicy była siostra przełożona, stara dewotka, która tę wodę czerpała i wydawała ludziom za dobrowolną opłatą. Każdy najpierw napił się tych brudów – bo nie można było tego nazwać wodą na tyle narodu, co ją piło – a resztą się umył. Pierwsze – po to, żeby nigdy nie bolało go gardło; drugie – żeby zmazać grzechy. Oto jak kler urządzał chytry wyzysk! I ja kilka razy byłem w Radzyminie, piłem tę wodę i się nią myłem. Ale jakoś mnie to nie uchroniło przed chorobami gardła: kiedyś tak mocno zachorowałem, że trzeba było wzywać lekarza. Po ceremonii kompanie wracały do kościoła, żeby wysłuchać gorliwych, potoczy- stych kazań księży-kaznodziejów, których wtedy nie brakowało.

Takich miejsc było więcej: Popowo – odpust na Zielone Świątki; Barcice – na św. Stanisław; Zatory – na św. Małgorzatę; Prostyn – za Małkinią – na Świętego Ducha. O Prostyniu był nawet wierszyk:

Od Kadzidla do Mysiańca
Trzy mile, trzy mile.
Od Małkini do Prostynia
Tyz tyle, tyz tyle.

Ostatnie święte miejsce było w parafii różańskiej, gdzie wśród lasów i łąk wystawiono kaplicę, zbierającą tłumy na św. Rozalię.

Ojciec do wszystkich tych miejsc chodził co roku. Czy mu to coś pomogło? Czy za tę przesadną wiarę otrzymał od Opatrzności odpowiednią zapłatę?

35. Stosunki między Rodzicami

Ojciec obok tych zalet religijnych miał i wady: był raptusem, nerwowcem. Na szczęście jak prędko się zapalał, tak prędko gasł: nigdy się długo nie gniewał – od rana do wieczora.

Natomiast Matka była także nerwowa, ale ponadto uparta, zawzięta, kłótniwa. Kiedy coś nie stało się tak, jak chciała, wpadała w szał – tak gwałtowny, że rzucała się na łóżko, tłukło nią aż się łóżko unosiło, a zębami zgrzytała i cięła. Przy takim napadzie szału Ojciec używał stale tej samej metody: grzał – jak już o tym wspomniałem – fajkę w kuchni, owijał ją w szmatę i przykładł do brzucha w okolicy serca. I metoda ta skutkowała. Taki był typ z mojej Matki.

Czy mnie, synowi, godzi się po jej śmierci tak pisać? Nie mogę inaczej, bo to właśnie przez nią Ojciec cierpiał i ginął. Zresztą żadne z nich nie myślało o przyszłości – o czarnej godzinie. I nie potrafili związać brzegu z końcem – a mogli! Czy w takiej atmosferze mogły się wychować rozumne dzieci? Religijnie – tak; aż do przesady. Lecz do życia to nie wystarczało. Do życia należało wychowywać dzieci w pracy. Ale i praca nic nie pomoże, jeśli nie ma w niej odpowiednich ograniczeń i – porządku. Ojciec co prawda pracował – i to pracował ciężko. Rodzice jednak z tej pracy nie mieli, bo nie było dobrego gospodarza ani dobrej gospodyni. Ot – aby dziś! A przecież sam Chrystus powiedział: „Módl się, ale i pracuj!”.

Kiedy wróciłem z Zambsk, przyniosłem trochę grosza. Kupiłem sobie trochę ubrań – resztę oddałem Matce. Nie miałem co robić. Chodziłem więc – jak dawniej – do organisty, bo był tam fortepian; grałem na nim, żeby nie wyjść z wprawy, co popadło. W domu miałem harmonię, ale tylko dziesiątkę. Czasem wujek Olek przyprowadzał młodzież, więc im rzępoliłem, a oni tańczyli.

Bronki już nie było, więc nie miałem dziewczynki – bo wiejskie panny mi nie odpowiadały. Była co prawda Łodzia-ślusarzówna, nawet przystojna, ale niezbyt sympatyczna. Więc spotkania były rzadkie.

36. Posada pomocnika

Tak to trwało jeszcze przeszło pół roku. Stopniowo ogarniała mnie jednak tęsknica za stałą pracą. Pewnego dnia wybrałem się do Pniewa, gdzie organistą był Pisarski. Był starszym wdowcem; miał syna-jedynaka, już dorosłego, wykształconego – ale niestety gruźlika. Widocznie gruźlicę odziedziczył po matce; w niedługim czasie zmarł. Otóż ten Pisarski miał brata w Goworowie – także organistę. Poprosiłem go, żeby mi nastręczył jaką-taką posadzinę – ostatecznie pomocnika organisty w jakiejś większej parafii. Pisarski mnie przesłuchał i orzekł, że mogę śmiało zastępować organistę. Zapisał sobie moje dane i powiedział: „Dobrze!”. Wróciłem do domu.

W bardzo krótkim czasie pan Pisarski zawezwał mnie do siebie i zaproponował mi posadę pomocnika u swego brata w Goworowie. Cóż miałem robić? Lepszy rydz – niżeli nic. Zgodziłem się. Pan Pisarski dał mi od siebie bardzo pochlebne pismo i z tym pismem poszedłem do domu. Rodzice nie byli bardzo zadowoleni, bo woleliby, żebym miał samodzielną posadę – ale nie mogli stawiać mi tamy, bo praca w Goworowie dawała już jakiś zarobek no i ubywało jednej gęby w domu.

Później okazało się, że Goworowo nie wpłynęło na mnie pozytywnie pod względem moralnym: lepiej byłoby, gdybym tam nie poszedł. Ale widocznie tak musiało być. Uszykowałem się w podróż: zapakowałem swoje bogactwo i wziąłem obraz św. Antoniego – nowy, szyty na kanwie – by mnie strzegł i dopomagał w nowym życiu. Okazało się jednak, że wiozłem go na darmo: nic mi nie pomógł!

Organista w Pniewie, który mi zaproponował posadę w Goworowie, też miał u siebie pomocnika. Był nim Emil Matuszewski: garbusek – ale świetnie pisał, nieźle grał, ale najlepiej pod słońcem... pił. Właśnie on stał się z biegiem czasu moim kolegą. Obym go nigdy nie poznał! Z tym pomocnikiem-garbuskiem było tak. Skoro wpisał wszystkie akta u Pisarskiego w Pniewie, przyjeżdżał przepisywać akta do Pisarskiego w Goworowie. I tak było latami. Samodzielnej posady nie mógł dostać, bo za dużo pił i żaden ksiądz go nie chciał. Był kompletnym nałogowcem: pił nawet na chórze przy organach.

Ale do rzeczy. Spakowałem się i wyruszyłem w podróż do Goworowa. Miałem wtedy pełne dwadzieścia lat. To było w adwent – tuż przed świętami.

37. W Goworowie

Goworowo liczyło wtedy 14 tysięcy parafian. Parafia była rozległa: wioski ciągnęły się aż pod Ostrołękę z jednej – a pod Różan z drugiej strony. Więc organista miewał stale dwóch pomocników. Jeden z nich pisał akta i prowadził kancelarię; drugi spełniał obowiązki kościelne, rozwoził po parafii opłatki i jeździł za zbiorami: snopkami i kartoflami oraz – na Wielkanoc – jajami. Co w tej sytuacji robił sam pan Pisarski? Otóż pan Piotr Pisarski miał w okolicy trzy włóki ziemi – oddanej w dzierżawę. A obok organistówki i plebanii było sześć hektarów ogrodu księdza proboszcza – prałata Brykczyńskiego. I ten właśnie ogród obrabiał pan organista. W zamian za to utrzymywał parę eleganckich koni i powóz – czyli wolant – który musiał być gotów na każde zawołanie prałata.

Prałat co piątek jeździł do Szczawina, do jaśniepaństwa Glinków. Szczawin – to był ogromny folwark urządzony na zagraniczną modłę jak Zatory. Dlaczego prałat Brykczyński jeździł właśnie tam i tylko w piątki, choć w parafii garwolińskiej było więcej obszarniczych dworów, pozostanie zagadką. Oficjalnie mówiło się, że – na ryby. Sam prałat był z rodziny hrabiowskiej – więc wszyscy dziedzice w parafii musieli się z nim liczyć. Miał on nawet otwarty awans na biskupa, ale na osobistą prośbę pozostał w Garwolinie.

Pan organista miał i cztery krowy, które... nigdy nie dawały mleka; były też kury, kaczki i inne ptactwo domowe, ale nikt z nas, pomocników, nie widział... ani jednego jajka, ani kawałeczka mięsa z drobiu; jedynym mięsem, które jedliśmy były... kopytka cielęce lub świńskie. Pan organista miał stale dwóch parobków i dwie służące; z tych ostatnich rzadko która odeszła bez brzucha. Druga żona pana organisty była wielką damą, która chorowała na dewotkę i codziennie się komunikowała, co niedziela zaś śpiewała solo na chórze, a ja jej rzępoliłem akompaniament. Z pierwszej żony pan organista miał trzy córki – Stefę, kulawą Stasię i usmarkaną Honorę – oraz jednego syna Władzia. Z drugiej żony była trzyletnia Maniuta. Poza tym przy panu organiście było nas dwu, pomocników, i jeszcze uczeń – Staś Mróz. Zachodzi pytanie, kto tego chłopca uczył. Właściwie tylko ja czasami z litości coś mu pokazałem. W pokoju sypialnym pani organiściny stał fortepian, ale nikt na nim nie grał. W kancelarii była fisharmonia – do mojej dyspozycji. To jest grono ludzi, którzy zapełniali organistówkę w Goworowie.

Pani organiścina była młoda – miała wtedy nie więcej niż trzydzieści lat – i dosyć inteligentna. Nic nie robiła, tylko czytała książki i bawiła się ze swą jedyną pociechą – Maniutą. Reszta dzieci – z pierwszej żony – też nic nie robiła, poza tym, że tłukła wszy, których wybić nie było sposobu.

A z panem organistą – było tak. Miał wówczas 43 lata. Trzeba przyznać, że był przystojnym mężczyzną, tyle że w tuszy – od alkoholu. W kościele nie bywał nigdy – chyba że przypadkowo. Wstawał o dziesiątej lub dwunastej. Jeżeli był w dobrym humorze – dawał się pocałować żonie w czoło. A jeżeli był w złym humorze, to zrobił awanturę służbie, poturbował dzieci, wytłukł ucznia Stasia – i szedł na miasto. Nie wracał wcześniej, jak o godzinie dwunastej w nocy lub jeszcze później. Jedną z córek, kiedy tatuś wracał, musiała go drapać w podeszwy u nóg, żeby zasnął. I tak było codziennie. Nad nami, pomocnikami, się nie znęcał, bo potrzebował naszej łaski. Żony też nie katował, choć kłótnie były na porządku dziennym. Ona jednak i bez tego miała dosyć: mąż jej był łobuzem i brutalem, a ona pochodziła z dobrego domu – i prawie nigdy z nim nie rozmawiała. Za to zawsze można ją było spotkać smutną i zapłakaną. Tylko to jedno ją ratowało, że była osobą mocno wierzącą. Więc poświęcała się wyłącznie dla swego jedynego dziecka. Jeszcze raz powtarzam: organista był brutalem, nie liczył się ze słowami, co taką inteligentną niewiastę oczywiście raziło. Trzeba przyznać, że nie był jej wart. To dziwne, co jej mogło w nim zaimponować, że wyszła za takiego drania i w dodatku na kupę pasierbów. W tym małżeństwie poza swą córeczką – Maniutą – nie miała nikogo, z kim by mogła porozmawiać po przyjacielsku. Pasierby, choć pozornie ją szanowały, nie odebrały odpowiedniego wychowania, żeby ją zadowolić.

Księży w Goworowie było stale trzech: proboszcz i dwóch wikarych. Proboszcz miał osobno plebanie i duży ogród owocowy, w którym utrzymywał stałego ogrodnika z rodziną. Wikariatka była murowana. Kościelnych było trzech: dwóch do utrzymywania porządku przy kościele i na cmentarzach, a trzeci – pan Piotrek, którego wszystkie dewotki ubóstwiały – tylko od kościoła.

Goworowo w owych czasach było typowym miasteczkiem żydowskim: gmina, sąd, trochę policji, wiatrak, apteka, nawet i golarz bród, doktor, felczer i knajpa pana Jana Szwarca.

38. Wymiar sprawiedliwości

Opiszę teraz zdarzenie, które miało miejsce na parę lat przedtem, zanim się zjawiłem w Goworowie.

Jak zaznaczyłem, w Goworowie była gmina i sąd, więc też musiał być odpowiedni do tych instytucji personel: wójt, pisarze, sędzia, ławnicy itd. Młynarzem był wówczas Sztrant – Niemiec z pochodzenia. Rzecz działa się zimą. Cała ta zgrana paczka – wójt, pisarz, sędzia, ławnicy, organista Pisarski, no i ten młynarz Sztrant – urządziła sobie libację u pana wójta. W czasie tej zabawy bractwo zakochało młynarza Niemca. Gdy zauważyli, że z nim kłapa, wynieśli go przed dom gminy i tak go ustawili, żeby mógł stać, a do ręki dali laskę – dla upozorowania zamarnięcia. Ale było ich za dużo, żeby można to zatuszować, zwłaszcza że w Goworowie było trzech policjantów. Więc zrobiono śledztwo i cała paczka poszła do ula.

Mierzejewski miał rodzoną siostrę Koletę, która była kochanką starego Glinki i ogrzewała jego stare członki w Szczawinie – więc pana sekretarza uwolniono. Pan wójt miał kasę gminną – więc też został puszczonej wolno. A pana organistę bronił ks. prałat Brykczyński, który zadbał o to, żeby ze służby kościelnego zdjąć wszelkie podejrzenia. Więc i pan Pisarski został wolny. Uniewinnieni złożyli się, zebrali odpowiednie pieniądze – i reszta paczki drapnęła za granicę.

W ten sposób nikt nie był winien śmierci Sztranta.

39. Krzywdy i śmierć

Moim poprzednikiem – na posadzie pomocnika organisty – był bardzo piękny chłopiec, mający z osiemnaście lat. Pan Pisarski szykował go sobie na zięcia – męża najmłodszej córki Honorci.

Jak zaznaczyłem, w Goworowie zawsze było dwóch wikarych. Niektórzy starsi z nich dostawali parafię-beneficjum. Otóż jeden z wikariuszy – ks. Staniaszko – dostał właśnie taką parafię, daleko od Goworowa, i tego pięknego młokosa postanowił ze sobą zabrać. Musiał oczywiście w związku z tym usunąć starego organistę – z żoną i dziećmi. Kiedy nowy organista przyjechał na miejsce, został zaproszony przez dotychczasowego w gości. A kiedy powrócił z tej gościny, położył się spać i nigdy więcej nie wstał – tak go ugościli.

Tej śmierci winien jest – moim zdaniem – ks. Staniaszko, który tak brutalnie usunął poprzedniego organistę z rodziną. Nikt nie może się dziwić, że ks. Staniaszko polubił tego chłopca, bo rzeczywiście pięknie śpiewał itd. Ale czemu pozbawił chleba dawnego organistę? Czy nie mógł się najpierw wystarać dla niego o posadę i dopiero wtedy zabrać swego ulubieńca? Tymczasem postąpił źle, podle. Stracił młodego i zdolnego chłopca – i skrzywdził dawnego organistę.

Takie są skutki postępowania niektórych naszych niesprawiedliwych zwierzchników, których zachcianki nieraz prowadzą do krzywdy jednych, a śmierci drugich.

40. Zdrada

Trzecie tragiczne zdarzenie związane było ze Szwarem, który miał czterech synów i dwie córki: bardzo przystojną Kazię i Jasię-podlotka.

Szwarc w Goworowie miał knajpę; był to ten sam Szwarc, który potem miał sklep w Broku. W pięknej Kazi Szwarcównie rozkochał się goworowski doktor – Zalewski. Nie rozumiem, dlaczego rodzice Kazi na to pozwalali, żeby chodził z nią publicznie. Doktor Zalewski miał młodą żonę – blondynkę – i dwunastoletnią dziewczynkę, chyba ich córkę. Doktor często jeździł koniem wierzchowym do okolicznych dworów – najczęściej do Pokrzywnicy, położonej o jakieś pięć wiorst od Goworowa.

Właścicielem Pokrzywnicy był pan Budny – stary kawaler. Jego starszy brat był sędzią w Myszyńcu. Zginął tragicznie: idąc w nocy do domu, wpadł do studni, która miała za niskie obramowanie. Znaleźli go rano ludzie, którzy przyszli czerpać wodę. Taki był porządek w Myszyńcu.

Wracając do doktora Zalewskiego: kiedy sielanka miłosna między nim a Kazią się rozwijała w najlepsze, gruchnęła wieść – jak grom z jasnego nieba – że pani doktorowa się otruła. Doktor tego tragicznego dnia był właśnie wierzchem w Pokrzywnicy – u pana Budnego. Wrócił natychmiast do domu i chociaż zsiadając z konia zwichnął sobie nogę, próbował ratować żonę – ale bez skutku. Dawka trucizny okazała się śmiertelna.

W kościele katolickim samobójcom odmawia się obrzędów religijnych; ale dla pani doktorowej był wyjątek: trumna stała na obitym

krepię katafalku tak wysoko, że sięgała aż pod sam żyrandol. A kościół tonął w kwiatkach z okolicznych dworów z parafii goworowskiej. Zarobiłem i ja – na papierosy. Eksportowało panią doktorową kilku księży – nawet spoza parafii. Mowy mieli nie tylko księża, ale i panowie szlachta. W ten sposób skończyła się sielanka Kazi Szwarcówny: wstyd już jej było pokazywać się na ulicy – bo swoim łajdaczeniem się spowodowała śmierć młodej i zacnej kobiety. Wkrótce wyjechała z Goworowa. Doktor nie zaszczycił jej małżeństwem.

Ta jedna tragedia wywołała następną. Doktor Zalewski długi czas po śmierci żony chodził o lasce i utykał, bo przez ten wypadek nie miał czasu sobie odpowiednio zestawić nogi. Ale śmierć żony miała dużo gorsze konsekwencje: doktor wpadł w prawdziwą rozpacz i prawie codziennie można go było spotkać na cmentarzu – nie płaczącego, a ryczącego nad grobem. Cmentarz był zaraz za stodołą organisty, więc jego ryk było słychać na podwórzu. Tak było przez długi czas.

41. Pojedynek

Ale – jak to się mówi – czas wszystko zaciera i jest najlepszym lekarzem. Stopniowo doktor wrócił do siebie – i swoich zwyczajów: zaczął znowu odwiedzać swego przyjaciela, pana Budnego w Pokrzywnicy. Któregoś pięknego dnia, o samym zmierzchu, zajechał przed dwór – służba zabrała konie – i udał się na pokoje, które, jako częsty gość, dobrze znał. Lokaj zapytał, czy prosić pana Budnego, który był właśnie przy wieczornym oporządzaniu inwentarza. Doktor na to: „Nie ma potrzeby. Niech się nacieszy swoim dobytkiem.” I pozostał sam. Czekać na gospodarza – zajrzał tu, zajrzał tam. W końcu wziął album i zaczął oglądać zdjęcia. Naraz obok fotografii zauważył jakieś pismo. Kiedy na nie spojrzał – cały się zatrząsł. Po ochłonięciu wziął je do ręki i przeczytał – na końcu był podpis jego żony: „Maria Zalewska”. Co tam przeczytał – nikt nie wie poza nimi trojgiem. W każdym razie natychmiast rozkazał lokajowi wołać pana Budnego. Kiedy Budny wszedł – doktor wskazał mu pismo i... w buzię; zaczęła się bójka. Kiedy służba stanęła w obronie swego pana, doktor musiał ustąpić; gdyby nie pomoc służby, to chyba by Budnego ubił. Pan Budny – gdy doktor odjeżdżał – zażądał satysfakcji. Doktor odpowiedział: „Dobrze” – i odjechał do Goworowa.

Pojedynek odbył się w Warszawie. Przed pojedyńkiem – przy zamkniętych drzwiach – odbyła się szlachecka, tajemna sprawa. Zjechała szlachta okoliczna, ksiądz prałat Brykczyński i – jako świadkowie – księża wikariusze z Goworowa. Doktor napsuł sporo krwi i nerwów Budnemu, bo postawił mu na przykład warunek, żeby okazał swój dyplom szlachectwa. Brat Budnego z Myszyńca w końcu wyszperał ten dyplom i pojedynek się odbył. Był to pojedynek o jednym strzale. Budny panu doktorowi zwałł kapelusz, a doktor panu Budnemu – konfederatkę. Po skończonym pojedyńku obaj panowie szlachta podali sobie ręce i wrócili do domu.

Wszystko to działo się za mojej bytności w Goworowie. Zachodzi teraz pytanie: Dlaczego doktorowa, jeśli kochała się w Budnym, otruła się? Widocznie naprawdę w nim się nie kochała, tylko chciała – pozorując romans z Budnym – odwieść męża od Kazi Szwarcówny. A że to nie odniosło skutku, targnęła się na swe życie. Dlaczego doktor nie zauważył tego rzekomego romansu za życia żony? Przecież doktorostwo często u Budnego bywali i bawili się ze sobą; sam widywałem ich razem w kościele. Widocznie doktor był tak zaślepiony miłością do Kazi, że albo romansu żony w ogóle nie zauważył, albo o to w ogóle nie dbał. Dlaczego więc tak go podniecił ten list – że porwał się na Budnego w jego własnym pokoju? Widocznie list był tak sformułowany, że doktor nie mógł się opanować. Wzbudziła się w nim wielka zazdrość. Zrozumiał, że żonę okropnie skrzywdził.

Tak to chyba wyglądało. Doktorowa Zalewska długi czas próbowała rozmaitych sposobów, żeby odzyskać miłość męża, aż struna się tak naprężyła, że pękła.

42. Warunki pracy

Wracam do opisu mego pobytu w Goworowie.

Kiedy zjawiłem się ze swoim skromnym bagażem przed obliczem pana organisty Pisarskiego i wręczyłem mu pismo rekomendacyjne od brata – zostałem mile przyjęty. Pan Pisarski najpierw nakazał, by mi dać posiłek, a po posiłku zaczął się szczegółowy egzamin przy fisharmonii. Wpadł on zarówno dla pryncypała, jak i dla mnie na piątkę. Po skończonym egzaminie zwołał wszystkich domowników: żonę, córki,

syna i całą służbę – i powiedział im, aby mnie inaczej nie wołano, jak „pan Antoni”, oraz aby mi nigdy nie wyrządzano krzywdy.

Kiedy wszyscy się rozeszli, pan pryncypał określił moje obowiązki, a więc: księdzu prałatowi codziennie grać na organach, a wikarym tylko wtedy, gdy mają mszę śpiewaną; wszystkie uroczystości samemu obsługiwać i codziennie o godzinie szóstej rano grać roraty, bo to był adwent; obsługiwać też wszystkie śluby i pogrzeby w kościele; notować akta, gdy go nie będzie; w sezonie – objeżdżać całą parafię za snopkami i kartoflami; później, w adwencie, rozwozić opłatki – a przed Wielkanocą oblecieć parafię za zbiorem jaj; wszystkie pieniądze oddawać pryncypałowi lub żonie – jeśli tego zażąda. I na koniec powiedział: „Będę panu za to wszystko płacił trzy ruble miesięcznie – plus stół”. Na drugi dzień rano zaprowadził mnie do kościoła, pokazał jego wnętrze i oznajmił mi, że do moich obowiązków będzie także należało ubieranie księdza prałata do mszy. Później poszliśmy na chór i pryncypał zapoznał mnie ze wszystkimi registrami i głosami: organy miały dwie klawiatury. Cóż to były za cudowne organy! Cóż za wspaniała akustyka! Cóż za prześliczna świątynia! Cacko! Po tych wyjaśnieniach pan organista pojawił się w kościele dopiero w wigilię Bożego Narodzenia, o dwunastej godzinie – na jutrzni. Był ciekaw, jak sobie będę radził! Gdy wysłuchałem tych warunków – zbaraniałem. Ale cóż miałem do stracenia? Dobrze – to jestem, a źle – to mogę odejść.

W ten sposób zaczęła się moja praca jako pomocnika organisty w Goworowie.

43. Chlebobawca

Zachodzi pytanie, dlaczego ten człowiek brał zapłatę za wszystkie obrzędy – nie spełniając ich? Dlaczego pozwalał na to ksiądz prałat, człowiek wykształcony, który nawet pisał książki? Co wiązało księdza prałata, że nigdy nie zrobił nawet drobnej wzmianki na temat zachowania się organisty? Nawet cienia żalu z powodu jego drugiej żony? Dlaczego na jego zachowanie nie próbowali wpłynąć księża-wikariusze? Za co on brał zapłatę – by przepić i zmarnować, a żonę i dzieci wpędzać w biedę? Przecież jego obowiązki spełniali inni, a on zabierał im efekty ich pracy! Nie wpływał też pozytywnie pod względem moralnym na

swoje otoczenie domowe i na tych, którzy na niego pracowali; co gorsza, wszyscy pod jego skrzydłami zatracali poczucie człowieczeństwa.

Nie wiem, czy pod słońcem znalazł się podobny organista i podobny zwierchnik: pierwszy – bo wszystko przepił, drugi – że tego nie widział.

44. Obowiązki

Na początku trudno mi było sytuację opanować – z powodu nawału pracy i dlatego, że byłem na razie sam. Ale byłem młody, a poza tym nikt się do mnie nie mieszał – pan organista był w domu gościem, a stale przebywał na mieście.

Dawniej nie było wytwórni opłatków – musieli je wypiekać sami organiści. Ale pan Pisarski miał kuma, Piekarzewskiego, który co roku mu przygotowywał wigilijne opłatki – setki na całą parafię.

Akta – jak wspomniałem – prowadziło się w dwóch księgach: unikatcie i duplikacie. Unikatów było trzy: urodziny, zaślubienia i zejścia. Duplikat był jeden: wpisywało się do niego akta ze wszystkich trzech unikatów. Duplikaty co roku oddawało się dziekanowi, a w parafii zostawały unikaty. Akta prowadziło się w języku rosyjskim. Póki nie nadjechał wyżej wspomniany garbusek od brata z Pniewa, pisał akta sam pan organista – dopadkami: oczywiście wtedy, gdy był jako-tako trzeźwy. A reszta leżała w raptularzach i czekała na garbuska. Ja przepisywałem z unikatów w duplikat, ale szło to powoli, bo czasu nie było wiele.

45. Pierwsze święta

Pierwszego roku nie rozwoziłem opłatków, bo jeszcze nie byłem obeznany z parafią; rozwozili je piekarz Piekarzewski i syn organisty. Mnie zostawiono tylko na dzień wigilijny Przedmieście. Uprzywilejowane domy dostawały opłatki ze strojami – gwiazdkami. Dostawali je też ci, którzy dali sutą zapłatę.

W domu u Rodziców oprócz piwa nie piłem innych rozpalających trunków. Po pierwsze – nie było na to pieniędzy. Po drugie – Ojciec znał ich skutki, więc nie pozwalał mi pić. Wiedziałem o mocy wódki, ale nie miałem pojęcia, że można się upić innymi napojami.

Otóż kiedy nadeszła wigilia, najstarsza córka pana Pisarskiego, Stefa, uszykowała mi w eleganckim koszyku opłatki i te z gwiazdkami

opatrzyła odpowiednimi napisami: jaka i która dla kogo. Pan organista mi objaśnił skąd mam zacząć i na kim skończyć. Uzbrojony w ten sposób w opłatki i objaśnienia wyruszyłem pierwszy raz z kolędą, tj. z gwiazdką – jak się wówczas mówiło. W każdym znacniejszym domu częstowano mnie napojami alkoholowymi i różnymi smakołykami. Po pewnym czasie miałem już dosyć, ale częstowano mnie nadal, życząc wesołych świąt. Kiedy doszedłem do ostatniego domu – okazało się, że nie było już opłatków z gwiazdką. Co gorsza, kiedy się znalazłem w przedpokoju nie byłem w stanie wymówić ani słowa – tylko grzmotnąłem na podłogę jak długi. Całe szczęście, że to był dom ostatni i stał tuż przy organistowce. Więc na poczekaniu dowiedziano się o mojej sytuacji: przybiegł kościelny – z wielką trudnością przyprowadził mnie przed oblicze pryncypała, który mi groźnie spojrzał w oczy, ale mnie nie tknął. Zdążyłem tylko mu powiedzieć o pomyłce z opłatkami, które natychmiast zostały doreczone przez samego pryncypała i on sam ten wielki dom przeprosił. A ja zwałem się na moją sofkę, na której zapewne sypiali wszyscy moi poprzednicy, a może nawet i wnukowie Noego w arce. Zupełnie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje – zabrano mi pieniądze za opłatki, a ja nic nie słyszałem.

Wieczorem – mogła być godzina dziesiąta – pan organista mnie zbudził i zaprosił do stołu wigilijnego. Najpierw dał mi pełną szklankę krupniku na spirytusie – ale odmówiłem. Na nic się jednak zdała moja odmowa: pryncypał mnie zmusił do wypicia – i jak ręką odjął: zupełnie wytrzeźwiałem. Później nastąpiły życzenia i wyśmienita kolacja. Po wieczery wigilijnej przygotowałem sobie jutrznię i o dwunastej odegrałem na piątkę.

Taki był mój pierwszy chrzest w Goworowie – jako pijaka.

46. Czwarta miłość

W niedługim czasie pomyślałem o stworzeniu chóru – najpierw dwugłosowego, bo na chór czterogłosowy nie było szans, a poza tym miałem moc pracy i bez chóru. Zebrałem kilka dziewczyn i kilku chłopców i rozpocząłem próby.

Wśród chórzystek była Helena Markowska, która mieszkała na Goworówku – o kilometr drogi od Goworowa. Doszło do tego, że złożyłem u nich wizytę – i od tej pory, jak tylko mi czas pozwalał, do nich

chodziłem. Była to córka gospodarza rolnego, ale – trzeba przyznać – państwo Markowscy nosili się wyżej od swych sąsiadów na Goworówku, gdzie mieli dość duże gospodarstwo.

Zaraz na początku pierwszego roku mego pobytu w Goworowie poznałem dwie panienki. Pierwsza – to była Marysia-szewcówna, brunetka, ale nie polubiłem jej, bo była natrętna. Druga – to była Hala Balcerowiczówna, z zawodu szwaczka, ale ta znowu była o wiele starsza ode mnie. Te dwie panienki były tylko na co dzień, dla spędzenia czasu. Najbardziej odpowiadała mi jednak Hela Markowska. Przyjaciółką mojej Helenki była Bronia Nadwodna. Bronia miała chłopca prawosławnego, który przywoził i rozwoził pocztę z Ostrołęki, i w końcu awansował na naczelnika poczty. Zawsze obaj spacerowaliśmy ze swymi dziewczynkami. Trzecią damusią była Hela Szulkowska, która mieszkała na tak zwanym Probostwie – zaraz za miastem. Te trzy paniny wiodły prym w Goworowie.

Mój pryncypał nie patrzył na moje znajomości łaskawym okiem. Po pierwsze dlatego, że często jego córka lub służąca musiały mi w nocy – kiedy wracałem z randki – otwierać drzwi. Po drugie zaś dlatego, że wolałby, żebym za przedmiot swojej adoracji obrał którąś z jego córek. Przy dobrych staraniach mógłbym któryś z tych specjalów pościć, ale ja do żadnej z panien Pisarskich nie czułem sympatii. Gdyby u nich były inne porządki – na takiej parafii jak Goworowo panny Pisarskie chodziłyby w samych jedwabiach. Ale one – jedna po drugiej – dodzierały zarówno odzież, jak i obuwie. Sama pani matka w czym przyjechała do męża, w tym zapewne chodziła do śmierci. Jak można się było rozkochać w takiej biedzie i nędzy?

47. Zwyczaje zwierzechnika

Pieniądze za chrzty, śluby i pogrzeby zabierał pryncypał i zostawiał na mieście na kartach i wódce. Kiedy się notowało akt, to nie wiadomo było, komu te pieniądze oddać. Bo za drzwiami czekała na nie już pani organiścina, a pryncypała trzęsło cholera, że się opóźnił. Szła o to walka: kto się pierwszy nasunął, ten zabierał dochód. Na początku pryncypał robił mi wymówki, czemu nie oddaję tych pieniędzy jemu. A ja mu na to: „Cóż mam robić, jak pani czeka i prawie siłą zabiera?”. W końcu musiał się z tym pogodzić. Ja zaś liczyłem na to, że jak oddam

pieniądze pani organiście, to może prędzej trafi się kawałek ścierwa na obiad. Ale się pomyliłem.

Nie powiem, że się u państwa Pisarskich jadało zupełnie z postem: w porównaniu z moim życiem u Rodziców była wielka różnica. Jednak na takie dochody, które tam wpływały, to była nędza. Strawa tylko tyle, że była okraszona. Zamiast porządnego kawałka mięsa były zawsze kopytka cielęce lub świńskie, albo kawałek golonki. Były krowy – ale czy ktoś kiedyś widział mleko? Był i drób – ale czy ktoś widział jajko? Nie wiem, jak prałat Brykczyński mógł na to patrzeć i nie położyć raz temu kresu. Jeżeli liczył na żonę i dzieci, to się grubo mylił. Bo ta żona żyła tylko książką, modlitwą i łzami. A dzieci nie miały się w co liczyć. A organista-łobuz miał tyle długów, że chyba nie miał tyle włosów na swoim głupim łbie! A ilu on ludzi skrzywdził! Pewnego razu przyszedł do pana organisty Żyd. Wtedy pan organista zamknął się z nim w sieni i zaczął tego Żyda tak lać pytań, że ten się zes... i zaszc... całą sień – a on lał nadal. Kiedy go wreszcie wypuścił, to się Żyd ani obejrzał aż w domu. I więcej po dług do pana organisty już nie zaszedł.

Goworowo nie mogło więc na mnie wpłynąć pozytywnie pod względem moralnym: nie mogłem się w nim zbudować i nauczyć żyć uczciwie i gospodarnie. Dom organisty był domem wiecznej wojny – między mężem a żoną. Pan organista był łajdakiem, szubrawcem i ostatnim pijakiem pod słońcem. A jego żona odwrotnie: osobą wierzącą aż do przesady. Było więc razem – piekło i niebo.

I nas pomocników krzywdził; bo przecież to, co nam płacił, to było warte śmiechu. Niestety byliśmy bezsilni, bo o posadę organisty było bardzo trudno. W owe czasy zdolniejsi organiści zajmowali najbiedniejsze parafie. A łotry, pijacy i lizusi – najlepsze posady. Było tak, bo taki lepszy organista nie chciał padać plackiem przed swoim zwierzchnikiem. A lada dławidła to wszystko robił.

Pod tym względem mój pryncypał był wyjątkiem.

48. Dobre strony pogrzebów

Jak sobie w tej sytuacji radziłem? Na dokupywanie żywności na mieście nie starczało nam oczywiście pieniędzy. Z dochodów kancelaryjnych nie można było nic buchnąć, bo pani organistka, chociaż religijna, na dochody była bardzo wrażliwa; więc jak tylko odebraliśmy

zapłatę za chrzest, ślub lub pogrzeb – stała nam za plecami i wyciągała ręce po forszę. Gdzie się to wszystko podziewało – nie mam pojęcia. Gdzie trzy włóki ziemi dzierżawnej i ogród prałata? Gdzie snopki, kartofle, opłatki i inne drobniejsze dochody? To przechodzi ludzki rozum!

A radziłem sobie w ten sposób. Kiedy już spisałem akt śmierci, a pani organistka zabrała forszę, interesanci od pogrzebu zabierali mnie na stypę pogrzebową do karczmy. A tam jedz i pij, ile wlezie – i nic cię to nie kosztuje. I tak było codziennie – przez trzy lata. Na dodatek ponieważ była to duża parafia – 14 tysięcy dusz – czasem dziennie były dwa lub trzy pogrzeby. Nieraz więc z jednej stypy szło się na drugą. A ciebie chwalą, a ciebie całują: „Pij, bracie, i jedz, bo to pogrzeb mojej matki czy ojca, siostry czy brata, syna czy córki!”. Podczas takiej stypy był płacz, lament, wyznanie wszystkich grzechów – jak na spowiedzi – a czasami i coś więcej. Przychodziłem z takich styp często późno w noc.

Dziwię się czasem, że po szkole, którą przeszedłem w Goworowie, jestem jeszcze dziś człowiekiem.

W drugim karnawale w czasie mego pobytu w Goworowie podczas jednej z uczt weselnych bardzo się rozgrzałem i wypilem zimnego piwa. Na drugi dzień rozwinęło się zapalenie płuc. Leczył mnie pan doktor Zalewski i dzięki niemu pod dwóch tygodniach wyzdrowiałem. Ale odtąd już miałem skłonności do przeziębień. Nie wyciągnąłem jednak z tego należytych wniosków i nadal moje życie szło dotychczasowym trybem.

49. Garbusek

Jak już zaznaczyłem wyżej – w Goworowie było zawsze dwóch wikarych: starszy i młodszy. Za moich czasów starszym wikariuszem był ks. Władysław Guzowski, a młodszym – ks. Jan Błaszczak; czasami ich zresztą biskup zmieniał. Ksiądz Guzowski mnie bardzo polubił, bo pięknie śpiewałem. Przyobiegał mi, że jak tylko dostanie parafię, to mnie ze sobą zabierze – pod warunkiem, że skończę z pićciem. Toteż walczyłem z pijaństwem jak mogłem. Ksiądz Guzowski wyciągnął jednak nauczki z przypadku księdza Staniaszki i wtedy mnie do siebie zabrał, gdy poprzedniego organistę usunął – ale bez krzywdy dla niego.

Zanim do tego doszło – przyjechał do Goworowa drugi pomocnik do pisania aktów: wspomniany już przeze mnie garbusek. To był początek nowej klęski. Kiedy garbusek się zjawiał, pan pryncypał urządził nam taką libację, że ten przez całe dwa dni z rzędu po niej spał. Dopiero po przyjeździe do siebie – zabierał się do pracy. Dzień zaczynał od setki (to było tyle, co obecnie ćwiartka) – po czym przepisywał: dziennie było do przepisania 25 aktów i więcej. Ale taka setka na jego gardło nie wystarczała, więc szukał różnych sposobów, aby wypić coś ponadto. Całe szczęście, że nie wtrącał się do kościoła, chociaż nieźle grał. Ale że był alkoholikiem, więc kościoła nie znosił, a kościół – jego. Miałem z nim jednak istną mękę, bo ostatni mój grosz wyłaguził i ze mną przepił. Cóż to za klęska z wódką, że na nią nigdy nie starcza?!

I tak męczyłem się z tym garbuskiem jeszcze rok.

Naraz mój ksiądz Guzowski dostaje parafię na Kurpiach za Myszyniec – w Czarni. Był tam organista nazwiskiem Gassek, którego Kurpie przezwali „Dzieciną”, bo był taką sobie kruszyną. Otóż ten organista postanowił wyjechać do Ameryki – a z chwilą jego wyjazdu ja miałem objąć po nim posadę. Wypadło więc jeszcze trochę poczekać.

50. Zwolniony z wojska

Pominałem wojsko. W związku z tym cofnę się więc we wspomnieniach o dwa lata.

Dawniej, za cara, z rekrutami było tak. Jedynak i najstarszy z synów nie szedł do wojska. Reszta ciągnęła losy: do wojska – czy do domu. Odbywało się to w ten sposób, że każdy wójt miał spis wszystkich roczników swojej gminy. Na każdy rocznik wypadała określona liczba rekrutów. Jeżeli na przykład wójt miał dać 300 rekrutów, to ci, którzy wyciągnęli losy w obrębie tych trzystu, musieli iść do wojska – a ci, którzy wyciągnęli losy powyżej trzystu, szli do domu. Ja nie byłem jedynakiem, ani też nie mogłem być zwolniony z wojska z tytułu opiekuństwa, bo nie mieliśmy gospodarki; miałem więc poniekąd dobrego pietra.

Losy ciągnęliśmy w Pułusku. Ale szczęście mi sprzyjało – wyciągnąłem los do domu. Dostałem bilet wojskowy koloru czerwonego, a więc dla rezerwistów – powoływanych do wojska tylko w razie pospolitego ruszenia, w razie wojny. Wróciłem więc do Goworowa.

51. Rok 1905 w Goworowie

Mamy więc rok 1905.

Rosja miała w tym roku konflikt z Japonią. Zapewne dostała w skórę, bo dała Polakom trochę wolności. Zaczęły się strajki, rozruchy itd. Ale tej wolności było krótko. Przyszły jeszcze gorsze prześladowania Polaków: zaczął się większy ucisk ze strony Moskali; zaczęły się zapelniać więzienia. Niektórzy Polacy, aby ująć prześladowania – udawali wariatów, korzystając nieraz z pomocy lekarzy-patriotów. Jeden taki rzekomy wariat znalazł się i w Goworowie: latał po mieście, krzyczał, klękał przed kościołem, gestykulował, mówił niedorzeczności – a gdy policjant się zagapił, pokazywał mu język i d... Takich rzeczy w większych miastach było dużo. Moskale ze swej strony zaostrzyli bardzo reżim: nie tylko w dużych miastach, ale i w małych miasteczkach pojawiało się wojsko i żandarmi.

Pewnego wieczoru szliśmy sobie z garbuskiem przez miasto na jednego. Naraz dał się słyszeć niedaleko nas wybuch: z rewolweru lub pistoletu. My nadal idziemy sobie spokojne, a tu nagle otaczają nas Moskale-żandarmi, i to w dodatku pijani, wloką na rynek i krzyczą: „Кто сделал тревогу” – czyli „Kto naruszył spokój?”. Na mnie i garbusku podarli ubranie i wywijają gołymi szablami nad naszymi głowami. Skorzystałem z krótkiego zamieszania i dałem drapaka. Wpadłem do sklepu żydowskiego: przewróciłem Żydówkę i jej bachora – a tu za mną strzał. Ja tymczasem byłem już w ogrodzie: skok przez sztachety i zwałem do domu. Garbuska zabrali do szynkowni, ale jakoś się wylegitymował: spisali zeznania i puścili.

Taki dostaliśmy z garbuskiem chrzest od Moskali w 1905 roku w Goworowie. Odtąd byliśmy chyba na liście podejrzanych – rewolucjonistów – bo w parę lat później, kiedy w Myszyncu miałem zatarg z żandarmem, to mi wytknął, że jestem im już znany.

52. Koniec chlebobdawcy

Tymczasem panu organiście Pisarskiemu robiło się coraz gorzej. Pomimo swej tuszy i dobrego bytu – wódka robiła swoje. Zaczął zdradzać chorobę białej gorączki i stale narzekał, że jest niezdrów.

Ja sypiałem z garbuskiem na odwiecznej sofce w kancelarii, a po drugiej stronie – na sienniku – spał uczeń Mróz. Garbusek zresztą

nie zawsze nocował u organisty, bo miał w Goworowie rodzinę: ojca wdowca i trzy siostry – którzy mieli własny kąt. Ojciec garbuska był dobrym stolarzem, a córki zajmowały się szyciem. Stary Matuszewski najczęściej zarabiał na robieniu trumien. Nieraz się zdarzało, że pijany garbusek kładł się do jakiejś zapasowej trumny i spał w niej najspokojniej w świecie.

Otóż pewnej nocy dał się słyszeć krzyk w pokoju organisty. Pan organista zbudził wszystkie swoje dzieci i służbę, dał im tęgę narzędzia w ręce i porozstawiał ich koło wszystkich drzwi, żeby bronili organistówki przed rzekomym napadem bandyckim. Żony i mnie nie poruszył, ale ucznia Mroza ściągnął z posłania zaczął się nad nim pastwić w okropny sposób. Tak to trwało do świtu. Nad ranem trochę zasnął, ale kiedy się rozbudził – w kalesonach wyleciał na ulicę i pobiegł na miasto. Dopiero dwóch kościelnych na prośbę organiściny przyprowadziło go z powrotem do domu.

Wariował w ten sposób przez tydzień. Kiedy furia trochę osłabła, organiścina pojechała z nim do lekarza do Pułtuska, który orzekł ciężki stan białej gorączki od alkoholu. Zalecił mu stopniowe zmniejszanie picia alkoholu, bo w przeciwnym razie czeka go rychła śmierć. Kazał mu też dużo pić wody sodowej. Kiedy pan organista wrócił od lekarza, znacznie mu się polepszyło, przestał urządzać awantury – ale pozostał już anormalny.

Gdybym poczekał, jaki obrót przybierze cała ta sprawa, to może byłbym objął po nim posadę organisty w Goworowie? Pan Pisarski męczył się jeszcze rok, ale nie zastosował się do wskazań lekarza, nadal pił – i po roku nastąpiła śmierć.

Tymczasem mój ks. Guzowski napisał do mnie, że posada w Czarni już na mnie czeka, bo dotychczasowy organista Gassek wyjechał do Ameryki.

53. W Czarni

Parafia w Czarni liczyła trzy tysiące dusz. Napisałem do rodziców, że mam tam zostać organistą i poprosiłem, żeby przyjechała do mnie moja siostra Genia, to wezmę ją do Czarni. Kiedy Genia przyjechała do Goworowa, wynajęliśmy furmankę i ruszyliśmy w drogę do Czarni. W Czarni – po Goworowie – poczułem się źle: dziura, naród na wpół dzi-

ki, głupio wierzący. Nie miałem nawet towarzystwa do wódki – toteż kiedy trafiła się okazja, jeździłem do Myszyńca, żeby się urżnąć na całą parę. Bawiła mnie tylko moja siostra Genia, z którą chodziliśmy do lasu na spacer, na jagody i na grzyby.

Czarnia znajdowała się wówczas nad samą granicą pruską: do granicy było w prostej linii tylko dwa kilometry czyli wiorsty. Wiosek było osiem. Ludzie – wobec organisty – nie byli życzliwi. Księża to Kurp by pocałował nawet w d... Nieśli mu wszystko: grzyby, jagody... W Czarni była jeszcze nawet pańszczyzna – bo proboszcz oprócz ogrodu miała 40 morgów ziemi, i to najlepszej, którą obrabiali Kurpie – a poza tym składali mu dziesięcinę. Proboszcz miał aż 7 koni, 27 sztuk bydła, owce, dwa wielkie psy na łańcuchach, gosposię, trzy służące, parobka i niezliczoną ilość plotkarek–dewotek. Parobek i kościelny stale pracowali na plebanii. Jagody i grzyby gosposia wyrzucała na śmietnik, bo nie dało się tego wszystkiego zasuszyć ani zamarynować. Ale organista nie dostał nic! Na co to wszystko jednej osobie?

Chyba nie wrócą już takie czasy dla duchowieństwa! Ksiądz proboszcz niejednego Kurpia poturbował, a ten za to go jeszcze ucałował w ręce i nogi, by mu darował i odpuścił grzechy.

Czy na to patrząc mogłem się zbudować?

54. Przemysł

Czarnia, jak zaznaczyłem wyżej, leżała koło samej granicy pruskiej. Wszystkie wioski do niej należące były rozłożone na pograniczu – tak że niektóre chałupy kurpiowskie stały tuż przy pasie granicznym. Kiedy się jeździło za zbiorem, to nieraz można się było natknąć na straż graniczną.

Sama Czarnia była wtedy centrum straży granicznej: znajdował się w niej kordon i urząd celny. W kordonie stacjonowali żandarmi i wojsko rosyjskie. Stale słychać było stamtąd rosyjskie śpiewy i muzykę na harmoniach i bałalajkach. Kordony nad granicą rozlokowane były w pewnych odstępach. Żołnierzom w takich kordonach świetnie się powodziło. W centrum Polski znajdowały się agencje, zajmujące się wydawaniem szyfart czyli wiz: w kordonie ludzie na podstawie takiej wizy – po rewizji – mogli przekraczać granicę. Nieraz ciągnęły wielkie transporty z rozmaitych stron Polski, Rosji i państw ościennych. Koło

mojej organistówki szedł główny trakt od Ostrołęki do samej Czarni – nieraz więc widziałem, jak ciągnęły fury za furami: całe to bractwo emigrowało za granicę – do Ameryki, Kanady, Anglii itd.

Oprócz oficjalnych emigrantów byli jeszcze nielegalni: żołnierze z kordonów uprawiali przemyt ludzi na własną rękę, choć było to bardzo niebezpieczne, bo władza zwierzchnia ich za to ścigała i surowo karała; mimo wszystko – ryzykowali. Dlatego każdy żołnierz, który odbył służbę wojskową na granicy, wracał do domu bardzo bogaty: i w forszę, i w towar.

Żołnierze posługiwali się przy przemycie Kurpiami. Jeśli ktoś chciał przekroczyć granicę na zielono – bez wizy – porozumiewał się z przemytnikami, opłacał ich, a ci załatwiali już sami wszystko z żołnierzami. Na takie przekroczenie granicy bez wizy trzeba było nieraz czekać tydzień lub więcej, bo grupa prowadzona przez przemytnika nie mogła być mniejsza niż 25 osób – a czasem liczyła nawet setkę. Po zebraniu ich w umówionym miejscu, zwykle w jakiejś olszynie lub lesie, przemytnik spotykał się z uprzedzonym o tym żołnierzem, wręczał mu określoną kwotę i przeprowadzał ich przez pas graniczny do Prus – do Niemiec. Czasem był przy tym żołnierz, ale czasem go nie było; czasem liczył, ile było faktycznie ludzi, a czasem – nie. Kiedy rzecz się odbywała zimą, żołnierz lub przemytnik rozpościerali przez rów pałta lub płaszcze dla zatuszowania śladów. Byli tacy, którzy po pewnym czasie wracali z Niemiec; wtedy przemytnicy ich przeprowadzali przez granicę z powrotem.

Ludzie, którzy przekraczali granicę bez wiz, dzielili się na trzy kategorie. Jedni emigrowali dalej; drudzy pozostawali w Prusach na robotach; trzeci – wracali z powrotem do domu po paru dniach. Ci ostatni chodzili do Prus przeważnie po towar – dla siebie lub na handel.

55. Straż

Na granicy poza żołnierzami rozlokowanymi po kordonach – byli jeszcze strażnicy prywatni, tak zwani akcyźni, utrzymywani przez wielkich akcyźników, przedsiębiorców i kupców. Zapobiegali oni przemytowi towarów na większą skalę.

Żeby zostać takim strażnikiem trzeba było być nie tylko olbrzymem, ale i śmiałością, i dobrze władać bronią, bo łatwo można było

pełniąc straż dostać kulę w łeb od kontrabandzisty. Straż akcyźna stanowiła dodatkową przeszkodę dla przemytników i trzeba było ich także opłacać. Strażnicy ci przepuszczali pierwszy i drugi raz kontrabandę wolno, niby jej nie zauważając; ale za trzecim razem trzeba było już się wykupić taką kwotą, że odbijali sobie dwa poprzednie razy.

Strażnicy akcyźni byli bardzo bogaci: chodzili w eleganckich garniturach, a ich żony i dzieci – w samych jedwabiach. Życie prowadzili królewskie: bale, zabawy, pijatyki. Takich strażników w Czarni było trzech: Stanisław Sadowski i Bolesław Kosmaczewski – Polacy, i Rosjanin – Cygankow. Tamci mieli rodziny, a Cygankow był kawalerem, ale kiedyś w Ostrołęce w święto żydowskie – w szabas – wykradł rodzicom Żydóweczkę Sarusię, sprowadził ją do Czarni i zaczął przyprowadzać do egzaminu z religii prawosławnej przed popem, bo chciał z nią się ożenić. Wiem o tym, bo poznałem ich oboje i odwiedzaliśmy się wzajemnie. Bywałem u nich chętnie, bo wszystkiego u nich było w bród – no i nie przykryło mi się w ich towarzystwie.

Policji w Czarni nie było, gdyż na kordonach nie brakowało żołnierzy. Jak wspomniałem, słychać było stale ich krzyki i śpiewy rosyjskie – bo byli to oczywiście Rosjanie. Policja była dopiero w Myszyncu, a więc 11 wiorst od Czarni.

Tak oto zaczęło się moje życie jako organisty w Czarni. Czy byłem zadowolony? Czy byłem szczęśliwy? To się miało okazać dopiero później.

56. Zalety Czarni

Chór miałem lepszy niż w Goworowie, ale przeważnie męski; później dopełniłem mieszanym. Parafia w Czarni została utworzona z części parafii myszyńckiej, a jej pierwszym proboszczem był ksiądz Siennicki, który wyuczył Kurpiów wszystkich pieśni na pamięć – bez żadnego błędu – tak że śpiewali jak słowiki. Chór w Myszyncu – miejsce i stolicy Kurpi – musiał się czerwienić przed chórem z Czarni. Nawet zwykły różaniec śpiewali na cztery głosy. Nut zupełnie nie znali, bo co tam było mówić Kurpiowi o nutach, kiedy on czytać nie umiał. Ale co się nauczył na pamięć – to spał i mruczał. Mój poprzednik-organista, jak zaznaczyłem, to była taka sobie dziecina: więc i głos miał dziecka.

Czarnia – i wszystkie okoliczne wioski – położone były w lesie, który ciągnął się do samej Ostrołęki. Kurpie – zatrudnieni przy karczowaniu lasu – zaczęli się rozbudowywać. Organiście było więc niewygodnie jeździć po parafii za zbiorami, bo trzeba była ich chałup szukać po rozmaitych wertepach i parowach.

Kościół w Czarni był prześliczny – w stylu neogotyckim. Organów jeszcze nie było – od biedy zastępowała je duża fisharmonia. Wewnątrz było jeszcze pusto: brak było wszystkich ołtarzy, ambony, chrzcielnicy, konfesjonałów i balustrady przed wielkim ołtarzem i na chórze. Kiedy pierwszy raz grałem mszę, jakaś kobieta obejrzała się na chór i grzmotnęła jak długa na posadzkę, takie to zrobiło na niej wrażenie: po moim poprzedniku myślała, że to jakiś cud.

57. Gosposia i służąca

Naczynie Duchowne – gosposia proboszcza – nie była zbyt powabna ani sympatyczna: taki sobie mały antałeczek. Niczego nie robiła, bo od tego była starsza służąca, Andzia, która doszła do takiej wprawy, że prowadziła w całości kuchnię. Gosposię wrzuciło w końcu w tercjarstwo: została dewotką – okropnie przejęła się dogmatami wiary. Codziennie uczęszczała na mszę, a co niedziela – się komunikowała.

Andzia była proboszczowi wierna jak pies swemu panu, ale gosposi nie próbowała dokuczać. Andzia wiedziała, która krowa ma się ocielić i kiedy. Andzia wiedziała, która krowa jest cielna i w którym miesiącu ciąży. Andzia wiedziała, która krowa potrzebuje stadnika. Andzia wiedziała, która krowa zachorowała, na co i od czego. Andzia wiedziała i to, na ile czasu starczy paszy. Andzia miała oko nawet na konie. Andzia wiedziała, ile Kurpie już skosili zboża, a ile jeszcze pozostało. Andzia wiedziała, ile już zwieziono zboża, a ile jeszcze pozostało na polu. Andzia wiedziała i to, ilu Kurpi pracuje na polu, a ilu się nie stawilo do pracy. Andzia wiedziała i to, czemu dzisiejszej nocy wyły psy i były niespokojne. Andzia wiedziała i to, gdzie chłopiec lub dziewczyna prowadzi się niemoralnie. Na koniec Andzia wiedziała i słyszała, jak trawa rośnie.

Andzia chowała wszystko co z dobytku przyszło na świat, niczego nie sprzedawała – i w ten sposób uciulało się 27 sztuk bydła swego chowu.

Taki typek wyłonił się ze zwykłej Kurpianki.

Andzia za mąż nie wychodziła, chociaż miała ku temu sposobność. Wolała się poświęcić wychowywaniu inwentarza i rogacizny oraz drobiu swego chlebobawcy. Taka Andzia dostała za swą wierną pracę – dożywnię budkę za kościołem. Ale za to pewnie już za życia można ją zaliczyć w poczet świętych.

Gdy to piszę, Andzia jeszcze żyje i jest dobrze trzymającą się staruszką. Nie wiem z czego żyje, ale na pewno ma deser: tę budkę i miłe wspomnienia. I na pewno odwiedza grób swego zwierzchnika, który już dawno nie żyje – i roni nad nim łzę. Ksiądz Guzowski za moich czasów była to osoba olbrzymiego wzrostu i tuszy. Toteż już wówczas zdradzał chorobę serca, tak że nie dociągnął siódemki.

58. Niedowiarstwo

W wielu parafiach zdarzało się, że przy samym kościele zagnieźdzało się niedowiarzek.

Takim niedowiarkiem w Czarni był Chorążewicz, gospodarz rolny. Miał żonę i trzech synów. Handlował po kryjomu piwem, a nawet czasami można było dostać u niego i wódkę. Ten Chorążewicz w nic nie wierzył, niczego nie praktykował, nie chodził zupełnie do kościoła, a tym bardziej do spowiedzi. Za to jego żona była bardzo religijna – i byli ze sobą na pieńku w sprawie kultu religijnego. Nie był jednak szczególnie szkodliwy i ze swoim niedowiarstwem demonstracyjnie się nie obnosił. Czasem tylko sobie zakpił – i na tym koniec.

59. Sprawa z piekarzem

Tuż obok kościoła był sklep, w którym można było kupić wszelkie produkty spożywcze – oprócz większych materiałów bławatnych. Sklep ten prowadzili państwo Budzyńscy. Mieli sporą gromadkę dzieci, ale ponieważ oboje byli ludźmi pracowitymi, sklep dobrze prosperował. Budzyński był poza tym dobrym piekarzem, więc prowadził i wypiek. W pewnym momencie doszło do konfliktu między Budzyńskimi a dwiema dewotkami. Proboszcz stanął po stronie dewotek i założył sklep parafialny, którym zarządzała i była ekspedientką jedna z dewotek. W ten sposób Budzyńskim się urwało. Ale i księdza kosztowało to wiele nerwów i pracy, zanim powstał sklep parafialny. A było to tak.

Koło domu Budzyńskich stała mała budka, w której mieszkało dwoje staruszków. Z czego oni żyli – nie mam pojęcia. W końcu staruszkowie tak już zaniemogli, że wymagali opieki; podjęły się jej dwie starsze panny, tercjarki. Po śmierci staruszków okazało się, że swój domek odpisali swoim opiekunkom, ale ten zapis było zrobiony na kawałku papieru, a nie – legalnie u rejenta. Tymczasem Budzyński bez żadnych ceremonii zajął domek staruszków wraz z placem wokół niego. Były trzy sprawy w Myszyńcu o tę posesję i wszystkie trzy wygrał Budzyński. Żeby był żył sędzia Budny, który – jak już pisałem – się utopił, może panny opiekunki coś by wygrały. Ale po śmierci sędziego sprawy załatwiał sekretarz z Kurpikami-ławnikami, którzy o nich nie mieli zielonego pojęcia i robili to, czego chciał ów sekretarz. Opiekunki liczyły na to, że skoro kupiły posesję od staruszków i pokażą ów papierek w sądzie, to sprawa zostanie rozstrzygnięta na ich korzyść. Tymczasem sąd zażądał dokumentu z urzędowymi podpisami – poświadczonego przez rejenta i opatrzonego jego pieczęcią. A na ich papierku nie było nawet podpisów tych staruszków – tylko dwa krzyżyki. Zresztą nawet i same opiekunki nie umiały pisać. Budzyński zaś nie żałował pieniędzy na adwokata. Ksiądz początkowo w te sprawy się nie mieszał, bo nie chciał z chamstwem mieć do czynienia.

60. Sklep

Kiedy jednak Budzyński ostatecznie wygrał sprawę, panny dewotki zażądały od proboszcza cudu. Znały z opisów historię ks. biskupa krakowskiego Stanisława, który w sporze z królem Bolesławem postawił jako świadka zmarłego przed trzema laty Piotrowina i rzekomo wygrał spór. Wiec nasze dewotki poprosiły księdza Guzowskiego, żeby odprowadził mszę św. na ich intencję, a po mszy poszedł na cmentarz i przyprowadził oboje staruszków przed sąd jako świadków. Taką miały mocną wiarę! Opowiadał mi o tym sam proboszcz i mówiły mi o tym same dewotki, zaznaczając, że gdyby ksiądz chciał, to staruszkowie powstałoby z grobu. Ale ksiądz Guzowski ich nalegania jak mógł, tak zbywał, bo nie chciał im otwarcie powiedzieć, że tego zrobić niepodobna.

Zemścił się jednak na Budzyńskim w inny sposób. Zaproponował mi mianowicie, abym w organistówce założył sklep, a on mi pomoże finansowo i ogłosi na ambonie, żeby parafianie brali tylko u mnie.

Wówczas byłem już żonaty, a żona miała troszkę grosza, więc wykupiliśmy zezwolenie-patent i otworzyliśmy sklep. Niestety, nie upłynął rok i musiałem sklep zwinąć; żona miała pewne doświadczenie w handlu, ale ja nie miałem o tym żadnego pojęcia, a poza tym obciążało mnie dużo obowiązków przy kościele – i zawsze miałem ujemny bilans. Po roku brakowało nam już blisko sto rubli, a to jak na tak krótki okres – bardzo dużo. Przypuszczam, że w naszym niepowodzeniu maczała palce służąca. Poza tym pieczywo mojej żony nie mogło równać się z wypiekami Budzyńskiego. Żona piekła dobre i ładne ciasto na święta doroczne, Kurpie robili z ciasta rozmaite cudaki – w postaci kóz, baranów i lalek – ale zwyczajne ciasto u Budzyńskiego było lepsze. Rzecz w tym, że Budzyński miał u siebie odpowiednią piekarnię – a myśmy jej nie mieli.

Nikt nigdy mi tej straty nie zwrócił. Po co mieszałem się do cudzych spraw? Przed zatargiem Budzyńskiego z dewotkami byłem z nim w dobrej komitywie. Ich najstarszy syn, Władek, zaczął się nawet u mnie od roku uczyć na organistę. Ale po incydencie ze sklepem pan Budzyński chłopca ode mnie zabrał i nastąpiła między nami ogromna nienawiść. I po co to mi było potrzebne?

Ksiądz widząc, że Budzyński górą – postanowił go uderzyć inaczej. Rozpoczął budowę eleganckiego domu spółdzielczego, w którym umieścił sklep, oddając go do prowadzenia wspomnianym dewotkom. Mnie nikt nie pomógł. Zresztą i ja, i kościelny mieliśmy po jednym pokoiku z kuchnią; nie miałem pocziwej stodołki nawet bez sąsiedka; zboże kładło się na drągi i ziarno się sypało [na podłogę]. Nie było dobrych chlewików dla krowy i świń.

A wokoło pełno było drzewa – leżało powalone igniło.

61. Przyjazd rodziny

Cofnę się teraz parę lat – do początku objęcia posady organisty w Czarni.

Miesiąc po przyjeździe do Czarni z siostrą Genią zapoznałem się ze starszym bractewnym, Kurpiem, który był przemysłowikiem. Ów przemysłownik-prowodyr nazywał się Ropiak i zaproponował mi, że zaprowadzi mnie i siostrę do Prus, żebyśmy sobie coś taniej kupili z odzieży. Oznajmiłem o tym proboszczowi, który nam tego nie zabronił, i poszli-

śmy przez zieloną granicę do Prus. Oczywiście byliśmy tam nie tylko my, ale i inni ludzie: znajomi i obcy. Byliśmy w Prusach w Wielbarku. Kupiliśmy to, na co nas było stać i powróciliśmy szczęśliwie do domu.

Twardo spaliśmy po podróży, a tu w nocy nagle słyszymy u drzwi kołatania i dobijanie się. Otwieramy, a tu – przyjechali rodzice, siostra Cella i braciszek Janek. Zupełnie nas nie uprzedzili, więc stanąłem jak słup – i nie wiem co robić. Ojciec to zauważył i mówi: „Jeśliś nie rad, zawracamy i już nas nie ma”. Zrobiło mi się gorąco i mówię im, że i my jesteśmy dopiero co z podróży. I dopiero wtedy nastąpiło przywitanie.

Jak nierozsądnie Rodzice zrobili, to się okazało dopiero później. Mógłbym przyjąć do siebie prócz Geni jeszcze Celę i Janka, ale nigdy – całej rodziny. Po pierwsze, moja posada nie dawała tyle środków, żeby całe to towarzystwo ubrać i nakarmić. Po drugie, Ojciec był jeszcze wówczas na tyle silny, że Rodzice mogli sobie sami radzić. Ale to była właśnie ich głupia logika: że jak ja mam posadę organisty, to już mam wszystko. Nie rozumieli, że posada posadzie nierówna. Uważali, że przyjechali do wymarzonego ideału: do syna, na którego tak długo łożyli, więc teraz mają prawo z jego opieki korzystać. W rzeczywistości zamknęli przede mną lepszą przyszłość: wszystko po prostu runęło.

Niedługo sami tego doświadczyli na własnej skórze.

62. Rozstanie ze złudzeniami

Gdyby na świecie była sprawiedliwość, prawda, miłosierdzie i życzliwe serca, nie byłoby niszczycielskich wojen, w których ludzie się wzajemnie mordują. A wtedy i moja sytuacja byłaby do naprawienia. Na nic się jednak zdadzą wszystkie partie – socjalistyczne, komunistyczne, demokratyczne, endeckie, proletariackie i burżuazyjne różnych odcieni – jeśli nie nastąpi właściwe zrozumienie życia ludzkiego. Niech się bowiem ktokolwiek z przedstawicieli tych partii dorwie do koryta, to nie żre z brzegu, tylko pakuje się z nogami aż po same uszy i wychłapuje wszystko sam – innym nie pozostawiając niczego. Ziemia-karmicielka wyżywiłaby ludzi, a gdyby pokarmu nie starczało, można by ograniczyć przyrost – w sposób szlachetny. I w ten sposób uniknęłoby się wojen bratobójczych i nieszczęść z nimi związanych. Więzienia też by świeciły pustkami. Ale – powtarzam – tylko pod warunkiem

ogólnego zrozumienia życia ludzkiego. Bez tego walki trwać będą stale – aż jakiś głupiec wysadzi to wszystko w powietrze.

Podobnie i mój proboszcz: gdyby był prawdziwym człowiekiem-kapłanem, znalazłby drogę, żeby moje życie lepiej się ułożyło – bez uszczerbku i szkody dla siebie. Przecież był on na Kurpiach niemal magnatem. Jego inwentarz jadał lepiej niż ja z rodziną. Ale resztki żywności wolał wyrzucić na śmietnik – niż dać tym, którzy łaknęli.

Postawił mi za to warunek: że muszę się ożenić. Wiedział dobrze, że gdy przyjdzie synowa, to rodzice będą musieli pójść precz. Łatwo powiedzieć: „Musisz się pan żenić!”. Ale za co? Przecież wiedział, że jestem goły jak święty turecki. Nie powiedział: „Masz pan sto rubli – i jedź pan po Helenkę. A z rodzicami jakoś tak załatwimy, że i oni będą mogli się urządzić.”

Z Helenką bowiem od czasu do czasu się spotykałem, ale nie miałem tyle forsy, żeby jej rodzicom się oświadczyć. Sam nie poprosiłem proboszcza o pomoc, ale w duszy nosiłem myśl o zemście: że jeśli się tylko nadarzy okazja, to go porzucę. Niestety na taką okazję musiałem czekać aż do wybuchu wojny w 1914 roku.

Musiałem więc z Helenki zrezygnować. Z rozstroju nerwowego zacząłem coraz częściej zaglądać do butelki.

63. Przyszła żona

W niedzielę do Czarni przyjeżdżali z Myszyńca rzeźnicy i stawiali koło kościoła wyroby masarskie: słoninę, kiełbasę itd. Było ich nieraz dwóch lub więcej. Po skończonym nabożeństwie wracali do domu – do Myszyńca.

Wśród nich była młoda sprzedawczyni – która później została moją żoną. Najpierw poznała ją moja siostra Genia, która wówczas była podlotkiem, ale już chorowała na panienkę. Któregoś dnia poprosiła ją na chór i miałem sposobność bliżej się przypatrzeć swojej przyszłej żonie. Była to Waleria Pyszna: nazwisko bardzo dobrze – jak się okazało – pasowało do jej natury i temperamentu. Otóż panna Pyszna użyła następującego fortelu, aby zawrzeć ze mną znajomość: choć nie zapowiadało się na deszcz, zapytała siostry, czy nie mógłbym jej pożyczyć parasola. W ten sposób – przyprowadzona przez siostrę – znalazła

się w naszym domu: moich Rodziców pocałowała nie tylko w buzię, ale i w ręce. Była to jej pierwsza wizyta, więc – zgodnie z tradycją – nie mogła trwać zbyt długo: pożyczyłem jej parasol i oboje z siostrą odprowadziliśmy ją do fury, którą odjechała do Myszyńca.

Wracam – a Rodzice do mnie: „To jest żona dla ciebie. To nie Helena, która nawet nas przyzwolicie nie przywita.” A ja na to: „Oby Was te całusy nie poparzyły!”. I na tym się skończyło. A miało to miejsce we wrześniu 1908 roku.

Odtąd panna Pyszna co niedziela przyjeżdżała do Czarni z wyrobami masarskimi. To był początek mojej sielanki z przyszlą żoną. W niedługim czasie złożyłem wizytę w Myszyńcu jej rodzicom i oświadczyłem się o rękę córki. Zostałem przyjęty – tym bardziej, że panna Waleria była pełnoletnia, a nawet za pełnoletnia, bo już przekwitwała: nie w urodzie, ale w latach, mając 27 i 1/2 roku. Więc rodzice nie stawiali żadnej tamy.

Podobno w młodszych latach panna Walcia miała dosyć konkurentów, ale się jakoś składało, że nie mogła się na żadnego zdecydować. Chorowała na urzędniczką lub coś podobnego. A gdy żaden taki się nie trafiał, wyruszyła do Ameryki. Była tam dwa-trzy lata. Ale i tam nie udało się jej niczego odpowiedniego dla siebie złowić. Więc wróciła do kraju. A to, co sobie tam uciulała, oddała rodzicom na prowadzenie handlu. Ile tego było, nigdy nie zdradziła.

64. Posag

Przyszedeł karnawał. Oznajmiłem księdzu, że się żenię. Proboszcz słysząc to mówi: „A co będzie z Heleną?”. A ja na to: „Nie mam odpowiednich środków, żeby jechać do Goworowa i się oświadczyć”. Proboszcz nie odpowiedział na to: „Ja panu pomogę – jedź pan po Helenę”. Pannie Markowskiej napisałem więc ostatni list i przeprosiłem ją jak umiałem najserdeczniej. W samą wigilię ślubu otrzymałem od Helenki odpowiedź: „Niczego ci więcej nie życzę poza tym, żebyś się dorobił jak sól na ukropie”. Smutno mi się zrobiło i w duszy zapłakałem, że prysły moje ideały, ale nie należałem do tych, co w takiej sytuacji sobie w łeb palą. „Dla chleba, panie, dla chleba – góry porzucić trzeba” – jak śpiewa się w góralskiej piosence.

Żona przed ślubem dała mi sto rubli, bo wiedziała i widziała, że u mnie płótno w kieszeni, a rodzina – goła. Ach! Jak było mi przykro te sto rubli przyjmować! A miałem przecież zaledwie 24 lata! Mogłem przecież poczekać jeszcze dwa-trzy lata i mieć swoją forszę. Upiłem się, zapłakałem i przyjąłem ten krzyż. Musiałem przyjąć pieniądze, bo rodzinę trzeba było jakoś na ślub przybrać.

Żona dodała jeszcze, że u ojca w handlu ma jeszcze 150 rubli, więc po ostatniej zapowiedzi mogę je wziąć – tylko muszę o to poprosić ojca sam, bo ona nie śmie tego zrobić. Ostatecznie, po naradzie, zrobiliśmy to oboje: kropnąłem sobie ćwiartkę dla odwagi i zjawiliśmy się u jej rodziców: przyszły teść – wprost rzucił jej te ruble. A żona przy ojcu oddała je mnie. To dziwne. Dlaczego jej własny, zapracowany przez nią ciężko grosz był tak trudny do oddania? Przecież jej poza tym nic więcej nie dali! Kiedy żenił się brat żony Władysław, to mu się siostry odpisały i nic nie wzięły – prócz mojej żony, której z litości ofiarowali 300 złotych. Mieszkaliśmy już wtedy w Broku i jeździliśmy specjalnie na ten odpis. Takie wszystko było okrzyczane, a w istocie niczego tam nie było.

Ale do rzeczy. Ojciec żony po moim odejściu miał tak powiedzieć do córki: „Dajesz mu przed ślubem pieniądze. A jak on cię rzuci?”. A ona na to: „Jak mnie rzuci, to trudno. A ojciec by mi nieprędko oddał, a może w ogóle wykapał, a nam są pieniądze potrzebne.” Ostatecznie obyłem się 50 rublami, a resztę po ślubie oddałem żonie. Nie chciałem narazić się później na wymówki.

65. Ślub

Ślub odbył się w Myszyńcu w asyście trzech księży. Dawał go nam mój proboszcz, ale na wesele nie raczył przyjść, za co byłem na niego do żywego obrażony. Z Czarni przyjechałem trzema saniami, bo zaprosiłem swoich gości. Na ślub i wesele poprosiłem też Pisarskich z Goworowa.

Pani Pisarska z pasierbicą Stefą przyjechały – ale zapewne dlatego, że byłem jej winien 9 rubli, które pożyczyłem odjeżdżając do Czarni. Myślała, że się obłowi i oddam jej z procentem – bo u nich, jak dawniej, było krucho – ale się zawiodła: i ja już zacząłem się uczyć żyć. Pani Pisarska zamiast po weselu z Myszyńca odjechać do domu, postano-

wiła zobaczyć moje gospodarstwo w Czarni i odwiedzić proboszcza. Na drugi dzień wyruszyliśmy więc do Czarni – bez żony, która została u rodziców przy szykowaniu swojej wyprawy. Pani organiścina z pasierbicą przenocowały u mnie i złożyły wizytę proboszczowi. Wracać miały przez Myszyniec, gdzie chodziła już kolejka wąskotorowa. Przy pożegnaniu pani Pisarska serdecznie mi pogratulowała i – upomniała się o dług. A ja na to: „Szanowna pani! Jak pani mogło przez usta przejść upominanie się o taką kwotę! Przecież odjeżdżając od państwa powinienem nie nędzne 9 rubli a przynajmniej 100 dostać za moje trzy lata ciężkiej pracy, za którą dostawałem śmieszne 3 ruble miesięcznie. Jeśli pani jechała na mój ślub po to tylko, żeby odebrać ten dług, to nie czuję się w obowiązku nawet pani podziękować za ten zaszczyt. Sumienie mi mówi, że to nie ja u pań mam dług, ale panie u mnie.” Obie damy spiekły raka i nic nie odpowiedziały. Zajechała furmanka, bo dałem im podwodę do Myszyńca i pożegnałem panie Pisarskie – jak się okazało – na zawsze. Nigdy już ich miałem nie zobaczyć.

Na drugi dzień po ich odjeździe miałem jechać po żonę. Ale ona sama przyjechała ze swoją wyprawą.

Zaczęły się nasze miodowe miesiące. Były róże i lilie. Ale te róże z liliami prędko okwitły i zostały tylko same kolce i badyły.

66. Rodzina żony

Na początku dom prowadziła moja matka. Wikt się moim domownikom na razie poprawił, bo ojciec żony dostarczał nam okraszenia. Ale miało to i złe strony. Zamiast żony przyjeżdżała teraz do Czarni co niedziela jej siostra Franeczka lub najmłodsza Kostusia. Co niedziela mieliśmy więc myszynieckie wędliny – ale i gości.

Teść mój był bardzo przystojnym facetem; żona była podobna do ojca – i można o niej powiedzieć, że była piękna. Teściowa nie była piękna, ale dała się lubić, bo była dowcipna. Żadna z córek niestety nie odziedziczyła zalet matki – a szkoda. Żona miała dwóch braci: Antoniego i Władysława. Antoni był kaleką: stracił mowę po jakimś wypadku – więc był u rodzeństwa tylko popychadłem. Natomiast Władysław był arcyhandlarzem świńmi. Żona miała trzy młodsze siostry: Paulinę, Franciszkę i Konstację.

Paulina wyszła za mąż za wdowca, Apla; ma kilkoro dzieci. Sama miała z nim dwie córki i syna: Wandę, Janinę i Stasia. Wkrótce owdowiała i powtórnie wyszła za mąż za Młynarczyka, z którym miała jedną córkę – Irenkę. I ten drugi mąż zmarł, więc powtórnie została wdową – tym razem już do śmierci.

Druga siostra żony, Franciszka, wyszła za mąż za Petkiewicza, który uprawiał handel świńmi, końmi i wszystkim, co się dało. Handlował z przemytnikami, którzy puszczały to wszystko za zieloną granicę do Prus. Trzeba trafu, że jego współnika z powodu jakiegoś zatargu zabili żołnierze na granicy. Żona zabitego wniosła do Petkiewicza pretensję, że jeśli nie zaspokoi jej roszczeń, to wyda go przed władzami i on także wsiąknie. Petkiewicz musiał wypłacić babie przeszło trzy tysiące rubli – a w owych czasach trzy tysiące rubli to był majątek. Poszło na to wszystko, co zdołał uciułać przez kilkanaście lat przemytnictwa – tak że Petkiewicz został z dnia na dzień dziadem: a był najbogatszym człowiekiem w Myszyńcu.

Najmłodsza siostra, Kostusia, wyszła za mąż za starego kawalera – Archackiego, z którym miała dwóch synów: Zygmunta i Władysława. Władysława Kostusia wy kierowała na księdza – dzięki księdzu Olendrowi, który wówczas był wikariuszem w Myszyńcu i pożyczal od Kostusi pieniądze. Kostusia liczyła, że dzięki synowi-księdzu łatwiej dostanie się do nieba. Ale się grubo pomyliła, bo dziś jej synek – jako ksiądz – wstydzi się własnej matki, że jest chamką. Zygmunt ożenił się dopiero teraz – tj. w 1956 roku.

Brat żony, Władysław, który odziedziczył całą fortunę po rodzicach, ożenił się bardzo późno: miał chyba ze 40 lat. Wziął sobie za żonę piękną Kurpianeczkę z Brzozowego Kątu z parafii czarnieńskiej. Zaczęły mu się sypać dzieci, ale nie zdążył ich odchować, bo wkrótce zmarł, zostawiając całą tę drobnicę młodej kobiecie. Toteż umierając prosił całą rodzinę o opiekę nad nimi.

Jak wspominałem, po okwitnięciu w moim domu róż zaczęły wyzierać kolce. Żona nie była wrogiem mojej rodziny, ale wołała, żebyśmy mieszkali sami. Moja Matka była awanturnicą – więc trafiła kosa na kamień. Zaczęło się piekło, a ja znalazłem się między młotem a kowadłem: żal żony, żal i Matki. Zacząłem coraz więcej pić i robić różne głupstwa: a to połamane jakiś mebel, a to potłukłem jakieś naczynie.

67. Wyjazd siostry

Mamy rok 1911. W tym roku ludzie masowo wyjeżdżali za granicę. Nie było dnia, żeby nie szedł transport z ludźmi do granicy celnej. Jechały nawet dzieci.

Postanowiła wyjechać również siostra Genia. Łatwo powiedzieć: „Pojadę”. Ale za co? Miałem trochę uciulanego grosza, ale pochłoneń go niefortunne przedsięwzięcie ze sklepem, o którym pisałem wyżej. Żona być może miała jakieś pieniądze, ale nie śmiałem jej prosić o te zas... 175 rubli, bo tyle kosztowała opłata wizy do Ameryki czy Kanady. Rodzina żony była zamożna, tyle że na kawałek kielbasy z jej strony można było liczyć, ale na parę rubli – nigdy; wyjątkiem był ksiądz Olender, któremu pożyczano, ile chciał. Archacka miała pieniądze, ale też wolała dać kawałek słoniny czy kielbasy – na odczepnego.

Więc co miałem robić, skoro za ślub brało się rubla, a za pogrzeb – pół? A rodzina już się powiększyła: mamy już dwoje dzieci – Antolka i Irenkę. Obleciałem całą parafię, ale żaden Kurp nie chciał mi pożyczyć. Rad-nie-rad ośmieliłem się poprosić proboszcza. Skrzywił się, ale – dał. Opłaciłem agenta, wykupiłem wizę i pewnego pięknego poranka odprowadziliśmy siostrę Genię do Prus. Na komorze celnej pożegnaliśmy się – być może na zawsze; Rodzice w każdym razie nigdy już jej nie ujrzeli.⁸

68. Rozstanie z Rodzicami

Po odjeździe Geni stosunki między żoną a Rodzicami znacznie się pogorszyły. Doszło do tego, że wyprowadzili się w końcu do wsi Surowa, pięć kilometrów od Czarni, gdzie znalazłem im mieszkanie. Jak już wspomniałem, Kurpie w naszej parafii się rozbudowywali; Ojciec więc – jako mularz – mógł mieć dość pracy i jako tako ułożyć sobie życie. Ale Kurpie – to naród ostrożny: bardzo rzadko powierzali pracę Ojcu. Dopiero kiedy proboszcz zarekomendował go z ambony – ale niezbyt chętnie, choć zimą Ojciec zrobił mu eleganckie gościnne sianie – miał trochę więcej zamówień. Dzięki temu mieli trochę grosza – a resztę ja im dodawałem.

Niestety wkrótce Ojciec zaniemógł: wywiązała się z tego choroba. Sprowadziłem lekarza z Myszyńca, który orzekł, że stan nie jest groź-

⁸ W istocie nigdy już nie przyjechała do Polski.

ny, ale choroba się przeciągnie, bo pacjent jest osłabiony fizycznie. Po jakimś czasie Ojciec zażądał kapłana. Żał mi się Go strasznie zrobiło, bo Ojciec wówczas nie był jeszcze stary, tylko wyczerpany niepowodzeniami. A wszystko przez swoją Żoneczkę. Kiedy zwróciłem się z prośbą do proboszcza, żeby pojechał do Ojca z ostatnim wiatykiem, zgodził się, ale pod warunkiem, że postaram się o furmankę. Kiedy to usłyszałem, wrzuciło mnie w gorączkę: „Ach, ty chol...! Masz aż 7 koni i nie raczysz pojechać nimi do ojca swego organisty!”. Ale furę znalazłem i ksiądz do Ojca pojechał. Od tej pory jednak straciłem do niego zupełnie serce – i miałem czwarty powód do zemsty: teraz powiedziałem sobie już stanowczo, że przy lada okazji go porzucę.

Ojciec po maleńku – jak przewidywał lekarz – zaczął przychodzić do zdrowia. Kiedy już wyzdrowiał zupełnie, ściągnąłem – wbrew woli proboszcza – Rodziców z powrotem do Czarni: wynająłem im samodzielne mieszkanie niedaleko organistówki.

Brat Janek zaczął usługiwać do mszy św. Chciałem go stopniowo wykierować na organistę. Ale z takim diabłem nie można sobie było poradzić! Do mszy służył jednak codziennie. Mimo to proboszcz nigdy mu za to nic nie dał – ani nigdy do siebie nie zaprosił. A nieraz zdzielił go po łbie, gdy się spóźnił na mszę.

Siostra Genia po wyjeździe do Ameryki blisko rok nie dawała znaku życia.

69. Ulubienica gosposi

Opiszę teraz konflikt mego proboszcza ze swą gosposią. Działo się to już po moim wyjeździe, ale całą historię opowiedział mi w szczegółach pewien mieszkaniec Myszyńca, a i siostry żony wszystko potwierdziły.

Otóż w owych czasach jeździły po Polsce różne ogładzone i mniej lub bardziej wykształcone panusie – stare panny, dewotki, a nawet zakonnice – które naprawiały bieliznę, aparaty liturgiczne i w ogóle wszystko, co się wiązało z kościołem. Wozili ze sobą własny materiał do tych napraw: jedwab, nici itp.

Kiedyś taka damusia – dosyć młoda i ogładzona panna Helena – zjawiała się w Czarni. Kurpie nazywali ją wprost Heleną, bo oni inaczej do ludzi się nie zwracali, jak po imieniu – oczywiście oprócz probosz-

cza, którego tytułowali „Ojculkiem-Ksiatuskiem”. Panna Helena od razu podbiła całą służbę na plebanii: wszyscy ją ubóstwiali. A sama gosposia tak się w niej zakochała, że razem spały, jadły z jednego naczynia, a nawet dzieliły się każdym jabłkiem – i razem wszędzie chodziły: do kościoła i na spacer.

Po pewnym czasie jednak robota panny Heleny zaczęła się mieć ku końcowi. Wtedy gosposia zwróciła się do proboszcza z prośbą, żeby pannę Helenę zatrzymał na stałe w Czarni. Proboszcz kazał się jednak gosposi zastanowić, czy jest pewna, że to jej wyjdzie na dobre – i dał jej tydzień do namysłu. Po tygodniu gosposia ponowiła prośbę, więc proboszcz wezwał do siebie pannę Helenę i w obecności gosposi zaproponował jej pozostanie w Czarni. Ta objęła obie namaszczone świętymi olejami ręce, długo je trzymała i całowała – i przyjęła propozycję. Proboszcz złożył swój kapłański pocałunek na czole panny Heleny i w ten sposób została ona rezydentką na plebanii.

Dopiero wtedy zaczęła rozwijać skrzydła przebiegłości.

70. Niewdzięczność

Gosposia chodziła codziennie do kościoła na mszę; panna Helena – tylko w niedzielę. Ale za to czyściła starannie buciki proboszcza, a kiedy był już ubrany – poprawiała suknię i strzepywała z niej najmniejszy pyłek. I była pierwsza w całej plebanii na nogach. Po pewnym czasie nawet Andzia – wierny pies proboszcza – nie mogła równać się z panną Heleną, tyle że miała ona swoje odrębne funkcje i nie zakłócało to harmonii ich stosunków. Ale sytuacja gosposi stawała się z dnia na dzień coraz bardziej krytyczna.

W końcu gosposia zrozumiała, że popełniła błąd. Postanowiła więc działać.

Poprosiła proboszcza o rozmowę w cztery oczy i zażądała tym razem usunięcia panny Heleny. Ale proboszcz wylał na nią kubel zimnej wody, mówiąc, że jest z panny Heleny zadowolony i że nie ma zamiaru cofnąć danego jej słowa. I dodał: „Nie usuwam gosposi – więc o co chodzi? Zrobiłem dla gosposi dużo. Opłaciłem wszystkie koszty wyjazdu do Ameryki kuzynki gosposi, Geni. Czego więcej ode mnie gosposia oczekuje? Zamiast mi się odwdziaczyć, przychodzi gosposia

z coraz to nowymi zachciankami!” A gosposia na to: „Panna Helena koło proboszcza tańczy, skacze i lata – żeby się mu przypodobać! Nie mogę na to patrzeć!”. Proboszcz: „Panna Helena pracuje, bo nie chce darmo jeść chleba”. Gosposia: „Dwie gospodynie nie mogą być u jednego proboszcza. Jeśli ksiądz jej nie usunie, to ja będę zmuszona ustąpić.” Wtedy proboszcz: „Ha! To co innego! Ja gosposi ani nie wyganiam, ani nie wiążę! Niech gosposia postąpi tak, jak uważa za stosowne.”

Teraz wszystko poszło szybko.

Gosposia zrobiła kilka awantur pannie Helenie; w końcu zażądała od proboszcza odszkodowania, a kiedy ten dał jej tyle, ile zażądała – i jeszcze coś w naturze – opuściła plebanię. Zamieszkała jednak niedaleko kościoła. Widocznie liczyła na to, że proboszcz przyjmie ją jednak z powrotem – ale to nie nastąpiło. Finanse tymczasem się wyczerpywały, bo nic nie robiła. Pewnej nocy wpadła w szał i potłukła wszystkie szyby w oknach plebanii. Gdzie się podziała cała jej pobożność i codzienne komunikowanie się? Za ten nieroztropny figiel została aresztowana i wywieziona do Myszynca. Proboszcz jednak zatuszował całą sprawę, puszczono ją wolno – ale nakazano, żeby do Czarni nie wracała. Zamieszkała na z górą rok w Myszyncu. Popadła tam w skrajną nędzę – tak że meła w żarnach żyto na kaszę. W końcu wyjechała do swego rodzinnego miasta Pułtusza i wieść o niej zaginęła.

71. Do chorego czy na polowanie

Historia, którą teraz opiszę, zdarzyła się za mojej bytności w Czarni.

Parafia myszyniecka była wówczas jeszcze bardzo duża: ciągnęła się aż pod Kadzidło i Czarnię. Przy kościele w Myszyncu było stale trzech księży. Kiedy księża z Myszynca w karnawale objeżdżali swoją parafię po kolędzie, to często zatrzymywali się w Czarni na noc.

Otóż kiedyś po takim noclegu i odprawieniu porannej mszy w naszym kościele wikary miał udać się w dalszy objazd; kiedy przyjechała po niego furmanka, okazało się, że potrzebny będzie Przenajświętszy Sakrament, bo we wsi, do której mieli się udać, jest chory. Ale wikary jadąc na kolędę nie wziął ze sobą potrzebnych aparatów liturgicznych: komży, stuły, krzyża, biretu na głowę i rytualiku, tj. małej książeczki. A do chorego potrzebna jeszcze była bursa, tj. mała torebka na komuni-

kant czyli Przenajświętszy Sakrament w pozłacanej metalowej patencie, oraz dwa metalowe naczynka ze św. olejami, wata, puryfikaterz, tj. ręczniczek, i maleńki dzwoneczek. Ksiądz wikary nic z tych rzeczy nie miał – ale o fuzji nie zapomniał. Wypożyczył więc je od naszego proboszcza. Wziął Przenajświętszy Sakrament, wsiadł na furę, obok umieścił dubeltówkę i odjechał. Wspominałem już że w owych czasach bywały srogie zimy. A że naokoło były lasy, łatwo było upolować zwierzynę.

Po pewnym czasie kiedy mój proboszcz był w Myszyńcu, upomniął się o wypożyczone aparaty. Ale ów wikary oddał mu tylko komżę, stulę i krzyż. Co się stało z pozostałymi rzeczami – to się wyświetliło dopiero na wiosnę. Podwórze plebanii w Czarni styka się z cmentarzem kościelnym: wystarczy otworzyć furtkę i jest się już cmentarzu. Pewnego ciepłego marcowego dnia, kiedy stał już śnieg, służąca Andzia z innymi dziewczynami zamiatały podwórko wokół plebanii. Nagle Andzia zauważyła coś świecącego. Dała znać proboszczowi, który w świecącym przedmiocie rozpoznał swoje naczynko do wkładania Przenajświętszego Sakramentu, które zimą pożyczył myszyńskiemu wikaremu. Mimo poszukiwań – reszty aparatów nie odnaleziono; nie ulegało jednak wątpliwości, że wypadły one wikaremu, zanim opuścił podwórko plebanii. Prawdopodobnie zostały rozwleczone i podarte przez jakieś domowe zwierzę.

Co więc ksiądz choremu dał zamiast komunikanta? Jak go obsłużył bez odpowiednich przyrządów? Jak obchodził się z tą świętością?

Ale ksiądz nie musiał się tym wszystkim specjalnie przejmować. Wystarczyło, że wszedł na ambonę i przeżegnał się – a już Kurpie truchleli. A gdy był w połowie kazania – wszyscy ryczeli jak bydło.

72. Zemsta Moskali

Mamy rok 1914. Na Rosję uderzyły naraz Niemcy i Austria. Francja poszła na Niemcy, a Anglia – jak zawsze – czekała osłabienia państw ościennych.

Na razie u nas – przy granicy pruskiej – jest jako-tako. Ale z każdym dniem robi się cieplej: stałe podjazdy zarówno jednych, jak i drugich. Wpadają Rosjanie, pytają, czy był Германец i odchodzą; potem wpadają Niemcy, pytają, czy był Russ i cofają się. I tak w kółko. Nie bardzo wiadomo z kim trzymać stronę. Coraz częstsze potyczki patro-

lowe i strzelanina, ale po większej części Niemcy wyłapują podjazdy rosyjskie. Wygląda na to, że Moskale są bezsilni.

W tym czasie pewnemu przemytnikowi-Kurpiowi zdarzył się następujący wypadek. Był to wspomniany już bractewny – Franciszek Ropiak.

Jeszcze przed wojną uprawiał on przemysł ludzi i – czasem – towarów. Dorobił się dzięki temu kawałka ziemi w Surowem, dosyć ładnie się na niej wybudował i osiadł wraz z żoną i dziećmi. Przed wojną szczęście mu sprzyjało: pieniędzy miał tyle, że nawet i proboszcz od niego pożyczał na umeblowanie kościoła. Zgubiła go chciwość: przypłacił ją najpierw zdrowiem, a potem – życiem.

Jak przeprowadzał ludzi przez granicę musiał podać strażnikom-Moskalom ich liczbę i odpowiednio opłacić za przejście. Żołnierze nie zawsze to kontrolowali i Ropiak począł ich oszukiwać. Kiedy Moskale go przyłapali na oszustwie – zagrozili, że jeśli to się powtórzy, gorzko pożałuje. Ale on nie wziął sobie do serca ostrzeżenia – i w końcu wpadł. Został za to tak zbity, że musiał aż prosić księdza. Jakoś się w końcu wylizał, zwąchał się z powrotem z Moskalami i – mimo ostrzeżeń księdza – zaczął znowu uprawiać swój proceder.

Przyszła wojna; żołnierze, z którymi współpracował Ropiak zostali wcieleni do позветки (zwiadów). Skończyły się złote czasy i dochody – i Ropiak przestał być im potrzebny. Ale postanowili skorzystać z okazji i odpłacić mu za jego szwindle. Gdyby opuścił pas nadgraniczny i wyjechał do centrum Polski, może by ocalał. Ale on pozostał na miejscu, licząc może, że wojna się prędko skończy. W końcu – choć często nocował w lesie – Moskale dosięgnęły go we własnym domu. Przywiązali za nogi do konia, którego puścili biegiem po pniach, których tam było pełno. Z Ropniaka zostały tylko strzępy ciała: wszystko po kolei odpadało – ręce, nogi itd. A rodzinie kazali przyglądać się jego męce.

Taki był koniec naszego bractewnego, a zarazem przemytnika, który i mnie z siostrą przeprowadzał do Prus.

73. Żądza bogactwa

Opiszę jeszcze jedno straszne zdarzenie sprzed mojej bytności w Czarni.

Kiedys wracał jakiś obywatel z Ameryki i zatrzymał się nad granicą u pewnego Kurpia – w parafii Czarnia – przed dalszą podróżą w głąb

kraju. Ów Kurp w nocy – kiedy gość spał – zakołatał go i pochował, a dolary zabrał. Opowiadał mi o tym sam proboszcz.

Kurpie to chciwy i chytry naród!

I jeszcze jedna historia.

Działo się to na rok przed wojną. Zaznaczyłem wyżej, że mój proboszcz – już za moich czasów – uzupełniał umeblowanie kościoła. Meble zostały zamówione w Radomiu i stamtąd nadeszły: wszystkie trzy ołtarze, ambona, chrzcielnica, obydwie balustrady – tj. przed wielki ołtarz i chór – ławki i konfesjonały. Przyjechał główny majster-stolarz z robotnikami i wszystko to zostało zestawione i uporządkowane. Zawiesili też dwa piękne żyrandole i lampiarz do wiecznej lampy przed wielkim ołtarzem.

W miesiąc po ich wyjeździe wzywa mnie do siebie proboszcz, wręcza dwa i pół tysiąca rubli i mówi: „Odnies tę kwotę do Myszynca i wyślij do Radomia, do firmy, która robiła meble do kościoła!”. Za taką kwotę można było wówczas kupić pierwszorzędną gospodarkę. Cemu ja z tymi pieniędzmi – będąc tak blisko granicy – nie machnąłem do Ameryki? Przecież za te pieniądze zaniesiono by mnie w worku na kraj świata! A dla uspokojenia sumienia mogłem po pewnym czasie tę kwotę odesłać proboszczowi! Ale moje wychowanie i zasady moralne, które wyznawałem, nie pozwoliły mi na taki czyn. Taka sposobność zdarza się w życiu tylko jeden raz...

Wykorzystał taką sposobność pewien organista, który prowadził Kasę Stefczyka w swojej parafii. Otóż ów organista buchnął z niej tysiąc rubli i machnął do Ameryki. Po roku napisał, że gdyby nie te pieniądze, nigdy by nie zobaczył Ameryki. A pieniądze odesłał i serdecznie za nie podziękował.

Dziś żałuję, że nie zrobiłem – jak on.

74. Ucieczka przed pożogą wojenną

Na granicy tymczasem trochę ucichło. Nie widać patroli: ani niemieckich, ani rosyjskich.

Aż tu nagle pojawia się potężna armia generała Samsonowa i przez Myszyniec – a częściowo też przez Czarnię – wkracza do Prus. Po dwóch tygodniach armia ta została w Prusach rozbita – na skutek zdrady

dy Samsonowa.⁹ Resztki armii cofały się znowu przez Myszyniec – tak że słyhać było salwy armatniej i widać było powstające pożary.

Wtedy postanowiłem opuścić Czarnię i przedostać do centrum Polski. Było nas siedmioro: my, Rodzice i trójka dzieci – Antolek, Irenka i Genia. Spakowaliśmy swój martwy dobytek – odzież i żywność – i zabraliśmy ze sobą krowę. Wszystkie graty pozostały na miejscu.

Poszedłem pożegnać się z proboszczem: był na łące. Rozplakał się, ale dla mnie wybiła godzina zemsty: ja nie płakałem, choć w duszy żał mi się go zrobiło. Uważałem, że skoro mnie ze sobą zabrał, to powinien był mnie inaczej traktować. A tymczasem proboszcz miał wszystko – ja nie miałem nic. Proboszcz był magnatem – ja byłem żebrakiem. Kurp nie dał więcej jak jeden snopek: miałem z całej parafii sześć korców zboża. A dochody – to nawet pisać nie warto. Nie wiedziałem, co mnie czeka – ale ani przez chwilę nie dopuszczałem myśli, że wrócę do Czarni. Liczyłem na to, że w centrum znajdę jakąś posadę – i to lepszą od Czarni – bo przecież niejeden organista musiał pójść na front. I tak było. Nie mogłem jednak zbyt wybierać, bo mój kapitałik prędko się wyczerpał.

Po naszym odejściu z Czarni – do Prus poszła druga armia rosyjska i tkwiła tam cały rok. O jej rozbiciu – napiszę później.

75. W Lubielu

Myśmy zaś z Czarni trafili do Obrytego. Po drodze sprzedałem krowę, bo nie było sensu jej ze sobą ciągnąć. Było lato 1914 roku. W Obrytem wynająłem mieszkanie u jednego z gospodarzy i wszyscy w nim zamieszkaliśmy. Ponieważ akurat miejscowy organista – Zadrożny – został właśnie powołany do wojska, zaraz dostałem posadę. Ale była to posada na tydzień, bo pan Zadrożny został uznany przez komisję za niezdolnego do służby z powodu ruptury – i po tygodniu wrócił.

Po trzech miesiącach dostałem posadę w sąsiedzkim Lubielu nad Narwią. Rodzicom wynająłem tam osobne mieszkanie. W parafii lubielskiej było dużo Niemców-kolonistów, którzy porzucali swoje gospodarki i uciekali przed Moskalami do Niemiec, sprzedawszy przed-

⁹ Ściśle biorąc należałoby tę myśl – dla uniknięcia niewłaściwej interpretacji – sformułować następująco: armia rosyjska została w Prusach rozbita – na skutek zdrady, której dopuścili się oficerowie sztabowi Samsonowa.

tem żywy inwentarz. Ale zbiory pozostawili. Wójt w Lubielu zrobił spis ludności i oznajmił, że każdy kto chce, może się zapisać na takie ponemieckie gospodarstwo. Skorzystali z tego moi rodzice i dostali 10 morgów ziemi, zabudowania i zbiory – więc na razie byt mieli zapewniony. Nawet i ja wziąłem 6 morgów, ale bez zabudowań, bo miałem organistówkę i zabudowania nie były mi potrzebne.

Z posadą powiodło mi się gorzej, bo ksiądz okazał się jasną ch...: dokuczliwym draniem w skórze kapłańskiej. Nazywał się Bolesław Skarzyński i był dyplomowanym szlachcicem. W niczym nie można było mu dogodzić – ani w pisaniu, ani w kościele. Zawsze wynalazł jakąś wadę. A ja przecież znałem wszystkie obrzędy kościelne na pamięć, pięknie śpiewałem, jako-tako grałem i nieźle pisałem zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. Parafia była rozległa i liczyła pięć tysięcy dusz – o całe dwa tysiące więcej niż Czarnia. Cztery wioski były za Narwią, więc trzeba było zbiory przewozić promem, bo mostu nie było. Ale te zbiory już mi się nie dostały. A szkoda – bo ten lud mnie polubił i był ofiarny: parafianie przynosili mi mleka, masła, a nawet białego chleba i pszenne ciasta. Żona nie mogła się nadziwić – i zupełnie zapomniała o Czarni.

W Lubielu przyszedł na świat Mietek – miałem więc czworo dzieci. Mietek w dzieciństwie w nocy bardzo wrzeszczał – aż dostał z tego ruptury. Parę razy jeździliśmy z nim do lekarza do Pułtusza. Ten polecił, aby dziecko nosiło do pięciu lat pasek; potem powinno zostać poddane operacji. Ostatecznie obyło się bez operacji, choć zrośnięcie błony bez operacji zdarza się podobno raz na tysiąc przypadków.

Mamy już zimę. Jeżdżę po kołędzie z opłatkami. Wojna nadal trwa – ale daleko od nas: w Prusach. Więc u nas na razie spokój. Zebrałem kartofle – rozwiozłem opłatki. Zebrałem dzierżawę po Niemcach – nie było tego wiele: sam skosiłem trzy morgi i wyszło tylko trzy metry; nie opłacało się w ogóle najmować kośnika. Za to gryki – nad samą Narwią – miałem cztery metry. Miałem więc dosyć chleba – i do chleba. Podobnie Rodzice. Żonie kupiłem dwa większe prosiaki: było je czym tuczyć, więc rosły jak na drożdżach. Krowy nie kupowałem, bo ciągle trwała wojna.

76. Wypadki wojenne

Tak to trwało przez zimę – do połowy lata. Wtedy to cała armia rosyjska w Prusach została rozbita – a dlatego tak tam długo stała, że była

w okrążeniu. Wreszcie się wydostała z tego okrążenia i zaczęła zmiatać do Rosji przez Polskę. W Polsce powstała panika. W Rosji robią swoje Lenin ze Stalinem, ale na razie nie udaje im się zwalić caratu. Strzały armatnie słychać o kilka mil. Żołnierze rosyjscy wracają wycieńczeni. Żona utuczone karmiki zabija i – z siostrą Celką – sprzedaje słoninę i mięso żołnierzom, którzy dobrze płacą. Wreszcie główne sotnie i oddziały się przewaliły. A Rosjanie rozgłaszają wśród ludności wieści, że Niemcy mordują naród – i zaczyna się emigracja Polaków do Rosji. Niektórzy nawet rzucają gospodarstwa i jadą na wschód. I myśmy też poszli w ich ślady: zapakowaliśmy martwy inwentarz i ruszyliśmy w drogę.

Niemcy z Austriakami tak napierali, że Rosjanom wszędzie deptali po piętach. A wszyscy napotkani żołnierze rosyjscy radzili nam uciekać do Rosji, bo *Германцы Поляков мучит*.

Przekroczyliśmy więc rzekę Bug i stanęliśmy w jakimś lesie. Zbudowaliśmy tam schron i przenocowaliśmy. Rano zaszedł do nas leśniczy z miejscowej leśniczówki i oznajmił, że jesteśmy okrążeni. Nie ma mowy o wyjeździe do Rosji, bo u niego były już partole niemieckie i austriackie. Postanowiliśmy więc wracać do domu. Przez Bug trzeba się już było przeprawiać promem, bo most był zaminowany. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w Lubielu, organistówka była już zajęta – przez samego proboszcza, któremu Moskale spalili plebanię, a wszystkie książki z jego biblioteki osr... Wybili mu też cztery krowy, wzorowo hodowane – dające mleka za czternaście zwykłych. Ksiądz mnie już nie chciał przyjąć, więc zostałem znowu bez posady. Wprowadziliśmy się na razie do ponemieckiej chałupy, którą przed ucieczką zajmowali Rodzice. Kiedy trochę wypocząłem, pożegnałem się z żoną, dziećmi i całą rodziną – i wyruszyłem w świat szukać pracy.

77. W poszukiwaniu pracy

W czasie tych poszukiwań dostałem ostrej biegunki. Kiedy noco- wałem w pewnej wsi, nie zdążyłem odszukać wychodka i zasr... babie całą sień: nawet nie miałem czasu po sobie posprzątać – tylko uciekłem. Ostatecznie młody organizm wszystko przezwyciężył.

Niestety moje poszukiwania spełzły na niczym. Znajdowały się w różnych miejscach wolne posady, ale bez referencji nikt nie chciał mnie przyjąć. W końcu zjawiłem się w Broku. Kiedy stanąłem przed pro-

boszczem, ten powiada: „Szkoda, że nie przyszedł pan trzy dni wcześniej, bo już przyjąłem organistę na miejsce dotychczasowego, który wyjechał na wojnę. Niech pan się przejdzie do organistówki – może nowy organista coś panu poradzi.” Tymczasem w organistówce zastałem ni mniej, ni więcej – tylko swego dawnego pryncypała z Zator, pana Wieliszewskiego. Po przywitaniu i dwóch głębszych pytam go: „A kto po panu objął posadę w Zatorach?”. On mi odpowiada: „Na razie nikt, bo tu jestem parę dni. Dopiero jak się tu jako-tako umocnię, pojedę po żonę i dzieci.” A ja na to: „No to idę do Zator i spróbuję zająć tam pana miejsce”. Wtedy on: „Dobrze. Próbuj.”

Zauważyłem jednak, że coś tu jest nie w porządku. I rzeczywiście. Kiedy przywędrowałem do Zator, odwiedziłem najpierw panią organistkę, która mi oświadczyła, że nie wie, gdzie się podział jej mąż. Przypuszczała, że pojechał do rodziny w Kamieńczyku, skąd oboje pochodzili. Pomyślałem, że pewnie w Kamieńczyku pan Wieliszewski dowiedział się o wolnej posadzie w Broku i nie wracając już do żony, uderzył wprost do tamtejszego proboszcza. Po rozmowie z panią organistką udałem się do proboszcza. Kiedy mu opowiedziałem całą historię, robił wrażenie zdziwionego – jakby o niczym nie wiedział. Ostatecznie kazał mi, żebym za trzy dni dowiedział się, jak sprawy stoją – i wtedy miała zapaść ostateczna decyzja.

Kiedy wróciłem, cała rodzina była zadowolona, że moje poszukiwania nie okazały się daremne. Po trzech dniach zgłosiłem się do Zator, ale tam zobaczyłem swego dawnego pryncypała, który zdążył wrócić z Broku. Przeprosił mnie bardzo i oznajmił, że się z proboszczem pogodził, zrezygnował z Broku i zostaje na miejscu. Nalegał też bardzo, żebym już do proboszcza nie chodził. Powiedział: „Syp do Broku. Tam na pewno nikt jeszcze miejsca nie zajął i na pewno je dostaniesz.” Nie chciałem robić przykrości swemu dawnemu nauczycielowi i z proboszczem się już nie spotykałem. Pożegnałem się z panem Wieliszewskim – i udałem się po raz drugi do Broku.

Sklaniało się już ku wieczorowi. Ponieważ dobrze znałem te okolice, poszedłem na skróty do Wyszkowa, skąd do Broku było tylko pięć mil. Dawna mila liczyła 7 wiorst – od Wyszkowa pozostało więc około 35 wiorst czyli jakieś 38 km. Kiedy dojechałem pod Wyszków, robiła się noc. Do wioski nie mogłem już pójść, więc postanowiłem przenocować

w polu. Znalazłem sobie stertę słomy, zakopałem się w niej i przespałem do rana. Rano poszedłem w kierunku Wyszkowa, gdzie dowiedziałem się, że panuje tu epidemia duru brzuszego. Wypiłem więc jeden głębszy, zakąsiłem, popiłem szklanką herbaty – i w drogę. Okolice były już pod okupacją niemiecką; nikt nie wyruszał w dalszą podróż – więc całą drogę szedłem pieszo: nigdzie nie spotkałem żadnej furmanki.

Kiedy przyszedłem do Broku, było już dość późno. Ale jeszcze można było się zgłosić do proboszcza. Zaszedłem więc do niego: przyjął mnie względnie uprzejmie. Opowiedziałem mu szczegółowo o swoim położeniu. A on powiedział: „Proszę pana! Dziś jest wojna, niby skończona, ale Niemcy jeszcze okupacji nie zdjęli, więc włóczę się po świecie rozmaici ludzie. Wierzę w to, co mi pan powiedział, ale muszę jednak zachować ostrożność. Jeżeli zgodzi się pan na moje warunki i wywiąże z nich dobrze, to pana przyjmę i będzie pan u mnie pracował. A te warunki są takie. Pobędzie pan tutaj jakiś czas sam, bez rodziny, aż dostatecznie pana poznam. Jeśli wszystko będzie w porządku, sprowadzi pan rodzinę. Myślę, że ten okres próbny nie potrwa długo. Zgoda?” Zgodziłem się na te warunki i pozostałem.

Spełniałem wszystkie obowiązki organisty. Jadałem, gdzie się dało: i u proboszcza, i u znajomych, których na miejscu poznałem. Nocowałem u proboszcza na sianie w stodole, a że to było lato – było mi przyjemnie spać na świeżym powietrzu. Po dwóch tygodniach proboszcz mi oświadczył, że mogę pojechać po żonę i dzieci, i wprowadzić się do organistówki. Kiedy do nich przyjechałem, wszyscy się zdziwili, że zamiast w Zatorach objąłem posadę w Broku. Z żoną, dziećmi i kochanym braciszkiem Jankiem zamieszkałem w organistówce, a Rodzice przez pewien czas zostali na poniemieckiej gospodarce. Pod okupacją niemiecką dawni koloniści-Niemcy wrócili jednak na swoje dawne gospodarstwo i rodzice musieli ustąpić. Do mnie się nie sprowadzali, bo zbyt dobrze poznali już księży-chleboborców. Osiedli więc w wiosce Ochudnów w parafii wyszkowskiej. Ojciec, póki jeszcze mógł, zarabiał na mularce. A dla mnie rozpoczął się nowy rozdział życia.

78. W Broku

Parafia nie była zbyt bogata, ale z Czarnią nie było porównania. Zawsze było pięć tysięcy dusz. Objazd parafii nie był tak uciążliwy jak

w Czarni, bo wioski były w kupie, a nie rozrzucone – jak tam. Polubili mnie ludzie – i księża. A ja nie szczędziłem zdrowia i głosu. Bawiłem się w chóry i imprezy-teatryki amatorskie – często w nieopalanej remizie strażackiej. Odbiło się to na moim zdrowiu, ale dopiero później.

Proboszczem moim w Broku był ks. Kuskowski, który miał gosposię Krajewską – rzekomą wdowę z dwojgiem dzieci. Podobnie ks. wiary Krakowiak miał dwoje dzieci, ale że był młodszy i silniejszy od proboszcza – trzecie było już w drodze.

Ale o tym – dalej.

79. Uratowane dziecko

Mamy rok 1915. Przychodzi na świat moje piąte dziecko – Zygmus.¹⁰

W Polsce okupowanej przez Niemców zaczęła wtedy grasować epidemia hiszpanki. Kto tę hiszpankę przechodził i ją przeziębiał, zapadał na tyfus plamisty – i kłapa. Nieraz prowadziłem na cmentarz i siedem trumien, a kiedy się za siebie obejrzałem, to ciarki przechodziły mi po skórze. W Broku było wtedy dużo wypadków tyfusu. To dziwne: ludzie słabi, bladzi i mniej krwisi, tę chorobę przechodzili lżej i zdrowieli. To samo dotyczyło nałogowych pijaków, których po większej części tyfus się nie imał. Natomiast ludzie czerstwi i krwisi – padali jak muchy.

Zygmus, w pół roku po przyjściu na świat, dostał dezynterii, biegunki. Dziecko z każdym dniem robiło się coraz słabsze. Żaden z lekarzy z Ostrowi nie był w stanie nic poradzić. A trzeba dodać, że moja żona wszystkie dzieci wykarmiła własną piersią. Zaczęliśmy mieć wątpliwości, czy uda nam się Zygmunta uratować.

Trzeba trafu, że chorego na tyfus Żyda wizytował w Broku pewien lekarz niemiecki. Wtedy żona wzięła Zygmunta na rękę i poszła pokazać go temu lekarzowi. A lekarz obejrzał i dziecko, i matkę. Przy pomocy tłumaczki orzekł, że jedynym sposobem uratowania Zygmunta jest znalezienie dla niego mamki. Jest zbyt osłabione, ma biegunkę i podawanie mleka z butelki pogorszy tylko jego stan. I dodał: „Jest pani już w ósmym miesiącu ciąży. Więc pani mleko dziecka nie odżywia, lecz je zabija.”

¹⁰ W istocie Zygmunt urodził się w 1916 roku.

Niełatwo znalazłem kobietę, która zgodziła się karmić nasz szkielecik. Mamką została w końcu pewna starsza panna – karmiąca swoje nieślubne, półroczne dziecko. Zapewniliśmy jej dobre utrzymanie, żeby miała tyle pokarmu, aby starczyło dla dwojga dzieci; zresztą jej dziecko było zdrowe i mogła je dokarmiać z butelki. Na początku z karmieniem Zygmunta były kłopoty; miał już ponad pół roku, więc był na tyle rozumnym dzieckiem, że trzeba było go w kołysce zakrywać lekkim nakryciem, żeby nie zauważył, że karmi go nie matka, lecz ktoś obcy. Poza tym pierwsze porcje mleka dziecko oddawało. Na szczęście stopniowo wymioty ustały, chłopiec wyzdrowiał i z każdym dniem się poprawiał. Wszystko to nie było przyjemne dla żony, która uroniła po kryjomu niejedną łzę, ale dla ratowania dziecka rodzic wszystko jest gotów poświęcić.

Trzymaliśmy nianię rok i siedem miesięcy, a trzeba przyznać, że kiedy się odgryzła i rozumiała, że zależy nam na jej łasce, pozwalala sobie nieraz na bardzo wiele. Braciszek Janek do chwili powołania do wojska wychowywał się u mnie. Wychowywał się – to za dużo powiedziane, bo był łajdakiem od dzieciństwa. (Pozostał nim zresztą do dziś.) Otóż panna niania, kiedy się u mnie odżywiła, posunęła się nawet do tego, że smarkacza Janka w mojej stodółce, na miękkim sianeczku, nauczyła... pierwszej moralności.

80. Córeczka

Mamy rok 1916.

W tym roku przyszło na świat nasze szóste dziecko – Janinka.¹¹ A więc miałem sześcioro dzieci. Jak mówi przysłowie: co rok – to prorok. Jedno dziecko od drugiego było starsze o rok, a niektóre nawet i mniej. Była to straszna drobnica, więc żona nie mogła sobie sama z nią dać rady. Mieliśmy więc zawsze dwie służące do pomocy. Poza tym każde dziecko – powtarzam: każde – było okupione doktorami, na których wydaliśmy masę pieniędzy. Poszły trzy krowy, poszły karmiki.

Ostatniego karmika – a był duży, od ogona do łba dał równy towar – zabrali mi Niemcy. Rzecz w tym, że na mocy rozporządzenia władz okupacyjnych każdy, kto chciał sobie zabić wieprza, musiał go

¹¹ Właściwie urodziła się w 1918 roku.

zaprowadzić do szlachtarza, ten go zabijał i jeśli okazało się, że mięso jest zdrowe, można było towar zabrać – po opłaceniu szlachturowego. Otóż w moim wieprzu znaleziono trzy wągry i to wystarczyło, żeby mi wieprza skonfiskować i zabrać do Ostrowi. Wypłacono mi tylko 113 marek niemieckich odszkodowania, za które można było kupić guzik z pętelką.

Dla nich był dobry, dla mnie – nie.

Niestety Janinki nie zdołaliśmy uratować: zmarła po półtora roku na zapalenie nerek.

81. Upadek caratu i wskrzeszenie Polski

Mamy rok 1917. W Rosji wypadła rewolucja. Lenin zważył carat i zaprowadził wraz ze Stalinem dyktaturę. A u nas szaleje hiszpanka i tyfus.

W tym czasie była u nas za służącą kuzynka żony – Krajewska.

W roku 1918 Niemcy skapitulowały. Akt kapitulacji z Francją podpisany został w Lasku Bulońskim. Francja odzyskała Alzację i Lotaryngię. Wszędzie rozruchy i strajki. Węgry odpadły od Austrii. W jej ślady zamierzają pójść Czechy.

Piłsudski organizuje w Małopolsce pierwsze legiony i przy ich pomocy zaczyna rozbrajać Niemców w Polsce. Z tym rozbrajaniem była istna pociecha, kiedy Niemcy musieli składać broń przed takim młodym państwem – jak Polska. Byłem i ja przy takim rozbrajaniu.

Piłsudski dochodzi następnie do władzy i zostaje pierwszym Marszałkiem Polski. Wszyscy go ubóstwiają; wszyscy zaciągają się pod jego sztandary. Niemcy opuszczają Polskę. Polska odzyskuje niepodległość: 30 milionów ludności – terytorium od Poznania do Wilna, kawał Ukrainy ze Lwowem i nieco morza – Bałtyku, a więc dosyć duże jak na pierwszy raz.

Mój brat Janek odchodzi do wojska.

82. Choroby dzieci

A hiszpanka z tyfusem wciąż szaleje. Nie ominęła i mego domu. Zachorowałem ja, żona, Irenka, Genia i Mietek. Pozostali na razie tylko: służąca, Antolek i Zygmunt. Zabrakło oddzielnych łóżek, toteż oboje z żoną leżeliśmy na jednym. Mnie uratowało to, że codziennie sobie

wypijałem głębszego, a żonę – że nie była mocno krwista. Nastąpiło wreszcie przesilenie – i żona wstała, ale ja jeszcze niedomagalem.

I wtedy przysłała depesza, że zmarł Ojciec. Żona więc na drugi dzień wyjechała furmanką na pogrzeb. Kiedy już odjechała, zrobiło mi się bardzo smutno i podążyłem za nią drugą furmanką, chociaż miałem jeszcze gorączkę 38°. Ojciec został pochowany w Wyszku. Wracając zabraliśmy ze sobą Matkę. Siostra Celka była już wówczas zamężna, więc została z mężem na miejscu.

Tymczasem u Irenki rozwinął się tyfus i dostała zapalenia opon mózgowych. Była trzy miesiące w szpitalu w Warszawie. Chorowała cały rok.

Po roku zachorował też Antolek – na dur brzuszny. Dur brzuszny różni się od tyfusu plamistego tym, że przy tyfusie po 18 dniach następuje kryzys i albo się polepsza, albo następuje śmierć; natomiast na dur brzuszny można chorować i pół roku, a temperatura także utrzymuje się 40°. Przetrwa to tylko ten, kto ma silne serce i zachowuje ścisłą dietę. Antolek przeleżał całe sześć tygodni, ale dzięki odpowiedniemu reżimowi – wyzdrowiał. Cóż, kiedy zapadł zaraz na jakąś nową chorobę, która rano go opuszczała, po południu trzęsła, a po pewnym czasie wrzucała w gorączkę 40°. Na drugi dzień spadała do 37° i tak w kółko.

Sprowadziłem trzech lekarzy z Ostrowi, ale nic nie potrafili pomóc. A Antolkowi od gorączki oblażył język, z dziąseł zrobiła się sama rana, zaczął chudnąć i opadać z sił. Co tu robić? Pojechałem jeszcze raz do Ostrowi, do samego lekarza powiatowego – Szaykowskiego. Po drodze opisałem przebieg choroby. Po przyjeździe zbadał Antolka, a ja powiedziałem: „Panie doktorze! To chyba musi być malaria!”. A on na to: „Zgadł pan”. A inni lekarze leczyli go na... nerki. Oto na jakim poziomie była w Polsce – i jest do dziś – medycyna. Doktor Szaykowski przepisał jakieś lekarstwo i chininę. Po zażyciu chininy – jakby ręką odjął. Były jeszcze ataki, ale z każdym dniem mniej – aż w końcu ustały zupełnie. I w taki sposób uratowałem Antolka. Antolek chodził już do szkoły i pływał łódką po Bugu – i tam właśnie złapał malarię. Było z nim jeszcze dużo subiekcji, zanim pogoili się język i dziąsła.

Odtąd nastąpiła u nas przerwa w chorobach – jeśli nie liczyć różnych drobnych zachorowań dzieci na dyfteryt i odrę.

83. Wojna polsko-bolszewicka

Niestety! Na świecie zawsze się znajdują jednostki, które dorywają się do władzy po to, żeby zakłócić spokój. Właśnie taki konflikt wywołał Lenin z Piłsudskim w 1920 roku. Olbrzymia Rosja, ale wyczerpana wojną domową, nie mogła poradzić sobie z młodzieńką Polską. A ta, choć dopiero wyszła z pieluszek – pod dobrym wodzem, Piłsudskim – grzała bolszewików okropnie. Niestety Piłsudski zagalopował się zbyt daleko – bo aż pod sam Kijów. Gdyby miał wystarczającą pomoc ze strony aliantów, na pewno by więcej wygrał. Któż jednak dba o Polskę! Ostatecznie można liczyć tylko na własną siłę! Toteż Piłsudski musiał się cofnąć, bo groziła mu klęska: bolszewicy – choć nadzy i bosy, bez żadnego uniformu i jedynie z luźną w rękę – szli na Bapшavy i byli już w Białymstoku, a Piłsudski jeszcze w Grodnie i Wilnie. Wreszcie Piłsudski dotarł do Warszawy, a tu bolszewicy już na Pradze. Piłsudski spotyka się więc z generałami polskimi na moście Poniatowskiego i mówi – zwracając się do gen. Hallera: „Józiu! Ratuj! Pójdiesz na Modlin i Mławę, a ja ich zajdę od Lwowa i weźmiemy ich w okrążenie!”. To była prawdziwa taktyka wodza. Bolszewicy nie mieli wyjścia i cała armia musiała przekroczyć granicę pruską, bo inaczej zostałaby wybita lub musiałaby się poddać. Niemcy bolszewików wpuścili, rozbili i puścili wolno.

Lenin – bojąc się o siebie i lękając się, że wybuchną rozruchy – poprosił Piłsudskiego o pokój na 25 lat. Polska pozostała w takich granicach, jakie zakreslił jej Piłsudski w 1918 roku.

84. Prześladowania bolszewickie

Kiedy bolszewicy wracali spod Warszawy, poddawali prześladowaniom niektórych Polaków – przeważnie księży, obszarników – jako tzw. zdrajców rewolucji. Mój proboszcz w obawie przed tymi prześladowaniami uciekł i siedział trzy noce z kurami na grzędzie, a później przeleżał parę dni u kościelnego przebrany za kobietę. Kiedy bolszewicy szli na Warszawę – nie tylko proboszcz, ale i ja z rodziną zmuszeni byliśmy usunąć się z Broku za Bug, bo tam było spokojniej i bezpieczniej.

Przedtem zjawił się u mnie brat Janek: szedł w tyle, za frontem. Pytam go: „Czemu nie bijesz bolszewików?”. A on na to: „A co oni

winni?”. Więc powiedziałem: „Na razie nie ma u mnie dla ciebie miejsca. Idź na front, a jak się wojna skończy, a będziesz żył, to cię przyjmę. Ale teraz nie chcę mieć przez ciebie nieprzyjemności ani od bolszewików, ani od Polaków.” I poszedł.

Pod Białymstokiem Polacy odbili wielu domniemyanych zdrajców i księży, którzy byli pędzeni od samego Płocka – jako jeńcy do Rosji. Dużo takich wróciło i do Broku. Mnie jakoś w Broku bolszewicy się nie czepiali – tylko fortepian wypożyczyli do remizy i popsuli: bo kiedy weszli, od razu musieli okazać swoją... kulturę.

85. Przygody gosposi

Mój proboszcz – to był wielki suchotnik – ale babiarz nie lada. Miał gosposię – „kieby łanię”, która zupełnie nic nie robiła. Rozumiem, że księdzu potrzebna jest gospodyni; ale taka gospodyni powinna choć czasem jakieś ciasto upiec. Tymczasem jedynym zajęciem tej gospodyni było to, że po całych dniach i późno w noc siedziała u Szwarca-sklepikarza, u którego obmawiano i spotwarzano ludzi. (Był to ojciec pięknej Kazi, przez którą otrula się w Goworowie doktorowa.) Podczas okupacji niemieckiej było trzech żandarmów; jeden z nich był rzekomo Polakiem, więc dwaj pozostali, Niemcy, posługiwali się nim jako tłumaczem. Owi żandarmi zajmowali się głównie ściganiem kontrabandy i wszystko, co było niezgodne z niemieckimi przepisami – było konfiskowane, po czym – odnajdywało się u Szwarca: wory mąki pierwszego gatunku, rozmaitych kasz i zboża; różne materiały bławatne – a nawet dywany. Szwarz ze swej strony udzielał panom Niemcom pięknie umeblowanego pokoju, gdzie przy wspaniałych trunkach mogli sobie się pobawić z pięknymi brokowaniami, między którymi była też i „Krajesia” mojego proboszcza. Nieraz przygrywałem na takich wieczorkach, a czasem grałem na doskonałym fortepianie pana Szwarca także i w dzień. Brokowiacy znienawidzili gosposię i proboszcza za te gorszące sceny. Kilkakrotnie pisali nawet do biskupa w Płocku, żeby ich z Broku usunął. W końcu biskup zażądał od proboszcza, żeby gosposię usunął. Gosposia się zalała łzami – ale proboszcz musiał się zastosować do nakazu biskupa i gosposia zamieszkała u bractewnego Kempistego, ale tylko na dzień, bo na noc zjawiała się na plebanię bawić proboszcza.

A dwoje dzieci najspokojniej mieszkało sobie nadal na plebanii. Tak to trwało trzy miesiące. Wreszcie znalazło się wyjście. Proboszcz dał gosposi arkusz papieru i powiedział: „Idźcie z nim po Broku i zbierzcie 20 podpisów od tych, którzy wam najbardziej dokuczają, a jak podpisy będą, to my z panem Jadackim resztę dokończymy sami. W ten sposób choć brokowiacy byli na swój sposób mądrzy, proboszcz zażył ich z mańki – i gospoia te podpisy zebrała. Wtedy napisał tekst listu do biskupa, że gospoia jest niewinna. A ja musiałem przepisać ten tekst tak dokładnie, żeby nie wszedł na podpisy. Przepisywałem go z tydzień. Kiedy list był gotowy, proboszcz wysłał go natychmiast do biskupa w Płocku. Ten chyba musiał zbaranieć: wczoraj obywatel brokowski pisze donos na gospoie, a dziś ten sam obywatel prosi biskupa, żeby ją pozostawić w Broku, bo jest niewinna.

Tak czy owak biskup zezwolił jej na powrót na plebanię. A wtedy gospoia zrobiła wszystkim swoim wczorajszym wrogom, a dzisiajszym dobrym przyjaciółom taką zabawę u Kempistego, że pierwszy obszarnek nie powstydziałby się takiego przyjęcia na ślubie swojej jedynaczki córki. Pito i tańczono – całą noc do rana. A jak brokowanie pili – dobrze oddaje następująca anegdota. Zwołujesz brokowiaków i mówisz im: „Mam wiadro wódki. Chodźmy na polankę za mostem, kilometr stąd – to wypijemy.” Brokowiacy idą. Kiedy dochodzimy do polanki, mówisz im: „Nie. Jeszcze nie tu. Pójdźmy jeszcze kawałek dalej.” I oni pójdą dalej bez szemrania. Kto na tę zabawę gospoie dał środki? Oczywiście proboszcz. A skąd proboszcz je wziął? Oczywiście z parafii. Po skończonej libacji gospoia triumfalnie wróciła do proboszcza i nadal uprawiała swoje nieczne zajęcie. Ja bym ją na suchej wierzbie kazał powiesić!

86. Panna i ksiądz

W Broku i okolicy było dwóch obywateli ziemskich, których można by zaliczyć do półobszarników – nazywali się: Dmochowski i Morawski. Obaj mieli braci, którzy byli kanonikami i prałatami przy kapitule biskupiej w Płocku. Przyjeżdżali oni często do Broku, ale z naszym proboszczem utrzymywali tylko oficjalne stosunki, choć on także był szlachcicem. Przeszkadzała temu gospoia. Proboszcz nieraz mówił, że przez nią cierpi, ale dlaczego cierpieć – to pozostało na zawsze tajemni-

cą. Do Broku na letnisko przyjeżdżał też z Płocka inny ksiądz kanonik, Wójcicki, który było brokowaninem i miał tu rodzoną siostrę. Kiedyś zdarzyła się w czasie jego pobytu w Broku następująca historia. Pewnego pięknego dnia zjawiła się u proboszcza Kuskowskiego sztywna panna, mająca na oko 16-17 lat. Ale drzwi przed nią zamknięto – i nie została przyjęta. (Trzeba tu dodać w nawiasie, że i do tego przysłużyła się gospoia.) Wtedy owa panna zaczęła przed plebanią tak krzyczeć, jakby się paliło. Pół miasta zleciało się na ten krzyk. A tymczasem z jej ust popłynęły tak plugawe wyzwiska, że trudno mi je nawet powtórzyć. Najłagodniejsze były: „Ty stary kajdaniarzu! Ty złoczyńco!” I do tego: „Po coś mnie wydał na świat!” Wolałabym być córką opryszka, który ma pod sobą dwunastu zbójców!” (Okazało się, że to była córka proboszcza.) Proboszcz zakopał się głębiej myszy, a i gospoia z dziećmi gdzieś przepadła. Nikt z plebanii nawet nie wyjrzał. Zjawiła się jednak policja i tę pannę przyaresztowała, ale po wylegitymowaniu – puściła wolno. Miało się już ku wieczorowi. Więc panna poprosiła kościelnego, żeby jej udzielił noclegu. Kościelny nie był straszak i chętnie ją przenocował. Rano kościelny przyszedł do mnie i zapytał, czy chciałbym zobaczyć córkę proboszcza. Z ciekawości poszedłem. Panna czesała właśnie włosy. Była to jasna blondynka, dość rozwinięta i ogładzona – zarówno w języku, jak i w obejściu. Kiedy dowiedziała się, że jestem organistą, poprosiła mnie do drugiego pokoju z rozwianymi włosami i posadziła mnie grzecznie obok siebie. Kiedy usiadłem naprzeciw niej, ona odezwała się w te słowa: „Niech pan dobrze mi się przyjrzy. Czy nie jestem podobna do tego bandyty zza ściany?” (A zaraz za ścianą była plebania.) „Czy to nie jego obraz? Czy ja się prosiłam na świat?” Itd. Itd. I zaczęła płakać i zarazem złorzeczyć. Przyznałem, że istotnie była podobna do proboszcza. Zapytała mnie, czy do zakrystii jest jakieś osobne wejście, czy tylko przez kościół. Odpowiedziałem, że – tylko. Kiedy patrzyłem na to dziecko, mimo woli stanęły mi łzy w oczach. Panna pokazała mi parę listów pisanych najwyraźniej ręką proboszcza do jej matki: nie miałem wątpliwości, że to był jego charakter pisma i podpis. Poza tym zauważyłem, że miała podobne przyzwyczajenie co proboszcz: kiedy siedziała nic nie robiąc, ogryzała sobie paznokcie – niemal do krwi.

Panna ubrała się i zaczęła pilnować, kiedy proboszcz będzie szedł do kościoła. Niestety zagapiła się – i proboszcz wpadł do kościoła jak bomba i trup. Wszedł do zakrystii i zaczął się ubierać do mszy. A trzeba wiedzieć, że w każdej zakrystii jest komoda, w której znajdują się aparaty kościelne i bielizna, służące do ubierania księdza odpowiadającego nabożeństwo. Nad taką komodą jest lustro, tak że ksiądz może sam zobaczyć, czy został dobrze ubrany i ewentualnie to i owo poprawić, gdyby mu się nie podobało. Zakrystia była otwarta. A ta panienka tak stanęła w kościele – blisko zakrystii – że była cała widoczna w tym lustrze. Nawet ja, ubierając księdza, ją widziałem. Kilka razy ksiądz na nią spojrzał i głęboko westchnął. Dobrze to było widać, że miał niespokojne sumienie. Pomyślałem sobie: „I po co ci to? Spłodziłeś dziecko, masz odpowiednie środki, daj dziecku i niech sobie jedzie.” Dowiedziałem się później, że córka proboszcza była już wtedy w szóstej klasie gimnazjum – tj. w obecnej dziesiątej klasie licealnej. Prawdopodobnie z chwilą śmierci matki, poprzedniej gospodyni, proboszcz przestał jej pomagać – i przyjechała, żeby mu się przypomnieć. O tym, że była to jego krew, świadczył m.in. temperament, z jakim wywołała poprzedniego dnia awanturę.

Kiedy proboszcz odprowadził mszę – już mu się nie udało wymknąć. Córka zaatakowała go zaraz za furką. I dała mu tyle – ile jej język dostarczył środków. Czemu nikt nie stanął w obronie proboszcza? Nawet jego druga gosposia – która mu urodziła dwoje dzieci, bo że to były dzieci proboszcza, o tym świadczy ich pozycja na plebanii? Usłyszałem tylko słowa proboszcza: „Daj mi spokój!” – po czym dopadł drzwi, zatrzasnął je i już się tego dnia nie pokazał. Ona wróciła do kościelnego, zjadła śniadanie, a po południu wezwał ją ksiądz Wójcicki, który – jak wspomniałem – bawił na lotnisku u siostry. Następnego dnia znikła. Zapewne ksiądz Wójcicki pośredniczył w załatwieniu sprawy, która proboszcza drogo kosztowała. Nie mógł długi czas przyjść do siebie. A wszystkiemu winna była ta ładaczka – gosposia. Dziwię się, że człowiek tak wykształcony jak on – dał się jej tak wodzić za nos.

Dzieci gosposi rosły sobie zdrowo. Córka ukończyła tylko szkołę powszechną. Natomiast syn Mundzio poszedł do gimnazjum. Opowiadał mi nieraz proboszcz – bo był ze mną na dobrej stopie – że dawniej

często dostawał od brokowania pisemne anonimy: zostawiane na klamkach drzwi, na ławce w ogrodzie itd. Jeden z nich brzmiał mniej więcej tak: Proboszcz w ciepłe ranki wypuszcza nago swoją Ewę – tj. gospośnię – do ogrodu, żeby przez otwarte okna swego pokoju podziwiać jej kształty. Prawdę mówiąc nic aż tak powabnego w niej nie dostrzegłem. Cała figura – to kawał kadłuba lub karpki; twarz przeciętna – nie piękna, ni brzydka; tyle że miała naprawdę piękne ręce i łydki. Musiała być bardzo zmysłowa, skoro tak księdza omotała.

87. Dzieje pewnego duchownego

Dla równowagi opowiem teraz o życiu osobistym księdza wika-rego. Wspomniałem już, że miał on już dwoje dzieci, a trzecie było w drodze. Ale – zacznijmy od początku.

Kiedy ksiądz Krakowiak został wyświęcony na księdza, zaczął kwestionować niektóre dogmaty wiary. W efekcie musiał wiać do Ameryki. Był tam – podobno – dwa lata i przystąpił do kościoła narodowego. Ale i tam się na nim poznali – i szybko wyleli. Został więc bez środków do życia, bo nie był zdolny do pracy fizycznej, a do urzędniczej się nie kwapił, więc – rad nie rad – wrócił do kraju. Działo się to jeszcze za cara. Kiedy wrócił do kraju, musiał się ukorzyć i przeprosić biskupa: ucałować stópki, ręce i namaszczone pierścienie. Biskup przeprosiny przyjął, ale na razie zostawił go przy sobie – w Płocku. Trzeba trafić, że pewnego dnia przychodzi do biskupa żandarm-Moskał i pyta po rosyjsku: „У вас есть какой-то ксёндз Краковяк?”. Biskup odpowiada, że jest. A żandarm na to: „Мы его нашли в комнате борделя”. I pokazuje biskupowi dowód osobisty księdza Krakowiaka. Biskup zbaraniał, ale przecież taką wielką hańbę musiał zatuszować. Załatwił sprawę z policją – i księdza wypuszczono. To był pierwszy wyczyn księdza Krakowiaka po powrocie z Ameryki. Biskup oddał go do pewnego energicznego proboszcza, aby z niego zrobił prawdziwego kapłana. Nic z tego nie wyszło: ksiądz Krakowiak narobił mu nowych głupstw i w końcu musiano go osadzić w klasztorze w Oborach. Klasztor ten tym się wyróżniał, że tam osadzano księży za różne przewinienia i suspendie. Po odbyciu kary w Oborach ksiądz Krakowiak został skierowany na wikariusza do Broku. Obaj księża mieli więc te same grzechy na sumieniu –

jeżeli to należy nazywać „grzechami”. Ksiądz wikary mieszkał ze mną w jednym budynku: ksiądz od frontu, a ja – od tyłu. Ksiądz miał salonik, kuchnię i mały, oszklony ganeczek. Ja miałem salonik, przedsalonik, kuchnię i pokój sypialny. Rozkurczenia do diabła, ale i ten cały budynek do drugiego diabła. Mieszkaliśmy na wzgórzu: nad samym Bugiem: do rzeki było kilkanaście kroków. Budynek projektował i budował zapewne jeszcze Noe, gdy tworzył swoją elegancką arkę. Dach był kryty gontami. Łataliśmy ten dach z żoną po naszej stronie, jak tylko mogliśmy, żeby nam nie lało na głowy. Natomiast ksiądz wikary ze swą Kasią – i tych dwoje dzieci – siedzieli często w pokoju pod parasolem.

Tymczasem gospoia proboszcza – po opisanych już incydentach – odzyskała wigor i wróciła do swoich intryg. Miała w tym do pomocy panią Okrasinę, której mąż przebywał w Ameryce, oraz swoją ulubioną służącą – pannę Rokicką. Wszystkie trzy zawzięły się na księdza Krakowiaka. W to, co z nim wyrabiały, trudno uwierzyć. Ksiądz wikary miał stół u proboszcza. Więc kiedy wchodził po śniadaniu lub obiedzie od proboszcza, trzy baby otwierały lufcik i plwały na niego. Proboszcz to wszystko widział, a jednak nawet ich za to nie skarcił. Dlaczego? Nie mam na to odpowiedzi. Kiedy ksiądz Krakowiak kiedyś przydybał pannę Rokicką na ganku u proboszcza, tak ją popadł, że mało brakowało, a by ją udusił.

88. Niebezpieczne igraszki

To, co spotkało proboszcza z gospoia u biskupa – spotkało też wikarego i jego ukochaną Kasię. I biskup podobnie zareagował: nakazem, żeby ksiądz wikary od siebie Kasię usunął. Muszę wyznać, że kiedy poznałem tę Kasię, podobała mi się daleko więcej niż gospoia proboszcza. Ale na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Więc wikary musiał się do nakazu biskupa zastosować. Wynajął mieszkanie na mieście u Żydów – i tam się biedna Kasia z dziećmi ulokowała. Działo się to jeszcze za okupacji niemieckiej, kiedy grasował tyfus. Biedny księżyna wieczorem przebierał się za kobietę i odziany chustką szedł do swej Kasi i dzieci. A te trzy baby, o których wspomniałem wyżej – szydziły publicznie z niego. Z dwojga dzieci wikarego – chłopczyk zachorował na tyfus i zmarł. Została tylko dziewczynka – mająca może ze cztery

lata. A tu nadchodzi czas rozwiązania trzeciego dziecka. Ksiądz wywozi Kasię do szpitala w Radzyminie pod Warszawą, a dziewczynka zostaje w Broku pod opieką żydowską. Niestety jego Kasia w szpitalu w Radzyminie zaraziła się tyfusem i jeszcze przed rozwiązaniem zmarła. Ksiądz dostał depezę, pojechał do Radzymina i tam ją pochował. Po powrocie odebrał od Żydów swoją córeczkę i tak żyli oboje jakiś czas.

Trzeba trafiać, że panna Rokicka przeprosiła księdza wikarego za wyrządzane mi przykrości – i z tych przeprosin wywiązała się między nimi gorąca miłość. Doszło do tego, że panna Bronisława Rokicka porzuciła służbę u proboszcza, przeszła na gospodynię do wikarego i zaopiekowała się sierotą-dziewczynką. Ksiądz zamiast Kasi miał teraz Bronię. I wtedy zaczął się nowy dramat, bo te dwie kobiety – gospodyni proboszcza i Bronia – które na wikarego razem plwały i były serdecznymi przyjaciółkami, stały się teraz pierwszymi wrogami. Tak się znienawidziły, że sobie skakały do oczu. Ksiądz wikary w ten sposób trochę mógł odsapnąć: miał opiekunkę dziecka, gospoie – no i coś więcej. Muszę przyznać, że Bronia zaopiekowała się córką wikarego jak prawdziwa matka. Ubierała ją pięknie i zabierała na spacer – często naumyślnie koło plebanii.

89. Jak wybić się na samodzielność

Pokój wikarego od mojej kuchni przedzielony był tylko cienkimi drzwiami, które były nieczynne. Słysząc więc było wszystko, o czym Bronia z księdzem rozmawiała. Bronia zaczęła wywierać na wikarego coraz większy wpływ. Co się tyczy wykształcenia, to wikary miał większe od proboszcza. Znał dobrze język angielski, niemiecki, francuski i rosyjski. Ale zarazem brakowało mu piątej klepki. A Bronia zaczęła go pouczać, co ma zrobić, żeby dostać samodzielną parafię. Pewnego dnia lał straszny deszcz. Byliśmy oboje z żoną w domu – podobnie ksiądz wikary ze swą Bronią i córeczką. Rozmawiali o różnych rzeczach – między innymi o przyszłości. (Trzeba dodać w nawiasie, że tę całą rozmowę można było dobrze słyszeć w naszej kuchni.) Bronia odezwała się do wikarego w te słowa: „Bo ksiądz to d... Księdza koledzy dawno już mają parafie, a ksiądz chyba już jej nigdy nie dostanie, bo ksiądz nawet kazania nie umie powiedzieć. Ja – baba – lepiej

bym powiedziała.” I zaczęła podburzać go, wytykając różne jego wady i niedołęstwo. A była to właśnie sobota – i na niego wypadało właśnie kazanie; bo proboszcz z wikarym kolejowali się w kazaniach: raz ten, drugi ten. Otóż wikary wpadł w szał. Zerwał się spod parasola i krzyknął: „Ja im je ci jego mać i ich mać pokażę, co ja umiem”. (Wikary – jak się rozgniewał – miał właśnie zwyczaj mówić: „Je ci jego/ich mać”.) „Ja wszystkim pokażę: i biskupowi, i proboszczowi, i parafianom. Jutro moja niedziela. Załóż się Bronka, czy nie będą – nie to płakać, ale ryć.” Bronka roześmiała się na cały głos. Ale ksiądz wikary już z nią dużo nie rozmawiał, tylko zabrał się do roboty. Najpierw sobie po kolei spisał – co i o czym, i przeciw i za kim ma mówić. Kiedy to skomponował – wstał i mimo deszczu latał po pokoju i uczył się kazania. Wszystko to można było u nas usłyszeć i zrozumieć. Kiedy się już zmęczył, wypadł na dwór i wpadł prosto na mnie. Oznajmił mi, żebym go jutro dobrze słuchał. Na drugi dzień – tj. w niedzielę – kiedy wszedł na ambonę, a proboszcz po credo usiadł w szatach pontyfikalnych u ołtarza w fotelu, zrobił krzyż, odczytał ewangelię przypadającą na tę niedzielę i o tej ewangelii wypowiedział najpierw wstęp: dogmatycznie, treściwie i płynnie. Kiedy skończył wstęp, podumał chwilę, spojrzał na zebrany lud, zwrócił się z rękoma wyciągniętymi do ołtarza i ryknął: „Boże! Czy jest sprawiedliwość? A jeżeli jest, czemu nie dla wszystkich? Kiedy się skończy ucisk tego biednego narodu?” Ludzie, który zwykle na jego kazaniach sypiali, drgnęli i obudzili się. A on ciągnie dalej. Przytacza rozmaite fakty i dodaje: „Czas z tym skończyć! Wybije i dla nas, uciskanych narodów godzina!” I wtedy w kościele daje się słyszeć szloch. To go jeszcze bardziej podnieciło, kropnął dłonią w ambonę i krzyknął: „Sprawiedliwość musi zwyciężyć!”. Rozległ się ryk. A on ciągnął: „Czemu zwierzchnik tak się znęca nad podwładnym? Czy tylko dla zwierzchnika jest świat? Ludu ubogi! Wy, biedni ludzie uciskani i pokrzywdzeni! Zwierzchnicy są daleko gorsi od was! Ostatnią krew z was wysysają! Ludu! Ocknij się i rozbudź! Wierzę, że się rozbudzisz! Trzeba tym pasibrzuchom wypowiedzieć walkę, bo sprawiedliwość jest po naszej stronie!” Proboszczowi zaczęły latać nerwy wokół ust jak wściekle, bo wyczuwał, że część tego, co mówił wikary, było pod jego adresem. Przy obiedzie proboszcz z wikarym nie zamienił ani jednego

słowa. Sama Bronka zwróciła mu uwagę, że jak na początek, to może było za ostro. Ale swoją drogą pochwaliła wikarego. A on na to: „Ja jeci ich mać jeszcze nie to pokażę!”. Tak potrwało jakiś czas, aż w końcu napisał prośbę do biskupa, żeby mu dał parafię. Biskup odpowiedział: „Jeszcze poczekaj. Namyślę się i ci ostatecznie odpowiem za jakiś czas.” Ale kiedy czekanie przeciągało się, wikary napisał drugą prośbę do biskupa. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Proszę Waszej Ekscelencji! Był czas, kiedy byłem klerykiem w seminarium. Wtedy trzeba było sprawdzić, czy godzien jestem włożyć na siebie szatę kapłańską, czy – nie. Tymczasem ukończyłem seminarium z takim wynikiem, że ks. biskup mnie wyświęcił. Ośmielam się zauważyć, że są daleko gorsi ode mnie kapłani, którzy zajmują stanowiska, których nie są godni. Jeżeli mam wady jako człowiek, pytam, kto ich nie ma? Dlatego jeżeli w ciągu miesiąca nie otrzymam parafii, to Wasza Ekscelencja, która włożyła na mnie szaty kapłańskie, może je także zdjąć. A jeśli Wasza Ekscelencja tego nie robi, zrobię to sam. Proszę się nade mną dłużej nie znęcać.” I tu nastąpił podpis wikarego. Tym razem odpowiedź nadeszła w ciągu dwóch tygodni i ksiądz Krakowiak dostał aż dwie parafie od razu. Dlaczego dwie? Bo jedną parafię dostał samodzielnie, a do drugiej miał dojeżdżać, bo nie miała na razie własnego proboszcza.

90. Smutne zakończenie

W nowej parafii ksiądz Krakowiak miał śmieszny wypadek – wart tego, aby go opisać. Kiedy zagospodarował się już tam z Bronią, pewnego dnia ludzie przyszli opłacić pogrzeb. A że według ich mniemania ksiądz zażądał za drogo, udali się do miejscowego organisty, żeby spisać akt zejścia i zaczęli się użalać na księdza, że żąda od nich tak dużo. A organista im na to: „Nie przejmujcie się tym! Ja już jestem parę lat organistą i znam wszystkie obrzędy na pamięć. Więc wam ciało odprowadzę na cmentarz i obsłużę za księdza i za siebie. Was będzie mniej kosztować, a będzie to samo. Ludzie podumali – i w końcu się zgodzili. W tym czasie ksiądz Krakowiak był w sąsiedniej parafii i kiedy powrócił, było już po wszystkim. Organista za ten wyczyn został usunięty.

Bronka Rokicka długo nie cieszyła się swoim księdzem na nowej parafii. Zmarł po paru latach na paraliż. Według orzeczenia lekarskiego

miał za krótką szyję. Jak mówił – dźwięki z trudnością wydobywały się z krtani. Broncia została więc osierocona. Tyle zdążyła jednak sobie uciulać grosza, a że ubierała się elegancko – wyszła za męża. Córką księdza, jak mi się wydaje, opiekowała się nadal.

91. Braciszek

Mój braciszek powrócił z wojska. Matka wszystkie dolary, które otrzymała od córki z Ameryki, trzymała pod piersią dla kochanego syna: kochanego, bo był do niej podobny, bo miał czarne oczy, bo – jak Mamusia o nim sądziła – ma spryt do handlu. A ode mnie oczekiwała tego, czego nie byłem jej w stanie dać, mając taką drobnicę. Z tego powodu między Matką a synową powstawały nieporozumienia, a nawet coś więcej. Kiedy więc brat Janek powrócił z wojska, zaproponowałem mu, żeby złożył podanie w Białymstoku o przyjęcie go do policji. Podanie złożył. Przyszła odpowiedź, żeby stawił się z dokumentem wojskowym i świadectwem o kwalifikacjach, a zostanie przyjęty do Komendy Policji w Białymstoku; podobało im się jego podanie i pismo. Żona dała mu ostatnie 36 milionów (w tym czasie był ogromny spadek wartości pieniądza i walutę liczono na miliony). Mój braciszek wziął forszę i pojechał. Nie było go całe dwa tygodnie. Pieniądże z dziewczkami przehulał, a kiedy wrócił, to mi jeszcze zrobił awanturę: porozbijał szafę i łóżko. Musiałem wzywać miejscową policję, bo nie mogłem mu dać rady. Nie wiem, czy był w Białymstoku. Myślę jednak, że nawet gdyby tam był, to jego dokument wojskowy by go skompromitował, bo stało tam jak wół, że prawie całą służbę przeleżał w pace; nic by mu i piękne pismo nie pomogło. Chciałem go w końcu gdzieś dobrze ożenić, ale mi się to nie udało. Matka oddała mu ostatnie 15 dolarów, które miała, a on wszystko przepuścił. Mimo to zamiast zganić jego postępowanie – stawiała zawsze po jego stronie. I tak się tłukł i wałęsał przez jakiś czas, aż Matka zaniemogła i położyła się do łóżka. Pewnego wieczoru, kiedy zjawił się u nas, przywołała go do siebie i całą noc rozmawiali, mimo że Matka była bardzo osłabiona. A brat na pewno to, co do niego mówiła, jednym uchem słuchał, a drugim wypuszczał – bo to chamidło było: było, jest i będzie. Kiedy się rozstali, żona zauważyła, że Matka jakoś bardzo ciężko oddycha. Zerwałem się, podchodzę do matki, a ona

zapytała tylko: „Co?” – i zmarła. Pobiegłem po lekarza, ale ten orzekł zgon. Po pogrzebie powiedziałem bratu: „Koniec. U mnie miejsca dla ciebie nie ma.” Przecież on nawet żonie wiadra wody nie przyniósł.

Opuścił więc mój dom i wywędrował do siostry Celki. Jak tam było, to też dało się słyszeć. Siostra Celka mieszkała w Strachocinie koło Szekowa – pod Pułtuskim. Jak wiadomo, kiedy się Polska zawiązała, bardzo brakowało nauczycieli. Więc mój braciszek spróbował nauczycielskiego chleba: uczył dzieci na wsi. Baby mu znosiły masło, jaja itp. Było mu przez pierwsze dwa lata lepiej niż mnie na posadzie organisty. Chłopak był młody, dość urodziwy, więc ludzie myśleli, że także wykształcony. Ale w końcu ludzie się poznali na jego moralności i szkoła się skończyła.

92. Pełnia życia

Brat Janek miał jednak jakieś wyjątkowe szczęście, bo zawsze znajdował głupich, na których robił interes. W ten sposób trafił kiedyś na pewnego obywatela ziemskiego, który sprzedał gospodarkę w Broku i przeniósł się w okolice, gdzie brat uczył dzieci. Ów obywatel miał żonę, dwóch synów i dwie córki na wydaniu. Uważał on, że skoro Janek u mnie się wychowywał, to umie wszystko to, co ja – w szczególności, że zna fach organisty. I na tej podstawie brat im bakę świecił. Otóż mój braciszek przebywał u nich ze dwa lata – żyjąc z matką i córkami. Bo mój braciszek nie gardził żadną płcią żeńską. Jak to tolerował ojciec rodziny i jego dwaj synowie? Boć on tam przecież kompletnie nic nie robił, a do stołu siadał razem. W końcu jednak cała sielanka się skończyła. Ale mój braciszek natychmiast znalazł sobie w tej samej parafii wdowę z dorosłą córką i u nich postanowił się zatrzymać, obiecując, że się ożeni z matką. Wdowę nazywano „Amerykanką”, bo rzekomo miała 400 dolarów. Była jeszcze młoda i z pretensjami. I przez długi czas ta głupia baba go żywiła. Doszło do tego, że w końcu dali na zapowiedzi i miał nastąpić ślub. „Amerykanka” sprawiła mu elegancki garnitur i wszystko przygotowała do tego ślubu. W wigilię ślubu brat swojej narzeczonej oznajmił, że się uda w swoje strony, żeby zaprosić na ślub trochę druhów i znajomych – i że w sam dzień ślubu stawia się w komplecie. Następnego dnia zajechał braciszek do swej narzeczo-

nej taksówką z družbą, prosi ją na stronę i mówi: „Moja droga! Zaraz będzie nasz ślub! Daj mi więc te swoje 400 dolarów!” A ona na to: „Ja te dolary mam po ludziach. Skąd ci je na poczekaniu wezmę?” A brat: „Toś ty myślała, że ja jestem taki głupi, jak ty?” A ona: „Człowieku! Zastanów się! Teraz mi o tym wszystkim mówisz?” A brat na to: „No to do widzenia!” Podbiegł do taksówki, wyjął kilka butelek wódki, przyniósł do mieszkania, gdzie byli zgromadzeni goście weselni, i powiedział: „To jest moja wódka. Pijcie za zdrowie moje i wszystkich tu obecnych.” Wyszedł, wszedł do taksówki i odjechał. Naiwność tej wdowy jest zdumiewająca. Czy mieszkając z nim rok czy więcej, nie widziała, że jest to patentowany leń, który na dodatek niczego nie umie?

93. Mąż i żona

A mój braciszek oparł się aż pod Grudziądzem, gdzie był 15 lat. Tam zrobił jeszcze jedno głupstwo, tak że miał sprawę o alimenty. Ale ją wygrał. Aż poznał obecną żonę – i tu wsiąkł. Kiedy braciszek Bronię poślubił, rodzice jej wydzielili im z parceli 40 mórg ziemi w jednym kawałku – tuż w pobliżu domu. Dom, w którym zamieszkali był nieszczególny, ale ostatecznie możliwy. Całym tym nowym gospodarstwem zajęli się teściowie i jego rozkwitająca żona. Dzieci zaczęły się sypać co rok. A braciszek pędził samogon i zawarł znajomość z całą sąsiedzką śmietanką: wójtami, ławnikami, sekretarzami i pisarzami, a czasem i grubszymi rybami. Mieli aż trzy eleganckie konie – sam je widziałem – cztery krowy, świnie, gęsi, kaczki, kury, króliki, psy różnego gatunku i wielkości, a nawet i gołębie. Mieli nawet poniemieckie krzyżowe pianino.

A brat nadal uprawiał miłość. Kochał płeć żeńską wszelakiego typu i bez różnicy wieku: od lat dwunastu poczynając, a kończąc na sześćdziesięciu i więcej. Nie grała roli uroda, byle było co kochać i zawsze kochać. Kochać w rozmaitych pozach i odcieniach. W rozmaitych miejscach, gdzie się nadarzyła sposobność: na drabinie, w stodole, w chlewie, w polu, w lesie...

Poza tym było jeszcze pijaństwo. Żona brata początkowo z tym walczyła, ale kiedy nie odnosiło to skutku, zaczęła na równi z mężem pić – a nawet go w tym prześcignęła. Wszystko, co otrzymali od siostry z Ameryki, przepili lub przejedli, a później sami nie mieli się w co liźnąć.

Na dodatek oboje byli nieuczciwi. Pewnego razu – po 15 latach – odwiedzili mnie w Strzelcach Krajeńskich. Moja córka podarowała im dwa wielkie wory rozmaitych poniemieckich łąchów. Poza tym dałem jej dziesięć dolarów, żeby sobie je dobrze sprzedali – i potem mi zwrócili. Odebrałem je nad studnią.

Po paru latach umarła teściowa brata. Do pracy na parceli został sam teść ze swą córką. Niedługo potem brat sprzedał parcelę i wyprowadził się do żony siostry. Tam zaczęli prowadzić jakiś sklep. Po roku wszystko diabli wzięli: konie, krowy, cały żywy i martwy inwentarz – razem z gospodarką – przepili i zmarnowali. W końcu sprowadzili się do Strzelc Krajeńskich. Kiedy dowiedziałem się, że się sprowadzają – febra mną zatrzęsała. Ale cóż mogłem poradzić? Tu, w Strzelcach Krajeńskich, zanim się na nim poznali – dali mu pracę biurową. Znalezione jednak wódkę w biurku i długo się nie cieszył posadą kancelisty. Stopniowo spadał coraz niżej: sprzedawał szmaty, szkło, złom itd. W końcu został zwykłym stróżem – to węgla, to zboża itp. Dzieci wychował marnie: prawie żadne z nich nie ukończyło dobrze siedmiu klas szkoły podstawowej. Dziś braciszek z braku wódki pije denaturat. Czym to się skończy – nie wiem. Ale zadaję sobie pytanie, jak to się stało, że ten człowiek nigdy nie dostał się pod klucz. O! Bez tego się nie obyło. Był w więzieniu nie jeden raz, ale z tytułu pijaństwa, razem z kolegami i kończyło się to ostatecznie na krótkoterminowych karach. A zawsze broniła go liczna rodzina, z którą urzędy poniekąd musiały się liczyć.

Braciszek Janek jest typem szlachetnego łobuza. Nie jest złodziejem; ilekroć pracował w jakiejś państwowej instytucji, nigdy nic nie ukradł i zawsze się ze wszystkiego rozliczył. Ale nabrać kogoś, pożyczyc na wieczne nieoddanie – lubił. Czy to nie to samo, co złodziejstwo? I tak, i nie. Na pożyczki można spojrzeć od strony tego, od którego się pożyczka: Nie znasz człowieka, nie pożyczaj mu. Sprzedajesz mu coś – pilnuj się. Jest to więc sprawa raczej nadużycia zaufania niż kradzieży. Ciekawe, że Janek zetknął się w życiu z różnymi ludźmi: szlachetnymi i mniej szlachetnymi, a jednak pozostał tym, kim był: chamem. A swoją drogą użył życia po uszy. Napił się po uszy. Pokochał się po uszy: bo co do kochania nawet kuzynce nie przepuścił.

Na tym kończy się historia mego brata Janka. Cofam się kilkanaście lat wstecz – do Broku.

94. Początek choroby

Pewnego dnia – wiosną – zacząłem kasłać krwią. Przy śpiewie i pracy z chórem dostałem rozdęcia płuc; musiałem więc poleżeć dłuższy czas w łóżku. Jedną z przyczyn mego stanu było na pewno Goworowo: to, że nauczyłem się tam pić i popsulem tym sobie zdrowie; jedyne co zawdzięczam alkoholowi dobrego, to chyba to, że po kilkudniowej hiszpance ominął mnie tyfus. A przy krwotokach nie wolno pić wódki, bo wtedy płuca się rozgrzewają i może być większe krwawienie. Po jakimś czasie krwotoki ustały. Ale odtąd już każdej wiosny pokazywała mi się krew, tyle że – na krótko.

95. Zwrot ku lepszemu

Pewnego dnia proboszcz Kuskowski oznajmił mi, że opuszcza Brok i przenosi się w Ciechanowskie – bliżej swoich stron rodzinnych. I tak się stało. Na jego miejsce przyszedł ksiądz Ciesielski. Czy za nowego proboszcza poprawił się mój byt? Odpowiem pytaniem: Czy byt organisty kiedykolwiek się poprawi?

Ksiądz Ciesielski też był babiarzem. I u niego rządziła gospodyni, tyle że rzetelnie pracowała dla swego chlebodawcy razem ze służbą, która musiała grać tak, jak gosposia nakręciła. Podobnie musieli się jej podporządkować organista i kościelny. Między księdzem Ciesielskim i gosposią panowała pełna harmonia i we wszystkich sprawach się ze sobą na ogół zgadzali. Poza tym i proboszcz też był pracowity. Po księdzu Kuskowskim to był zwrot i to – trzeba przyznać – ku lepszemu. Gosposia nie chodziła na plotki, tylko pracowała i dla swego chlebodawcy, i dla siebie; często się komunikowała. Ksiądz Ciesielski zrobił kiedyś spowiedź generalną – tak że wszyscy, którzy kiedyś zupełnie do spowiedzi nie chodzili, teraz musieli. Sprowadził paru księży i zapowiedział im, by największemu grzesznikowi nie odmówili rozgrzeszenia. Nawet pan aptekarz Czereński, który był niewierzący, też w tej spowiedzi uczestniczył. Zaraz po przyjeździe wynajął dla mnie i dla księdza wikarego mieszkanie na mieście, a stary budynek, w którym mieszkaliśmy, kazał rozwalić i w rok pobudował nowy – trzeba przyznać: elegancki. Było w nim mieszkanie i dla wikarego, i dla organisty, i dla kościelnego. Wszyscy byliśmy zadowoleni. Uporządkował też otoczenie kościoła. Księdza Krakowiaka już nie było, więc i wikary nastał nowy.

Ujął sobie tym tak ludzi, że wszyscy brokowiacy wyrażali się o nim z szacunkiem i nikt nie ośmielał się wtrącać w sprawy proboszcza swoich trzech groszy. Za obrzędy religijne biedniejszym opuszczał, a obsługa była taka sama, jak w wypadku bogatszych, od których ciągnął, ile się dało, ale zawsze przy tej okazji coś nowego sprawił dla kościoła.

Mnie rzekomo polubił – i gdyby nie głuchota, która już wówczas mnie zagrażała, pewnie by mnie ze sobą zabrał do Ostrowi.

96. Cienie

Po 15 latach pobytu w Broku doszło do konfliktu między mną a śpiewakami. Zaproponowali oni, żebym zamienił się posadą z organistą z sąsiedniej parafii w Jasienicy. Rzecz w tym, że tamten organista zgodził się prowadzić w Broku nie tylko chór, ale i orkiestrę strażacką. Powiedziałem im, żeby sprawę załatwili z proboszczem: jeśli on się zgodzi, to i ja będę się musiał zgodzić. Brokowiacy wydelegowali do rozmowy z proboszczem pana Rowińskiego, naczelnika straży ogniowej. Kiedy przedstawił proboszczowi sprawę, ten odpowiedział: „Wasza straż jest potrzebna i bardzo ją popieram, ale organista nie jest dla was, tylko dla mnie i kościoła. Jeżeli chcecie mieć orkiestrę strażacką, to sprowadźcie sobie kapelmistrza i niech on ją wam poprowadzi. Do organisty nie macie prawa się wtrącać.” W ten sposób do zamiany nie doszło, ale ja straciłem serce do Broku i powiedziałem sobie, że jak tylko nadarzy się okazja – wyjadę stąd.

Ksiądz w Czarni czekał na mnie trzy lata: liczył, że wrócę. Nawet dawał ogłoszenia i szukał mnie po Polsce. Jak on był niemądry! Przecież ja żadnej posady bym nie rzucił dla Czarni!

Pewnego roku pojechaliśmy tam z żoną i oddałem mu sto rubli długu. Zabraliśmy też niektóre nasze meble, pozostałe po wojnie – i przywieźliśmy je do Broku.

Córka Irenka po roku przechodziła powtórnie tyfus. Tym razem był to dur brzuszny – przeleżała sześć tygodni, ale jakoś przezwyciężyła chorobę. Lekarze twierdzili, że coś takiego zdarza się raz na tysiąc przypadków.

Tymczasem Antolek i Miecio zaczęli chodzić do szkoły. Na naukę szło wszystko, co się złapało z dochodów.

A ksiądz Ciesielski wykrył w Broku niezwykłą tajemnicę. Otóż była tam pewna obywatelka, której nazwiska zapomniałem. Była to już starsza matrona, wdowa, z pochodzenia Niemka, dość inteligentna, przyzwoita moralnie i zamożna (była i w Ameryce): miała ładny dom, a nad Bugiem – piękny ogród owocowy; a poza tym miała piękną biżuterię – bransolety, naszyjniki i złote zegarki, wspaniałą pościel, kosztowne meblowanie. Kiedy wychodziła za męża, przeszła z protestantyzmu na katolicyzm. Ale do kościoła katolickiego nie chodziła i praktyk religijnych nie wykonywała. Dzieci nie miała.

97. Obluda

Sąsiadami tej staruszki byli Hornowscy. Hornowski było urzędnikiem do spraw wodnych – chyba dziesiętnikiem komunikacji na rzece Bugu. To była dobra posada. Miał żonę i dwie przekwitnięte córki. Obie miały mężów – dosyć wykształconych i na wysokich stanowiskach. Żadna jednak z nich stale z mężem nie żyła; ich związki były jakieś prowizoryczne i zagadkowe. Starsza z córek miała nawet syna, ale podobno było to adoptowane dziecko ich służącej. Była to istna karykatura; chodził zresztą do szkoły razem z moimi synami. Młodsza córka Hornowskich była postawną damą. Pierwszym jej mężem był Brochocki, który był bliskim kuzynem księdza biskupa w Płocku. Ale żyła z nim w separacji. Czasem ów pan Brochocki zjawiał się w Broku: wówczas pani Brochocka wybiegała naprzeciw męża, rzucała mu się na szyję i całowała namiętnie. Ale mąż był zimny jak lód, bo go żona zdradzała z kierownikiem miejscowej szkoły – panem Klimkiem. Ostatecznie – nie mogąc dostać rozwodu – pani Brochocka przeszła na protestantyzm i zawarła ślub z panem Klimkiem w kirsze; po ślubie osiedli oboje w Łucku. Trzeba trafić, że pan Brochocki w Płocku umiera. Pani Brochocka-Klimkowa przyjechała do Płocka, wyjęła supulsturę śmierci męża, ponownie przeszła na katolicyzm i zawarła z panem Klimkiem ślub katolicki w Broku. Przy tym ślubie było tylko dwóch świadków: ja i kościelny. Raz na rok lub dwa zjawiał się też w Broku u swej żony pan Topczewski. Wtedy i ona wybiegała do męża, rzucała się mu na szyję – i całowali się namiętnie, udając wielką miłość. Trzeba przyznać, że obie te damy były dość przystojne i sympatyczne – ale jałowe. Nosiły się wysoko, ubierały bogato i stół prowadziły wspaniały. Skąd brały na

to środki? Prawdopodobnie pracował na nich stary Hornowski, choć był u nich tylko popychadłem.

98. Dzieje pewnej Niemki

Wróćmy jednak do naszej wdowy – Niemki. Otóż przyjaźniła się ona bardzo z obydwoma paniami Hornowskimi. Początkowo trzymała się dobrze i nigdy nie chorowała. Miała służącą i żyła sobie po pańsku. Ale przyszedł czas, że w końcu i ona zaniemogła. A wtedy panie Hornowskie roztoczyły nad nią troskliwą opiekę. A przy okazji zaczęły sobie przywłaszczać zegarki, bransolety, naszyjniki, dywany, futra. Dowiedział się o tym proboszcz. Zawołał mnie i pyta, czy coś wiem o staruszce. Niewiele wiedziałem. Więc proboszcz kazał mi przewrócić do góry dnem nasze archiwum. Zrobiłem to i – o dziwo! – znalazłem jej akt, z którego wynikało, że pochodzi z Berlina i że wychodząc za mąż za brokowiaka, przeszła na katolicyzm. Proboszcz, kiedy mu przeczytałem ten akt, aż klasnął w dłonie i wykrzyknął: „No to będzie nasza!”. I na drugi dzień zabrał się do dzieła. Ubrał się w komżę i stułę, jak do chorego, i zabrał ze sobą akt zmiany wyznania. Nie poszło mu gładko. Niemka z początku nie chciała się przyznać do zmiany wiary. Ale i proboszcz nie dał za wygraną. Najpierw doprowadził do tego, że Niemka się wyspowiadała, a potem – że przyjęła komunię św. A potem przystąpił do działania. W efekcie – wszystkie kosztowności, które miała, nie wyłączając tych, które miały u siebie panie Hornowskie, zlegowała na kościół, tak że te damy musiały je odnieść. Na razie wszystko zostało spisane i pozostawało u chorej Niemki. Po wizycie księdza chorej polepszyło się i wstała z łóżka. Teraz troskliwą opieką otoczyła ją gospoia proboszcza. Ale Niemka już długo nie chodziła. Wkrótce położyła się z powrotem do łóżka i już z niego nie wstała. Przy zgonie – wszystkie kosztowności zlegowała powtórnie na kościół i ciepłą jeszcze ręką wręczyła proboszczowi. Ile tego było – wie tylko ona i proboszcz. Pogrzeb i związane z nim koszta pokrył proboszcz. Ja dostałem 50 złotych polskich, a kościelny – 25. Te kosztowności proboszcz rzekomo spieniężył. Gospoia otrzymała futro fokowe; ale chyba na tym futrze się nie skończyło. Za uzyskane pieniądze proboszcz sprawił do kościoła przed wielki ołtarz piękny dywan i coś tam więcej jeszcze.

Co się stało z posesją zmarłej Niemki – nie wiem. Wiem tylko że w jej domu była po jej śmierci pocztka.

A ksiądz Ciesielski jako działacz społeczno-katolicki awansował na dziekana w Ostrowi; zaraz potem biskup nadał mu tytuł doktora teologii i kanonika. Początkowo ksiądz Ciesielski chciał mnie zabrać z Broku do Ostrowi; ale tam był zasiedziały stary organista Bogacki, więc bał się robić piekło. Musiałem więc pozostać w Broku.

99. Podłość

Stosunek księdza Ciesielskiego – jako zwierzchnika – wobec organisty był możliwy; za dużo był przy nim organista skrępowany. Po nim proboszczem w Broku został ksiądz Bolesław Mieszkowski. Ksiądz Mieszkowski był kiepskim kapłanem, a jako człowiek – był anormalny. Wszystko odprawiał prędko – na pytel. W kościele myślał nie o nabożeństwie, tylko o tym, czy do niego ktoś przyjechał, lub o tym, do kogo by tu pojechać z wizytą. Organiście nie zwracał nigdy uwagi – ale dlatego, że w ogóle nie słuchał, co organista gra. Po skończonym nabożeństwie mógł organista robić, co mu się podobało. Miał tylko jedną wadę, że kiedy wpadł w szal, to potrafił nawet przy nabożeństwie człowiekowi naubliżać i zmieszać go z błotem. Przepraszał co prawda potem, ale diabli z tego, jak człowiek poniósł tyle niesłusznego wstydu przy ludziach. Gosposię miał prawdziwą dewotkę, która się co niedziela komunikowała, ale oddać mu się nie chciała. Toteż ją znienawidził. Ale musiał ją trzymać, bo znała się świetnie na kuchni. Znalazł sobie jednak dziewczynę – Marysię Rowińską – i oboje sobie gruchali; spacerował z nią nawet publicznie.

Pewnego razu przyjechały do nas z Myszyńca dwie siostry żony: Franeczka i Kostusia. Zrobiłem więc mały wieczorek. A żeby było efektowniej – zaprosiłem dwóch obywateli z Broku z żonami. Za jakieś dwa tygodnie mój proboszcz urządził generalny bal; zaprosił na niego wszystkich moich śpiewaków, ale mnie – nie. Wszystko mi później wyjaśniła gospoia w sekrecie. Otóż zrobił to naumyślnie, żeby się odwzajemnić za to, że nie zaprosiłem go na wieczorek z okazji pobytu szwagierek. A ja na to: „Gdybym wiedział, że proboszcz taki jest łakomy na zabawy, na pewno bym go zaprosił. Ale gdyby mi odmówił, byłoby mi bardzo przykro.” Gospoia na to: „On przecież głównie żyje zabawami”.

Tego, co się stało, cofnąć już nie było można. Ale w duszy księdza Mieszkowskiego znienawidziłem – za to, że ośmieszył mnie przed śpiewakami. To była podłość!

100. Zniewagi

Pewnego dnia kościelny wyjechał z gospoią do Ostrowi. W takich razach, jeśli się coś trafi, musi kościelnego zastąpić organista. Otóż przyjechał chłop ze wsi po księdza do chorego. Przygotowałem wszystko, co jest potrzebne w takich wypadkach. Ksiądz zabrał ze sobą Przenajświętszy Sakrament, a ja wziąłem do jednej ręki gorejącą świecę, a do drugiej – dzwonek, którym się daje znać wiernym, że ksiądz jedzie do chorego, żeby oddali cześć Bogu. Chłop, trzymając w jednej ręce zdjętą czapkę, a w drugiej lejce, zagapił się, i kiedy ksiądz wszedł na furę konie raptownie drgnęły i ksiądz upadł w tył fury. Wtedy plunął w ręce, chłopu w mordę i mówi: „Jak ty mnie cholero wiesz?” A przecież księdzu, gdy trzyma w ręku Przenajświętszy Sakrament, nie można mówić – a tym bardziej przeklinać! Jak można taką cholerę wyświęcić na kapłana? Po powrocie chodzimy sobie z księdzem spacerkiem wokół kościoła. Zeszło na ten wypadek i mówię: „Niech ksiądz proboszcz następnym razem uważa, bo może trafić na takiego chłopca, że może księdzu oddać, albo i coś więcej...” A ksiądz na to: „Taką cholerę, który by się na mnie targnął, to bym chyba zabił”. Więcej na ten temat już z proboszczem nie dysputowałem.

Innego dnia przyjechało aż trzy śluby: dwa biedne i jeden bogaty. Bogaty ślub odbył się pierwszy, a dwa pozostałe – po nim. Na pierwszym pozapalano światło na wszystkich ołtarzach i żyrandolach, które były w kościele. Po zakończeniu ceremonii ksiądz odszedł od ołtarza i skierował się do zakrystii, a ja zszedłem z chóru. Wtedy kościelny pobiegł do zakrystii i mówi proboszczowi, że są jeszcze dwa śluby, które czekają pod chórem. A proboszcz na to: „Wiem, durniu, że są jeszcze dwa śluby. Ja tymczasem pójdę na plebanię, a ty pogaś światła. A kiedy już pogasisz, daj mi znać – to przyjdę i dam im ślub.” Zadawałem sobie pytanie, czy przez te kilka minut biedne śluby nie mogły się w tym świetle okraścić. Przecież więcej było szkody przy gaszeniu tych światel niż by się spaliło w czasie dania ślubów. Kościelny, znając proboszcza, uwijał się, żeby jak najprędzej z wygaszaniem świec, bo nie chciał się

narazić na awanturę za opieszałość. A uwijając się – tę świecę przewrócił, inną złamał, a na bocznym ołtarzu przewrócił sztuczny kwiat z papieru, który się zapalił i przy gaszeniu popłamił obrus na ołtarzu, a na dodatek nakapało na ten obrus wosku ze świecy. Jak się z tym wszystkim uporał, w kościele było pełno dymu – jak w kuźni lub smolarni. Kiedy więc ksiądz wszedł do kościoła – zbuchał najpierw kościelnego, a potem i mnie – że go nie przypilnowałem. W końcu mówi: „Zapał sześć świec na ołtarzu, to dam im ślub”. Idąc na chór, usłyszałem jak kościelny powiedział przez zęby: „Poczekaj, sk...! Przyjdzie na was czas!”. I przyszedł.

To są wypadki, które nie powinny mieć miejsca w kościele katolickim: dzielenie obrzędów na klasy – to ludzi gorszyło i usposabiało źle do wiary. Przecież w wypadku opisanych ślubów drużbowie na pewno by położyli na tacę swoje groszaki – i za wypalone światło by się zwróciło. I byłby i wilk syty, i owca cała.

101. Koniec

Dodam, że ksiądz pochodził z zagadkowej rodziny. Opowiadała mi w zaufaniu jego gosposia, która go już dawniej знаła, że jego dwóch rodzonych braci zniknęło bez wieści z powierzchni ziemi. Sieroty – czy półsieroty – po nich przyjeżdżały często do proboszcza, a każde z tych dzieci było inaczej traktowane przez stryja-księdza. Gosposia miała obawy, że i proboszczowi grozi ten sam los, zwłaszcza że ksiądz Mieszkowski zdradzał chorobę serca, a mimo to stale się bawił i dużo pił. Aż kiedyś wrócił po odpuscie w sąsiedniej parafii Poręba wrócił dość późno, położył się spać – i już więcej nie wstał. Rano zastano zimnego trupa. Tak skończył piąty mój zwierzchnik w mojej karierze organistowskiej.

Zanim przejdę do opisu mego pobytu w Brańszczyku, opiszę jeszcze kilka tragedii, który miały miejsce w Broku za mojej bytności.

102. Podpułkownik i narzeczoną

Kiedy Polska oswobodziła się w 1918 roku, brak było początkowo fachowców od wojska. Kto miał jakie-takie wykształcenie, a był zdolny i pilny, w krótkim czasie awansował na oficera i piął się dalej. W Broku w szkole podstawowej był nauczycielem niejaki Franciszek Jachna:

młody i dość przystojny facet. Zabrano go do wojska, gdzie po jakimś czasie został podpułkownikiem. Właśnie wtedy poznał panienkę, do której zapalał gorącą miłością. Panienka zaszła w ciążę. Pan Jachna mieszkał w koszarach, a owa panienka – już jako narzeczoną – przychodziła do niego tak często, że po pewnym czasie wpuszczano ją tam bez legitymowania, bo wszyscy żołnierze ją znali. Tymczasem Franuś z podpułkownika awansował na pułkownika. A pan pułkownik zaczął zaniedbywać swoją narzeczoną, aż wreszcie dał jej do zrozumienia, że nie zostanie panią pułkownikową. Wtedy ta wzięła broń, poszła do koszar, stanęła przed narzeczoną, zamieniła z nim kilka słów, wyjęła rewolwer i kropnęła go prosto w łeb, a drugą kulę wpakowała sobie. Narzeczoną został raniony śmiertelnie, a ona się tylko postrzeliła – i po krótkim pobycie w szpitalu wyzdrowiała. Dostała tylko rok więzienia.

103. Bezbożnik

W Broku mieszkał niejaki Mariański, już po wojsku; miał może ze 25 lat. Otóż zakochał się on z wzajemnością w Andzi Żdziarskiej, córce miejscowego chałupnika – szewca, mojej chórzystce. Andzia była gotowa zostać jego żoną, ale pod warunkiem, że zawrze ślub w kościele; niestety jej wybranek był niedowiarkiem – w nic nie wierzył i do kościoła i spowiedzi nie chodził. „Ja cię kocham i bez ślubów” – mówił. Po roku postawił sprawę ostrzej: jeśli nie odda się mu bez ślubu, to ją i siebie zabije. Usłyszawszy taką pogroźkę, Andzia zaczęła się ukrywać. Pan Mariański jednak w końcu ją dopadł pewnego wieczora, kiedy szła do domu, i wpakował w nią dwie kule: jedną w płuca, drugą w brzuch. Nie doszła już do domu: na podwórku zmarła. Kiedy morderca przekonał się, że Andzia już nie żyje, pobiegł z pół kilometra w kierunku lasu – i tam wpakował sobie ostatnią kulę w serce; kiedy go znaleziono – miał język wywieszony do pół piersi: znak, że dobrze wycelowwał. O jego pogroźkach wiedziała policja, ale bano się go, bo był bardzo silnym mężczyzną. W Broku miał matkę i młodszego brata – ale zjawiał się u nich tylko na noc. Widywano go często, jak łowił ryby. Był to człowiek zepsuty. Bywają ludzie niewierzący – lepsi od wierzących. Ale on był i człowiekiem niewierzącym, i człowiekiem złym. I tym, i tym. A ostatecznie – niczym. Wierzył tylko w swoją siłę.

104. Brat i siostra

Po rewolucji w Rosji do Polski wróciło wiele wdów i sierot po zamordowanych mężach i żonach. Do Broku – swego rodzinnego gniazda – wróciła wdowa po Rosjaninie-żandarmie Łobrowie, którego zakolatali bolszewicy. Miała w Broku jedną nędzną izbinę, a wróciła z czworgiem dzieci: trzema synami i jedną córką. Najstarszym był Mikołaj: mógł mieć ze 20 lat. Córka miała na imię – Liza: była pięknym 14-letnim podlotkiem. Otóż Mikołaj zapalał do rodzonej siostry miłością. I nalegał, żeby się mu oddała. Kiedy ta odmówiła, zabił ją taboretami we własnym mieszkaniu. Widziałem ranę w jej głowie, bo ją z księdzem eksportowałem. Mikołaj ulotnił się w nieznanym kierunku: ani policja, ani ludzie nie natrafili na żadne ślady. Cóż to był za potwór z tego człowieka? Jak miał sumienie w ten sposób zamordować własną siostrę?

Może z pół kilometra od Broku i tyle samo od rzeki Bug, na piaszczach koło lasu, stał budynek, w którym mieścił się pensjonat dla najbiedniejszych dzieci – przeważnie chłopców. Były w nim pokoje sypialne dla dzieci i kuchnia – oraz pokoje dla przełożonych i personelu nadzorczego. Specjalna komisja wydzieliła w Bugu część, w której można się było kąpać i opatrzyła ją barierkami z odpowiednimi napisami. Pewnego dnia dzieciarnia z pensjonatu zażywała właśnie kąpieli pod okiem nauczycielki. Ale chłopcy, nie bacząc na napisy i ostrzeżenia nauczycielki przekroczyli barierki. Utonęło wtedy czternastu chłopców; o mało też nie utonąła i nauczycielka, bo chciała ich ratować – niestety bez skutku. Ciała trzynastu chłopców znaleziono; ciała czternastego – nie. Smutny to był pogrzeb. Przyjechali rodzice i krzyczeli: „Oddajcie nam dzieci!”. Takie są skutki tych wszystkich sportów: pochłaniają tyle ofiar, a mimo to zachęca się do nich stale w prasie i radiu.

Tyle o tragediach w Broku.

104. Ostatnia posada

Za proboszcza, o którym pisałem wyżej, przyjechał na odpust do Broku ksiądz Wacław Wacławski – proboszcz w Brańszczyku nad Bugiem, koło Wyszkowa. Po skończonym nabożeństwie ksiądz Wacławski poprosił mnie o rozmowę sam na sam i zapytał, czy nie znam jakiegoś organisty dla niego, bo on swego zamierza zwolnić. Od razu zrozumia-

łem, że ma ochotę na mnie. Porozumiałem się z żoną i zgodziłem się przejść do Brańszczyka; do Broku przyszedł na moje miejsce tamten organista. Brańszczyk był moją ostatnią posadą organisty w życiu.

Ksiądz Wacławski był wikariuszem w Goworowie w czasach, gdy ja byłem tam pomocnikiem organisty. Znaliśmy się więc z tamtych lat; pamiętam, że wtedy wydawał rodzoną siostrę za mąż – za jakiegoś większego obywatela ziemskiego – a ja grałem na ich ślubie. Po ślubie zaprosił mnie na wesele, ugościł mnie i nawet ucałował się ze mną. Więc liczyłem na starą znajomość. Ale – o nieba! Jakaż była przepaść między tym, czym był w Goworowie, a tym, czym go zastałem w Brańszczyku. Ksiądz Wacławski miał u siebie na dożywociu staruszkę-matkę, która miała na niego ogromny wpływ. Podobno kiedy objął swoją pierwszą parafię – a było to zimą – matka wstała o czwartej w nocy, zbudziła syna i mówi: „To ty jeszcze śpisz? Jak tak będziesz długo sypiał, to zginiessz!” Tak dyrygowała synem i służbą. Ksiądz Wacławski miał dwie zamężne siostry, ale bardzo rzadko go odwiedzały, bo nigdy nie mogli się ze sobą pogodzić. Liczyłem, że wygram w stu procentach na tej zamianie, a ja na niej w stu procentach – przegrałem. Któż mógł przewidzieć, że czeka mnie najgorsze? Nie znałem jego natury; nie znałem jego kaprysów.

105. Pan na zagrodzie

Dwa tygodnie po przyjeździe przychodzą do mnie ludzie z dzieckiem do chrztu. Myślałem, że chodzi im o spisanie aktu urodzenia i chrztu. A oni mówią, że proboszcz kazał im, żeby przyszli do mnie i żebym ja ochrzcił im to dziecko. Ja na to: „A co robi proboszcz?”. A oni odpowiadają, że jest chory. Idę więc do proboszcza, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza, a ksiądz do mnie: „Proszę ochrzcić to dziecko z wody. A do olejów św. oni mają przyjechać w niedzielę. Czyżby pan, będąc organistą, nie umiał chrzcić dzieci? To ja panu zaraz pokażę!”. I bierze kwartę wody, służącej każe klękać, leje jej na czoło tę wodę, robi znak krzyża i wymawia imię dziecka. „O! Widzi pan? Tak się chrzci. A resztę, co mają robić, to im już powiedziałem.” Dziecka ostatecznie nie ochrzciłem, bo jak wróciłem do domu, to już tych ludzi nie było: odjechali.

Na wieży kościelnej był zegar. Według tego zegara odprawiały się wszystkie nabożeństwa w niedziele i w dni powszednie. Na pół godziny przed rozpoczęciem nabożeństwa przygotowywano procesję bractwa z chorągwiami – pod kierunkiem bractwanych. Po kwadransie wszystko było gotowe – więc czekali drugi kwadrans do rozpoczęcia nabożeństwa. Kiedy zegar bije – procesja rusza z proboszczem na czele.

Ksiądz Waclawski miał w Brańszczyku swoją małą diecezję w diecezji. Słuchał tylko najważniejszych rozporządzeń biskupa – a o reszcie decydował sam. Ewangelia była jak trzeba – ale już kazanie plótł trzy-po-trzy, najwięcej o Piłsudskim, którego nie cierpiał. Ale długo gadał – i za to lubiły go dewotki.

106. Chybione przedsięwzięcie

Był to budowniczy-mason: zawsze budował, ale nigdy nie kończył. Raz organista mieszkał w domu kościelnego, a drugi raz – kościelny w domu organisty. W Brańszczyku dogorywał obszarniczy dworek państwa Rudzkich. Mieszkała w nim wdowa z córką¹² – okwitniętą już panną, która bawiła się pracą społeczną. Założyła m.in. Koło Młodzieży,¹³ które tak samo bokami robiło, jak ten dworek. Panna Rudzka założyła też chór – na niezliczoną ilość głosów. Najwięcej dominował jeden bas, który wyskakiwał ponad inne głosy swoimi dysonansami. Wokół dogorywającego dworku stały rozmaite stare baraki i domy z placami i wymarłymi ogrodami. Toteż proboszcz wpadł na pomysł, aby te wszystkie dworskie rudery wykupić i wybudować pensjonat dla zakonnic. Pojechał w tej sprawie do Warszawy i uzgodnił co trzeba z przełożoną-mateczką. Rozebrano więc stare zabudowania, wybrano zdrowy jeszcze materiał budowlany i przykupiono nowego. I w ciągu dwóch lat stanął wspaniały budynek dla zakonnic. Kiedy ukończono pensjonat, przyjechała przełożona, a z nią pierwsza grupa zakonnic. Na uroczystość poświęcenia domu panna Rudnicka ze dworu zebrała swoje Koło Młodzieży i wysmienity na niezliczone głosy śpiewający chór, który uświetnił uroczystość. Mój proboszcz, budując ten dom, liczył na to, że nie będzie potrzebował u siebie trzymać służby, bo wszystko obrobią zakonnice: że będą mu chowały

¹² Chodzi o Leonie i jej matkę Marię, wdowę po Adolfie.

¹³ Dokładniej: Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej i Męskiej.

świnie, krowy, a nawet i konie; że obsłużą całą plebanie i jego razem: że będą opierać bieliznę kościelną, reperować szaty kościelne i dbać o to, żeby kościół lśnił czystością. Będą mu prowadziły ogród na modłę zagraniczną: będą hodować drzewka i kwiaty, szczepić je i oczkować, chować pszczoły i jedwabniki. I liczył na to, że zakonnice będą w pełni zależne od niego. Tymczasem grubo się przeliczył.

Niezależnie od tego postanowił zbudować sobie plebanie w stylu zakopiańskim – na czternaście izb. Rozwalił starą plebanie i stodołę, dodał to, co zostało po zabudowaniach dworskich panny Rudzkiej, dokupił czego brakowało i zaczął budować tę plebanie. Mielśmy z kościelnym istną mękę z tą budową, bo musieliśmy wyciągać stare gwoździe cęgami i prostować – choć trzeba przyznać, że sam proboszcz z nami przy tym pracował. Musiałem to wszystko znosić, bo zacząłem po trosze głuchnąć, a dwaj synowie byli w gimnazjum w Ostrowi, oddalonej od Brańszczyka o trzydzieści kilometrów. Kiedy proboszcz wykończył plebanie, odebrał mi dwa pokoje i oddał kościelnemu.

Zakonnice początkowo unikały wszelkich zadrażeń. Ale w końcu jedna nie wytrzymała i na jakieś jego polecenie odpowiedziała, że tego robić nie będzie, bo reguła zakonna jej na to nie pozwala. Doszło do tego, że zakonnice nie wytrzymały i wniosły skargę do mateczki-przełożonej do Warszawy. Ta przyjechała i w ostrej rozmowie wyjaśniła proboszczowi, że zakonnice należą do zakonu, a nie do niego. W wyniku tej rozmowy urwały się kontakty proboszcza z zakonnicami. Trzeba trafu, że zachorowała matka proboszcza. Kiedy choroba się przeciągała, proboszcz zmuszony był poprosić zakonnice o opiekę; te chętnie się na to zgodziły. Matka proboszcza miała już 90 lat; w końcu dostała ogólnego paraliżu i po tygodniu zmarła. Proboszcz ją pochował, nie zawiadamiając o tym córek. Dwa tygodnie po śmierci matki przyjechały obie jej córki, ale pierwsze kroki skierowały nie do brata, lecz do zakonnic. Potem przyszły do proboszcza i były u niego z dziesięć minut; pomodliły się na grobie matki – i wyjechały. Odtąd nigdy już go nie odwiedziły.

107. Nierówny człowiek

Przed probostwem w Brańszczyku był w różnych parafiach: mniejszych i większych. Zadarł z dziekanem i ten jak mu przystawił stołkę, to w ciągu roku musiał trzykrotnie zmieniać parafie. Miał tam

swoich ulubionych kościelnych, których potem to sprowadzał do Brańszczyka, to odprowadzał do domu. I tak w kółko. Między tymi kościelnymi było dwóch braci Doboszy¹⁴ i trzeci – Stuczyński. Kiedy nastąpił w Brańszczyku, kościelnym był właśnie jeden z Doboszy. Proboszcz o nim mówił: „To dusza!”. Ale po pół roku tę duszę wywalił. Dobosz miał trochę grosza, więc kupił spode dworu plac i postawił sobie chałupinę, przy której zrobił wszystko: ciesiołkę, stolarkę i mularkę. I na kościelny już nie wrócił. Proboszcz sprowadził więc Stuczyńskiego. Pan Stuczyński miał syna Genka, którego proboszcz oddał najpierw do gimnazjum, a po czterech klasach gimnazjum – do Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie na organistę. Kiedy Genek już nieźle grał, często przyjeżdżał do Brańszczyka do rodziców, a zarazem gościł u swego opiekuna. Kim był ów Genek – było zagadką. Może synem proboszcza? Proboszcz tak go lubił, że kiedy przyjechał, to grywał tylko on, a ja już byłem niczym. Matka Genia miała ogromny wpływ na proboszcza, a ojciec był traktowany jak piąte koło u wozu. Kiedy Geniowi w Warszawie brak było pieniędzy na ubranie lub naukę, do proboszcza nie szedł o pomoc ojciec – tylko matka. W końcu Stuczyńskiego proboszcz usunął z Brańszczyka i wziął kogoś miejscowego z Brańszczyka. Mimo to Genio na tym nic nie ucierpiał. Miał mój proboszcz w Warszawie pewną niewiastę, z którą utrzymywał kontakt.

Proboszcz był człowiekiem nierównym i lubiącym rozmaitość. Sprawiało mu też przyjemność, gdy kogoś skrzywdził. Było tak, jakby z tobą wypłynął łodzią na rzekę. Rozkoszujecie się pięknymi widokami i nagle on cię spycha do wody – i to w miejscu, gdzie jest najgłębsza. Proboszcz cię łapie za włosy i rzekomo chce cię wyciągnąć, ale naprawdę zanurzasz się głębiej i tracisz ducha. W końcu proboszcz cię wyciąga do łodzi – cóż, kiedy to już jest twój trup. Wtedy nad tobą zapłacze.

108. Wyrwanie z nałogu czy upokorzenie

Przed moim poprzednikiem Kalinowskim był organistą w Brańszczyku pan Jan Fedorczyk. Był to człowiek miły, sympatyczny, ale – służbista aż do przesady. Ilekroć proboszcz gdzieś wyjeżdżał, zawsze wprowadzał go na bryczkę – jeżeli była zima, to otulał – całował świę-

¹⁴ Chodzi prawdopodobnie o Bolesława i Jana.

te rączki proboszcza i żegnał. Proboszcz często go ze sobą brał na odpusty i do sąsiedniej parafii w Wyszku, oddalonej o 11 kilometrów, w której było trzech księży, bo to był dekanat. Pan Fedorczyk miał jednak pewną wadę, która trapiła i jego proboszcza – był nałogowym alkoholikiem. Tyle, że kiedy się upił, nie robił awantur, tylko szedł spać, wysypiał się – i wszystko było w porządku.

W związku z wyjazdami do Wyszku opowiem pewną historię. Była zima. Sanna – wyśmienita. Proboszcz więc – jak zwykle w towarzystwie pana Jana – wybrał się pewnego dnia do Wyszku. Kiedy zajechali, proboszcz poszedł do dziekana, a organista – do swego kolegi-organisty Kłosa. Kiedy proboszcz skończył wizytę u dziekana, była już noc – jak to zwykle zimą dzień był krótki. Dano znać organiście, wszyscy usadowili się na sankach, otulili, kościelny zaciął konie i pojechali szosą prosto do domu. Proboszcz, otulony futrem i z postawionym kołnierzem, mało zwracał uwagi na to, co się wokoło dzieje. Organista w palteczku koło proboszcza wyglądał jak kruszyna. Kiedy ujechali parę kilometrów, proboszcz chciał zapalić papierosa, więc opuścił kołnierz. Patrzy – a tu organisty koło niego nie ma. Kazał kościelnemu zatrzymać sanki i zaczęli szukać pana organistę. Znaleźli go dopiero po cofnięciu się trzy kilometry do Wyszku. Pan Jan, który kropnął sobie u kolegi, spadł z sani i spał sobie spokojnie na szosie we śniegu. Kościelny umieścił go śpiącego na sankach i tak go dowieźli do Brańszczyka.

Proboszcz, który bardzo cenił pana Jana, wpadł w końcu na genialny pomysł, żeby wyrwać go z nałogu: powiedział mu, że jeśli nie rzuci wódki, to go pozbawi posady. „Przysięgniesz w niedzielę na wystawiony Przenajświętszy Sakrament na oczach całej parafii, że przestaniesz pić” – powiedział mu któregoś dnia. Organista zdębiał, ale mając żonę i dzieci musiał ten warunek przyjąć. Przyszła niedziela i proboszcz po kazaniu na sumie odezwał się w te słowa: „Drodzy parafianie! Dziś po sumie nie rozchodźcie się, bo pan Jan Fedorczyk – nasz lubiany organista – złoży przysięgę, że od dziś zaprzestanie pić.” Po sumie organista zszedł z chóru i złożył tę przysięgę. Czy proboszcz postąpił mądrze? Nie. Jak się niebawem okazało zabił człowieka, a jego rodzinę pozbawił chleba. Po tej przysiędze przed parafianami i Bogiem – organista pił nadal, tyle że się wystrzegał, żeby go nie nakryto.

Przez Brańszczyk przepływa mała strużka, a za strużką była mała restauracja, w której można było dostać wódkę. Pewnego wiosennego dnia, w roztopy, pan Fedorczyk poszedł do tej restauracyjki i zabawił do późna. Było to wiosną, więc strużka przybrała, zbierając wodę z pól i rozmaitych rowków, i spływała do rzeki Bug, która płynęła koło samego kościoła i ogrodu proboszcza. Kiedy wyszedł, wpłatał się w tę strużkę, ugrzązł, upadł – i przeleżał parę godzin. Kiedy go znaleziono i sprowadzono do domu, okazało się, że dostał zapalenia płuc i zmarł. Kiedy mi proboszcz opowiadał tę historię, płakał jak małe dziecko. Ale płakał – jak już człowieka zabił. Przecież żeby się odzwyczaić od picia, trzeba stopniowo je ograniczać, a nie za jednym pociągnięciem – jak chciał proboszcz.

109. Synowie

Mojemu najstarszemu synowi Antolkowi nauka w gimnazjum kulawiła. A było ich tam dwóch: on i Mietek. Ciężko mi było ich obu uczyć. W końcu Antolek zrezygnował z gimnazjum: osiem lat nauki, a rezultat słaby. Namówiłem go więc i wstąpił do Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, żeby uczyć się na organistę. Biedne dziecko jeździło więc codziennie do Warszawy, wstając o godzinie czwartej rano i dojeżdżając rowerem 11 kilometrów do stacji kolejowej; w Wyszku zostawiał rower u znajomych i dalej pociągiem – do Warszawy. Na wieczór – z powrotem ta sama trasa. W lecie – pół biedy. Ale w zimie? Zaspę, śniegi, błota, roztopy itd. Męczyło się dziecko przez dwa lata. Po dwóch latach moja sytuacja się pogorszyła: padła mi krowa i musiałem zabrać Mietka z gimnazjum. Mietek czekał w domu dwa lata, że Antolek ukończył naukę w Warszawie; przez te ostatnie dwa lata był już na stałe w Warszawie i musiał się obyć stoma złotymi, które dostawał co miesiąc ode mnie.

110. Krwotoki i głuchota

Ja wskutek ciągłych fantazji proboszcza troszkę zaniemogłem. Dostałem pewnej nocy dużego krwotoku. Lekarz z Ostrowi orzekł, że mój stan jest groźny. Zasugerował nawet, żebym wezwał księdza. Po ceremonii jedna z zakonnic mnie pilnowała, żebym się nie poruszał, tylko

leżał na wznak przez całe dwa tygodnie. W czasie tej choroby musiałem wziąć zastępcę, co bardzo osłabiło moje dochody. Proboszcz liczył się, że ze mną będzie kłapa. Żona moja chorobą bardzo się przejęła; podziało to źle na stan jej zdrowia. Po trzech tygodniach jednak wstałem i stopniowo zacząłem spełniać swoje obowiązki. Niestety zacząłem jednocześnie zdradzać coraz gorszą głuchotę. Pojechałem do Warszawy, ale lekarze warszawscy okazali się bezsilni. Było to jesienią – w ostatnim roku nauki Antolka w Warszawie; w kwietniu następnego roku miał on powrócić do domu z dyplomem. Ale proboszcz zaczął mi dawać do zrozumienia, że chce się mnie pozbyć. Sam więc zacząłem szukać posady. Kto jednak weźmie głuchego? Pewnej niedzieli po nabożeństwie proboszcz wezwał mnie do siebie i wobec bractwanych wypowiedział mi pracę od Nowego Roku. Na szczęście od pięciu lat byłem ubezpieczony i opłacałem składki emerytalne. Miałem wówczas już prawo uzyskać od proboszcza odszkodowanie. On sam mi zresztą wobec świadków je wypłacił – w wysokości 300 złotych. Byłem głupi! Mogłem zażądać 3000 lub ostatecznie 2000 złotych. Liczyłem jednak, że jak Antolek wróci, to może obejmie po mnie posadę. W drodze łaski pozostawił mnie do kwietnia następnego roku. Żona już wtedy niedomagała, a kiedy się dowiedziała o wymówieniu, dostała rozstroju nerwowego. Zaatakowana została wątroba. Zimą położyła się do łóżka i dostała urojonego paraliżu lewej nogi. Sprowadzony lekarz powiedział, że w swoim życiu nie widział jeszcze tak nerwowego pacjenta. Potwierdził to drugi lekarz – z Wyszku. Sprowadziłem lekarza-kobietę; ta powiedziała, że żona jest tylko wyczerpana i potrzebny jest jej spokój. Ale jak jej ten spokój zapewnić, skoro do wiosny już tylko trzy miesiące. Zapytałem proboszcza, czy nie zatrudniłby po mnie Antolka. Ale on na to, że mu syn nie odpowiada, bo ma swego organistę: Genia Stuczyńskiego. Wynająłem mieszkanie o kilometr drogi do kościoła i opuściłem ostatnią w życiu posadę organisty. Widział proboszcz, że moją żonę wynoszono na furę, ale go to nie wzruszyło. Tymczasem Geniowi się przedłużała nauka; przysłał więc zastępcę z Warszawy. Tak spełniał swoje obowiązki, że nie on na proboszcza, a proboszcz na niego musiał czekać. Trafiło mu się dobrze, bo miał trzy dobre pogrzeby i resztę z kartek wielkanocnych. Ale po dwóch tygodniach zwiął,

nie opowiadając się nawet proboszczowi. Zacząłem więc – za zgodą proboszcza – chodzić codziennie rano ten kilometr drogi do kościoła i spełniać obowiązki organisty. Kiedyś znowu dostałem krwotoku i na furze odwieziono mnie do domu. Tymczasem Antolek przyjechał z Warszawy z dyplomem i przejął ode mnie obowiązki. Ale proboszcz nie zaproponował mu posady, czekając rzekomo a swego pupilka – Genka.

111. Barany

Pewnego dnia był pogrzeb. Kiedy już syn z księdzem zaprowadził ciało na cmentarz, ksiądz się rozebrał i dał synowi szaty i aparaty liturgiczne, aby je odniósł do kościoła. Lecz na wsi jest zwyczaj, że po skończonym pogrzebie przyjeżdża fura, którą księdza odwożą na plebanie. I organista korzysta też z tego przywileju. Kiedy przyjechała więc fura, ksiądz wsiadł na nią, a syn z szatami i aparatami też chciał usiąść koło proboszcza. Ale proboszcz kazał mu usiąść w tyle – nie obok niego. A syn na to: „Mój ojciec zawsze i wszędzie siadał obok księdza, wszyscy organiści tak robią, więc i ja tak postępuję”. A ksiądz synowi na to: „Jesteś baran”. Wtedy syn wszystko co niósł zebrał w kupę i księdzu rzucił na kolana na furę, mówiąc: „Wszedłem między barany i baranem zostałem”. I odszedł pieszo do domu. A ksiądz obrażony do granic – odjechał. Od tej pory moja kariera na organistowskim chlebie definitywnie się skończyła. Już nie poszedłem do kościoła ani ja, ani syn.

Antolek dostał w niedługim czasie posadę za Warszawą. Miałem jeszcze prosiaka; sprzedałem go i wyprawiłem syna na tę posadę. Pojechał tam z Zygmuśkiem. A mnie się zdrowie trochę poprawiło. Objechałem całą parafię za snopkami, chociaż ksiądz z ambony parafianom przykazał, by mi nie dawali. Byli tacy, co go usłuchali, ale byli i tacy, co mi dawali. Snopki zebrałem, sprzedałem i wyprowadziłem się do Ostrowi. Przed moim wyjazdem, latem, parafię w Brańszczyku wizytował biskup. Ponieważ proboszcz mnie nie poprosił, nie poszedłem – i grał tam ktoś „Myszy-myszy, która słyszy”. Aż sam biskup zawołał na cały kościół: „Co on tam gra?”. Dziwne, że na przyjazd biskupa proboszcz nie zaprosił przynajmniej organisty z sąsiedniej parafii – albo swego Genka z Warszawy...

112. Pożegnanie

Gdy piszę te słowa, mieszkam w Strzelcach Krajeńskich i żyję przy córce Irenie. Wnuczka Mirka ukończyła trzyletnią szkołę przedszkolną; jest już dorosłą panną. Na razie jest zadowolona z pracy. Córka Irenka też pracuje. Wnuczek Zbyszek chodzi do IV klasy szkoły podstawowej. Ja mam troszkę emerytury; resztę dopomagają mi synowie. Mam 72 lata. Ile mi jeszcze pozostało – nikt nie wie. Ale wydaje mi się, że chyba w niedługim czasie przyjdzie mi pożegnać się ze światem.

113. Prośby i przestrogi

Drogie Dzieci! Kiedy będziecie czytać ten pamiętnik, wyda się Wam może, że czasem użyłem zbyt ostrych słów, które mogą niejednego zranić. Chciałem jednak, żeby obraz tego, czego doświadczyłem, był pełny: i tak starałem się wiele punktów drażliwych ominąć.

Ze swojej strony – jako ojciec – daruję Wam wszystkie usterki: niech one pójdą w niepamięć. Chcę zejść z tego świata w pełnym spokoju. Pamiętajcie, że idąc przez życie, człowiek stale popełnia błędy. Błędy popełniają najbardziej wykształceni i utalentowani ludzie, a coś dopiero my – maluczy!

Zakończę pytaniem. Czy idąc drogą, którą mi wytknął los, mogłem się zbudować?

I jeszcze jedno.

Drogie Dzieci! Żyćcie zgodnie. Pomagajcie sobie – jeśli to możliwe – wzajemnie. A przede wszystkim – kochajcie się.

2. Antoni (sen.) Jadacki

Okruchy myśli

... Co trudniejsze od wyznania
Uczuć swoich po raz pierwszy –
I wstydlwsze od czytania
Przed kimś bliskim swoich wierszy?...

1. PORY ROKU

O wiosnie (1948)

...Wokoło bzy kwitną, czeremchy, jaśminy.
Do nieba zapachy się wznoszą.
Z każdego kielicha – od każdej krzewiny.
A pszczoły ich nektar roznoszą.
 Przy samej ławeczce akacji kwiateczki
 Wciąż z góry się sypią na trawę.
 Ich małe, okrągłe, bielutkie płateczki
 Jak śniegiem przykryły murawę,...

O lecie (1952)

... Cały horyzont złotem pokryty –
W perłowy diadem cudnie spowity.
 Razem maj z czerwcem to przygotował,
 Aby nas lipcem tak rozkoszować.
Wszystkie rośliny pięknie przybrane –
Różnymi kolory wzorzyście utkane...

O jesieni (1954)

...Smutno. Już jesień wokół nastała.
Wszystkie piękności letnie zabrała.
 Niebo chmurami stale zasłane –
 Pola i łąki deszczem splukane.
Wicher potrząsa w górze chmurami –
W dole nagimi miota drzewami...

O zimie (1955)

...Cały firmament zakryły chmury.
Wiatr pełną grozy symfonię gra.
Skrzyły się niebios letnie lazury.
Każdy, kto może, za piec się pcha.
 Łąki i pola śniegiem pokryte.
 Jeziora, stawy lód gruby skuł.
 Wśród ludzi zima żniwo obfite
 Już zbiera – dziś triumf święcąc swój...

2. PRZYRODA

O choince (1954)

...Palono na mnie cieniutkie świeczki.
Aniołki były, w żłobku owieczki.
 Lecz mnie to wszystko nic nie bawiło –
 Bo mi za lasem serce tęskniło...
A gdy się wszyscy mną nacieszyli,
Po świętach z domu precz wyrzucili...

O lesie (1948)

...Las stary pokryło milczenie,
Spokojną weń ciszę wlewając.
I drgają – tu światła, tam cienie
Dziwaczne obrazy stwarzając.
 Wtem ciszę przerywa słowicza
 Piosenka rozkoszna i rzewna –
 Tak czysta, jak dumka dziewicza,
 Jak lekki zefirek powiewna...

O jeziorze (1954)

...Kiedy tu słońce wschodzi, zachodzi,
Jak z bajki widoki się przedstawiają:
Bocian po brzegach dostojnie brodzi,
Wysoko w górze mewy latają.

Sady, ogrody – co za widoki
W lustrze jeziora się przedstawiają:
Na nieboskłonie – płyną obłoki,
Nisko zaś, w wodzie, rybki pluskają...

O morzu (1952)

... Raz fale wesoło ze sobą igrają,
A innym znów razem jak dzieci – tak łkają.
A czasem są gniewne i ryczą z wściekłości,
Gdy burza – ich siostra – zawita tu w gości.
A kiedy swe siły utracą do końca,
Bóg ręką swą rąbek ukaże im słońca.
I między falami nastąpi znów zgoda –
I wróci nad morze precudna pogoda...

3. LOS

O nieufności (1955)

...Nie ufaj fali, co łódź twą pieści,
Choć Ci się zdaje życzliwa,
Bo groźne wiry w głębi swej mieści
I toń bezdenną, straszliwą. [...]
Nie ufaj krewnym, nie ufaj rodzinie.
Nie ufaj bratu swojemu.
Nie wierz druhowi, nie wierz dziewczynie...
Nie ufaj sobie samemu!...

O spokoju (1955)

...Spokojna jest dusza człowieka –
Dopóki się serce nie zbudzi,
I rwąc się ku komuś z daleka,
Nie spotka szyderstwa u ludzi.
Dopóki tej kropli słodczy,
Tej chwili serdecznej uciechy,
Nie spłaci kielichem gorzocy
I łąą zatrutymi uśmiechy....

O przemijaniu (1952)

...Widziałem raz brzoźkę złamaną przez pół:
Wierzchołek jej cały pochylił się w dół
Jej listki drobniuchne nie miały już kras.
I zmarła – nim słońce się skryło za las...

O kresie życia (1950)

...U kresu mojej podróży skończonej,
Zrzuciwszy z ramion sakwę niepotrzebną,
Na ziemi legnę i skryję – znużony –
We dłoni głowę swą jak księżyc srebrną.
I jak wędrowiec na najwyższym szczycie
W minioną przeszłość swe zwrócę oblicze.
Obejmę myślą całe moje życie.
Cóż! Czy mam tęsknić za czymś? Nie! Za niczym!...

4. LUDZIE

• O zakochanych (1955)

– Powiedz, dziewczyno, czym byś była
Gdybym wczarował w ziemię siebie?
– Wiosną uroczą, o mój miły,
Wtedy bym przyszła ja do ciebie!
– A co byś, luba, ty zrobiła,
Gdybym obrócił się ja w morze?
– W twą pierś bym wtedy się wtuliła
Niby łódeczką w wód przestworze!
– Gdybym zaś tarczę niebios, oto,
Nad twą rozpostarł główką miłą?
– Z nieba bym stale gwiazdką złotą
We dnie i w nocy ci świeciła!
– A jak by dusza ma utkwiła
W ogniu, to czym byś zostać chciała?
– Wtedy bym w wietrzyk się przemieniła
I na ten ogień wciąż dmuchała.

• **O synu i synowej** (1938)

...Toluś i Hania – to jedno ciało:
Żeby im serce dłużej nie łkało,
Bóg ich połączył miłością świętą,
Przez dobroć Wielką i Niepojętą...

• **O pijakach** (1946)

...Pijaków wielu zima utopi:
Skuje ich lodem, śniegiem pokropi.
Nad zmarzłym trupem będzie powtarzać
Jak ksiądz te słowa swego brewiarza:
*De terra formasti, Domini, me*¹⁵...
Już zaśnij – pewnie Ci tu było źle...

• **O pewnym księdzu** (1938)

...Tak bliski wszak Hani
Proboszcz Piekucki
Ma serce – jak kamień
i umysł nieludzki...

¹⁵ Z ziemi mnie, Panie, zrobiłeś (łac.).

3. Genowefa z Jadackich Tytkowa

Powiaстки spod Myszyńca

1. Jaskółka

Przed wiekami, kiedy ziemie polskie najeżdżały często dzikie hordy tatarskie, w jednej wiosce mieszkała piękna dziewczyna. Była ona jedynym dzieckiem starszego małżeństwa. Ich chata była skromna, ale pełna szczęścia: słychać było w niej radosny śmiech i wesoły śpiew.

Pewnego dnia napadli na wioskę Tatarzy i uprowadzili dziewczynę w jasyr. Smutek zawitał do chaty jej rodziców. Dziewczynę również opanowała rozpacz i tęsknota za domem rodzinnym. Zamknięta w pilnie strzeżonym taborze, nie mogła marzyć o wydostaniu się na zewnątrz. Modliła się jednak żarliwie, aby Pan Jezus pozwolił jej uściśnić jeszcze raz swoich ukochanych rodziców – choćby miała umrzeć u ich stóp. Modlitwa dotarła do bram niebieskich i Pan Jezus wysłuchał prośby dziewczyny. Któreś wiosny przemienił ją w jaskółkę, która bez trudu wydostała się z taboru i poleciała do rodzinnej wioski. Tam – pod strzechą swego domu – ulepiła sobie gniazdo i dzięki temu mogła być blisko rodziców. Jesienią musiała co prawda wrócić do tatarskiego taboru, ale odtąd każdej wiosny wracała do wioski, w której zaznała prawdziwego szczęścia. Rodzice przyzwyczaili się do tego powracającego co wiosnę pięknie świergocącego ptaka, nie wiedząc, że zaklęta w niego była ich własna córka. Smutek porzucił ich chatę.

Zauważyli to sąsiedzi i zaczęli modlić się do Boga, prosząc Go, aby przysłał do ich wioski więcej takich pięknych ptaków. I odtąd do dziś stada jaskółek przybywają wiosną do polskich wiosek, napełniając je swym radosnym śpiewem.

2. Skowronek

Gdy nowonarodzony Zbawiciel leżał w żłobie, owinięty tylko w samodziiałowe pieluszki, zwierzęta starały się mu pomóc – jak umiały. Osły rozgrzewały go swym gorącym oddechem; owce utrzymywały Go w cieple przytulając się do Niego swą gęstą wełną; krowa dawała Mu swe pożywne mleko, żeby nie był głodny; psy szczerząc groźnie kły stały na straży stajenki, żeby nie przeszkadzali Świętej Rodzinie niepro-

szeni goście. W trawie, rosnącej wokół stajenki, mieszkał mały skowronek. Powiedział do siebie cichutko: „Na co przydam się Dzieciatku? Nie mam ani gorącego oślego oddechu, ani ciepłej owczej wełny, ani pożywne krowiego mleka, ani siły psich kłów? A przecież kocham Syna Bożego nie mniej niż osły, owce, krowy, czy psy?” I wzniósł się wysoko w niebiosa, głosząc swym prześlicznym śpiewem chwałę Pana.

Dzieciatko z zachwytem słuchało tego śpiewu. I wtedy Matka Najświętsza powiedziała: „Mała ptaszyno! Twój śpiew jest najcenniejszym z darów dla mego Syna, bo jest to dar miłości. Bądź za to błogosławiony – i niech będą błogosławione na wieki wszystkie skowronki.”

Rolnicy polscy przekazywali tę powiastkę z pokolenia na pokolenie – i stąd się wzięła ich wielka cześć dla skowronków. Otóż kiedy żniwiarz zauważył na polu gniazdko skowronka ukryte w dojrzałym zbożu, zostawia wokół tego gniazdko kawałek niezżętego ładu, aby nie zakłócić spokoju pobłogosławionemu przez Matkę Bożą ptakowi.

3. Podłazniczki

Do osłów i owiec, starających się ocieplić żłobek nowonarodzonego Pana Jezusa, przyłączył się także pająk, który uszył Mu z nici pajęczej kołderkę. Kiedy Święta Rodzina pośpiesznie opuszczała stajenkę, aby uchronić Syna Bożego przed nakazaną przez Heroda Rzezią Niewiniątek, pająk ukrył się wśród ich tobołków. Na drodze swej ucieczki Święta Rodzina schroniła się w pewnej jaskini. Żołnierze rzymscy, poszukujący niemowląt, aby je na rozkaz królewski uśmiercić, przechodzili właśnie koło tej jaskini. Na szczęście pająk rozwinął chwilę przedtem bujną pajęczynę u wejścia do jaskini; żołnierze wzięli to za znak, że w jaskini nikogo nie ma, i nie weszli do środka.

Na pamiątkę tego zdarzenia Kurpie robią na Boże Narodzenie i Wielkanoc podłazniczki, które przypominają zwiewne pajęczyny. Podwieszenie ich pod powałą jest świadectwem głębokiej wiary mieszkańców tak ozdobionego mieszkania.

4. Zazula

Bardzo dawno temu, kiedy Pan Jezus był małym chłopcem, św. Anna wzięła go ze sobą do lasu, żeby nazbierać jagód na śniadanie. Pan Jezus szedł za nią – jak zwykle gwarząc sobie z leśnymi stworzeniami. Nagle

zobaczył grupę dziewcząt zbierających jagody jak św. Anna. Jedna z nich zobaczywszy św. Annę zaczęła się podśmiewać z jej nieporadności. Pan Jezus bardzo się na tę dziewczynkę rozniewał za to, że nie okazuje należnego szacunku osobie starszej – i zrobił z niej zazulę. Usiadła ona na gałęziach pobliskiego drzewa – i do dziś krąży po lasach, płacząc nad losem, który ją spotkał. A panny polskie, usłyszawszy w lesie głos zazuli, wołają do niej:

– Kuku! Wykukaj mi zazuleczko,

Ile lat będę jeszcze dziewczeczką?

Zazula wydaje wtedy odpowiednią liczbę kuknięć, po czym wydaje dźwięki podobne do „He-he-he”, jak gdyby śmiała się z błahostek ludzkiego życia – i odlatuje w gąszcz leśny, aby zająć się prawdziwymi troskami swego ptasiego świata.

5. Śnieżynki

Św. Anna jest, jak wiadomo, Gospożą Niebios: porządkuje niebiańskie kąty, zmiata niebiańskie podłogi, ugniata ciasto na niebiański chleb i posypuje niebiańskie ciasteczka gwiazdowym pyłem. Pomagają jej w tym cherubinki – to znaczy dusze dzieci, które straciły życie w Rzezi Niewiniątek, i które są rozkoszą Niebian.

Pewnego dnia, tuż przed urodzinami Pana Jezusa, św. Anna zaczęła przygotowywać Pałac Niebieski na okolicznościową ucztę. Cherubinkom poleciła przygotować sypialnie na przyjęcie gości. Zaczęło się więc prostowanie prześcieradeł i „puszenie” piernatów. Wszystko szło dobrze, dopóki jeden z cherubinków nie uderzył dla zabawy jednego ze swych współtowarzyszy jedną z poduszek; ten nie pozostał dłużny – i nastąpiła radosna walka „na poduszki”. Wkrótce pękły w powłokach szwy i z poduszek zaczęły wlatywać w powietrze wypełniające je pióra. W tej chwili weszła św. Anna, zrobiła im burę i nakazała posprzątać bałagan. Cherubinki zabrały się dziarsko do dzieła; zmiatały jednak pióra z poduszek tak żwawo, że część z nich przedostała się na zewnątrz przez szpary w niebiańskiej podłodze. Opadły one w dół na ziemię – w postaci białych śnieżynek.

Od tego czasu polskie dzieci, gdy zacznie padać pierwszy śnieg, mówią ze śmiechem: „Św. Anna sprząta Pałac Niebieski, a cherubinki jej w tym pomagają!”

6. Czarna Madonna

Dawno temu pewien młodzieniec wynajął się na siedem lat do pracy w bogatym dworze. Dziedzic zatrudnił go w wielkiej kuchni dworskiej, gdzie do jego obowiązków należało utrzymywanie w czystości palenisk i kominów. Z obowiązków tych wywiązywał się sumiennie i dziedzic był z niego bardzo zadowolony.

Któregoś dnia, usunąwszy sadzę z otworu kominowego, młodzieniec postanowił oczyścić także brudną drewnianą pokrywę zasłaniającą otwór. Kiedy zaczął szorować deskę, jego oczom zaczął ukazywać się wizerunek kobiety z dzieckiem; na jej prawym policzku zobaczył dwie cięte rany. Młodzieniec od razu rozpoznał w wizerunku Cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, o którym opowiadała mu matka. Postanowił, że nikomu nie powie o swoim niezwykłym znalezisku – w obawie, żeby nie dostało się ono w niepowołane ręce.

Minęło wreszcie siedem lat. Dziedzic przywołał do siebie młodzieńca i zapytał go, jaką chce zapłatę za swoją pracę. Młodzieniec skłonił się grzecznie i odpowiedział: „Proszę tylko o tę drewnianą pokrywę, która zasłania otwór kominowy w kuchni”. „Chyba żartujesz” – uśmiechnął się dziedzic. Ale młodzieniec powtórzył prośbę. Wtedy dziedzic rzekł: „Skoro tak ci zależy na tej pokrywie, to aby ją otrzymać, musisz odpracować jeszcze dodatkowo siedem lat”. Ku jego zdumieniu – młodzieniec przystał na ten warunek i pracował następne siedem lat, uważany przez innych we dworze za głupca.

Po kolejnych siedmiu latach dziedzic oddał młodzieńcowi obiecaną drewnianą pokrywę. Nie domyślił się, że był to cudowny obraz, któremu przez stulecia oddawali cześć nasi władcy – i który w czasach, kiedy obcy najeźdźcy zaczęli bezkarnie bezcześcić polskie świętości, został ukryty we dworze, o czym zapomniano, kiedy zmarli ci, którzy strzegli tej tajemnicy.

To, że obraz schowano używszy go jako pokrywy do otworu kominowego, sprawiło, że jego powierzchnia ściemniała. Wtedy zaczęto właśnie o nim mówić, że jest to Czarna Madonna.

4. Jacek Jadacki

Kurpie

Zdzisław Najder *et al.* (red.),
Węzły pamięci niepodległej Polski.
Kraków-Warszawa 2014,
Fundacja *Węzły Pamięci* & Wydawnictwo *Znak*,
s. 387-389.

Północno-wschodnie Mazowsze, w dorzeczu dolnej Narwi, pokryte jest do dziś trzema kompleksami leśnymi ułożonymi w podkowę. Lewy „wąs” tej podkowy – to bagienna Puszcza Zielona; jej prawy „wąs” – to piaszczysta Puszcza Biała; „łuk” łączący oba „wąsy” – to lesiste wzgórza Czerwonego Boru (najwyższe ich wzniesienie liczy 227 m n.p.m.). Pierwsza puszcza należała najpierw do książąt mazowieckich, od XVI w. (po włączeniu Mazowsza do Polski) do królów polskich, a w końcu stała się własnością rządową; druga – od początku XIII do końca XVIII w. stanowiła posiadłość biskupów płockich; natomiast trzecia – była we władaniu miast Łomży i okolicznej drobnej szlachty. Nie wiadomo, kto zamieszkiwał te tereny we wczesnym średniowieczu, chociaż zapewne byli to raczej „łuźni” uciekinierzy, ludzie z różnych stanów szukający schronienia przed czymś lub przed kimś – nie zaś dobrowolni osadnicy. Pochodzili oni głównie z zachodniego Mazowsza, ale po XIII w. zdarzali się też przybysze z Jaćwieży i z Rusi. Właściwie dopiero na początku XV w. można mówić o systematycznym zasiedlaniu tych stron, przy czym w Puszczy Białej, opustoszałej po potopie szwedzkim, doszło do fazy wtórnego osadnictwa – już bezpośrednio z Puszczy Zielonej.

Mieszkańcy puszczy sami nazywali siebie „Puszczakami”. Mieli oni status ludzi wolnych, podlegających odpowiednio sadownictwu starosty łomżyńskiego, ostrołęckiego lub przasnyskiego, reprezentującego króla (w Puszczy Zielonej), oraz pełnomocników biskupa płockiego (w Puszczy Białej). Inni – bliżsi i dalszy sąsiedzi – co najmniej od XVIII w. mówili o Puszczakach: „Kurpie” (a wcześniej – „Kurpiki”) –

zapewne dlatego, że Puszczaczy nosili gdzie indziej nieużywane już tak powszechnie obuwie plecione z łyka, zwane właśnie „kurpiami”. Było to określenie z intencji pejoratywne – tak jak za obraźliwe uchodziło używanie tego miana wobec hajduków z tzw. węgierskiej straży marszałkowskiej, czuwającej nad bezpieczeństwem króla bądź sejmu (a rekrutującej się w dużym stopniu właśnie z Puszczaków). Pejoratywne było też określenie „Gocie”, które rodowici Kurpie z Puszczy Zielonej nadawali swoim pobratymcom, osiedlającym się w Puszczy Białej. Ukształtował się ostatecznie ideał-stereotyp Kurpia krnąbrnego, walecznego i zwinnego. Swojej wolności Puszczaczy strzegli zażarcie: od zbrojnego oporu przeciw próbom narzucenia pańszczyzny na początku XVIII w. – po pokojowy marsz „na Kolno” przeciw zwiększeniu obciążeń podatkowych na początku XX w.; oba protesty zakończyły się zresztą właściwie sukcesem. Tę cechę Kurpiów uosabia Marcin Dziegciarczyk z Łysego, przywódca rebelii z 1738 r., skazany na „rozćwiartowanie przez kata i wbicie na pal” – skazany, ale nieuśmiercony, gdyż nie udało się go nigdy schwytać. Symbolem drugiej cechy stał się legendarny dowódca oddziału kurpiowskiego, Stach Konwa, który zginął w 1733 r. w krwawej bitwie z wojskami sasko-moskiewskimi pod Jednaczewem. Trzecia cecha ma niewątpliwy związek z myślistwem, do którego potrzebne jest dobre oko, i z bartnictwem, wymagającym umiejętnego wspinania się na wysokie drzewa. Opowiadano, jak pewien Kurp wystrzelał kiedyś kulami na desce inicjały króla Zygmunta Augusta (*Sigismundus Augustus Rex*). I ogólniej: „Kurpi ród – dzielny ród”. Inne przysłowie: „Jak na żonę, to tylko Kurpianka” – sygnalizuje trzy pozytywne cechy wyróżniające Kurpianki: gospodarność, schludność i urodziwość.

Niezgoda na zniewolenie w ciągu wieków rozszerzyła się w świadomości Kurpiów z małej na dużą ojczyznę. Wyrazem tego stał się ich czynny udział w walkach ze Szwedami podczas wojen północnych, z Prusakami podczas Powstania Kościuszkowskiego, z Austriakami podczas wojen napoleońskich i z Rosjanami podczas Powstania Listopadowego i Powstania Styczniowego; a w końcu – to, że w czasie II Wojny Światowej nie dali się skusić okupantom niemieckim mirażami samodzielnego państwa kurpiowskiego, zmierzającymi do demontażu narodu polskiego.

Co tworzy istotę kurpiowszczyzny?

Zacznijmy od profesji.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w bagiennym lesie, poprzecinanym rzekami i poprzetykanym jeziorami i stawami, zajmowano się – w różnych okresach z różnym nasileniem – wyrębem, rudnictwem i smolarstwem oraz myślistwem, rybactwem i zbieractwem; usługową funkcję spełniali oryle (flisacy) kurpiowscy, zajmujący się spławem drewna – a także zboża – Narwią, Bugiem i Wisłą do Torunia i Gdańska. Poza tym – jak w niemal wszystkich izolowanych społecznościach – uprawiano najróżniejsze rzemiosła: od garncarstwa, poprzez stolarkę do tkactwa. Prawdziwą specjalnością Puszczaków było jednak pszczelarstwo. Życie bartników (pszczelarzy) – należących, co ciekawe, do stanu szlacheckiego – regulowane było przez specjalne, bardzo surowe prawo obelne (bartne), najpierw zwyczajowe, a później (na przełomie XVI i XVII w.) spisane i zatwierdzone przywilejami królewskimi. Mówiono o bartnikach kurpiowskich, że miód i воск to ich pszenica, a ciosna (znaki bartne wyrzynane na drzewach) – to ich herby. Bartnictwo i bartodziejstwo (pszczelarska ciesiołka) upadły wraz z rozbiorami Rzeczypospolitej: zaborcy najpierw zaczęli sami rabunkowo wycinać lasy, a później (w połowie XIX w.) po prostu zakazali uprawiania leśnego pszczelarstwa; niedługo potem władze zaborcze zabroniły też Kurpiom posiadania broni. Było to jednym z powodów znacznej emigracji stałej Kurpiów do Ameryki i niemałej emigracji sezonowej do większych miast Mazowsza i Prus Wschodnich.

Czymś, co wyróżnia Kurpia jest – następnie – dialekt, z wieloma osobliwościami w wymowie i słownictwie.

W kulturze duchowej na czoło wysuwają się dwa fenomeny: jeden z zakresu katolickiego rytuału religijnego, a drugi z zakresu rytuału laickiego, jak wolno sądzić, chyba jeszcze proveniencji pogańskiej (warto zauważyć, że właściwie dopiero na przełomie XVI i XVII w. można mówić o rzeczywistej ewangelizacji Kurpiów). Pierwszy fenomen – to uroczyste procesje w strojach kurpiowskich na Boże Narodzenia i potężne, kilkumetrowe palmy, przygotowywane na Niedzielę Kwietną. Drugi fenomen – to taniec i muzyka świecka Kurpiów. W instrumentarium muzycznym Puszczaków – czymś rozpoznawalnym jest ligawka

(długa trąba sygnalizacyjna z wydrążonej olchy, używany przez pastery i rybaków). W tańcu – wyróżniając Puszczaków: okrągłak (rodzaj oberka), powolniak (tańczony – wbrew nazwie – dość szybko) i kurp (rodzaj kujawiaka).

Trzy osoby mają szczególne zasługi dla utrzymania tożsamości Kurpiów w XX w.: ks. Roch Modzelewski, który jako proboszcz w Łyse (1927-1930) skłonił okolicznych mieszkańców do tego, aby „od święta” (w czasie procesji, wesel i zabaw) powrócili do noszenia strojów kurpiowskich i śpiewania „na kurpiowską nutę”; etnograf Adam Chętnik, który założył Skansen Kurpiowski w Nowogrodzie (1927) i ocalił wiele wytworów kurpiowskiej kultury materialnej (niestety w czasie II Wojny Światowej w dużej części zniszczonych); wreszcie ks. Władysław Skierkowski, wydawca monumentalnego zbioru *Puszcza Kurpiowska w pieśni (1928-1934)*.

W ogólnopolskiej „mitologii” literackiej Kurpie pojawiły się w połowie XIX w. za sprawą poezji Michała Morzkowskiego, Teofila Lenartowicza i Marii Konopnickiej oraz prozy Kazimierza Wójcickiego i Adama Zakrzewskiego, a przede wszystkim – za sprawą *Potopu* (opis podróży Andrzeja Kmicica przez Kurpie) i *Krzyżaków* (opis polowania na tura w lasach pod Przasnyszem) Henryka Sienkiewicza.

Malarsko – postaci Kurpiów w końcu XIX w. utrwalił Wojciech Gerson. Najsilniej i najtrwalej – w XX w. – do kultury ogólnopolskiej przeniknęła muzyka kurpiowska. Pierwszy z jej niezwykłości zdał sobie w pełni sprawę Karol Szymanowski – dokonując stylizacji kilkunastu pieśni kurpiowskich; repertuar takich stylizacji wzbogacił zmarły niedawno Stanisław Moryto.

Kurpiami byli przodkowie naszej babki ojczystej – Walerii Pyszej. Rodzina Pyszných co najmniej od początku XIX wieku zamieszkiwała Myszyniec i okolice – czyli Puszcę Zieloną. Oskar Kolberg wspomina jednak o Janie Pysznym – skądinąd źle pamięci – związanym z Czerwonym Borem:

Od Zambrowa na zachód i południe rozciągał się ku Bugowi i Puszczy Białej tak zwany Czerwony Bór – niegdyś wielka także puszcza, już od r. 1564

w części zniszczeniu uległa, a za czasów saskich w większej części wycięta i wypalona z powodu, że kryli się tam rozbójnicy, którym przewodniczył Janek Pyszny (jest jeszcze uroczysko tej nazwy, dolina, gdzie niegdyś stała karczma na granicy wsi szlacheckiej Grabowa). Nazwa Czerwonego Boru miała powstać stąd, że tam przelano wiele krwi (inni wszakże utrzymują, że pochodzi ona od drzew liściastych, których liść w jesieni rychło żółcieje i czerwienieje – jak nazwa Puszczy Zielonej od drzew iglastych zielonych i w zimie). Położenie całej puszczy wzgórzyste, wąwozami przecięte, żwirowate (*Mazowsze V*).

Nie wiemy, czy wspomniany przez Kolberga Janek Pyszny należał do naszej rodziny; z pewnością natomiast należał do niej Władysław, brat babki Walerii – mający przed I Wojną Światową sławę największego przemysłowika na ówczesnym pograniczu rosyjsko-pruskim...

5. Anna z Modzelewskich Jadacka

Miedzy Modzelami Starymi a Wygodą (wspomnienia)

1. Modzele Stare (1913-1920)

Przyszłam na świat 2 sierpnia 1913 roku w środę po południu w Modzelach Starych.

Ojciec mój, Jan, był przez 11 lat w wojsku carskim w Mandzurii, dzięki czemu władał doskonale – w mowie i piśmie – językiem rosyjskim. Niewiele mówił z nami o tych latach, poza tym może, że widział tam pierwsze próby z (jeśli pamięć mnie nie myli) z wideofonią. No i zawsze podkreślał, że jako „dobrze urodzony” miał własnego ordynansa. Kiedy w 1904 roku wrócił zbiedzony z workiem na plecach – Dziadkowie moi rozplakali się. „Nie płaczcie – miał powiedzieć Ojciec – bo w tym worku mam bogactwo.” Nigdy nie dowiedziałam się, o co właściwie chodziło. Długi pobyt w wojsku rosyjskim nie pozostawił w nim żadnych „żołnierskich” śladów (najostrzejsze słowo, jakie kiedykolwiek usłyszałam z Jego słów – to „psubraty”).

Ojciec był raczej małowówny. Lubił za to posługiwać się różnymi tajemniczymi powiedzeniami. Zapamiętałam dwa określające spartaczoną robotę: „Kary Boskiej uszła, ale rąk szelmowskich nie” i „Zboże się urodziło, ale chleb źle wypieczony”.

Był surowy ale sprawiedliwy dla dzieci, łagodny i wyrozumiały dla zwierząt, życzliwy i uczynny dla sąsiadów.

Lubił bardzo porządek; obejście było wybrukowane i utrzymane w stałej czystości. Na początku lat dwudziestych wybudował nowy, piękny dom, który niestety spłonął w 1941 roku, tuż po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej.

Ojciec, zgodnie z tradycją rodzinną, posiadał wiele umiejętności praktycznych: potrafił szyć, wypłacać kosze i kobiałki, robić walonki z czarnej wełny i drewniane klompy.

Jak Jego Ojciec i Dziad – od czasu do czasu (ale raczej rzadko niż częściej) palił fajkę.

Matka, Aleksandra, kierowała tylko gospodarstwem domowym. Rodzice mieli służącą, a do większych prac polowych wynajmowali parobka i korzystali z wiejskiego pospolitego ruszenia – „tłoki”.

Rodzice byli małżeństwem zgodnym i religijnym. Ściśle przestrzegali zasady niepracowania w niedziele, a jeśli z jakichś powodów nie mogli pójść na niedzielną mszę, przez cały czas jej trwania modlili się i śpiewali nabożne pieśni w domu. Ojciec chadzał czasem do kościoła w Puchałach tylko ze mną. Kiedyś wyprawił mnie z powrotem samą, doprowadziwszy tylko do rozstaju dróg w Wyrzykach: była to pierwsza próba mojej samodzielności.

O Dziadkach macierzystych, Józefie Kossykowskim i Mariannie z Trzasków nic prawie nie wiem. Nawet Matka niewiele o Nich mówiła; może dlatego, że Babka macierzysta umarła młodo i Matkę wychowywała macocha. We wsi Dąb (koło Kołak) żyła jeszcze do niedawna siostra Matki, Bolesława (po mężu – Stanisławie) Grądzka. Druga siostra Matki, Zofia, po mężu nazywała się Zalewska.

Ojczysty mój Dziadek, Maciej, kiedy przyszłam na świat już nie żył od paru lat. Wiem jednak, że był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, o wesołym usposobieniu i ciętym dowcipie. Miał dziesięciohektarowe gospodarstwo; dorabiał dowożeniem podróźnych ze stacji kolejowej w Czerwonym Boże do Łomży. Miał pięknego siwka, którego zaprzęgał tylko do bryczki; do prac polowych był inny koń (i jeszcze wół). Dziadek znany był też z tego, że robił najlepsze w okolicy drewniane brony.

Natomiast Babkę ojczystą, Mariannę z Wysockich (córkę Stanisława i Katarzyny z Zagrobów), pamiętam bardzo dobrze. Mówiło się, że jestem do niej podobna. Rzeczywiście, była jak ja szatynką, miała zielonkawę oczy, ale w przeciwieństwie do mnie była stosunkowo wysoka. Inaczej też niż ja, babka zawsze lubiła się stroić. Miała za co, bo była bogatą z domu szlachcianką z „Zaborza”, a dokładnie z Grabowa za Czerwonym Borem. W kufrze miała wiele różnych ubrań; jedna ze spódnic – ze „szczotkami” u dołu – szczególnie mi się podobała.

To właśnie Babka Marianna uczyła mnie pierwszego pacierza (pamiętam, że powtarzałam za Nią – klęcząc na stoleczku).

Babka na starość pełniła funkcję akuszerki. Kiedyś w czasie trudnego porodu wezwany z Łomży lekarz pochwalił ją, że zna się na tych sprawach lepiej niż niejedna dyplomowana położna.

Babka umarła jasną śmiercią: tego dnia do południa jeszcze prześledła len (zawsze była pracowita), wieczorem położyła się, zasnęła głęboko – i już się nie obudziła.

Ojciec mój był najmłodszy z rodzeństwa. Najstarsza był Ciotka Aleksandra, matka ks. Rocha, późniejszego mego opiekuna. Ojcem ks. Rocha, a moim Wujem, był Piotr, który choć także Modzelewski, i pochodził z Modzel, był synem biednego chłopca. Bardzo pojętny, choć niewykształcony (jego pasją były rozprawy sadowe, na których przesiadywał jako chłopak godzinami), był nieoficjalnym pomocnikiem jednego z adwokatów łomżyńskich. Dziadkowie, herbowa szlachta (Dziadek – herbu Syrokomla, o tradycjach z czasów księcia Janusza Starszego Mazowieckiego) byli przeciwni temu małżeństwu. Czy można było dopuścić, że ksiądz ogłosi zapowiedzi szlachcianki Modzelewskiej z wieśniakiem Modzelewskim?¹⁶ Nie pomogło jednak przywiązanie Ciotki do łóżka. Rozkochana w sobie para pobrała się bez zgody Dziadków. Przed ołtarzem znaleźli się w codziennym stroju, co było w owych czasach objawem odwagi i wielkiej determinacji. Po ślubie Wujostwo przenieśli się do Łomży, gdzie żyli z procentów od kapitału uciulanego przez Wuja Piotra. (Wuj umarł w Bargłowie i tam został pochowany; Ciotka spoczywa na cmentarzu w Puchałach – w tym samym grobie, co moi Rodzice.) Roch był ich drugim synem. Pierwszy, Bolesław, umarł w dzieciństwie.

Drugi według starszeństwa był Stryj Feliś, trochę fujarowaty („lalkowaty”), co mu nie przeszkadzało mieć dwóch żon; z drugą, Anielą, kuzynką mojej Matki (która ich zresztą wyswatała), miał jedno dziecko, ale zmarło po porodzie (Aniela też była już do śmierci chora). Stryj Feliś mieszkał potem razem z moimi rodzicami w Modzelach.

Następnie szedł Stryj Marcel, który znalazł sobie żonę w Gutach koło Ostrowi Mazowieckiej i tam zamieszkał. Marcel miał dużo dzieci

¹⁶ W tamtych czasach w zapowiedziach z ambony ksiądz zawsze zaznaczał pochodzenie. O animozjach między dwoma stanami świadczy to, że młodzież szlachecka bardzo często po wyjściu z kościoła toczyła walki z synami chłopskimi.

(część z nich jest teraz zdaje się w Łodzi); i to właśnie On naraił ks. Rochowi w Piekutach Antolka (którego poznał przedtem w Ostrowi). Pamiętam Go jako szczupłego i przystojnego mężczyznę.

Ciekawe, że poza Ojcem, który był podobny do Dziadka Macieja, pozostali moi Wujowie i Ciotka wdali się raczej w Babkę Mariannę.

Moja rodzina najbliższa była liczna i pewnie dlatego dzieci jadały osobno. Każde z nas miało własne nakrycie, w tym własną łyżkę. Pamiętam, że kiedyś ktoś schował łyżkę bratu Adamowi i ten zaczął się awanturować; nie obyło się bez interwencji ojcowskiego pasa.

Okres dziecięcych zabaw był krótki, a moje zabawy – niewyszukane. Najwięcej radości sprawiało mi... taplanie się w błocie z mieszkającą naprzeciw Stefą Modzelewską: boso – ale za to w błotnych „cholewkach”.

Były wiejskie zabawy, były i wiejskie strachy: długo szukano mnie na strychu, gdzie się schowałam na wieść o zjawieniu się Cyganów...

Pierwszy mój obowiązek miał charakter „pastoralny”. Nie pamiętam siebie jako gęsiarki, ale nie mam wątpliwości, że pasłam... świnię, a później cielaka. To ostatnie utrwaliło się dzięki laniu: jednemu laniu, jaki spuścił mi Ojciec, kiedy zasnęłam i cielak wszedł w „szkodę”.

Naukę rozpoczęłam w szkole w Wygodzie. Pierwsza klasa mieściła się w drewnianym domku hrabianki Wandy z Warszawy – fundatorki kaplicy wygodzkiej – która mieszkała w nim tylko latem. Domek, zniszczony w 1939 roku, stał po lewej stronie (trzeci) przy drodze z Wygody do Białegostoku (dziś jest to posesja Baczewskich¹⁷). Wielkie wrażenie

¹⁷ Chodzi o Irenę i Jana Baczewskich. Niestety nie udało się nam ustalić, kim była owa „hrabianka Wanda z Warszawy” (być może zresztą nie była to „prawdziwa” hrabianka, tylko nazywano ją tak ze względu na jej wyniosły sposób bycia i zamożność). Nie mamy też pewności, kto był fundatorem kaplicy wygodzkiej. Przypomina ona wyglądem kaplicę cmentarną z Puchał, której powstanie datuje się na 1905 rok; być może więc również kaplica wygodzka pochodzi z tego samego roku. Joanna Banasiak w swojej wspomnieniowej książce *Życie wśród ludzi* (Łomża 2019, Agencja Wydawnicza *Od Akapitu*) pisze, że „kapliczka ufundowana [była] przed wojną przez pana Mazurkiewicza” (s. 66), ale nie wymienia jego imienia. Są poszlaki wskazujące, że był to Franciszek Mazurkiewicz (ur. 1861), syn Adama i Luizy Jabłońskiej, pochodzącej z Pniewa. Zachował się akt jego ślubu ze Stanisławą Jankowską (ur. 1863); ślub miał miejsce w 1896 roku w Katedrze Łomżyńskiej; Mazurkiewicz został w nim określony jako „właściciel

robiła na mnie kolorowe szybki w jego ganku. Te kolorowe szybki i brzoźki, którymi mailiśmy klasę w związku z jakąś uroczystością – to najwyraźniejsze obrazy, jakie mi z tego czasu zostały w pamięci.

Do szkoły chodziłam przez mostek na Modzelewiance, która wtedy była całkiem ładną rzeczką. Matka zawsze czekała, aż przejdę przez ten mostek i dopiero wtedy wracała do swoich zajęć. Widzę jak dziś Jej malejącą postać opartą o płot.

Bardzo poważnie podchodziłam do swoich szkolnych zajęć. Zeszyty miałam czyste, zapelnione porządnym równym pismem.

2. Sylwanowce (1920-1923)

W 1920 roku, po odparciu inwazji bolszewickiej, znalazłam się w Sylwanowcach – pod opieką brata ciotecznego, ks. Rocha. Zanim został on proboszczem w Sylwanowcach, był kapelanem; w czasie wojny dostał się do niewoli. Ojciec odwiózł mnie tam dziadkowym wozem. Mosty (chyba na Narwi i Biebrzy) były zerwane i trzeba było jechać przez Augustów.

ziemski” (ros. „помещик”). We wspomnianej książce można przeczytać, że po II Wojnie Światowej, kiedy wysiedlono mieszkańców Bacz Suchych i Bacz Mokrych w związku z (roz)budową poligonu wojskowego w Czerwonym Borze, niektórzy z wysiedleńców zaczęli budować nowe domy właśnie w Wygodzie, a „działki pod budowę kupowano od pana Mazurkiewicza, który posiadał kilkanaście parceli wzdłuż drogi do Wypych” (s. 46), czyli właśnie tej drogi, przy której znajduje się kaplica. W Wygodzie mówiło się, że kaplica została ufundowana jako *votum* – w związku z brakiem potomstwa pp. Mazurkiewiczów (nie jest jasne, czy było to *votum* błagalne, czy dziękczynne); przemawia za tym to, że w niszy nad wejściem do kaplicy umieszczona jest figura Dzieciątka Jezus z ręką podniesioną w geście błogosławieństwa. „Hrabianka Wanda” musiała być jakoś powiązana z p. Mazurkiewiczem, gdyż jej dom – w którym do wybudowania w 1935 lub 1936 roku budynku szkolnego wynajmowała pomieszczenie na zajęcia dla dzieci – znajdował się właśnie na parceli *vis-à-vis* kaplicy. *Nb.* Mówi się w Wygodzie, że p. Mazurkiewicz popełnił samobójstwo. Zgodnie z naszymi wspomnieniami z okresu pobytów w Wygodzie – na cmentarzyku przykaplicznym tuż przy samej kaplicy znajdował się żelazny krzyż (podobny do tego, który znajduje się w końcu Modzel Starych przy drodze do Puchał; widnieje na nim data 1899) oraz – w pewnym oddaleniu, już w sosnowym lasku okalającym kaplicę – mogiła (rosyjskiego żołnierza?) z drewnianym, próchniejącym krzyżem; obecnie nie ma ani jednego, ani drugiego.

W Sylwanowcach plebania była drewniana, a kościół maleńki, ale z kamienia. Mieszkali tu głównie chłopci – Polacy, wyznania rzymsko-katolickiego, choć mówili „po prostemu”. Za to w okolicach było wiele polskich dworów o starych tradycjach.

Ks. Roch przedstawił mnie towarzystwu jako swoją „córkę”. W istocie Ciotka Aleksandra zaopiekowała się mną jak prawdziwą córką – i tylko przez pierwsze dni popłakiwałam z tęsknoty za rodzicami.

W Sylwanowcach nawiązałam pierwszą przyjaźń – ze Stasiem Miklaszewiczem, chłopskim synem, który później wstąpił do seminarium, a następnie skończył studia teologiczne (zrobił chyba nawet doktorat). Staś, obdarzony dźwięcznym głosem (już w Sylwanowcach pięknie śpiewał), skończył niestety tragicznie: samobójstwem (powiesił się podobno z powodu zatargu z gospodynią o domniemaną córkę; „psiapies” – jak mawiał w takich okolicznościach ks. Roch).

W Sylwanowcach uczyłam się początkowo prywatnie u nauczyciela, do którego trzeba było iść przez łąkę. Nie lubiłam tej drogi, bo bałam się psa, który nieraz mnie zaczepiał. Ale pewnego dnia spotkałam bociana. Był tak piękny, że ogarnęło mnie pragnienie, żeby go złapać. Dał się podejść na wyciągnięcie ręki, ale w ostatniej chwili poderwał się i odleciał...

Po roku przesłam pod opiekę guwernantki w pobliskim (odległym o kilometr chyba) dworze w Koziowcach, gdzie nawet krótko mieszkałam. Później wróciłam do Sylwanowiec i tam przychodziła do mnie młoda, pochodząca z Małopolski, Klementyna („Klima”) Ząbkówna, która była nauczycielką w miejscowej szkole wiejskiej.

Wakacje spędzałam na rozjazdach po okolicy.

Spośród licznych wycieczek jedną zwłaszcza pamiętam dobrze. Kiedyś w drodze do Niemnowa (słynnego z wielkiej służby na Kanale Augustowskim), w Sopoćkiniach, konie – jadąc z góry – przstraszyły się czegoś i „poniosły”. Gdyby nie pomoc przypadkowych przechodniów – zresztą Żydów – którzy powstrzymali rozpędzone zwierzęta, nie wiadomo, czym by się to skończyło.

3. Grodno (1923-1927)

W Grodnie najpierw uczęszczałam przez dwa lata do trzyletniej szkoły powszechnej prowadzonej przez ss. nazaretanki, mieszczącej się na rogu Brygidzkiej i Nazaretańskiej. Grodno – po Sylwanowcach – ro-

biło na mnie wrażenie wielkiego miasta, ale nie było mi całkiem obce. Bywałam tu już wcześniej z bratem Rochem. Kiedyś Roch zostawił mnie samą w środku miasta, żeby załatwić jakieś „interesy”. Miał wrócić za chwilę, a zjawił się po trzech godzinach. Robiło się szaro, a wyobraźnia czyniła swoje. Każdy przechodzący Żyd (a było ich w Grodnie wielu) patrzył na mnie tak, jakby szacował, czy nadaje się na... „macę”.

Po ukończeniu tej szkoły wstąpiłam do Gimnazjum Żeńskiego im. Emilii Plater, mieszczącego się na rogu Dominikańskiej i Magistrackiej.

Moja pierwsza stancja położona była w pobliżu Szpitala dla Umysłowo Chorych, u państwa, którzy mieli głuchoniemą córeczkę (a których nazwiska nie pamiętam).

Druga stancja – była u państwa Ludwika Faustyna i Natalii Świdorskich na pierwszym piętrze kamienicy przy ulicy Marszałka Rydza-Śmigłego 8 (obok klasztoru nazaretanek). Pan Świdorski pracował w magistracie i w Teatrze Miejskim (jako biuralista). Moi gospodarze mieli tam swoją łóżkę, z której i ja nieraz korzystałam (pamiętam *Moralność pani Dulskiej* Zapolskiej oraz *Damy i huzary* i *Zemstę* Fredry).

Szybko zaprzyjaźniłam się z dziećmi państwa Świdorskich: córką Irką oraz synami Ludkiem Brunonem, Jurkiem i małym Zdzielcem (którego nazywaliśmy „Dzidą”), a także z córką jednej z dwu siostr p. Natalii, wdowy po jakimś wojskowym;¹⁸ często u tej siostry p. Natalii bywaliśmy. Niezwykła była atmosfera Świąt Bożego Narodzenia u pp. Świdorskich: p. Świdorski przebierał się za św. Mikołaja, a p. Świdorska grała na pianinie kolędy; pamiętam też jak pięknie śpiewała kołysanki małemu Zdzisiowi.

Z Irką i Ludkiem często wyjeżdżaliśmy bryczką ks. Modzelewskiego do Sylwanowiec na krótkie wywczasy. Zimą Irka i ja uwielbialiśmy jeździć na saneczkach; kiedyś skończyło się to wypadnięciem do niezamierzniętej Horodniczanki.

O wiele poważniejszy był wypadek z Ludkiem, który kiedyś dostał zapalenia ślepej kiszki. Na tej samej ulicy, co my, mieszkał doktor Śleszyński – przyjaciel rodziny Świdorskich; dopiero po dłuższych perswazjach zgodził się przeprowadzić operację. Ludwik, mój rówieśnik (był ode mnie o jeden dzień starszy...), skończył później polonistykę

¹⁸ Prawdopodobnie chodzi o Marię Stachelską.

na Uniwersytecie Warszawskim i został tam asystentem. Był już wtedy wielkim miłośnikiem i znawcą Elizy Orzeszkowej. To za jego namową zwiedziłam Dom Elizy Orzeszkowej położony niedaleko Soboru Prawosławnego; oglądałam także wielki kamień leżący na brzegu Niemna pod Grodnem, gdzie bywała wielka pisarka. A przede wszystkim rozczytywałam się przez wiele lat w *Nizinach*, *Chamie* i *Nad Niemnem*. W 1941 roku Ludwik został aresztowany przez Gestapo i uwięziony w Oświęcimiu, skąd już nigdy nie wrócił.

Do grona moich najbliższych kolegów należeli poza Świdorskimi: Henio Poczebott-Odlanicki i Zdzisł Rychlicki, początkowo „studenci” Gimnazjum Męskiego im. Adama Mickiewicza, później – Uniwersytetu Warszawskiego.

W ich towarzystwie – i w towarzystwie gimnazjalnych koleżanek – pływało się często statkiem po Niemnie.

Wakacje grodzieńskie spędzałam głównie w Sylwanowcach. Do Rodziców wpadałam tylko na kilka dni z Ciotką Aleksandrą.

4. Łomża (1927-1929)

Naukę kontynuowałam w Łomży, w Gimnazjum Żeńskim Marii Konopnickiej. Mieszkałam na stancji u sekretarza Gimnazjum – pana Włodka Bednarczyka, w suterenie gmachu gimnazjalnego przy Nowym Rynku.

Wśród moich łomżyńskich koleżanek (wśród których, nawiasem mówiąc, było wiele Żydówek) były m.in. Zofia Bielawska, Hanka i Maryna Bielickie, Krystyna Jezierska, Janina Karwowska i Zofia Ramotowska.¹⁹ Zapamiętałam spośród nich szczególnie dwie: Zośkę Bielawską i Hankę Bielicką. Tę pierwszą, bo opuszczając Łomżę, zostawiłam u niej swoją biblioteczkę z prośbą o przesłanie jej pocztą; nigdy do mnie nie dotarła. Tę drugą, bo już w Łomży miała zadatki na świetną aktorkę, którą w końcu rzeczywiście została.

¹⁹ Zofia Ramotowska była po II Wojnie Światowej nauczycielką łaciny w Liceum Ogólnokształcącym w Grajewie – w latach nauki Bożeny. Bożena dowiedziała się od niej, że Ramotowska w czasie II Wojny Światowej była na robotach przymusowych w Rzeszy, gdzie musiała pracować stojąc po pas w wodzie. O Annie Modzelewskiej-Jadackiej mówiła, że miała ona zdolności recytatorskie i sportowe (m.in. grała bardzo dobrze w koszykówkę, w tenisa i rzucała oszczepem).

Spośród pedagogów troje zasługuje na specjalną wzmiankę. Profesor geografii, Franciszek Kraus, bo bardzo mnie (czyli „Modzela”) lubił i ja czułam do niego sympatię, co nie przeszkadzało mi razem z koleżankami w czasie lekcji „obciążać” mu kieszenie różnymi bibelotami. Profesor francuskiego, Aleksander Janicki, bo grywał ze mną namiętnie w tenisa. I wreszcie profesorka łaciny, Helena Boczkowska, wstrętne babsko, która upatrzyła mnie sobie na ofiarę; to przez nią właśnie po szóstej klasie przeniosłam się do koedukacyjnej Szkoły Handlowej, a ostatecznie wyjechałam do Warszawy, kiedy okazało się, że brat-opiekun mojego wyboru nie zaaprobował. O tym, jak głęboki kryzys wówczas przeżyłam, niech świadczy to, że zniszczyłam później wszystkie swoje łomżyńskie świadectwa szkolne... Dyrektora Mieczysława Pogonowskiego pamiętam jako niedużego mężczyznę w okularach. Prefekta ks. Józefa Kłoskowskiego – jako miłego „obroncę” uczennic, zwłaszcza harcererek.

Dwa wydarzenia stają mi przed oczyma, gdy jestem w Łomży w okolicy Nowego Rynku. Jedno wydarzenie, kiedy podczas lekcji biologii poświęconej zwierzętom prehistorycznym, wszyscy zamarli, słysząc głos zza grobu: „Jutro umrzesz!” (Pochodzi on, jak się później okazało, z przewodów wywietrznika, a jego „sprawczynią” była jedna z dowcipnych koleżanek). Drugie wydarzenie, kiedy podczas lekcji łaciny (siedziałam jako krótkowidz w pierwszej ławce) zobaczyłam nagle, że od sufitu odrywa się kawałek tynku i nie zdążyłam krzyknąć: „Ooo!” – jak spadł na podłogę tuż przy katedrze. Profesorka opadła na krzesło, wołając: „Zabili mnie! Zabili!” Z trudem uspokoiła ją profesorka historii (przyjaciółka łacinniczki), którą szybko sprowadziłam.

W czasie nauki w gimnazjum łomżyńskim należałam do harcerstwa i (jako przyboczna drużynowej) uczestniczyłam w wielu obozach. Ich lista jest długa: Drozdowo, Jastarnia, Kulesze, Łyse, Morgowniki k. Nowogrodu, sam Nowogród, Poznań, Praga (czeska) i Wieżyca k. Kartuz. Jakże bardzo smakowały mi pierwsze w życiu wędzone świeże flądry, kupione u kaszubskich rybaków! W drodze powrotnej z tego ostatniego – do Sylwanowiec – spotkała mnie następująca przygoda. W Grodnie miałam się zatrzymać u państwa Świderskich, ale okazało się, że ich nie było w domu. Postanowiłam więc pójść pieszo przez Grandi-

cze i Hożę. Przed Hożą trzeba było przeprowić się przez Niemen. Był wieczór, kiedy przewoźnik przepłynął ze mną – „na piękne oczy” (bo nie miałam już żadnych pieniędzy) – na drugi brzeg rzeki. Przez las szłam sama jeszcze godzinę. No, ale przyboczna...

5. Łyse (1929-1931)

W międzyczasie ksiądz Roch został przeniesiony z Sylwanowiec do Łysego.

Tutaj zaprzyjaźniłam się z dziećmi dyrektora miejscowego tartaku – Kaziem i Irenką Moczułskimi. Ileż to odbyliśmy wspólnych wypadów ciuchcią (derezyną)!

6. Warszawa (1931-1933)

W 1931 roku rozpoczęłam Dwuletnie Kursy Gospodarstwa Domowego. Były one prowadzone w budynku przy Sewerynow przez ukrytki, ale nauczycielkami były osoby świeckie: Anna Grohmanówna (religia), Maria Łaniewska, Łucja Dekabanówna, Halina Wałkowska (krój i szycie), dr Celina Korczakowa (higiena) i Cecylia Zielińska (gotowanie). Kursantki urządzały wystawy swoich prac i przetworów. Na jednej z takich wystaw pojawiła się skromnie ubrana żona Marszałka Piłsudskiego. Zamieniła ze mną kilka słów i nawet kupiła jakiś drobiazg. Samego Marszałka (z córkami) widywałam w pobliskim Teatrze Polskim.

Dziwnym zrządzeniem losu w Warszawie przebywało w tym czasie dwóch młodzieńców – bliskich mi bardzo, ale w różny sposób.

Pierwszym młodzieńcem był wspomniany już wcześniej Ludwik Brunon Świderski, który w latach 1931-1935 studiował polonistykę na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Siedzibę moich kursów od siedziby jego studiów uniwersyteckich dzieliło jedynie kilka kroków: trzeba było po prostu przejść na drugą stronę Tamki. Nic dziwnego, że spotykaliśmy się od czasu do czasu – wspominając grodzieńskie czasy. Pamiętam, jak mówił z zachwytem o wykładowcach filozofii, których miał na pierwszym roku studiów; po latach – mój syn Jacek, filozof, ustalił, że tymi wykładowcami byli Tadeusz Kotarbiński, Władysław Tatarkiewicz i Władysław Witwicki, a więc zachwyt był jak najbardziej na miejscu. Kiedy już byłam w Piekutach, dowiedzia-

łam się, że za temat pracy magisterskiej Ludwik obrał *Technikę powieści Elizy Orzeszkowej* – pozostał więc wierny swoim wcześniejszym zainteresowaniom. A w Mełgwi doszła mnie wiadomość, że Ludwik zaczął realizować wielkie przedsięwzięcie wydawnicze, a mianowicie wydanie trzydziestu tomów *Pism* i trzech tomów *Listów Orzeszkowej*. A już grubo po wojnie doszły do mnie wieści o tragicznych losach „moch” trojga Świderskich, które im zgotował okupant niemiecki. W 1939 roku w warszawskim Wawrze został rozstrzelany z setką innych Polaków Jurek – w odwecie za zabicie dwóch policjanów niemieckich przez miejscowych kryminalistów. Latem 1943 roku zginęła w Kamionce k. Szczuczyna Litewskiego Irka wraz z córeczką „Krusią” – w ramach obławy na AK-owców i ich rodziny (AK-owcem był mąż Irki, Mieczysław Cholewa, właściciel majątku w Makasiowszczyźnie położonej w okolicach Kamionki). Najstraszniejszy był los Ludka: przyłapany 1 sierpnia 1943 roku na nasłuchu radiowym został aresztowany, a następnie osadzony w KL Auschwitz, gdzie zamordowano go 1 grudnia tego roku.

Drugi młodzieniec – to był mój przyszły mąż: Antolek, który w latach 1929-1933 studiował w warszawskiej Wyższej Szkole Muzycznej. Nie znałam go wówczas, ale nie jest wykluczone, że mogliśmy się na siebie natknąć „anonimowo”, ponieważ odległość między Sewerynowem a Filharmonią Narodową, gdzie mieściła się szkoła Antolka, nie była wielka – a ja lubiłam długie spacerować po Śródmieściu.

7. Piekuty (1933-1936)

Kolejnym po Łysych probostwem brata były Piekuty. Tutaj odwrotnie jak w Sylwanowcach: kościół był drewniany, a plebania – murowana.

Byłam już „na wydaniu” i z przyjemnością towarzyszyłam bratu w licznych wizytach po okolicznych dworach (np. w Stokowiskach) i u bogatych gospodarzy. Dzięki nim poznałam m.in. Tadeusza Borowskiego z Łopienia i Stasia Olędzkiego z Wierzbowizny. Piekutowskie towarzystwo tworzyli: sekretarz gminy, wójt Kamiński (jego syn Kazimierz, w czasie wojny został sławnym dowódcą partyzanckim ps. „Huzar”) kierownik szkoły i komisarz policji. Niebawem powiększyło się o Antolka, mego przyszłego męża.

Trzyletni pobyt w Piekutach przyniósł dwa wypadki, które zapadły mi głęboko w pamięć.

Kiedyś brat wysłał mnie z pieniędzmi do kurii biskupiej w Łomży. Miałam najpierw pojechać koleją do Czerwonego Boru. Kiedy późnym wieczorem wysiadłam na stacji i zagadnęłam jednego z miejscowych kolejarzy o furę do Modzel, ten odpowiedział ze śmiechem: „Na plecach pannę zaniosę!” Przełękłam się nie na żarty i w pewnej odległości poszłam za grupą kolejarzy. Było jednak ciemno, odległość była za duża i – zbłądziłam. Wyszłam gdzieś aż pod Baczami. Kiedy w końcu dobrnęłam do domu, było już bardzo późno: w oknie zobaczyłam Matkę kołyszącą do snu kilkuletnią Honorcię...

Innym razem, właśnie z Honorcią, wybrałam się do Łomży na Kongres Eucharystyczny. Miałam się spotkać z przyszłym mężem w katedrze (przy „słupie”) i wrócić razem z nim do Piekut. Ale zauważyłam Antolka podczas podniesienia i – ostatecznie nie spotkaliśmy się. Zdecydowałam się więc, że pójdę do krewnych Matki, Kamińskich, którzy byli właścicielami łaźni na Rybakach. Ale po drodze zaczęły nas nagabywać jakieś szumowiny i wróciłam do katedry. Spędziłam całą noc na stopniach schodów prowadzących na chór, okrywając siostrę własnym płaszczem. Jak się później okazało, Antolek smacznie spał u... kapucynów. Dopiero następnego dnia rano poszliśmy na Rybaki. Gorąca wspaniała łaźnia „wypłukała” z nas zmęczenie i – złość.

8. Modzele Stare (1936-1937)

Bratu nie przypadły moje plany małżeńskie do gustu i znalazłam się na „wygnaniu” w Modzelach. Stamtąd prowadziłam w różnych miejscach kursy gotowania pod patronatem ks. Eugeniusza Grodzkiego z Akcji Katolickiej w Łomży. Odwiedziłam dzięki temu m.in. Srebrną pod Zambrowem, Sztabin koło Augustowa i Teolin pod Grodnem. Do Sztabina przybyłam zimą: jechało się najpierw samochodem do Augustowa, a później sankami przez wspaniałą Puszcę Augustowską do plebanii. W Teolinie była bogata biblioteka. Przez nieuwagę wylałam naftę na pożyczoną z niej książkę, ale na szczęście plama wyparowała nad lampą.

9. Mełgiew (1937-1946)

27 grudnia 1937 roku w kościele w Puchałach odbył się ślub z Antolkiem i wkrótce wyjechaliśmy do Mełgwi. Nasze pierwsze wspólne mieszkanie – to był podzielony przepierzeniem pokój i kuchnia. Mieszkanie znajdowało się w domu wzniesionym w dawnych, grubych murach kościelnych (nowy kościół utrzymany był w stylu gotyku nadwiślańskiego).

Przez to mieszkanie przewinęli się: Honorata i młodszy brat Antolka Miccio (mieszkali z nami aż do czasu, kiedy się pobrali), najmłodszy brat Antolka Zydek (także do swego ślubu), teść Antoni, wreszcie obie siostry Antolka: Genia i Irenka (z córką Mirką). Przez pewien czas mieszkał z nami Leoś – pierwszy, bardzo uzdolniony muzycznie uczeń Antolka (uczył się gry na organach; w czasie naszego wyjazdu z Mełgwi był jeszcze na miejscu).

A były to lata okupacji niemieckiej...

Mełgiew w moim życiu to jednak przede wszystkim urodzenie córki Bożenki.

10. Puchaczów (1946-1949)

Na Wielkanoc 1946 roku przenieśliśmy się do Puchaczowa. Jechaliśmy saniami, ale było mało śniegu. Może dlatego w czasie przeprowadzki pękło nasze wielkie lustro. A może dlatego, że Antolek położył je płasko?

Tak jak Mełgiew był pod znakiem Bożenki, tak Puchaczów – pod znakiem Jacusia. Jego poród przyjmowała akuszerka z Brzezin. Być może była to Janina (z Wójcików) Siebsiak, babka pani Bożeny Olędzkiej (z domu Zawko) z Białegostoku, obecnej koleżanki Bożenki. Jacuś dopiero po intensywnej gimnastyce wydał z siebie krzyk – i wtedy akuszerka ucałowała go ze łzami w oczach.

Puchaczów miał piękny kościół; kiedy przyjechaliśmy, w pobliżu kościoła, na wysokim cokole stało jeszcze popiersie Marszałka Piłsudskiego. Ludzie tu byli przyzwoici – mimo wojny – ale tuż przed Bożym Narodzeniem 1949 roku znaleźliśmy się na nowym miejscu: w Rajgrodzie. Puchaczów opuściliśmy 12 grudnia.

11. Rajgród (1949-1958)

Zamieszkaliśmy najpierw na plebanii, przy ul. Kościelnej.

Trzy zdarzenia kładą się cieniem na „epoce” rajgrodzkiej.

W 1951 roku z rajgrodzkiego przedszkola skradziono radio i ktoś doniósł, że to właśnie myśmy je odkupili. Doszło do rewizji; przeprowadzał ją tzw. okularnik, szczególnie zniechęcony milicjant, Rusin z pochodzenia. Radia oczywiście nie znaleziono, ale najadłam się strachu, bo w kredensie były nasze kosztowności i ledwie udało mi się w ostatniej chwili je stamtąd zabrać (a były to czasy, kiedy posiadanie biżuterii mogło być uznane za przestępstwo!).

Parą lat później, krewny Antolka, ks. „Władziułek” Archacki urządził na Jackiem publiczny „sąd” za to, że rzekomo nie poszedł po szkole na religię (a on tylko między lekcjami w szkole a lekcją religii w kościele nakładał cieplejsze ubranie, bo był chorowity). Wiem, że incydent ten pozostawił u Jacka trwałą urazę – nie tylko do księdza Archackiego.

W 1956 roku, w którym Bożenka była w klasie maturalnej, znajoma z Warszawy miała dla niej przesłać pocztą pantofle – ale paczka była bez butów. Wtedy właśnie zaczął się (chyba nie bez ingerencji mego brata ks. Rocha) konflikt z proboszczem ks. Józefem Januszewskim, który nastąpił po przychylnym nam ks. dziekanowi Wacławowi Olendrze. W grudniu tego roku proboszcz ogłosił z ambony wymówienie Antolkowi od marca następnego roku. Na początku tego – tj. 1956 roku – kupiliśmy od pani Wiktorii (nazwiska nie pamiętam) drewniany domek przy ulicy Piaski 6. Teraz musieliśmy się do niego natychmiast przeprowadzić, choć nie zakończyliśmy remontu. Proboszcz nakazał nam także od razu zabrać cały nasz dobytek: węgiel, zboże, przetwory itd.

Na nowym miejscu nie bardzo się nam szczęściło. Z jednej strony sąsiadowaliśmy z Łojewskim (ich syn Janek, „Zielone Ucho”, jak go nazywał Jacek, był uczniem Antolka) i ci byli w porządku. Ale z drugiej strony mieszkali Nejfeldowie. O tym, co to byli za ludzie, świadczy dobrze fakt, że pan Nejfeld w czasach hitlerowskich był volksdeutschem, a za Stalina – komunistą...

Na Nowy Rok 1957 na szybach naszej werandy pojawiły się wulgarne napisy, wymalowane czarną farbą. Tylko nas to dotknęło. Cóż! Został wytworzony odpowiedni klimat...

12. Augustów (1958-1968)

W roku 1958 sprzedaliśmy dom w Rajgrodzie i przez dziesięć lat – do rozwiązania Liceum Pedagogicznego – dzieliliśmy czas między Augustów (gdzie mieszkaliśmy w czasie roku szkolnego) i Wygodę (gdzie mieszkaliśmy w czasie wakacji).

W Augustowie wynajmowaliśmy pokój u Józefa i Felicji Łukawskich, przy ulicy Sosnowej 11. Moje zewnętrzne kontakty skurczyły się bardzo. Poza gospodarzami utrzymywałam bliższe kontakty właściwie tylko z sąsiadami – państwem Balińskimi. Może dlatego, że pochodzili ze stron mego beztróskiego dzieciństwa (on ze wsi Łojki koło Sylwanowic, ona z Grandzicz pod Grodnem)...

Bożenka i Jacuś byli już poza domem; obiady jedliśmy z Antolkiem w stołówce internatu Liceum. Było sporo czasu na długie spacery (a czyż jest piękniejsza miejscowość niż Augustów!), dwa razy w tygodniu chodziliśmy do kina (żaden film nie spodobał mi się już nigdy bardziej, niż widziany w Augustowie film *Za siedmioma górami, za siedmioma lasami*) i nie omijaliśmy potańcówek.

13. Wygoda

Na koniec osiedliśmy w Wygodzie. Tuż po wojnie kupiliśmy tu dom od wdowy po kolejarzu – pani Michaliny Opatowskiej. Początkowo Honorcia z Mietkiem prowadzili w nim sklep. Wiele lat mieściło się w nim przedszkole. Część wynajmowaliśmy pielęgniarce, pani Leokadii Gorlińskiej, która wyniosła się, kiedy zamieszkaliśmy w Wygodzie na stałe. Po kilku latach – już z nami – mieszkali kolejno: elektryk Stanisław Jacewicz z żoną (Krystyną z Kukowskich), państwo Janina (z Ciborowskich) i Eugeniusz Wardaszkowie (oboje nauczyciele), i wreszcie Mietkowie – zanim wybudowali sobie własny dom.

A teraz pozostaliśmy we dwoje, jeśli nie liczyć nietoperzy, przez długi czas królików (których na szczęście od paru lat już nie ma) i oczywiście – psa Zbója.

Wygoda, Wielkanoc 1991 roku.

6. Anna z Modzelewskich Jadacka

List do redakcji *Gońca Kresowego*

Szanowni Państwo!

Dotarła do mnie niedawno *Saga o Grodnie* ks. Ludwika Sawoniewskiego, wydana w 1994 roku przez Panią Profesor Elżbietę Feliksiak w „Bibliotece Pamięci i Myśli”. Kiedy usłyszałam *Sagę* (niestety z powodu osłabienia wzroku nie mogłam już jej sama przeczytać), ogarnęło mnie wielkie wzruszenie, ponieważ w Grodnie spędziłam część dzieciństwa. Niektóre postacie, zwłaszcza związane z Gimnazjum im. Emilii Plater (do którego uczęszczałam w połowie lat dwudziestych), są mi dobrze znane.

Na ich czele jest sam autor *Sagi* – ks. Sawoniewski – czyli „Pomidor” (jak go nazywaliśmy). Wbrew wrażeniu, jakie mogłoby powstać na podstawie wspomnienia Pana Antoniego Soroki, „Pomidor” był dla nas – gimnazjalistek – wymagający, a niekiedy nawet surowy.

Znałam również Pana Doktora Józefa Śleszyńskiego – chirurga (zdaje się – wojskowego). Był on rzeczywiście wziętym lekarzem i to, co na ten temat pisze ks. Sawoniewski, jest całkowicie zgodne z prawdą. Doktor Śleszyński przyjaźnił się z moim bratem ciotecznym, ks. Rochem Modzelewskim (kapelanem wojskowym z czasów I Wojny Światowej). Córka Doktora Śleszyńskiego, Emilia, była moją koleżanką szkolną. Państwo Śleszyńscy mieszkali przy tej samej ulicy, co ja – tzn. przy ul. Rydza-Śmigłego (w albumie rodzinnym zachowało się parę naszych wspólnych zdjęć).

W jednej klasie ze mną była też córka Pana Pułkownika Ignacego Oziewiczza, Jadzia, oraz córki dwóch innych oficerów grodzieńskich: Hryniewiczza i – dwie (bardzo piękne!) – Berbeckiego (niestety nie pamiętam już ich imion²⁰).

Spośród Grodnieńców niewymienionych w *Sadze* utkwiła mi szczególnie w pamięci nauczycielka śpiewu z moim gimnazjum (zdaje się, że b. śpiewaczka), Pani Anna Pietkiewicz; jej córka, Janina, była znowu jedną z moich szkolnych koleżanek.

²⁰ Jedna z nich miała na imię Wanda.

W dobrej pamięci zachowałam też Państwa Natalię i Ludwika-Faustyna Świderskich (u nich właśnie miałam stancję) oraz ich dzieci: Irenę, Ludwika-Brunona, Jerzego i Zdzisława. Pan Ludwik-Faustyn Świdorski był urzędnikiem w magistracie grodzieńskim; jego syn Ludwik-Brunon ukończył Uniwersytet Warszawski i został tam asystentem, znawcą twórczości Elizy Orzeszkowej (aresztowany w 1941 roku przez Gestapo, zginął w Auschwitz).

Pozwoliłam sobie napisać do Państwa o tym wszystkim w związku z uwagą, którą Pani Doktor Wanda Renik zakończyła zamieszczony po *Sadze* komentarz o grodzieńskich środowiska na kartach *Sagi o Grodnie*: że należy tę książkę „potraktować jako zaproszenie i wezwanie do opracowania możliwie pełnej księgi zasłużonych Grodnian”. Takie zaproszenie wystosowała też do czytelników w swoim „Posłowie” Pani Profesor Feliksiak.

Jeszcze raz dziękuję za to wzruszające „zaproszenie”.

Białysto, 20 lutego 1995 roku.

PS. Kopię tego listu wysyłam bezpośrednio do Pani Profesor Feliksiak i Pani Doktor Renik, która ofiarowała mi *Sagę* – z podziękowaniem z piękny podarunek.

PS do Pani Doktor Renik. Przypomniała sobie imiona jeszcze trzech nauczycieli z Gimnazjum Platerówny: ALBERT Rylke, MICHAŁ Kapp i NORBERT Syczewski.

7. Anna z Modzelewskich Jadacka

Moje harcerstwo²¹

Do harcerstwa wstąpiłam w 1925 roku – będąc w trzeciej klasie Gimnazjum Żeńskiego im. Emilii Plater w Grodnie.

W 1927 roku przeniosłam się do Gimnazjum Żeńskiego im. Marii Konopnickiej w Łomży. Byłam wtedy zastępową i przyboczną drużynowej. Poza harcerstwem należałam także do łomżyńskiej Sodalicii Mariańskiej. Za moich czasów opiekunem harcerek w gimnazjum łomżyńskim był ks. Józef Kłoskowski. Moja drużyna chodziła razem w niedzielę do Katedry na mszę ś., zwykle na godzinę 9.00 (stawałyśmy «ławą» w środkowej nawie).

Spośród koleżanek-harcerek pamiętam dobrze Zosię Ramotowską (w czasie wojny doświadczoną; po wojnie – nauczycielkę łaciny w Liceum Ogólnokształcącym w Grajewie), Zośkę (jeśli się nie mylę) Bielawską, Krysię Jezierską i druhnę Ankę (jeśli się znowu nie mylę co do imienia) Karwowską. Natomiast harcerką nie była chyba inna moja koleżanka z klasy – Hanka Bielicka (późniejsza znana aktorka), ani jej siostra Maryna.

Zastęp nasz otrzymał od dyrektora szkoły – p. Mieczysława Pogonowskiego – izbę w budynku szkolnym, którą same wyremontowałyśmy. Odtąd był to nasz własny kąt, w którym się spotykałyśmy, aby pomagać sobie nauce, ale przede wszystkim urządzać zbiórki i śpiewać nasze ulubione piosenki: „Płonie ognisko”, „Hej, z góry, z góry, jadą Mazury”, „Hej, góral-ci ja, góral”, „Legiony – to żołnierska nuta”... Śpiewało się także rzeczy frywolniejsze, jak np. taka:

Było sobie trzech Żydków,
trzech Żydków:
trzech-trzech-trzech Żyd-Żyd-Żyd-ków-ków-ków.

²¹ Tekst poniższy został pierwotnie opublikowany w *Rysie monograficznym działalności drużyny weteranów-harcerek Ziemi Łomżyńskiej – kręgu seniorów im. Leona Kaliwody – na tle skautingu światowego i polskiego*. T. II. Łomża 2003: ZHP, s. 207-209.

Pierwszy z nich się nazywał
Mojsiunio:
Moj-Moj-Moj-siu-siu-siu-nio-nio-nio.

Drugi z nich się nazywał
Izrael:
I-I-I-zra-zra-zra-el-el-el.

Trzeci z nich się nazywał
Abraham:
A-A-A-bra-bra-bra-ham-ham-ham.

Nie miało to oczywiście nic wspólnego z antysemityzmem. W obu gimnazjach było wiele uczennic Żydówek, z którymi pozostawałyśmy w zwykłych, koleżeńskich stosunkach – a nawet przyjaźniach. Była więc Bella, Estera, Sara (Salcia)... Inna sprawa, że do harcerstwa żadna z nich nie należała. Z naszej izby także zaczynały się wszystkie nasze eskapady: wycieczki – podchody i ogniska – oraz obozy.

Wycieczki robiłyśmy głównie w okolicie Łomży: do majątku państwa Marii i Stanisława Lutosławskich – Drozdowa; do starożytnego Nowogrodu; do kurpiowskiej stolicy – wsi Łyse. Nasze ogniska płonęły nad Narwią i w lasach Czerwonego Boru. Wizyty w gościnnym dworze drozdowskim były oczywiście związane z tym, że bratem Stanisława był Kazimierz Lutosławski – jeden z głównych organizatorów skautingu w Polsce i twórca krzyża harcerskiego.

Brałam udział w wielu obozach harcerskich, blisko Łomży – jak np. w Kuleszach Kościelnych k. Zambrowa, ale i dalej – jak np. w Jastarni i Wieżycy koło Kartuz. Właśnie jako harcerka byłam po raz pierwszy nad morzem. Jakże bardzo smakowały mi wtedy świeżo uwędzone flądry, które kupowałyśmy u kaszubskich rybaków!

Uczestniczyłam także w wycieczce na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu w 1949 roku. Miałam wtedy 16 lat, więc nic dziwnego, że bardziej mnie tam od osiągnięć technicznych pociągało... wesołe miasteczko.

Szczególnie udany był obóz w Pradze Czeskiej, gdzie znalazłam się głównie dlatego, że... dobrze grałam w siatkówkę. Nie do wiary, ale poza Mostem Karola, Wełtawą i Hradczanami – najbardziej mi z tego pobytu utkwiła w pamięci wstrząsająca opowieść emigranta rosyjskie-

go o tragedii jego rodaków pod rządami komunistów. Do dziś przechowuję kupioną wtedy w Pradze podwójną pocztówkę z zegarem z wieży Ratusza Staromiejskiego.

To, co mnie teraz – na tle dzisiejszego harcerstwa – najbardziej uderza, to to, że wszystkie tamte imprezy organizowałyśmy same, bez żadnego nadzoru ze strony pedagogów, a jednak wszystko odbywało się w najlepszym porządku i w zgodzie z zasadami moralnymi i obyczajowymi. Pamiętam, że gdy kiedyś koledzy z sąsiedniego obozu męskiego chcieli zobaczyć, jak się bawimy, wydelegowali najpierw kolegów z pytaniem, czy się na to zgodzimy, a po otrzymaniu zgody – z właściwym dystansem – brali udział w harcerskiej zabawie...

W 1929 roku – po ukończeniu szóstej klasy wyjechałam do Warszawy...

8. Anna z Modzelewskich Jadacka

Ze złotych myśli

(wybór własny z lat trzydziestych)

Sentencje

- Człowiek bez ojczyzny jest jak słowik bez pieśni.
- Dobry sąsiad jest najlepszym krewnym.
- Drobnostki są podstawą doskonałości, ale doskonałość wcale nie jest drobnostką (Buonarrotti).
- Egoizm jest trucizną przyjaźni (Balzac).
- Jest jedyna forma nieśmiertelności, o którą warto zabiegać: ludzka życzliwość (Hirsfeld).
- Kto nie daje więcej niż otrzymał, jest zerem, i jego przyjsie na świat było całkiem zbyteczne (Mann).
- Kto nie ma ani jednego przyjaciela, nie jest godzien życia.
- Kto wierzy w szczęście, ma szczęście (Hebbel).
- Lepsza jest zrozumiała miernota niż mglisty geniusz.
- Między człowiekiem wielkim a małym zachodzi ta różnica, że gdy pierwszy po upadku wyżej powstaje, drugi niżej się stacza.
- Miłość to ktoś, z kim chcemy się zestarzeć (Remarque).
- Malarstwo jest milczącą poezją (Simonides).
- Największym występkiem jest płytkość (Wilde).
- Nie ma wartości równej wartości czasu (Goethe).
- Okazywany człowiekowi szacunek czyni go lepszym (Tetmajer).
- Pesymiści lubują się w wytykaniu wad i złych nałogów bliźnim.
- Piękne życie jest tylko w pracy (Żeromski).
- Pomoc, choćby drobna, w godzinie największej dana potrzeby, wszystkie skarby ziemi przewyższa. A gdy przychodzi bez jednej myśli odwzajemnienia, wartość jej większa jest niżli oceany.
- Praca tylko może dać skrzydła natchnieniu (Kraszewski).
- Rozpacz jest największym z naszych błędów (De Vauvenargues).
- Walka z miłością to walka niemal z życiem, bo miłość jest życia rodzeniem (Żeromski).

- We własnym domu i ściany pomagają.
- Wzgarda kraju i języka własnego znaczy lekkość umysłu i serce nieprawe (Krasicki)
- Zalety bliźniego piszemy na wodzie, wady zaś ryjemy na spiżu (Shakespeare).
- Złym musi być człowiek, który nie lubi pieśni, śpiewu lub muzyki (Shakespeare).
- Z wielkimi tego świata trzeba postępować jak z ogniem: dobrze jest zbliżyć się do nich, bo grzeją – ale nie zanadto, bo parzą.
- Życie bezczynne jest to śmierć przed zgonem (Goethe).
- Życie tyle jest warte, ile w nim jest szczęścia (Sienkiewicz).

Liryk

Leopold Staff: Zachód jesienny

Przeszłość jak ogród zaczarowany,
Przyszłość jak pełna owoców misa.
Liści opadłych złote dywany,
Winograd ognia strzępami zwisa
 Zmierzch, jak dzieciństwo, roztacza cudy,
 Barwne muzyki miast myśli przędzie.
 Nie ma pamięci i nie ma złudy.
 Wszystko jest prawdą. Wszystko jest wszędzie.
Sok purpurowe rozpiera grono
Na dni jesiennych wino wyborne.
Wszystko dziś piękne było. Niech płoną
Rudoczerwone lasy wieczorne.

9. Andrzej Sieczkowski

Świadectwo znad Niemna

Listy do Anny i Jacka Jadackich

- Warszawa, 7 czerwca 1991 roku.

Szanowni Państwo!

Nie wiem wprost, jak się mogę wytłumaczyć z karygodnego – więcej: skandalicznego – milczenia po otrzymaniu Państwa listu w grudniu ub.r. Prawdą jest, że czuję się ogólnie nietęgo i miewam długie okresy bardzo złego stanu zdrowia (przeszedłem na emeryturę już po 65 roku życia – nie zaś po 70-ce, jak dozwolone jest to dla profesorów – właśnie z racji licznych schorzeń, o których nie warto się rozwodzić, a które sprawiły, że sami lekarze doradzali mi przerwanie pracy), kiedy rzeczywiście jestem „do niczego”, ale to nie może być wystarczającą wymówką. Mam ukończonych lat 78; tyleż miałby za dwa miesiące śp. Ludwik Świdorski, gdyby nie Oświęcim – byliśmy przecież równolatkami, jak uniwersyteccy koledzy w okresie 1931-1936 i później – kolegowaliśmy jako asystenci, tyle że w dwu różnych katedrach Wydziału, ówczesnie, Humanistycznego UW.

Jednym słowem – pozostaje mi tylko prosić Szanownego Pana i Jego Szanowną Matkę za wybaczenie starcowi...

Jako małe zadośćuczynienie – niezależnie od osobistych wspomnień, jakie w kolejnym liście Państwu przekażę – załączam specjalnie dla Państwa przygotowaną kserokopię mego wspomnienia o Ludwiku, wydrukowanego tuż po II Wojnie, w 1946 roku. O ile wiem, jest to jedyna stosunkowo obszerniejsza wzmianka drukowana poświęcona Ludwikowi.²²

Od razu uprzedzam, że jego śmierć w Oświęcimiu (już późną jesienią 1941 roku, a więc w kilka miesięcy po aresztowaniu nas obydwu 1 sierpnia tegoż 1941 roku), jest absolutnie pewna, a nieco chwiejne ujęcie tego tragicznego faktu wypływa z chęci nieodbierania bodaj cienia nadziei matce Ludwika. Była to – jak ją w myśli nazywam czasem,

²² Mowa o tekście „Ludwik Brunon Świdorski” (*Pamiętnik Literacki* r. XXXVI, z. 3-4, s. 394-397).

niezależnie od jak najcieplejszych uczuć, jakie żywiłem i nadal żywię dla tej wujenki mojej żony i zarazem matki mego przyjaciela (właśnie Ludwika), „polska Niobe”. Spośród czworga bardzo udanych dzieci straciła aż troje – i to za sprawą tej samej, krwawej ręki hitlerowskiego okupanta: najstarsza (ur. 1912) Irena – zginęła wraz z paroletnią córeczką gdzieś na Wileńszczyźnie, dokąd w czasie okupacji przekradł się jej (tzn. Ireny) mąż, Mieczysław Cholewa, współorganizator polskiego zbrojnego podziemia (AK na „terenach wschodnich”). Hitlerowcy – nie zastawszy go w domu – zabrali „w odwet” Irenę (żonę akowca Mieczysława) z córeczką; obie straciły życie w więzieniu. Ludwik (ur. 1913) dostał się do piekła oświęcimskiego, a młodszy od niego Jerzy (ur. 1918) padł ofiarą masakry anińsko-wawerskiej (był to pierwszy, pamiętny zbiorowy zbiorowy mord na stu kilkunastu Polakach dokonany już 27 grudnia 1939 roku).

Tak więc straciwszy ich troje (kolejno: Jerzy – Ludwik – Irena), wujenka (Natalia Świdorska) wywiozła na wieś (w Lubelskie) najmłodszego Zdzisława (ur. 1926); tam – pracując jako parobek w chłopskim gospodarstwie – Bogu dzięki przetrwał okupację i do dziś jest szczęśliwym ojcem rodziny (także dziadkiem) i bardzo dzielnym człowiekiem, znakomitym fachowcem w dziedzinie inżynierii kolejowej, jeśli tak można specjalność jego określić.

Domyślają się teraz Państwo, że w tym stanie rzeczy wujenka Natalia Świdorska nie dawała wiary informacjom o śmierci Ludwika i do końca swego życia (zmarła jesienią 1956 roku) łudziła się, że ukochany Ludwiś jednak gdzieś żyje...

Teraz Państwo rozumieją moją dyskrecję i niedopowiedzenia (a nawet pewien „retusz”) w kwestii losów Ludwika.

Jak wspomniałem, Ludwik był moim kolegą, którego mógłbym nazwać przyjacielem, w każdym razie – bardzo bliskim kolegą, a zarazem bratem ciotecznym mojej żony Haliny. Matka mojej żony i ojciec Ludwika (zm. 1957), też Ludwik (o drugim imieniu Faustyn) Świdorski, byli rodzeństwem; tak więc Ludwik Brunon (bo tak się podpisywał) był moim ciotecznym szwagrem (tzn. ciotecznym bratem Haliny, mojej żony – i w ogóle właśnie u Ludwika poznałem Halinę, przyszłą żonę). Chyba to nie takie zawile?

Resztę informacji prześlę Szanownemu Państwu doprawdy niedługo, bo właśnie wyjeżdżam w celach zdrowotno-wypoczynkowych i z Konstancina (to jest ów „cel”) napiszę nowy list.

Na razie – raz jeszcze; gorąca prośba o przebaczenie mi...

Z wyrazami szacunku i najszczerzszymi pozdrowieniami –
Andrzej Sieczkowski

Warszawa, 7 czerwca 1991 roku.

• Konstancin, nadal 12 czerwca 1991 roku.

Szanowni Państwo!

(List jest przeznaczony dla obojga Państwa, ale, żeby łatwiej mi się pisało, będę zwracał się w nim raz do Państwa, raz do Szanownego Pana, a raz do Pana Szanownej Matki.)

Otóż może już Pana nudzę, ale jeszcze raz odczytując od dawna już przecież znany list Szanownych Państwa z grudnia ub. roku, sądzę, że może nie w pełni usatysfakcjonowałem Państwa, a zwłaszcza Pana Szanowną Matkę, która zapewne trochę tylko młodsza jest niż ja (mój rocznik – jak i Ludwika: 1913), a w że w dodatku piszę wspomnienia, tym bardziej jest mi – choć nieznana – bliska uczuciowo.

Domyślam się też, że Szanownej Matce Pana chodzić może o dwie rzeczy, które kolejno omówię.

(1) Ściśle „wspomnieniowy” wątek grodzieńskiego epizodu w życiu Pana Mamy: stacja u wujostwa mojej żony – a więc u Natalii z Grodzkich i Ludwika Faustyna. Ciekawa rzecz, że przez jakieś dwa lata (chyba 1921-1923) mieszkała u nich również moja żona (Halina z Wiśniewskich, siostrzenica Ludwika sen., po przedwczesnej, nagłej śmierci swego ojca (a mego – teoretycznie biorąc – teścia, oczywiście nigdy przeze mnie nie widzianego!). Matka żony (moja teściowa – Maria ze Świdarskich Wiśniewska, rodzona siostra Ludwika sen.), dotychczas niepracująca, musiała gorączkowo szukać źródeł utrzymania i na pewien czas całą trójkę swoich dzieci rozmieściła u rodziny; najstarszą Halinę – a później i nieco młodszą Wandę (do dziś szczęśliwie żyje w Olsztynie i ma dwoje wspaniałe „ustawionych” dzieci – oczywiście dziś ludzi w średnim wieku). Może pamięć moją żonę zawodzi, ale – niestety «Ani Modzelewskiej» z tamtej grodzieńskiej stacji u wujostwa nie

przypomina sobie;²³ oczywiście to nie ma znaczenia; święcie wierzymy wszyscy, że Pana Mama i moja żona pewien czas mieszkały w tym samym grodzieńskim mieszkaniu – a ta świadomość po prostu jeszcze bardziej zbliża i mnie do Pana i Pana Mamy!

Otóż wiemy już, że Ludwik jr. (1913-1941), ur. w Grodnie i tamże uczęszczający do gimnazjum – w latach 1931-1936 był studentem Wydziału Humanistycznego (taka była ówczesna nazwa rozparcelowanego dziś fakultetu⁰., Odznaczał się inteligencją, pilnością, zdolnościami. Formalnie studiował filologię polską (z akcentem na literaturoznawstwo, ale z równym powodzeniem ścisłą i słowianoznawstwo). Pracę magisterską pisał pod kierunkiem prof. Józefa Ujejskiego (historyka literatury polskiej), zm. w 1937 roku. Ale jeszcze prof. Ujejski, poznawszy się na zaletach swego magistranta (zdolności i niebywała wręcz systematyczność i dokładność w pracy; kolosalna pilność), zatrudnił go jako asystenta przy Katedrze Literatury Polskiej, którą to katedrę objął od drugiej połowy 1937 roku – stosunkowo wówczas młody, przybyły ze stażu zagranicznego prof. Julian Krzyżanowski (zmarł przed 8 bodaj laty²⁴), uważany za najwybitniejszego znawcę literatury polskiej w okresie PRL, uczony o światowym rozgłosie. Właśnie jako już tzw. starszy asystent Katedry Historii Literatury Polskiej – Ludwik jr., obok zajęć ściśle pedagogicznych, rozpoczął twórczą pracę badawczo-edytorską, poświęconą grodniance, Elizie Orzeszkowej (sporo informacji szczegółowych zamieściłem w swoim drobnym szkicu, który Państwo już mają w rękach). W latach 1937-1939 moje zawsze żywe i serdeczne kontakty z Ludwikiem siłą rzeczy rozluźniły się, ponieważ: rok akademicki 1936/1937 – kiedy Ludwik już był asystentem – ja byłem w wojsku (podchorążówka rezerwy i trzymiesięczne „praktyki” w oddziale, w Jarosławiu n. Sanem). Ludwik był z wojska zwolnionym. Pamiętam, jak ukończywszy lat 20 (obaj byliśmy z tegoż rocznika 1913 i obaj mieliśmy nazwiska na „S”), razem (oczywiście nie tylko my dwaj!) stanęliśmy – zapewne Pan wie, że „na golasa” – przed komisją wojskową (lekarską – w związku z poborem, odraczanym na czas studiów

²³ Warto przypomnieć, że Anna Modzelewska-Jadacka przebywała w Grodnie w latach 1923-1927.

²⁴ W rzeczywistości zmarł w 1976 roku.

wyższych). Ja dostałem kategorię „A”, Lutek zaś – bodaj „E” (służba pomocnicza bez broni, zwolniony od wszelkich ćwiczeń etc.), chyba głównie z uwagi na bardzo słaby wzrok; ogólnie był raczej wątły, niewysportowany – ale trudno go nazwać chorowitym; umiał wszak pracować niezmordowanie nad ukochaną literaturą! Otóż kolejny rok akademicki naszego „rozejścia się” z Lutkiem wypadł na okres 1938/1939 (1937/1938 kolegowaliśmy jako starsi asystenci – on u prof. Krzyżanowskiego, ja – u sławisty-językoznawcy, prof. Stanisława Słońskiego (zm. w 1959 roku).

(2) Może się mylę, ale mam wrażenie, że pisząc swoje wspomnienia, Pana Szanowna Mama pragnie bodaj naszkicować wątek ogólniejszy: jak zachowało się w czasie straszliwej wojny i okupacji hitlerowskiej to pokolenie, które przewinęło się w dzieciństwie przez stancje w rodzaju tego mieszkania grodzieńskiego wujostwa Świderskich (żona moja dobrze pamięta rozkład mieszkania, ale nazwa ulicy skryła się gdzieś w podświadomości. Oczywiście generacja nasza miała obowiązek stanięcia do walki z najeźdźcą i wydaje mi się, że obowiązek ten – na ogół – wypełniła. Nie jest to tytuł do jakiejś szczególnej chwały – ale moralną satysfakcję może odczuwać choćby ta gromadka b. studentów UW, o których tu piszę. Ośmielę się napisać, że mieliśmy w czasach hitlerowskich o blisko 10 lat więcej niż słynne „pokolenie Kolumbów” (Bratny, Gajcy, Baczyński); wszyscy ci – częściowo już nieżyjący – wspaniali konspiratorzy i powstańcy warszawscy mieli – właśnie w 1944 roku – lat około 20; my zaś (np. Ludwik, jego szwagier Cholewa i wielu innych, do których i ja pozwolę się zaliczyć) w dniach tegoż Powstania byliśmy ludźmi tuż po trzydziestce – a to jednak (niech Państwo wierzą mi!) jest różnica. Młodzież – ta gorąca – jest wspaniała, ale jednak niebezpieczeństwa po prostu nie odczuwa. Dokładnie to prześledziłem, biorąc – proszę wierzyć, że nie na tyłach... – udział w Kampanii Wrześniowej i potem w Powstaniu, gdzie np. byłem najstarszym żołnierzem (podchorążym, potem podporucznikiem) w całej 300 ludzi liczącej kompanii AK. Otóż wyobrażam sobie, że Lutek po prostu gorzko żałował, że w tych zmaganiach nie mógł wziąć udziału (myślę o Wrześniu 39, bo w 1944 roku dawno już nie żył...) – i starał się to jakoś „odrobić”.

Były dwie drogi i szedł każdą z nich.

(1) Współdziałał ze swym szwagrem Mieczysławem Cholewą (mężem Ireny Świderskiej) w konspiracji wojskowej (od początku 1940 roku) – także i mnie, częściowo, wciągnął do tej grupy – oraz zajmował się współpracą z prasą podziemną. Szczegółów nie mogę, niestety, podać, ale jestem przekonany głęboko, że miał nawet liczne kontakty z drukarniami tajnymi i redakcjami pism podziemnych; inaczej nie byłoby tyle „bibuły” w jego mieszkaniu (a raczej w jego pokoju – w mieszkaniu rodziców: Natalii i Ludwika sen. Świderskich). Wspominam o tym w artykuliku – prawda? W owych kontaktach mieści się, rzecz oczywista, i ten nasłuch radiowy w tajemniczym mieszkanku przy Zajęczej 12 na Powiślu... Ja – chodząc tam – ograniczałem się do ręcznego powielania notatek i rozdawania ich znajomym. Ale kto wie, czy Lutek rzeczywiście nie zanosił ich do którejś z redakcji? Dlatego nie bez kozery gestapowcy pytali o drukarnię, przesłuchując mnie – domyślcie się, Drodzy Państwo, jak to przesłuchanie wyglądało, ale w imię prawdy mogę napisać, że zębów mi nie wybili, ale i niczego się nie dowiedzieli, tak dobrze (jak się okazuje...) udawałem zupełnego kretyna, który nie ma pojęcia, o jaką to drukarnię może chodzić! Podobnie objawiałem – nieoczekiwanie dla siebie samego! – zdolności aktorskie, kiedy, przy drugim przesłuchaniu, w gmachu gestapo na Szucha, na widok nieszczęsnego aparatu radiowego z Zajęczej okazałem „autentyczne zdumienie i „obojętność”.

(2) Co do „walki z karabinami” dokładnie pamiętam, jak wtedy, po komisji poborowej, z młodzieńczym – ale najszczerzym – żalem mówił do mnie: „A więc ja, niestety, nie będę mógł służyć zbrojnie Ojczyźnie!”. Otóż drugie pole walki, w którym Ludwik wziął czynny udział – to była „walka na umyśle”: żeby nie poddać się nastrojowi grozy i bezmocy, a więc szeroko rozwinięta akcja samokształcenia; myślę tu konkretnie o owych zebraniach dyskusyjnych (głównie dyskutowaliśmy o literaturze – świadomie chcąc podtrzymać swoje humanistyczne zamiłowania, zepchnięte z okupacyjnej dreptaniny). I o tym wspominałem w artykuliku.

Wreszcie – pyta Szanowna Pani, „w jakich okolicznościach zmarł Ludwik”. Chyba to wyjaśniłem we wczorajszym liście. Ale mogę dodać

drobne szczegóły. Na Zajęczej „nakryli” gestapowcy Lutka z Witoldem Laskowskim (jego dalekim kuzynem, nie umiem tego pokrewieństwa określić); Ludwik próbował ucieczki, ale go łatwo schwytano i pobito.

Tegoż 1 sierpnia 1941 roku przez chwilę przesłuchiowano nas dwu – Lutka i mnie – wieczorem, już na Pawiaku, jednocześnie: miał sińce na twarzy, był bez okularów (bez których ledwo widział – przecież dlatego nie dostał wyższej kategorii jako poborowy!), ale poruszał się normalnie. Potem migawkowo widzieliśmy się jeszcze dwa razy w więzieniu. Nadmieniałem już, że nas trzech starannie separowano, żebyśmy się nie mogli porozumieć; zresztą w imię prawdy: Lutka i Witolda zastali gestapowcy przy radiu, ja zaś tego dnia tam nie byłem i zaręczałem, że nic o radiu nie wiem.

13 sierpnia 1941 roku mnie – w cudowny doprawdy sposób – zwolniono. Po prostu mój ojciec dotarł do kogoś, kto miał handlowe kontakty z Niemcami, ale obiecał postarać się tylko o jednego uwięzionego. Rozumieją Państwo, że ojciec wybrał mnie (zresztą sam ojciec potem też był aresztowany i przesiedział na Pawiaku trzy miesiące na przełomie 1941 i 1942 roku, ale to nie miało nic a nic wspólnego z naszą (tj. Lutką, Witolda i moją) ul. Zajęczą 12. Dość, że bodaj na przełomie sierpnia i września 1941 roku Lutek i Witold zostali – oczywiście w licznej grupie – wywiezieni do Oświęcimia. Helena Ludwikowa, jak pisałem, usilnie szukała „przekupnego Niemca”; obiecywano jej wiele, ale poza stratą pieniędzy – nie wskórano nic.

Od Ludwiczka przyszedł jeden „oficjalny” (na oświęcimskim blankiecie) list. Pamiętam słowa: „Stałem się obojętny jak martwy pień”. Można sobie łatwo wyobrazić ów stan odrętwienia – u subtelного, fizycznie wątłego człowieka serca i intelektu, który znalazł się w piekle koncentracyjnego obozu. Bodaj w grudniu tego 1941 roku (a więc około czterech miesięcy po transporcie z Pawiaka do Oświęcimia) przyszło „standardowe” zawiadomienie komendy obozu w „Auschwitz”, że taki-a-taki więzień zmarł na serce. Może to znaczyć również rozstrzelanie. Znam takie realia, a zawiadomienie było identyczne; ale np. zawiadomienie o „śmierci na serce” – chodzi o mojego śp. ojca, wywiezionego w czasie Powstania Warszawskiego, *via* Pruszków, do Sachsenhausen – jak później sprawdziłem, było „prawdopodobne”: ojciec rzeczywiście zgąsł w obozowym tzw. rewirze...

Mama wraz z żoną moją dostały się z Pruszkowa do Berlina; pracowały w fabryce zbrojeniowej; mama zmarła, ale żona – Bogu chwala – przetrwała i żyjemy we dwoje do dzisiaj.

Nic więcej nie sposób się dowiedzieć. Może wiedziałby coś Witold Laskowski, ale ten nie wrócił z Zachodu (gdzie zamieszkał po oświecimskim wywiezieniu w 1945 roku) i nie znamy nikogo, kto by mógł mieć z nim kontakt. Tak więc Ludwik musi być uważany (i tak formalnie mają się rzeczy; jak pisałem – Helena, jego żona, przedstawiła w Ameryce ten list niemiecki z Oświęcimia, została uznana za wdowę i ponownie wyszła za mąż; jak pisałem – serdeczne kontakty z nami (tzn. z Sieczkowskimi) i ze Zdzisławostwem Świderskimi utrzymywała do końca swego emigranckiego życia. Była więc wierna pamięci Ludwika, jednego z tylu bohaterów naszych tragicznych losów ojczyźnych.

Już chyba nie tylko zaspokoilem życzenia Szanownych Państwa, ale i obciążyłem Ich lekturą tego niezbyt starannego rękopisu.

Raz jeszcze – gorąco proszę o dowód rozgrzeszenia za lenistwo (jeżeli Państwo nie przebaczyli) i przepraszam za nadmiar niewesołej lektury; ale już tutaj – winne są nasze polskie losy, a nie tylko ja – skryba stary. Oczekuję tego dowodu w formie dwu zdań na załączonej do wczorajszego listu pocztówce: „Wybaczamy. Te informacje nam wystarczą”. Proszę o wysłanie najpóźniej 24 czerwca: to, do Konstancina, a nie do Warszawy!

Rzecz jasna: z najgłębszym szacunkiem, z serdecznymi pozdrowieniami dla Obojga Szanownych Państwa –

nudziarz Andrzej Sieczkowski.

PS. Tym razem już serio ostatni punkt w tej naszej (bo może nastąpić nowa!) korespondencji. A więc – w maju tego roku umarł prof. Edward Jerzy Jankowski, też (jak np. ja) bliski kolega Ludwiczka. Po Ludwiku przejął on kontynuację prac nad Orzeszkową i jej twórczością. Był to wybitny i zasłużony uczony. Uczestniczył (w czasie okupacji) w tych koleżeńskich „zebraniach literackich” w mieszkaniu Ludwika (na Żłotej 38 m. 7, parter).

O tych zebraniach pisałem w „artykuli”, który Państwo mają (w kserokopii). Otóż na pogrzebie prof. Jankowskiego przemawiałem jako jeden z trzech mówców (obok b. ucznia Liceum O.O. Marianów, gdzie

prof. Jankowski też wykładał, i obok przedstawiciela Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza – profesora polonistyki, Zdzisława Libery, którego Państwo znają.) W tym przemówieniu dobitnie zaznaczyłem, że pionierem i inicjatorem prac i edytorskich, i badawczych nad twórczością Elizy Orzeszkowej, był właśnie warszawski polonista, ofiara terroru hitlerowskiego, kolega i uczestnik konspiracji – śp. Ludwik Brunon Świdorski, uniwersytecki kolega prof. Jankowskiego. Ten zaś był kontynuatorem owych prac.

• Konstancin, nadal 12 czerwca 1991 roku.

Szanowni Państwo!

Zgodnie z zapowiedzią – dodaję parę szczegółów dotyczących rodziny Świdorskich. Staram się być możliwie zwięzły.

(1) Rodzina ta wywodzi się z Grodzieńszczyzny (według starych pojęć – ze szlachty, zapewne drobnej, chlubiącej się herbem „Słepowron”).

(2) Od paru pokoleń najstarszy syn otrzymywał imię Ludwik, a dla odróżnienia dodawano mu – oficjalnie, na chrzcie św. – imię drugie. Tak więc nasz Ludwik był Ludwikiem Brunonem, jego ojciec zaś – Ludwikiem Faustynem. „Nasz” Ludwik – potocznie nazywany oczywiście „Lutkiem”, „Ludwisiem” *etc.* – oficjalnie podpisywał się dwoma imionami: L.B.

(3) Żoną L.F. była Natalia z Gorskich. Tu też sympatyczno-zabawny szczegółik: podkreślała stale: „nie Górską – ale Gorską” – że niby to „lepsza rodzina”. Oj, te dawne czasy!

(4) Jak już Panu pisałem – z czwórki rodzeństwa Świdorskich żyli:

(a) Najstarsza Irena (1912-1942?), zamordowana przez gestapo wraz z paroletnią córeczką; jej mąż, Mieczysław Cholewa, żyje do dzisiaj (bodaj na Wybrzeżu Gdańskim) i – raczej niesłusznie – nie może przestać sobie wyrzucać, że to z powodu jego ucieczki z mieszkania Niemcy aresztowali i potem zamordowali Irenę i córeczkę, potocznie zwaną „Kruszynką”.

(b) Ludwik Brunon (1913-1941), historyk literatury polskiej, absolwent UW, starszy asystent prof. Juliana Krzyżanowskiego, inicjator studiów nad życiem i twórczością Elizy Orzeszkowej, działacz „kulturalnej” konspiracji antyhitlerowskiej, ofiara nasłuchu radiowego, Na-

wet ja, współuczestnik tego nasłuchu, nie umiem powiedzieć, czy nasze notatki trafiły – czy też nie – do prasy podziemnej (raczej tak, zapewne o kierunku prawicowym, tzw. narodowym). Tuż przed wybuchem wojny ożenił się z nieco starszą od niego Heleną Osach. Było to małżeństwo oparte na obustronnej, wielkiej miłości. Helena dokonywała cudów pomysłowości i odwagi, żeby Ludwiczka wyciągnąć z Oświęcimia. Na darmo: straciła mnóstwo pieniędzy, o które też trzeba było zabiegać – i zgasły jej nadzieje. Do końca swego życia utrzymywała żywe kontakty z rodziną Ludwika – także i, w mniejszym stopniu, ze mną i moją żoną. Po wojnie emigrowała do USA; tam wyszła powtórnie za mąż za Amerykanina; odwiedziła Warszawę bodaj dwukrotnie; umarła w USA koło 1974 roku.

Jeśli chodzi o upamiętnienie imienia Ludwika – na tablicy zawierającej kilkaset bodaj nazwisk ofiar hitleryzmu, pracowników Uniwersytetu Warszawskiego – widnieje jego nazwisko (porządek alfabetyczny); wykonana z brązu tablica umieszczona jest na szczytowej (bocznej, zwróconej ku chodnikowi) ścianie obecnego budynku Instytutu Historycznego UW.

(c) Jerzy (1918-1939), zdążył tylko uzyskać maturę i jeszcze jako niepełnoletni (w 1938 roku) ożenił się z Wacławą (nie pamiętam jej nazwiska rodowego); mieli córkę (zapomniałem jej imienia), która wyszła za mąż; ma kilkoro dzieci – wszyscy oni mieszkają do dziś we Wrocławiu. Sam Jerzy, jak Panu pisałem, zginął tuż po Bożym Narodzeniu 1939 roku w pamiętnej masakrze anińskiej; w Warszawie istnieją dwa cmentarze owych z górą 100 rozstrzelanych: koło ul. Błękitnej w Wawrze, gdzie dokonano egzekucji, i w Aninie, gdzie mieści się osobny cmentarz ofiar tej zbrodni.

(d) Zdzisław (ur. 1926), najmłodszy syn Natalii i Ludwika Faustyna, jak już Pan wie, wywieziony przez matkę na wieś podlubelską z obawy przed Niemcami – chwała Bogu żyje do dzisiaj; jest idealnym ojcem rodziny i równie idealnym mężem (Aliny z Majewskich; ta z kolei straciła z rąk hitlerowców swego jedyne go brata...), ma troje dzieci (dwie córki i syn) i „łącznie” dziewięcioro wnucząt (po obu córkach; syn, najmłodszy, jeszcze nie ma potomstwa). Zdzisław, człowiek wielkiej prawości, szczerze (nie „po parafiańsku”) religijny; działacz

tw. Rodziny Rodzin; skończył dopiero w maju 1991 roku skończył 65 lat – przeszedł na emeryturę, ale nadal obejmuje 1/2 etatu w kierownictwie Instytut Badawczego Ministerstwa Komunikacji; jest (i był) jednocześnie docentem Politechniki Warszawskiej, jako specjalista nie tylko w zakresie kolejnictwa, ale też – budowy maszyn, zwłaszcza motorów samolotowych. On to gotów jest wypożyczyć – lub sporządzić kopię – zdjęcie Ludwika Brunona (moje pamiątki spłonęły doszczętnie w Powstaniu Warszawskim). Upoważnił mnie do podania Panu swego adresu: doc. dr Zdzisław Świdorski, ul. W. Bogusławskiego 10 m. 20, 01-923 Warszawa (Chomiczówka). Powtarzam Panu: wspaniały człowiek – tak jak i cała bodaj rodzina Świdorskich.

Jak Panu Drogiemu pisałem, jestem z tą rodziną związany niejako podwójnie.

Żona moja, Halina, jest córką Marii ze Świdorskich (nie żyje od 1962 roku, to znaczy Maria, moja teściowa, nie – uchowaj Boże – żona!), a Maria była rodzoną siostrą Ludwika Faustyna świdorskiego, czyli wuja mojej żony; po staroświecku (dla Pana – po staroświecku zapewne...) nazywaliśmy Ludwika Faustyna i Natalię z Gorskich Świdorskich wujem i wujenką, i żyliśmy z nimi bardzo blisko (wuj umarł jesienią 1957; Natalia o rok wcześniej – z końcem lata 1957); do dziś – mamy już tylko jako krewnych – rodzinę Zdzisława Świdorskiego.

A obok tego rodzinnego węzła – jak już Panu wiadomo – Ludwik Brunon i ja byliśmy kolegami uniwersyteckimi i wreszcie działaliśmy razem – jako „współkonspiratorzy” pod okupacją. Opisane przeze mnie (w artykule, którego kopię Pan już ma) fakt nasłuchu radiowego miał miejsce 31 lipca 1941 roku; właśnie Londyn ogłaszał fakt porozumienia Stalin-Sikorski, co było węzłowym problemem owych czasów. Oprócz Ludwika (główniej postaci nasłuchu w skromnym – nie wiem czyim, bo konspiracja wymagała tajemnicy – mieszkanku w podwórzu domu przy ul. Zajęczej 12) „podśluchiwalismy”: kuzyn dalszy Ludwika, niejaki Witold Laskowski (przeżył Oświęcim – podobno żyje gdzieś na Zachodzie) oraz ja. Nazajutrz, 1 sierpnia 1941 roku, ja – opieka Boska? (ale dlaczego akurat nade mną?) – na Zajęczą nie poszedłem; ale Ludwik i Witold poszli – i (chyba ktoś doniósł?) natknęli się na gestapo. Ja aresztowany zostałem tegoż 1 sierpnia 1941 roku, ale osobno – w mieszkaniu

Ludwika z żoną i wujostwa Świdorskich (Natalii i Ludwika Faustyna). Zupełnie cudem (to osobny rozdział) mojej rodzinie udało się wyciągnąć z Pawiaka właśnie mnie (ale tylko mnie, niestety) już 13 sierpnia. Ale tych 13 dni „spędziliśmy” w Pawiaku wszyscy trzej (Ludwik, Witold i ja), tyle że w osobnych celach (pilnowano nas bardzo ostro, żebyśmy się nie stykali). Parę tygodni po 13 sierpnia – Ludwika i Witolda wywieziono do Oświęcimia; gestapowcy bez ogródek powiedzieli mi, że i ja powinienem właściwie też tam się znaleźć; Bóg zechciał inaczej. (Niedopowiedzenia w artykule już Pan rozumie, prawda?)

Chyba to wystarczy Panu i Pana Szanownej Matce?

Jeszcze ośmielałem się (choć zgrzeszyłem wobec Szanownego Państwa szalonym lenistwem) prosić: Tutaj będę do 20 czerwca włącznie – i bardzo mi zależy, żeby Drogi, Szanowny Pan zechciał (na załączonej pocztówce – tylko nazwiska brak w adresie) mi napisać dwa zdania: (1) czy dostał Pan mój list polecone z kserokopią i obecny *express* oraz czy te wiadomości Szanownemu Państwu wystarczą (jeśli nie – proszę się dopomnieć!); (2) czy wybaczyli mi Szanowni Państwo to skandaliczne zaniedbanie... Dopiero wtedy poczuję ulgę. Poczta działa, jak wiemy, kiepsko; więc tę pocztówkę (przepraszam za tę śmiałość) posyłam jako prawie gotową odpowiedź, żeby Szanowny Pan miał jak najmniej kłopotu. Tylko dlatego!

Ukłony najgłębsze przesyłam Szanownej Mamie Pana; ja też gromadzę pamiątnikarskie zapiski.

Andrzej Sieczkowski.

10. Antoni Jadacki (jun.)

Zapiski do pamiętnika

1.

Urodziłem się na Kurpiach, w Czarni koło Myszyńca, 15 listopada 1909 roku o godzinie 22. Mieszkaliśmy w drewnianej organistówce; wewnątrz był stół, łóżko, lampa naftowa i niebieski pleciony wózek – kupiony w Ostrołęce.

Chrzcił mnie miejscowy proboszcz, ks. Władysław Guzowski. Ojciec mój, Antoni, był w Czarni organistą. Matkę, Walerię z Pysznych, poznał na odpuszcie w Czarni. Sprzedawała wędliny własnego wyrobu. Przez pewien czas piastunką była ciotka Genowefa. Nie trwało to długo, gdyż ciotka, przy wsparciu finansowym matki i ks. Guzowskiego, wyjechała wkrótce do Ameryki. Tam wyszła za mąż za Władysława Tytkę, pochodzącego z okolic Bydgoszczy, i już pozostała w Stanach Zjednoczonych na zawsze.

Z tamtych lat utkwily mi w pamięci dwa „ptasie” obrazki. Jeden, jak biję różgą pisklęta, które spadły z dzwonnicy; dlaczego to robiłem – nie pamiętam. Drugi, jak nie mogę się nadziwić żurawiovi, który przechadzał się dostojnie po cmentarzu przykościelnym. Jak się okazało wychowano go na plebani.

2.

Nastał rok 1914. Przez Czarnię, w kierunku Prus, przeciągały wojska carskie: świetnie umundurowana konnica kozacka i piechota. Zaczęło się nękanie mieszkańców nadgranicznych miejscowości przez patrole niemieckie i rosyjskie. Dały się nam porządnie we znaki. Szukano szpiegów przeciwnika. Rodzice – wraz z innymi mieszkańcami Czarni – postanowili ją opuścić (ale miejscowy ksiądz został), tym bardziej, że Rosjanie rozpuszczali pogłoski o tym, że Niemcy mordują napotkanych mężczyzn. Namawiali: „Удирайте в матушку-Россию!” Rzeczywiście w okolicy zdarzały się podejrzane zabójstwa.

Kierowaliśmy się przez Łomżę do stacji kolejowej w Czyżewie. Stąd – jak później mówiła mi matka – mieliśmy wyjechać w głąb Rosji.

Kolej przechodząca przez Czerwony Bór była zablokowana. Szedłem z rodzicami, pchając wózek z siostrami: Ireną i Eugenią; tobołki były na wozie. Trasa wiodła przez Myszyniec, Łomżę, Wygodę i Zambrów. W Zambrowie mineliśmy koszarę (gdzie stacjonowało wojsko rosyjskie). Pamiętam budkę strażniczą i rosyjskiego „солдата” z karabinem i bagnietem na „караулю”. W Czyżewie zatrzymaliśmy się na skraju lasu, przed torami kolejowymi, żeby przygotować posiłek (składający się z kaszy). Z lasu wyjechał rosyjski wojskowy i zaczął rozmawiać z ojcem. W pewnej chwili na prawo od toru zauważyłem kłębówisko kurzu i wyłaniające się z niego kolumny żołnierzy. „Tato, wojsko!” – zawołałem. Rosjanin przyłożył do oczu lornetkę. „Германцы идут” – wrzasnął i pogalopował w las. Niemcy szli czwórkami i nie zwracali uwagi na uciekinierów. Myśmy zawrócili do Różana i stąd udaliśmy się – przez Małkinię i Brok do Lubiela nad Narwią, gdzie dotarliśmy po kilku postojach. Pamiętam, że ojciec musiał bronić Matki przed «zalotami» żołnierzy rosyjskich.

Miejscowy organista został powołany do wojska. Ojciec objął jego stanowiska i pozostał na nim do czasu powrotu poprzednika.

3.

W Lubielu, 18 grudnia 1914 roku urodził się Mieczysław. Było z nim wiele kłopotów. Bardzo lubił kąpiel, ale po kąpieli strasznie płakał. Dostawał tak silnych spazmów, że w końcu nabawił się przepukliny.

Po opuszczeniu Lubiela mieszkaliśmy przez jakiś czas w porzucenym poniemieckim domu. Ostatecznie przenieśliśmy się do Broku nad Bugiem, gdzie byliśmy do 1926 roku. W Lubielu 16 listopada 1916 roku urodził się Zygmunt. On także – podobnie jak Mietek – był źródłem wielu zgryzot. Zachorował na „angielską chorobę” (krzywicę). Wyglądał strasznie: duża główka, rozdęty brzusek, rączki i nóżki – skóra i kości. Podobno przyczyna tkwiła w tym, że matka w czasie karmienia go była już w kolejnej ciąży. Za radą niemieckiego lekarza („*Andere Mutter – gut*”) rodzice sprowadzili mu mamkę, pannę Koleskę z Brzostowej. Dzięki jej mleku Zygmunt ozdrowiał.

W 1917 roku urodziła się Janina: piękna, niebieskooka blondyneczka. Żyła tylko dwa lata. Zmarła na jakąś chorobę żołądka. Pamiętam, że często robiono jej lewatywę.

Pamiętam taki obrazek z Broku z 1917 roku. Mielemy z Mamą żyto w żarnach. Przychodzi niemiecki żandarm i powiada: „Masło jest – kręcić jest; masło ni ma – kręcić ni ma!”. Cóż było robić: Mama dała mu osełkę masła.

4.

W 1918 roku chodziłem przez dwa lata do szkoły, która mieściła się w drewnianym domu na Starym Mieście; były tam wynajęte sale lekcyjne. Drugi rynek był przed Pałacem Biskupim; kościół znajdował się na Nowym Mieście. W szkole, w której się uczyłem, nauczycielem był p. Piotr Grabowski. Nosił bródkę i dlatego nazywaliśmy go „Kozia Broda”, przedrzeźniając: „Me-me-me”. Trzeba przyznać, że dokuczaliśmy mu bardzo, strzelając w czasie lekcji z piór i ziemniaków. Nie pomagała dyscyplina: kozia nóżka z pięcioma skórzanymi trokami.

Później szkołę przeniesiono na ulicę Spokojną; tam moim nauczycielem był p. Klimek.

Wakacje po ukończeniu czteroklasówki spędziłem na korepetycjach z polskiego, matematyki i niemieckiego. Pobierałem je u jakiegoś studenta.

W 1920 roku widziałem wojska sowieckie idące kupą na Warszawę i wracające z wyprawy: tylko Kozacy ubrani byli przyzwoicie; reszta – łachmaniarze z... kijami. Uciekliśmy przed nimi do Sadownego; ale po kilku dniach wróciliśmy – kłódkami na zwalonym moście.

Po odrzuceniu inwazji bolszewickiej przez nasze wojska złożyłem egzamin do pierwszej klasy gimnazjum w Ostrowi Mazowieckiej. Pamiętam jedno zdanie z dyktanda: „Brzoza ma białą korę”. Pamiętam także, że wielkie wrażenie zrobiły na mnie obchody 3-maja w 1925 roku, podczas których przemawiał ks. Józef Śniegocki, prefekt, i mój starszy kolega, Jan Podbielski (o czym była wzmianka nawet w łomżyńskim *Życiu i Pracy*).

W Ostroji mieszkalem na stacji przy ul. Kościuszki (Rodzice płacili za nią zbożem), a potem przy ul. Małkińskiej – koło Gimnazjum (w drewnianym budynku do dziś istniejącym) Wakacje spędzałem w Broku.

Gimnazjum było szkołą sejmikową. Dyrektorem był fizyk – profesor Sianożęcki. Czesne Rodzice opłacali (podobnie jak stancję) zbo-

żem. Czesne – od października do czerwca – wynosiło 55 zł miesięcznie, co był równowartością ok. 5 metrów (czyli kwintali) żyta.

Na samym początku nauki zapadłem na malarię. Nabawiłem się jej prawdopodobnie łowiąc ryby nad Jeziorem Głuchym w Bajanach. Wybrałem się tam któregoś letniego dnia z kolegami Marczykami. Połów był słaby, ale za to bardzo pokąsały mnie widliszki, zarażone pewnie malarią przez przechodzące tędy wojska ze Wschodu. Kiedy wieczorem zbliżaliśmy się do domu Marczyków, ktoś mnie uprzedził: „Tata czeka!”. Rzeczywiście, matka zaniepokojona, że nie wracam na obiad, wysłała po mnie ojca. Na miejscu odbyła się „egzekucja wstępna”, kontynuowana przez całą ulicę Spokojną. Kiedy po paru dniach dostałem pierwszego napadu, rodzice przerazili się, sądząc, że to reakcja na baty ojca. Niestety lekarze nie postawili właściwej diagnozy i leczyli mnie na serce. Po kilku miesiącach byłem w stanie beznadziejnym. Z trudnością jadłem. Działła od gorączki krwawiły. Straciłem ochotę do życia. Uratowała mnie „babka” z Czuraja, która zobaczywszy mnie orzekła: „Toć to go frybra męcy”. Ojciec zatelefonował do powiatowego lekarza z Ostrowi, dra Szakowskiego, który przepisał 12 proszków chininy. Po 9 proszkach „frybra” została opanowana. Ataki dreszczy i gorączka ustały.

Za czasów proboszcza ks. Józefa Ciesielskiego przeszedłem jeszcze tyfus brzuszny.

Choroby sprawiły, że nauka szła mi z trudem. Ale dobrnąłem jakoś do szóstej klasy; ukończyłem ją w 1929 roku.

5.

W gimnazjum był chór – prowadzony przez siostrę profesora Ormezowskiego; można jednak było zamiast chóru wybrać rysunki lub roboty. Ja chodziłem na lekcje rysunku – prowadzone często w terenie przez samego Ormezowskiego. Z moich kolegów dobrze malował Hepke, Wiśniewski i starzy od nas kolega – Winogradów.

6.

Z czasów gimnazjalnych najżywiej pamiętam pięć zdarzeń: jedno zabawne, jedno przykre, jedno śmieszno-straszne i dwa smutne. .

Pierwsze zdarzenie – zabawne – miało miejsce na lekcji łaciny. Profesor Topoliński tłumaczył fragment jakiegoś tekstu, chodząc po

klasie tam i z powrotem. W pewnej chwili potknął się i powiedział rozdrażniony: „Co mi tam rzucacie pod nogi jakąś szmatę”. Sięgnął po nią, podniósł i dopiero wtedy (był krótkowidzem) spostrzegł, że to jego własny krawat. Odwrócił się i dyskretnie zawiązał go na koszuli. Z trudem tłumiliśmy śmiech.

Drugie zdarzenie – przykre – było związane z lekcją matematyki, którą w zastępstwie prowadził dyrektor Sianożęcki. Przy tablicy rozwiązuje zadanie. W pewnej chwili dyrektor mówi: „Jadacki, Mojżesz lepiej by to wymyślił!” – i to mnie ostatecznie załamało. Dyrektor poprosił do tablicy Hepkego, syna dyrektora banku w Ostrowi (Niemca z pochodzenia), kolegi profesora Sianożęckiego od kart. Kiedy temu także nie wychodziło, dyrektor mu zaczął pomagać – i ostatecznie Hepke dostał pozytywną ocenę.

Trzecie zdarzenie – dotyczyło, jak pierwsze, profesora Topolińskiego – było początkowo śmieszne, ale zakończenie miało straszne. Podczas lekcji łaciny profesor tłumaczył Cezara – rzecz o walce z Helwetami. W pewnej chwili mówi: „Wyszły dwa księżycy na niebo. Wojska się rozstawiły. Zaczęła się walka.” Ze zdumieniem spojrzeliśmy po sobie. Tymczasem profesor podszedł do jednego z kolegów i poprosił, by ten sprowadził dorożkę. Następnie wziął dziennik i wyszedł. Usłyszeliśmy, jak w pokoju nauczycielskim zaczął wydawać... ostre rozkazy. Dorożka nadjechała i odwiozła go do domu. Tam wystawił na ganek fotel; żonie i dzieciom nakazał spokój i zapowiedział, że przyjedzie do niego minister. Wkrótce potem odwiedziono go do szpitala. Zmarł w Tworkach.

Czwarte zdarzenie, które zapamiętałem, było smutne. Uczniom gimnazjum urządzano wycieczki do pobliskiej Puszczy Białej. Kiedyś – po takiej wycieczce – była lekcja polskiego, prowadzona przez profesorkę Iglikowską. Chciałem wyjść – bo zakręciło mi się w głowie i opadły mnie mdłości; ale nauczycielka nie pozwoliła. Wtedy – zwymiotowałem.

Piąte zdarzenie było jeszcze smutniejsze. Któregoś zimowego dnia poszedłem na łyżwy na staw w Ostrowi. Zabawialiśmy się skokami przez przerebėl. Jeden z tych skoków zakończył się tym, że wylądowałem twarzą na lodzie. Koledzy podnieśli mnie i odprowadzili na

stancję. Po paru dniach w prawym oku pokazała się krew. Przeżyłem straszne chwile. Warszawski lekarz, dr Koziorowski, stwierdził rozrzedzenie i odklejenie się siatkówki oraz pęknięcie naczyń w oku. Zalecił przerwanie nauki.

W ten sposób rozstałem się z gimnazjum.

7.

W tym czasie ojciec otrzymał pracę w Brańszczyku, u dawnego znajomego, ks. Wacława Wacławskiego. Ojciec uradził z organistą z Sadownego, Franciszkiem Szabelskim (ojcem Bolesława, kompozytora), żeby wysłać mnie do konserwatorium w Warszawie.

Po paru miesiącach rekonwalescencji złożyłem pomyślnie egzamin do klasy organowej Wyższej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Szkoła mieściła się w budynku Filharmonii Narodowej przy ul. Sienkiewicza – na górze; wejście było od strony księgarni Gebethnera i Wolfa. Szkoła miała 12-głosowe organy; ćwiczenie na nich nazywano „egzercytowaniem”.

Wśród wykładowców byli: Furmanik (teoria i harmonia), Kołakowski (solfeż i śpiew gregoriański), Łysakowski (organy) i Wiechowski (poza organami – fisharmonia i fortepian, oraz chór, dyrygentura i kontrapunkt dodatkowy). Instrumentoznawstwa (które było przedmiotem dodatkowym) uczył jakiś wojskowy, a liturgii i łaciny kościelnej – jakiś ksiądz (który – nawiasem mówiąc – już wtedy zapowiadał wprowadzenie języka polskiego do liturgii).

Z przedmiotami praktycznymi nie miałem kłopotu. Gry na fortepianie i organach zacząłem uczyć się już w dzieciństwie – u ojca, który miał dyplom muzyczny III stopnia. Miałem też pewną zaprawę w zakresie gry skrzypcowej. Pewnego dnia bowiem ojciec powiedział: „W domu są skrzypce. Może chciałbyś się na nich uczyć? A nuż kiedyś ci się to przyda?” W ten sposób w gimnazjum stałem się uczniem profesora rysunku, p. Leona Ormezowskiego, który pięknie grał na skrzypcach. Pod jego kierunkiem przegrałem całą *Szkolę* Henninga.

Rodzice w czasie moich studiów poważnie zaniemogli. Ojciec dostał odmy płuc i zaczął głuchnąć. Matce dawały się we znaki serce, wątroba i nerki. Brakowało pieniędzy.

8.

Do Wyższej Szkoły Muzycznej początkowo dojeżdżałem rowerem do Wyszkowa, a stamtąd pociągiem do Warszawy. Zimą mieszkalem w Warszawie u kuzynów Piszewskich (bodajże przy ul. Wspólnej). Obiady jadałem prywatnie – na Powiślu, pod Mostem Poniatowskiego. Obiad składał się z zupy z mięsem (lub burakami) chleba i cienkiego kompotu.

Później wynająłem pokój w Wyszkanie, ustawiłem fortepian z głuchym pedałem i tak dokończyłem studiów.

Z czasów studiów warszawskich zapamiętałem trzy zdarzenia.

Kiedys, w 1933 roku, szedłem przez plac Teatralny i zaczepił mnie człowiek w wieku około 50 lat – ze skrzypcami w rękę – pytając, czy rozumiem po francusku. „*Je comprends un peu*” – odpowiadam. „*Je demande quelques centimes. Je suis violoniste*” – mówi nieznajomy. Wyciągnąłem ostatnią złotówkę i mu dałem. Powiedział: „*Merci*” – i oddalił się. Do dzisiejszego dnia odczuwam przyjemność, że podzieliłem się z nim ostatnim groszem.

Ale innym razem musiałem się ostatnim groszem nie tyle podzielić, co ostatni grosz oddać. Kiedys spieszyłem się na «egzercytowanie» w sali ćwiczeniowej i z Dworca Wileńskiego i pobiegłem na przełaj do tramwaju *M* przy ul. Strzeleckiej. Niestety tramwaj uciekł, a ja musiałem zapłacić policjantowi mandat – 50 groszy, które miałem na obiad.

Trzecie zdarzenie związane było z egzaminem końcowym. Miałem sobie z tej okazji uszyć nowy garnitur. Kupiłem materiał i dałem go Eugeniuszowi Turkowi, który miał go zawieźć na przechowanie do Wyszkowa, skąd chciałem go zabrać do Brańszczyka. Niestety Turek, kupując nuty, zostawił przez nieuwagę materiał na żydowskim wózku na Pradze (na przedłużeniu Kierbedzia). I musiałem zdawać w starym ubraniu.

Podczas studiów nie miałem wiele czasu na życie towarzyskie. Zaprzyjaźniłem się właściwie tylko z Kazimierzem Tauterem z Wyszkowa, który studiował na wydziale nauczycielskim i uczył się grać na trąbce w konserwatorium na Tamce. Był tam najlepszy w klasie organowej. Później – zaraz po wojnie – uczył przez pewien czas w jednej ze średnich szkół muzycznych w Warszawie.

9.

Kilka przygód miałem w czasie ostatniego roku studiów.

Pewnego wieczora wracałem z Wyszkowa. Kiedy przejeżdżałem przez Trzciankę, rzuciła się na mnie zgraja psów. Postanowiłem więc skrócić sobie drogę i pojechałem na przełaj, przez pole, ścieżkami i miedzami. Zjawiła się mgła, zaczął rosić drobny deszczyk. Straciłem orientację. Zapadła noc. Długo błądziłem po różnych wertepach, aż dostrzegłem w dali ciemną ścianę drzew. Po chwili uderzyłem kołem w mur cmentarny. Obszedłem go i nagle zobaczyłem, jak jakaś dziwna postać, stojąca koła bramy cmentarnej, kiwa do mnie miarowo. Włosy stanęły mi na głowie, pot wystąpił na czoło. Dopiero kiedy usłyszałem parsknięcie, zrozumiałem, że to nie żaden duch, tylko jakiś koń macha ogonem. Wkrótce byłem w domu.

Innym razem u swojej gospodyni w Wyszkanie zastałem nieznaną elegancką brunetkę. Na moje pozdrowienie odpowiedziała ze spuszczonej oczyma. Był rok 1933. Waśnie ćwiczyłem do egzaminu toccatę op. 29 Callaerts z Antwerpii. Panna wchodzi do mego pokoju i prosi, żebym zagrał coś ciekawszego. Zmieniam repertuar na romanse: „Białej akacji kwiat”, „Przy kominku”, „Kącik”, „Zapomnij, że ciebie kiedys pokochałem”. Dziewczyna się rozmarzyła... Siada mi na kolana... Spoglądam w aksamitne oczy... I dopiero wtedy okazało się, że ma strasznego zezę... Wymówiłem się szybko egzaminem, który istotnie miałem mieć o 14.

Nawiasem mówiąc, na egzaminie końcowym w skład komisji wchodził Adam Wieniawski. Grałem na organach toccatę Kellera, *Meditation*, fantazję Graberta, fantazję-fugato op. 18 Licheya oraz gamy pasażowe; czytałem też *a vista*. W toccacie opuściłem dwa takty – i dostałem tylko 3,5 z gry organowej; pewnie z powodu przygody z zezowatą brunetką. W czasie egzaminu ze śpiewu wykonałem początek hymnu *na nonę*. Kiedy wyznałem, że nie rozumiem ostatniej strofy: „Witaj zegarze – w którym nazad jest cofnione – Słońce – dziesięć linii – gdy Słowo Wcielone”, zapanowała konsternacja. Na egzaminie z liturgii Kołakowski zapytał mnie, co jest po „*se libera nos a malo*” („ale nas zbaw ode złego”), odpowiedziałem: „*Amen*” – i otrzymałem 4,5.

Trzecia przygoda – to było moje ostatnie spotkanie z proboszczem w Brańszczyku. Od czasu, kiedy ojciec ogłuchł do chwili uzyskania przez niego renty zastępowałem go często w obowiązkach organisty. Ranna msza żałobna. Na katafalku nieboszczyk. Ubieram w zakrystii celebransa i widzę, że jest jakiś zły: piętami obciaga albę, coś mu się nie podoba w tym, co robię. Po mszy zabieram z zakrystii kapelusz i laskę, a przy katafalku ksiądz daje mi jeszcze kancjonał i krzyżyk, i mimo że obok jest kościelny i czterech ministrantów, mam swój kancjonał i czapkę. Śpiewam z celebransem „*In Pa-ra-di...*” Nagle ksiądz przerywa. Kontynuuję psalm nie dzieląc go na sylaby. Słyszę: „Złe śpiewasz!” „Tak mnie uczą” – odpowiadam. „To źle uczą” – on na to. Na cmentarzu odśpiewaliśmy wspólnie „*Salve Regina*” i resztę responsoriów. Podchodzimy do furmanki. Proboszcz siada na całym tylnym siedzeniu. Próbuje usiąść z furmanem. Proboszcz każe siadać z tyłu, na dennicy. „Przyszedłem z ks. proboszczem i chcę razem wrócić” – mówię podenerwowany. Proboszcz na to: „Osły i barany”. Ja: „Wlażłem między osły i barany i sam jednym z nich zostałem”. Położyłem kancjonały i szaty liturgiczne na furmance i poszedłem do domu. Czy dobrze postąpiłem? Muszę przyznać, że proboszcze miewał odruchy życzliwości. Ale poważnie o mnie nie myślał. Miał na miejsce ojca swego wychowanka, syna kościelnego Stuszyńskiego.

10.

Jeszcze przed ukończeniem Szkoły prowadziłem chór kościelny, a ponadto z pewnym alumnem teatrzyk w Stowarzyszeniu Młodzieży Katolickiej (malowałem dekoracje do przedstawień).

Potem zacząłem się rozglądać za stałą pracą. W sierpniu 1933 roku przeczytałem w *Gazecie Świątecznej* o tym, że jest do objęcia posada w Konarach nad Pilicą. Warunek postawiony przez proboszcza był: przywieźć ze sobą fortepian. Profesor Furmanik, organista u św. Aleksandra, odradzał mi przyjęcie oferty, ale go nie posłuchałem. Pojechałem do Konar – przewózka fortepianu kosztowała 500 zł. Żeby odciążyć ojca zabrałem ze sobą Zygmunta, który także zaprawiał się do muzyki. Na życzenia proboszcza zabrałem ze sobą fortepian. Zupełnie niepotrzebnie, bo w sali do nauki śpiewu stała piękna fisharmonia. Instru-

ment miał być – jak się później domyśliłem – czymś w rodzaju poręki. Od razu zabrałem się do założenia trzygłosowego chóru żeńskiego; młodzież garnęła się do śpiewu.

Okazało się jednak, że proboszczowi potrzebny jest raczej... ktoś do prowadzenia pasieki i zastępowania kościelnego. Ksiądz miał 20 ha ziemi ornej i zatrudniał kościelnego przy pracach polowych. Ja musiałem więc wyręczać kościelnego w jego parafialnych obowiązkach. Poza tym trzeba było jeszcze pomagać przy pracy w pasiece, często o głodzie, bo miałem pół godziny na przygotowanie i spożycie posiłku.

No a przede wszystkim proboszcz wtrącał się do mojej gry.

Wytrzymałem tylko dwa miesiące; w końcu października zrezygnowałem z posady i z bratem wróciłem do rodziców. Po drodze zatrzymałem się u Piszewskich w Warszawie; fortepian przewieźli mi za darmo ogrodnicy, dzierżawiący ogrody w okolicy.

11.

Ojciec po przejściu na rentę (66 zł miesięcznie) przeniósł się z rodziną do Ostrowi. Dostałem tam pracę jako pomocnik organisty, którym był 75-letni p. Bogacki. Do moich obowiązków należała gra na codziennych mszach śpiewanych, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, konduktach i ślubach. Za to zostawałem 17 zł miesięcznie, codzienne utrzymanie i nocleg.

W Stowarzyszeniu Młodzieży Katolickiej prowadziłem chór mieszany. Śpiewaliśmy pieśni kościelne, ludowe i patriotyczne. Proboszczem był wtedy ks. Józef Ciesielski, prefektem ks. Józef Biernacki, wikariuszem najpierw ks. Józef Janiak, a później ks. Czesław Roszkowski.

Uczyłem także parę osób gry na fortepianie. Jednym z moich uczniów był syn młynarza, p. Kacjana. Miał on zwyczaj kiwać się przy instrumencie. Pamiętam, że kiedy zwróciłem mu uwagę, aby starał się od tego odzwyczaić, bo będą się z niego śmiać, odparł: „Nu, niech się śmieją, abym ja dobrze grał”. Moją uczennicą była także Halina Winogradów, córka krawcowej, która za to uczyła siostrę Eugenię szycia.

W Ostrowi nie zaniedbywałem też własnej gry. Wiedziano o moich umiejętnościach i kiedyś zaproszono mnie do lekarza Milewskie-

go, abym zaakompaniował do *Ave Maria* Bacha-Gounoda. Przyjechała bowiem na ślub córki lekarza primadonna Opery Warszawskiej – żona jakiegoś senatora. Na próbie wszystko poszło dobrze. Ale w czasie ceremonii, po moim wprowadzeniu – solistka zaczęła o tercję wyżej: zamiast *a* zaśpiewała *c*. Struchlałem – ale natychmiast poddałem jej na drugiej klawiaturze właściwy dźwięk. Ona go podchwyciła i wszystko skończyło się dobrze.

Mimo to pani senatorowa pożegnała się ze mną dość chłodno.

Miałem też na koncie pewien sukces literacki: ok. 1933 roku opublikowałem w *Przeglądzie Katolickim* (wychodzącym w Ostrowi Mazowieckiej) kilka wierszy – w tym „Mogile powstańca”.

12.

W 1936 roku z rekomendacji ks. Roszkowskiego (prefekta z Ostrowi Mazowieckiej) otrzymałem posadę w Piekutach Nowych. O tej posadzie dał mi znać Marcel Modzelewski z Gut, krewny proboszcza z Piekut, ks. Rocha Modzelewskiego. Ks. Modzelewski spotkał się najpierw ze mną na herbatce w karczmie u Żyda, w Szepietowie.

W Piekutach przydała mi się praktyka ostrowska. Od razu zabrałem się do pracy chóralnej i teatralnej. Wystawiliśmy w Piekutach *Gwiazdę Syberii* i *Boginię Asztarte*. Jeździłem z proboszczem po wsiach na spotkania z młodzieżą. Ze skrzypcami w ręku starałem się ją rozśpiewać.

Wkrótce umarła matka. Przyjechałem rano do Ostrowi na pogrzeb. Do 13 godziny zeszło mi na formalnościach pogrzebowych. W Ostrowi miałem sympatię. Kiedy się z nią tego dnia zobaczyłem, zamiast współczucia spotkały mnie wymówki. W ten sposób nasze drogi rozeszły się na zawsze.

Po jakimś czasie zabrałem ojca z siostrami do Piekut. Irenę próbowałem jeszcze w Ostrowi wydać za mąż. Dałem jej nawet 450 zł na wyprawę, ale nic z tego nie wyszło. W Piekutach krótko był z nami także Zygmunt. Mieczysław był wówczas w wojsku.

13.

W Piekutach poznałem siostrę cioteczną proboszcza, Annę. Spodobał się nam. Proboszcz, kiedy to w końcu zauważył, postawił ulti-

matum: „Jeśli panna Hanna zechce wyjść za mnie, to wyjdzie” – taka była moja reakcja.

Po półtorarocznym pobycie w Piekutach dostałem wymówienie: od lipca 1937 roku. Podobno ks. Modzelewski miał powiedzieć do rodziny: „Przez Haneczkę straciłem dobrego człowieka”...

Dzięki jednej z moich śpiewaczek, Janinie Sasinowskiej, która miała rodzinę w lubelskim, dostałem w połowie grudnia posadę w Mełgwi. Proboszcz ks. kanonik Józef Żyszkiewicz postawił jeden warunek; albo zostanę tercjarzem, albo się ożenię. 27 grudnia w Puchałach wziąłem ślub z Anną Modzelewską.

Po Trzech Królach zabrałem żonę i ojca do Mełgwi. Były co prawda pewne trudności ze strony Lubelskiego Związku Organistów: pochodziłem z innej diecezji. Ks. Żyszkiewicz postawił zdecydowanie sprawę u biskupa: „Ja jestem gospodarzem w parafii i ja doбираю sobie współpracowników”. Ale ostrzegł mnie, że kiedy jego zabraknie, pracować w Mełgwi nie będę.

14.

Starałem się pokazać, że jestem dobrym współpracownikiem. Zorganizowałem czterogłosowy chór mieszany. Zaskarbiłem sobie uznanie u wikarych: ks. Wacława Zalewskiego i ks. Edwarda Cakały. Zostałem skarbnikiem miejscowej spółdzielni, przeszedłszy kurs u znajomego księgowego w Ostrowi. Przy jego pomocy zatrudniłem w sklepie spółdzielczym Eugenię. Kiedy jeden ze sprzedawców zrobił duże manko, księża, jako założyciele spółdzielni, zaproponowali żonie, żeby go zastąpiła. Żona poza obowiązkami domowymi pomagała mi jeszcze w kancelarii. A obowiązków domowych było dużo. 28 listopada 1938 roku urodziła się Bożena.

Trudno było jednak odmówić: chodziło o kapłański prestiż. Pracy było wiele, ale i dochody niemałe.

15.

Nie nacieszyliśmy się jednak długo szczęściem. Przyszedł rok 1939. W sierpniu przyjechała z Piekut Honorata, siostra żony; podobno było jej źle u ks. Modzelewskiego. Zgodziliśmy się, żeby została u nas na pewien czas. Ojciec tymczasem zatęsknił do Ostrowi i mimo moich

perswazji wyjechał. Zaproponowałem wtedy, żeby zamieszkał u nas Mieczysław i dojeżdżał do lubelskiego Pedagogium. Tak też się stało, ale niestety po pewnym czasie Mieczysław zrezygnował z nauki. Dzięki protekcji znajomego senatora załatwiłem mu praktykę na poczcie w Minkowicach. W Mełgwi przebywał także Zygmunt. Posłałem go na naukę do profesora muzyki i dyrektora prywatnej szkoły w Lublinie, p. Koszowskiego. Po roku wyjechał do Myszyńca na pomocnika organisty – Jana Lebiody.

Wybuchła wojna.

Mieczysława zmobilizowano. Jako jeniec dostał się do obozu w Częstochowie, ale szybko stamtąd uciekł. W Mełgwi poznał Honorę, pokochali się i wkrótce zawarli związek małżeński. Zygmunt także się ożenił z mełgiewianką, Zofią Kosmała. Żona – żeby ułatwić Honorce i Mieczysławowi wejście w życie – przekazała im prowadzenie sklepu.

Ja w tym okresie miałem ręce pełne roboty. Uczyłem na fortepianie kilka osób: Piotra Dmowskiego, Stanisława Pilińskiego, Leona Błażejka, dra Lisowskiego z córkami-bliźniętami. Parałem się fotografią: robiłem zdjęcia dowodowe, ślubne i pogrzebowe. Wydawałem też fałszywe metryki Żydom i wojskowym, aby ratować ich od prześladowań i ułatwić wyjazd do Niemiec. Zaraz na początku okupacji zorganizowałem wypiek chleba dla ludzi (m.in. żołnierzy) uciekających na Wschód, ponieważ handel był sparaliżowany. Dostałem mąkę z młyna w Krępcach; jeden z uciekinierów – piekarz z zawodu – zgodził się robić wypiek w sklepowym piekarniku. Nie trwało to jednak długo: po kilku tygodniach zrezygnowałem, gdyż mieszkańcy Mełgwi zaczęli przeciwnie mnie intrygować (że niby robię na tym interes).

Życie okupacyjne płynęło w strachu przed wpadką, przed łapaną, przez napad rabunkowy... No i przed bezczelnością Niemców. Oto sprzedajemy z żoną w sklepie. Wpada Niemiec: „Masło jest?” – pyta. Żona mówi: „Nie ma”. Niemiec wyjmie pistolet i pyta ponownie: „Masło jest?”. Podpowiadam żonie, że mała kostka masła jest pod ladą. Niemiec, otrzymawszy kostkę rozchmurza się; zabiera także inne produkty, wypisuje kwit – i wychodzi.

Nic dziwnego, że trzeba było ciągle się ukrywać: to pod dachem kościoła, to w sąsiednich folwarkach p. hr. Rulikowskiego, właściciela Podzamcza.

W czasie jednej z obław, w dzień Wielkanocy 1944 roku, zostałem schwytany przez Niemców wraz z kilkudziesięcioma osobami, ukrywającymi się w podziemiach mełgiewskiego kościoła. Osadzono nas w więzieniu na Zamku Lubelskim. Na szczęście ostatniego czwartku maja, dzięki nadzwyczajnemu spłotowi okoliczności, zostałem zwolniony. (Historię tę opisuję w oddzielnym wspomnieniu.)

16.

W rok później, podczas Powstania, w szpitalu warszawskim, gdzie był operowany na prostatę, zmarł na czerwone ks. Żyszkiewicz. Niebawem przypomniał sobie o mnie Związek Organistów i trzeba się było rozstać z Mełgwią.

Do dziś mam w uszach słowa, który wypowiedziała na odchodnym nasza sąsiadka, Żydówka: „Hitler zginie, a my będziemy rozmnażać się jak pył. Po nas i wy zginiecie. Żegnajcie.”

Przenieśliśmy się do Puchaczowa, gdzie proboszczami byli kolejno ks. Józef Halliop i ks. Jan Bogudziński. Obu, a zwłaszcza ks. Bogudzińskiego, wspominam z serdecznością. W ogóle ludzie tu byli życzliwi i chętni do pracy. U miejscowego majstra „od wszystkiego” znalazłem kantatę wielkanocną *Dokonali ludzie swego, zabili sprawiedliwego* na głos solo i chór mieszany, którą ten odpisał od poprzedniego organisty. Przygotowaliśmy ją i wypadła wspaniale.

W Puchaczowie wykorzystałem swoje umiejętności malarskie i odnowiłem postacie świętych na transparentach procesjonalnych. Poza chórem kościelnym miałem tu także chór szkolny; w szkole podstawowej uczyłem poza tym śpiewu.

W 1946 roku urodził się Jacek.

17.

Po czterech latach przenieśliśmy się do Rajgrodu. Sprowadził mnie tam ks. dziekan Wacław Olender, dawny znajomy, przyjaciel mojej rodziny, z którym współpracował mój brat cioteczny, ks. Władysław Archacki.

Rajgród okazał się miejscowością piękną, otoczoną malowniczymi jeziorami. W kościele były znakomite organy i nareszcie mogłem w

wolnych chwilach grać ambitniejszy repertuar – z Bachem na czele. W szkole podstawowej, której kierowniczką była p. Maria Krajewska, żona mojego kolegi gimnazjalnego Edmunda, prowadziłem zespół muzyczny i chór. Wyjeżdżałem z nimi na przeglądy powiatowe do Grajewa.

Aż nadeszła chwila, kiedy w popisie wziął udział także Jacek, grając *Poloneza* Ogińskiego i akompaniując swojej rówieśniczce do krawiaka...

W Rajgrodzie uczyłem młodzież gry na fortepianie, akordeonie i gitarze. Uczniami moimi byli: Halina Krawczyk, Tadeusz, Antoni i Halina Zalewscy, Eliza Grzybowska, Andrzej Grygo, Jan Prostko, Jan Łojewski, Andrzej Zimiński, Ewa i Halina Miller, Wróblewski, Barbara Blando, Maria i Bogdan Krajewscy (dzieci kierowniczkii szkoły), Mieczysław Brysacz z siostrą, rodzeństwo (brat i siostra) Sokołowsy.

18.

Początkowo mieszkaliśmy z rodziną na plebanii, w trudnych warunkach: w pokoiku z kuchnią. Mieliśmy już wtedy co prawda duży dom. Kupiliśmy go w stanie ruiny za zaoszczędzone pieniądze i remontowaliśmy od kilku lat. Ale stał on daleko od Rajgródu: w Wygodzie koła Zambrowa.

Po paru latach za pieniądze ze spłat rodzinnych od teścia kupiliśmy przy ulicy Piaski drewniany, kryty słomą domek o dwu pokojach i kuchni. Wymagał kapitalnego remontu od podwalin do dachu. Nie miał pieców, brak było tynków i szalunku. Położony był za to pięknie – nad rzeką Jęgrznią i Jeziołem Rajgrodzkim. Ogródek był niewielki, 250 m², ale ziemia urodzajna. Od razu posadziliśmy kilka drzewek owocowych.

Przy pomocy stolarza z Czarnej Wsi powoli doprowadziliśmy domek do stanu używalności.

Tymczasem ks. Olender opuścił Rajgród i wyjechał do Dąbrówki Kościelnej. Na jego miejsce przyszedł ks. Januszewski, były proboszcz z Puchał. Nic nie zapowiadało końca sielanki. Otrzymałem od nowego proboszcza pożyczkę na dokończenie remontu. Ale zarazem zaczęły się eksmisje z pomieszczeń gospodarczych, które użytkowaliśmy. Trzeba się było przeprowadzić do niewykończonego jeszcze mieszkania.

Ktoregoś dnia proboszcza odwiedził ks. Modzelewski i podobno wymógł na nim usunięcie mnie z parafii.

19.

Był listopad 1956 roku. Rozwoziłem właśnie rowerem opłatki po wsi Kozłówka. Zmęczony jazdą po błocie i glinie, stanąłem na jakimś pagórku, podniosłem oczy ku niebu i westchnąłem: „Boże, kiedy mnie wyzwolisz z tej niewoli babilońskiej?”. Nie czekałem długo na wyzwolenie.

W grudni otrzymałem pisemne wymówienie. Przedtem proboszcz zrobił zebranie chóru i zarządził głosowanie: kto jest za tym, żebym został, a kto – przeciw. Przeciw były tylko cztery osoby. Mimo to zaczęły się szykany. Proboszcz nie zapłacił mi za malowanie dekoracji do Grobu Pańskiego; zwrócił mi tylko koszty farb i dykty. Przed wejściem na chór wystawił straż, aby nie wpuszczała tych, którzy chcieliby pod moim kierownictwem śpiewać. Z ambony potępił mnie jako człowieka z gruntu złego. W końcu nawet Jackowi nie pozwolił być ministrantem i kogoś ranka bezceremonialnie wyrzucił go z zakrystii.

Pomimo moich prośb, ks. Januszewski nie zgodził się na to, żebym zamienił się z kimś na miejsca. W kwietniu 1957 roku byłem bez pracy.

Próbowałem szukać sprawiedliwości w kurii łomżyńskiej. Dzięki protekcji ks. Biernackiego zostałem wpuszczony tylnymi drzwiami (front był dla mnie zamknięty) do biblioteki diecezjalnej, do której miał przyjść bp Falkowski. Znał mnie z wizytacji w Rajgrodzie, oglądał moje obrazy, słuchał gry Jacka – więc liczyłem na jakieś względy. Kiedy wszedł do biblioteki, ukloniłem się i pozdrowiłem. Ale biskup obszedł księgozbiór i nawet nie odwrócił głowy w moją stronę. Odczekałem parę minut i ukloniwszy się ponownie wyszedłem. Zrozumiałem, że moje zabiegi są daremne. Rozgoryczony wróciłem do domu.

Ludzie mi nawet współczuli, ale nie mogli nic poradzić.

20.

Jeszcze przed wyjazdem do Łomży, na przystanku autobusowym, spotkałem dawnego nauczyciela ze szkoły rajgrodzkiej, a ówczesnego inspektora z Grajewa, p. Lewickiego, który poradził mi, żebym skorzystał z okazji i przeszedł do pracy w szkolnictwie. Obiecał nawet, że porozmawia o tym w kuratorium. Wątpiłem, żeby przedsięwzięcie się udało, ale po tygodniu otrzymałem wezwanie do Białegostoku.

W kuratorium zainteresowano się przede wszystkim tym, czy gram na skrzypcach. Jakże prorocze były słowa ojca, kiedy zachęcał mnie do nauki u prof. Ormezowskiego w Ostrowi!

Od września rozpocząłem prace w Liceum Pedagogicznym w Augustowie.

W październiku pojawił się na mojej lekcji kierownik kadr z grupą wizytatorów. Miałem szczęście. Klasa składała się z 25 łącznych o dobrych uczennic! Nastroiłem skrzypce i poprowadziłem lekcję. Pod koniec zaproponowałem, żeby naczelnik osobiście włączył się w tok lekcji. Padły pytania. Dziewczęta sprawiły się świetnie. Dzwonek. Wszyscy wstają. Naczelnik podaje mi rękę i oświadcza, że z tą chwilą zostałem mianowany nauczycielem muzyki. W gabinecie dyrektora, p. Ludwika Jaworskiego, podał mi ponownie rękę – tym razem ze słowami: „Skończyła się ewangelia”. Zareplikowałem: „*Deo gratias*”. Dyrektor skomentował: „Przynajmniej jeden wiedział, jak odpowiedzieć”.

Nauczycielski chleb jadłem zawsze, ale teraz zaczęła się moja kariera czysto nauczycielska. Dziękuję Bogu, że mnie wysłuchał w tamten słotny, listopadowy dzień pod Kozłówką!

21.

Praca z młodzieżą pochłonięła mnie całkowicie. Ale też szybko zaczęła przynosić satysfakcję. W kilka miesięcy po przyjęciu mnie do Liceum prof. Jaworski powiedział publicznie: „Praca pana daje rezultaty. Młodzież gra. Słyszeć muzykę w Liceum i w Internacie.”

Starałem się, żeby muzyka dorównywała prestiżem innym przedmiotom – z polskim i matematyką włącznie. Zdaje się, że przełamałem opory i uczniowie mnie polubili. Z pewnym opóźnieniem dowiedziałem się, że przezwano mnie „Bączykiem” i „Szeryfem”. Po latach, jedna z dawnych uczennic wspominała: „Po zamknięciu Liceum Pedagogicznego w Elku przeniosłam się do Augustowa. W pierwszy dzień pobytu w nowym Liceum koleżanki posłały mnie po dziennik dla prof. Bączyka. Dopiero w pokoju nauczycielskim zirytowany prof. Cieśluk pouczył mnie, że chodziło o prof. Jadackiego.”

Uczyłem przyszłych nauczycieli gry na skrzypcach, fortepianie, akordeonie, gitarze i mandolinie. Postarałem się, żeby znalazły się pie-

niądze na zakup instrumentów. Po pewnym czasie zacząłem prowadzić śpiew i chór, a następnie i zespół instrumentalny w Szkole Ćwiczeń (taki zespół zorganizowałem przedtem w Liceum), wreszcie – chór żeński w Liceum Ogólnokształcącym. Z zespołami i chórami brałem udział w imprezach augustowskiego Domu Kultury. Występowaliśmy także z miejscowym teatrem amatorskim. Nie przestałem przy tym uczyć prywatnie gry na fortepianie.

22.

Początkowo dojeżdżałem z Rajgrodu do Augustowa autobusem. Później zamieszkałem u rodziców swoich uczniów: Stanisława i Władysława Łukawskich – przy ulicy Sosnowej, niedaleko Szkoły Ćwiczeń.

Za namową prezesa Białostockiego Towarzystwa Muzycznego założyłem w Augustowie Społeczne Ognisko Muzyczne. Jako sekretarkę zatrudniłem p. Irenę Cudnik. Początkowo warunki były trudne. Stopniowo Ognisko się rozrastało, zwłaszcza w punkcie przy Domu Kultury (za dyrektorstwa p. Larysy Kuźmich). Po latach na bazie Ogniska powstała Szkoła Muzyczna I stopnia.

Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że zyskałem dobrą opinię w całym województwie. Na kursach i odprawach pedagogicznych moi wychowankowie wyrażali się zawsze z uznaniem o mojej pracy.

Kiedyś, w Zambrowie, w Domu Kultury, odbywało się spotkanie instruktorek harcerstwa. Były wśród nich moje dawne wychowanki z Liceum Pedagogicznego w Augustowie. Kiedy dowiedziały się, że jestem w pobliżu, opuściły zebranie, żeby się ze mną zobaczyć. P. dyr. Szumowska, widząc mnie w ich otoczeniu, powiedziała z uśmiechem: „Taki to ma szczęście do dziewczyn”.

23.

Przed likwidacją Liceum Pedagogicznego w Augustowie przeniesiono mnie do Liceum Ogólnokształcącego w Zambrowie. Najpierw dojeżdżałem do obu liceów, a od 1968 roku już tylko do Zambrowa.

W Liceum w Zambrowie poza normalnymi zajęciami lekcyjnymi prowadziłem czterogłosowy chór mieszany i zespół muzyczny. Uzupełnieniem etatu była praca w Szkole Podstawowej w Wygodzie, gdzie przenieśliśmy się sprzedawszy domek w Rajgrodzie.

W 1969 roku założyłem w Zambrowie Społeczne Ognisko Muzyczne pod patronatem dyrektora *Spolem* – p. Eugeniusza Podedwor-nego. Dużo pomogła mi moja dawna uczennica z Rajgrodu, Halina Krawczyk, która została kierowniczką biura Ogniska. Zatrudniłem w nim dawnego ucznia, Mieczysława Brysacza; księgowość prowadziła p. Krystyna Modzelewska.

Ognisko otrzymało trzy punktu: w świetlicy *Orion* Domu Kultury *Relaks*, w Miejsko-Gminnym Domu Kultury i w świetlicy Spółdziel-nie Mieszkaniowej. Podobnie jak w Augustowie – z Ogniska wyrosła Szkoła Muzyczna I stopnia. W 1980 roku zostałem jej pierwszym kie-rownikiem.

Były lata, że Ognisko miało 8 nauczycieli i 50 uczniów. powstawa-ły filie w Grondach-Wonieecku, w Puchałach i Kołakach Kościelnych oraz punkt w Wygodzie. Nauczycielami Ogniska w pierwszej fazie byli poza mną i p. Brysaczem: dwaj moi bracia Mieczysław i Zygmunt, cór-ka moja Bożena Józków, Stefan Kowalik, Kazimierz Zalewski, Mirosław Godlewski, Andrzej Knapkiewicz, Bożena Prosińska, Stanisław Malewski, Kurowicka, Barbara Jakubowicz, Ludwika Gawrychowska, Krzysztof Ługowski, Halina Gawrychowska, Janina Poreda, Edward Piszczatowski i Wiesław Zaniewski.

24.

Od 1977 roku Ognisko przeszło pod opiekę Łomżyńskiego Towa-rzystwa Muzycznego. W 1984 roku przekształciło się w filię Łomżyń-skiego Ogniska Muzycznego (z punktem w Wygodzie). W tym okresie poza mną i braćmi nauczycielami byli: Andrzej Sokołowski, Krzysz-tof Rudziński, Sławomir Długozima, Zbigniew Wiśniewski i Tadeusz Chętnik.

W 1990 roku mieliśmy 39 [33?] uczniów.

Wygoda, Wielkanoc 1991 roku.

11. Antoni (jun.) Jadacki

Z nastrojów miłosnych

Oczarowanie

Urzekłaś mnie dziewczyno
Spojrzeniem oczu swych
I stałaś się przyczyną
Szaleństwa pragnień mych.
 Spojrzenia Twego mocą
 Tak się coś we mnie tli,
 Że ciągle, dniem i nocą,
 Ma dusza Ciebie śni.

Twój obraz stale widzę,
Wpatrzony w srebrną dal.
I nieraz sam się wstydzę,
I tak mi siebie... żal.

Pocałunek

Na Twych ustach purpurowych,
Na Twych ustach koralowych...
Zawisłem w ciszy tej.
Czemu? Zrozumieć chciej.
 Pocałunek ten
 To jak słodki sen,
 Niczym wonie róż.
 Któż zaprzeczy, któż?
Nie zastąpi jego żaru
Nawet boski płyn nektaru;
Słodycz jego i woń
Oszałamia mą skroń...
 I pogrąży w śnie
 Cudne oczy Twe.
 Wybacz, wybacz mi,
 Żem ja znowu dziś

Czar z ust Twoich chciwie spijał
Moja śliczna, moja miła.
Lecz com czynić ja miał,
By ukoić swój szal?

Tęsknota

Tęsknotą jestem dziś spowity
Niby całunem rannej mgły.
Ach! Twoich pieszczot wciąż nie sytym:
Coś mi dolega, coś mi źle.
 Tak to do Ciebie, moja miła,
 Niby do raju ziemskich złud
 Ma dusza bardzo zatęskniła...
 Cóż, kiedy wokół tylko chłód.
Dziś nie ma Ciebie... Ach! Dlaczego?
Wiem! Mówisz: „Dziś będziesz sam!
Dziś nie usłyszysz głosu mego.
Nie będzie mnie ni tu, ni tam.”
 Mym sercem, całym mną się bawi
 Demon jakowyś czarny, zły,
 Co we mnie chce marzenia zdławić...
 Ach! Jak dziś serce szarpie mi!

12. Anna z Modzelewskich Jadacka i Antoni Jadacki (jun.)

Nasze doświadczenia życiowe

AZJ: Miałem kochanych rodziców. Bardzo przeżyłem utratę matki. Tak była nam potrzebna i tak chciała żyć, a umarła mając 52 lata. Żałowałem też ojca, ale on sam przyspieszał swoją śmierć. A do śmierci matki przyczyniliśmy się trochę wszyscy: za mało jej pomagaliśmy – ja także.

Oboje rodzice mieli wady. Ojciec niestety dużo palił i lubił zaglądać do kieliszka. A matka była o niego zazdrosna bez powodu – bo nie uganiał się specjalnie za kobietami, choć na ładną dziewczynę lubił popatrzeć (tak jak i ja lubię – do tej pory). Ale oboje, i ojciec i matka, kochali nas wszystkich, troszczyli się jak umieli najlepiej o warunki naszego życia, o wykształcenie. Inna sprawa, że ojciec nie bardzo miał ochotę uczyć nas gry na fortepianie, choć przecież instrument był w domu; wołał iść sobie na ryby – bo to była jego pasja. A znów matka wyręczała nas nawet w drobnych zajęciach domowych.

AMJ: Według mnie to był raczej błąd wychowawczy: to sprzyjało lenistwu.

Ja tylko do siódmego roku życia wychowywałam się u rodziców; później byłam przez wiele lat – aż do dwudziestego roku życia – pod opieką ciotki i brata-księdza.

Ojca zapamiętałam jako nieczułego na potrzeby swoich dzieci. Pamiętam, że bolał mnie kiedyś bardzo ząb i prosiłam o pieniądze na wizytę u dentysty: odmówił – chyba ze skąpstwa, bo był stosunkowo zamożny. Matka była osobą myślącą i – mam wrażenie, że – chciała swoje dzieci wychować na dobrych ludzi. Nie bardzo się jej to udało. W przeciwieństwie do ojca pochodziła z niezamożnej i niewykształconej rodziny. W domu ojca zastała stryja (tzn. brata ojca) z żoną i babką (tzn. matką ojca). Stryj mawiał, że przyniosła posąg w płachcie. A ojciec kochał tylko ziemię. Ziemia – ziemia – ziemia: każdy grosz składał, żeby jeszcze dokupić chociaż pół morgi. W lesie nie pozwalał wyciąć ani

jednego drzewa; paliliśmy chrustem i jałowcem, na płoty trzeba było szukać takich drzew, które nie nadawały się do tartaku. Wolał zresztą kupić, niż ściąć coś u siebie. Materiał budowlany na dom dla syna Rocha kupił np. z rozbiórki drewnianej wieży ciśnień – „водокачки”, jak u nas z ruska mówiono. A nasz las był dawniej dorodny: w czasie okupacji hitlerowskiej Niemcy wycięli z niego półtora tysiąca sztuk starodrzewu. Reszty dokonali po śmierci ojca synowie – a moi bracia.²⁵

Matka była całkowicie podporządkowana ojcu – a nawet była wykorzystywana przez domowników. Pieniądze ojciec trzymał zawsze przy sobie. Matka musiała ukradkiem sprzedawać kartofle lub żyto Żydowi, żeby zrobić drobne zakupy domowe. Lampę naftową trzeba było maksymalnie przykręcać, żeby oszczędzać naftę. A cukier kupowało się po ćwierć kilograma, bo Żyd dawał przy każdym zakupie „na roz wagę” łyżeczkę cukru; na kilogram wypadały wtedy cztery łyżeczki. Nawet zbyt częste mycie podłogi – a podłogi w naszym domu były drewniane – ojciec uważał za szkodliwe: przecież przez mycie zdzierają się deski! Wyobrażam sobie, jakie to musiało być cierpienie dla matki, która bardzo zawsze dbała o porządek i czystość; to zamiłowanie odziedziczyła po niej zwłaszcza córka Honorata.

²⁵ Przed II Wojną Światową gospodarstwo Dziadka Jana osiągnęło wielkość kilkudziesięciu hektarów – obejmujących grunty orne i łąki (tzw. Modzelską Biel), a także spore obszary leśne. Na szczęście tzw. reforma rolna, przeprowadzona przez władze komunistyczne po II Wojnie Światowej, nie objęła gospodarstwa Dziadka, gdyż powierzchnia jego gruntów ornych nie osiągnęła 50 ha, a poza tym były one porozrzucane w różnych miejscach i tylko Dziadek, a później także jego synowie – wiedzieli, gdzie dokładnie są granice poszczególnych poletek. Zabrano natomiast Dziadkowi obszary leśne: przekazane zostały one za odszkodowaniem na potrzeby poligonu wojskowego rozlokowanego jeszcze w okresie międzywojennym w Czerwonym Borze. Co prawda po pewnym czasie lasy zostały oddane rodzinie, ale spadkobiercy musieli solidarnie zwrócić (w ratach) odszkodowanie – powiększone o arbitralnie przez administrację obliczone „procenty”. Kiedy jednak przyszło do podziału oddanych lasów, okazało się, że warunkiem otrzymania należytą część jest posiadanie wykształcenia rolniczego lub faktyczne uprawianie zawodu rolnika. W ten sposób Matka nasza została „wydziedziczona”. Skądinąd, kiedy mieszkaliśmy w Wygodzie, sprawiało nam pewną satysfakcję, że piękne grzyby, zbierane w Modzelskim Lesie („Modzelaku”), pochodziły z „naszego” lasu, tj. z lasu, który niegdyś należał do Dziadka Jana.

Ojciec był człowiekiem wykształconym. W wojsku carskim spędził 10 lat; wtedy o powołaniu decydowało losowanie: kto dostał białą kartkę, szedł do wojska; kto szarą – nie. W wojsku ojciec jako „dobrze urodzony” miał przydzielonego ordynansa. Wtedy właśnie poznał rosyjski i podobno nauczył się grać na trąbce. Zwiedził też kawał świata: był w Chinach i w Japonii. Nie wiem, dlaczego te doświadczenia tak niewiele go nauczyły.

Ojciec ożenił się po powrocie z wojska i pewnie matkę po swojemu kochał, ale... Matka urodziła mu jedenaścioro dzieci; nie pamiętam, żeby któreś z nich wziął na ręce i pocałował.

Może w tym tkwiła jedna z przyczyn tego, że nikt, absolutnie nikt z rodziny nie okazał się ostatecznie naprawdę mi bliski. Mimo, że kiedyś miałam niektórych krewnych na utrzymaniu – każdy wymagał ode mnie Bóg wie czego, ale sam przychylny nie był. Nikt z nich mojego poświęcenia nie doceniał.

Więcej dobra spotkało mnie od obcych. Na przykład w Augustowie taką życzliwą mi osobą była Felicja Łukawska, u której wynajmowaliśmy mieszkanie. Dzieliła się ze mną wszystkim, jak wiedziała, że to lubię. I zwierzała mi się z rzeczy, o których nie mówiła nawet córce.

Ale więcej w życiu spotkałam ludzi złych.

Ks. Januszewski z Rajgrodu bez żadnym podstaw nie tylko zwolnił Antolka z posady, ale go jeszcze oszkalował – i to z ambony. A syna Jacka, który był wtedy ministrantem, dosłownie przepędził spod ołtarza. Jedyny motywem było zdaje się to, że znaliśmy jego złą przeszłość, a on podejrzewał (zupełnie niesłusznie), że robimy z tego użytek. Moja kuzynka z Francji, Emilia Paskówna, którą podejmowała (wystawnie) w Polsce, nazmyślała o mnie jakichś głupstw i odpowiedziała je w rodzinie. Skrzywdził mnie, obmówił, brat Adam; ten przynajmniej przed śmiercią poprosił mnie o wybaczenie...

Potwierdziło się to, o czym ostrzegała mnie matka: że przyjaciół trudno znaleźć. Niech ci się tylko lepiej powodzi, to już zaczyna się wytwarzać zazdrość, później – zawiść i koniec przyjaźni.

AZJ: W zasadzie ja rodzinę kocham całą. Wiem, że są to na ogół przeciętni ludzie, pod wieloma względami niedoskonali, i dlatego nie oczekuję z ich strony jakichś specjalnych oznak więzi rodzinnej. Przy-

jaciół – z którymi bym dzielił wszystkie troski i radości – nie miałem i nie mam. Staralam się zachowywać pewien dystans wobec kolegów i znajomych.

Ale spotkałem ludzi życzliwych. Takimi byli ks. Józef Żyszkiewicz, ks. Edward Cąkała i ks. Wacław Zalewski z Mełgwi, oraz ks. Jan Bogudziński z Puchaczowa. Później był ks. Wacław Olender z Rajgrodu; nie pamiętam, żeby mi zrobił kiedykolwiek jakąś przykrość – do dzisiejszego dnia utrzymuję z nim kontakt.

AMJ: Życzliwy był dla nas zwłaszcza ks. Zalewski. Kiedyśmy się pobrali, nie mieliśmy zupełnie żadnych sprzętów; i on nam wtedy pierwszy podał rękę i zaopatrzył w najniezbędniejsze rzeczy.

AZJ: W Augustowie pewną dozę życzliwości okazał mi dyrektor mojego liceum pedagogicznego – Ludwik Jaworski. Natomiast naprawdę złych ludzi w życiu nie spotkałem.

AMJ: Antolek zapomniał, jak w Mełgwi podczas okupacji hitlerowskiej znajomy kościelny, Stanisław Śmiech, ukradł nam kozuch i buty, i – przebrawszy się za partyzanta rosyjskiego – groził nam jeszcze śmiercią.

AZJ: To, co powiedziałem o dobrych i złych ludziach, dotyczyło swoich – Polaków. Z obcych – najwięcej stykaliśmy się z Niemcami: szkoda, że podczas wojny, bo to był czas bestialstwa. Niemcy traktowali ludzi jak bydło; widziałem na własne oczy, jak schwytanych i powiązanych partyzantów rzucali do samochodów – jak kłody drewna.

AMJ: W czasie okupacji hitlerowskiej pracowałam w sklepie *Spółem* w Mełgwi. Kiedyś wszedł jakiś umundurowany Niemiec z tłumaczem i chciał kupić jajka i masło. A wtedy te rzeczy się skupowało, ale nie można było sprzedawać; oddawało się je do Lublina i wymieniało na inne towary. Niemiec nie chciał o tym słyszeć i o mało nas po prostu nie zastrzelił. W końcu kazał sobie podać i jajka, i masło, i wiele innych rzeczy, a kiedy mu zapakowałam, powiedział, że rachunek uregułuje później. Nie zrobił tego – do dzisiejszego dnia.

Ale nawet w czasie wojny niektórzy Niemcy zachowywali się przyzwoicie. Pamiętam, że kiedyś do naszego mieszkania wszedł jakiś pułkownik, chyba zresztą Austriak, ze swoim podwładnym; Niemcy chcieli zająć cały dom dla siebie. Kiedy asystujący pułkownikowi żołnierz nie zdjął czapki, oficer z wyraźnym oburzeniem mu ją zrzucił z głowy. Zresztą w końcu pozwolono nam zostać na miejscu, głównie chyba przez względu na małą Bożenkę.

AZJ: Pamiętam, że ten sam oficer, zanim zaczął palić, zapytał, czy wolno.

Kiedyś z Berlina przyjechali do nich artyści. Wtedy pożyczili od nas fortepian, a mnie nawet zaprosili na koncert. Pech chciał, że w fortepianie przechowywałem wojskową latarkę (której używałem do wywoływania zdjęć). W czasie przenoszenia instrumentu – wypadła. Jeden z gestapowców przyniósł mi ją razem z fortepianem. Pomyślałem: Koniec ze mną! Ale on uśmiechnął się, odsalutował i wyszedł.

AMJ: Kiedyś w czasie masowych aresztowań jakiś Niemiec wpadł do naszego mieszkania. Zobaczywszy fortepian, kazał sobie zagrać coś Beethovena. Antolek zaczął grać jakieś mazurki, bo Beethovena nie miał akurat pod ręką. Niemiec od razu rozpoznał, że to były utwory Chopina. Na szczęście dał nam spokój.

AZJ: Już w przeddzień uderzenia na Rosję pewien trzydziestoletni wartownik niemiecki, w Mełgwi, dał mi do zrozumienia, że klęska Polaków – to, że dali się pobić hitlerowcom – jest nieszczęściem również dla Niemców.

AMJ: Z Rosjanami zetknęłam się po wkroczeniu ich wojsk w 1944 roku. Pamiętam, że to była niedziela: jeden z rosyjskich oficerów zaczął mi robić niedwuznaczne propozycje – ledwo się od niego uwolniłam. Kiedy indziej przyszedł do Antolka enkawudzista (z żółtymi odznakami), żeby zrobić zdjęcie. Chciałam się wymówić brakiem materiałów, ale zaczął mi grozić, że mnie zastrzeli. Sytuację uratował Antolek, obracając całą rzecz w żart – zrobił mu fotografię taką, jak chciał.

Poza Rosjanami i Niemcami – stykałam się jeszcze z Litwinami i Białorusinami. U ciotki w Sylwanowcach koło Grodna Litwina była gospodynią, ale niczym specjalnym się nie wyróżniała. Natomiast bywałam w tamtych stronach w domach Białorusinów. Ogólna kultura na wsi była tam bardzo niska: w kuchniach „tutejsi” trzymali np. zimą kury – w tzw. kucach.

W gimnazjum uczyłam się z Żydówkami. Żydzi odnosili się do nas, Polaków, bardzo grzecznie. Może nawet lepiej niż my do nich – bo my podśmiewaliśmy się z ich obrzędów, z kiwania się podczas modłów, z cycelesów, z mac. Handlarze żydowscy byli bardzo wytrwali. Można było ich nawet sto razy prosić o towar, a sto razy podali, nie przestawali zachwalać – aby tylko sprzedać i zarobić. A czas nawet – sprzedać bez zarobku. Można było im nawet nawymyślać, a oni swoje: Uj, prosze pardzo!

AZJ: Z czasów pierwszej wojny światowej pamiętam, jak w mojej rodzinnej Czarni świetnie umundurowane wojsko carskie szło – przed naszym domem – w kierunku Prus. Pamiętam też, że po klęsce Rosjanie zachęcali Polaków z nadgranicznych miejscowości do ucieczki w głąb Rosji: Удирайте в Россию! Rodzice uwierzyli, że Niemcy mordują (szczególnie mężczyzn), ulegli panice i ruszyli w kierunku Ostrołęki, Łomży (tam mieliśmy krewnych, Pazików) Zambrowa i Czyżewa (do kolei!). Pamiętam most przed Ostrołęką i w jego pobliżu pomnik z carskim orłem (z czasów walk z powstańcami polskimi). Utkwił mi jeszcze w pamięci widok obozowiska w lesie pod Czyżewem; kiedy ojciec rozmawiał z oficerem tylnej straży wycofujących się wojsk rosyjskich, zauważyłem z daleka jakiś podejrzany ruch. Oficer przez lornetkę dostrzegł, że to zbliżało się wojsko pruskie. Popędził konia nahajką, a my – „беженцы” (uciekierzy) – pozostaliśmy w Polsce: skierowaliśmy się do Broku i ostatecznie zatrzymaliśmy się w Lubielu.

AMJ: Z lat szkolnych najbardziej utkwiły mi w pamięci trzy zdarzenia.

Kiedy przeniosłam się do Warszawy do szkoły gospodarstwa domowego, nikt ze mną nie chciał usiąść w ławce. Zrobiło mi się bardzo przykro. Kiedy okazało się, że to i owo umiem lepiej od koleżanek –

zmieniły zdanie. I wtedy powiedziały mi, że początkowo wzięły mnie za garbatą. Rzeczywiście ramiona nosiłam wysoko. Ale dopiero wtedy na to zwróciłam uwagę.

Wcześniej, w gimnazjum grodzieńskim, na jednej z lekcji łaciny zauważyłam, że nad katedrą zaczyna się rysować sufit. Ale zanim zdążyłam się połapać, kawał tynku odpadł. Profesorka przerażona zawołała: Zabili mnie! Zabili mnie! Tylko ja – ponieważ wiedziałam, co się naprawdę stało – nie straciłam głowy i pobiegłam po pomoc.

Trzecie zdarzenie miało miejsce na lekcji biologii. Profesor opowiadał nam właśnie o owadach kopalnych, gdy ni stąd ni z owąd usłyszeliśmy przejmujący, grobowy głos: Jutro umrzesz! Wszyscy zdębieli – wyglądało to tak, jakby przemówił któryś z tych prehistorycznych stworów. Później okazało się, że to jedna z koleżanek krzyknęła te słowa z zewnątrz do rury wentylatora.

AZJ: W gimnazjum byłem przeciętnym uczniem.

Najlepiej wspominam swego nauczyciela rysunków, Leona Ormowskiego, u którego uczyłem się półtora roku także gry na skrzypcach; namówił mnie do tego ojciec.

Z czasów gimnazjum zapamiętałem najlepiej wypadek, jaki miałem zimą, w klasie szóstej, na stawie za Ostrowią, przy drodze do Warszawy; skakaliśmy wtedy dla fantazji na łyżwach przez przeręble i ja skoczyłem tak niefortunnie, że rozbiłem głowę o lód; dostałem wylewu do prawego oka i odtąd słabiej na nie widzę.

AMJ: Jak byłem jeszcze panienką, to dużo podróżowałam – i lubiłam podróże.

Z tamtych lat wspominam najlepiej pobyt w Wilnie; do dziś mam przed oczyma szeroką i ładną ulicę Mickiewicza oraz Ostrą Bramę. Pamiętam pobyt w Poznaniu, w 1929 roku, na Powszechniej Wystawie Krajowej; tam pierwszy raz bawiłam się w prawdziwym wesołym miasteczku. W Gdyni, nad morzem, spędzałam wakacje jeszcze jako harcerka. Nigdy nie zapomnę miesięcznego obozu harcerskiego w Morgownikach – cudownej miejscowości w okolicach Nowogrodu. Podobała mi się Praga czeska, gdzie w 1931 roku byłam uczestnicz-

ką Międzynarodowego Zlotu Skautów Słowiańskich; pamiętam z niej zwłaszcza Zamek na Hradczanach i wiele pięknych mostów.

Kiedy założyłam rodzinę, warunki zewnętrzne tak się ułożyły, że przestałam podróżować dla przyjemności.

AZJ: Ja zawsze podróżowałam: i dawniej, i teraz. Byłam w Gdańsku, Gdyni, Władysławowie, na Helu, w Malborku, Toruniu, Krakowie i wielu innych miastach polskich.

Ale najsilniejsze wrażenie pozostawił we mnie pobyt we Francji. W Luwrze najbardziej podobały mi się obrazy renesansu włoskiego i sztuka staroegipska. Z satysfakcją przyglądałam się ozdobom księżniczek egipskich – bursztyny były znad naszego Bałtyku. W Fontainebleau siedziałbym godzinami. Z Mont Saint-Michel wyniosłem raczej złe wspomnienie: obraz ciemnic, w które wtrącano więźniów, i głębokich studni, w których topiono skazańców.

AMJ: Z miast, które widziałam, najbardziej podobało mi się Grodno: cudowna okolica, piękne miejscowości (zwłaszcza Niemnowo), wspaniała dolina Niemna. Jak płynęło się statkiem po Niemnie, to po obu stronach były niezwykle widoki: puste, piaszczyste plaże. Później podobał mi się Puchaczów – bo tam byli bardzo dobrzy ludzie: nigdzie indziej takich nie spotkałam; tylko tam dzielono się z nami wszystkim – jak z rodziną.

AZJ: Ja znajdowałam wszędzie coś malowniczego; ale najbardziej podobało mi się zawsze w tych miejscowościach, które leżały nad rzekami. Pewnie dlatego, że dzieciństwo spędziłem nad Bugiem: w Broku i Brańszczyku. Piękny był dla mnie Rajgród i Augustów – lasy i wody tamtych stron.

AMJ: Spośród sławnych ludzi znałam osobiście tylko Hankę Bielicką; uczyłam się z nią w gimnazjum łomżyńskim. Pamiętam, że już wtedy często występowała w uroczystościach i przedstawieniach szkolnych – śpiewała i tańczyła znakomicie. A w klasie była znana z różnych psikusów.

AZJ: Wybitnym człowiekiem był dyrektor mojego gimnazjum w Ostrowi Mazowieckiej – prof. Sianożęcki, autor podręcznika do fizyki.

AMJ: Niewiele doświadczyłam szczęścia.

Wielką radością, jaka mnie spotkała, było to, że w 1946 roku, kiedy miałam już córeczkę, Bożenkę, urodził mi się oczekiwany syn, Jacek.

Ogólnie: życie przeszło mi bez specjalnych kataklizmów, więc można powiedzieć, że mi się poszczęściło. Mam na stare lata gdzie mieszkać, co jeść, w co się ubrać – i opiekę ze strony dzieci.

AZJ: Mnie w życiu się poszczęściło. Myślę, że zawdzięczam to głównie własnej pracy. Przyzwyczailem się do niej od młodości, bo ojciec wcześniej ogłuchł i musiałem mu pomagać.

AMJ: Nie spełniło się moje marzenie o ładnym mieszkaniu – w małym mieście, nad rzeką, pod lasem, jak Łomża. Druga sprawa: musiałam opuścić koleżanki, z którym się zżyłam. Musiałam często przenosić się z miejsca na miejsce, chociaż tego bardzo nie lubię. Kiedy zamieszkałam razem z siostrą Honoratą, więzy rodzinne – ku mojemu żalowi – się rozluźniły, zamiast wzmocnić.

AZJ: Moje niepowodzenia wyszły mi na dobre.

Tak zakończyły się wszystkie konflikty z klerem.

Usunięty zostałem z Piekut, ale wyjechałem z ukochaną kobietą i na lepszą posadę. Usunięto mnie z Rajgrodu, ale mogłem pozostać w lubianym zawodzie nauczycielskim. Wykształciłem wielu pedagogów szkół ogólnokształcących i muzycznych; niektórzy z nich ukończyli później studia magisterskie (np. Mieczysław Brysacz, Andrzej Knapkiewicz). Przyjemność mi sprawia, kiedy dowiaduję się, że moja uczennica (Krysia Wardaszkówna) została zwolniona z obowiązkowych zajęć z muzyki w Białostockiej Filii UW, na podstawie mojego świadectwa.

AMJ: Ja głównie zajmowałam się domem i wychowanie dzieci – i z tego mam dużą satysfakcję: córka jest energiczna i pracowita; syn jest bez nałogów; i wszyscy wyrażają się o nich dobrze. W czasie wojny

okazało się, że nie jestem tchórzem: nie ulękłam się Niemców i nie wydałam księży Antoniego Kimaczyńskiego (z Biłograja) i Czesława Wiślińskiego – mimo że wiedziałam, gdzie się ukrywają.

AZJ: I ja wytrzymałem wtedy próbę niemieckich tortur.

Na Wielkanoc 1944 roku maltretowano mnie, bito, kopano, związane w kij, lano naftę do nosa i ust – wszystko po to, żebym powiedział, gdzie jest kryjówka księży. Potem uwięziono mnie w Zamku Lubelskim. Uwolniono nas, 129 Mełgiewian, w drodze wymiany za uprowadzonego przez partyzantów 18-letniego syna landwirta z Lublina. W tej sprawie interweniował ponoć sam gubernator Frank; gestapowcy trzymali nas jako zakładników – gdyby w okręgu lubelskim doszło do działań partyzanckich, mielibyśmy być wywiezieni do Majdanka lub Oświęcimia. (Ostatecznie zginął tylko jeden spośród nas, raz już ujęty w jakiejś łapance, ale wykupiony wtedy przez matkę, restauratorkę z Mełgwi.)

AMJ: Nie umiałabym wskazać najpiękniejszego okresu w moim życiu. Przeważały dnie szare i zwyczajne.

AZJ: A ja – z wyjątkiem pobytu w więzieniu hitlerowskim – każdy okres życia wspominam dobrze. Przyjemnie wspominam zwłaszcza swoją posadę w Liceum Pedagogicznym w Augustowie. Mimo to miałem – i do dzisiejszego dnia mam – poczucie, że wiele czasu zmarnowałem. Za mało grałem za mało malowałem.

AMJ: To jest błędne poczucie: przecież naprawdę Antolek ciągle był czymś zajęty, ciągle coś robił, nigdy nie był bezczynny. Dlatego przecież jesteśmy właściwie zamożni; niczego nam nie brakuje. Nawet więcej: nie chciałabym być bogatsza, bo im więcej człowiek ma, tym chyba trudniej mu odejść...

AZJ: I ja uważam, że jesteśmy zamożni. A co najważniejsze – dorobiliśmy się z niczego: wszystko, co mamy, zawdzięczamy własnej pracy.

AMJ: Przed II Wojną Światową powodziło się nam lepiej. Dobrze zarabialiśmy. A przede wszystkim nie musieliśmy robić stale zapasów, bo sklepy były zawsze dobrze zaopatrzone. Żywność kupowało się z dnia na dzień: na obiad miała codziennie świeże mięso – lodówka w ogóle nie była potrzebna.

AZJ: Ja dawałem sobie radę i przed wojną, i po wojnie. Przed wojną najwięcej trudności było ze znalezieniem dobrej pracy. Pamiętam, że na stanowisko organisty w półtoratysięcznej parafii w Konarach nad Pilicą było ze sześćdziesięciu kandydatów.

AMJ: Do 62 roku życia byłem zdrowa. Nigdy mnie głowa nie bolała, nie przeziębiałam się – a i teraz rzadko mam katar. Na ogół bardzo krótko sypiałam: kiedy byłem w pełni sił, szłam spać około jedenastej, a potrafiłam wstać o trzeciej. Mimo to byłem rześka i mogłam cały dzień wydajnie pracować.

AZJ: Cierpię na różne dolegliwości, ale ogólnie mam dobre zdrowie. Tylko w młodości chorowałem obłożnie: na tyfus brzuszny i febrę.

AMJ: W ludziach najbardziej cenię prawość i życzliwość. A za największe wady uważam chciwość, samolubstwo i pychę. Bardzo mi się także nie podoba bałaganiarstwo. Lubię porządek i schludność mieć wokół siebie – i zaprowadzać ład.

AZJ: Za najgorsze wady mam wszelkie nałogi: pijaństwo, palenie. A najwyżej stawiam uczciwość i uczynność. Niech ilustracją uczciwości będzie sprawa p. Tobota ze Trzciannej. Przed swoją śmiercią ojciec polecił mi uregulować dług, jaki wobec niego zaciągnął. Wypełniłem wolę ojca dopiero kilka lat po śmierci jego wierzyciela – w 1974 roku. Gdy córka, której przekazałem pieniądze, nie chciała słyszeć o procencie – złożyłem ekwiwalent procentu na gregoriańską mszę św.

AMJ: W Polakach nie podoba mi się najbardziej nieodpowiedzialność, brak poczucia porządku i pijaństwo.

AZJ: Według mnie największymi wadami Polaków są warcholstwo i żądza władzy.

Za największego naszego bohatera uważam Kościuszkę, bo życie swoje poświęcił dla dobra Polski – bo zwalczał przedziały stanowe. Nie jestem przeciwny różnicom majątkowym, ale nie znoszę dystansów. Wzorem pod tym względem byli dla mnie państwo Dreccy z Krzesimowa (pani Drecka była zresztą podobno córką jakiegoś bankiera lubelskiego) i państwo Rulikowscy z Podzamcza (z okolic Mełgwi).

AMJ: Rulikowscy zachowywali się różnie. Pamiętam, że kiedy nie obsłużyłam bez kolejki pani Rulikowskiej, to poskarżyła się władzom spółdzielni, że nie okazałam jej należnego szacunku i że nie zwróciłam się do niej *per* „jaśnie pani”. Rzeczywiście tak było. Dopiero, jak się dowiedziała, że ja jestem szlachcianką, zmieniła nastawienie i – jak gdyby nigdy nic – zaczęła mi przy spotkaniach podawać rękę.

AZJ: Z królów polskich cenię przede wszystkim Bolesława Śmiałego – mimo że był kobieciarzem; ale to nie jest wielka wada...

AMJ: Ja wolę Jagiełłę – za to że powalił Zakon Krzyżacki.

AZJ: Z nowszych polityków wybitny był według mnie Piłsudski, nie – Dmowski, bo Dmowski montował własną klikę, a Piłsudski nie. Piłsudski był człowiekiem z charakterem, człowiekiem bezinteresownym, prawdziwym Polakiem. Początkowo pozwolił różnym partyjnym krzykaczom na demokrację. Ale gdy się okazało, że w Sejmie panowie-posłowie biją się laskami, że jest ogólny bałagan, to powiedział: Dosyć! Przewrót Majowy miał z tym skończyć. Dopiero po śmierci Piłsudskiego powstała klika pułkowników.

AMJ: Ja też Piłsudskiego poważam za to wszystko. Dodałabym jeszcze bezpośredniość; pamiętam rozmowę z jego żoną na szkolnej wystawie w Warszawie; samego Piłsudskiego spotkałam kiedyś w Teatrze Polskim: był tam ze swoimi córkami. Ale od Piłsudskiego wolę Paderewskiego. To był człowiek wszechstronnie utalentowany i mądry. Dzięki wpływom za granicą przysłużył się – jako polityk – bardzo sprawie polskiej.

AZJ: Najbardziej lubię muzykę klasyczną i romantyczną. Z utworów fortepianowych – lubię słuchać szczególnie Chopina: oba koncerty i nokturny, zwłaszcza Es-dur op. 9 nr 2 i g-moll op. 5 nr 3. A poza Chopinem – Beethoven: sonaty, zwłaszcza „księżycową”. Z utworów organowych najbardziej lubię kompozycje Bacha: fugi, toccaty – zwłaszcza d-moll. Z kompozytorów najnowszych cenię tylko Pendereckiego.

AMJ: Ja też lubię Beethovena i Chopina: specjalnie mazurki z opusu 7. Ale najbardziej zachwycam się chorałem gregoriańskim i muzyką liturgiczną kościołów wschodnich. Mam swoich ulubionych wykonawców: Kulkę i Zimmermana. Z malarstw – podobają mi się pejzaże i portret realistyczny. Z naszych własnych obrazów: Rapacki i Ziomek.

AZJ: I ja cenię pejzażystów i portrecistów: Matejkę, Juliusza Kosaka – również międzywojennych. Natomiast nie podoba mi się Maltczewski: jego obrazy to jakieś zboczone fantasmagorie. Malarstwo abstrakcyjne też nie dostarcza mi żadnych przyjemnych przeżyć. Z obcych – za największych uważam mistrzów włoskiego Odrodzenia.

AMJ: Najchętniej wracam do powieści Kraszewskiego i Orzeszkowej oraz do poezji Mickiewicza i Słowackiego. Z poetów podoba mi się także Konopnicka, Staff, Gałczyński i Broniewski.

AZJ: Z Broniewskim rozmawiałem kiedyś na spotkaniu w Augustowie. Za najwybitniejszego poetę mam Słowackiego, a z jego utworów lubię najbardziej jego wiersze liryczne. Niektórego jego rzeczy znam do dzisiaj na pamięć:

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie
I tam polecę, gdzie one polecą...

Czuję w tym wierszu taką tęsknotę do Ojczyzny, że oddałbym za niego całą pozostałą literaturę.

Poza poezją przemawia do mnie przede wszystkim proza historyczna Kraszewskiego, Sienkiewicza, Żeromskiego. Szalenie lubię także czytać prace popularnonaukowe dotyczące starych cywilizacji: Egiptu, Babilonii, Ameryki prekolumbijskiej (np. *Bogowie słońca*).

AMJ: Trudno uwierzyć, ale z filmów najbardziej utkwiło mi w pamięci *Słoneczko*, które widziałam, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Teraz podobają mi się ekranizacje powieści: *Krzyżaków*, *Pana Wołodyjowskiego*, *Chłopów*...

AZJ: I dla mnie najciekawsze są ekranizacje, np. przedwojenne *Quo vadis*”, czy powojenne *Popioły*. A w teatrze szukam tylko rozrywki i dlatego cenię głównie komedie, z naszych – przede wszystkim Fredry.

AMJ: Kiedyś lubiałam robić wypieki – ale samo ciasto, bez czynności przygotowawczych (palenie w piecu itd.); to wolałam, jak robił ktoś za mnie.

AZJ: Moimi ulubionymi zajęciami jest majsterkowanie, malowanie i muzykowanie; kiedyś także ogrodnictwo: szczepienie drzewek.

AMJ: Moje życzenia dla wnuków?

Chciałabym, żeby wyrosli na mądrych ludzi. Żeby robili dobrze to, do czego mają zdolności, na co mają chęć i co daje im zadowolenie. I żeby pracowali tyle, aby mogli przyzwoicie żyć. Żeby na wszystkie podstawowe rzeczy im starczyło. Nie myślę o gwiazdkach z nieba, ale żeby nie było tak, że chcę sobie kupić jedwabną sukienkę, a stać mnie tylko na perkalikową. Chciałabym, żeby za bardzo się nie zapracowali, bo życie jest takie krótkie! Chciałabym, żeby – jak będę już wykształceni i samodzielni – znaleźli sobie małżonków, którzy by ich szanowali, z którymi by mieli wspólny język, z którymi by się mogli zawsze dogadać. Dobrze by było, gdyby każdy z wnuków miał przynajmniej dwoje dzieci. Jeśli zaś chodzi o wnuczki, to radziłabym jeszcze, żeby nigdy nie ograniczały się do zajęć domowych, bo człowiek musi się stykać z ludźmi – inaczej zdziczeje!

A prawnukowie – powinni dążyć do tego, aby jeszcze wyżej zajść niż wnuczki: i pod względem zamożności, i stanowiska. Bo taka wspanialka najlepiej jak jest stopniowa. Ale przede wszystkim niech dbają o swój charakter. Co bez charakteru człowiek wart?! Charakter wykształcić może tylko konsekwentne – ale nie nazbyt surowe – wychowanie. Jeżeli się wyda dziecku polecenie, to trzeba przypilnować, jak zostało wypełnione. Tylko niech to będzie nadzór przyjacielski: lepiej unikać kar cielesnych – bo to zabija w dziecku ambicję. Dziecko zaczyna myśleć, że do niczego się nie nadaje – a przecież takich ludzi nie ma.

Chciałabym, żeby o tym pamiętały także moje dzieci.

AZJ: Chciałabym, żeby moi potomkowie przewyższali nas wiedzą i umiejętnościami. Odradzałabym studiowanie nauk ścisłych, bo to są rzeczy trudne, a niezbyt opłacalne. Chciałabym także, żeby moi prawnukowie – gdyby mieli odpowiednie predyspozycje – uprawiali muzykę. Moim marzeniem jest, żeby jakiś mój potomek stał się sławnym wirtuozem.

AMJ: Nie przywiązuję się do miejsc, w których mieszkam. Czuję się dobrze wszędzie tam, gdzie jest zdrowe powietrze i życzliwe otoczenie. Nie przywiązałam się do domu w Wygodzie, choć jest tak blisko mojego gniazda rodowego w Modzelach. Nasz dom w Wygodzie jest za duży, żeby w nim mieszkać na stałe. A użytkowanie go tylko jako letniska jest zbyt kosztowne; lepiej wynająć cudze mieszkania. A znowu pusty dom – to tak jak trumna.

AZJ: Ja przywiązałam się do Wygody: zaciszę, piękna okolica. Bardzo chciałabym, żeby dom wygodzki pozostał własnością naszej rodziny.²⁶

Wygoda, 19 marca 1986 roku.

²⁶ Niestety życzenia Ojca się nie ziściło. Dom wygodzki musieliśmy sprzedać, bo nie byliśmy go w stanie utrzymać, gdy zabrakło tak Rodziców; sprzedaliśmy go zresztą za symboliczną właściwie kwotę, ponieważ do kupna „od ręki” nie było zbyt wielu chętnych, a czekać na lepszą okazję nie bardzo mogliśmy. Po śmierci Rodziców sprzedaliśmy także sporą część ich majątku ruchomego (obrazów, biżuterii, kolekcji monet i znaczków) – i znowu nie osiągnęliśmy z tej sprzedaży spodziewanych zysków, gdyż nie pozwoliły na to okoliczności w której do niej doszło.

13. Anna z Modzelewskich Jadacka i Antoni Jadacki (jun.)

Swoi i obcy

1. Mniejszości

AMJ: W okolicach Grodna, w których przebywałam, poza Polakami spotykało się z rzadka Białorusinów, którzy nazywali sami siebie „tutejszymi”, a więc „swoimi”, a nie „obcymi”; wszędzie natomiast było sporo Żydów, którzy – zwłaszcza stare pokolenie – wyraźnie się od nas, Polaków, różnili: językiem, ubiorem, zwyczajami, usposobieniem, zdolnościami, wiarą.

AZJ: Nic dziwnego, że dochodziło do konfliktów na różnym tle. Wymordowanie Żydów przez Niemców w czasie II Wojny Światowej stało się siłą rzeczy – jak by powiedzieli sami Niemcy – „ostatecznym rozwiązaniem” owych konfliktów.

2. Źródła konfliktów

AMJ: Żydzi nazywali Polaków „gojami” i uważali nas za wrogów, których można oszukiwać. Polacy z kolei nazywali Żydów „parchami” i odnosili się do nich lekceważąco. Księża katolicy zakazywali wiernym bliższych kontaktów ze starozakonnymi, a wejście do bożnicy – za czasów mojej młodości – uważali wręcz za grzech śmiertelny.

AZJ: Większość hurtowni w Polsce międzywojennej była żydowska; polskie hurtownie były nieliczne. Żydowscy hurtownicy sprzedawali polskim detalistom drożej niż żydowski.

AMJ: W sklepie żydowskim trzeba się było bardzo targować, bo ceny początkowe były nieraz dwu-trzykrotnie wyższe od ostatecznej ceny sprzedaży. Ok. 1936 roku, w Łomży, kupiłam płaszcz za 19 zł; cena początkowa była 70 zł. Żydzi sprzedawali nieraz tandetę – np. buty miały tekturowe wstawki.

AZJ: Ceny za zboże ustalali kupcy żydowscy – zwykle bardzo niskie. W latach 1932-1933 np. na rynku (koło kościoła) w Wyszku ceny zaniżali do 9 zł za kwintal.

AMJ: Polacy nie mieli smykałki do handlu i rzemiosła. W Wygodzie były trzy sklepy żydowskie (spożywczy Judki, gospodarczy i pasmanteryjny Natana), jeden sklep polski (spożywczy) i polska karczma.²⁷ Było ponadto jeszcze dwoje żydowskich handlarzy: Rostkier i Wolska; ta ostatnia prowadziła handel obnośny («handele»). Na sześciu żydowskich rzemieślników (szewc Icchak/Icek Lejbka, krawiec Natan – wspomniany już jako właściciel sklepu pasmanteryjnego, krawcowa, młynarz Dawid Kociak, rzeźnik Major i piekarz Szmul/Szmulek – dostawca wojskowy, piekący wspaniałe bułeczki!) był jeden polski krawiec. Szczególny zawód uprawiał Jankiel Diament: był szmuglerem.

Pamiętam imiona kilkorga dzieci żydowskich: Herszek/Irszulek Judka, Jecia Pecyner i Masza Rostkier (obie o rok młodsze od Honoraty), Estera Wygodna (rówieśnica Honoraty) i Rachela Wolska (starsza od Honoraty). Jeśli się nie mylę II Wojnę Światową przetrwała tylko żona właściciela sklepu spożywczego – Judki.

Nawiasem mówiąc w Modzelach Starych nie mieszkał ani jeden Żyd.

AZJ: Żydzi zatrudniali czasem Polaków (np. do palenia w piecu w szabas) i Polki – jako służących. Nigdy odwrotnie: nie spotykało się Żydów ani Żydówek służących u Polaków. Żydówki były zresztą bardzo pracowite (zajmowały się m.in. krawiectwem i hafciarstwem).

3. Żydzi a Polacy

AZJ: W 1920 roku bolszewicy wyłapywali „burżujów”, inteligencję i księży. W Broku nad Bugiem Żydzi przechowali w kurniku księży Kuskowskiego i Krakowiaka (wikarego).

²⁷ Właścicielką karczmy była Teofila Grodzka, matka Edwina Karola, w czasie II Wojny Światowej – żołnierza AK. Według niesprawdzonej informacji – to właśnie on (a nie Franciszek Mazurkiewicz) miał zainstalować w Wygodzie kapliczkę, którą rzekomo sprowadził z Ostrołęki.

13 czerwca 1937 roku zostałem przed żydowskim sklepem z wodą sodową w Zambrowie pobity przez pijanych żołnierzy z karnej kompanii, który usiłował mi ukraść rower. Wtedy zaopiekowały się mną Żydówki (dały wodę, mydło, ręcznik). *Nb.* Jeden z żołnierzy tej kompanii dwa tygodnie wcześniej zaszyłetował jakąś Żydówkę.

AMJ: W Modzelach Starych tuż przed wybuchem wojny hitlerowsko-sowieckiej Żydzi uprzedzili mego ojca, że jako tzw. kułak jest przewidziany do zsyłki na Syberię. Ale według pogłosek listę na zesłanie robili inni Żydzi (komuniści).

Pogłoski o sporządzaniu przez Żydów-komunistów list na zesłanie krążyły także w Rajgrodzie. Po wejściu Niemców niektórzy Rajgrodzianie rabowali bogatych Żydów, a nawet, podobno, w odwecie – mordowali.

4. Polacy a Żydzi

AZJ: W koedukacyjnym gimnazjum w Ostrowi Mazowieckiej w mojej klasie były dwie Żydówki i jeden Żyd. Był to Abram Kac, syn miejscowego felczera – siedziałem z nim w jednej ławce. Wiem, że na studia wyjechał do Francji.

Podczas okupacji, w Mełgwi, wydawałem chrześcijańskie metryki urodzenia (zmarłych rówieśników) Żydom, co umożliwiała im wyjazd do Niemiec na roboty. Takie metryki wydałem m.in. dzieciom właściciela garbarni w Lublinie.

AMJ: W Lublinie, kiedy lekarza żydowskiego hitlerowcy zabrali do getta, jego żonę przechowywały zakonnice (siostry rodziny Marii) w Nałęczowie, a ok. 20-letnią córkę (która studiowała we Włoszech i przyjechała na wakacje) zaopiekował się proboszcz parafii św. Piotra i Pawła w Lublinie i przekazał do domu zakonnego (sióstr rodziny Marii) w Mełgwi. Tam przetrwała okupację; pod koniec była tłumaczką w gminie. Po wojnie, jako Krystyna Modrzewska, była profesorką anatomii prawidłowej w Akademii Medycznej w Białymstoku i Lublinie. Wiadomości te pochodzą od niej samej i Marii Siudówny-Witkowskiej, wykładowczyni biologii w Akademii Medycznej w Białymstoku.

W Janowcach (w gminie Mełgiew), ogrodnik Jan Szczepanik przechowywał w dole od ziemniaków położonym w szkółce drzewnej, 45-40-letniego Żyda (z cielakiem, który pełnił funkcję „pieca”). Po wojnie ów Żyd się przechrzczył; w czasie spisywania aktu urodzenia o Szczepaniku mówił: To mój kochany ojciec!” Ale podobno później swego dobroczyńcę zaskarżył do sądu, zarzucając mu, że go za słabo karmił, i twierdząc, że z tego powodu zapadł na gruźlicę. Na szczęście sąd sprawę oddalił.

5. Tragedia

AMJ: Przed wywiezieniem Żydów z okolic Mełgwi do getta w Piaskach Luterskich – Niemcy znęcali się nad nimi ganiając dookoła mełgiewskiego Domu Parafialnego. Potem spędzili ich do sali widowiskowej na pierwszym piętrze Domu i zmuszali ich tam do odgrywania „żydowskiej mszy”. Mieszkałam na parterze i widziałam tę scenę przez uchylone drzwi. Na estradzie po bokach siedzieli w dwóch rzędach mężczyźni i „kiwali się”, a w środku stał kantor i śpiewał tak przejmująco, że się rozplakałam. Stan sanitarny pędzonych musiał być bardzo zły, skoro po ich wyprowadzeniu całe mieszkanie było zapchłone.

AZJ: W getcie lubelskim zebrano kiedyś ochotników na roboty do kamieniołomów w lesie koło Krępcza (należącym do majątku Dobosza). Kiedy Żydzi zorientowali się, że to pułapka i że będą ich rozstrzelali, zaczęli wdeptywać biżuterię w poszycie leśne. Okoliczni mieszkańcy później znajdowali tam wiele kosztowności.

AMJ: Na początku okupacji Niemcy wyprowadzili z ochronki żydowskiej w Lublinie dzieci z wychowawczynią za miasto na drogę do Mełgwi – i tak wszystkich rozstrzelali. Widział to dekarz Józef Kotulski z Mełgwi, gospodarz spółdzielni *Spolem*, który jechał tą drogą z towarem do sklepu.

AZJ: Gestapowcy przywieźli kiedyś do kamieniołomów przy drodze Lublin – Piaski Luterskie (wydobywano tam piaskowiec) zagazo-

wane dzieci żydowskie. Więźniowie wrzucali je do dołów; niektóre jeszcze się ruszały. Jeden z Niemców nie mógł widocznie tego wytrzymać, bo strzelił sobie w głowę; przeniesiono go do karczmy w Krępcu. Zdarzenie opowiadał mi właściciel karczmy.

AMJ: Zagłada Żydów była publiczną tajemnicą. Swąd spalenizny z krematorium Majdanka przy wietrze południowo-zachodnim było czuć aż w Mełgwi.

AZJ: Żydówka – sąsiadka z Mełgwi – przed wywiezieniem do getta w Piaskach Luterskich powiedziała: Jeżeli w tym roku nie będzie przepiórek, to Żydów czeka zagłada. I okazało się, że przepiórki się nie pojawiły.

Żydzi odchodzący do getta w Lublinie mówili do nas: Teraz my, później – wy. Ale Polacy ginęli i przedtem, i później. W Lublinie, w pierwszych latach okupacji, rozstrzeliwano Polaków na jednym z cmentarzy. Kiedyś nocą dowłókł się do lekarza w Mełgwi młody mężczyzna, ranny w głowę, które po takiej egzekucji wydostał się spod stosu trupów...

Wygoda, 24 marca 1986 roku.

CZEŚĆ II. LISTY

14. Anna z Modzelewskich Jadacka i Antoni Jadacki (jun.)

Listy z lat narzeczeństwa (1936-1937)

• [Piekuty,] 21.07.1936.
Hanus!

Nie ten przyjaciel, co w pomyślnej chwili
swoją miłością życie Ci umili,
lecz ten, co w życia sromotnej godzinie,
swymi ramiony szyję Ci owinie.

Oto motto naszego życia, oto uczucia, które nas łączą – to, czego szukamy. Nie umiem Ci, Dziewczyno, podziękować za uczucia, jakimi mnie darzysz. Kochany – kocham! Choćby wszystko się waliło mi na głowę! Bądź pewna: Twój Tolek Cię nie zawiedzie, bo on umie kochać, gdy jest kochany. Nie zrażaj się, gdy będą Ci donosić, że „Irszulek” Cię zdradza.²⁸ Nie, Hanus! sam bym się nazwał „podłym”, gdyby znieważył i podeptał Twe uczucie dla mnie. Przed nami być może staną wielkie trudności, zdawać by się mogło nie do przebycia; ale my jesteśmy młodzi; przed nami wiele możliwości; zwyciężymy, bo nami kieruje odwieczne prawo miłości. Musimy jednak być przezorni, roztropni; musimy z rozważą postępować, by nie wywołać jakichś zaburzeń, które by mogły spowodować katastrofę.

Z listu Twego, ukochana, nie rozumiem, na czym polega podłość naszego szanownego i tak miłego, zdawać by się mogło, Józefa, i o czym się wieczorem dowiedziałaś. Mów do mnie, Haneczko, otwarcie, bez żadnych niedomówień; muszę wiedzieć jasno, jak się sytuacja przedstawia, bo jak dotychczas to gubię się w „szachownicy” K.P., który nadspodziewanie znowu odnosi się do mnie jak dawniej z uśmie-

²⁸ Ten zabawny pseudonim nawiązywał do anegdoty z Wygody. Mieszkało tam żydowskie małżeństwo Judków z Wygody; p. Judkowa karmiła swego syna Herszka, mówiąc: „Irszulek chap, koniczki jadą...”.

chem. Ja również gram rolę wesołego i świetnie mi się udaje, ale gdy jestem sam w kancelarii, to słucham i słucham, czy nie usłyszę Twego miłego głosu, śmiechu. Niestety, słysząc tylko echo ironii. Pusto, Hanus! moja, pusto bez Ciebie.

Poprawiając antenę, przechodziłem koło Twego pokoiku; nie mogłem się powstrzymać, by nie zajrzeć do jego wnętrza – jak złodziej – lecz niestety nie było Ciebie. Popatrzyłem chwilę na to miejsce pierwszego naszego wyznania, na Twe łóżeczko – i odszedłem, by nie przyłapano mnie na gorącym uczynku. Józef chodzi jak indyk napełniony; zdaje mi się, że unika mnie i mego wzroku. Ja na razie udaję, że nic nie wiem; jak dawniej jestem uprzejmy, by uspić jego czujność, by nie dać poznać, co między nami jest, bo to farbowany lis. Taktyka moja to zwlekać, pozyskać K.P. i czekać odpowiedniego momentu, by móc przez to zyskać dla nas więcej atutów. Ty, ze swej strony, pozyskaj rodziców; bądź przebiegła, jeśli czujesz, że zbliża się nawałnica, to staraj się jej uniknąć, bo za słabi jesteśmy, by walczyć otwarcie; musimy stoczyć ten bój systemem podjazdowy. Z pogodą na czołe, z uśmiechem na ustach, żyjmy niezłomną nadzieją, że życie jest dla nas, nie my dla niego; praw naszych nikt nie podepcze, tylko nie upadajmy na duchu; na razie jest burza, ale po burzy przyjdzie na pewno pogoda.

Hanus!

Będę teraz przyjeżdżał do Ostrowi, więc pragnę się z Tobą zobaczyć i porozmawiać w cztery oczy. Mam Ci wiele do powiedzenia, no i chcę przede wszystkim patrzeć w szmaragdową toń Twych oczą kochanych, złożyć Ci życzenia imieninowe. W sobotę po południu będę prawdopodobnie w Zambrowie, więc koło godziny siódmej będę się starał być na Wygodzie; jeżeli będziesz mogła, to wyjdź.

Może nasza sytuacja przedstawia Ci się inaczej. Jeśli tak, to pisz szczerze i ufaj mi: nie zawiódę Cię, Hanus – nie.

Kończąc: już czas oddać list na pocztę, bo zaraz odejdzie.

Twój Antek.

PS. Bądź ostrożna w związku z moim wyjazdem. K.P. może się domyślać, może nam przeszkodzić, bo umie być sprytny; lepiej, gdy spotkamy się bez świadków.

A.J.

• [Piekuty, po 26.07.1936.]

Hanuś Moja!

Wróciłem szczęśliwie do domu o godzinie siódmej wieczorem. W drodze powrotnej wstąpiłem do swoich znajomych i dlatego tak się opóźniłem.

Gdy przybyłem do Piekut, oczom moim przedstawił się niebywały widok. Zobaczyłem zgłiszczu Urzędu Gminnego. Mówią mi, że to piorun uderzył w Gminę. Jak głosi fama, nie jeden raz pioruny wyły wzywane w tym budynku, więc nic dziwnego, że nareszcie do niego zajrzał. Prócz pijanego sekretarza²⁹ nie było tam nikogo, więc wypadków w ludziach nie było. Komicznie było, bo gdy ludzie chcieli ratować, co się da, to sekretarz im nie dawał tego robić, sądząc, że to złodzieje.

Zdołano uratować budynek, tylko poszycie się spaliło.

A teraz coś o nas.

Otóż Ks. Pr. widocznie domyślając się, że mój wyjazd jest związany z Twoimi imieninami, próbował „przeegzaminować” na tę okoliczność mego brata, pytając go: „Brat widocznie wyjechał na imieniny do panny Hanki, bo tak go długo nie ma? Zresztą będę teraz w Łomży, to tam się dowiem, czy tak było.” Brat odpowiedział, że wie tylko tyle, że Antek wyjechał do Ostrowi – i na tym rozmowa się skończyła. Gdy się o tym dowiedziałem, nie zwlekając poszedłem do Ks. Pr. i zapytałem go w obecności Twojej cioci, jak mam rozumieć to „egzaminowanie” mego brata. Na to Ks. Pr. odpowiedział, że nie egzaminował brata, tylko był zaniepokojony wiadomością od jednego z interesantów o tym, że budynek Gminy stanął w płomieniach, więc chciał się dowiedzieć, czy mnie tam czasem nie było. „A co Ks. Pr. będzie sprawdzał, jak pojedzie do Łomży?” – spytałem. Na to on odpowiedział, że niczego nie będzie sprawdzał, bo to nie do niego należy. Z przebiegu tej rozmowy wnioskuję, że nie taki strach wielki, jak go malują.

Inna sprawa, że gdyby Ks. Pr. zjawił się w Modzelach, to nie trzeba ukrywać mej tam bytności – choćby dlatego, że Ks. Pr. mógłby zapytać byle kogo i byłaby wyspa „na całą parę”. Nie zmienia to mojej oceny, że nie mam obowiązku legitymowania się komukolwiek, gdzie i kiedy składał komuś wizytę; jest to rzecz prywatna – i nikomu nic do tego.

²⁹ W tym okresie sekretarzem Gminy Piekuty był Józef Mieczysław Bytomski lub Mieczysław Bis.

Jeśli chodzi o to, że oświadczyłem się o Twoją rękę, to uważam, że na razie lepiej o tym nikomu nie mówić; lepiej poczekać, aż czas – przy Bożej pomocy – zrobi swoje. Kiedy to ogłosimy, będzie zależało od okoliczności; wybór terminu zostawiam Tobie, Hanuś.

Kończę, moja Ty Hanulo ukochana! Bądź zawsze dobrej myśli i nie zapominaj o „Irszulku”. On szmaragdy Twych oczu bardzo kocha – o! bardzo!

Twój Antek.

PS. Pozdrów ode mnie rodziców, krewnych i Twoją siostrzyczkę. Szczelnie zamykaj płyn,³⁰ bo bardzo szybko wietrzeje, gdyż jest na etery. Wybacz, że tak brudno piszę, ale się spieszę i nie mam dobrych przyborów. A.J.

• Modzele, 29.07.1936.

Tolku!

Mam wrażenie, że szczęśliwie dojechałeś do Piekut. Goniłam za Tobą myślą, a wspomnienia tych miłych chwil spędzonych razem, jak żywe stoją mi wciąż w pamięci. Nie zapomnę o nich nigdy, ponieważ napęliły serce moje radością bez miary, bo miłość dla mnie jest rzeczą świętą. Czuję w sobie tyle szczęścia, że trudno opisać. Nie ulękne się żadnych trudności, jakie mogą stanąć na drodze naszego szczęścia; będziemy razem te trudności znosić, Tolku, i wzajemnie kochać się, tak jak dziś się kochamy. Przyjazd Twój zbliżył nas jeszcze bardziej i spotęgował w nas porywy szlachetne. Myślę, że pokochaliśmy się dla wspólnych idei i wzajemnego szacunku. To jest podstawa naszej miłości: silna, niewzruszona.

Tolku! Chciałabym bardzo, abyś przede mną nie miał żadnych tajemnic; dziel się ze mną zawsze zarówno smutkiem, jak i radością. Smutek razem lżej jest znosić, a ja łącząc się z Tobą i w jednym, i w drugim, czułabym, że Ty naprawdę jesteś moim kochanym Tolusiem.

Ach! Tolku! Kocham Cię i wierzę Tobie, a jednak jakieś czarne myśli krążą nade mną i „kraczą” złowrogo, że Ty jednak nie będziesz moim. A tak bym chciała mieć duszę bratnią, która kochałaby mnie i rozumiała! Chciałam być z Tobą. Na razie zły los rozdzielił nas; cięż-

³⁰ Prawdopodobnie chodzi o jakieś perfumy.

ko jest mi żyć bez Ciebie. Gdy jednak Stwórca połączy nas, będziemy zawsze razem.

Tolku! To chyba nieprawda, coś mówił mi, że w naszym małżeństwie Ty będziesz „panem”: że będziesz dominował nad żoną. Ja pogardzam takim człowiekiem, który upiera się przy byle głupstwie, aby nie wyglądało, że ulega żonie. Tacy mężowie – to moim zdaniem idioci. Owszem, chciałabym, abyś był „panem”, ale na gruncie prawa; chcę, abyś był odpowiedzialny za stan moralny naszego domu (o ile się nasze zamiary spełnią); ale we wszystkich drobiazgach życia codziennego – żeby nie było żadnego „pana”. Ja ze swej strony zawsze będę gotowa ustępować we wszystkich drobiazgach; tylko w sprawach wielkiej wagi i w niektórych zasadach nie mogłabym ustąpić. Antolku! Chciałabym, żeby pożycie nasze było idealne: żeby nie było żadnych waśni, nieporozumień. Życie jest takie krótkie!

Tolku! Powiedz mi szczerze, dlaczego Ty tak na długi czas odkładasz nasz ślub. Tłumaczyłeś, że musisz się zagospodarować. Ale to jest zbyt mały powód; Ty chyba coś innego przede mną ukrywasz. Wiedzą o tym, że w zagospodarowywaniu byłabym Ci pomocą; jak trzeba, potrafię pracować, a i moi rodzice pomogliby nam. Mówiłeś, że siostra Twoja³¹ pojedzie do Ostrowi; będziesz więc musiał wynająć kobietę do pomocy. Tolku! Czy to nie jest tak, że Ty po prostu chcesz dowiedzieć się od jak największej liczby ludzi, jak mnie oceniają? Ale pamiętaj, że ludzie zawsze zalety bliźniego piszą na wodzie, a wady – ryją w spłzu. Mówiłam Ci już, abyś z wszelką wątpliwością zwracał się bezpośrednio do mnie, a ja zawsze powiem Ci prawdę. Życie włóczęgi mi brzydko, więc chciałabym mieć jak najprędzej własne ognisko domowe. Jeśli rzeczywiście dla głębszych przyczyn nie możesz wcześniej się ze mną ożenić, to wiedziałabym, co mam ze sobą zrobić; trudno mi tak beczynnie siedzieć w domu, czekając jak się to wszystko skończy. Więc, Tolku, szczerze mi powiedz, jakie są powody twojej zwłoki; miej pewność, że ja Ciebie zrozumieję.

Niedawno byłeś ze mną, a smutek i tęsknota przepełniają me serce: chciałabym, abyś znów przyjechał do mnie. 9 sierpnia będzie odpust w Puchałach. Może wtedy byś mnie odwiedził? Sprawiłbyś mi wielką radość.

³¹ Chodzi o siostrę Eugenję.

Stale widzę Cię oczyma duszy i pragnęłabym, aby zobaczyć choć we śnie swego Antolka. Niestety on jest daleko ode mnie, chodzi sobie gdzieś indziej i jest mu dobrze. Prawda?

Wiesz? Co to jest? Jak Ciebie nie widziałam, to tyle miałam Ci do powiedzenia różnych rzeczy. A jak Ciebie zobaczyłam, to o wszystkim zapomniałam. Patrzałam tylko w Twe smutne, a takie kochane zarazem, oczy. Pisz do mnie, to choć listownie z Tobą będę mogła porozmawiać: tak szczerze, jak byś przed własnymi swymi myślami się zwierzał.

Kochany Tolku! Wybacz, że zrobił się żyd na papierze, ale to Honorka winna, bo wciąż mówiła, abym napisała, że ona pozdrawia i tęskni za przyszłym szwagrem. A tłusta plama zrobiła się od kugla, które przyniosła mi bratowa.³² Nie gniewaj się, ale nie miałabym cierpliwości przepisywać pisma dwa razy.

Przesyłam Ci pozdrowienia od wszystkich z Modzel – ma się rozumieć od mojej rodziny. Dziękuję Ci, Toleczku, żeś był taki dobry i przyjechał do mnie, a wszystko, co było złe z mojej strony, wybacz.

Czekam i Ciebie, i listu, z upragnieniem.

Całuję mocno Twe smutne oczy – Twoja Hanka.

• Piekuty, 30.07.1936.

Hanuś Ty Moja!

Dziękuję Ci za liścik pełen słodczy, pełen ukochania, pełen tego, co tchnie szczerą miłością. Za tę miłość, Jedyna, winien jestem Ci wiele – o! wiele. Z tej kartki, którą mi dałaś przez Franusię, wyczytałem wszystko, czego pragnąłem, i dlatego jestem pewny, że Bóg Dobry pozwoli kochającym się sercom, jego dzieciom, połączyć się ku Jego chwale. Choć może, wystawi je na próbę? Ale wtedy tym większą łączy ich miłością, tym większa czeka ich nagroda, jeśli wytrwają w swoich poczynaniach.

Hanko! Nie myśl o jakichś tam czarnych koszmarach, bo mnie zamucasz. Jedynie sen wieczny rozdzielić nas może, ale to jest w rękę Stwórcy. Ty jeszcze nie wyobrażasz sobie, co za ból człowiek przechodzi, gdy straci swą ukochaną matkę. Ty sobie nie wyobrażasz, Hanulu, jaką miłością byłem przez nią otoczony, bo byłem najukochańszym jej

³² Mowa o Helenie Modzelewskiej.

synem. Jej pragnieniem jedynym, przed śmiercią, było bym dostał dobrą, kochającą żonę. Może jej pragnienie Bóg łaskawy spełnił, bo zesłał mi Ciebie, ukochana.

Nie przejmuj się niczym, kochana ma Dziewczyno; chcę byś była zawsze pogodna i wesoła.

Jeśli chodzi o przewożenie w małżeństwie, moja Mała, to był to tylko żart z mej strony. Z ukochaną mi istotą uzgadniał będę wszystko i we wszystkim zasięgał rady. Nie będę idiotą na „P”.³³

Co się tyczy, Hanulu, terminu ślubu, to przede wszystkim nie jestem do ślubu należycie przygotowany, no bo – po prostu Ci powiem – jestem goły jak święty turecki. Widzisz, Droga, wiele mi brak nawet z garderoby. Przed ślubem wszystko jest w różowym świetle; ale po ślubie każda rzecz może zakłócić nasze szczęście. Więc po co się spieszyć. Pomalutku, Hanulu moja, dalej zajedziemy.

Powinienem się pogniewać na Ciebie, Kochana, że mnie tak brzydko posądziłaś o to, że się nie znam na ludziach; życie mnie nauczyło wielu rzeczy. Rozumiem Ciebie doskonale, moja Hanulu, ale wiedz, że Antek Twój jest człowiekiem ambitnym i nie chce здаwać się na nikogo: nie chce, by w jego kieszeni zobaczono pustki – nie zniósłbym tego. Nie jestem również zupełnie pewny, co K.P. o naszym ślubie myśli – może mi robić różne wstręty w tej sprawie. Węc sądzę, że do rzeczy należy się brać powoli i ostrożnie.

Co się tyczy, dalej, przyjazdu do Modzel, to dziewiątego sierpnia nie będę mógł przyjechać, chyba by była rano msza – to na pewno bym przyjechał; jeśli jednak K.P. nie wyjedzie, to nie będę mógł, bo zatrzymają mnie obowiązki, Hanusku. Więc przyjadę, Hanusiu, jak tylko się nadarzy stosowna chwila; zrobię Ci wtedy niespodziankę i jeszcze Ci nadokuczam, Ty moje Słoneczko. Tak, Hanuś, odgadłaś; jest mi dobrze, bo posiadam skarb, którego szukałem dotąd bezskutecznie. A jednak i ja mam w sobie ten dziwny lęk, niepewność, czy zostaniemy małżeństwem. Ale jestem pewien, że to tylko majaczenia. Nie, nie! Ty musisz być moją. O Tobie, Jedyna, myślę stale i liczę dni i godziny, kiedy Ciebie znów zobaczę, otoczę Twą kibić, złożę na ustach koralu pocałunek miłości i upiję się jego przesłodkim nektarem, do zapomnienia.

³³ Aluzja – niejasna.

Wśród naszych alei brzozowych,
Szumiących cicho, boleśnie,
Szukam Twych oczu szmaragdowych,
Które straciłem tak wcześnie.

Wpatrzony w murawy kobierce,
I brzóz powiewne warkocze,
Wyczuwam tak blisko Twe serce,
Że aż mną całym łopocze.

O! Jak jesteście drogie, kochane,
Oczu szmaragdy wy moje,
Mgłą smętku czasem obleczone!
Kiedyż się nimi upoję,

Nasycę błyskiem Twej radości
I dotknę tych ust, bezgłośnie
Szepczących o naszej miłości
I życia naszego wiośnie?

Przyjmij, Droga, ten wierszyk, na razie może niezdarnie sklecony, ale szczerzy – ale z serca płynący. Jaki Tyś by mu dała tytuł?

Wiesz? Namalowałem teraz obraz, przedstawiający królowną harem i u nóg jej siedzącą niewolnicę, która gra na mandolinie. Wszyscy się nim zachwycają, ale ja czekam przede wszystkim na Twoją recenzję. K.P. widział ten obraz także: pogroził mi tylko z uśmiechem, no bo królowna ubrana jest „po turecku”. Obiecanych ptaków Ci na razie nie wysyłam, bo zdają mi się za słabe w wykonaniu.

O, Hanko!

Kiedy wyjeżdżałem od Ciebie, wszystko mi grało symfonię miłości; każdy szep, szmer zdał mi się słowem pieszczoty. Ileż tyś mi dała ukojenia, ileż wlała w me serce mocy kochania – wypowiedzieć jest trudno. Słowa Twe („An-tek”, „An-tek”) dziś słyszę tak słodko, tak mile, że aż piersi me rozpiera radość, że odnalazłem tę, która me serce zaspokoii.

Wracam jeszcze raz do terminu naszego ślubu. I ja pragnąłbym jak najprędzej mieć Ciebie już na wieki swoją, bo po cóż tak się szwendać i tu, i tam bez celu. Matki nieboszczki choroba pochłonęła wszystkie oszczędności; wszystko więc trzeba kupić, a i wydatki związane ze ślubem też będą niemałe.

Ze zdania, że chodzę sobie gdzie indziej, zdaje mi się, że przebijają Twoja niepewność, i podejrzenie, że jest mi bez Ciebie dobrze. Haneczko! Dlaczego tak dziwne to zdanie ujęłaś? O nie, moja Mała! Bądź pewna swego Ant-ka; jak myśli, to tylko o zielonych oczach swej Hanki, która czasami ukłuje go w serce takim zdaniem. Mnie również wybaczyć, że tak bazgrzę, jak kura pazurem i na podaniowym piśmie papierze, ale w Piekutach tylko taki papier można dostać, a w Mazowiecku zapomniałem kupić zapas. Honorci powiedz, że szwagier tęskni za nią i rad bym jej dołeczek na buzi pocałować, ale na razie musi obejść się smakiem. Uściskaj ją też ode mnie mocno. Pozdrów Rodziców i wszystkich krewnych.

Moi goście³⁴ jeszcze są w Piekutach, ale już pierwszego sierpnia prawdopodobnie odjadą do Ostrowi. Genia zostaje jeszcze na trzy tygodnie. Józef jest znowu słodziutki jak dawniej. K.P. już też przychodzi do siebie, tylko ta burza z piorunami, które uderzyły w budynek Urzędu Gminy, rozstroiła mu nerwy; podobno trząsał się jak w febrze.

Na plebanii było trochę zamieszania, bo inspektor był tam dwa dni; ciocia była z tego powodu bardzo zdenerwowana. Poza tym nic nowego. Tylko wójt³⁵ urządza sobie *rendez-vous* z dziewczyną z Komorowa: raz był w Sokołach z nią, drugi raz w Brańsku; Piekuty się trzęsą ze śmiechu z tej komedii.

Kończę i całuję Twe rączki – Twój Antek.

• Modzele, 12.08.1936.

Tolku!

Wyobraź sobie, że byłem przekonana, że przyjedziesz do mnie. Zdawało mi się, iż nic Ci nie przeszkodzi. Czekałam na Ciebie do godziny dziesiątej, następnie pojechałam do kościoła, nie tracąc nadziei, że może przyjedzie Tolek później – lecz niestety, powróciwszy z Puchał, Ciebie nie zastałam. Nic i nikt nie mógł mnie rozweselić, chociaż gości było u nas moc. Żeby zabić tęsknotę i nie myśleć o Tobie, piłam przy obiedzie jak nigdy. Humor jednak się nie poprawił. U nas w domu była zabawa; tańczyłam do godziny dwunastej, żeby prędzej czas przeszedł.

³⁴ Chodzi o członków najbliższej rodziny.

³⁵ Wójtem Gminy Piekuty był wtedy Franciszek Kamieński.

Tolku! Dlaczego ja Ciebie tak pokochałam? Zdaje mi się, że z Tobą będę szczęśliwa.

Co do jednego chciałabym, abyśmy się dobrze zrozumieli. Piszesz, Tolku, że się w sobotę zobaczymy. Ale czy na pewno? Może znowu coś Ci przeszkodzi? Tolku! Jestem co prawda zaproszona na odpust do Śniadowa, ale nie pojadę: będę czekać na Ciebie.

Jestem ciekawa, co też mógł Ksiądz mówić i jaki mieć żal do mnie. Ale trudno się mówi; widocznie tak musiało być, że Ksiądz dał mi urlop, i że ja Księdza nic nie obchodzę. Niech i tak będzie. Może i Ty, Tolku, masz jakieś wątpliwości względem mojej osoby, to przemyśl je gruntownie, żebyś później nie rozczarował się i nie miał żalu do mnie.

Ty może myślisz, Tolku, że ze mnie panna zdolna tylko do gotowania, sprzątanego itd. Tak, umiem to robić; ale obok tego mam jeszcze rozum i jego poloty nie kończą się na tym. Marzę o innym życiu. Chciałabym jedynie, aby i Tolek miał takie poglądy na te sprawy; więcej nie potrzebuję i będę zadowolona. Wtedy, Toleczku, życie moje i Twoje stanowić będą jedność; wspólnie będziemy dążyć – z pomocą Bożą – do doskonalenia się. Powiedz, Toluś, czy to nie miło zajrzeć do domku małego, w którym panuje zgoda, wzajemne poświęcenie się – niż do pałacu, w który wiecznie panuje niezgoda i wzajemne wyrzuty? Wiem o tym, że natura ludzka łatwiej się nagina do złego niż do dobrego. Ale od czegoś Ty będziesz? Pod Twoją opieką Hanka będzie starać się wszystkie swe wady wykorzenić. Ty jej w tym pomożesz, prawda Tolku?

A może zmienisz swe zdanie, gdyż Ty, Tolku, miałeś już niejedną sympatię?

Powiedz mi, dlaczego stale wysyłasz listy z Szepietowa? Czy się obawiasz w Piekutach kogoś, kto by Ciebie wyśmiał, iż do mnie piszesz? Jeśli jest tak i Ty się obawiasz drwin, to rozumiem. Ale może jest tego inna przyczyna?

Przyjedź, Toleczku mój kochany, koniecznie, bo życie bez Ciebie jest dla mnie takie puste. Tęsknię za Tobą bardzo. Nic nie robię, tylko czytam i myślę o Tobie. Tak, Tolku Ty mój, modlę się, aby Matuchna Najświętsza miała nas w swojej opiece i połączyła nasze dusze na wieki, jeśli to jest wolą Najwyższego Stwórcy.

Moja rodzina czeka na przyjazd cioci, czy też wiadomość od Księdza, ale jakoś na razie na nic doczekać się nie może.

Ja czekam na Ciebie w sobotę, przyjeżdżaj.

Pozdrowienia od rodziny, ode mnie mały całusik w nosek. Toleczku! Odżywiaj się dobrze, nie zważaj na słowa złych ludzi, i bądź pewny, że Hanka Ciebie więcej kocha niż Ty ją – o! dużo, dużo więcej, jak się przekonałam...

Twoja Hanka.

• [Piekuty,] 23.08.1936.

Moje Słoneczko!

Niech tak nie chmurzy się za lada podmuchem nieprzyjaznego wiatru – niech pamięta, że po dniach niepogody nastaje zawsze piękny czas. Hanko! Nie trzeba tak czarno patrzeć na swą dolę, bo Antek Twój chce, byś była pogodna i wesoła, i zawsze będzie się gniewał, gdy niepoprawna Hanka będzie mu stale pisała, że Antek to-lub-owo. Słów moich i uczuć nie zmienię, dopóki Ty, Hanko, nie powiesz mi: „Już Ciebie nie kocham – możesz odejść!” lub coś w tym sensie. Ja słowem „kocham” nie frymarzę; umiem i pragnę kochać miłością ogromną. Mam w sercu, Hanulu moja, miłość prawdziwą i nie ulęknię się niczego, gdy Ty mi się odwzajemniasz. Życie przed nami będzie się czasem uśmiechać, a czasem szczerzyć zęby, ale to nie zmieni naszej miłości, jeśli będzie wzajemna. Co się zaś tyczy charakteru Twego, to nie jestem dudkiem na kościele. Kiedy inni Ciebie, Hanulu moja, ganili, ja zawsze znalazłem na to coś, co Ciebie tłumaczyło.

Wybacz, że zakłóciłem Ci spokój słowami Księdza; uwierz mi, że przykro mi było wyznać Ci., jakie były jego słowa o Tobie. Jemu здавало się, że tymi słowami zniechęci mnie do Ciebie. Mylił się. Nie zdołał wydrzeć z serca mego miłości ku Tobie, Hanuś. Pogłębił natomiast moją nieufność do niego, ponieważ jego słowa były niegodne sutanny kapłańskiej; tym, że nie zdobył się na gest przebaczenia, przekreślił największe przykazanie Boskie i ludzkie. A ja uważam, że człowiek, który nie umie przebaczyć, sam nie jest wart przebaczenia.

Nie obawiaj się, moja Hanusiu, że Cię zdradzę. Bądź zawsze dobrej myśli: jeśli Ty wytrwasz, i ja wytrwam., Na razie musimy miarkować nasze ruchy, bo życie tego wymaga; inaczej wszystko mogłoby pójść na marne. Powoli dojdziemy do celu – nie tą, to inną drogą – jeśli

tylko będziemy tylko ufali naszej miłości, naszym zamiarom. Hanko! Któż zdolny jest wydrzeć nam uczucia z serc naszych? My jesteśmy ich właścicielami. Nie żyjemy po to, aby zaspokajać cudze zachcianki.

Wybacz, że długo nie pisałem – dlaczego, przy okazji Ci wytłumaczę, bo będę się starał w najbliższym czasie chociaż na parę godzin być u Ciebie, Jedyna. I ja tęsknię do mej ukochanej – o, bardzo! Błądzą w wolnych chwilach po tych ścieżkach, gdzie moja Hanka ze mną razem spędzała ostatnie chwile w Piekutach i szukam jej śladów – daremnie. To jedno znajduję w moim sercu, że kocham Mą Hankę ogromnie – z całej duszy. W ślad za mną, jak echo, suną słowa pieśnyczoty i gdy chcę porozmawiać z mą ukochaną, to wyjmuję listy jej najdroższe i rozmawiam z nią, i myślę z Nią, wpatrzony w Jej słowa.

Gdy tylko nadarzy się sposobność, moja Hanulu, będę u Ciebie, by nasycić się świergotem Twoich słów, blaskiem szmaragdowych oczu i purpurą Twych ustek koralowych. Nigdy nie myśl źle o Twym Antku. On nie podepcze Twej miłości – o, nie!

Wybacz, że tak brzydsko piszę, ale już trudno, taki mam kiepski charakter pisma.

Całuję Twe rączki, tak drogie, kochane. Pa, mój Aniele, pa! pa!

Zawsze Twój Antek.

Dla ostrożności listy wrzucaj nie na pocztę lecz bezpośrednio na pociąg, w Czerwonym Borze, bo ktoś niepowołany może do nich zaglądać.

• Modzele, 2.09.1936.

Mój Tolku duży!

Teraz już chyba nie będziesz się na mnie gniewał za początek. Już nie będę Ciebie nazywać „małym”; od ostatniego pobytu jesteś dużym, kochanym Tolusiem. Chyba się na to zgadzasz – a jak nie, to będziemy się bić, jak przyjedziesz do mnie.

Na pewno jesteś ciekaw, co moi rodzice dowiedzieli się od moich dawnych opiekunów. Otóż, Tolku, wrócili nic nie uczyniwszy dla nas.

Mam taki chaos w głowie, że nie wiem, co mam pisać.

Wiem tylko, że w oczach wszystkich w Piekutach jesteś najgorszym człowiekiem. Rozleniwiłeś się i nic nie chcesz robić; jedynym

dążeniem Twoim jest wzbogacenie się jak najmniejszym kosztem i w związku z tym jesteś arogancki dla ludności; jeżdżąc po snopkowym,³⁶ kłócisz się z parafianami piekuckimi. Nawet są wniesione zażalenia, aby Ciebie zwolnić z Piekut.

Ciocia upoważniła Józefa, aby wyłożył wszystko, co wie o Tobie. On nie oszczędzał języka i mówił, co tylko mu do głowy przyszło, że aż mi było przykro słuchać, jak Mamusia mi opowiadała, co powiedział. A mówił, żeś Ty początkowo szydził ze mnie, a ja nic sobie z tego nie robiłam, bo zatraciłam poczucie honoru. Ksiądz, ciocia, Franusia i Józef płaczą nad moim losem, że popełniłam błąd odrzucając partię z Mazowiecka. Józef twierdził, że chłopak z Mazowiecka jest jak-ta-lala: że ja przy nim nadaję się tylko do czyszczenia butów; że jest bogaty, posadę ma dobrą. Jakże go mogłam nie chcieć?! Toż to zgroza!

O Tobie się wyrażał, że Ty i Twoja rodzina nie macie nawet co jeść i na czym spać (bo na jednej poduszce śpią wszyscy). Że cioci jeszcze nie zapłaciłeś za mleko i stołowanie. O Twoim charakterze mówił, żeś awanturnik i złośnik. Przestrzegał, że jeśli się pobierzemy, to na pewno będziemy się targać za włosy i bić, bo i ja jestem krewka.

Nie będę już ranić Twego serca, Tolusiu! Wiem, że życie Twe nie było usłane różami. Musiałeś dążyć przebojem do zamierzonego celu. A oni najpierw chwalili, Tolusiu, Ciebie, a teraz znowu błotem w Ciebie ciskają. Ach! Jak ja takich ludzi nie lubię – po prostu brzydzę się nimi.

Nie masz pojęcia, jak Ksiądz wyrażał się o mnie, a jak chwalił moją kuzynkę Zosię,³⁷ którą poznałeś. Ta ostatnia naopowiadała na mnie do Księdza kawałki, o których mnie nawet się nie śniło. Pamiętasz, jak Ciebie zaprosiłam na górkę, gdy ona była, a Tyś wygrywał różne tanga. Zocha prosiła mnie, abym Ciebie jakoś na górkę sprowadziła, bo jej się okrutnie przykrzy. I chociaż mnie było głupio to zrobić, jednak poprosiłam Ciebie, aby ją zadowolić, bo to gość. Ona tymczasem opowiadała Księdzu, że ja ją błagałam, abym mogła w jej obecności Ciebie zaprosić. Ksiądz za to mnie potępiał i mówił, że czyniąc tak, nisko upadłam. Nigdy się nie spodziewałam, że ona potrafi być tak podła. Trudno: chyba cały świat się sprzyściągł, aby mnie potępić.

³⁶ W tamtych czasach od parafian zbierana była przez organistę raz w roku dziesięcina w snopkach.

³⁷ Mowa o Zofii Maciejewskiej.

I jeszcze inne historie mówił ksiądz, ale nie wystarczyłoby mi miejsca na opisanie tych historii. Mnie już nie chce na oczy widzieć, a Ty będziesz musiał przy każdym wyjeździe z Piekut informować go, gdzie i po co się udajesz. Ma Ci dać plan, co masz robić, i będziesz musiał się do tego planu ściśle stosować. Kazał rodzicom, aby nie pozwolili mi pisać listów do Ciebie, bo Ksiądz za nic w świecie nie chce, abyśmy się pobrali.

Tolusiu! Jak chcesz dowiedzieć się szczegółowo o wszystkim, co Ciebie i Hankę mówili, przyjeżdż do mnie, jak znajdziesz odpowiednią chwilę.

Tolusiu mój! Nie wierzę nikomu z tym, co Ciebie szkalują; uwierz w to dopiero wtedy, jak Ty to potwierdzisz.

Ty zaś postąp, jak Ci rozum i sumienie podpowiada. Pamiętaj tylko, że starszym osobom zawsze należy się szacunek. Józef to szpieg; o każdym Twoim kroku donosił do Księdza. Wykombinuj więc, jak mu zamknąć buzię, że niczego na Ciebie nie mógł gadać. Ja natomiast wiem, że do Piekut nie pojadę już nigdy. Nie chcę też siedzieć w Modzelach – bo to sprawia, że coraz częściej boli mnie głowa. Będę się starała gdzieś wyjechać.

Jedyną moją radością jest przyjazd Tolka do Modzel. Wtedy zapominam o wszelkich ludzkich szykanach – i czuję się obok mego kochanego Tolusia szczęśliwa. Natomiast gdy nadchodzi chwila rozstania, znowu czuję, że jestem samotna.

Toluśku! Ksiądz wie tylko, żeś był u mnie na imieninach; o innych odwiedzinach nie wie, a moi rodzice jeszcze go mocniej w tym utwierdzili, że tylko raz byłeś. Nie obawiaj się więc niczego, i gdy nadarzy się chwila, to przyjeżdż; ja będę oczekiwać na Ciebie każdego dnia.

Tolusiu! Nie przejmuj się tym, co napisałam. Wiedz o tym, że jeśli nawet wszyscy Ciebie potępią, znajdzie się jeszcze dusza, która Tolka tak źle nie sądzi. Choć ciałem jest ona daleko, to duchem – bardzo blisko. Tolusiu! Wierzę, że jesteś moim przyjacielem: że nie przyłączysz się do innych i nie rzucisz we mnie kamieniem. Gdy zresztą nawet tak się stało, to pocieszyłabym się, że dostaję kamieniem od osoby kochanej.

Powiesz zaraz, że to „szpilka”! O nie! Tyle już doznałam zawodów ze strony różnych od ludzi, że mimo woli przychodzą mi do głowy ta-

kie myśli. Kończę już i czekam na Tolka dużego kochanego, aby móc go uściskać mocno i nadokuczać.

Całuję Ciebie w oczko i w nosek – Twoja Hanka.

• [Piekuty,] 21.09.1936.

Hanulu Moja!

Dzisiejszego wieczoru byłem z wizytą u Ks. Pr. Zakomunikowałem, że będę się starał o ile możliwości ustąpić z Piekut, zastrzegając, że jeśli do zimy nie znajdę posady, to na zimę nie wyjadę, gdyż Ks. Pr. wymawia mi miejsce bez żadnych z mej strony istotnych powodów, ponieważ ja swoje obowiązki należycie spełniam. Ks. Pr. odpowiedział: „Listopad to jeszcze nie zima. Być może Pan nie widzi powodów, ale ja je mam.” Po takim *dictum* zakończyłem wieczorną wizytę u Ks. Pr.

Hanuś! Złożyłem już dwie oferty: jedną w Kostrzynie pod Poznaniem, a drugą w Juchnowcu, o dwie czy jedną stację od Białegostoku w kierunku Bielska. Hanuś! Bóg nam dopomoże – bądź dobrej myśli. Trudno, że Twój Kuzyn odpłaca nam taką niewdzięcznością; my przetrwamy, da Bóg. Miłość nasza zwycięży, choć teraz przykro jest i Tobie, i mnie, że tak się losy nasze dziwnie kojarzą. Życie nasze może nieraz nam jeszcze dokuczy, ale teraz nam dobrze, jak jesteśmy razem. Jeśli będziemy się kochać prawdziwie, czyż Dobry Bóg będzie nam zsyłał same krzyże i cierpienia? Nieraz może będziemy narzekać na swe życie, ale mnie się tak zdaje, że my się zrozumiemy, że wspólnie przemożemy te ciężkie chwile, chociaż wiem, że życie nie zawsze kochającym się istotom sprzyja; najczęściej tym sprzyja, który nie są z niego zadowoleni.

Hanko! Gdy z Tobą przebywam, to tak mi jakoś beztrudno czas schodzi; tak jakoś ukojnie, że mimo, iż ludzie mi wiele robią przykrości, to jednak przy Tobie zapominam o wszystkim; unoszę się gdzieś w inny jak gdyby świat i wtedy ten czas tak szybko ulata, a gdy żegnam się z Tobą tak czegoś mi tęskno i żal.

Wiesz, Hanuś, swoim wypadem a raczej swymi odwiedzinami w sobotę, gdy otrzymałem list od Ks. Pr., narobiłem wszystkim strachu. Księdza formalnie przez całe trzy dni nie mogłem zastać w domu. Gdy się dowiedział, że byłem na plebanii, zaraz wyszedł do kierowników,³⁸ a

potem nie wiadomo skąd-i-co wrócił późno z Hodyszewa. Następnego dnia rano w kościele przy kleryku Kostrze zakomunikował, że bardzo późno wróci z Sokół, a trzeciego dnia wyjechał do Mazowiecka. Wrócił dopiero o godzinie ósmej wieczorem przybył i ja wtedy się zgłosiłem na plebanię. Pod sekretem się dowiedziałem, że w zeszłym tygodniu miał być napad bandycki na plebanię, ponieważ jakoby spodziewają się jacyś grasujący gdzieś w lasach bandyci pieniędzy w związku z rozbudową kościoła. W związku z tym na plebanii mają posprawać dubeltowe zasuwy i antaby. Hanuś! Nikomu o tym nie mów, bo to rzecz bardzo nieciekawa; Józef przy tym udaje niewiniątko, ale Bóg z nim.

Kończę Haneczko, bo jutro rano o wschodzie słońca wyjeżdżam na parafię. Pa! Pa! Hanuś, bądź dobrej myśli; całuję Twe oczy kochane – Twój Antek.

PS. Pozdrowienia dla wszystkich. Spodziewaj się mnie wkrótce.

• Modzele, 5.10.1936.

Drogi Tolku!

Szczęśliwa się czuję, gdy jesteś ze mną. Niczego mi wówczas nie brakuje. Zdaje mi się wtedy, że cały świat jest mój. Ach, Toluś! Czemu los się tak przeciwko nam sprzyjał i prześladuje bezustannie? Kiedy przypominę sobie, jak Ty, Tolku, przyszedłeś do mnie na górkę, wszystkie przykrości, niepowodzenia, znikają z horyzontu. Usłyszałam od Ciebie wtedy słowa tak proste, a drogie zarazem, na które czekałam, przeczuwając, że powiesz kiedyś. Byłam szczęśliwa i nie przypuszczałam, żeby mój opiekun przyczynił się do takich przykrych następstw. Może chciał dla mnie szczęścia – sam Bóg wie, jak to było.

Tolku! Mnie się zdaje, że ja będę szczęśliwa z Tobą. Nie wierz, Tolku, tym, co Ci mówią, że ja się zmienię i postąpię z Tobą jak z innymi. Tak na pewno nie będzie, ponieważ nie pokochałam Ciebie dla Twojej urody, dla Twego majątku, dla Twego rozumu. Niektórzy dają się uwieść tym zaletom, ale są one znikome, a więc i miłość na nich oparta prędko się skończy i nastąpi rozczarowanie. Ty, Tolku, jesteś inny od wszystkich, których znałam; dlatego pokochałam Ciebie.

³⁸ Prawdopodobnie chodzi o Franciszka Sypniaka, który był kierownikiem miejscowej szkoły, i jego żonę Wiktorię, która była nauczycielką w tej szkole.

Są chwile, Tolku, że Hanka siada przy piecu, zamyka oczy i myśli dużo... dużo. Zastanawia się głęboko, czy ona Tośka kocha. Robi różne zestawienia i dochodzi do wniosku, że kocha go bardzo i kochać będzie. Innym znowu razem zastanawia się, czy Ty będziesz z nią szczęśliwy; czy ona Tobie odpowiada swymi poglądami i wszystkim. Wtedy Hanka boi się, bo Ty jesteś muzykiem, trochę malarzem, i możesz jej wyrzucać, że ona w tych rzeczach jest laikiem. Może Ty chciałbyś mieć żonę, która potrafiłaby ślicznie grać, śpiewać, a tylko jakiś przypadek zrzucił, że ja stanęłam na drodze Twego życia. Kiedy dochodzę do takich wniosków, jest mi bardzo smutno. Pocieszam się jedynie, że miłością wszystko można zwyciężyć. Prawda, Tolku? Jedynym moim marzeniem jest, abyśmy byli już nareszcie razem. Będę starać się zawsze być wesółą, aby Ci ze mną było dobrze. Chcę żyć i wszystko robić tylko dla Ciebie. Żyjąc dla Ciebie, żyć będę dla Boga, ponieważ Bóg stworzył ludzi, aby uczynić ich szczęśliwymi.

Życie nasze musi być bardzo proste.

Wiem o tym dobrze, że dwie osoby żyjąc razem muszą bezsprzecznie na siebie wzajemnie wywierać pewien wpływ. Szczęściem moim byłoby to, że ani ja Ciebie, ani Ty mnie nie starałibyśmy się trzymać sztucznie pod własnym wpływem. Będziemy żyli jedno obok drugiego, gardząc małostkowością, unikając powodów do kłótni. Słusznie zauważyłeś, że zależy Ci, abyśmy w każdej sytuacji się dobrze rozumieli. Tolusiu – i ja tego również pragnę, bo jakież byłoby nasze pożycie, gdy jedno chciało iść w prawo, a drugie w lewo. A teraz tak mało jest dobrych małżeństw. Tyle jest zła na świecie, że na każdym miejscu trzeba je zwalczać. Z Tobą, Tolusiu, nie obawiam się niczego. Nasze życie urządzimy tak, jak sami będziemy chcieli, a gdy nie będzie się ono sprzeciwiać woli Bożej, pobłogosławi nas Stwórca we wszelkich poczynaniach. Ufajmy Mu; On nas wysłucha i obecną rozłąkę nagrodzi. Prawda, Tolku?

A może Ty myślisz inaczej – nie zgadzasz się ze mną?

Nigdy nie jest za późno powiedzieć: „Hanko, nie zgodzimy się ze sobą, a więc żegnaj i zapomnij o mnie!”. Nie potępiłabym Ciebie za to, ale w oczach moich byłbyś naprawdę człowiekiem z charakterem. Dwulicowców nie znoszę; są to tchórze, którzy boją się zdania innych ludzi.

Tolku! Jaka u nas brzydka pogoda: zimno, wciąż padają deszcze ze śniegiem i wiatr wciąż wieje i wieje. Minęło już ciepło, a z nim już i Twoje przyjazdy. Teraz dla mnie zaczną się długie, smutne dni, smutne. A najgorsza jest – niedziela; przypominam sobie, jak to było w Piekutach: koncerty, śpiewy i.. różne sprzeczki. Zgodziłabym się obecnie na różne przykrości ze strony dawnych Opiekunów, aby być bliżej Ciebie. Jednej rzeczy nie wyrzekłabym się, a mianowicie, żeby Ciebie przestać kochać. Mam jakieś przeczucie, że jeszcze nadejdzie ten dzień, że razem będziemy w Piekutach. Ale może się mylę?

Jutro jadę do Zambrowa, a więc dziś wieczorem piszę do Ciebie. Będę oczekiwać albo listu od Ciebie, albo Ciebie, Tolku, samego. Lubię, Tolku, Twe listy i wierszyki. Gdy mi jest tęskno do Tolka „dużego”, wyjmuję listy i czytam; w ten sposób rozmawiam z Tobą. Jestem ciekawa, jak Ksiądz zapatruje się obecnie na ostatnią Twoją podróż. Modlę się, Tolku, aby serce skamieniałe nawróciło się i nie przeszkadzało nam w połączeniu się.

Tolusiu, muszę kończyć, bo mamusia każe mi iść już spać. Pa, Tolusiu! Śpij dobrze i śnij o Hanuli. Nie martw się i nie przejmuj się niepowodzeniami. Bądź dobrej myśli, Tolku!

Hanka.

Ciebie na dobranoc mocno całuję, mocno w samą buzię. Kiedy będziesz miał wolną chwilę, napisz do niej swej Hanki, długo, dużo, bo ona chce Ciebie dobrze poznać. A kiedy już będę miała Twoją fotografię? Obiecałeś mi – ja czekam dość cierpliwie. Ale gdy cierpliwość się wyczerpie, to bieda będzie z Tobą. Przyślij mi, Tolku, przyślij – ja bardzo, bardzo proszę. Ty przecież nie umiesz odmówić swej Hance?

Pozdrowienia od Honorki i wszystkich. Ukłony dla p. Zygmunta no i dla Twego tatusia, choć nieznanego. Hanka z dała przesyłał Tolkowi całuska słodkiego.

Będziesz miał roboty, Tolku, z odczytaniem moich bazgroł. Co teraz porabiasz? Na pewno śpisz dużo i chodzisz na spacer.

Żegnaj, Tolku!.

• P[iekuty] N[owe], 30.10.1936.

Hanulu Moja!

Zwlekałem tak długo z listem, bo chciałem się dowiedzieć, co odpowie Ks. Pr. na propozycję zamiany p. Olędzkiemu i nie doczekałem

się, ponieważ pan Olędzki nie miał stosownej okazji rozmawiać o tym z Ks. Pr. Obawiałem się, że Ks. Pr. będzie u Ciebie i dokona ostatecznego „zamachu”, gdyż zaraz po powrocie z wywczasów wyjechał, znowu na dwa dni, do Łomży, na sprawę z byłym organistą Skarżyńskim, który apelował [u biskupa?]; przy tej okazji mógł zabłądzić do Modzel. Miał jednak wiele spraw do załatwienia, więc sądzę, że ostatecznie nie był u Ciebie, bo mi nic o tym nie mówi. Ale może jednak był? Może zdołał nakłonić Twoją rodzinę do swojego stanowiska?

Hanuś! Nie wyobrażasz sobie, jak mi jest przykro, że jestem takim może natrętem w oczach wielu. Ale jak tylko uświadomię sobie, że mam ukochaną Hankę, to kpię sobie ze wszystkiego i ze wszystkich: niech mi dokuczają i co chcą robią, ale Hanuś mnie kocha i to wszystko mi wynagradza. Bądź, Moja Dziewczyno, dzielna. Do szczęścia naszego nie po lansach się idzie; czas bólu i tęsknoty jest straszny i długi; ale da Bóg, będziemy razem wspólnie żyć, choć może los różne nam uścieli do tego drogi pełne przeszkód i niepowodzeń; będziemy je znosić razem, wpatrzeni w jedną gwiazdę: wspólny cel życia; to nam będzie nagrodą za cierpienia i trudy młodych lat.

Rozumiem, Hanko, że Twoje dzisiaj położenie jest przykre i względem rodziny, i względem innych ludzi. Trudno – inaczej na razie być nie może. Ja chciałbym jedną chwilą mieć przy sobie mieć Ciebie: Tę, która mnie rozumie – mieć przy sobie nad wszystko ukochaną istotę, która przyrzekła mi zastąpić moją ukochaną matkę: być mi przyjacielem, być mi osłodą życia. Hanko! Kocham Cię czystą, prawdziwą miłością. Chociaż życie Bóg wie, co może nam zgotować, to uczucia te pozostaną dla mnie zawsze drogimi.

Tak szaro i smutno jest wokoło. Nastrój ten zapowiada martwość i skon³⁹ Jakże dziwnie wszystko się kojarzy! Nadchodzą dni żałoby i myśl się rwie hen, w zaświaty, kędy uleciały duchy ojców i praojców, by przypomnieć, że i my tam kiedyś pójdziemy – może niedługo... Trudno... Wybacz, Hanulo, że piszę do Ciebie słowami pełnymi smutku. Ale nie dziw się, wszak utraciłem osobę, co każdemu jest najdroższa, osobę, co mi dała życie ziemskie, co mi tuliła łzy dzieciństwa – ukochaną matkę. Ty sobie nie wyobrażasz, jaki ból i tęsknota ogarnia człowieka

³⁹ Aluzja do zbliżających się Wszystkich Świętych.

po śmierci matki, Twoja matka żyje. Czyż ona cię nie utula, gdy Ty odkrywasz przed nią tajniki swego serca?

U nas w Piekutach niedługo prawdopodobnie dojdzie do nadzwyczajnych wypadków, bo inspektor samorządowy zjechał do gminy i robi dochodzenie. Prawdopodobnie wójt wyleci z posady, sekretarz zaś zostanie gdzieś przeniesiony.

Haneczko! Pomagaj swej matuli w pracy codziennej, bo, podobno, łobuzko jedna, nie chcesz nic w domu robić. Jak przyjadę, to Ci nawymyślam, że aż... Zatęsknij czasem do Antka, choć on bywa niedobry i niegrzeczny dla Hanki. Zobaczysz – od pierwszego [listopada] się poprawi.

Akademia ku czci Chrystusa Króla udała się podobno świetnie. Moje akcje idą więc w górę; mieszkańcy wsi zaczynają mnie, tego aroganta i rubasznika chwalić, że podobno w okolicy lepiej nie śpiewają. Jaki zwrot w jednej prawie chwili? Hanuś! Da Dobry Bóg, że karta nasza się odwróci i zajaśnieje nam lepsze jutro.

Wszyscy⁴⁰ na święta mnie opuszczają; zostaję jak korab na pustyni, sam, ale z myślą o Hanuli.

Kończę, bo ojciec czeka by zabrać list do pociągu, no i kończy mi się papier. Ukłony do wszystkich. Całuję Twe rączkę, Anulku. Pisz...

• [Piekuty,] 5.11.1936.

Hanko!

Już wiem, co mnie czeka w Piekutach, Wyrok na moją skórę napisany. Żadna siła go nie zmaże. Oto, z łaski Księdza Proboszcza, z litości na posadzie w Piekutach do wiosny zostaję. Nie wolno mi przy tym posady nawet szukać, ani na grób matki jechać, bym do Modzel czasami nie zabłądził. Trudno, ale mi uczuć z serca nie wydrą, bo razem z nimi wydarto by mi i Boga, a [do] tego nie są zdolni. Wszystko mogą, co ziemskie: Ciebie mogą mi zabrać; mogą nawet wmówić w Ciebie, że „on Cię nie kocha, on to-i-to, on tamto-i-owo”, ale mojego uczucia do Ciebie nie zdołają mi wydrzeć.

Miałem się bronić do ostatniej chwili, interweniować u ekscelencji księdza biskupa,⁴¹ lecz w ostatniej chwili zmieniłem swe postanowie-

⁴⁰ Chodzi o rodzinę przebywającą w Piekutach.

⁴¹ Piekuty należały do diecezji łomżyńskiej; ordynariuszem tej diecezji był wtedy Stanisław Kostka Łukomski.

nie. Uważam teraz, że skarga nie byłaby mnie godna; niech mają wątpliwą satysfakcję, że położyli na łopatkę kogoś, kto jest tylko pionkiem społeczeństwa. Niech się nacieszy Twój Kuzyn, że przed jego wolą nic się nie osto. Wiem, że się lubuje w celebrowaniu swojej siły; to jest widać kwintesencja jego życia – bo nieraz opowiadał mi o swoich sukcesach.

Może list ten, jak i poprzedni, już nie dojdzie do Ciebie, Hanulu, bo życie różne nam sprawia niespodzianki. Może zdołano Ciebie nakłonić do tego, być zerwała ze mną. Jeśli tak, to trudno: odejdę, jak przybyłem. Jeśli mnie rzeczywiście już nie kochasz, powiedz mi otwarcie – i to zniosę. Ale jeśli mnie nadal kochasz, to bądź dobrej myśli. Za rok lub dwa nasza miłość zwycięży: „miłości nikt nam nie odbierze, gdy zachowamy ją w prawdziwej wierze”.

Opiszę Ci teraz, Hanulu, jak mi Ksiądz dokucza.

Po Wszystkich Świętych wyjechał do Warszawy, nic nie mówiąc o tym nikomu. Idę więc do ks. Łuczaja, by mi pozwolił wyjechać do Ostrowi na grób matki; ten mi oświadcza: „Ks. Pr. wydał rozporządzenie, żeby w razie, gdyby organista prosił o pozwolenie na wyjazd, zabrać mu księgi z aktami i powiedzieć mu, żeby już nie wracał więcej do Piekut”. Oto oblicze kapłana przepełnionego zapalczywością. Trudno, są różne typy ludzi na ziemi. Sądzę, że to jest człowiek nie-szczęśliwy w swej złośliwości wobec mnie. Przyznam Ci się, Hanko, że zapłakałem po tym, co powiedział mi ks. Łuczaj, bo nie mogłem wytrzymać naprężenia nerwów. Ks. Pr. wyszukuje we mnie jakieś złe strony i przyczepia się byle czego, żeby tylko nie dopuścić do tego, byśmy byli razem. Dlaczego?

Może nieprędko się zobaczymy, Dziewczyno Kochana; a może los tak nas rozdzieli, że nigdy się nie zobaczymy, bo pp. Sypniakowie mówili mi, że ich zdaniem, Ks. Pr. dołoży wszelkich starań, by nie dopuścić do naszego ślubu. Napisz, co w ogóle myślisz o tym. Napisz szczerze, Hanulu. Wierzę, że choć wszyscy odwrócą się ode mnie, jednak Ty pozostaniesz mężna jak dotychczas. Hanko! Nie bój się o mnie; jeśli kochasz Antka prawdziwie, i ja pozostanę trwałe w uczuciach do Ciebie. Bo zapaliłaś, Hanko, we mnie uczucia, których nic nie zdoła zgasić. Dla Ciebie gotów jestem na wszystko, choćby wszyscy byli *contra me*. Właśnie godzina próby nadchodzi. Przypomnę więc:

Nie ten przyjaciel, co w pomyślnej chwili
swoją miłością życie Ci umili,
lecz ten, co w życia sromotnej godzinie,
swymi ramiony szyję Ci owinie.

Dobranoc, Hanko! Bądź zawsze dobrej myśli!

Co teraz porabiasz? Śpisz pewnie i śnisz; jest już dwunasta, gdy piśsz ten list do Ciebie. Kochanie Ty Moje; śpij snem o wiośnie – tym snem, który daje ukojenie i siłę wytrwania, snem złotym. Jest to sen z bajki czarownej, złudnej, bo treścią życia – jest krzyż; a im większy jego ciężar, tym większy czeka nas laur.

Śpij, dziewczyno, słodko śnij,
I z wszystkiego sobie drwij.
Chociaż w sercu pełno burz,
Z brzaskiem zórz je Marii złoż.
Ona Cię utuli,
Luli, luli, luli...

Pisz – Antek.

Pozdrowienia i ukłony do wszystkich. Wybacz, że zatłuściłem list, ale to od lampy, a papieru listowego już nie mam, bo mi wyszedł. Wybacz.

• [Modzele, ok. 10.11.1937.]

An-tku! Antku mój!

Tolku, dobrze nam, gdy jesteśmy razem, ale cóż zrobić, że los złowrogi wciąż między nami czyni przepaść coraz głębszą – zda się nie do przebycia. Miłością można jednak i przepaść przebyć, tylko trzeba dużo zaparcia się siebie, poświęceń i czasu. Ty, Tolku, wciąż pracujesz, aby przepaść wyrównać, przyjść do mnie i powiedzieć: „Hanko! Już zwyciężyłem, choć z wielkim trudem, ale w sposób szlachetny!”. Bardzo podobało mi się to, że Ty nie myślisz nic złego o moim Kuzynie. Rób tak dalej, aby Twoje postępowanie było godne człowieka kulturalnego. Sam zawsze mówisz, że życie składa się z róż i kolców. Tych ostatnich jest więcej na drodze do naszego szczęścia. Sprawiają nam one ból i mękę. Ale gdy je usuniemy, wtedy będziemy szczęśliwi, a wkoło nas będą róż ślicznie pachnące, a my będziemy się nimi zachwycać i podziwiać Stwórcę-Boga, że jest taki dobry dla nas. Powiedz, Tolku, jak

to będzie wspaniale, gdy nadejdzie taka chwila, w której Hanka będzie zawsze z Tolkiem.

Wczoraj słuchałam radia i czegoż się dowiedziałam: że może nam nasza miłość z czasem ościć w gardle stanie. Ty jednak zapewniasz, że nigdy, a przeważnie to mężczyźni mają tę ość w gardle. Ja zaś się trochę uczyłam, jak ratować ludzi w nagłych wypadkach. Dlatego jeżeli Ci w tej miłości najpierw będzie miło, a potem nagle stanie ona ościć w gardle, wtedy Hanka włoży biały fartuch, rękawy zawinie za łokcie i dalej do tej ości, aż ją wyjmie. Prawda, Tolku, że i z ością, o której słyszałam przez radio, damy sobie radę?

Mam wrażenie, że szczęśliwie dobrnąłeś do Piekut, bo moje gwiazdy prowadziły Cię i usuwały z drogi wszelkie przeszkody i chroniły przez nieszczęściami.

Śliczny u nas dzisiaj dzień; słońko świeci, niebo bez chmur – tak, że na duszy jakoś weselej.

No wiesz, Tolku? Taki z Ciebie niedobry chłopczyk, że płaczesz? Gdy przeczytałam Twój list ostatni, smutno mi się zrobiło: na nic się nie zdało słońko. Tyś płakał, Tolku. Łzy Twoje to rozżarzone węgle, które me serce palą. Nie płacz nigdy! Głowa do góry! Życie jest zbyt krótkie i zbyt piękne, żeby je marnować, płacząc, gdy inni zadają cios! Wiesz, Tolku: rób tylko dobrze, a dobrocią wszystko przezwyciężysz – nawet głazy pokruszysz. Tolku! Słucham muzyki i do Ciebie piszę list. Tak ślicznie grają! Może i Ty masz słuchawki na uszach i myślisz – o czym? O mnie? Nie. Pewnie o dawnej miłości, przez którą nie miałeś tyle zmartwień, co miłość do mnie.

Czytając to, co napisałam, powiesz: „To szpilka”. Nie; to igła cieniutka.

A teraz – pod wpływem muzyki – stworzyłam „wielkie” dzieło” nie tak piękne, jak Twoje, ale z serca, więc może będzie dla Ciebie droższe. A więc czytaj i śmieję się z naiwnej Hanki.

Gdybyś Tolku wiedział, jaki smutek w mym sercu tkwi,
To byś wyleczyć go chciał, wylewając ze mną łzy.
Gdyby me cierpienia mogły poznać gwiazdek roje,
Rzuciłyby się z nieba, by ukoić bóle moje.
Lecz one nie wiedzą zgoła nic. Ty jeden to tylko wiesz,
Ty mój jedyny, co za ból, co wdarł się w serce me.

Tolku mój „duży”! Chcę byś był ze mną zawsze wraz,
Bo wtedy szczęście wielkie i miłość ogarnie nas.

Gdy patrzę Ci w oczy szare, Twój jasny, Tolku, wzrok
Miłość mi szczerą wyznaje – na wieki, a nie na rok.

Pisz koniecznie, jak zatęsknisz do Hanuli. Pomyślisz sobie, otrzymawszy ten list: Ona jest inna niż tamta pierwsza; pisze często listy, a do tamtej musiałem dwa napisać listy, żeby raczyła mi odpisać.

A ja Tobie na złość piszę tak często – i basta! Jak Ci się nie podoba, to pocałuj mnie w nosek! Rozumiesz Mój Chłopczyku?

Gniewam się na Ciebie. Nie lubię ludzi, którzy nie spełniają obietnic. Tolku! Kiedy doczekam się od Ciebie dużej fotografii? Czy jesteś tak skąpy, że nie możesz się zdobyć na to, aby mi zrobić przyjemność?

Wybacz, że Cię upominam, ale przyrzekam, że już więcej o tym mówić nie będę.

Tolku, Ty myślisz chyba o mnie bardzo źle. Dowiedziałam się, że Ty podobno powiedziałeś Józefowi na jego zapytanie, czy byś się ze mną ożenił: „Nie potrzebuję pani domu, tylko dobrej gospodyni”. Od Mamusi pewnie usłyszałeś, że nie jestem pracowita, a więc uważaj, abyś głupstwa nie zrobił!

Pomimo wszystko, jeśli się namyślisz, to napisz do mnie.

Tolku kochany! Dlaczego jesteś taki niedobry dla mnie? Powiedziałeś, że się poprawisz. Ale kiedy? Ty wiesz, że Ciebie kocham, więc nie zwlekaj!

Kończę, Tolku, ściskam i całuję Ciebie mocno – Twoja Hanka.

• [Piekuty, ok. 15.11.1936.]

Kochana!

Miłość moja ku Tobie jest święta i pełna. Choć nieraz może los inne nam spleta figle, lecz wołam otwarcie na cały świat: Ja Ciebie kocham naprawdę! Może Cię owiać nuta patosu w mym liście. Nie, Hanko, mówię Ci szczerze. Co jutro przyniesie, nie wiem. Może przyszłość nie będzie dla mnie radosna. Trudno: wszystkie przeciwności wytrzymam. Przeciwno Twoim przypuszczeniom, że może ja o innych dziewczynach myślę, Haneczko, nie będę stawiać dowodów. Mam, dziewczyno kochana, dwadzieścia siedem lat już skończone w tym miesiącu, 15

listopada. Więc znam, co życie. Ludzie mi wiele przykrości uczynili i robią to dalej. Ale to furda, gdy Ty mnie kochasz. Jestem może przez ludzi niezrozumiany, bo ktoś zrozumie zwariowanego artystę ze spalonego teatru. Uważają, że życie w dostatku im tylko da szczęście. To są ludzie, moim zdaniem, niscy. Bo na cóż dostojenstwa, na cóż dostatek, gdy serce jest jak głaz, wypełniony intrygami i złych porywów.

Hanko! Mimo że świat nam płata nam figle, cóż to znaczy wobec naszej miłości! Z podniesioną głową, dumnie wzniosłszy czoło, patrzmy w naszą przyszłość. Miłość nasza zwycięży. Hanko! Dawno poznałem, jaka jesteś, i nieraz myślałem nad tym, czy my się ze sobą zgodzimy; zawsze na koniec dochodziłem do wniosku, że jesteś moją jedyną dziewczyną.

Fotografię Ci, Hanko, prześlę, ale teraz mam dużo zajęć. Ludziska w Piekutach umierają tak, że nie można znaleźć chwili, żeby wyjechać do Mazowiecka. Józef wyjechał po moją rodzinę. Bądź, Hanko, cierpliwa. Nie jestem tak zły, jak może sądzisz.

Wiersz Twój, Haneczko, jest bardzo dobry, jest napisany w stylu nowoczesnym, modernistycznie; jak mi się uda, że będę u Ciebie niedługo, to Ci wytłumaczę, dlaczego.

Wybacz, że tak bazgrzę, ale piszę po ciemku już prawie – w Piekutach zabrakło nafty – a poza tym spieszę się na eksportę.

Hanusiu! Bądź dobrej zawsze myśli, choć masz takiego mazgaja jak ja. Pamiętaj jednak, że on Cię bardzo kocha.

Antek.

• [Piekuty,] 27.11.1936.

Hanusiu!

Nareszcie przysyłam Ci moją fizjogębę, zrobioną po wielu cierpieniach. Wyobraź sobie, co za pech! Dwa razy musiałem się zdejmować. Widocznie pod wpływem mojej miny-z-komina klisze się przeświecila. Trudno, takim mnie Bóg przysłał na ten padół łez. Nie dość na tym. Wybierałem się w tym tygodniu do Ciebie, ukochana – i znowu miecz Damoklesa zawisł nad moją wielce szanowną osobą. Proboszcz miał jechać do Jabłoni na konferencję we środę na wieczór; tymczasem lichy nadało, że musiał Ks. Pr. jechać do chorego i zrezygnował z jazdy na

noc. Wobec tego i ja musiałem zostać. Trudno, taki nasz los, że wszystko przeciw nam.

Wiesz, Ksiądz domyśla się, że byłem u Ciebie i widziałem się z Twoją Ciocią w Modzelach. Pytał się swej matki o to, lecz ona zaprzeczyła, mówiąc, że się nie widziała. Zwierzyła mi się z tego pod sekretem; podobno stanęła troszkę w naszej obronie. Sypniakowie mi mówili, że Ks. Pr. ma zamiar się jeszcze namyślić, czy by jednak mnie nie zatrzymać w Piekutach. Podobno jakoby przyznał, że jestem aktywny i postawiłem chór na wysoki poziom. I parafianie już o mnie inaczej mówią. Wszędzie czuje się zadowolenie.

Ja ze swej strony, Hanulu, nie szczędzę sił i swych zdolności, by sprostać należycie swoim obowiązkom, mimo że nieraz częstowany jestem niewdzięcznością. Trudno. To jest widocznie mój krzyż; trzeba go dźwigać, póki sił, póki mocy starczy.

Pisz, Haneczko, o wszystkim: jak spędzasz dnie, o czym myślisz, co ci dolega; podziel się ze mną każdą Swoją myślą, każdym uczuciem.

Dziwnie nasze życie płynie, dziwnie; ale jednak jest w nim coś, co nas uszlachetnia, co nam dodaje wytrwałości: coś, co dusze i serca nasze opromienia aureolą nieznanych tęsknot i uczuć serdecznych. Jeśli Bóg Dobry pozwoli, będzie nam dobrze, choć może nas srodze doświadczyć. Jednak chyba nie da nas skrzywdzić i jako ojciec zespoli nas wielką miłością. Wszak On nam każde miłować się wzajemnie.

Życie jest piękne – jak powiedziałaś; trzeba umieć patrzeć na nie w tęczyowych okularach, mimo że świat jest jak manekin, a ludzie, zaślepieni, o niczym innym nie myślą, tylko aby podniebienie łechtać smaczными potrawami i na tym koniec.

Hanko, niedługo może mi się uda być u Ciebie. Całuję Twe rączki kochane.

Twój Antek (niedobry).

Pozdrowienia dla Twojej rodziny i Siostrzyczki.

• Modzele 30.11.1936.

Mój dobry Tolku!

Och! Jakie szczęście i radość napędza me serce. Tolku ukochany! Jestem tak szczęśliwa, żeś do mnie napisał list, a do tego jeszcze przysłałeś mi fotografię. Trudno opisać, co w mej duszy się dzieje. Ślicznie

wyszedłeś, Dobry Tolku. Dziękuję Ci. Jak przyjedziesz, mocno ucałuję Twoje kochane oczy. Wciąż, Tolku, myślę o Tobie. Dzisiaj szłam z kościoła przez las. Nic nie zakłócało mych marzeń. Myślałam obok Ciebie (choć Ty w tej chwili może daleko...). Z tęsknoty, gdyby nie szli obok ludzkie, krzyknęłabym głośno, bardzo głośno, abys Ty usłyszał: Tolku! Przyjedź do mnie, przyjedź, bo...

Smutek pożera serce me, boś Ty hen, w oddali,
Lecz złość ludzka nie sprawi, byśmy się nie kochali.
 Chociaż dusza ma bez Ciebie dzień i noc znękana,
 Jednak się rozweseli, gdy ujrzy swego Pana.
Biją bałwany w naszą łódź, grożąc jej rozbiciem.
My jednak zwyciężymy, albo... przypłacam życiem.
 Są bliscy, którym szczęście uśmiecha się obficie,
Zapominają o bliźnich, o tym, że na nic użycie.
Zło widzą w nas, a przecież my mamy też i cnoty.
Pytają się jedynie: Bogaty? Ma klejnoty?
 Nie trzeba upadać na duchu. I nam podwoje
 Się otworzą, a wtedy będziemy już oboje
Zadowoleni z życia cichego i ze siebie,
Bez marcepanów – nawet żyjąc o samym chlebie.
 Skończy się wreszcie nasza długa, ciężka udręka
 I ta sama, co dzieli dziś, połączy nas ręka.

Nie śmiej się ze mnie Tolku, że taki jestem rymarz; chciałam dobrze. Wiesz zresztą, że nie mam żadnych wyższych aspiracji w tej materii. Napisałam jedynie dla Ciebie, Tolku, a Ty Hance wybaczysz wszelką nieudolność.

Tolku Drogi! Chociaż jestem daleko od Ciebie – wierząc, że Ty mnie kochasz, łatwiej znoszę czas rozłąki. Długi on jest – o! bardzo długi. Są chwile, iż płakać mi się chce, a wiesz, że niewiasty skore są do płaczu. Próbuje jednak powstrzymać napływające mi do oczu łzy. Dlaczego Ksiądz mnie tak źle życzy, a Ciebie prześladowa? Nie chce mi wybaczyć. Prawda, że czasem źle postępowałam, ale czasem i dobrze czyniłam.

Jak wnioskuję z listu, Tolek za dużo pracuje. Będąc w Piekutach widziałam, że nie dbasz o siebie; że nie żałujesz trudów, bo chcesz

swoją wiedzę przelać innym. Pamiętaj, Tolku! Nie pracuj ponad siły. Cieszę się, że nie upadasz na duchu, gdy inni wyrządzają Ci tyle przykrości. Tolku! Zawsze się za Ciebie modlę do Matki Najświętszej, abys był zdrow i szczęśliwy. Uważam Ciebie za przyjaciela. Nie mam względem Tolka żadnych tajemnic. Twoja radość jest moją radością, Twój smutek – moim smutkiem.

Drogi Tolku! Hanka dzisiaj ma czyste serduszko. Byłam u spowiedzi i komunii św. Jestem szczęśliwa i mam moc do stawiania czoła nowym cierpieniom. Ty, Tolku, wybac mi, że źle postępowałam względem Ciebie. Chcę, Tolku, być dobrą. I o ile Bóg połączy nas, pragnę, aby życie nasze było na Jego chwałę. Na pewno i Tolek Mój tak samo myśli.

U nas, Toleczku, zima. Śnieg pokrył ziemię. Ślicznie na świecie, Tolku!

Chcesz wiedzieć, o czym ja myślę? Myślę, kiedy powrócą chwile, kiedy będziemy razem. Wspominam o dniach, gdy byłam w Piekutach:

Och! Ileż wspomnień ciśnie się do głowy,
Te nasze spacerowe leśne, rozmowy,
Bicie serca i różne swawole,
A później bieg i zatrzymanie w dole.
 Dziś to dalekie, zda się bezpowrotne,
 Jak nasze tańce *solo* zawrotne:
 Jak tango „Ta ostatnia niedziela”,
 Co Ci na połowę serce rozdziela.
Ach! To przez Ciebie, mój zły Opiekunie!
Lecz Antek i w Modzelach mnie dostanie.
Coraz większe przeszkody wciąż czynisz nam,
Lecz przyjdzie kiedyś czas, że wpadniesz w nie sam.

Toleczku złoty! Przyjedź do mnie! Ty jesteś dobry i nie pozwolisz Hance, aby się martwiła. Tolusiu! Ja bardzo tęsknię do Ciebie. Jaka to jest męka! Z fotografii tak smutnymi oczkami patrzysz... Czekam na Ciebie każdego dnia. Jeśli nie przyjedziesz, to choć pisz do mnie dużo o wszystkim. Ty zawsze tak mało piszesz o sobie, a mnie to bardzo interesuje!

Kończę, Tolku, bo nie mam już miejsca do pisania.
Pozdrowienia od rodziców i Honorki.

Hanka mocno Ciebie całuje i czeka na Ciebie.
Przyjedź, Tolku ukochany, przyjedź! Czekam; jeśli nie przyje-
dziesz, to będę płakać.
Twoja Hanka.

• Piekuty, 9.12.1936.

Hanulu Moja!

Szczęśliwie przybyłem do domu. Zostałem wszystko w porządku, bez
zmian. List Twój ukochany napełnił mnie radością bez miary. Dum-
ny jestem z mej Dziewczyny, że ziszcza me sny, pełne uniesień i
szlachetnych porywów. Hanko! Za te uczucia, którymi Cię darzysz,
jestem Ci wdzięczny nieskończenie. Antek Cię nie zawiedzie, choć życie
różne będzie stawiało przed nami przeszkody.

Wiersze Twoje są mymi uczuciami przepełnione i tak dla mnie dro-
gie. Dziękuję Ci, Hanulu Moja Ukochana, że trudnisz się dla mnie, ale
pisz jak najwięcej wierszyków, bo w nich czuje się duszę człowieka jak
kryształ przecudny.

Gdy przeczytałem liścik Twój, jedyna, o wszystkim, co złe, co boli –
zapomniałem, co złe. Jadąc od Ciebie, przepojony byłem nową siłą do
walki o naszą wspólną przyszłość. Stałe miałem przed oczyma Tę, któ-
ra nie tak dawno, tak cicho i słodko spędzała ze mną te krótkie chwile,
kładąc swą główkę na moim ramieniu. O! Antek wtedy był naprawdę
szczęśliwy!

Siedzę teraz i pisząc ten list myślę o tych chwilach niedawnych, a tak
pięknych. Hanko! Drzewa zaczarowane tajemniczą ciszą stały utulone w
całunie zimowym, słuchając naszych szeptów. O! Jak cudnie te chwile z
Tobą, Hanulu, przeminęły. Na ich pamiątkę niech będą te wiersze:

Cisza wkoło... Zda się, że przestrzeń pusta
Dookoła – jakaś senna, mroczna dal...
Całun śnieżny jak jakaś biała chusta
Okrył wszystko – w kształt spienionych morskich fal.
Lecz w lesie niewyraźnie coś majaczy.
Jakieś cienie cicho, bezgłośnie kroczą.
Może błędą? Może są w rozpacz...
W noc taką – zda się – cichą i uroczą?

Doszli wreszcie do sosnowej alei.
Idą tak razem, ramię przy ramieniu,
Daleko od ludzkich głosów zawiei,
W zimowej ciszy, w słodkim uniesieniu.
Serca nagle przedziwnie im zadrgały,
Jak złote struny, nucąc miłosny śpiew.
I cudowną symfonią załkały –
Wtórował im tylko szum strzelistych drzew.
Nagle świst gwizdka przerwał ich marzenia.
– Żegnaj! Pisz! Tak jakoś mi smutno, tak żal!
– Żegnaj! – Dwa długie głębokie spojrzenia,
I pociąg ruszył w mroczną, tajemną dal.

Ukłony do rodziców, kuzynów i panny Honorki. Pisz! Pisz!

Za liścik całuję Twe paluszki, a jak przyjadę do Mej Ukochanej,
to ucałuję prócz paluszków i oczka, i nosek, i usteczka moje słodkie,
ukochane.

Baw się dobrze i wesoło. Czasem wspomnij o Antku.

Jak będziesz przedstawiała,⁴² moja Mała,
Proszę, żebyś się mocno nie ścisłała,
Bo Antek bardzo, bardzo nie chce tego,
By Hanka była w ramionach innego.

Musisz, Hanuś, na wypadek, dostać od Antka dużego, podobno już
teraz dobrego, dyspensę, bo mogę sprawdzić, jak to będzie naprawdę
z tymi uściskami. Słucham w tej chwili komicznej audycji ze Lwowa
i dlatego takie rymy piszę do Ciebie. Ukochana! Wybacz, ale ot, taki
czasem jestem ciepły drań.⁴³

No! Dosyć bredni.

Haneczko Moja! Z upragnieniem czekam tej chwili, gdy będziemy
razem. Chwile te, oby jak najprędzej nastąpiły. A teraz ogarnia mnie
tylko tęsknota i tęsknota. Słowa te piszę przy dźwiękach ballady Chopina,
tak smutnych... tak czarownych...

⁴² Chodzi o udział w amatorskim przedstawieniu teatralnym.

⁴³ Aluzja do słów piosenki „Zimny drań”.

Może Ty słuchasz, tych tęsknych melodii i marzysz. Słyszę dźwięki ballady, jak perły czyste. Co za potęgą tkwi w tej muzyce!

Hanulu moja! Nie wyjeżdżaj od rodziców. Ja wiem, że tak bezczynnie czas spędzać, to męka, ale ten trudny czas da Bóg przetrwamy. Może to jest próba dla naszych uczuć? Może Bóg dobry nas doświadcza? Hanusiu! Wszędzie jest dobrze, ale w domu – pod troskliwym okiem matuli – najlepiej. Pamiętaj, ja Cię o to proszę! Ty mało znasz ludzi, bo mało z nimi obcujesz. Nie szczędzą sił, by dokuczyć innym – zwłaszcza niewiastom.

Hanusiu! Moje gospodarstwo powiększyło się o dwanaście kur i sześć kogutów. Ojciec cieszy się jak dziecko, że ma zajęcie; stale opowiada mi o swym dobytku. To św. Mikołaj mi widocznie w darze na gwiazdkę przyniósł. Czytając Twój liścik, łzy radości mam w oczach, że jest tak dusza ukochana, która się dzieli ze mną wszystkim i kocha mnie. Ty jesteś słodyczą mego życia, Hanulu. Dziękuję Ci za modlitwy, wzniesione do Maryi tronu, o zdrowie dla mnie, Hanuś!

Wierszyki Twoje są mi ukojeniem, są mi nadzieją, że Ty żyjesz moimi marzeniami. Pisz, Hanusiu, listy a w nich – wierszyki! Tak bardzo je lubię!

Za Hanulą ukochaną Antek tęskni bardzo bardzo.

Może znów uda mi się kiedyś być u Ciebie.

PS. Ktoś podpalił Kranca⁴⁴ z Częstek – tego, który miał sklep z towarami. Różne kursują po Piekutach o tym pożarze plotki. Jedni przypuszczają, że zrobili to narodowcy; drudzy, że on sam, żeby otrzymać wysoką asekurację. Prawdy doszukać się trudno.

• Modzele, 21.12.1936.

Tolku!

Dziękuję Ci za list, który jest jak balsam dla mojej zbolącej duszy. Jest jedyną osłodą życia szarego i monotonnego. Nadzieja wstępuje do mego serca, gdy czuję, iż w oddali znajduje się Ten, co mnie choć odrobinę rozumie i może kocha. Cieszę się, żeś szczęśliwie – bez żadnych przygód – dojechał do Piekut; a szczególnie, że Ksiądz nic nie wie, żeś był w Modzelach.

⁴⁴ Osoba niezidentyfikowana.

Och! Tolku! Kiedy czasem człowieka ogarnia apatia, to sam przestaje wiedzieć, czego chce. W takiej chwili, Tolku, chciałabym, abyś był ze mną; byłoby mi wtedy lżej. Bywają chwile, kiedy jestem taka szczęśliwa, że uścisnęłabym cały świat. Takie chwile są wtedy jedynie, gdy Ty jesteś u mnie. A gdy Ciebie przez dłuższy czas nie widzę, to:

Szarą godziną różne sny roję:

Marzę o ciepłych, promiennych dniach.

I wtedy ból serce szarpie moje,

Iż dziś jedynie widzę je w snach.

I oto staje we mgłę odziany,

Smutny niby brzoza płacząca,

Młodzian w tęsknocie zadumany,

Z łzą w oku, jak perła błyszcząca.

Powoli do mnie się przybliża,

Składa mi pocałunek długi,

Skoń rozpaloną łzą swoją zwilża

I znika – skąd przyszedł: w mgły smugi.

Widzisz, Tolku, co to się zrobiło z Hanki: poetka spod Częstochowy. Twój wierszyk, Toluś, podobał mi się bardzo. Wyobraź sobie, że i ja myślałam w drodze do domu to samo, coś Ty napisał. Chciałabym, abyśmy szli bez końca – w dal – ramię przy ramieniu. Gdy echem rozszedł się po lesie świst lokomotywy, żal mnie ogarnął – że już Ciebie nie ma... Że coraz dalej pociąg Cię unosił:

O! Czemuż me serce wciąż drżysz?

Szamoczesz się, jak ptak w klatce?

Czy sobie z ludzi może drwisz?

Czy ci za ciasno w tej siatce?

Nie dlatego się szamoczę,

To coś innego zmusza mnie!

Kiedyż świat inny zobaczę,

O którym tylko dumka wie?

Życie tętni pełną wiosną

Cudnych akordów melodii,

Co płyną falą miłosną –

Zapachem kwiatów konwalii.

Czas, by królewicz z moich snów
Uwolnić mnie z mąk ogromnych,
Otoczył ramieniem swym znów
I rzekł: Tyś źródłem uczuć mych.

Będziesz się śmiał z mych wierszyków, podobnie jak i z pierwszego, wynajdując różne błędny, ale śmiech to zdrowie – więc się śmieję, Tolusiu...

Wyobraź sobie, Tolku, że pierwszy raz będę spędzała święta w domu rodzinnym. Miałam już opuścić Modzele i wyjechać w świat, ale... Trudno... Nie pojadę nigdzie – Tobie na złość, Tolku.

Czemu Ty Tolku nie chcesz, abym gdzieś wyjechała? Przecież ludzi się nie boję i wiem, co mnie może spotkać. Poza tym – niewiastą nie jestem, tylko wiedźmą. Przypuszczam, iż mi nie ufasz – i to jest główna przyczyna. To brzydko z Twojej strony, Tolku; gdybyś był w tej chwili u mnie, dostałbyś porządnego klapsa. Powinieneś mi ufać, bo jeszcze chyba nie dałam Ci powodów do zwątpienia w swoją wierność Tobie.

Za kilka dni jest już Boże Narodzenie. Smutno mi będzie. Ale gdy będę się dzielić opłatkiem przy stole wigilijnym, będę myślała z Tobą, Tolusiu. Życzę Ci będę spełnienia marzeń, siły do walki życiowej, a szczególnie szczęścia... szczęścia... i łask Bożych. I jeszcze czegoś. Zgadnij, czego? Otóż, żebyś w przyszłym roku święta spędził razem ze mną – przy jednym stole. Och! Tolusiu! Jak to byłoby przyjemnie. Ja bym wszystko przygotowała. Zasedlibyśmy do stołu, bieluchnym obrusem nakrytego. Razem byśmy spożywali wieszczę wigilijną i byłoby nam dobrze. Tolku! Czy to nadejdzie kiedyś? Na pewno odpowiesz mi, że nie trzeba tracić nadziei, albo, jak Ty zwykle mówisz: „Trudno”. A ja nie cierpię takiej niepewności co do tego, co jutro przyniesie. Siedzę teraz, czekam i czekam, i nie wiadomo, dokąd będę tak oczekiwała tej chwili. Tolku Mój Jedyny! Dlaczego życie usłane jest cierniem i kolcami? Widocznie wyższa siła tak kieruje naszym losem...

Ale dość tych czarnych myśli; będziemy i my, Tolku mój, szczęśliwi razem, albo... ?...

Chciałabym bardzo, żebyś przyjechał do Modzel drugiego dnia świąt. Ale na pewno nie będziesz miał czasu. Szkoda! Zobaczyłbyś

mnie na scenie i jako znawca oceniłbym moje zdolności teatralne. Sama jestem ciekawa, jak to będzie wyglądać, bo przyznam Ci się, że jeszcze na takiej scenie nie występowałam.

Niech Toluś nie gniewa się na mnie, gdy się do jakiegoś artysty przytulę, ale to będzie tylko gest teatralny.

Pozdrów ode mnie swoją rodzinę; powiedz jej, że Hanka życzy wszystkim Wesołych świąt.

Kocham Cię, Tolku, tęsknię i pragnę, abyś i Ty mnie kochał. Pisz, mój jedyny. Baw się wesoło, Tolku, gdzie tylko Ci się nadarzy sposobność.

Mocno Mego Tolka całuję w buzię – Hanka.

Tatusz mój stale czeka na list od Księdza, ale dotąd jak listu nie ma, tak nie ma.

• [Piekuty, ok. 23.12.1936.]

[Hanulu Moja!]

Słońko tak ślicznie świeci, swymi blaskami kapie cały świat. A mnie tak smutno... smutno... tak jakoś tęskno... Zda mi się, że chce mi wlać ten bóg natury, słońce, balsam ukojenia. Na próżno. Za wielka jest moje tęsknota, za wielki jest mój smutek, bym mógł rozjaśnić swą duszę, swe serce radością. Ty, Hanko, jedna potrafisz być dla mnie tym słońcem, co swym ciepłem uczuć rozprasza smutek i tęsknotę.

Święta nadchodzą, a ja nie będę się łamał opłatkiem z tymi, co mi są najbliżsi sercem. Co za los! Na ustach każdego przechodnia czy znajomego widać już świąteczną radość. A na mych ustach? Gorzki grymas sarkazmu.

Wybacz, Hanulu, że taką apatią pachną moje słowa. Jestem w takim nastroju troszkę po chorobie, bo muszę się przyznać, że zachorowałam na mój czcigodny brzuszec i od pięciu dni już jestem na kleiku i herbatce. Widzisz, jestem z rodziny „Zjadackich”, więc to już jest moja taka psia – delikatniej: kocia – natura. Trochę zmizerniałem i przez to może mniej podobałbym się Tobie.

Dowiedziałem się, moja dziewczyno, co Twój kuzyn mówił do Sypniaków okrężną drogą – przez moją siostrę, która ma z p. Sypniakową jakoby jedno ucho. Otóż Ks. Pr. martwi się najbardziej tym, że ja muszę pomagać swojej rodzinie, że mój ojciec nic nie ma po tylu latach

pracy – i że Ty, Hanko, utopiłabyś w mojej rodzinie swój majątek. Cóż za płytkie myślenie, Hanko! Napiszę Ci o sytuacji mojej rodziny – jak ona wygląda naprawdę.

Wiadomo Ci jest, że skończyłem sześć klas gimnazjalnych, że po ich ukończeniu wstąpiłem do Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie i tam uczyłem się cztery lata. Jednak już na pierwszym roku studiów zaczęła się tragedia mego życia. Brat [Mieczysław] kończy kilka klas gimnazjalnych i przestaje dalej się uczyć, bo ojciec zaczyna zapadać na zdrowiu: zaczyna coraz bardziej głuchnąć. Jeździmy po lekarzach i tu, i tam – nic nie pomaga. Uczciwi lekarze odradzają leczenie, bo uważają, że utrata słuchu się już nie cofnie. A lekarze-wyłudziele kuszą. Tonący brzytwy się chwyta. Ojciec nie może sobie darować, że mając czterdzieści siedem lat musi rozstać się z pracą. Niestety: w kilka miesięcy później zaczyna chorować matka: serce, katar żołądka, nerwy – zaczyna się w moim rodzinnym domu taniec chyba diabelski i tak to trwa przez kilka ostatnich lat. Pomijając jednak sprawę chorób, Ks. Pr. powinien był pomyśleć, że wykształcić dwóch synów nie jest tak łatwo, płacąc za prywatną naukę za jednego przez dziesięć lat, a za drugiego przez sześć lat (bo ostatnie dwa lata już ojciec nie opłacał nauki brata, ponieważ utrzymywał się z on korepetycji i częściowo był zwolniony z czesnego), i do tego mając na utrzymaniu jeszcze innych członków rodziny. Przez ostatnie trzy lata – w Ostrowi – pracowałem już zarobkowo; skromny był ten zarobek, zwłaszcza, że przeznaczałem sporą jego część matce, bo chciałem ulżyć jej cierpieniom. W Ostrowi ubierałem się więcej niż skromnie – ludzie mnie jednak szanowali (i ten szacunek pozostał do dziś). Mimo że miałem nieraz dziurawe buty, byłem jednak zapraszany do salonów ostrowieckich „sfer kulturalnych”. Dlatego przykro mi – i mojej rodzinie – że Twój Kuzyn tak mało mnie ceni.

Trochę swobodniej zaczęliśmy oddychać, gdy odeszła droga nam osoba: moje matka.

Uwierz mi, Hanulu moja, że rodzina moja na pewno nie będzie siedziała mi na karku. Starszy brat kończy teraz gimnazjum; w Ostrowi ma reputację dobrego korepetytora i na pewno sobie na życie zarobi. Młodszy brat jest już dość zaawansowany w nauce gry na organach; za rok pójdzie do wojska, a po powrocie będzie mógł objąć gdzieś posadę

pomocnika organisty – i też nie będzie mi zawadzał. Jedna z sióstr, Genia, jest dobrą krawcową – i na pewno da sobie radę. Druga siostra, Irena, została u naszych ciotek.⁴⁵ Ojciec tylko pozostanie przy mnie, bo będzie mi bardzo potrzebny.

Opisałem Ci moją sytuację rodzinną tak, że sam rebe by lepiej tego zrobić nie potrafił. Zrobiłem to, Hanulu, żeby się obronić przed zarzutami, które podniósł wobec mnie Proboszcz.

Haneczko! Chociaż na „skrzydłach eteru” prześlę Ci w dniu łamania się opłatkiem życzenia, aby spełniło się to, czego pragniesz dla siebie i dla Twych najbliższych. Teraz – dla Twoich rodziców, panny Honorki i wszystkich krewnych – przesyłam życzenia.

Żegnaj, muszę już kończyć.

Może mi się kiedyś uda wymknąć do Ciebie, Jedyna.

Baw się wesoło.

Twój Antek.

Ks. Pr. jakiś jest miękki od pewnego czasu. Co to oznacza, nie wiem. Może szykuje znowu jakiś zamach...

• [Piekuty,] 28.12.1936.

Haneczko Ukochana!

Święta minęły jak sen, zostawiając po sobie szarą smugę tęsknot, nieziszczonych zamiarów i uniesień. I znowu nastały szare dni długich oczekiwań za czymś, co zda się nierealne, nieuchwytnie.

Święta spędziłem, Hanulu moja, jak bym był na wygnaniu. Choć byłem z rodziną, ale brak było mi tego, co tchnie uczuciem matki, co tchnie uczuciem prawdziwego zrozumienia. Łamiąc się opłatkiem w sercu moim uczułem brak kogoś, kto, zdaje mi się, ukoiłby mnie ciepłem ukochania. Los srodze mnie doświadczył, zabierając mi wcześniej matkę w zaświaty; a teraz zabiera mi na czas nieustalony Ciebie, by znowu nękać tęsknotą mnie. I za co? I za co?!

Hanulu moja! Dziękuję Ci za słodki i kochany liścik – o! bardzo dziękuję. Choć z daleka widzę Cię, Jedyna, oczyma wyobraźni, czytając Twoje słowa pełne słodyczy, pełne najszlachetniejszych porywów,

⁴⁵ Chodzi najprawdopodobniej o Konstancję Archacką i Franciszkę Petkiewicz – siostry Walerii Jadackiej, mieszkające w Myszyńcu.

ukochań. Przez święta chciałem choć na chwilę ujrzeć Ciebie, lecz niestety nie mogłem. Gdy inni się goszczą, weselą, ja mam najwięcej pracy. Na dodatek ostatnio zachorowałem, jak już Ci pisałem, więc boję się trochę, żeby znowu nie zmogła mnie choroba.

Po świętach Ks. Pr. zrobił rekolekcję, więc przez przeciąg ich trwania muszę być obecny w Piekutach. Prowadzi je ks. Miklaszewicz; będę trwać trzy dni, więc może zdołam się wyrwać dopiero pierwszego stycznia, a najprawdopodobniej dopiero drugiego, to jest w sobotę, na parę godzin, o ile będzie mi sprzyjać dobra pogoda.

Przepraszam Cię, dziewczyno ukochana, za może zbyt przesycony goryczą list, który otrzymałaś ode mnie. Wybacz, co było dla Ciebie może przykre, i za wszystko, co Ci uczyniłem niedobrego, za niegrzeczności, które może Cię spotkały z mojej strony. Proszę Cię o to wszystko, bo w czasie rekolekcji przygotowuję się do rozmowy z Jezusem, z Tym, który nas miłuje i każe się wspólnie miłować – w imię Jego ideałów. Pomódl się, Hanko, w paciorku codziennym, by moja rozmowa z Panem była szczerą, prawdziwą. Bądź dobrych myśli, Hanko! Wiem, że Ci jest źle, odczuwam to samo, i chcę, byśmy dalej trwali w tych uczuciach, które zawładnęły naszymi sercami. Pragnę, by Bóg w swej mocy nieskończony dał nam wypić ten kielich życia do dna – razem. Choć burze szalejące wkoło nas zrywają nam żagle, silni na duszy i ciele odeprzemy ten huragan życia, który nam zagradza drogę do szczęścia osobistego. Pamiętajmy, że nie jest to nasz cel jedyny: wędrówka nasza nie kończy się na tym padole. Ale tutaj nie wolno nam zboczyć z tej ścieżyny, która dla naszych dusz powinna być drogą prawdy – nie fałszu, nie obłudy. Widzi się wkoło, jak ludzie właśnie wkroczywszy na złą drogę, zbliżają się do przepaści. Niech Dobry Bóg ich zawróci – by poznawszy swoje błędny nie brnęli w błoto

Widzisz, Haneczko, jaki ze mnie kaznodzieja?

Co się tyczy, Hanulu moja, Twego pytania, dlaczego nie chcę być wyjechała z Modzel: Otóż dlatego, że w domu masz z czego żyć. Wiem, że przyzwyczajona jesteś do innego życia niż to, które teraz wieszysz w Modzelach. Pamiętaj jednak, Hanko, że lepsza w domu kromka chleba czarnego niżli u ludzi marcepany. Nie znasz, dziewczyno, ludzkich potworów, bo granice plebanii – tak mi się zdaje – rzadko przekraczałaś. Spójrz! Od

swej rodziny doznałaś nieraz goryczy. Cóż dopiero od obcych? Choć młody jeszcze jestem, znam doskonale różne dodatnie i ujemne strony życia. I dlatego właśnie nie radzę Ci z domu rodzicielskiego wyjeżdżać.

Hanko! Za bardzo Ciebie kocham, moje Ty słoneczko, bym obawiał się, że mnie zdradzisz; za bardzo w Twoją miłość do mnie wierzę, bym mógł Ci nie ufać. Pragnieniem moim na ziemi, tęsknotą mego życia doczesnego – jesteś Ty, Hanko! Nigdy nie podepczę Twych szlachetnych uczuć do mnie. Ludzi różnie będą komentować to lub owo, bo są ludźmi. Nie zgadniesz na przykład, jak sobie tłumaczą różne posunięcia Twego Kuzyna...

Czekam niecierpliwie tej chwili, by być razem z Tobą. Jak tylko chwila odpowiednia się nadarzy – przyjadę, by się napatrzeć na szmaragd Twych oczu i ucałować je delikatnie.

Całuję Twe rączki kochane – Antek.

Ukłony do wszystkich.

• [Piekuty, ok. 9.01.1937.]

Hanulu Moja!

Szczęśliwie przybyłem do Piekut. Mróz był w nocy dosyć duży, ale jechałem z wiatrem – więc mi zbytnio nie dokuczył

W Piekutach zastałem wszystkich mieszkańców podekscytowanych nocnymi wypadkami, jakie się tu rozegrały. Kiedy spałem u Ciebie tej nocy snem sprawiedliwego, w Piekutach była strzelanina, krzyki, bieranina, łoskot rąbanych okien i brzęk tłuczonych garnków. Podobno oddział narodowców z karabinami i bagnetami na nich otoczył Piekuty, nie dając nikomu wyjść z domów. Po zdemolowaniu żydowskich domów i sklepów opuścili wieś, uprzednio poprzecinawszy linie telefoniczne.⁴⁶

⁴⁶ W *Kurjerze Warszawskim* z dni 5-13.01.1937 nie ma wzmianki o tych zajściach. Natomiast w *Warszawskim Dzienniku Narodowym* z dnia 13.01.1937 (r. III, nr 13, s. 1) ukazała się notatka „Zajścia antyżydowskie w Piekutach” o następującej treści: „W Piekutach, w osadzie (powiat Wysokie Mazowieckie), przed kilku dniami odbyły się rozruchy antyżydowskie. Nagle do osady przybyło 60 młodych, którzy zdemolowali lokale, sklepy i mieszkania żydowskie oraz powybijali szyby w nich. Po tych zajściach wszyscy żydzi, którzy mieszkali w Piekutach, mimo posiadania ziemi, wywędrowali z osady.”

W związku z tymi zajściami Ks. Pr. zarządził w niedzielę cichą sumę.⁴⁷

W poniedziałek, z samego rana, zjechało się do Piekut i okolicznych wiosek około trzystu policjantów uzbrojonych od stóp do głów – w tym oddział konny. Przeprowadzają rewizję w domach Piekuczan. Kilku narodowców już zabrali. Kazik Pierzchała podobno gdzieś zginął, mimo że rano była u niego policja i zastała go śpiącego w łóżku. Ks. Proboszcz jest chory: zapowiedzi ślubne w niedzielę rano młodym parom kazał zgłaszać do mnie. W ogóle jest bardzo tym wszystkim podenerwowany. Poruszenie w Piekutach jest wielkie. Do czego to wszystko doprowadzi – nie wiadomo.

Świadkowie tych zajść mówią, że to jacyś obcy ludzie zrobili najazd na Piekuty. Bo i któż z miejscowych chciałby w czymś takim brać udział? Wspominałem Ci, Haneczko, że Ks. Pr. potępił z ambony poprzedni incydent z wybijaniem szyb w sklepach żydowskich i ostrzegł, że takie postępowanie grozi Berezą. Uczestnicy ostatnich zajść jednak się Berezy nie ulękli – i zrobili jeszcze większą burdę...

Napastnicy podobno oddali z sześćdziesiąt strzałów karabinowych. Na moim podwórku też padło kilka strzałów. Plebanii również nie oszczędzano. Nasi miejscowi policjanci podobno pozamykali się w swych mieszkaniach z karabinami gotowymi do strzału. Nie chciałbym być w ich skórze. Przykra to służba. Kubicki – zawsze pewny siebie – tym razem zawiódł, bo na zarządzony alarm nie chciał się stawić. Nic zresztą dziwnego: cóż może poradzić kilku przeciw sześćdziesięciu?

Teraz właśnie przez Piekuty przechodzi oddział policji, prowadząc na posterunek na przesłuchania kilku narodowców, między nimi Brzozowskiego, i Żochowskiego. Smutny to obraz. Posterunek policja szczelnie otoczyła i zabroniła komukolwiek się w pobliżu pokazywać. Z tego powodu na plebanii jest sporo gości. Ks. Pr. chodzi od posterunku do poczty – ma niewesołą „rozrywkę”.

Jeśli chodzi o moje osobiste sprawy – to pisał do mnie organista z Białaszewa, czy nie chciałbym się z nim zamienić na Piekuty. Może tym razem uda mi się ta zamiana. Na razie wybadam, jakie są warunki

⁴⁷ Cicha suma – tj. msza bez śpiewania i grania – odbywa się zgodnie ze zwyczajem na znak żałoby.

w tym Białaszewie; następnie spróbuję pertraktować z Proboszczem. Podejrzewam co prawda, że nici z tego też będą, ale nie zawadzi sprawdzić; potem z czystym sumieniem zrobię tak, jak Ci już mówiłem.

Hanulu Ukochana, bądź dobrej myśli! Antek pragnie z całej duszy i serca mieć swą słodką Haneczkę na zawsze, bo ją mocno, mocno kocha. Szczęśliwy jestem, Ukochana Ma Dziewczyno, że darzysz mnie swoimi uczuciami. To dla mnie najważniejsze: pragnąłem od życia niewiele – tylko tego, co ludzie nazywają „utopijną miłością”. Nie jestem dzieckiem, różnie w życiu mi było, jednak wierzę w potęgę uczuć wzajemnych, bo one są przykładem tej miłości, którą głosił Chrystus Pan.

Kończę już swe bazgranie, jedyna. Ucałuj rączki swej matuli ode mnie i pozdrów swego ojczulka, pannę Honorkę i resztę rodzeństwa.

Całuję Twe kochane rączki – Antek.

Właśnie część policji odjechała do Mazowiecka, bo tam podobno wybuchała nowa awantura.

• [Piekuty, ok. 15.01.1937.]

Hanko Moja!

Po wypadkach, jakie miały miejsce w Piekutach, wszystko wróciło do jakiejś-takiej normy. Natura tylko krasi swym pięknem pustkę codzienności. Zaraz po przyjeździe do domu tego samego dnia, pisałem do Ciebie, o wyżej wspomnianych wypadkach. Powinnaś wobec tego otrzymać dwa listy, gdyż, jak sędzę z Twego listu, nie otrzymałaś jeszcze poprzedniego. Skutki tych wypadków okazały się, jak sędzę, fatalne dla Ks. Pr. Od tego czasu poważnie choruje; nie może jeździć po kołędzie.

W ubiegłą niedzielę, na kazaniu, Ks. Pr. nawiązał do minionych wypadków. Zrobił to jednak jakoś niezręcznie – nie wspominając o tym, że w wyniku tych wypadków ucierpiała również niewinna piekucka młodzież. Rozgoryczeni parafianie podczas kazania zaczęli kaszeleć i tupać nogami, by zagłuszyć niesprawiedliwe ich zdaniem wywody Ks. Pr. o tych wydarzeniach. Mnie samemu zrobiło się przykro. Sądziłem, że szlachta piekucka ma w sobie więcej kultury – i nie poważy się na to, żeby profanować Dom Boży. Cóż! Polityka Ks. Pr. nie wydała oczekiwanych owoców. Zresztą tak zwykle bywa, gdy się prowadzi niebezpieczną grę: tego, kto prowadzi taką grę spotkać muszą przykrości z

jednej albo drugiej strony konfliktu – a bardzo często z obu stron. Polityka Twego Kuzyna, sędzę, jest Ci dobrze znana. Faktem jest, że wielu chłopców niewinnie cierpi. Policja była brutalna. W żadnej prawie wsi nie obeszło się bez bicia i okaleczeń. Kilkanaście osób siedzi w areszcie w Łomży i nie wiadomo, kiedy ich wypuszczą. Kilku mężczyzn tuła się na mrozie po lasach, żeby nie wpaść w ręce sprawiedliwości.

Parafianie oczekują, że Ks. Pr. będzie interweniował. Od kilku dni na jego biurku leży zbiorowy list w tej sprawie. Ks. Pr. ma z nim jechać do prokuratora – czy jednak to coś pomoże, trudno przewidzieć.

Cieszę się, Hanulu, że otrzymałaś pracę, chociaż właściwie powinienem się smucić, że Ciebie tak długo nie będę widział. Jak to jednak było z tym telefonem? Ciocia Twoja mi powiedziała, że miałaś dać jakoby na zapowiedzi. Chociaż w to nie bardzo wierzyłem – bo Ciocia ostatecznie obróciła to w żart – poczułem na samą myśl o zapowiedziach przyspieszone bicie tętna. Tak czy inaczej – nie mogę się w tym wszystkim połapać. Wobec tego, jeśli będzie sprzyjająca pogoda, oczekuj mnie w poniedziałek, około wieczora, lub we wtorek. Pragnę przed długim okresem rozłąki zobaczyć się z Tobą i spojrzeć w szmaragdy Twych oczu kochanych. Gdyby do tego nie doszło, to gdy zatęsknisz do małego Antka, napisz, jak spędzasz dnie z dala od niego; napisz długiego listu, bo ja teraz mam dużo czasu.

Dziękuję Ci za złożoną mi obietnicę, ale ona tak jakoś dziwnie brzmi...

Nie pracuj za dużo, Ty entuzjastko kochana, bo Antek będzie się gniewał, gdy zobaczy, że jego dziewczyna jest przemęczona i zgubiła „linię tramwajową”. Innej jak teraz nie chcę Cię widzieć – Ty moja duża Hanulu.

Ucałuj swą matulę, pokłoń się p. Honorce i pozdrów ojczulka z rodziną.

Twój Antek.

• [Srebrna/Szumowo,] [13-]16.01.1937.

Tolku!

Zdziwisz się na pewne, gdy dostaniesz ten list, ale widzisz, wypadki chodzą po ludziach, a ja nie zaliczam się do wyjątków. Otóż, mój „mały” Tolku, od wczoraj jestem w Szumowie, a właściwie w Srebrnej, jako instruktorka. Przeprowadzam kursy gotowania. Będą one trwały

dziesięć dni. Zakończenie będzie 24 stycznia. W poniedziałek przyjadę do Modzel, będę przez wtorek, a później dalej w środę – w świat: daleko, aż za Augustów; a wrócę dopiero w Wielkim Tygodniu. Widzisz więc, Tolku, jak długo nie będziemy się widzieć! Może później mocniej będziesz kochał Hankę?

Teraz nie mam czasu o Tobie myśleć w dzień, bo pracuję.

Jak zarobię dużo pieniędzy, pojedziemy do Warszawy i zabawimy się. No i coś kupię Ci na pamiątkę, żebyś nigdy nie zapomniał o Hanuli. Ale może Ty przez ten czas zapomnisz o mnie? O! Wtedy biada Tobie! Wszystkie włosy bym Ci powyrywała.

Tolku! Nie zapominaj o mnie, choć nie będziesz mnie widział, a inni o mnie źle będą Ci mówić; nie wierz ludziom. Wierzyć możesz jedynie wtedy, gdy ode mnie coś usłyszysz. Pamiętaj o tym dobrze.

Zresztą – jak uważasz; jesteś przecież dorosłym mężczyzną.

Tolku, gdy Cię zobaczę, opowiem Ci o wszystkim szczegółowo, jak do tego wszystkiego doszło. Teraz tyle mam zajęć; chciałabym, aby moja praca wydała jak najobfitszy plon.

Wiesz? List zaczęłam pisać we środę, a dziś jest sobota. Poprzednią część listu pisałam ołówkiem, a teraz zdobyłam atrament, więc piszę atramentem.

Zobacz, Tolku, jak ten czas szybko leci. Tydzień temu razem z Tobą się cieszyłam, a dziś sama... daleko... wśród obcych ludzi. Jak mi tęskno do Ciebie, Tolusiu! Długo jeszcze upłynie czasu, zanim się zobaczymy. Prawdopodobnie zakończę ostatnie kursy w Wielkim Tygodniu. Wtedy może Tolek, jak nie zapomni o Hance, przyjedzie do Modzel na święta – albo po świętach.

Narzekałam, że nie mam pracy. Teraz ją mam. Od godziny 9 rano, do 6 wieczorem stale mam zajęcia. Tolusiu! Jak dostaniesz ten list, napisz do Modzel, co u Ciebie słychać o wszystkim, wszystkim – to będzie mi prędej czas schodził. Proszę, żeby w poniedziałek, jak tam pojedę, list już był na miejscu, bo inaczej go nie zastanę, gdyż we środę, tj. 27 stycznia, wyjeżdżam dalej, a chciałabym wiedzieć, co Tolek porabia. Może już idą Twoje zapowiedzi w Piekutach?

Wyobraź sobie Tolku, że w tym czasie, kiedyś był u mnie ostatni raz, Ksiądz wieczorem telefonował do mnie. Miał być nawet list do mnie, ale wyjechałam z Modzel i nie wiem, czy Ksiądz ten list ostatecznie napisał, czy nie.

Kończę, Tolusiu, bo jeszcze do Księdza będę pisała list, a już dziesiąta wieczór i oczy mi się kleją. Ty na pewno w łóżku słuchasz radia.

Pozdrów ode mnie rodzinę.

Ciebie, Tolku, ściskam mocno, w oczka, nosek i buzię całuję – Twoja Hanka.

Napisz, Toleczku, do mnie! Koniecznie napisz!

• [Piekuty, ok. 20.01.1937.]

Hanusiu ukochana! Za serce, które mi okazujesz, za miłość, którą mnie darzysz, nie umiem Ci zapłacić, jedyna ma dziewczyno. Im więcej od ludzi doznaję goryczy, tym więcej trwam w przekonaniu, że jednak jest istota, która o mnie chociaż odrobinę myśli, lubi, kocha. Co za potęga w człowieku powstaje, gdy się posiada uczucia umiłowanej istoty. Niczym jest wszystko: ból czy utrata jakichś majątków – gdy dwa serca promieniają wzajemną miłością. I jeśli Bóg Dobry pozwoli, chociaż skromnie, w zaciszu, będziemy pożywali chleb i przeżywali dnie naszego życia, złączenie nierozzerwalnym węzłem wzajemnego ukochania. Nieraz życie różnie może nam dokuczyć, ale znajdziemy siłę, by walczyć z przeciwnościami.

Tęsknię do Ciebie, Hanulu jedyna. Co dnia czytam Twe listy kochane; one mi dają wiele siły, mocy do wytrwania. Tak, Haneczko! Wiem, że przed nami trudna droga do przebycia. Jednak los jest zmienny. Weźmy przykład z Twego Kuzyna. Niedawno Ks. Pr. miał tyle powagi w swojej parafii; jedno i drugie złe posunięcie zrujnowało wszystkie jego poczynania. Przepadło! Już nie naprawi tego, mimo że tu i ówdzie zabiega o dawny prestiż.

W Markowie-Wólce nie jeździł za kolędą, tylko wysłał młodego zakonnika-misjonarza z Kodnia (zdaje się, że kiedyś mówiłaś mi o nim). Nic prawie nie wskórał. I w innych wioskach kiepsko idzie z kolędą. Gdy się zobaczymy, to Ci opowiem wiele ciekawych rzeczy. Misjonarz pytał mnie: „Gdzie panna Hanka teraz przebywa?”. Ja mu na to,

że jest instruktorką na kursach KSMŻ w Szumowie, a później wyjeżdża za Augustów. Widocznie wiedział o tym, bo zauważyłem skrywany uśmiešek na jego ustach. Prawdopodobnie Ks. Pr. chciał sprawdzić, czy ja wiem o tym, że Tyś wyjechała.

Józefowi zmyłem gębę na cacy; patrzy na mnie tylko z daleka i spode łba, i czym prędzej się zmywa. Cała historia była z nim! Co się tyczy mej grzeczności dla Twego kuzyna, to bądź pewna, Haneczko, że nie starałam się być niegrzeczny; jedynie zająście dotyczyło tych godziniek w lecie.⁴⁸ Co Ks. Pr. sobie upatrywał złego w moim zachowaniu, nie mam pojęcia. Trudno, Hanuś! Jeśli ktoś odwraca się do mnie nie przywierając (przepraszam za rubasznosc i niegrzeczność) tylną częścią pleców, trudno, bym bił przed nim pokłony.

Moja Dzidzi niech mi nie choruje, bo będę krzyczał mocno, jak przyjedziesz do domu. Ciocia w sobotę wyjeżdża do Modzel i na odpust do Łomży.

• Sztabin, 31.01.1937.

Tolku!

Ach, jak szybko mijają dnie przy pracy. Od rana do wieczora mam zajęcia z druhami. Uczę je gotować, wyszywać i – wyobraź sobie – śpiewać. Gdybyś był obecny przy nauce śpiewu, zdziwiłbyś się, iż ja z taką pewnością siebie je uczę. Ale czegoż to się nie robi dla chleba! Ja pracuję na siebie, ale ty pracujesz dla całej rodziny. Żywisz ją i przyodziewasz, jak się dowiedziałam, gdyż sami nie potrafią na siebie zarobić. Powinieneś, Tolku, poważnie pomyśleć o przyszłości. Dziwię się Twojej rodzinie, że siedzą u Ciebie, jak to się mówi, „na kurku [korku?]”. Siostra przecież jest dobrą krawcową (jak opowiadałaś), więc zawsze mogłaby sobie zarobić. Ty natomiast powinien się zagospodarować. Owszem, zgadzam się, że powinieneś być rodzinny, ale nie do tego stopnia, jak to ludzie opowiadają. Podobno cała rodzina wygląda jedynie tego, aby jak najmniejszym wysiłkiem największy mieć zarobek.

Tolusiu! Gdzie pójdzie rodzina, gdy ze mną się ożenisz? Ja w każdym razie nie chcę być sługą całej rodziny. Do uszu moich doszło, że zamierzasz przeznaczyć mój posag na to, aby wydać siostry za mąż.

⁴⁸ Nie jest jasne, o jaki incydent chodzi.

Podobno ludzie w związku z tym mówią (a może jacyś Twoi bliscy): „D... Tolek musi się ożenić bogato”, Proszę, żeń się więc – ale nie ze mną. Ja się na to nie zgodzę; mój posąg będzie dla mnie, dla męża i przyszłej rodziny – a nie dla Twoich sióstr. Piszę jasno, abyś znał moje stanowisko w tej sprawie.

Cóż mnie jednak obchodzą wszystkie donosy, kiedy jeszcze Tolka lubię!

A jednak nie przyjechałeś do Modzel, żeby się ze mną zobaczyć – mój niegrzeczny i niewychowany chłopcze (określenie pewnego osobnika)! Ale może i lepiej się stało, że nie przyjechałeś. Przez cały pobyt w Modzelach kurowałam się, bo w drodze – jadąc 25 kilometrów końmi podczas siarczystego mrozu – odmroziłam sobie dwa palce u nogi i nos. A teraz jestem daleko aż za Augustowem, w Sztabinie. Miejsco-wość bardzo malowniczo położona nad rzeką Biebrzą. Nie mogę jednak zachwycać się naturą, bo czasu nie mam no i są straszne wichury.

Kiedyż nadejdzie ten dzień, gdy znowu Ciebie ujrzę? A może już nie zechcesz przyjechać do Hanki, bo ona obraziła mocno Ciebie i Twoją rodzinę w ostatnim liście? Jeżeli nie przyjedziesz – trudno. Smutek i ból ukoję, tłumacząc sobie: tak musiało być. Wiedz jednak, iż nigdy nie byłam fałszywa. Lubiłam i lubię mówić prawdę w oczy.

Marzyłam zawsze o tym, żebyś Ty nie był materialistą. Chciałabym się nie mylić. Ty mnie kochasz nie dla majątku, bogactwa? Prawda? Ach, jak mnie serce zabiło, gdy się dowiedziałam o Twoich planach w sprawie utrzymywania Twojej rodziny. Zaprzecz wyraźnie, jeśli to kłamstwo; a jeśli to prawda, to lepiej milcz i nie pisz więcej.

Dzisiaj niedziela; tak mi się dobrze spało, ale niestety musiałam wstać, ponieważ mieszkam na plebanii. List ten piszę na raty; w sobotę zaczęłam, a dziś kończę.

Tolku! Tęsknię bardzo za Tobą! Ty się pewnie bawisz z rodziną, bo karnawał, a ja jestem samotna. Wyglądam tej chwili, gdy przyjedziesz do Modzel. Wtedy usiądziemy przy piecu i będziemy dużo... dużo mówić. A gdy inaczej może będzie – to wtedy znajdę inny sposób, żeby poradzić sobie z samotnością.

Dużo w mym życiu się zmieniło, ale trudno wszystko opisywać, ponieważ nie wiem, jak Ty na to zareagujesz. Nadejdzie czas, że się o wszystkim dowiesz. O jedno Cię proszę: bądź dla mego kuzyna uprzejmy i grzeczny.

Napisz, Tolku, do mnie długi list, to jak przyjdę po pracy, będę go sobie powoli odczytywać. Myślą będę obok Ciebie i będzie mi z tym dobrze.

W Sztabinie będę do 8 lutego, a później wyjadę do Teolina.

Pozdrów rodzinę ode mnie. I staraj się o posadę w innej miejscowości.

Żegnaj, Tolku. Hanka ściska Cię mocno (choć Ty może tego sobie nie życzysz) i tęskni za Tobą. Napisz dużo... dużo, a przypadkiem nie obrażaj się.

Hanka.

• [Piekuty, ok. 1.02.1937.]

Haneczko!

Po otrzymaniu Twego listu przystępuję zaraz do rzeczy.

Otóż byłem przed chwilą u Twego Kuzyna, by się kategorycznie rozmówić co do dalszych kroków. Otóż dowiedziałem się, że powodem wypowiedzenia mi posady jest to, że rozbiłem rodzinę i wprowadziłem zamieszanie wśród jej członków. Tak, Hanko! To jest powód, dla którego z dniem 1 kwietnia opuszczę prawdopodobnie Piekuty. Nie sądziłem, że kochając Hankę, zrobię rozbiję Jej rodzinę i wprowadzę tyle zamieszania. Jakież to przykre, Hanko! W takich okolicznościach z mych ust się wydostaje słowo „Trudno!”. Zniosę to wszystko, lecz miłości ku Tobie nikt mi nie wydrze, chociaż wiem, że jest słaba nadzieja, bym posiadał Hankę, bo wszystko sprzysięgło się przeciw mnie.

Co się tyczy tego siedzenia na moim karku rodziny, to chcę, żebyś wiedziała, że ja sobie tę rodzinę „na kark” sam sprowadziłem. Nie sądz, Dziewczyno, że w mej rodzinie są natręci. Gdybym ich do siebie sam nie sprowadził, to na pewno byś ich nie oglądała w Piekutach. Czy sądzisz, Hanko, że byłbym tak naiwnym człowiekiem, żeby mając żonę, trzymać tę rodzinę w naszym wspólnym gospodarstwie? Czy naprawdę mnie uważasz za tak krótkowzrocznego człowieka?

Ojciec, Hanko, przyjechał do mnie po śmierci matki dlatego, żeby łatwiej zapomnieć o tej śmierci i przy okazji trochę mi pomóc w obowiązkach organistowskich. Siostra Genia do śmierci matki na siebie zarabiała, pracując w spółdzielni w Ostrowi; jak się chcesz przekonać, że tak było, możesz zapytać swego kuzyna z Gutów. Sprowadziłem ją do siebie, żeby poszyła mi bieliznę. Po cóż miałem komuś obcemu dawać zarobić, kiedy mam krawcową w rodzinie? Mogę się pochwalić, że świetnie mi tę bieliznę wykończyła, o czym się sama przekonasz. Brat starszy, Mieczysław, też na pewno łaski mej nie będzie potrzebował. Opłaciłem mu tylko teraz chesne w gimnazjum, żeby nie przeciążał się pracą korepetytorską w ostatnim roku. Młodszy brat, Zygmunt, będzie zdawał w Łomży egzaminy organistowskie; dlatego rodzina moja przeniesie się do Łomży, a by łatwiej było się uczyć.

Wiadomo Ci, że mój ojciec utrzymuje rodzinę ze swej renty; niewielka wprawdzie ona jest, ale jeszcze z głodu nie umierają i na pewno nie umrą; i nie będą siedzieć na karku temu niegrzeczному i niewychowanemu chłopakowi, który czyha na posag przyszłej żony dla swych sióstr. Gdybym koniecznie chciał, Hanulu, na Twój posag liczyć, to pierwiej zbadalbym, ile go posiadasz i czy warto dla niego tracić posadę. Rodzina moja więc za rok z Bożą pomocą rozejdzie się za chlebem, bo nie są to ludzie w kołyskach.

Dziwię się, Haneczko, że jeszcze mnie lubisz i zataśkniłaś do mnie po tylu gadaniach ludzkich i Twego Kuzyna. Przekonałem się, jaką on żywi dla mnie sympatię. Nie dość, że interesował się bardzo moimi osobistymi sprawami, to jeszcze wkroczył w życie mojej siostry, kiedy dowiedział się, że oświadczył się jeden z piekuckich policjantów. Zareagował we właściwy sobie sposób: zmontowaniem intrygi – że siostra moja jest bez posagu i żadnego majątku temu policjantowi nie wniesie. Ostatecznie nic z tej intrygi nie wyszło – i przeprosił narzeczonego siostry. Niech Mu Bóg Dobry przebaczy; nie będę złorzeczył i źle mu życzył, bo kocham Ciebie, Dziewczyno. Co dalej będzie i co wyniknie z tych jego poczynañ – nie wiem. Wiem tylko tyle, że wyczerpałem wszystkie środki, by uniknąć dalszych scysji. Bóg sam widzi, że chciałem załatwić rzecz polubownie; byłem parę minut temu na plebanii, by porozmawiać z nim jak z kapłanem, i przedstawić propozycję zamiany mojej posady w Piekutach na posadę w Białaszewie; nie chciał się jednak zgodzić.

Jak wspomniałem, prawdopodobnie po złożeniu matury przez mego starszego brata, Mieczysława, rodzina moja przeniesie się do Łomży; możliwe, że i ja się na pewien czas zadekuję się bliżej Ciebie... Ale może Twoja rodzina już nie pozwoli mi widywać się z Tobą; może się pozbędzie głupiego natręta, który mimo wszystko dla zdobycia majątku pcha się, gdzie na niego patrzą jak na raroga. Hanko, Hanko! Za to, że kocham – tyle niewdzięczności. Posag, posag! Żołądki, żołądki! Co za biedni i głodni ludzie, co Ci tak donoszą na mnie – a i bardzo źle wychowani i niegrzeczni, bo każdy sądzi podług siebie.

Nie spodziewałem się, Hanko, że Twój Kuzyn może tak nas oceniać: ja mam być niegrzeczny, a Ty – bez charakteru. Ach, jaka obłuda, jaki fałsz! Zapytałem Księdza: „Wszak Ksiądz mi powiedział, że nie go Hanka nie obchodzi, że ona przecież ma rodziców?” Odpowiedział. „Ale później dałem panu delikatnie do zrozumienia, że nie życzę sobie mieć Pana przy sobie”. Co za chłód wieje od tego człowieka! Hanko, daruj! Jakże zimny jest ten człowiek na wszystko, co tchnie ciepłem miłości! Wybacz, że oskarżam go tak ciężko, ale nie mogę znieść tego, że mnie tak podeptał.

Nie wiem, co teraz nastąpi. Wierzę mimo wszystko, że jest Bóg, i ta wiara łagodzi mój ból serca i duszy. Hanko moja, jeśli mogę Cię tak nazwać! Nie będę się stale zaklinał o moich uczuciach względem Ciebie. Macie mnie wszyscy w swoich rękach; Ty i Twoja rodzina; co chcecie, możecie zrobić ze mną. Więc jeśli i Ty mi powiesz „Idź precz, tułacz!” me serce zapłacze, ale odejdę...

Tymczasem bawię się, Hanko, by zagłuszyć tęsknotę swego serca. a gdy nadejdzie czas, spojrzę Ci w oczy i spytam: „Czy teraz mnie lubisz?”

Nasz los – to próba: kto silniej i prawdziwiej kochał.

Źle wychowany, niegrzeczny Antek.

Odpisz natychmiast, bo pragnę z Tobą rozmawiać jak najwięcej.

• Sztabin, 6.02.1937.

Mój Tolku zmartwiony!

Nie przejmuj się, kociaku; ludzie zawsze jedni drugich prześladują, zazdroszczą im, gdy widzą, że są szczęśliwi, że się kochają. Ja chcę i pragnę i proszę Boga, abyś był szczęśliwym i dobrym człowiekiem,

w całym słowa tego znaczeniu. Dużo może wyrządziłam Ci przykrości ostatnim listem, ale widzisz: chcę zawsze wszystkim podzielić się ze swoim małym Tolkiem, a Ty powinienes już mnie znać na tyle, żeby do serca nie brać wszystkiego, co piszę.

Zgadłeś, Tolku: od nikogo innego się nie dowiedziałam (o wszystkim, com pisała) tylko od Kuzyna. Mam ten list,⁴⁹ i o ile przyjedziesz, to Ci go pokażę. Oczywiście ubolewa w nim nad moim losem. Podkreśla, że na taką chorobę, jaką ja choruję – a jej nazwa brzmi: „szaleństwo” – nie ma lekarstwa. Miłość moją ku Tobie nazywa „szaleństwem”. Uważa również, że ja do tego stopnia straciłam rozum, że gotowam zarznąć się, spalić i wyrzec się Księdza życzliwości (to najgłówniejsze!). Ciebie nazywa „narwańcem” i jakimś „fircykiem”. I jeśli wyjdę za Ciebie, to na pewno nie będzie mi dobrze: podeptam honor swej rodziny i przekreślę życzliwość ze strony Księdza. Co za paradoks: najpierw ja nie byłam warta Ciebie, a teraz Ty mnie. W liście tym podkreśla Książdz, że będziesz na posadzie w Piekutach tylko do wiosny. „Ja tej rodzinie i jej grzeczności mam dosyć” – pisze.

Gdy ze Srebrnej z kursów wróciłam do Modzel, rodzice moi nic nie mówili o Tobie. Z tatusiem nie rozmawiałem; mamusia jedynie mówiła, że Książdz „ładnie” nazywa mnie w liście. Sama mówi: „Nie wiem, co mam myśleć o tym, co Książdz pisze: wierzyć, czy nie wierzyć”. Tak, Tolku, nie wiem, co nas jeszcze czeka; może pasmo cierpień bez radości.

Nawiasem mówiąc, Książdz napisał w swoim liście, że wystarał się dla mnie o pracę. Cóż za przechwałka! Po prostu szukali mnie w KSMŻ, no i oczywiście zwrócili się do Księdza z pytaniem, gdzie się obracam. A on przypisuje sobie całą zasługę w tym, że na kilka miesięcy mam pracę.

Tolusiu, tęskno mi do Ciebie. Wieczorem, gdy mam wolną chwilę, jestem myślami w Piekutach z Tobą. Myślę o tym, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy ujrzę swego kociaka małego niegrzecznego. A teraz się trochę gniewam na Tolka. Ma dużo czasu, a wierszyka żadnego mi nie napisał. Ale prawda, zapomniałam! Przecież to karnawał. W poście będziesz miał więcej czasu.

⁴⁹ Chodzi o list z 11.01.1937 od ks. Rocha Modzelewskiego do Jana Modzelewskiego.

Tolusiu! Znoś przykrości od Księdza z podniesionym czołem. Nie pokazuj po sobie, że się nimi przejmujesz; odwrotnie, bądź zawsze wesół. Wiedz o tym, że choć może jestem „szalona”, jednak kocham Cię, dopóki jesteś takim, za jakiego Ciebie uważam.

Ja stale liczę, ile dni zostało do Wielkanocy, kiedy wrócę do domu i z Tobą się zobaczę. Wcale się nie cieszę, że będziesz w Łomży. Dlaczego? Bo nie będziesz miał posady. Tolku ja chcę i proszę Boga, abyś Ty miał pracę i żebyśmy mogli się połączyć, jeśli to jest Jego wola. Staraj się znaleźć, Tolku, jakąś możliwą posadę, jeśli poważnie o mnie myślisz. Wszak masz dobre świadectwo. Zwróć się może do p. Bulaka, aby Ci coś znalazł. Zostaw Piekuty. Nie rozpoczynaj walki z Księdzem, bo na pewno przegrasz. A zresztą – postąp, jak chcesz, byleby szlachetnie, bo gdyby pierwiastka szlachetności w Twoim postępowaniu zabrakło, przestałabym Ciebie kochać. Trzeba stale szukać, a może się coś znajdzie dla Ciebie.

Tolusiu! Pomódl się czasem za Hanulę!

Widzisz, malutki Tolusiu, Hanka, posłuszna Twemu rozkazowi – „Odpisz natychmiast” – tego samego dnia pisze do Ciebie.

Od kilku dni czuję się niedobrze, a tu trzeba pracować. Dzisiaj uzdrowiło mnie lekarstwo, a zgadnij, jakie? Twój list! Chociaż taki pełen goryczy, wśród obcych drogim on mi się wydał – i zaraz lepiej mi się zrobiło.

Dzisiaj proboszcz sztabiński przyprowadził do nas na obiad sześć osób. Jest dość przyjemny, więc trudno mi go unikać: spędzam z nim wieczory.

Tolusiu! Pozdrów ode mnie swą rodzinę. I zacznij do mnie pisać, gdy dostaniesz ode mnie ten list, włóż w kopertę i przyślij do mnie. Po liście do Kociaka muszę jeszcze ułożyć obiad na jutro i przygotować jakąś aktualną pogadankę o witaminach itp. – a bardzo mi się już chce spać...

Wybacz, że tak bazgrzę, ale to już taka moja natura; chce więcej napisać, pogadać ze swych chłopakiem, i dlatego tak brzydko wychodzi.

Mrozu już u nas nie ma. Woda – trudno przejść. Nos już jest w porządku, a tak się bałam o niego: myślałam, że zostanie już na zawsze czerwony.

Tolusiu! Pisz do mnie dużo, dużo – o wszystkim: i o smutnych i o wesołych rzeczach, bo powinienes z Hanką dzielić się wszystkim, skoro ją kochasz.

Bardzo za Tobą tęsknię i stale myślę o Tobie, Tolku... Tolusiu...
Ant...ku... Kiedy... Cię... ujrzę...

Twoja Hanula

(Bądź dobrej myśli.)

Z ludźmi obchodź się w sposób grzeczny; to będzie dla Ciebie lepiej. Pisałam do Księdza, jak Ci już wspomniałam, ale po liście, który napisał do tatusia, pisać nie będę. A zresztą nie wiem – może gdy z Tobą się zobaczę, zmienię zdanie.

Żegnaj mój mały Tolku!

Stęskniona Hanula.

• [Piekuty,] 9.02.1937.

Moje Słoneczko!

Dziękuję Ci za kochany liścik, który jest dla mnie ukojeniem: jest mi osłodą w szarych chwilach mego tu w Piekutach życia. By zagłuszyć zgrzyty nieludzkiego świata, bawię się, obcując z tymi, którzy nie znają co ironiczny uśmiech lub podła intryga. Sam jestem, a właściwie byłem inicjatorem kilku zabaw u siebie, w swoim domu. Bawiłem się z młodzieżą KSM, bo lubię tę młodzież za ich szacunek do mnie, za te łzy, które zaperliły się w młodych oczach, gdy dowiedziały się, że ja mam zamiar odejść od nich. Dlatego też te chwile gorzkie w dniach karnawału w Piekutach spędziłem przeważnie wśród tych młodych dusz, które jeszcze dalekie są od wyziewów piekuckiego plotkarstwa.

Byłem tylko na zabawie urządzonej staraniem policji u Moczydłowskich dla elity piekuckiej. Ponieważ miałem próbę generalną sztuczki pt. *Swaty*,⁵⁰ więc dopiero około godziny 11-ej wieczorem zjawiłem się na owym balu. Po skończonej birbantce, tańczono przy dźwiękach muzyki radiowej (zabawa ta była zorganizowana w związku z muzyką nadawaną przez radio, w którąś z ostatnich sobót). Spojrzałem po sali; każdy z żoną lub z narzeczoną, tylko ja, sam, jak koleś, przywałęsałem się ostatni. Myślę: Dlaczego mojej słodkiej Hanuli tu nie ma? Nagle błyska oczami jakaś Penelopa. Ach! To Kastrunia i jej rodzona siostra. Myślę sobie: „Teraz wpadłem jak pies w mąkę!”. Stroję minę lwa salonowego i z niskim ukłonem (na jaki tylko stać źle

⁵⁰ Chodzi prawdopodobnie o dwuaktówkę *Swaty* autorstwa Eugenii Dominiowej.

wychowanego człowieczka) porywam nadobną córę Ikariosa w zawrotnego obertasa. Oblały mnie siódme poty i dopiero w takt upojnego tanga stopniowa temperatura mego marnego cielska zaczyna spadać; powiadam „stopniowo”, bo obok siebie miałem dosyć ciepły kaloryfer... Drugą moją partnerką była nadobna rozwódeczka, a raczej separatka. Zwierzyła mi się, że to za jej sprawą nie zostali zaproszeni na bal pp. Sypniakowie. Co za wielka dama pikowa się z niej zrobiła! Widocznie te żrebaki i lis z czarnym ogonem tak ją wysoko postawiły! Jakaż ona naiwna i głupia! Gdy się pokazała w Piekutach, to zaraz na drugi czy trzeci dzień zjawiła się u mnie i zaczęła szastać na p. Sypniakową itd.; nie omieszkała rozumie się pochwalić się, że ma tak dobrego brata, że jej za 350 zł kupił futro. Myślę sobie: „W czepku się rodzili tacy bracia”. Ale o nią mniejsza. Księdza, pp. Sypniaków i nauczycielstwa nie było na tym balu, a dlaczego, to później Ci wyjaśnię.

Natomiast sztuczka *Swaty* była wystawiana dwa razy. Mimo wielkich mrozów – publiczność dopisała. Całość przedstawienia wypadła dobrze. Złożyło mi gratulacje nauczycielstwo. Piekuty jeszcze jak istnieją podobno nie widziały takiego teatru-opery. W ostatnich dniach, przed wyznaczonym terminem tej sztuczki, wpadli ci policjanci i wystraszyli mi jednego aktora; musiałem więc sam zastąpić go. Początkowo Ks. Pr. z niedowierzaniem patrzył na przygotowania i nawet sam pytał, czy odegra moja solistka swoją rolę i odśpiewa swoje kuplety i piosenki. Okazało się, że Antek górą; znalazł materiał, który go nie zawiódł. Jest nią niejaka druhna z Łopienia, Bajkowska; pokazała, że chociaż jest „surowym materiałem”, to nie święci garnki lepią i świetnie odegrała swoją rolę. Za to Ksiądz gratulował jej i obiecał, że pošle ją na jakieś kursy gospodarcze.

Przygotowanie *Swatów* kosztowało mnie wiele, ale mam przynajmniej tę satysfakcję, że byle jakich rzeczy nie paskudzę, aby ludziom oczy zamydląć. Jednak ten fircyk coś umie zrobić; i rzetelnie zapracować na chleb powszedni. Przy okazji: wytłumacz mi, Hanko, co znaczy to powiedzenie Ks. Pr. o tym splamieniu przeze mnie Twojej rodziny. Czyż ja tak aż niegodny jestem Ciebie, że plamą mam okryć Twoich bliskich? Wprawdzie nie pochodzę ze szlachetnego rodu, ale chyba nie wyglądam na trędowatego, który splamiłby Twój ród wiążąc się z Tobą?

Wybacz Hanulu Moja, że Cię zanudzam mymi pytaniami, ale niestety nie ukrywam, że była to jedna z tych rzeczy, które ubodły mnie szczególnie...

Hanulu, śpij słodko! Antek, chociaż niegrzeczny, źle wychowany itp., jednak kocha Cię mocno i całuje Twoje kochane rączki.

Adieux, mon bijou. Pa, moja luba! Pisz ukochana.

Twój Antek.

• Teolin, 16.02.1937.

Kochany Toleczku!

W tym czasie, gdyś ty pisał do mnie list, u mnie było zakończenie kursu w Sztabinie. Gości było moc, bo coś ponad sto osób. Wyobrażasz sobie, jakie to było huczne zebranie, a trzeba było tak robić, żeby wszystkich zadowolić.

Dwa dni odpoczęłam i jazda dalej do Teolina.

Początkowo było mi tu bardzo smutno. Plebania – to dawny klasztor po mniszkach. Mieszkam na górze, labiryntów moc, tak że trudno się zorientować w ich układzie i trzeba było pilnie uważać, aby nie zbłądzić. Dziś już się w tych labiryntach połamalam.

Na razie patrzę na świat optymistycznie, no i jest mi trochę lepiej. Najgorzej, wyobraź sobie, nie lubię niedziel, bo wtedy czas mi się bardzo dłuży: przypominam sobie dni, gdyś Ty do mnie przyjeżdżał.

Sprawiłeś mi wielką przyjemność swym listem. Spryciarz z Ciebie, Toluś! Przyjeżdżam do Sopoćkiń, a tu druhny mówią: „Pani jeszcze nie ma w Teolinie, a list już na Panią czeka”. Myślałam, że to list z Łomży, a to od Ciebie. Teraz to już tak z wyprzedzeniem nie napiszesz, bo nie będziesz wiedział, gdzie pojedę. Chcę, Tolk, uniknąć sytuacji, gdyby w ostatniej chwili dano mi znać, że w Teolinie kursu nie będzie. List by nie wiadomo co przecierpiał, a może nawet i nie doszedłby do mnie.

Jak wnioskuję z listu, Toluś pięknie bawił się w ostatki karnawału. Ja bardzo mało tańczyłam, ponieważ zrobił mi się jakiś feler na pięcie (gdyby nie doktor sztabiński byłoby ze mną źle); nie mogłam porządnie chodzić, a co dopiero tańczyć... W ogóle jak wrócę z kursów to mnie nie poznasz. I kto wie: może się odkochasz? To byłby dopiero skandal: Hanka rozplakałaby się, a Tolek śmiałby się do rozpuku.

Mój Tolk! Ty się nie przejmuj tym, że plamisz swoją osobą niektóre osobistości. Najważniejsze, żebyś dostał posadę.

• [Piekuty, ok. 20.02.1937.]

Ukochana dziewczyno!

Wysłuchany w przedziwny czar ballady Chopina, piszę do Ciebie, Hanusiu moja. Co za potęgę uczuć, miłości, bóleści i żalu zaczarował ten wielki muzyk w tony muzyki swojej. Słuchając jej, unosi się człowiek w nieznana krainę ułudy...

Ach, Hanulu moja, Ty żartownisiu ukochana, nie dokuczaj mi tym, że mogę kiedykolwiek zapomnieć lub z Ciebie się śmiać.

Muszę Ci nawymyślać za to, że mi chorujesz. Mnie kiedyś mówiłaś, bym się nie przepracowywał, a sama co robisz? Poczekaj, dam ja Ci *pater noster*, jak na święta przyjedziesz do domu: będzie źle, jak się Twój niedobry chłopak zacznie się na Ciebie gniewać. Przyznaj się, co Ci dolega, bo gotów jestem myśleć, że bardzo poważnie zachorowałaś...

O swego Antka się nie martw, moja małeńka Haneczko; Antek tyje na złość wszystkim, którzy go nie lubią i jest bardzo wesoły. Arystokracja piekucka i okoliczna dziwi memu stanowi ciała i ducha. Pytają: „Co to znaczy, co tak wpłynęło na pana?” itp. Tak, Hanulu, to Ty jesteś czarodziejką, że tak kpię sobie ze wszystkiego.

A Ty w tym Teolinie nie przerób mi się na jakąś mniszkę, żeby później nie było historii z wykradaniem (wybacz, że piszę nie według dzisiejszych wymogów); kłopot w tym, że ja na rycerza jeszcze nie byłem pasowany...

Dni płyną, jak zwykle. Nudy i jeszcze raz nudy. To mnie jedynie pociesza, że jednak mam istotę, która choć trochę myśli o takim nędzniku, jak ja, i ta siła jej uczuć podtrzymuje mnie na duchy w tych „Pokutach”. Atmosfera jest tu nie do zniesienia. Ty przynajmniej, Hanulu, oddychasz świeżą atmosferą: żyjesz wśród obcych ciągle nowymi wrażeniami i nowymi widokami napawasz swe oczy. Ja – po dziesięciu miesiącach pobytu w Piekutach, mam ich mieszkańców powyżej uszu.

Przyjąłem, Haneczko, rolę Kazimierza w dramacie *Gwiazda Syberii*,⁵¹ który wystawić mają na Święta Wielkanocne (zdaje się w drugi dzień świąt) strażacy. Proszę Cię, Hanuś, o dyspensę, bo będzie tam sporo ściskania się tą panną Genią z Lizy Nowej (nie wiem, jak brzmi jej nazwisko).

⁵¹ Chodzi o sztukę Leopolda Starzeńskiego. Jednym z bohaterów tej sztuki jest Kazimierz, książ litewski.

Ciocia była u Twoich rodziców z racji odpustu w Łomży na św. Walentego. Nie rozmawiałem jeszcze z nią po przyjeździe i nie wiem, co za nowiny stamtąd przywiozła. Twój brat, Roch, był ukradkiem w Piekutach; tydzień minął w ostatnią sobotę. Słyszałem, że bardzo dużo było naaresztowanych w Modzelach,⁵² między innymi Twoi bracia; na szczęście są już na wolności, tylko podobno z p. Adamem coś nie bardzo będzie, bo ma podobno 11 protokołów; policjantowi coś tam odebrał, rewolwer, czy coś takiego – mówiła ciocia. Nie wiem; może Ty już wiesz o tym. Jak coś się dowiem czegoś ciekawego, to Ci opiszę, tylko daj mi znać, gdzie się będziesz znajdować.

Na zakończenie piszę Ci wierszyk – wybaczyć, że niezbyt udolny. Szykuję dla mej Hanki cały album moich bazgranin; już są w druku.

Na dworze całun śniegu
Oblany ciepłem słońca.
Wierzby w zwartym szeregu
Czekają zimy końca.
Natura z snu martwego
Ocknie się i rozśmiej
Z letargu zimowego,
Bo już słońeczko grzeje.
Wszystko obleka szaty
Nowiutkie, co jaśniej
Barwą tęczy, szkarłatem.
Wietrzyk ciepły już wieje.
I w sercach jaśniej będzie,
Odejdą wszelkie złości,
Zapali radość wszędzie
Wiosna, co tchnie miłością.
Może i u nas się zmieni?
Promień szczęścia z daleka
Miłość nam opromieni.
I otrze łzę z powieki.
Wtedy będzie radośnie,
Tak upojnie i błogo.
Będziemy śnić o wiosnie:
Jedną pójdziemy drogą.

⁵² Nie jest jasne, jaki był powód aresztowań.

Hanulu moja! Tęsknię do Ciebie – o! bardzo tęsknię. Kiedyż mi Dobry Bóg dozwoli, bym był przy Tobie? Hanuś! Ja tak Ciebie kocham, a srogi los mnie tak doświadcza. Żyję nadzieją, że jednak po dniach niepogody nastaną dni jasne, dni pełne słodkiego upojenia i ukochania. Mimo że zawsze niepewność koło mnie błądzi, gdy wiem, że Ty, Jedyna, jesteś przy mnie, odpędzam te koszmarnie zjawy precz i drwię sobie z nich...

Usypiam Ciebie teraz, moja Dziecino. Śpij mocno i śnij słodko. Antek stale myśli o Hanuli, o swym słończku. Śpij i z wszystkiego drwij, moja Dzidzi! Serce moje Tobie składam w ofierze i miłość, choć może nie wart jestem Twego uczucia. Ale jeśli Bóg pozwoli, będę się starał z całych sił dać to szczęście, jakim Ty mnie darzysz.

Pewnie już śpisz, bo już jedenasta trzydzieści.

Składam na Twym czole długi pocałunek.

Śpij słodko... Antek. Pisz.

• Augustów, 25.02.1937.

Kochany Tolku!

Już opuściłam Teolin, prastary gród mniszek. Dziwnie się życie układa: kiedy człowiek przyzwyczai się do jakiegoś miejsca, musi je opuszczać i dalej – w inne okolice, do innych ludzi. Wspomnienia jedynie miłe pozostały po Teolinie i Sopoćkiniach.

Teraz jestem w Augustowie. Zwiedziłam kościół, wszystkie ulice, i czekam w cukierni na autobus. Szkoda, Tolusiu, że Ciebie nie ma tu obok mnie – źle mi, że sama muszę pić herbatę... Ty może masz akurat w tym czasie próbę i panną Genię ściskasz. Nie bronię Ci Tolku! Ściskaj i wszystkie afekta zwracaj ku niej. Abyś miał dużo czasu, nie podam Ci adresu, dokąd stąd wyjeżdżam. Lepiej się nauczysz roli i cała parafia będzie Ciebie podziwiał, bić brawo tak jak w niedzielę dla Jana Kiepury i jego małżonki. Na pewno słuchałeś jego występu przez radio. Skorzystałam z zaproszenia pewnego dobrego człowieka i mogłam podziwiać głos sławnego śpiewaka.

Niedługo zobaczymy się może, gdy będziesz miał czas przyjechać do Modzel – po świętach. Nie wiem, jak mi później wypadnie. Może jeszcze przeprowadzę kilka kursów i po Świętach Wielkanocnych? To będzie zależało od różnych okoliczności.

Kanarek wyśpiewuje trele w klatce tuż nad moją głową.

Myśli płaczą mi się, a jednak chcę napisać do Tolka list, bo to stąd ostatni. Ileż to wspomnień budzi się z przepędzonych razem chwil? Pierzchają jednak szybko i wraca świadomość, że Tolek niedługo opuści Piekuty – przeze mnie.

Tolusiu! Przemyśl to jeszcze! Wiesz, że teraz trudno znaleźć pracę. Spróbuj pogodzić się Ks. Pr., a może zmieni swe zdanie o Tobie.

Jestem ciekawa, co tam moja czcigodna ciocia naopowiadała w Piekutach po powrocie z Modzel. Może że rodzice moi zakazali mi surowo widywania się z Tobą? A ja wiem, że bez Tolka ciężko mi żyć. Za kilka tygodni znajdę się znowu w domu; wtedy każdy kąt mi Ciebie przypomni.

Wyobraź sobie że doszło do dziwnego spotkania. Jechałam autobusem i zapoznałam się w nim pewnym adwokatem z Grodna. Człowiek ten później przyjechał do mnie i koniecznie chciał, abym dała mu swój adres, gdyż on – jak się wyraził – myśli poważnie, żeby się ze mną związać. Ma dobrą opinię poważnych osób. Jak widzisz, Hanka ma szczęście, ale... wzięcia ani rusz.

Tolusiu! Bądź dobrej myśli i wspomnij o mnie. Po świętach oczekuję Ciebie w Modzelach.

Autobus już przyjechał; muszę jeszcze wrzucić list do skrzynki – i dalej w świat. Wiedz jednak, że choć z daleka, myślą jestem przy Tobie. Twoja Hanula.

Pozdrowienia dla wszystkich.

• [Piekuty,] 19.03.1937.

Hanko Moja!

Nareszcie doczekałaś chwili, że mogę do Ciebie pisać i wyżalić się, że skazałaś mnie na tak długi czas rozłąki. O, jak mi przykro, że moja ubóstwiona dziewczyna skazała mnie na taki czas milczenia, nie dając mi adresu. Hanko! Z ostatniego Twego listu, chociaż był jak zawsze kochany, nie wyczuwałem Twojej zwykłej dziecinnej tliwości. Czy to nie ów dziwny wypadek z przygodnym znajomym, a może kolegą z ławy szkolnej, zmienił ton Twoich uczuć? Hanusiu! Czyż adres nadawcy ostatniego listu, napisany na kopercie, był żartem, czy może miał jakieś tajemnicze znaczenie?

Hanulu moja! Czy naprawdę sądzisz, że ten niewychowany „fircyk w zalotach” zdolny jest złożyć swe uczucia u stóp Twego kuzyna? Jeśli tak, to wiedz, żeś się pomyliła. Dla mojej miłości do Ciebie, Dziewczyno, wszelkie przeciwności są niczym! W jednym z mych listów pisanych do Ciebie przytoczyłem czterowiersz:

Nie ten przyjaciel, kto w pomyślnej chwili
Swoją miłością życie Ci umili,
Lecz ten, kto w życia sromotnej godzinie,
Swymi ramiony szyję Ci owinie.

Wiersz ten stale dźwięczy mi w uszach. Wiem, że wkoło siebie mam wielu ludzi, którzy patrzą na mnie jak na jakiegoś natręta, ale to fraszka; każdy ma swoje cele i swój sposób myślenia; nie zwracam na to uwagi. Od Ciebie pragnę tego kochania, które, tak cudnie, tak szczerze odtwarza poetka nasza:⁵³

„Kocham” – to znaczy: Chcę z Tobą podzielić
Gorzki chleb trudu, i łez, i boleści;
Chcę oczy Twoje w dniach smutku weselić
I tarczą być Twojej cześci.
Chcę na Twych piersiach być jak róża biała,
W której płomyček tajemniczy pała,
I chcę być – jako pieczęć rubinowa
Na ustach Twoich bez słowa.”
„Kocham” – to znaczy: Chcę w cichym zakątku
Żyć zapomniana, byleś Ty był ze mną...
Chcę nad kołyską, naszemu dzieciątku
Nucić piosenki w noc ciemną! [...]
Chcę domu Twego być białym powojem,
Twojemu czołu od skwarów ochroną;
Chcę być Twą myślą – i ramieniem Twoim,
I przyjacielem i – żoną.

Ze słów tych bije prawdziwa poezja, i moc, i poczciwość, i szczerze uczucie, i prawda. Ja takiej miłości pragnę. Czytając ten cudny wiersz, widzę swoją Hanulę, ten brylant, ten ideał miłości. Boże daj, by ma-

⁵³ Jest to wiersz Marii Konopnickiej „Do kobiety”.

rzenia o mej miłości, Hanuli ukochanej, ziściły się. Haneczko! Bądź spokojna! Nie jest tak źle, jak Ci donoszą. Strachy na Lachy!

Haneczko, spodziewaj się swego Antka w pierwszy dzień Wielkanocy: o ile coś nie stanie na przeszkodzie, wieczorem u Ciebie zawitam. Tymczasem do listu tego dołączam swoją dawniejszą podobiznę z lat, kiedy byłem bez wąsów i czuprynę nosiłem na bok, a teraz przeczytaj dalej:

O gdybyś Ty wiedziała
Jak długie są te noce
Rozstania, gdy łopoce
Duch, co miłością pała.
Skarży się w poniewierce...
Dlaczego milczeć kazała?
Adresu wszak nie dała,
Bym był w stałej rozterce?

A tak pragnąłem Tobie
Posłać słowa kochania:
W chwili długiej rozstania
Napisać coś o sobie.
Słowa Twe dziwnie dźwięczą
„To ostatni”... Bolesnie,
Jak nieznajome pieśni,
Głosem rozstania jęczą.

A potem niby w księdze
Złowróźbnej przeczytałem –
Chwilę krótką myślałem –
„Proszę, pogódź się z Księdzem”.
Koniec mi był ośłoda...
Brzmiał on: „Twoja Hanula
Do serca Cię przytula” –
Jak ożywcza woda...

Słowa jak płomień skargi
Choć w bólu – są radosne:
Śpiewam Ci, Miła, o wiosnie –
Zbladłą purpurą wargi...

Wybacz, Moja Ukochana, może Ci przykrość sprawiam, ale tyle już w życiu wycierpiałem, że nieraz słowa gorczy same cisną się na usta.

Twój Antek.

Pozdrowienia dla wszystkich, a ucałowanie rączek dla Twojej matuli. Bądź dobrej myśli, Hanuś! Bóg nam pomoże.

Dziś byłem u komunii św. i prosiłem Stwórcę, by o nas nie zapomniał.

Całuje Twe rączkę – Antek.

• [Piekuty, ok. 15.04.1937.]

Hanulu ukochana!

Cudnie tak słońce świeci. Świat cały tchnie już wiosną: majem, wonią róż i konwalii. I serce moje z zimowych strząśnięte pyłów tęsknoty, słodkim żywione pocałunkiem, miłości czystej jak łza, bije tętnem równym i spokojnym, bo wie, że kocha i jest kochane.

Hanusiu moja! Drogę odbyłem szczęśliwie. Wjeżdżając do Piekut, tuż koło domu Olędzkiej, spotkałem się oko w oko z Ks. Pr., który jechał do chorego. Od razu przeczulem, że się domyśli, skąd jadę. Nie omyliłem się.

Przychodzę na plebanię. Ciocia pyta, co słychać, czy pisałaś do mnie. Ja odpowiadam: „Nie pisała, ale ja sam byłem u niej i przynoszę ukłony i pozdrowienia z Modzel”. Pyta się dalej, kiedy nasz ślub. Ja odpowiadam „Niedługo, da Bóg”. Następnie pytam: „Dlaczego pani tak-a-tak mówiła – i przytaczam jej słowa o cegle itp. Ciocia nie chce się przyznać, i powiada: Nic takiego nie mówiłam. Jak przyjadę na św. Wojciecha, sprawdzimy oboje.” Mówiłem również, że nie spodziewałem się, by Ks. Pr. nazwie mnie „fircykiem”.

Widocznie ciocia powiedziała o naszej rozmowie Księdzu Proboszczowi powiedziała, bo zaraz 1 kwietnia Ks. Pr. pyta mnie, czy mam już posadę, gdyż już dał słowo mojemu następcy. Powiedziałem, że posady odpowiedniej nie mam, więc się z Piekut nie ruszam, i dodałem: „Ksiądz Proboszcz sprowadził mnie na tę posadę, a teraz chce mnie pozbawić chleba. Ksiądz Proboszcz nie ma prawa wtrącać się do moich spraw osobistych, ponieważ z obowiązków swoich wywiązuję się należycie.” Szarpnął się i poszedł do plebanii. Nie wymówił mi pracy formalnie – ani na piśmie, ani przy świadkach. Nie przysłoby to łatwo, ponieważ parafia jest w zupełności ze mnie zadowolona, a mam dowody, że i on wyrażał się swego czasu o mnie, że dostał wartości-

wego człowieka. Jeśli jednak chciałby ze mną walczyć sądownie – no to i ja, trudno, będę się musiał bronić. Nie obawiam się niczego, bo nie poczuwam się do żadnej winy. Hanulu! Przykro mi – o! bardzo przykro – że musiałem wejść w konflikt z Twoim Kuzynem. Ale praw moich i uczuć nie pozwolę podeptać, bo kocham, kocham Ciebie, jedyna moja Zazulo. Mam nadzieję, że te przykre chwile może czas zatrze, a dalszą część życia osłodzi nam Dobry Bóg.

Haneczko! Bądź przygotowana na to, że przyjadę niedługo, by dać na zapowiedzi. Miałem nadzieję, że przyjadę w piątek lub sobotę, bo Ks. Pr. miał na piątek i sobotę pojechać do Warszawy; niestety ostatecznie nie pojechał, bo zachorował. Spodziewaj się więc mnie za tydzień. Blejtramki do portretu cyganki już gotowe; po niedzieli zabiorę się do roboty i o ile czas mi pozwoli wkrótce dostaniesz swoją cygankę. Napisz więc mi coś słodkiego, żeby mi praca szła dobrze i obraz się udał.

Na ślub mam już przygotowane prawie wszystko. Rodziców uspokój. Na wypadek śmierci lub choroby w Piekutach jest rada: wszak ojciec mój był organistą i będzie mógł mnie zastąpić.

Do widzenia, Hanulu moja! Oby ta wiosna była naszą wiosną pełną radości i ukochania. Oby było dużo prawdziwego wesela i pięknych uniesień, a życie przechodziło nam lżej i słodziej.

Pozdrowienia i ukłony do wszystkich. Ucałuj rączki mamusi i pozdrów Honoratkę – Twój Antek.

• [Piekuty,] 6.05.1937.

Hanulu ukochana!

Tak cudnie pachnie maj; ptaszęta wywodzą swe trele; wszystko budzi się do życia. A nam co wiosna przyniosła? Jak dotąd niewiele – prócz tęsknot i marzeń uludnych: nic i nic. Odwiedzam te miejsca, gdzie razem spędzaliśmy chwile pierwszych naszych porywów, uniesień. Wspomnienia te są mi tak drogie, tak miłe! Rok już od tamtych chwil mija, a z nim uczucia nasze potężnieją, zdolne oprzeć się wszelkim nawałnicom.

Wróciłem szczęśliwie do Piekut. Zastałem w domu swego znajomego, który – jak już Ci mówiłem – przyjechał z Łap. Ale *fatum*, jak zwykle, nie sprzyja nam, więc i tu nic nie wskórałem.

Jakieś awantury dzieją się w Łapach. Ks. Bagiński jest jakby wystraszony. Rzecz się miała mnie więcej w ten sposób. Ks. Bagiński z Łap mało pobierał za pogrzeby, śluby itp., więc duża część parafian przeniosła się do Łap z Płonki. Powstała więc myśl, żeby ks. Bagińskiego z Łap przenieść. Wmieszano w to miejscowego organistę; wikary, kuzyn Palutisa z Teolina, zaczął mu zarzucać, że źle prowadzi chóry i orkiestrę, i... protegować na jego miejsce swego kuzyna.

Sprawa oparła się o kurię, która podjęła decyzję, żeby dwóch wikarych i prefekta przenieść na inne miejsca, a organista zamienił się z kimś na posady. Rozmawiałem z ks. Bagińskim, według którego tylko w ten sposób można sprawę w Łapach zakończyć, że przyszedłbym na miejsce obecnego organisty. Ale żeby taką zamianę przeprowadzić musiałbym stoczyć walkę z Ks. Proboszczem. Ja zaś chciałbym uniknąć skandalu. Pojadę więc do Łomży, żeby sprawę ostatecznie wyjaśnić i zdecydować się, jak postąpić.

Haneczko! Bądź łaskawa i pilnuj Puchał. Jeśliby zaszły jakieś zmiany, natychmiast daj mi znać, bodaj zatelefonuj! Ks. Tałandzewicz mnie powiadomił, że sprawa zmiany organisty w Puchałach ulegnie kilkumiesięcznej zwłoce, ponieważ syn tamtejszego organisty prosił bardzo, by odroczyć termin na kilka miesięcy, ponieważ inaczej straci dużo na ubezpieczeniu.

Ty, Hanusiu, nie przejmuj się tym wszystkim. Nad nami jest Bóg, i nam może słońeczko pogodne zaświeci. Nie upadaj na duchu, że spotyka nas tyle niepowodzeń. Jak Ciebie kocham, bardzo kocham – i nie spocznę, zanim nie będziesz ze mną szczęśliwa. Niech wali się wszystko, niech wszyscy będą przeciw mnie – nic to! Nic nie zdoła ugasić moich uczuć dla Ciebie.

Hanusiu ukochana! Jak słodkie są chwile, gdy patrzę w szmaragdy Twych oczu! Jak czuję się szczęśliwy, gdy czuję bicie Twego serca przy sobie! Jak miłe słucham, gdy wymawiasz me imię: „An-tek”. O! Wtedy me serce napełnia się radością. Nie myśl, Hanulu, że Antek Cię nie rozumie. On czasem czuje, że chcesz go wybadać, nieraz poddajesz go próbom, a czasem nawet dokuczasz. Za to Cię też kocham, że chcesz we mnie szukać i wad, aby mnie bardziej zrozumieć. Mów mi zawsze prawdę w oczy, gdy zauważysz we mnie coś złego, a za to ja ucałuję Twe kochane oczęta mocno, mocno.

Róż jeszcze nie namalowałem, bo brak mi farb, ale na 13 maja będą gotowe; przywiozę Ci je razem z pudełkiem.

Bądź pewna, Hanko! Mogą mi wszystko wydrzeć, ale Ciebie i Boga z serca nikt nie jest zdolny mi z serca wydrzeć. Pa! Luli Hanuli! Śpij słodko, aż do świtu.

Antek.

Pozdrowienia dla wszystkich i p. Honorki – i ucałuj rączki matuli.

• [Piekuty,] 28.05.1937.

Hanulu!

Jak zwykle, ukołysany Twymi pieszczotami, żarem uczuć prawdziwej miłości, wracałem do domu wsłuchany w symfonię poranka przecudnie harmonijną, barwną, ale tak jakoś dziwnie tchnącą żalostí. W domu nie zastałszy swego Szefa. Mogłem więc dłużej być z Tobą. Lepiej jednak, że byłem na miejscu wcześniej, bo po coś ma się ktoś z tego powodu denerwować. Nie wiem, co myśleć o Twym kuzynie; na każdy list do mnie reaguje zdenerwowanie, sądząc, że to od Ciebie. Przytoczę Ci jeden z ostatnich epizodów mego pobytu w „Pokutach”.

Wyjechałem na wieś do Częstek po broszurki od p. Kalinowskiego i rozumie się dłuższy czas tam gościłem. Tymczasem mój ojciec poszedł na pocztę,⁵⁴ aby zobaczyć, czy nie ma jakiejś korespondencji. W urzędzie zastał Ks. Pr., piszącego list – czy coś podobnego. P. Zosia głośno powiedziała do ojca, że jest do mnie list polecony. Ks. Pr. w tej samej chwili zapytał się, czy czasami nie jest to list z Czerwonego Boru. P. Zosia zaskoczona, nie wiedziała co powiedzieć; rada by się nam nie narazić i rada by pokazać Ks. Pr. skąd przyszedł ów list. Podeszła wreszcie do Ks. Pr. i podała adres nadawcy. Sądziła, że ojciec stojący za okienkiem, do tego głuchy, nie spostrzeże tego manewru. To prawda; ojciec jest głuchy, ale nie ślepy; zauważył, co zrobiła piękna Zosia i doniósł mi o wszystkim.

Ja na razie p. Zosi w tej sprawie nie nagabywałem, czekając na jakąś okazję. I oto wczoraj, tj. w czwartek, po nabożeństwach wyje-

⁵⁴ Chodzi najprawdopodobniej o Urząd Pocztowy w Szepietowie, gdyż w tym okresie poczty w Piekutach nie było.

dżam do kolegi do Dąbrówki. W lesie ktoś mnie dogania na rowerze. Oglądam się: Zosia. Jak zwykle: „Moje uszanowanie”, „Jak zdrowieńko” itp. Ona tymczasem: „A ładnie, ładnie, gdzieś Pan ulatnia się!”. „Do swej niebogi!” – odparłem. „Tylko proszę nic o tym nikomu nie mówić, bo w Piekutach już nie mam żadnego przyjaciela”. „To pan pewnie myśli o wczorajszym liście.” „O jakim liście?” – pytam, udając Greka. „Tym, co pana tatuś go pokwitował.” „Nie wiem, o co chodzi.” Tu p. Zosia zaczyna opowiadać, że Ks. Pr. chciał się dowiedzieć, skąd jest ten list. By upewnić go i uspokoić powiedziałam, że nie z Czerwonego Bogu. Ja wtedy: „Jak pani śmiała zrobić coś podobnego? Przecież ja zastrzegłem na pocztę, żeby o moich listach nikt nie wiedział skąd i dokąd idą. A Pani co zrobiła? Ja pani wierzyłem, a teraz co się stało?” P. Zosia zaczyna się tłumaczyć, że przecież mogła nie mówić mi o tym i niczego bym się nie dowiedział. Odparłem: „Dość już tego! Postaram się odwzajemnić pani za to, że nadużyła pani mego zaufania”. „Ja” – powiada – „będę się tłumaczyć tym, że Ks. Pr. mi wyrwał list z ręki. Cóż miałam robić?” A przecież ojciec widział na własne oczy, że ona sama podeszła do Ks. Pr. i pokazała mu ów list. Ale niech tam! Dam jej spokój – tylko porządnie nastraszę; niech się trochę podenerwuje.

Była jeszcze jedna historia z listami – a raczej naszymi życzeniami do Zosi z Warszawy. Franusia mnie dzisiaj pyta: „Czy to prawda, że oboje z Hanką jeździliście do Wilna?” „A kto to powiedział?” – pytam. „Ksiądz Proboszcz był w Warszawie i dowiedział się od kuzynów, że pisaliście z Wilna.” Okazało się, że brat⁵⁵ wrzucił nasze życzenia do wileńskiego pociągu i tam ostemplowano je pieczęcią „Wilno”. Ale heca!

U mnie teraz – w związku z oktawą Bożego Ciała i przyjazdem biskupa – jest dosyć dużo pracy. Ale gdy tylko będzie okazja, to przyjadę do Ciebie, Jedyna.

Żegnaj, Hanulu! Całuję Twe oczęta kochane – Twój Antek.

Ucałuj rączki Twojej matuli; pozdrowienia dla ojca, Honorki i rodziny.

Antek.

⁵⁵ Mowa prawdopodobnie o bracie Mieczysławie.

• [Piekuty,] 14.08.1937.

Ukochana Hanulu!

Upłynęło zaledwie parę dni, a już zdaje mi się, że nie widziałem Cię wieki, tak mi tęskno do tych zielonych ocząt, do mej dziewczyny. Wokoło świat jest taki wesoły, taki piękny, a jednak, gdy Ciebie nie czuję blisko, taki mnie opanowuje smutek, taki żal. Dobry Bóg może mi pozwoli, że będę z Tobą razem szedł drogą życia, aż do Jego wrót, aż do wieczności.

Moje dni płyną schematycznie. Dużo się wysypiam, wypoczywam i resztą godzin poświęcam swej pracy zawodowej. Ćwiczę dużo na fortepianie i rozwiązuję zadania harmoniczne. Miałem zamiar wyjechać razem z narodowcami do Warszawy, ale czuję się dosyć przemęczony, więc postanowiłem ze dwa tygodnie należycie wypocząć.

Miałem przez noc dzisiejszą z piątku na sobotę u siebie Stacha Sasinowskiego – o mały włos, a zostałby pokaleczony. Wjeżdżając do Ostrowi, Stach siedział na furmance, a na jego rowerze jechał obok wozu jakiś jego znajomy. Stach przypomniał sobie jednak, że ja jestem w Ostrowi, więc postanowił mnie odwiedzić; odebrał znajomemu rower i przyjechał do mnie. Tymczasem reszta narodowców pojechała dalej na tej furmance. Za miastem, na skrzyżowaniu dróg, samochód ciężarowy wpadł na ową furę i wywrócił do rowu wszystkich, przyniatając ich swoim ciężarem. W rezultacie, kilku narodowców zostało lekko rannych, a jednemu z nich zmiażdżyło płuca, tak że dostał krwotoku i odstawiono go do Warszawy. Konie również zostały strasznie pokaleczone.

Fotografie względnie dobrze się udały; tylko te dwie z Jerzykiem są nieudane, bo albo poruszył się aparat, albo coś innego spowodowało, że nie mają one odpowiedniej ostrości. Co się tyczy Twoich podobizn, to świetnie wyszłaś z moim bratem i Honorką na tym zdjęciu, co razem jesteście we trójkę; doskonale Ci w tej czapce, Ty mój kochany łobuziak; również dobre jest zdjęcie z Jerzykiem we trójkę. Natomiast nie udało się nasze zdjęcie, bo Mietek-gapa źle nastawił aparat i wszystko na nic. Twoje osobiste są dobre; na jednym zdjęciu jesteś roześmiana, a na drugim – poważna. Mietek zadowolony, że dobrze wyszli z Honorką pod gruszką; to bodaj najlepsze zdjęcia.

Chociaż tak późno, przesyłam Ci kilka książek. Dwie są tylko na razie w pierwszym tomie, bo drugie tomy się czytają. Przywiozę je może za tydzień.

Hanulu! Choć teraz może masz dużo przykrości i dużo musisz znosić niewygód, wytrwaj. Twój Antek czuje to – o! bardzo czuje – bo kocha Cię mocno z całej duszy, z całego serca. Łzy, które spłynęły z Twych ocząt dla Antka, on osuszy, on wyciął. Haneczko! Droższa mi jesteś nad wszystkich i wszystko na ziemi, a łzy Twoje ostatnie, jak perły drogie, lśnią mi przecudnym blaskiem kochania. Choć wiele niepowodzeń przeżywam, one mi jednak rozjaśnia czoło do dalszej walki, bo są to łzy mej słodkiej Hanuli.

Przesyłam pozdrowienia dla wszystkich; ucałuj rączki matuli, uściskaj Honorkę, pozdrów ojca i resztę rodziny. A na Twej rączynie kochanej chociaż na tak daleką odległość składam długi... długi pocałunek. Małego bobasa⁵⁶ mocno pocałuj od ojca chrzestnego. I za mocno nie bałamuć mi żołnierzy.

Twój Antek.

Pa, pa... ukochana!

Wiesz, Haneczko, memu bratu Mieczysławowi, jak przeczuwałem, podobała się bardzo Honorka; zaimponowała mu swoją urodą i humorem; bo rzeczywiście, że humor miała doskonały.

• Brok nad Bugiem, 22.10.1937.

Hanulu Moja!

Czas płynie tak wolno – okropnie wolno, chociaż cudowny dziś dzień: prawdziwa złota jesień. Słońce grzeje już tylko resztkami swych promieni. Wkoło tak ślicznie; tyle barw się krasi; a jednak jakoś tęskno, tak jakoś smutno. I znów spoglądam w tę dal nadbużańską. Jeszcze zielenią się łąki, a wśród nich majestatycznie toczą się fale roziskrzonych błyskami słońca. Pragnę przeniknąć swym wzrokiem ogromną przestrzeń, odnaleźć Ciebie i patrzeć w toń Twoich ocząt. Niestety; tylko myśl zdolna jest zabłądzić w Twe strony – do Ciebie, dziewczyno.

Palony tęsknotą, pragnieniem bycia z Tobą, narysowałem ołówkiem dwie Twoje podobizny. Może niezbyt udolnie są wykonane, ale

⁵⁶ Chodzi o Jerzego Modzelewskiego, syna Heleny i Rocha.

na co mnie stać było, tak wykonałem. Jedną z nich mam zamiar Ci przysłać. Czekam właśnie na rameczkę, którą mi zrobi znajomy stolarz. Muszę się wziąć w obronę, bo małe mam Twoje podobizny, więc trudno z nich jest dużo podobieństwa wykrzesać.

Ciekawe, co robisz w tej chwili: jest jedenasta.

Haneczko! tak pragnę być z Tobą razem na zawsze. Nie wiem, co nas czeka; nie wiem, czy nasze marzenia, zamiary, się spełnią; jedynie uczucia moje – wiem, że są szczerze. Co wieczór proszę w krótkiej modlitwie, by Dobry Bóg dozwolił nam szczęśliwie połączyć się, serdeczną i szczerą miłością na zawsze. Dziewczyno Kochana! nie masz pojęcia jak cierpię ogromnie. Dlaczego cierpię, powiem Ci wkrótce, gdy przybędę do Modzel. Przed Tobą nie chcę mieć żadnej tajemnicy. To, co sprawia mi ból, nie dotyczy mnie bezpośrednio, ale jednak jest nie do zniesienia.

Nie dziw się, Hanulu, że nieraz może byłem rubaszny, że przykroć Ci wyrządziłem, albo nie byłem takim jak byś pragnęła, żebym być. Nie umiem grać roli komedianta i dlatego jest mi z tym źle. Nie umiem się śmiać, gdy mi coś dolega. Może nazwiesz mnie „niezdarą”, „mazgajem” itd. Przez życie nie szedłem po różach. Zdobywałem je po grudach, piędź po piędzi, a jednak nie zboczyłem na manowce. Zasady moje, wszczepione mi przez matkę i dobrych ludzi, są nienaruszone. Gdy przyjdzie może jakaś zła chwila, nie ulęknię się niczego i nikogo.

Hanusiu! Bądź spokojna. Antek dla Ciebie będzie zawsze dobry. Może czasem nie pozwoli się pociągnąć za kapotę, ale mu to przebac. Hanulu! pamiętaj, że Tyś jest na ziemi jedyną, dla której mam to uczucie czyste. Jedną jesteś i dlatego, żeś mi obiecała zastąpić moją matkę. I gdy moje marzenia się spełnią, że będziesz moją na zawsze, będą szczęśliwy – jak nikt.

Żegnaj, Hanulu! Czas spać, bo jest już koło dwunastej. Moja uczennica siedzi już na pół senna przy fortepianie. Zasyła Ci szczerze pozdrowienia. Śpij spokojnie, Haneczko ukochana. Antek Ciebie całuje mocno w oczka, rączki i nosek. Ucałuj Jerzyka, pozdrowienia dla Honorki i całej rodziny.

Napisz mi, co słychać. Napisz – prosi Cię Antek. Pa, pa... Hanulu.

• Modzele, 27.10.1937.

Mój kochany chłopaku!

Zdziwisz się zapewne, że ja tak często piszę do Ciebie listy. Ale nie dbam o to. Wiem, że znajdziesz na pewno chwilę czasu, aby je odczytać. Częściej może wtedy wspomnisz o samotnej Hance na wygnaniu. Kiedyż ono się skończy, Tolku? Żyjmy nadzieją, że niedługo, to lżej będzie człowiekowi.

Ty, Tolusiu, jesteś ode mnie szczęśliwszy, ponieważ, jako malarz, posiadasz tak bujną wyobraźnię i poczucie piękna, że na każdy przejaw w przyrodzie zwrócisz uwagę i będziesz się nim zachwycił. Ja tak nie potrafię. Zresztą u nas od kilku dni świszcze wiatr od rana do wieczora. Ochrypl już, nieborak, bo nie ma czym zwilżyć gardła, gdyż deszczu nie widać. Chmury jeno czarne nad Modzelami przesuwają się, zwiastując bliską zimę.

Dzisiaj śniło mi się, Antku, że byliśmy razem w Piekutach. Tyś jak zwykle na mnie nie zwracał żadnej uwagi, chociaż razem spaliliśmy: Ty, Twoja siostra i ja na górze. Ach! Ta górka. Czy my, Tolku, będziemy tam jeszcze kiedy? Wszak tam serca nasze poczęły bić w jeden takt i grać preludium do symfonii miłości. (Tu uprzedzam Ciebie, abyś nie pękl ze śmiechu i nie wspominał o „Odzie do młodości”.)

Antolku! Urzekłeś mnie, bo stale o Tobie myślę. Jesteś ze mną duchem – chociaż nie ma Ciebie ciałem. Jakie to dziwne!

Inna rzecz, że mam tutaj do rozmyślań dogodne warunki. Pracy nie ma, dobrze się odżywiam. To ostatnie – najgorsze, ponieważ tyję na potęgę; jak przyjedziesz, to mnie nie poznasz. Prześcignę twoje ciotki i co wtedy będzie? Antoś powie: „Beczki nie chcę!”. Ale widzisz, Tolku, gdybyś dostał asekurację i kupił mi rower, to na pewno miałabym linię warszawianki.

Jesteś, Tolku, Ciekawy, co ja robiłam o 11-tej w nocy. Boję się powiedzieć, bo zaraz będziesz miał kwaśną minę; ale nie umiem niczego przed Tobą ukryć. Otóż, Tolku, byłam w ramionach... Morfeusza i o Tobie marzyłam. Antku Kochany! Ja nie chcę, abyś Ty cierpiał. Twoje cierpienia sprawiają mi ból ogromny – chociaż Ty tego może nie zauważasz, ponieważ ja często jestem taka zgryźliwa, niedobra dla Ciebie. Mój Antoś z ramki lepiej zna mnie i inaczej osądzi. Gdy przyjedziesz, wówczas się poprawię: będę dobra dla Ciebie. Ucałuję Antośka mocno, przytulę

się, chociaż On może odsunąć mnie, jak to było raz pewnego. (O! Tolku, tego nie zapomnę nigdy! Wzgardziłeś mną i moimi uczuciami! Ileż ja wtedy wycierpiałam! Ale na bok wspomnienia. Już ta chwila nie powróci.)

Na Ciebie, Tolku, to stale trzeba się gniewać. Czy to tak można ukrywać coś przede mną, a w dodatku ból jakiś? Niedobry jesteś. Nurtuje Ciebie coś, a Ty milczysz. Nie spodziewałam się, że tak pięknie umiesz przede mną się tłumaczyć. „Nie dziw się, Hanko, że tak poważny, ale zmęczony jestem itp.”. Od dziś nie wierzę Ci. Dotąd będę Cię męczyć, aż wszystko jasno i dobitnie powiesz, a wtedy razem będziemy albo płakać, albo śmiać się. A ty milczysz... milczysz. Ale jak to już wszystko przetrawisz, przyrzekniesz mi, że tak już nigdy nie będzie. A teraz bura, Tolku. Pamiętaj o tym, abyś spać chodził o 10-tej godzinie. Kto to słyszał, abyś siedział do dwunastej! I uczennicy nie męcz, bo bigos się robi z muzyki zamiast harmonii.

Chcesz wiedzieć, co u mnie słychać. Dostaliśmy list z Piekut, że ciocia przyjeżdża 23 października, w sobotę, ale tym razem nie przyjechała. Ojciec jeszcze nie wrócił z Warszawy, z czego jestem zadowolona. Dwa razy była zabawa w Modzelach; oczywiście nie byłam na tych zabawach, bo co mi tam po nich, kiedy Tolka nie ma.

Kochaj mnie, Tolku, ponieważ miłością i dobrocią wszystko ze mną zrobisz. Będę zdolna do największych poświęceń i niczego się nie ulękę. Jak w poprzednim liście pisałam, abyś przyjechał w pierwszą niedzielę po Wszystkich Świętych, tak i teraz zapraszam Ciebie i czekam. Więcej już nie będę pisać.

A, prawda! Zapomniałam! Jestem ciekawa, jak wygląda moja podobizna. Czy choć odrobinę podobna do mnie?

Kończę, Mój Kochany, bo nawet nie mam gdzie pisać, chociaż wierz mi, że do Ciebie to bym pisała bez końca. Oczekuję na Ciebie z tęsknotą. Oby jak najprędzej ten czas przeszedł, tak Tobie, jak i mnie.

Pamiętaj, Tolusiu, abyś miał buzię zaokrągloną, jak przyjedziesz.

Wybacz, że tak dziko jest pisany mój list.

• Brok nad Bugiem, 28.10.1937.

Hanulu Moja!

Zaczynam list przede wszystkim od kwestii formalnej (i od błędu). Piszesz mi mianowicie, że często wysyłasz do mnie listy; tymczasem

otrzymałem od Ciebie zaledwie jeden z dnia 27.10.1937, a następnie, po raz drugi zapraszasz mnie na pierwszą niedzielę listopada. Co to znaczy? Wysłałem do Ciebie list zaraz w pierwszym tygodniu, po wyjeździe z Modzel, a potem, nie czekając odpowiedzi, napisałem drugi z datą, jak sobie przypominam, 21.10.1937 – i na ten ostatni dostałem odpowiedź. Jakież dziwne się muszą dziać! Może dałaś komuś list do wrzucenia i został przejęty? Co się tyczy, Hanusiu, bujnej wyobraźni i poczucia piękna, to nie brak i Tobie tych walorów: wiem o tym doskonale.

Hanko kochana! Cudnie gra muzyka i w takt i rytm tej melodii śleku Tobie myśli pełne miłości, kochania. Liścik Twój, jedyna, sprawił mi wiele radości, rozweselił i uspokoił – bo przyznam się, że zacząłem się niepokoić, że mi nie odpisujesz i gdyby nie ten kochany liścik Twój, to znalazłbym się 1 listopada u Ciebie, Hanulu. A tak, to będę wypoczywał, bo...?

Same tajemnice, Hanulu! Tym razem może – da Bóg – dla naszego szczęścia. I ja miałem różne sny i to z Tobą prześnione; w jednym z nich pocieszałaś mnie.

Moja Hanulu, niedługo, jeśli Bóg dozwoli, będziemy razem, w pokoiku, szczęśliwi, wspominając tę chwilę wspólnego wyznania; tak dziwnie miło wtedy było, tak słodko, tak dobrze – i ja często lecę myślą w tę stronę, tam, do tego pokoiku, tam do tej naszej świątyni pierwszego kochania i wzajemnego się porozumienia. Od owej chwili, Haneczko, mimo wielu burz i niepowodzeń, wołam z tęsknotą: „Kocham Cię, Hanulu, każdą wezbraną falą swych uczuć, mych myśli, całym sobą”.

Posłuszny Twym rozkazom, przyrzekam być jak księżyc w pełni, zwłaszcza że już mi niewiele do niego brak. Moi gospodarze starają się, bym upaść się na jesiennych wywczasach.

Co się tyczy mych cierpień: o tak, Hanulu ukochana, cierpię bardzo, ale przez ten ból przebija miłość ku Tobie i jedynie w Tobie znajduję ukojenie. Gdy przyjadę w pierwszą niedzielę listopada, wyżałę się Tobie, bo sądzę, że mnie zrozumiesz i ten mój ból.

Wybaczysz mi tę moją rubasznosć i zapomnij ową chwilę dla Ciebie przykrą, kiedy byłem dla Hanuli boleśnie niegrzeczny, że aż nie zapomni o tym nigdy. W tak czułych słowach, dziewczyno moja, obiecujesz mi ukojenie, zapomnienie. Dzięki Ci, dzięki, moje kochanie, za te słowa, które mi są balsamem kojącym, rozweseleniem, humorem i

zapomnieniem. O moją miłość bądź spokojna. Nie myśl o tym, że Antek nie zwracał na Ciebie uwagi, że trzeba gniewać się na niego.

Gdybym zaś opowiadał o wszystkich swych przeróżnych kłopotach, to robiłbym mej dziewczynie krzywdę. I tak z mego powodu wiele wycierpiałaś, a coś dopiero, gdybym umysł Twój obarczał swymi sprawami rodzinnymi. Mówiłem nieraz, że prócz Ciebie nikogo nie mam na świecie, kogo bym mocniej od Ciebie kochał. Niestety, jak znam swoją rodzinę, nie mam z nią wspólnych rodzinnych celów – i to mnie boli, i dlatego jest mi jakoś przykro jakoś; ale myślę, że tak być musi: tak dzieje się nie tylko ze mną.

Mam wiele ciekawych wiadomości, ale do opowiedzenia tylko w cztery oczy, bo do listów naszych ktoś, zdaje mi się, zagląda ciekawie.

Całuję Ciebie mocno.

Antek.

Pozdrowienia dla Honorki, dla mamusi i Jerzyka, i rodziny. Jak się czuje chora Honorata?

• [Brok nad Bugiem, ok. 1.11.1937.]

Wróciłem przed chwilą z długiego spaceru, po przyjeździe z Ostrowi. W mej głowie piętrzy się wiele przeróżnych koszmarnych widziadeł i najdziwniejszych myśli. Wszystko to jak jakiś olbrzymi tajfun szaleje, całym mną miota i jakby jakieś straszne widmo mnie przeraża; jakaś, zda się, przede mną przepaść się rozściela.

Gnany jesiennym zimnym wiatrem, czując na ustach Twój słodki pocałunek, a w sercu radość i otuchę wlaną przez Ciebie, ukochana, pędziłem szczęśliwy do swej chwilowej przystani. Zabrałem się z większą energią do pracy, by jak najprędzej – z myślą o tym, że Bóg mi pozwoli mieć Ciebie na wieki – czas ten krótki, a strasznie się wlokący, przeżyć.

Wtem, we środę dostaję list, bym natychmiast przyjechał, bo moja siostra przyjechała z Piekut i ma bardzo ważne wiadomości. Trawiony złym przecuciem, siadam na rower i w pół godziny jestem w Ostrowi. Wpadam do domu, patrzę, siedzi siostra, jak trup blada, i nie może słowa wypowiedzieć. Pytam, co się stało. Okazuje się, że Ksiądz Modzelewski powiedział Moczydłowskiemu, że ja jadąc do Ciebie znać miałem drogę krwią i że już więcej u Ciebie się nie pokażę. Sam ma do Ciebie

ma wkrótce pojechać i Ci wyperswadować małżeństwo ze mną. Ciocia natomiast miała mówić do Olędzkiej: „Ksiądz nic nie poradzi, bo Hanka chce sobie życie odebrać, jeśli za niego nie wyjdzie”.

Obróciłem to wszystko w żart – mimo, że byłem sam w strachu, że dziewczynie może się coś stać. Nie wiedziała bowiem, że ja jestem w Broku – i sądziła, że jestem w szpitalu i że chcę to wszystko przed nią zataić. Dopiero po paru godzinach się opanowała. Co może zrobić głupia plotka, przekonałem się naocznie. Dlatego na wstępie listu skreśliłem kilka ponurych zdań.

Kocham Cię, Dziewczyno, całym sobą! Niech mi wszyscy jakie chcą zadają rany! Ja zawsze, choć ze łzami w oczach, choć z bólem i goryczą w sercu, powtarzać będę: „Hanko, kocham Ciebie bezgranicznie!”. Może, Dziewczyno kochana, uważasz mnie za zniewieściałego chłopaka. Nie, Hanuś! Kiedy widzisz w mym oku łzę, wiedz, że cierpię ogromnie. Płakałem nad grobem swej ukochanej matuli i płakałem przez miłość dla Ciebie. Boli mnie, że jestem tym, który wprowadził swoją osobą poniekąd zamieszanie i rozdzwięk w Twej rodzinie. Każde spojrzenie kogoś z Twej rodziny skierowane jest na mnie jak bym był intruzem. Wierz mi, że gdyby nie miłość ku Tobie, już dawno byłoby wszystko skończone. O, nie zna Twój kuzyn ogromu i siły miłości, i dlatego, jeśli mi wolno tak powiedzieć, niech mu Dobry Bóg wszystko przebaczy – wszystkie te cierpienia, które nam zadał. Daj Boże, by nie znał, co ból!

Pogoda prześliczna, szczególnie tu, gdzie mieszkam, w pobliżu mego *locum*, płynie wśród łąk jeszcze zielonych, majestatycznie, rzeka Bug, tak dla mnie droga, nad którego brzegami od wczesnej młodości biegałem z wędką lub unoszony rzeki falami, roiłem sny młodości. Wołała każda ścieżka, czy krzak, ludzie tacy mi bliscy, tacy swoi.

Kończę, Haneczko, chociaż może chaotycznie zlepione i brudne zdania; wybacz. Całuję Twój nosek kochany i Twoje rączyny – Antek.

Pozdrowienia do wszystkich. Uściskaj piękną Honoratę, Jerzyka ucałuj mocno i powiedz mu, że chrzestny ojciec go lubi. Pisz.

Mój adres: Brok nad Bugiem, poczta Brok (u pp. Balów⁵⁷). Śpij słodko, mimo, że wciąż targa Tobą niepokój – mimo, że nie jest wesoło.

⁵⁷ Chodzi o Eugeniusz, Euzebiusza i Irenę Balów, z którymi Antoni (jun.) Jadacki się przyjaźnił.

Za chwilę mam lekcję. Pozdrawia Cię moja uczennica; nastawia właśnie aparat radiowy i czeka, aż skończę pisać – na lekcję.

Pa, pa, Ukochana! Antek.

• Brok [nad Bugiem,] 18.11.1937.

Hanulu Moja!

Tak cudnie dziś świeci słoneczko! Śniegiem już przyprószone pola, cały świat niby chustą bogatą w klejnoty utulony, ostatnimi promieniami słońca ożywiony; do snu przygotowane zimowego wszystko, co nie tak dawno jeszcze gwarzyło o wiosnie. Z tym ostatnim uśmiechem słoneczka jakaś otucha i radość unosi się w powietrzu. Czuję się szczęśliwy.

Nie wiem, co jutro przyniesie. Nie wiem, co życie nam da; jakimi drogami stąpać będziemy i w jakiej żyć atmosferze, ale wiem, że dotąd czuję się szczęśliwy; czuję, że Ciebie, dziewczyno, moje serce ukochało. Mimo różnych niepowodzeń i intryg – da Bóg, zwyciężymy,

Hanulo ukochana! I dla nas ten zbawczy, ciepły promień słońca zaświeci. Z niecierpliwością i utęsknieniem czekam tej chwili, gdy ręce kapłana połączą nas, gdy razem, w ciszy, przytuleni do siebie, będziemy snuć piękną nić miłości. Wiem, dziewczyno, i zdaję sobie sprawę, że przed nami jest wielkie zadanie, a z nim wielka odpowiedzialność przed Stwórcą za nasze przyszłe życie. Ale cóż miłością nie da się zrobić, gdy zwróceni z modlitwą do Boga, będziemy żyć według Jego praw? Nieraz w ciężkiej chwili zwracałem się Doń i tak jakoś dziwnie uspokajałem się, mimo że czułem na sobie wielki ciężar swych win. Bóg jest dobry; do Niego więc zwróceni, będziemy szli i patrzyli w przyszłość śmiało. Dziś taki spokój czuję w sobie; zdaje mi się, że cały świat przytuliłbym do siebie i radował się z nim. Po powrocie od Ciebie, Hanusiu, troszkę mnie drapało w gardzieli mojej skrzeczającej, ale moja dobra gosposia no i motopiryna wyleczyły mnie prawie zupełnie; czuję się już zupełnie dobrze.

Podczas mej kuracji dużo spałem, a właściwie wylegiwałem się na łóżku, tak że trochę nawet czuję się leniwy; nie chce mi się wziąć do żadnej roboty, chociaż w moim zawodzie trzeba stale coś robić, by iść naprzód. Otrzymałem od Proboszcza zawiadomienie, że w myśl naszej

umowy muszę się stawić możliwie zaraz po Bożym Narodzeniu. Wobec takiego *dictum* ostatecznie muszę zawiadomić ks. Olendra z Porytego, żeby nie czekał na mnie. Wkrótce przyjadę do Ciebie, Hanulu, prawdopodobnie od tej niedzieli za tydzień, tj. w pierwszą niedzielę adwentu, bo musimy poważnie się zastanowić, co i jak mamy robić, bo czas leci. Największy kłopot jest z białymi końmi; zadałaś mi klina, to dałaś Ty, Moja Hanulu.⁵⁸

Kończę, bo jeszcze muszę odpisać ks. kanonikowi.⁵⁹

Pozdrowienia do wszystkich.

Całuję Twoje rączyny i buzię – Antek.

Pa..., pa... Hanulu...

• Ostrów [Mazowiecka], 18.12.1937.

Kochana Hanulu!

Nie przejmuj się, Kochana, że nam tak się nie wiedzie; ale mówiłaś mi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Cokolwiek plany się pokrzyżowały – to nic. Można by ostatecznie starać się o zezwolenie,⁶⁰ ale po co wydawać pieniądze i czekać, aż raczą nam zezwolić. Dzień później nie gra roli, a oni każą sobie za zezwolenie grubo płać. Dobrze może się stało, bo każdy święta chce wyzyskać. Miałem kram nawet z taksówką za drugi dzień świąt; taksówkarz chciał, bym mu słono zapłacił grubo: za 50 złotych nie chciał jechać. Początkowo, jak widział, że nie ma klientów, to zadawała się 35 złotymi, ale jak poczuł, że jest wybór, więc nie chciał nawet rozmawiać ze mną. A ja wolę za taką kwotę Tobie coś kupić niż wydawać ją na taksówkę.

O Twoim kuzynie nie mówmy; już dosyć dał nam się we znaki. To jest człowiek – moim zdaniem – chory, bo inaczej sobie nie umiem wytłumaczyć jego postępowania wobec nas. Niech Bóg dobry da mu jak najlepiej!

Nie zrażaj się, Hanulu ukochana: co się odwlecze, to nie uciecze. Poproś p. Adama, by łaskawie zawiadomił ks. proboszcza z Puchał,

⁵⁸ Chodziło o to, by na ślub jechać w zaprzęgu białych koni. Ostatecznie zamiast białych koni była biała taksówka.

⁵⁹ Prawdopodobnie chodzi o ks. Józefa Żyszkiewicza.

⁶⁰ Nie jest jasne, o jakie zezwolenie chodzi; rzecz dotyczy terminu ślubu.

że ponieważ ślub odbędzie się w poniedziałek, więc ze mszą łaskawie niech zaczeka do godz. 10, bo mnie trudno będzie rano przyjechać. Albo nie: ja sam napiszę do ks. Tałandzewicza. Bukieciak będziesz miała Haneczko prawdopodobnie z fiołków alpejskich; już zamówiłem. Zajechałem szczęśliwie.

Ciesz się, że jesteś zdrowsza. Bóg Dobry nie da nam zginąć.

Jeszcze raz, Haneczko, proszę Ciebie, nie przejmuj się. Życie jest piękne; drwij więc z tych, którzy chcą je nam popsuć. Oni właśnie nie znają, co miłość lub też może są wykolejeni przez nią, więc muszą komuś dokuczać. Cóż od nas chce Twój kuzyn? Przecież to kapłan; zamiast nam przyjść z pomocą, on chce wprowadzić między nas nie-nawiść; ale za jego czyny my nie będziemy odpowiadać. Trzeba się tylko pomodlić do Boga, by raczył dać mu szczęście – by nie zaznał od nikogo tego, co my od niego doznajemy.

Kończę, bo chcę, by jeszcze list dziś wyszedł; nawet nie poprawiam znaków, bo się spieszę.

Do zobaczenia w poniedziałek po świętach.

Pa, ukochana!

Twój Antek.

Pozdrów wszystkich.

PS. Przyjadę na godz. 9 rano w poniedziałek. Całuję Ciebie mocno – Antek.

BEZ DATY

• [Piekuty.]

Panie, jeszcze raz proszę i zaklinam na wszystkie świętości, o ile głębszego uczucia nie posiadasz względem mojej osoby, to nie pisz do mnie, a zrozumiem. Gdybyś miał jedynie zamiar uczynić mnie wielbi-cielką, powiększyć grono swoich adoratorek, to nie czyn tego, bo już i tak w życiu miałam dużo zmartwień. Zastanów się, rozważ dobrze, zanim siądziesz do pisania. Ja pokochałam Ciebie od pierwszego uj-rzenia, ale bym tego nigdy nie wypowiedziała, choćby me serce darło się z bólu. Gdyś Ty mi wyznał, to tym samym upoważniłeś mnie do wyznania. Ale pomimo, że ja Ciebie kocham, dobrze się namyśl i zrób to, o co wyżej Ciebie proszę. Nikomu o tym nie mówiłam, Franusia

czytać nie umie, odda Ci list tak, że nikt wiedzieć nie będzie. Józef jest podły, dużo rzeczy się o nim dowiedziałam wieczorem. Bury nie było.

Żegnam Ciebie, Mój Kochany Tolku.

Pomyśl o mnie od czasu do czasu, bo zielone oczy Ciebie kochają, a już od jutra Cię nie ujrzą. Spojrzą jutro na dom, w którym Ty mieszkasz i pošlą Ci życzenia, abys był szczęśliwy.

Hanka.

•[Piekuty,] 8.05[09?] br.

Chwilka marzeń

Hanusiu ma! Moja Dzidzi,
Czyżes o mnie zapomniała,
Lub też może ze mnie szydzisz,
Zazulo moja Ty mała?

Ach! Jak ja się niepokoję,
Gdy nie patrzę w oczy Twoje.
Może inny Cię całuje...
Pieszczotami obsypuje...

Ależ skąd! Ja tylko sobie
W zwykły, nudny i szary dzień,
Przypuszczenia takie robię
Wśród swoich marzeń i wśród snień.

Moja słodka i jedyna
Ma serduszko, które pała
Uczuć zdrojem... Stąd przyczyna,
Że ze mną zostanie cała.

Memu Słoneczku – Antek.

• [Modzele,] niedziela.

Mój Tolku mały!

Dotychczas żyłam nadzieją. Zdawało mi się, że Ksiądz nie będzie do tego stopnia przeciwny. Tymczasem poznałeś dokładnie, jaki według niego mam charakter. „Ona pana jest nie warta; ona jest bez charakteru.” Tolku, może to i prawda, że ze mnie to istota bez żąd-

nej wartości. Wszak Ci to wszystko mówiła osoba duchowna, która się zna na duszach ludzkich. Źle zrobiłam, wyznając Ci swoje uczucia; nie wiedziałam, że sprawy wezmą taki obrót. Gdybym to przeczuła, nie m Ci nigdy miłości, choć serce łkałoby z bólu. Nie chciałabym, abyś przeze mnie miał przykrości do swojej zwierzchności.

Jakże ja Ciebie, Tolku, kocham! Im bardziej staram się nie myśleć o Tobie, tym bardziej jakaś nieznana siła w sercu mym rozdmuchuje ogień tęsknoty. Widzę Cię zamknąwszy oczy i jestem przekonana, że jesteś ze mną, i słyszę bicie serca Twego. Tymczasem mija chwila i powraca rzeczywistość, że nie ma Ciebie. Ach! Jakie to okropne! Tolku, dlaczego człowiek musi tak się męczyć?

Tolku! Cała dusza, całe serce, całe życie moje jest przy Tobie i dla Ciebie. *Fatum* jednak prześladowa mnie od najmłodszych lat; życie moje zawsze inaczej się układa niż tak, jak bym chciała, żeby się ułożyło. Teraz widzisz, Tolku, co się stało; nie mogę nawet do Ciebie pisać. Dziś jest okazja, żeby Ci przekazać list, ale muszę się śpieszyć, żeby zdążyć. Tolku! Dlaczego o sobie nie dajesz znaku życia? Wszak Tobie łatwiej napisać do mnie. Ale może nie masz czasu, bo brat Twój był w domu?

W przyszłą niedzielę tatuś się wybiera do Księdza. Nie obawiaj się: nie będzie mówił o Twoich przyjazdach do Modzel.

Tolku Kochany! Przyjedź do Hanki – tak tęsknię do Ciebie! Przyjedź i jeszcze raz przyjedź, jak się Ci trafi okazja. Codziennie czekam, że może zjawi się Toluś, ale na próżno. Wiem, że trudno Ci wyruszyć z Piekut, bo stale jesteś pod obserwacją imć Józefa.

Dziś było trochę przyjemniej, bo Twój brat nas odwiedził. I to dużo znaczy, kiedy nie mam żadnej wiadomości bezpośrednio od Ciebie. Wyobraź sobie, że nawet chodzą mi takie myśli po głowie: „Tolek Cię rzucił!” Dopiero, gdy zobaczyłam p. Mieczysława, te myśli mnie opuściły...

Co słysząc u Ciebie? Nigdy nie zapomnę ostatniego pobytu Twego w Modzelach. Tolusiu! Twe łzy i dziś palą mą duszę – i bardziej me serce do Ciebie się zbliżyło i na ziemi nikogo tak nie kocha, jak Tolka.

Przyjedź, Tolusiu! Modlę się za Ciebie zawsze wieczorem i chciałabym, żebyś choć Ty był szczęśliwszy ode mnie.

Kończę i przepraszam, że tak bazgrzę, ale brat Twój czekał i musiałam pisać prędko – i to jeszcze złym piórem.

Żegnaj Tolusia i całuję Go w oczka – zawsze Twoja Hanka.

• [Piekuty.]

Hanulu Moja!

Płyną dnie za dniami jak wartkie nurty rzeki; tak płynie życie nasze – choć z dala, jednak tak dziwnie upojnie i tak radośnie, że wypowiedzieć to jest trudno. Choć ciosy życia są nieubłagane i zda się druzgocą nas do łez, serce śpiewa jednak radosną pieśń miłości. Coraz bardziej potężnie jej ton, harmonia; coraz bardziej wiąże się nić złota między nami.

Hanku Ukochana! W mym sercu bije fanfara radosna, że ukochałem Tę, które mi daje zrozumienie, która mi daje ziszczenie mych marzeń słodkich. Niczym są ludzkie przykrości, niczym ich różne złe podszepty. Przed sobą widzę tę, która mnie rozumie, która mi daje wysnioną zdawałoby się bajkę prawdziwej miłości.

Hanusiu moja kochana...

• [Piekuty.]

Hanuś!

Zdziwiłaś się zapewne, że nie przybyłem do Ciebie. *Fatum* chciało, bym Ciebie nie mógł widzieć w niedzielę w Modzelach. Oto przyjechał do Piekut ks. Aleksy z Częstochowy, więc nabożeństwo odbyło się normalnie; na dobitkę wypadła eksporta na 6 godz., więc i z tej racji musiałem się zatrzymać. Mimo tych przeszkód chciałem być u Ciebie, bo brat miał mnie zastąpić i wszystko byłoby dobrze, ale zrobiło się coś, co pomieszało mi szyki. Ks. Pr. się domyślił, że coś „knuję”, więc wezwał mnie do kancelarii pyta się, gdzie ja właściwie jadę. Na razie – rozumie się – musiałem skłamać: cóż było robić. Tymczasem Ks. Pr. powiada: „A mnie się zdaje, że jedzie pan do Hanki!”. Zauważyłem na twarzy Ks. Pr. zdenerwowanie i by sprawę przeciąć – albo, albo – odpowiedziałem: „Tak, jadę do Modzel, na zaproszenie panny Hanki”.

Ks. Pr. wtedy zaczął wylewać swoje żale do Ciebie. Nie osądzaj go zbyt surowo, dziewczyno: źle nie chciał. Czuję, że mówiąc ma łzy w oczach. Ale o tym porozmawiamy w cztery oczy. Zresztą lepiej może wymazać to wszystko z pamięci? Gdy skończył, zapytałem: „Czy Ksiądz Proboszcz nie życzy sobie, bym bywał w Modzelach? Proszę mi powiedzieć otwarcie.”. Na to dostałem odpowiedź: „Hanka ma rodziców, więc to ich sprawa – niech robią, co chcą; ja nic nie mam

do tego i nic mnie sprawa Hanki nie obchodzi.” Ostatecznie dostałem pozwolenie na wyjazd do Modzel, ale ze względu na późną porę i pracę, którą na nasze nieszczęście, a właściwie szczęście, miałem, postanowiłem zostać w Piekutach, aby ochłoniąć z tej poniekąd niezwyklej sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Módl się, Hanko! Bóg jest dobry: może Twoje modlitwy sprawiły, że się tak stało.

Na tym kończę, bo już muszę iść na nabożeństwo; w sobotę prawdopodobnie przyjadę do Ciebie. Tymczasem napisz do mnie cokolwiek i podziel się ze mną wrażeniami z tego, co Ci zrelacjonowałem.

Twój Antek.

• [Piekuty.]

Moje Słoneczko!

Samotny, z dala od ukochanej, zadumany i wsłuchany w dźwięki muzyki radiowej, myślę, że życie to błaga: robi sobie z ludzi, co mu się podoba. Niedawno, bo parę godzin zaledwie, całowałem rączki ukochanej, a teraz sam czekam boskiego zmiłowania, czekam czegoś nieuchwytnego, czegoś, co może być ukojeniem mego nędznego życia, lub czegoś, co może złamie me życie być może na zawsze.

Jak boli mnie bardzo, Hanko, Twoja zapowiedź, że „z naszej miłości pewnie nic nie będzie”. Hanko! To dla mnie jad, co wsiąka w me serce i pali, pali straszliwie. Hanko! Czy przygotowujesz mnie do tego, by wkrótce powiedzieć mi: „Odejdź! Skończone z nami”? Czy może obawiasz się następstw jakichś, które wyniknąć mogą z naszego małżeństwa w Twojej rodzinie. Dlaczego te gorzkie słowa, słyszę już po raz drugi? Co to znaczy? Czy Hanka już mnie nie lubi tak jako poprzednio? Nie kocha?

Hanulu Moja! Jeśli mnie kochasz naprawdę, to nie męcz mnie podobnymi słowami. Choć z dala – szczęśliwy się czuję, że mam ukochaną i że ona mnie też lubi. Hanko! Jedną chwilą chciałbym być przy Tobie. Cóż znaczy wszystko co przeciw mnie, jeśli wiem, że moje słoneczko mnie kocha!

Ukochana! Wybacz, że zakłócam Ci spokój tymi słowami, ale chcę się przed Tobą wypowiadać ze swych myśli i uczuć, wiedząc, że Ty dasz mi uspokojenie, ukojenie. Przebacz mi, Hanko Moja, moje postę-

powanie! Nigdy już nie będę takim, jako ostatnio, choć może w sercu będzie nuta bólu i smutku. Nie będę już zatruwał swej ukochanej. Prawda, zachowywałem się nie tak, jak należy, ale już będę się starał nie być takim niegrzecznym chłopcem.

Wiesz, Hanulu, co za *fatum* mnie dotknęło? Kiedy wjeżdżałem do Modzel, pękła mi kiszka u roweru; Ty, moja czarodziejko, swymi życzeniami sprawiłaś, że kiedy wjeżdżałem do Piekut, tuż koło żydowskich domów – co za pech: pękła mi znowu kiszka. Śmiałem się kilkanaście minut. Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata – z czego ja się tak śmieję; dopiero jak się uspokoiłem, wytłumaczyłem im tę tragikomedię.

Haneczko! Chwile spędzone u Ciebie są osłodą mego szarego życia – są mi naprawdę rozkoszą, choć może nieraz w nich zabrzmi jakiś dysonans. Ale, Haneczko, wszak życie nie tylko składa się z samych harmonicznych, doskonałych akordów. W istocie tak jak w muzyce – w życiu są różne są momenty: doskonałe, mniej doskonałe, konsonanse i dysonanse.

Hanko! W tej chwili usłyszałem w radio „Moją piosenkę” Juranda; naprawdę jest w niej wielkie piękno; tu i tam słyszy się dysonanse, ale one się rozwiązują się – tak jak po burzy następuje pogoda i jasne słońce uśmiechem swym raduje świat.

Moja piosenka nie jest wcale inna,

I taka smutna i taka niewinna.

Pytam się słońca, co budzi nas rano:

„Gdzie moja miła, moja ukochana?”

Zwracam wzrok swój ku mojemu słoneczku

Wołając: „Gdzieżeś jest luba dziewczeczko?

Czy Ty łzy ronisz, czy śmiesz się może,

Moja Hanulu, moje Ty nieboże?”

Tak mi jest smutno, Hanulu, bez Ciebie,

Tak tęskno; więc pytam się sam siebie:

„Czy ktoś moje skargi słodko utuli?”

„Nikt, oprócz mojej maleńkiej Hanuli!”.

Wybacz, Haneczko, że tak brudno piszę do Ciebie, ale bezpośrednio piszę – od razu – to, co myślę i czuję; dlatego tyle usterek jest w liście; wierzę, że moja ukochana nie zwymyśla mnie za święte lenistwo.

Haneczko! Proszę Cię bardzo! Nie pisz do swego kuzyna słów, które mogłyby podrażnić jego własne poczucie wartości lub wprowadzić jakiś rozdzźwięk między wami. Sama pisałaś niedawno, że człowiek kultury nie powinien i nie może niewdzięcznością odpłacać za niewdzięczność, lub robić komuś to, co niegodne, mających pretensje do kultury; że dobrocią i delikatnością wszystko da się zrobić. Hanulu! Twój kuzyn może nie zna, jako ksiądz, tych uczuć nam młodym właściwych. Zasklepiony w swej ukształtowanej przez otoczenie atmosferze, rozumie życie z innej strony. Zostawmy go w spokoju. Czas, sądzę, swoje robi. Nie odmów mi tego, Hanulu moja. Proszę Cię bardzo! Pisz wszystko, byle nie to, co może wykopać przepaść między wami, a zarazem i naszym poczynaniem wiele zaszkodzić może.

Wiem, że Ci jest tam, gdzie się znajdujesz, źle. Ale poczekajmy cierpliwie, Hanko. Sądzę, że czas rozłąki niedługo pierzchnie i nastaną słodkie dni. Hanko! Nie obawiaj się tego, że czasami jestem taki kwaśny. Nawet gdy jestem niegrzeczny, bardzo Cię kocham.

Hanulu moja, wybacz, jeśli może coś złego w liście tym się znajduje, ale jedno wiedz, że Ciebie ukochałem ponad wszystko.

Twój niegrzeczny Antek.

Gdy nadarzy się okazja, przyjadę, by znowu zakłócić spokój swojej ukochanej.

• [Piekuty.]

Haneczko Moja!

Dziękuję Ci za te słowa kochane, za ten liścik pełen miłości, kochania; dziękuję za wszystko. Haneczko Kochana! Twój Antek nie śpi. On aby mieć zawsze swoją dziewczynę, musi pracować, bo Ją z całej duszy kocha i z całego serca.

Kiedyś pisała list do mnie, ja fruwałem po świecie, bo jeden z księży pisał, bym objął u niego posadę i musiałem wyjechać do Juchnowca, ale, Dzidzi moja, rzekam się jej, ponieważ nie dałaby nam wystarczającego utrzymania, sądząc z warunków i miejscowych zwyczajów – mimo że ksiądz z Juchnowca czeka na mnie i powiedział, że kiedy zechcę, to mogę tę posadę objąć. Ale cóż, Hanulo! Nie mogę człowieka wprowadzać w błąd, ponieważ mi się tam nie podoba z różnych względów. Postanowiłem mu odpisać, że nie przyjmę posady.

Ks. Pr. wiedział o tym, że ja wyjeżdżam, bo kiedy się pytałem o pozwolenie na wyjazd, to pytał mnie, czy wyjeżdżam gdzieś w obrębie parafii, czy dalej. Odpowiedziałem, że dalej. Ks. Pr. na to (rozumie się wyczułem, że jest tym, co powiedziałem, zaskoczony) odpowiada: „Co to znaczy, że pan tak często wyjeżdża?”. Ja odparłem: „Przecież wiadomo jest Księdzu Proboszczowi, że muszę starać się o inną posadę”. On na to: „Jeśli tak, to dobrze, ale niech pan przyjdzie po nabożeństwie do mnie, to porozmawiamy”.

Stanałem tedy do apelu.

Ks. Pr. pyta: „Proszę powiedzieć, kiedy pan myśli opuścić Piekuty. Nie chciałbym, żeby pan wyjechać na przykład za parę dni, nic mi o tym nie mówiąc”. Odpowiedziałem, że nie jestem łobuzem, że bym miał robić coś podobnego; z Piekut odejdę tak, jak przyjechałem, a jak dostanę posadę to wypowiem z wyprzedzeniem posadę w Piekutach, aby był czas na wszystko. „Dziś” – powiedziałem – „jeszcze się nic konkretnego nie stało, więc nadal zostaję”. Ks. Pr. mi oznajmił, że o tym jeszcze pomówimy jutro, bo dziś jest zajęty z powodu zjazdu dekanalnego. Ciekawe, co będziemy podczas tej jutrzejszej rozmowy roztrząsać.

Z powodu mego poprzedniego wyjazdu nic osobliwego nie wynikło. Ciocia się pytała, czy byłem u Ciebie. „Owszem byłem” – powiedziałam. „Wszystkim się dobrze wiedzie i wszyscy są zdrowi. Panna Hanka bardzo dobrze wygląda” itd.

Hanusiu! Nie jestem dzieckiem: uczuciami swymi i Twymi nie frymarczę i nie myślę o tym, by nas mogło coś rozłączyć. Dobrze zdaję sobie sprawę z naszej sytuacji i wiem, że uczucia moje do Ciebie są trwałe. Musimy jednak na razie czekać, bo życie to twarda szkoła, pełna różnych niepowodzeń. Zwyciężymy te trudności i przetrwamy długie godziny i chmurne dni rozłąki, bo nami kieruje odwieczne prawo miłości. Ja ze swej strony gotów jestem rzucić wszystko na szalę, byś była moja.

Hanusiu! Wiedz, że kocham Ciebie nie dla jakiegoś majątku. Chcę jedyne Twojej miłości, prawdziwej miłości, za którą dam Ci swą miłość prawdziwą i szczerą. Z Bożą pomocą wcześniej czy później osiągniemy swój cel, osiągniemy nasze szczęście. Z mej strony czuję, że uczucia nasze i myśli łączą się we wspólnym dobru – tylko musimy cierpliwie

czekać. Choć droga nasza zaczyna się po cierniach, ale Dobry Bóg nie da nam tak ciągle cierpieć. Ufajmy Mu. Nie wiem, kiedy będę mógł do Ciebie przyjechać. Nie chcę rozdmuchiwać nienawiści Ks. Pr. do mnie, zwłaszcza że w ostatnich dniach jakby zmieknął w swoim postępowaniu. Ks. Pr. o podróży ostatniej nic nie mówi. Rozłąka nasza może nie potrwa długo. Będę się starał każdą nadarzającą się okazję wykorzystać, by przyjechać do Ciebie.

Niedługo będziesz miała gościa w osobie cioci, która się krótkim czasie do was wybiera. Bądź dla niej dobra, żeby nie zaognić sprawy. Ciocia pytała, kiedy będzie nasz ślub; ja odparłem, że da Bóg niedługo, abym tylko dostał jakąś posadę. Ja z ciocią Twoją żyję po dawnemu: dowcipkujemy, śmiejemy się itd.

Ciocia przyjedzie prawdopodobnie w poniedziałek. Odpisz, co Ci będzie mówiła.

Co się tyczy fotografii, to, Hanulu, dawno bym ci ją dał, ale musisz poczekać troszeczkę, dlatego, że muszę się teraz zdjąć w Mazowiecku, a zawsze coś mi staje na przeszkodzie. Załączam Ci na razie taką podręczaną z dawniejszych lat, bo lepsze mam tylko grupowe..

Kończę list już, Hanuś! Pozdrów rodziców, pannie Honorci się kłaniaj i swym krewnym. Całuję Twe rączki – Antek.

Tak smutno i szaro, poszum drzew
Złowrogo łka w jesiennej dali.
Umilkł już całkiem nasz wspólny śpiew
I tylko me serce się żali,

Że już przeminął całkiem czas
Tych precudownych melodii gam.
Któż doznał szczęścia, Hanko, z nas,
Prócz zwątpień, co zadają kłam

Uczuciom naszym przeogromnym,
Na nic bowiem ludzi zmagania
Zda się trzeźwych – a nieprzytomnych.
Nikt nie zniszczy głosu kochania!

Niech wał się burz huragany,
A miłości nikt nam nie wydrze;
Choćby był nawet nad tyrany
Lub był podobny jakiejś hydrze.

Bo nasze uczucia są czyste
I piękne, i nie do zdo-by-cia.
Choć je spychają w wądoły mgliste
I niszczą warunkami życia.
Płonne są ich podłe zamiary.
Z Bożą pomocą, Hanulo...
Choć wymyślają różne kary,
To ramion sploty nas utulą.
Da Bóg, a los się prędko zmieni
I załśni nam blaskami słońca.
Bardzo jesteśmy już stęsknieni,
Lecz razem wytrwamy do końca.

Ukochanej – Antek Z.J.

• [Piekuty.]

Hanulu Kochana!

Przyjechałem do domu szczęśliwie, chwalić Boga.

Dnie po przyjeździe od Ciebie zdają mi się tak szarymi, tak nudnymi, że opisać trudno; jedynie pracą staram się złagodzić cierpienia tęsknoty za Tobą, ukochana. Gdy z Tobą przebywam, to niczego mi nie brak – niczego. Czuję w sobie dziwny spokój, pełen słodczy niewypowiedzianej, pełen upojnej rozkoszy. Czas spędzany z Tobą, jedyna, to metamorfoza codzienności; to jak fatamorgana oazy na pustyni dla wędrowca spragnionego wody.

Trudno, skoro Dobry Bóg tak nas doświadcza... Może właśnie chce wypróbować naszą tężyznę duchową, siłę naszej miłości?

Hanko! Nie wyobrażam sobie życia bez Ciebie, bez tego słoneczka słodkiego, jakim Ty jesteś dla mnie. Tym jesteś promieniem, który pobudza mnie do życia i każe mężnie patrzeć w przyszłość. Miłość potężna przekształca człowieka w olbrzyma, który „zdolny jest zdusić centaury” i do piekła „iść po laury”...

Hanusi! Odbyła się u nas akademія – podobno świetnie. Ludzie opowiadają, że jeszcze nie byli na takiej akademii i że nie słyszeli takich śpiewów. Nawet Ks. Pr. bił brawo – aż się sam zdziwiłem. Czułem, że na twarzach zebranych maluje się zadowolenie. Sala była

wypełniona po brzegi, tak że musiano przynosić wszystkie dostępne ławki. Ludzie wychodząc z remizy gratulowali mi, że świetnie się wszystko udało. Teraz może szanowny pan Józef przymknie buzię jeszcze mocniej.

Hanusiu! Starał będę się, by pokazać tym, którzy mnie tak nienawidzą, że ja nie tylko chcę się wzbogacić, ale chcę i umiem pracować.

Hanulu Moja! Dziękuję Ci – o! bardzo dziękuję – że okazujesz mi tyle miłości i tyle pieśczoć. I dumny jestem z Ciebie, że mam ukochaną taką, jaką sobie wymarzyłem: tę moją, moją. Żadna siła nie zdoła mi Ciebie wydrzeć, chyba że Ty sama mnie odepchniesz, mówiąc: „Odejdź, już mam dosyć Ciebie!”. Gdyby tak się stało, nie wierzyłbym już nikomu – umarłoby we mnie wszelkie marzenia na zawsze.

Pamiętaj, Hanulu, że szczęście jest jedno tylko: w wielkiej ciszy wielkiego kochania. Melodię naszej miłości mącą złe podmuchy, ale my je przetrwamy; teraz brzmią w naszych sercach dysonanse tęsknoty, żalu a nawet do łez; z Bożą pomocą przerodzą się one w harmonię doskonałą, której nic nie zdoła zakłócić.

Rozstanie z Tobą jest dla mnie zawsze bardzo bolesne i nie żał mi trudu, by zobaczyć Cię znowu. Bo gdy Cię zobaczę, to jakby nowe siły wstępują we mnie do pracy i walki.

Często chodzę po tych ścieżynach leśnych, po których błędziliśmy oboje, i zdaje mi się, że znowu jesteś przy mnie, choć w rzeczywistości przecież daleko stąd. Hanko! Pomyśl, w jak trudnych warunkach powstała nasza miłość. Czy cierpienia nieprzepartej tęsknoty nie dadzą nam wreszcie nagrody i serca nasze zestrzelą się w jedno ognisko i w jedno ognisko – duchy?

Pisz, Hanulo, wszystko, by między nami nie było żadnych nie-domówień; bądź otwarta; wszelkie nasze sprawy traktuj zgodnie z głosem sumieniem i serca.

Kończę, Hanulu Moja! Kocham Cię bardzo.

Twój Antek.

PS. Wiele mam pracy, Hanulo, wybaczone, że piszę tak brudno i nieczytelnie, ale się ciągle gdzieś spieszę.

LIST PO ŚLUBIE

• [Mełgiew,] 3.01.1938.

Kochana Hanulu!

List piszę do Ciebie, ukochana, z takim opóźnieniem, bo chciałem Cię zawiadomić, jakie wrażenie wywrę na Mełgwi i Mełgiew na mnie po pierwszych dniach intensywnej pracy. Otóż trzymam się jak to się mówi równo. Podobało się moim „panom” wszystko. Do mego powodzenia przyczyniają się w dużej mierze świetne organy z pięknymi głosami; akustyka w kościele jest przewyborna. Głos mój również się podobał; jeden z księży myślał, że to śpiewa znany tutejszy solista, śpiewak, a to Twój mizerny Antek.

Pracy jednak w bród. Czasu nie mam na stracenie.

Hanulu Moja! Jeśli możesz, to przyjeżdż o jakiś dzień wcześniej. Jeśli będziesz mogła, to wyjeżdż już na Trzech Króli. Ojcu napiszę, by wyjechał rano w czwartek. Z Łomży masz pociąg o godz. 19 min. 10; w Warszawie Wileńskiej jest o godz. 23 z minutami. Na Warszawę Wschodnią masz jakieś 80 minut czasu; pociąg z tego dworca odchodzi na 20 czy 15 min. przed godz. 1 w nocy. Całą noc się jedzie. Moja Hanusiu kochana! Do Minkowic przyjeżdża się koło godz. 8 rano. Bilet z Łomży do Minkowic kosztuje 15 zł 20 gr. Bagażu ze sobą nie bierz, bo złodzieje grasują; przy mnie ganiłi jakiegoś złodziejaszka. Bądź ostrożna. Ojciec niech czuwa, a Ty, kochana, możesz sobie od czasu do czasu zrobić drzemkę.

Nie gniewaj się, że się bez Ciebie rozporządzam, ale zgodziłem służącą. Kanonik mi ją poleca, zdrowa dziewczucha – do tańca i do różańca, jak to powiadają.

Żegnaj ukochana. Całuję Cię mocno – Twój Antek.

PS. Ucałuj mamusię, tatusia, Jerzyka i wszystkich.

Mełgiew, poczta Minkowice, pow. lubelski. Napisz pod adres: Mełgiew, poczta Minkowice, pow. lubelski – to wysłę furmankę.

Uwaga!

Stacja Minkowice nie jest przed Lublinem; to druga stacja za Lublinem (pierwsza stacja – to Świdnik).

15. Antoni Jadacki (sen.)

Listy do Anny i Antoniego (jun.) Jadackich

A. Do Anny i Antoniego (jun.) Jadackich

• Ostrów Maz[owiecka], 6.08.1938

Kochane Dzieci!

Dziękuję za pismo, które mi przywróciło ojcowskie uczucie, którym Was darzyłem, ciesząc się z Wami wspólnie pobytem w Mełgwi. Jednak muszę zaznaczyć, że było pomiędzy nami maleńkie nieporozumienie. Moim życzeniem byłoby, byśmy się kochali, szanowali i w miarę możliwości sobie pomagali. Ale co ja biedny ojczysko mam zrobić? Czy Was mogę przekształcić, kiedy u Was wszystkich wyczuwam pychę i zarozumiałość, które w rodzinie nie powinny mieć miejsca? Gdyby ojciec i matka zaczęli wymawiać dzieciom, co ich kosztowało ich wychowanie, nigdy by nie doszło do zgody. Tak samo w całej rodzinie, choć się rozpadła, nie powinny wygasnąć uczucia rodzinne. Ja dziś zostałem sam; nie mam gdzie i przed kim się poskarżyć. Więc tylko upraszam Was wszystkich byście się kochali wzajemnie; będzie mi wtedy łatwiej dokończyć swój żywot.

Wasze pismo, choć krótkie, jest miłe i serdeczne. Ładnych kilka słów skreślił mój Antolek – pierwszy, wypieszczony syn. Cudne słowa otrzymałem od mojej drogiej Synowej – Haneczki. Jakże się cieszę, że spełniły się Wasze marzenia i że Wasze uczucia zlały się w jedną wielką miłość. Oby dał Bóg, byście pokazali swoim wrogom, że nie potrzebujecie ich łask.

Moje życie osobiste jest gorzkie – jeśli nie tragiczne; pocieszam się tylko, że takich jak ja jest tysiące. Odkąd przyjechałem od Was – sytuacja jest niewesoła. Irena leży na jednym łóżku i jęczy: rozniosło jej pierś, musi robić sobie zastrzyki. Ja leżę na drugim łóżku i wołam wszystkich świętych: tak mnie boli chory palec – ręka mi spuchła i jest obawa ogólnego zakażenia. (Proponowano mi amputację, ale się na to nie zgodziłem. Wolę mieć palec krzywy i na wpół martwy – niż go nie mieć wcale.) No i jeszcze trzeba zajmować się dzieckiem Ireny, a na dodatek w związku z jej chorobą musieliśmy wynająć mamkę do karmienia.

Wskutek choroby – trwającej dwa tygodnie – bardzo osłabłem; na szczęście serce jakoś to wszystko wytrzymało. Pomogło mi też to, że chociaż jestem wybuchowy – nie cierpię na nadpobudliwość; gdybym był nerwowy – nie wiem, jak bym to wszystko wytrzymał.

Kiedy przyszedłem do jakiego-takiego zdrowia zacząłem – dla zabicia czasu – czytać, co mi w rękę wpadło: Prusa – nie-Prusa, nawet *Odyseję* Homera i *Boską komedię* Dantego. Dzięki tym ostatnim lekturom język mi się tak rozwinął, że teraz ułożyć wiersz to dla mnie głupstwo, chociaż w tych moich wierszach są pewnie nieporadności poetyckie. Jak znudziły mi się książki, zacząłem robić spacer po Ostrowi: poznałem wszystkie jej ulice i zakątki – i przy okazji zobaczyłem mizериę ludzkiego losu.

Irenę w końcu wyprowadziłem z najgorszej biedy; dziś już dobrze wygląda, a jej dziecko – mówię Wam! – daj Boże byście się takiego doczekali: pulchne, ładne (kto wie, czy do babki nie będzie podobne), zdrowo się chowa i, co ważne, ma bardzo dobry charakter – nie jest grymasne. A Irena – jak się okazało – jest troskliwą matką.

Jak się ułożą losy Irenki – nie wiem. Ojciec dziecka mieszka w Myszyncu (piąty knebel – kuzyn). Dawno już bym wniósł sprawę o ojcostwo do sądu, ale ona mnie powstrzymuje, bo ciągle wierzy, że uda się jej nakłonić go do małżeństwa; dlatego ma zamiar zamieszkać w Myszyncu. Choć w to nie wierzę – sam wyjazd Irenki jest mi na rękę. Ja jej dziecka już nie zamierzam niańczyć, chociaż bardzo je polubiłem. Jestem już wyczerpany: chciałbym podjąć pracę dla mnie odpowiednią.

Genia niczego sobie nie sprawiła, bo co zarobiła, to poszło na życie, mieszkanie i wydatki związane z chorobą moją i Irenki. Teraz może już odetchnąć i zająć się sobą – na pewno sobie poradzi.

A ja? Gdybym był Wam potrzebny – i takie było Wasze życzenie – mógłbym przyjechać do Mełgwi już na stałe. Zjawiłbym się w pierwszej połowie sierpnia – z powodu renty, bo ubezpieczalnia wymaga, żeby zawiadamiać ich o zmianie pobytu w pierwszej połowie danego miesiąca; jeśli się tego nie robi – wstrzymują wysyłanie pieniędzy. Poza tym chciałbym jeszcze dać ochrzcić dziecko Ireny.

Czekam więc na Waszą decyzję.

Zasłałam Wam słodkie całusy od Irenki i jej bobasa – oraz ode mnie. Życzę Wam, żeby się spełniły wszystkie Wasze marzenia – Wasz kochający ojciec z rodziną, A. Jadacki.

Genia z Piekut już wróciła; jest w domu.

B. Do Antoniego Jadackiego (jun.)

• Ostrów Maz[owiecka], 13.08.1938.

Kochany Synu!

Jak widzę, nie zrozumieliśmy się, nie rozumiemy i już zrozumieć się nie zrozumiemy. Napisałem do Was pismo i wspominałem o zamiarze przyjechania do Mełgwi na zasadzie tego, co Twoja ręka do mnie pisała; na dowód posyłam Ci wycinek z Waszego listu, byś wiedział, że ja Ci się nie wciskałem i wciskać nie mam zamiaru.

... Moim marzeniem byłoby mieć Ojca przy sobie...

Piszesz, że oboje z Hanią nie macie czasu nawet żeby się podrapać; ja natomiast mam czasu za dużo. Dlatego otrzymawszy od Was list pierwszy, uznałem, że mogę śmiało zaproponować przyjazd do Was. Po otrzymaniu drugiego listu nigdy bym tego nie zaproponował.

Piszesz o nadziei. Ja nadzieją żyć nie zamierzam. Kiedy Ty się wzbogacisz, kiedy Mietek zostanie sędzią, kiedy Zygmunt stanie się dobrym organistą – mnie już może nie być na tym świecie. Przysłowie powiada: młody umrzeć może, ale stary musi – tym bardziej, gdy jest skołatany jak ja. Chcecie – to sobie pomagajcie, a nie – to trudno. Ja co mogłem – to dla Was zrobiłem; więcej nie mogę. Was nie niańczyłem: była do tego jedna i druga piastunka. I nie będę niańczyć dzieci – ani córek, ani synów.

Mnie, póki żyję, należy się jeszcze coś od życia: będę więc szukać pracy, ale takiej, która mnie uzdrowi. Tym bardziej należy się coś od życia Geni, która nie może bawić dziecka Irenki i żyć nadzieją, że bracia zrobią karierę i będą ją wspomagać finansowo. Kiedy? Gdy będzie miała 40 lat? Ona już teraz musi myśleć o sobie – ma już przecież 25 lat. Cóż jej po talencie muzycznym i innych zdolnościach? Kariera Ireny – zwichnięta. Kiedy zamieszka w Myszyńcu obok ojca pierwszego dziecka, to – moim zdaniem – ten robi jej drugie: niech ma i trzecie; wtedy pójdzie na dziady – jej wybór. Ale Genia w Myszyńcu mieszkać

nie może, bo by to zamknęło wszelką lepszą przyszłość. Mogłyby co prawda obie wyprowadzić się gdzieś na krańce Rzeczypospolitej, ale i tam książka meldunkowa zdradzi, co się stało.

Ja tym bardziej nie pojedę z Ireną do Myszyńca.

Napisałeś mi w drugim liście, że da Bóg i za rok-dwa doczekam się jakiegoś pomyślnego rozwiązania swoich kłopotów. Tego już nie rozumiem. Takie życzenie miałoby sens, gdybym dopiero co ukończył studia. Ale u schyłku życia? Najserdeczniej kochanemu Synowi dziękuję za roztoczenie przede mną takich perspektyw!

Źle robisz, Synu, że nie piszesz prosto z mostu: że jestem Ci niepotrzebny. Jeszcze raz powtórzę: nigdy nie zamierzałem wciskać się do Twego domu – i nie gniewam się za to, że nie chcesz mnie przy sobie. Ale gdybyś od razu rzecz postawił wprost – dawno bym już wiedział, co mam ze sobą robić. A tak – dopiero teraz wiem.

Całusy dla Hani – Wasz ojciec, A. Jadacki.

• Strzelce Krajeńskie, 20.03.1956.

Kochany i Drogi Antolku!

Chciałbym w tym piśmie poruszyć trzy sprawy: Twojego, Mietka i Zygmunusia traktowania Irenki, kontaktu między Bożeną a Mirką – oraz sytuacji materialnej Mietków.

Zacznę od Irenki.

Jest ona – po śmierci Geni – waszą jedyną siostrą. To prawda, popełniła w swoim życiu błędy – nawet duże: ma pozamałżeńskie dzieci. Gdyby jednak nie miała w ogóle dzieci, cóżby ją czekało? Bycie u któregoś z Was popychadłem? Starość u własnych dzieci bywa trudna, ale matka nie zostanie przecież przez żadne z nich porzucona jak ścierka... Ja Irence dawno wybaczyłem te błędy, które ludzie nazywają je „grzechami”. W czasach jej młodości prawdziwe grzechy polegały na czymś innym. Zdarzało się przecież, że panny, które urodziły nieślubne dziecko, potrafiły je żywcem zakopać. To był wielki grzech. Ale czy jeszcze większym grzechem nie było to, że te panny były porzucane przez tych, którzy te dzieci spłodzili? A Wy? Czy któryś z Was napisał kiedyś do Irenki jakieś słowo serdeczne, braterskie? Nigdy. I to mnie naprawdę bardzo boli. A i ją także: nieraz mi się na to żaliła i zalewała

łzami. Zapomnijcie już, proszę, o tym, co przeszło – żeby nie było jak w przysłowiu: rok temu jak wilk gęs zjadł, a jeszcze mu w d... syka.

Teraz Bożena i Mirka.

Bożenę bardzo kocham, ale przecież i Mirka jest moją wnuczką. Niestety: Bożena i Mirka nie mają ze sobą kontaktu. Jedna czeka na drugą, która się pierwsza odezwie. Za to, że nie robi tego Bożena – odpowiadacie Wy, nie ona. A to, że nie odzywa się pierwsza Mirka – to sprawa jej poczucia honoru; prawdę mówiąc tę postawę pochwalam. Tak czy inaczej – taki brak kontaktu między wnuczkami również mnie boli. Czy nie można by tego zmienić? Tak bym bardzo chciał, żeby się One pokochały...

No i wreszcie Mietkowie. Nie mam prawa kontrolować, co i ile dostały moje Synowe od swej Rodziny.⁶¹ Ale o ile Wyście dostali 25 tysięcy złotych, to chyba i Mietkowie nie dostali mniej. Tymczasem, jak się dowiedziałem, za otrzymane pieniądze kupili oni sobie... rower. Oczywiście: roweru nie można kupić za 200 złotych, ale chyba za 25 tysięcy złotych da się kupić tuzin takich rowerów. Co więc się stało z tymi pieniędzmi? Nie będę ukrywał, że bardzo się sytuacją Mietków niepokoję...

Na zakończenie zasylam moc uścisków serdecznych i całusów dla Was wszystkich – a najbardziej dla Jacusia: że uczy się dobrze i jest zdrow.

Ojciec i Dziadziuś Antoni Jadacki z rodziną.

PS. Bierut umarł!

⁶¹ Chodzi prawdopodobnie o posag.

16. Antoni Jadacki (sen.)

Listy do Bożeny i Jacka Jadackich

A. Do Bożeny Jadackiej

• Strzelce Krajeńskie, 15.01.1955.

Kochana i Droga Wnuczko Bożeno!

Nareszcie zdecydowałaś się do mnie napisać! Ubolewasz w swoim liście, że masz straszny nawal pracy. Zapewne. Rozumiem, co to znaczy nauka. Ale z drugiej strony pamiętam takich uczniów, co wylegiwali się w łóżku i tylko słuchali, jak inni wkuwali. I wyobraź sobie, że ci, co wkuwali, dostawali ledwie trójkę, a co, co się wylegiwali – dostawali piątkę. Co Ty na to? Uczyć się oczywiście trzeba, ale warto pamiętać, że w każdej lekcji są tylko pewne ustępy, które trzeba gruntownie poznać i zapamiętać,

Opiszę Ci, jak ja zdobywałem wiedzę. W miejscowości, gdzie zacząłem uczyć się czytać, było trzydzieści domów; a szkoły w niej nie było. Tzw. szkoła gminna była odległa od nas o 10 km; była też druga szkoła – do której było tylko 4 km – ale nie leżała ona w naszej gminie i nie wolno nam był się w niej uczyć. Więc początki czytania pobierałem, wraz z czworgiem innych dzieci, u pewnej staruszki. Ucząc się u niej, musieliśmy zawsze bardzo uważać, żeby nikt nie doniósł o tym władzom carskim. Spośród tych uczniów tylko dwóch nas nauczyło się czytać – ale dopiero po dwóch latach, bo pierwszy rok zszedł na poznaniu liter. Kiedy już nauczyłem się czytać po mazursku, to znaczy tak, jak ludzie na wsi mówili: „Zyd”, a nie jak było napisane „Żyd”, „capka” – a nie „czapka”. Później mój ojczysko wyrobił mi zezwolenie, abym mógł chodzić do szkoły, która była oddalona od nas o 4 km. Do tej szkoły chodziłem pewnie z osiem lat – zanim ukończyłem program trzech klas szkoły powszechnej.

W tym czasie we wszystkich szkołach – począwszy od szkoły powszechnej, a kończąc na uniwersytecie, były wykłady w języku rosyjskim; polski był tylko raz w tygodniu. W szkole nie wolno było rozmawiać po polsku. Jeśli chciałem coś pożyczyć od kolegi – np. piór, to się mówiło: „Иван, одолжи мне пера” (Janku, pożycz mi pióra) i tak ze wszystkim.

Ale te trzy klasy dawne zastąpią siedem dzisiejszych. Miałem świadectwo warszawskie I klasy; więc mogłem awansować na ekonoma, telegrafistę lub naczelnika poczty itp., tylko trzeba było z tych zawodów sobie któryś obrać i kilka lat praktykować; w ramach tej „praktyki” swoim zwierzchnikom trzeba było i wody nanosić, i drewna narąbać. W takiej to atmosferze się kształciłem...

Mój oczysko chciał ze mnie zrobić „człowieka”, więc i poza tą ukończoną szkołą posyłał mnie nadal do szkoły gminnej – ja zaś musiałem czekać, aż dzieci wyjdą ze szkoły i wtenczas nauczyciel ze mną odrabiał lekcje na wyższym poziomie – ale już prywatnie; więc ojciec musiał drogo płacić, a na to nie zawsze były pieniądze – i nie zawsze się to opłacało, bo i w tym wypadku trzeba było się pilnować, żeby nie wyspać siebie i zarazem nauczyciela. W końcu ojczysko obrał mi zawód organisty i zacząłem się uczyć gry na organach.

Gdyby to wszystko opisać, ułożyłaby się ładna książka.

Niektórzy zdobywali również średnie – a nawet uniwersyteckie – wykształcenie, ale zwykle musieli mieszkać w okropnych warunkach. Dziecko Drogie! Nie masz najmniejszego pojęcia o tym! Ale z drugiej strony, bywali uczniowie tak utalentowani, że jeszcze nie ukończyli szkoły, a już wprawiali w zdumienie swoich profesorów swoimi umiejętnościami. Dziś takich talentów nie ma! Owszem, jest wielki postęp – ale w dziedzinie techniki albo w tym, że się dzieci prędzej uczą czytać i pisać; rzecz jednak w tym – co czytać i co pisać? Dawniej ludzi wykształconych można było policzyć na palcach. Teraz wszyscy jesteście wykształceni, takich jednak dzieł, jak dawni poeci, nie stworzycie.

Na razie o tym – dosyć. Może kiedy indziej Ci jeszcze o tym napiszę. Tak! Piękny jest ten świat! Natura-matka wydała i wydaje wielkie cuda: wielkich ludzi – wielkich pisarzy, wielkich wodzów. Ale zarazem jakże podły jest ten świat! Natura-matka wydała i wydaje głupców. Ta piękna, ten pojętny – a obok brzydula i cymbały. Tu śliczny gaj, a obok błotniste bagno. Czy tak musi być? Na to nie ma odpowiedzi. Człowiek jest jeszcze za słaby, żeby poprawić to, co natura pokreśliła.

Żał mi Ciebie, że tak się męczysz. Ale czy jest na to rada? Gdybyż to jeszcze na tej „strasznej” maturze był koniec. Ale od niej do posiadania fachu w ręku – jest jeszcze daleko. Doszły mnie słuchy, że Tatusz ma zamiar Cię wysłać na medycynę. Nie będę się wtrącał, bo nie moja to

rzecz. Lekarze są potrzebni – i to bardzo; ale na to, żeby zostać dobrym lekarzem, to za mało jest jednego życia.

Tyle co do Ciebie. Jacusiowi chyba, jak mu Bóg da zdrowie, nauka pójdzie łatwo...

U nas – tu na Zachodzie – strasznie jest marny klimat, bo ni to zima, ni to jesień: wczoraj lał deszcz, a dziś spadł mały śnieg, a jutro na pewno będzie mrozek – i chrypka gotowa, bo już z córką mamy kaszel. Na ogół – jesteśmy jako-tako zdrowi; mnie tylko trochę szwankuje zdrowie: jest mi ciągle jakoś zimno. Tu – mało kiedy jest stała zima: nieraz bywa, że cała zima przejdzie i nikt nie widział sanek. Owszem, zobaczy łyżwy, ale u dzieci na jeziorze, które przy jakim-takim przy-mrozkowi pokrywa się lodem.

Na koniec chciałbym Ci coś napisać ogólnie o ludziach. Posłużę się takim porównaniem.

Jak wejdiesz do lasu, przystaniesz i popatrzyysz, to co widzisz? Drzewa. Zgoda – drzewa; ale jakie? Stoją wysmukłe sosny i dęby; tuż koło nich średnie graby, buki; później rozmaity krzewy karłowate – jak leszczyna, kalina, jałowiec, rokitnica i wiele innych. Czy to wszystko? Nie! Są jeszcze paprocie, borówki, poziomki – a w końcu różnego koloru paprocie, mchy i wrzosi. Te wysmukłe drzewa to są finansisci, burżuazyjni, bankierzy, ministrowie, kapitalisci i prezydenci – nie wyłączając wszelkiej maści kleru. Ci średni to są ich urzędnicy, a te paprocie, mchy i wrzosi to biedota, która te wszystkie wysmukłe drzewa żywi; żeby nie oni, to by one tak nie wyrosły: zimą je ogrzewają, a w lecie trzymają wilgoć.

Podobnie jest z ludźmi...

Na tym kończę. Ale czy będziesz aby miała czas to przeczytać?

Życzę Ci z całą rodziną, żebyś wytrwała i nie była ostatnią. Gorące całusy, a także życzenia dobrych wyników tej koleżance, którą poznałem na stacji samochodowej.

Dziadziuś, Ciocia i Zbysio Jadaccy.

• Strzelce Krajeńskie, 23.02.1955.

Kochana i Droga Bożeno!

Odebrałem od Ciebie pismo – a w nim „Królową Wód”. Miło mi było pochwalić się Twoją podobizną przed sąsiadami i dziewczynkami

– które jedna drugiej wydzierały sobie zdjęcie i na przemian je oglądały. Co do mnie – to nie ma dnia, żebym sobie na to zdjęcie nie popatrzył. A powiem ci szczerze, że ja w ogóle lubię podziwiać twarz kobiecą zza woalki. Dziewczynki myślały z początku, że to zdjęcie ślubne – aż im wytłumaczyłem co to jest. Dawniej panie z „wyższych sfer” nosiły tzw. woalki – w rozmaitych kolorach. To, co jest na Twoim zdjęciu, nie jest co prawda woalką, tylko „zwykłym” tiulem; przypomniały mi się jednak dzięki temu „prawdziwe” woalki.

Co się tyczy Twojej matury – to mam nadzieję, że wyjdiesz z niej zwycięsko.

I jeszcze trochę o życiu ludzkim. Prawdę mówiąc – nie jestem z niego zadowolony. Póki jesteś młody, zdrowy i pracujesz, to cię wszędzie chętnie widzą i ci sprzyjają. Ale kiedy przyjdzie starość – każdy tobą pomiata albo co najmniej cię nie zauważa.

Jutro – popielec, a więc zaczyna się okres postu – dzisiaj nie przez wszystkich zachowywanego. Cóż! Zmieniają się ludzie – zmieniają się czasy. Koła historii nikt nie zdoła zatrzymać.

Ucałowania ode mnie, Cioci i Zbyszka – Dziadzius Antoni Jadacki.

• Strzelce Krajeńskie, 16.03.1955.

Kochana Wnuczko Bożeno!

Ja się okazuje, nawiązaliśmy prawdziwą łączność między sobą. Nie wiem, czyj repertuar się wpierw wyczerpie...

U nas po staremu.

Ja jestem poważnie chory. Nie jest to choroba, która wymaga leżenia w łóżku; ale wymaga przestrzegania ścisłej diety. Widocznie zbliżają się dni, kiedy Was pożegnam.

Pytasz, czy wiem coś o Konkursie Chopinowskim. Owszem wiem – nawet o tym, że Polacy wreszcie zaczynają się uczyć dobrze grać. Gdyby tak jeszcze zaczęli się uczyć dobrze śpiewać?

W ogóle dużo czytam gazet. Ostatnio pisano o burzy, która szalała nad Polską i wyrządziła dużo szkód. Mietek⁶² – z nauczycielami – całą noc ratował dach nad budynkiem szkolnym. U nas poważniejszych szkód nie było.

⁶² Chodzi o Mieczysława Jadackiego – syna Antoniego (sen.).

Piszesz znowu, że bardzo się boisz czekających Cię egzaminów. To – nie dobrze. Żołnierz, jak się będzie bał, to prędzej zginie. Moja Córka Genia okropnie się bała Niemców – no i zginęła.

Napisz mi, kiedy obchodzisz imieniny, bo Twego imienia jakoś nie mogę znaleźć w kalendarzu.

Ucałowania ode mnie, Cioci i Zbyszka – oraz pozdrowienia od dziewczynek – dziadzius Antoni Jadacki z rodziną.

PS. Pismo to miało być wysłane pod datą podaną w nagłówku, ale choroba zwała mnie z nóg, więc ostatecznie to pismo wysyłam dziś, tj. 1 kwietnia. Przy okazji – napisz mi, Bożeno, czemu Mamusia z Jackiem nie wybrali się na V Konkurs Chopinowski do Warszawy. Przecież zrobiliby tam furorę! Jacuś ma jakiś niezwykły dar Boży do muzyki: nie musi dużo ćwiczyć, żeby tak wspaniale grać.

B. Do Jacka Jadackiego

• Strzelce Krajeńskie, 15.01.1954.

Mój Skarbie Jacusiu!

Tak się ucieszyłem z Twojego pisma, że go oblałem łzami. Tyleś przechodził chorób! Takich chorób, jak koklusz, angina, ospa dyfteryt, nie da się uniknąć, bo to są choroby epidemiczne; ale zapalenia płuc można się było ustrzec. Pamiętaj o tym, żebyś teraz za dużo się nie przemęczał, bo zapalenie płuc pozostawia na długi czas ślady w organizmie. Naśladuj Szopena, ale nie we wszystkim. Nie pij – będąc zgrzany – zimnej wody.

Posyłam Ci znowu wierszyk – tym razem o choince, jak ona tęskniła za swobodą.

Dziękuję Ci, Drogie Dziecko, że pamiętasz o dziadziusiu. Całuję Cię mocno w Twoje mądre oczęta – dziadzius Antoni Jadacki.

PS. Piszesz, Jacusiu, że u was jest zima i że dzieci jeżdżą sankami. U nas po większej części jest tak: na wieczór mróz, a na drugi dzień pada deszcz albo mokry śnieg – i dzieci mają wtedy zabawę, bo z takiego śniegu łatwo jest ulepić gały.

• Strzelce Krajeńskie, 9.10.1954.

Kochany Jacusiu!

Posłałem Ci wierszyk o jesieni. Nie wiem, czy Ci się spodoba. Napisz do dziadziusia parę słów: napisz o sobie, o Tatusiu i Mamusi, i o

Bożenie – bo Tatuś, Mamusia i Bożena nigdy nie mają czasu; już ich prosił nie będę, bo to daremne.

Opisz mi, jaka u Was jest jesień i jak Ci idzie nauka – i w ogóle o wszystkim po trosze. U nas jesień jest marna: jak nie pada, to jest chmurno.

Ściskam Cię mocno i życzę Ci dobrego zdrowia, abyś już nigdy nie chorował.

PS. Gdy to piszę – jest pogoda, a to dlatego, że dziś sobota, bo, jak mówi stara legenda, w sobotę zawsze słońko wyjrzy i zaświeci, ponieważ Matka Boska w tym dniu, tj. w sobotę, prała pieluszkę i je suszyła dla Małego Dzieciątka Jezusa.

• Strzelce Krajeńskie, 16.02.1955.

Kochany Wnuku Jacusiu!

Dziękuję Ci serdecznie za tak miły i ciepły liścik. Cieszę się również z tego, że jesteś tego roku zdrowy.

Zima nas na razie opuściła. Ale trzeba rozumieć to tak: jak będzie na początku lutego ciepło, to w końcu – będzie zimno, albo może i marzec mróz załapać. Najlepiej byłoby, gdyby grudzień, styczeń i luty były całe mroźne – wtedy jest mniej chorób; a jak w marcu przyjdzie wiosna, to wcześniej ruszą prace polowe.

Kiedy miałem tyle lat, co Ty teraz, to pamiętam takie zimy, że sąsiad do sąsiada musiał przekopywać tunel w śniegu, a zawieje były takie, że świata nie było widać: kogo taka zawieja spotkała w podróży – to całymi dniami ludzie błądzili, a były i takie wypadki, że zamarzali na śmierć. Wilki podchodziły do chlewów, podkopywały się i świnie unosiły do lasu. Dzikie, sarny i zające wyrządzały ogromne szkody w ogrodach – bo pola były przywalone śniegiem na parę metrów.

Ludzie na taki czas zastawiali wnyki na sarny i zające – a także kuropatwy, a „plon” był taki, że Ty, Dziecko, nie jesteś tego w stanie sobie wyobrazić. Na wilki i dziki natomiast wykopywali bardzo głęboki dół – taki, żeby zwierzę, jak w nie wpadnie, nie mogło wyskoczyć. Taki dół nakrywało się gałązkami, te gałązki przyprószano śniegiem, a na dno takiego dołu rzucano jakąś przynętę – w postaci zdechłego prosiaka lub nawet jakiegoś żywego zwierzęcia. Zwabiony w ten sposób wilk

czy dzik – jak się „wmeldował” do takiego dołu, to już w nim pozostał, a ludzie go po prostu dobijali.

Dziś pozostały już tylko resztki dawnego zwierzostanu. Przyczyną tego było trzebieenie lasów – dokonywane przez obszarników w celu zdobycia pieniędzy na zagraniczne eskapady. Ciekawe, że kiedy wilki zauważyły, że obszary leśne się kurczą – pewnej tęgiej zimy „wyprowadziły się” z przerzedzonych lasów; przedtem gromadząc się w licznych watahach i wyjąc po całych nocach; głosy ich były naprawdę przerażające.

Nie ma już także takiej jak za dawnych czasów zatręśienia kun, tchórzy i lisów – a po rzekach wydr – oraz bażantów, cietrzewi i głuszców. Zapytaj dziadziusia Modzelewskiego – a na pewno to potwierdzi. Nawiasem mówiąc – kuny były dwojakie: leśne i domowe. Te pierwsze żyły po lasach: w dziuplach. Te drugie wyłącznie w dachach domów

Na tym kończę. Życzę Ci przede wszystkim zdrowia. Nie zniechęcaj się do nauki, ale i zabawa jest potrzebna.

Całuję Cię mocno – Twój kochający dziadziuś, Antoni Jadacki.

17. Roch Modzelewski

Listy do Jana Modzelewskiego i do Anny Modzelewskiej

A. Do Jana Modzelewskiego:

• [Piekuty,] 11.01.1937.

+

JMJ

Kochany Wujaszku!

Moja odpowiedź na list Wujaszka i Hanki jest taka: nie ma lekarstwa na taką chorobę, kiedy ktoś oszaleje i gotów wyrzec się ojca i matki, zarznąć się, spalić, a do tego wyrzec się i mej życzliwości. Powołuje się Hanka na to, iż mówiłem jej, iż będzie organistką. Mogło to nastąpić, o ile by obecny organista piekucki na to zasłużył: o ile by dążył do tego, aby wykazać się dobrym wychowaniem. Niestety tych rzeczy mu brak, bo to jest gbur i narwaniec. Nawet kiedy się stołował na plebanii – gdzie mu wszyscy służyli – okazywał swą hardość. Zresztą przekonałem się dziś, że taka jest cała jego rodzina. Zupełnie bezstronnie sąd taki wydaję.

Tymczasem Hanka myśli, iż można do oczu komuś skakać – czy ubliżać – i na to nie zwraca uwagi. Zapomina o tym, jak ją początkowo traktował i co o niej mówił. Gdyby Hanka miała ambicję, to gdyby się o tym dowiedziała nawet dopiero idąc do ołtarza, to porzuciłaby go. Ale niestety! Brak u niej tej ambicji; jej chodzi tylko o to, aby za wszelką cenę wyjść za mąż. Ja natomiast mam ambicję; nie pozwolę sobą pomiatać i dziś kontaktuję się z nim tylko na stopie urzędowej. Wiosną musi odejść i niech robi sobie, co chce. A Hanka niech robi, jak uważa. Chce się ze mną rozstać na zawsze dla jakiegoś niewychowanego fircyka – proszę: niech idzie za mąż za niego, ale niech wie, że nie będzie jej dobrze. Hanka uważa, iż ja jej przeszkadzam w ułożeniu sobie życia w sposób, który jej odpowiada. Nie, nigdy to nie było moim zamiarem: pragnąłem tylko, aby było jej dobrze i aby była szczęśliwa. Skoro zaś ona chce poświęcić honor swej rodziny i przekreślić moją życzliwość –

ha, trudno, jej wola. Niech robi, jak chce. Nie ma na to rady, gdy jakiś fircyk więcej u niej jest wart niż honor rodziny i mój.

Ja wyznaję zasadę: niech będzie biedny, ale niech ma walory duchowe: niech będzie dobrze wychowany i niech odnosi się do każdego z szacunkiem. U niego tych walorów nie ma. Zresztą jego rodzinka nie jest lepsza – a do tego golizna. Wszyscy tu razem siedzą na chlebie u syna i myślą tylko o tym, aby mieć jak najwięcej dochodów – ale bez ciężkiej pracy. A jego ojciec ogłasza wszem i wobec takie brednie: „Mój syn musi się bogato ożenić, bo ma dwie siostry. Nie dałem im wykształcenia, to niech syn da im posagi”. Ja tej rodzinki mam szczerze dosyć; najchętniej bym się jej pozbył – i tych zima ich chroni.

W każdym razie nie życzę sobie, żeby Haneczka w takiej rodzinie się znalazła. Jeśli ona uważa inaczej – to do widzenia; jej wola – trudno! Wyrobiłem jej pracę na kilka miesięcy – niech zarobi; przypuszczam, że tę pracę przyjmie.

Może w tych dniach przyjedzie tam w konkury pewien młodzian. Ja go osobiście nie znam, ale z boku słyszałem, iż wypytywał się o adres do Hanki. Pochodzi spod Białegostoku, z dobrej rodziny – i jest dosyć majątny; tak mi go określono; więc proszę go grzecznie przyjąć. Ja go do Was nie wysyłam; on sam o nią się dopytywał i p. Olędzki mu dał adres.

Życzę wszystkim zdrowia – Wasz Ks. Roch.

Pozdrowienia od Mamy. Daj Boże Wujaszкови zdrowie!

B. Do Anny Modzelewskiej:

• [Piekuty,]

Do p. Anny Modzelewskiej:

Ponieważ ostatni akt mej tragedii z panną Anną dobiega do najostrejszej formy mego poniżenia i hańby ze względu na jego karczemne zachowanie się – przeto oświadczam, iż na przyszłość się nie znamy. Widocznie względy rodzinne i oznaki wzajemnego oddania się w życiu nic nie warte. Panna nie umiała czy nie chciała stanąć na zasadniczym stanowisku, ażeby ten łobuz dał mi satysfakcję za obrazę. Gdy tego Panna nie dokonała, okazało się, iż ta sprawa dla niej jest obojętna – byle tylko za mąż wyjść. Bierzesz Panno łobuza, a za wszystkie moje

kroki, podjęte w celu zapewnienia Pannie nauki w gimnazjum, czy gdzie indziej, daję sobie sam wyrównanie: niech to będzie zapisane na rachunek Twego honoru. Ale czy go masz?

Łobuza i Ciebie więcej nie znam. W takich warunkach było bezczelnością w liście do Honorci prosić mnie na ślub. Czy Panna z Tworek powróciła, zapraszając mnie na ten finał mej tragedii?

Adieu! R.

PS. Tracisz nazwisko – tracisz u nas wszystko. Za te lata różnych przejść z Tobą, które tak się kończą – Bóg Ci zapłać.

Amen.

18. Aleksandra i Jan Modzelewscy

List do Anny i Antoniego (jun.) Jadackich

• Modzele, 8.10.1938.

Kochane Dzieci!

Może się rozgniewacie na mnie, że długo do Was listu nie napisałem. Były jednak ważne przyczyny: ja sam, jak wiecie, już nie dowidzę, a Roszkowa była chora i podyktować jej listu nie mogłem.

Hanko!

Prosiłaś o chodniki i płótno; matka była już dwa razy w Łomży i nie mogła ich kupić. Teraz nie pora na nie; takie rzeczy kupuje się z wiosną, kiedy kobiety dużo ich narobią. A chodniki i płótno fabryczne, to przecież i u siebie dostaniesz. Po co więc pocztę opłacać?

Kochana Cóрко!

Myślisz może, żeśmy o Tobie zapomnieli. Otóż nie: myśli nasze stale krążą wokół Ciebie. Kilka razy dziennie Ciebie wspominamy i martwimy się, jak też Cię Bóg rozwiąże. Przecież Ty jesteś sama z mężem, daleko od reszty rodziny. Kiedy Ci Bóg ześle ostatnie chwile przed urodzeniem dziecka, to pewnie Ci będzie przykro, że tak się ułożyło. Wiedz jednak, że my stale się modlimy o szczęście Twoje i Twego męża.

Kochany Zięciu!

Oboje z matką prosimy Cię bardzo: miej pieczę jak największą nad Hanką. Wiemy, że i bez naszego wezwania jesteś oddany jej szczerze i – jak pisałeś – kochasz ją bardzo. Cieszymy się, że Hanka ma wiernego męża. Ale do naszego serca wdziera się mimo to niepokój.

Nie wspominaj, Hanko, złych chwil dawnych, bo wiesz, jak to wszystko się kręciło w naszym domu. Teraz już każdy z Twych braci jest u siebie i każdy myśli o sobie; więc na razie panuje spokój i zgoda.

Zdrowie, jak wiesz, na stare lata to człowiekowi się nie polepsza. Więc i my czujemy, że z każdym dniem przybliża się godzina wieczności.

Na razie nic więcej nie piszę Wam, Kochane Dzieci, tylko czekam z niecierpliwością na jakieś wiadomości od Was: jak się czujecie

Hanka i czy wraz oboje zdrowi jesteście. Proszę Cię, Haneczko, albo Antosiu, odpiszcie nam jak najprędzej.

Haneczko!

Gdyby chciała, aby matka do Was przyjechała, żeby Ci pomóc, to napisz.

Rodzice.

19. Helena Modzelewska

Listy do Anny i Antoniego (jun.) Jadackich

• Modzele, 8.10.1938.

Kochany Kumciu i Kumo Haneczko!

Nie gniewajcie się na mnie, że do Was nie pisałam. Ostatnio byłam bardzo chora na gardło; miałam aż dwa razy operację; choroba ta bardzo wycieńczyła. Jeszcze dziś wyglądam jak jędra. Wierz mi, Haneczko, ręka mi przy pisaniu mdleje; muszę co chwila odpoczywać. Mimo to piszę, bo bardzo jesteśmy ciekawi, co u Was słychać. Niech Ci Bóg pobłogosławi w ostatniej chwili i rozwiąże w jak najlżejszy sposób. Przeżywałam poród i wiem, ile trzeba w związku z nim przecierpieć. Cóż: taki już los kobiety! Może zresztą już macie małego Antolka?

W rodzinie w Modzelach zaszły tylko takie zmiany, że każdy mieszka oddzielnie. Adamowie sami, Jasiowie sami, my sami, i Rodzice też sami. Olesia chodzi jak bańka – myśli o urodzeniu małego Adamka koło 10 listopada.

Haneczko! Jaki nasz Jerzyk jest już roztropny! Chodzi bardzo ładnie, mówi niektóre słowa też bardzo wyraźnie, tylko zębów ma tylko cztery. Kocha bardzo Roszka, a Roszek jego jeszcze więcej. Jerzyk nasz, myślimy, będzie organistą, bo stale sobie śpiewa, a głos ma czysty – niczym chrzestny tatuś.

Stacho uczy się nieźle; jest już z niego spory chłopak; stale pyta, kiedy do nas przyjedzie ciocia z nowym wujkiem i z tym dziadziusem, co ma duże wąsy.

Kochany Kumciu!

Roszek szykuje się na chrzciny na dobrą wódkę i mówi, że wreszcie obydwaj musicie się upić „w kij”; Hanka na pewno nie będzie się za to gniewać, jak ją poprosi starszy brat.

Na razie, Haneczko, nie piszę więcej, bo nie mam siły, a i w chorej głowie szumi mi pustka. Proszę Was, odpiszcie na list jak najprędzej; czekamy z niecierpliwością.

Pozostajemy szczerze kochający – Helena i Roszek.

• [Modzele.]

Kochana Haneczko!

Wysła Ci mamusia obrus, dwa ręczniki i płótno na woreczek do mąki; z chustki jest bardzo zadowolona, i dziękuje Wam serdecznie, że o niej nie zapominacie. Mamusia i tatuś życzą Wam wszystkiego najlepszego i mają nadzieję, że się kiedyś z Wami zobaczą. Wybieramy się do Was na chrzciny.

Kochani!

Dziękuję Wam bardzo za prezent dla chrzestnego syna: to bardzo ładne ubranko! Jerzy jest taki roztropny, że jak włożę mu stare buty, to mówi: „Pe Ana ubranko caca”. Jak go sfotografuję, to przysłę Wam jego zdjęcie. Czekam na okazję, że zdjęcie zrobią wojskowi,⁶³ którzy mają aparat fotograficzny – nie musiałabym wtedy się męczyć i jechać do Łomży.

Stacho zdał do drugiego oddziału i jest bardzo z tego dumny; stale pyta, kiedy to przyjedzie ciocia z nowym wujkiem.

Ukłony i pozdrowienia od całej rodziny. Ja ściskam Was wraz oboje mocno i całuję w same usta (pomimo, że to rozpusta...).

Helena.

Proszę Cię, Haneczko, pisz do nas częściej, u nas taki bałagan przy tym wojsku, że nie ma nawet kiedy napisać listu.

Proszę Was bardzo.

⁶³ W Czerwonym Borze był poligon wojskowy.

20. Honorata Modzelewska

Listy do Anny Jadackiej

• Piekuty, 24.04.1938.

Kochana Haneczko!

Za list i fotografię bardzo dziękuję i przepraszam, że tak długo nie raczyłam odpisać. To nie moja wina. To tragedia czasu. Zawsze znajdzie się coś do zrobienia.

4, 5 i 6 kwietnia parafii piekuckiej były rekolekcje. Księży zjeżdżało się każdego dnia dziesięciu, a kilku z nich pozostawało na dzień następny. Zresztą, co ja Ci będę opisywać; sama wiesz lepiej, jak to wtedy wszystko wygląda. Potem był ruch przedświąteczny, sprzątanie, pieczenie i prasowanie. Tak, Haneczko! Napracuję się, ale mam za to pewne wynagrodzenie. Otóż i teraz dostałam kilka groszy; w krótkim czasie pojadę do domu i kupię rzeczy potrzebne. Tego na pewno nie miałabym, siedząc w domu u fartuszka mamusi. Masz rację, że zbyt teczna jestem teraz w domu – i to mnie najwięcej martwi, bo jak Ci wiadomo, Hanusiu, Ksiądz idzie do Zakonu, ciocia będzie w Modzelach, a ja nie wiem co ze sobą wtedy mam robić. Ksiądz obiecuje, że pošle mnie do Warszawy, abym nauczyła się gotować. Wiesz, Hanko, ile Ks. ma zamiarów. Dziś tak, jutro inaczej.

Jeżeli naprawdę tak miałyby się stać, nie wiem, jak postąpić, bo jestem załamana duchowo i fizycznie. Spokój i ciszę mego życia zabrał mi „On”.⁶⁴ Ty miałaś rację, Haneczko, mówiąc, żebym nie zawracała sobie „Nim” głowy. Ja nie chciałam się Ciebie posłuchać, kiedy mówiłaś na niego to-i-owo; wierz mi, że byłam wtedy taka zła na Ciebie, iż wolałabym, żebyś zrobiła mi jakąś przykrość. Kochałam „Go” po swojemu, nie miłością prawdziwą, która pojawia się u ludzi dorosłych. Teraz cierpię, bardzo cierpię; świat i ludzi są mi obojętni; zdaje mi się, że każdy jest taki, jak „On” i dlatego smutek i tęsknota jest moją jedyną towarzyszką. Jako pamiątka po „Nim” został list, w którym pisze, iż „los nielitościwy rozdzieli nas, a warunki życiowe nie pozwalają postąpić inaczej”.

⁶⁴ Chodzi najprawdopodobniej o przyszłego męża – Mieczysława Jadackiego.

Nie mam komu pożalić się, opowiedzieć wszystko, bo któż mnie zrozumie, no powiedz, któż? Wszyscy wyśmieją mnie i basta! Bardzo ciężko jest żyć nie mając osoby-przyjaciółki, z którą można byłoby porozmawiać!

Hanuś kochana! Poradź mi, co mam ze sobą zrobić, jak postąpić. Napisz mi, jak się w Warszawie ubierają, czego uczą itd., i doradź mi, jak sformułować podanie. Proszę Cię o to z całego serca i pewna jestem, że nie spotka mnie zawód – przynajmniej w tym wypadku.

Jakby wszystkiego było mało, przyczepił się do mnie Stasiak Walesiów i pisze, wprost grozi mi, że jeżeli z nim skończę, zastrzeli mnie i siebie. Pisał mi to w kilku listach. Ja odpisałam mu na jeden i na nim poprzestałam, bo cóż mnie z nim wiąże? Helenka pisała mi, że przyjechała z Zambrowa jakiś żandarm i koniecznie chciałby zobaczyć się ze mną. Smarkata jestem jeszcze, a już nie dadzą mi spokoju. Co będzie w przyszłości?

Poza tym nic ciekawego. Siedzę w domu i myślę o niebieskich migdałach. Rozmawiam z Franusią i Księdzem, a z Ciocią najczęściej się kłócę. Czasami pójde do państwa Karowników, to znowu na pocztę.

Mówił mi kościelny, że w Piekutach jest p. Genia, siostra szwagra, i że mieszka u Jabłońskich czy Puławskich. Osobiście z nią zupełnie się nie znam.

Ciocia z Franusią wspominają Cię często i płaczą, że już nigdy nie będą mogły zobaczyć się z Tobą.

Ukłony i pozdrowienia do całej rodziny.

PS. Panna Genia, siostra szwagra, puściła plotkę w Piekutach, że Ty wypędziłaś już swego teścia i Zygmunta, bo nie chcesz na darmożjadów pracować. Czy to prawda?

Ciebie Hanko i szwagra całuję mocno – Honorka.

Ukłony od Cioci i Franusi.

• Warszawa, 19.07.1938.

Kochana Hanulu!

Naprawdę, nie mogę zrozumieć Twego zachowania względem mnie. Wpierw, kiedy były trudności, pisałaś częściej, a teraz nie raczysz skreślić kilku słów. Czy przez to chcesz nauczyć mnie cierpliwości?

A więc próbuj, może coś wskórasz...

Proszę Cię, Hanulu, odpisz mi chociaż jedno słowo: jak żyjesz, czy jesteście zdrowi – Ty i mąż Twój. Nie sądzę, abyś nie miała chwili czasu do napisania listu.

W związku z nadchodzącymi imieninami życzę Ci zdrowia, szczęścia i wszystkiego najlepszego – zawsze kochająca Cię siostra.

Honorka.

PS. Podaję do wiadomości, że od 15 do 18 lipca byłam w Częstochowie.

• Warszawa, 3.09.1938.

Kochana Haneczko!

List Twój otrzymałam i wyobraż sobie, że nie mam czasu odpisać Ci chociaż kilku słów o swoim życiu w Zakładzie.⁶⁵ Nie zmieniło się tu ani trochę. Pracuję i staram się jak najwięcej skorzystać. Kończę już „piekarnik”, z czego cieszę się bardzo, gdyż pani od „piekarnika” jest bardzo niedobra i na każdym kroku prześladowała mnie za to, że nie „lizalam” jej po rękach i nie nadskakiwałam jak inne dziewczynki. Kosztowało mnie to bardzo wiele, ale musiałam znieść jej krzyki. Innym dziewczynkom było zupełnie dobrze, gdyż w oczy robiły tak, a za oczy inaczej. Co do mnie, nie potrafiłabym tak się charakteryzować. Teraz przechodzę do jatki. Zdaje mi się Haneczko, że na tym kursie mało skorzystam.

Kochana Hanusiu! Niedawno rozmawiałam z p. Teklą o Tobie, która mówi, że bardzo kocha Ciebie; prosiła mnie o adres, więc spodziewaj się listu. Wspomniała także o przedstawieniu, w którym brałaś udział; jednym słowem bardzo serdecznie wyrażała się o Tobie, Hanko.

Hanko! Radzisz, abym nie martwiła się, ale trudno tu wytrzymać; pracuję jak dziewczka; szoruję szósty raz podłogę, a wszystko czyste, jak święta ziemia. Poza tym już miesiąc nie miałam żadnej wiadomości od Księdza. Pisałam dwa listy; nie odpisał i nie przysłał pieniędzy. Zostawił mi poprzednio 8 zł i chce, żeby mi to wystarczyło na półtora miesiąca. Nie piszę o tym, żebyś Ty mi przysłała pieniądze, Hanusiu. Przeciwnie; będę bardzo się gniewać, jeśli przyszlesz.

⁶⁵ Chodzi o Dwuletnie Kursy Gospodarstwa Domowego (Zakład św. Józefa), Sewerynow 8, Warszawa.

Mam nadzieję, że niedługo zawiadomi mnie Ksiądz o swoim życiu.

Od rodziców także nie dostaję pieniędzy, jeżeli nie wypłacę i nie zmuszę ich listownie. Ale nie wspominaj im o tym. Słyszałam, że w ogóle do rodziców nie piszesz. Źle robisz, Hanko! Co przeszło – zapomnij. Inna rzecz, że braci mamy bardzo „dobrych”. Widzą jak Helena pisze list do mnie i nie powiedzą: pozdrów ją i od nas. Zarozumialcy: myślą jedynie o sobie, i cieszą się, że pozbyli się mnie już na zawsze. Ciężkie jest życie!

Haneczko! Kiedy dowiedziałam się z Twego listu, że za niedługo rodzina Ci się powiększy, ucieszyłam się bardzo. Zarazem robiło mi się czegoś żal; zatęskniłam do Ciebie. Przykro mi, że nie będę mogła być przy Tobie. Wybacz, Haneczko, że tak złożyło się, ale trudno: u braci za służącą nie chcę być, bo wiesz, jakie z tym hece były. A do Ciebie znowu gdybym pojechała – gniewałby się Ksiądz. Doprawdy nie wiem, jak postąpić.

Za chrestną matkę chciałabym bardzo być, aby zrobić Ci chociaż tę przyjemność.

Kończę to bazgranie i proszę Cię, nie gniewaj się na mnie, że tak długo nie pisałam.

Całuję Cię mocno, mocno – zawsze kochająca Cię Honorka.

Jeżeli będziesz chora, zawiadomcie mnie, Haneczko.

Szwagrze! Chodziłam, szukałam i nie znalazłam tej książki, o którą prosiłeś; może wiesz, Szwagrze, jeszcze o jakichś antykwariatach przy innych ulicach, to proszę, napisz – pójdę wszędzie, gdzie trzeba.

Żegnam; zasyłam pozdrowienie dla p. Mieczysława.

Pisz Haneczko do mnie.

• Piekuty Nowe [jesień 1938?]

Kochana Haneczko i Szwagrze!

List od Was otrzymałam: ślicznie za niego dziękuję. Ucieszył on mnie bardzo i naprawdę czytając go uśmiełam się, co bardzo rzadko zdarza się w Piekutach. Tutaj zawsze chmura smutku i tęsknoty zakrywa me oblicze. Z każdym dniem czuję, iż staję się coraz bardziej mizantropką i wierz mi, że nigdzie nie lubię chodzić. Życie w rozbawionym kółku piekuckim drażni mnie tak, że nienawidzę wszystkich, co do niego nale-

żą. Po drugie, odczuwam sama w sobie brak wykształcenia, okrzesań towarzyskiego i bardzo się tego wstydę. Cóż ja jestem jednak winna, jeżeli rodzice nie mogą mnie dalej uczyć – sama wiesz, że chciałam.

Plebania jest dla mnie wszystkim. Są czasami tygodnie, że zupełnie nie wychodzę na drogę; wtedy myślę, że przebywszy rok w Piekutach, można wstąpić do klasztoru. Jestem tu po prostu za służącą, a nawet gorzej, bo służba zrobiwszy co do niej należy, ma wolny czas, a ja wciąż muszę być gotowa na każde zawołanie cioci i Księdza. Zdarzają się i takie wypadki, że w nocy, kiedy człowiek w najlepsze śpi, Ksiądz mnie budzi, bo jego gościom zachciało się herbaty. Więc muszę wstawać, gotować i posługiwać im znowu. Więc zaciskam zęby i robię swoje. Prócz tego przygotowuję wszystko do gospodarstwa: noszę wodę, drzewo, kartofle, buraki – i to wszystko zajmie mi cały dzień, tak że nie mam czasu nawet umyć się porządnie. Teraz dużo czasu zajmuje mi praca w ogródku i sprzątanie pokoi, bo co dzień prawie u Księdza są goście, no i wielu interesantów, których Ksiądz załatwia w pokoju stołowym. Od tej roboty bolą mnie ręce i sprawia mi trudność nawet rozczesywanie włosów, które spływają mi już na ramiona, muszę odpocząć chwileczkę. I choroba, o której wiesz od mamusi, z konieczności idzie na bok.

Nikomiu nie mogę się poskarżyć, bo któż mnie zrozumie: ciocia? Ksiądz? O Franusi to już nie ma mowy! Czuję się bardzo samotna. Dawniej po części rozmawiałem z Tobą, Hanusiu. Teraz, kiedy odjechałaś tak daleko, trudno to będzie wszystko opisać w liście. Pogodziłam się z tą sytuacją głównie dlatego, że praca u Księdza daje mi możliwość samodzielnego kupienia rzeczy, które są mi potrzebne, a które w domu rodzicielskim musiałyby zostać wypłakane. Zrobiłam już sobie pierzynę, a na wiosnę ciocia zostawiła dwie gęsi i gąsiora; na zimę, kiedy będą małe gąski, zrobię poduszki. Może, Haneczko, naśmiesz się z tego, co piszę, jednak wiedz, że to jest szczerą prawdą. Tak mi jest jakoś ciężko na sercu, smutno, brak mi czegoś, a lepiej powiedziawszy kogoś, kto by umiał mnie rozweselić. Powód postaram się wyjaśnić Ci, Hanuś w następnym liście.

Teraz – co do Księdza. Otóż w Piekutach dzieją się straszne hece. Wszystko poszło z tego, że Ksiądz publicznie powiedział, że wójt zupełnie nie daje na kościół. Od razu zaczęto myśleć, jakim sposobem

usunąć księdza. Poszło im to bardzo łatwo, bo wójt Kamiński ma swoich zauszników, którzy pilnują Księdza na każdym kroku, bo podobno przygotowują zamach na jego życie; kiedyś, jak Ksiądz z p. Kalinowskim pojechali na Częstki, a stamtąd do dziedzica na Wierzbowiznę, zauważyli, że w ślad za nimi pojechało dwóch mężczyzn rowerami, a kilku innych ich obserwoowało, siedząc w krzakach. Piszą donosy do biskupa, że Ksiądz kupuje futra kobietom, a jeżeli zobaczy ładną pannienkę, nie da jej przejść spokojnie; że z powodu Księdza zastrzeliła się agentka pocztowa w Piekutach; że pewnego razu, kiedy jechał do choroego i dowiedział się, że zaniemogła p. sekretarzowa, rzekomo Księdza sympatia, nie pojechał do tamtego z wiatykiem – tylko udał się do niej. Wszystko to wiem, bo Ksiądz mi pokazywał te oszczerstwa, przesłane mu przez biskupa. W ostatnią niedzielę na kazaniu Ksiądz powiedział, że z krótkim czasie zamierza opuścić parafię, bo nie chce być powodem do niesnasek między parafianami. Jak będzie – nie wiem.

Widzisz z tego, że będę mogła przyjechać do Was – tylko nie teraz. Miejcie nadzieję, iż zobaczymy się. Najgorzej będzie ze Szwagrem; wiem, jaki jest zapalczywy – i że co postanowi, spełnić musi. Boję się, że za bardzo wyciąuje mnie – cóż zostanie „Jemu”, Szwagrze? Proszę Ciebie, Haneczko, siostruniu moja jedyna, ażebyś już zawczasu zaczęła walkę ze Szwagrem i wymusiła na nim postanowienie stanowcze: „Nie będę”. Napisz jaki był rezultat tej walki, a może namyślę się i przyjadę.

Dziękuję Ci, Haneczko i Szwagrze za fotografię ślubną i proszę bardzo, jeżeli macie swoje zdjęcia, jak jesteście osobno, przyslijcie mi; będę Wam wdzięczna za to do śmierci.

Kończę to bazgranie i przepraszam, że tak nieładnie piszę, ale nie mam czasu na kaligrafię; zresztą list ten piszę wieczorem przy lampie.

Ukłony i pozdrowienia od cioci i Franusi, która Cię kocha bardzo; jeżeli ciocia zacznie na Ciebie narzekać, ona staje w Twojej obronie i zaczyna się wyklócać o Twoje dobre imię.

Niziutki ukłon do p. Mieczysława.

Was całuję mocno, niezliczoną ilość razy i czekam na prędką odpowiedź – zawsze szczerze kochająca Ciebie, Siostruniu, no i Szwagra – Honorka.

Piszcie do mnie dużo o wszystkim, co porabiacie itd. Ja będę się starała na każdy list odpisać choć kilka słów.

• Piekuty Nowe [wiosna 1939].

Kochana Hanko!

Czas szybko minął... Po zmiennej zimie nastaje powoli wiosna. Zacznie się robota w polu, chociaż i teraz jej nie brak. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie choroba cioci. Teraz coś zaczyna chorować na dobre. Ksiądz boi się, żeby nie umarła. Ja też chora byłam na grypę, ale musiałam swoje obowiązki, bo Frania pojechała do rodziny. Ciężko mi było; jednak jakoś wytrzymałam, za co Bogu dziękuję. We wtorek dopiero wróciła Frania, a ja przyszedłam do zdrowia.

Masz rację, że ciężkie jest moje życie; nie mam żadnej koleżanki, nikogo. Nie ma dnia, żebym nie płakała, bo oni mnie nie rozumieją; ja płaczę, bo w tym znajduję ukojenie. Wierz mi, że już kilka razy wybierałam się do Ciebie, tak mi dokuczyli. Księdzu zawsze wszystko źle. Mówi, że nie umiem zachować się w towarzystwie, więc ja nie chcę nigdzie z Księdzem iść. Jeżeli przyjadą jacyś nieznani mi goście, Ksiądz potrafi powiedzieć, że ja jestem „tylko tak sobie” – znaczy, że uważa mnie za służącą. Ile wtenczas cierpię, sam Pan Bóg tylko wie.

Co Ksiądz chce, to robi: podejmuje moje listy od koleżanek i wysmiewa się ze mnie, że jestem taka bogata i mogę pisać listy po całej Polsce. Cierpię, bo żal mi ojca i matki; gdyby nie oni, poszłabym, gdzie by mnie oczy poniosły. Mam już tego naprawdę dosyć.

Z kursów skorzystałam, Hanko, bo mam przynajmniej pojęcie, jak co się robi w gospodarstwie. Nie powiem, żebym umiała wszystko jak należy, ale na przykład z posiłków – wszystko, co zrobię, goście zjedzą.

Prosiłabym Cię bardzo, abyś podała mi kilka swoich znakomitych przepisów na mazurki i babki, które mogłabym zrobić w Piekutach. Powiedz mi też, co zrobić na obiady rekolekcyjne – wtorek, środa i czwartek – a co na kolację postną. Jeżeli masz przepis na ciastka – te, które robiłaś w Piekutach – też mi podaj. Proszę Cię o to bardzo; nie zwlekaj, bo u nas rekolekcje po Palmowej Niedzieli.

Adam z żoną żyją jak pies z kotem; ciągle się kłócą – przynajmniej tak mi rodzice mówili. Ja, Haneczko, urosłam i przytyłam. Sama siebie już się wstydzę. Włosy zapuszczam: warkocze mam już długości 15 cm; noszę je na gumce z wałkiem.

Poza tym nic u mnie nie słychać ciekawego; wszyscy myślą tylko o tym, czy będzie wojna.

O Kazi z Brodnickich pisała Ci na pewno Helenka. Zobacz jakie ma szalone szczęście!

Haneczko! Nie zapomnij, o co Cię proszę! Może masz fotografię Bożenki? Niech chociaż w ten sposób ją poznam.

W poprzednim liście Szwagier nic nie napisał. Czyżby się pogniewał za to, nie mogę wyjechać od Księdza? A ja naprawdę nie mogę! Przeprós Go ode mnie i powiedz, żeby się na mnie nie gniewał.

Ucałuj małą Bożenkę. Ciebie całuję mocno – Honorka.

• [Piekuty, lato 1939?]

Kochana Hanusiu!

Ile ja przecierpiałam przez te kilka dni – Bóg tylko wie. Ksiądz pozwala mi jechać do Was pod warunkiem, że już nigdy nie powrócę do Piekut i zostawię wszystko, co mi kupił. Wiesz sama, co wzięłam z domu, więc w czym pokazałabym się do ludzi?

Hanusiu kochana! Kiedy powiedziałam Księdzu o Tobie wszystko, i że chcę jechać do Mełgwi, odłączył mnie dosłownie od świata i ludzi poza plebanią. Nie mogłam się z nikim porozumiewać. Dzisiaj pojechał na stację, bo przyjeżdża ojciec kapucyn; oddał mnie pod opiekę Franusi.

Haneczko, jeżeli jesteś bardzo chora, napisz, ja a przyjadę; porzucę ich, bo mam już Piekut dosyć. Chciałabym zacząć inaczej żyć. Samotność mi bardzo doskwiera.

Wyobraź sobie, że Ksiądz i ciocia nie wierzą, że Ty jesteś chora. Według nich po prostu zachciało mi się jechać do Mełgwi i napisałam do Ciebie, ażebyś skłamała. Ciężkie jest więc moje życie, Haneczko. W każdy razie – jeżeli naprawdę źle się czujesz, napisz, a przyjadę na jakiś czas; jeżeli natomiast nie jesteś chora – też napisz, bo chcę wiedzieć jak żyjesz.

Przepraszam, że tak nieładnie piszę, ale strasznie śpieszę się, bo Ksiądz zaraz przyjedzie, a chcę, żeby jutro poszedł.

Dla formy, przyślij mi pieniądze na podróż, bo Ksiądz mi ich nie.

Całuję Cię mocno, mocno – i opiece Bożej polecam – Honorka.

Ucałuj ode mnie Bożenkę i Szwagra; pozdrów p. Mieczysława.

21. Eugenia Jadacka

List do Antoniego (jun.) Jadackiego

• [Piekuty, lato 1938.]

Kochany Bracie!

Zdziwi Cię zapewne ten mój list – po tak długim czasie milczenia. Otóż prześladowają mnie ciągle sny o Tobie. Już cztery razy śniłeś mi się jednakowo. Treść tych snów jest jakoś dziwnie smutna; bardzo mnie to zaniepokoiło. Pisałam do domu, aby mi Tatuś coś o Tobie napisał. Ale Tatuś odpisuje mi, że nic o Tobie nie wie. W takim razie zdecydowałam sama do Ciebie napisać.

Kochany Braciszku!

Choć wyfrunąłeś z naszego gniazdko i choć nic Cię już z domem rodzinnym nie wiąże, wiedz, że serce wszystkich biją tak samo dla Ciebie. Ty masz już swoje gniazdko; nic Cię już dziś nie obchodzi tamto, któreś porzucił. Cieszysz się, że Ci jest dobrze. Nie raczysz się nawet słowem odezwać – choćby tylko do biednego ojca, pokrzywdzonego przez wszystkich. Jak możesz mieć tak twarde serce? Wszak jesteś najstarszym synem, dla którego rodzice znosili wiele cierpień. Dali mu jaką taką przyszłość, a dziś ojciec nawet od Ciebie nie ma pocieszenia. Doprawdy serce mi się kraje, kiedy o tym pomyślę. Przecież nikt od Ciebie nie żąda czegoś nadzwyczajnego. Słowo pociechy ma więcej wartości!

Dziś nas wszystkich traktujesz jak najgorzej. Zapomniałeś i nie chcesz nawet o tym pamiętać, jak wszyscy ucierpieli dzieląc z Tobą Twoje niedole chociażby tylko w Piekutach: jak wszyscy dążyli do tego, żebyś jak najprędzej posiadał swoje. Sięgnij tylko myślą w przeszłość: nie pamiętasz, jak ja pragnęłam, byś się z Hanią ożenił? A dziś, kiedyś dobrnął do brzegu, nie dajesz o sobie znaku życia. Jeszcze raz powtórzę: mam na myśli nie siebie – lecz ojca i Irkę. Gdyby tak każdy zrobił prawdziwy rachunek sumienia, to na pewno znalazłby wiele podobnych grzechów do tego, który on ma na swoim sumieniu. Trzeba wziąć to pod uwagę, że jeszcze gorsze dzieją się rzeczy. A wypadki zawsze chodzą po ludziach. Najwięcej na tym wszystkim ja cierpiałam, bo wszyscy trzej bracia się jej wyrzekli. Ja się Irki nie wyrzeknę,

bo wiem, że w życiu nikt nie wie, co go może spotkać. Będę się starała zastąpić wszystko razem z Ojcem.

Przykro mi jest bardzo, że za moją życzliwość i serce, jakie miałam i mam dla Ciebie jako brata, zostałam przez Ciebie tak źle potraktowana. Może nieraz postąpiłam z Tobą nietaktownie – ale w takim położeniu, w jakim się znajdowaliśmy, nie zawsze można się było opanować.

Pojechałam prawie bez grosza. Dysponowałam trochę tymi pieniędzmi, co spadły mi jakby z nieba. Za to zostałam w Twoich oczach oszukaniczą. Urobiłeś w tym przekonaniu nawet ojca, kiedy był u Ciebie. Dziś ojciec się przekonał, jak niesłuszne było to posądzenie.

Dostałam te 30 złotych; nie wiedziałam od kogo. Nie sypiałam po nocach, tylko biłam się myślami, snując różne przypuszczenia. Po kilka razy czytałam treść przekazu, czy czasami nie zaszła jakaś pomyłka. Głowiłam się nad tym ze trzy tygodnie, nie wydając z tej kwoty ani grosza. Czekałam, że może coś się wyjaśni. Śmieli się ze mnie pp. Czarkowscy no i koleżanki, że zamiast się zrobić użytek z pieniędzy, które mi spadły z nieba, ja się smucę. I wtedy postanowiłam sobie za te pieniądze pojechać do Piekut i uregulować zaległości za radio; jesienią pracy było mało, więc nie mogłam wszystkiemu podołać. Część pieniędzy wydałam na bilet powrotny.

Ułożyłam sobie wszystko z tym pobytem w Piekutach. Naraz dowiaduję się od ojca, że pieniądze były przysłane dla Ciebie. Cóż miałam wtedy robić? Mam czyste sumienie, że nie obróciłam ich na jakieś zbędne potrzeby: Bóg mi świadkiem. A jednak w oczach brata zostałam oszukańcem. Ciekawa jestem, co byś Ty zrobił, znalazłszy się w takiej sytuacji jak ja z tymi pieniędzmi. Przecież na przekazie nie było nawet wzmianki o Tobie. Posyłam Ci go jako dowód.

Nie wiem, jak sobie teraz ułożę przyszłość – myśl o przyszłości zatruwa mi życie. Chcę gdzieś się przenieść z tych nudnych Piekut: nic się teraz tu nie dzieje, bo Ciebie nie ma. Nie mogę tu nadal mieszkać, bo samotność by mnie zamęczyła na śmierć. W stowarzyszeniu nic się nie udzielam. Na śpiewy nie chodzę. Moja praca tak mnie wyczerpuje, że byś mnie teraz nie poznał – tak źle wyglądam.

Najbardziej martwię się o ojca. Dostałam właśnie od niego list, w którym pisze, że nie może się pogodzić z tym, że żyje nadal bez pracy. Nie wiem, co zamierza zrobić.

Antku! Ludzie w Piekutach o Tobie nie mogą zapomnieć; ciągle mnie pytają co u Ciebie słychać i czyś się ożenił. Mówią: „Nie będziemy już nigdy mieli takiego organisty” – i posyłają Ci przeze mnie pozdrowienia.

Nic ojcu nie wspominaj o tym, że pisałam do Ciebie, jeśli byś kiedyś do niego pisał. Pierwszego sierpnia już wyjeżdżam do domu szukać pracy w innym miejscu.

Do widzenia. Słę Ci pozdrowienia – pozdrów ode mnie również Hanię.

Twoja siostra Genia.

Turek – wiesz, o którego chodzi – jeździ w konkury do Olędzkich na Krasewo (tych, co mieszkają zaraz z brzegu). Pogadują, że ma się z ich córką ożenić.

22. Ludwika Smellówna

Listy do Anny Modzelewskiej

• Leśmierz, 17.06.1937.⁶⁶

Kochana Hanko!

Nie wiem, jak zacząć i jak pisać do tak wielkiej osoby, która była „Panią Instruktorą” i to od wszystkiego – nawet od szycia i haftu.

No ale żart na stronę. Udało Ci się i koniec. Przypuszczam, że czułaś się doskonale, i – znając Ciebie – myślę, że wywiązałaś się ze swoich obowiązków dobrze. Wszak to Twój żywioł. Zawsze z przyjemnością opowiadałaś o dziewczętach wiejskich. A będąc ich nauczycielką, musiałaś się stać i przyjaciółką. I musi to być bardzo przyjemnie pracować między prostymi, ale szlachetnymi duszami. To nie to, co koleżanki nasze z Sewerynowa, które umiały tylko szydzić, docinać i dokuczać. Tam z pewnością czułaś wdzięczność i to szczerą. Zazdroszczę Ci, żeś te kilka miesięcy tak przyjemnie spędziłaś. A może zostaniesz instruktorką na stałe? Napisz mi, jak to z tym będzie.

Chcesz, bym Ci napisała coś o sobie? Co ja Ci mogę ciekawego napisać? Życie moje jest puste, głupie, bez celu. Jestem jednym z pasożytów, które objadają społeczeństwo. Niby – z pozorów sądząc – powinno mi być bardzo dobrze, ale ja chwilami czuję się naprawdę źle. Jestem, jak wiesz, jedynaczką, pieszczoną na wszystkie strony. Co chcę, to mam. Mamusia lubi mnie ładnie ubierać, toteż stale – nowy materiał, przymiarki u krawcowej, zmiana bucików, co druga sobota czesanie u fryzjera – oto moje główne zajęcia. Lecz cóż mi z tego, że chodzę ładnie ubrana z modnie uczesaną głową. To się w końcu przykrzy. Ja bym chciała czegoś innego, lecz co mam robić: niech się więc dzieje, co chce. Pomagam w domu, czasem gotuję, no i dużo haftuję. Chodzę na spacer, na towarzystwie mi nie zbywa (zwłaszcza na męskim). Koleżanek nie mam, bo wszystko to inne typy niż ja. Teraz się cieszę, bo na święta ma przyjechać Janek. Wiesz, Hanko, że ja go kochać chyba nigdy nie przestanę. Może mi nie uwierzysz, ale mam stale jakiegoś starającego się. Lecz cóż z tego, kiedy żaden to nie to, co J...

⁶⁶ Ostatnia cyfra może być interpretowana także jako 4.

Ślub mój miał być już w sierpniu. Lecz prawdopodobnie będzie dopiero w karnawale – w styczniu 1938 roku. Jeszcze jakieś osiem miesięcy będę panną.

A wiesz Ty, Hanko, czego ja obecnie najwięcej pragnę? Żebym jak najprędzej po ślubie miała swoje małństwo. Hanko! Jak ja bym je kochała! To byłby cały mój świat. Ja nie wyobrażam sobie życia bez dziecka. Dziś na myśl, że może za jakieś dwa lata będę już je miała, czuję prawdziwą rozkosz. Ja chyba do tego jestem stworzona.

Tak dużo piszę i to takich głupstw – a tu papier się kończy. A tak mi brak rozmów z Tobą. Do Ciebie jednej tylko wszystko mogłabym powiedzieć. Bo tu nie mam nikogo, kto zrozumiałby mnie tak, jak Ty. Szkoda, że mieszkamy daleko od siebie. Ale jak wyjdę za mąż, to musisz do mnie na kilka dni przyjechać. Nie jestem zadowolona tylko z tego, że będę musiała mieszkać w Warszawie.

Od nikogo listów nie otrzymuję. Miałam tylko list od Irki w zeszłym tygodniu, lecz niewiele pisze o sobie.

Odpisz mi, Hanko, tylko dużo... dużo... Nie żałuj papieru. Ja strasznie namazałam, ale na to nie zwracaj uwagi.

Życzę Ci wesołych Zielonych Świąt.

Całuję Cię mocno... mocno. Zawsze ta sama – Lutka.

Pozdrowienia od rodziców.

Nie zwlekaj z odpowiedzią. Ja mogłabym do Ciebie pisać bez końca, tak mam dużo do pisania, lecz resztę zostawię na drugi raz, bo byś się znudziła czytaniem. A jak z T.M.? Czy wszystko skończone? A czy Ty nie myślisz zostać mężatką? W następnym liście prześlę Ci swoje amatorskie zdjęcie. Jeśli masz jakieś swoje – to przyslij.

Najlepiej, Hanko, wystaraj się o posadę dla siebie i dla mnie, to wszystko zostawię, nawet J..., i pojedę stać się człowiekiem pracowitym, a nie próżniakiem.

Ten mój list okropnie wygląda: pomazany na wszystkie strony strony. Gdyby kto go widział, to by się przestraszył...

23. Maria Korycka

List do Anny Modzelewskiej

• Sopoćkinie, 23.03.1937.

Droga i ukochana Pani!

Z okazji nadchodzących Świąt Zmartwychwstania Chrystusa za-
syłamy Pani moc najserdeczniejszych życzeń: wesołych świąt i zawsze
dużo, dużo radości w życiu, pomyślnej pracy i wiele, wiele sił do niej,
i zdrowia, i wszystkiego dobrego.

Jak się Pani czuje po wszystkich kursach? Jak było w Wólce, w
Grajewie? Na pewno najgorzej był u nas – ale trudno, że my takie jeste-
śmy; na przyszłość będzie inaczej; poprawimy się poprawimy; pierw-
szy raz to zwykle nie wychodzi dobrze i to we wszystkim, więc trzeba
nam przebaczyć.

Przepraszamy, żeśmy tak długo nie odsyłały zdjęć, ale na pewno
Pani nas wyrozumie. Wyjeżdżając do Suwałk, nie poprosiłam żadnej z
druhen, żeby wzięła zdjęcia, więc wszystkie sobie spokojnie tutaj leżały.

Posyłamy zdjęcia grupowe z kursu i naszą grupkę, która gotowała
zupę na gorącym ogniu – i widok Teolina, tj. kościół i plebania. Patrząc
na te zdjęcia żywo sobie wyobraziłam, jak pichcimy obiad przed goto-
waniem.

Przepraszam, że tak okropnie nabazgrałam i może bez żadnego
sensu, ale Pani wybaczy i zrozumie, o co chodzi – prawda? Teraz jestem
tak senna, że prawie nie widzę linii na papierze; bazgrzę na pamięć, jak
kura pazurem, ale chcę dziś koniecznie wysłać ten list, choć tak by było
miło jeszcze chwilkę porozmawiać z Panią; ale może będziemy mogli
porozmawiać kiedy indziej.

Prosimy bardzo, żeby Pani była tak dobra i choć parę słów do nas
napisała; byłybyśmy bardzo za to wdzięczne; list można wysłać na mój
adres, który podałam na kopercie.

Pozdrowienia od wszystkich drухen-kursantek – Marysia Korycka.

24. Zofia Maciejewska

List do Anny Modzelewskiej

• Warszawa, 4.05.1937.

Hanusi Kochana!

Wiem i przyznaję Ci rację – jestem osiemnasto-karatową świ-
nią; jak chcesz, możesz mnie nazwać, ale gniewać Ci się na mnie nie
pozwolę – za nic w świecie. Ja mogę do kogoś nie pisać, ale to nie
dowodzi jeszcze absolutnie niczego.

Hanko! Żebyś Ty wiedziała, co za plany robi Tomek – wiesz, ten,
co u nas mieszkał. On nabił sobie głowę, żeby się z Tobą ożenić. Siłą
Go odciągamy od tego zamiaru, żeby tam do Ciebie nie jechał, bo może
Ty nie bardzo byś Go chciała widzieć. On jest technikiem, mieszka
teraz w Częstochowie i na rękę ma 400 złotych. Ksiądz uważa, że mo-
głabyś reflektować na małżeństwo z nim. Człowiek młody, przystojny
i jako typ – morowy. Hanusiu! On mi nie daje żyć. Po prostu zamęcza
mnie pytaniami o Ciebie. Ma przejazd na całą Polskę *gratis* i wiecznie
jest w Warszawie. Uśmiełam się serdecznie, bo mówił mi, iż miał sen,
żeś przyjechała na 3 maja do Warszawy i naturalnie po tym śnie przy-
jechał do nas. Teraz przyjeżdża na 15 maja z tą myślą, że nareszcie
i Ty przyjedziesz. Hanusiu! Więc zjeżdżaj, kochanie. bez namysłu.
Będę tak szczęśliwa, że zakałuję Ciebie na śmierć. Pisz zaraz, którego
zjawisz się w Warszawie, a ja po Ciebie wyjdę.

A teraz, kochana, napiszę Ci trochę o sobie. Wychodzę za męża!
Ślub mój będzie prawdopodobnie 4 września. Przykro mi, że robię
to głupstwo, ale radzą mi żeby je zrobić, więc się zdecydowałam. Co
do ślubu, to mam Twoje słowo. Przysięgłaś mi, że na nim będziesz i
słowa nie cofniesz. Haniu! Ja w tej chwili zupełnie nie żartuję. Musisz
być koniecznie – liczę na Ciebie w stu procentach. Jeżeli zrobisz figła
na 15-go, to napisz, czy pozwalasz przyjechać Tomkowi na 16-go i
17-go, tj. zaraz po moich imieninach, bo to są Zielone Świątki. Mu-
sisz mi odpisać. Czekam na list.

Ucałowania dla Ciebie od rodziców i braci. Pozdrowienia dla
Twojej całej rodziny.

Ściskam Ciebie serdecznie – kochająca Ciebie Zocha.

Hanko! Widzę dla Ciebie niezły interes. Dobrze wykombinuj, jak
masz postąpić. Grunt to spryt. Materializm w pierwszym rzędzie.

CZĘŚĆ III. O ROCHU MODZELEWSKIM

25. Władysław Feiner

Bohater z Bargłowa⁶⁷

Nasz Głosik.

Ilustrowane regionalne pisemko

dzieci i dla dzieci

Pojez[iera] Augustowsko-Suwałskiego.

R. II, nr 6, z 15.03.1936, s. 63-65.

– Byliśmy świadkami, jak niezwyciężona, zdawałoby się, potęga Rosji została złamana. Jeden wróg Polski przestał istnieć. Pozostali jeszcze dwaj wrogowie: Niemcy i Austria. Przeciw nim teraz skierowały swój oręż Legiony Józefa Piłsudskiego. Za małe to jednak siły. Naszą rzeczą jest, siły te wesprzeć i gnębić wroga od tej strony, skąd on się tego najmniej spodziewa. Teraz albo nigdy nastanie chwila Zmartwychwstania naszej Ojczyzny!

To mówiąc, ksiądz Roch Modzelewski pogrążył się w głębokiej zadumie, jakby się modlił. Nikt z zebranych nie ważył się przerwać ciszy, w której słyszeć było niemal bicie własnych serc.

Tylko wzrokiem porozumiewali się między sobą. Skrzyżowały się spojrzenia Józka i Franka, Janka i Olka, Piotra i Bronka, Janka i Staszka – chłopców z Bargłowa, Jeziork i Brzozówki. Ze wszystkich twarzy wyczytać można było jedno: że gotowi są w każdej chwili oddać nawet życie za Polskę, zrywającą kajdany niewoli.

Wreszcie ksiądz Roch powstał z krzesła, zdjął krucyfiks ze ściany i rzekł:

– Kochani chłopcy! Czekajcie wasza praca niebezpieczniejsza niż na polu walki. Tam żołnierz ma wroga przed sobą; wy zaś walczyć będziecie wśród nieprzyjaciół. Tam żołnierz ginie od kuli lub bagnetu; tu może zginąć także na szubienicy. Tam żołnierzowi poległemu zaśpiewają nad mogiłą: „Śpij kolego, niech się Polska przyśni Tobie”; tu smagać będą matkę twoją, gdyby chciała zmówić „Wieczny odpoczynek” na twojej mogile.

⁶⁷ Zdarzenie prawdziwe z działalności POW w Bargłowie w roku 1917-1918.

Kochani chłopcy! Taka walka i taka śmierć jest podwójnym bohaterstwem. Czy się jej nie ulękniecie?

– Nie! – odpowiedzieli chórem obecni. – jesteśmy gotowi – zawołał jeden z najmłodszych, ale najbardziej zapalony do wojaczki, Stach Strzałko z Bargłowa.

– A więc przysięgnijcie na Ukrzyżowanego – ciągnął dalej ksiądz Roch – że walczyć będziecie z każdym wrogiem Polski do ostatniej kropli krwi.

– Przysięgamy! Przysięgamy – wyrzekli zgodnym chórem obecni i kolejno podchodzili do księdza Rocha, który błogosławił ich i dawał im krucyfiks do ucałowania.

Po chwili spój i cisza zapanowały na plebanii bargłowskiej

Od pewnego czasu Niemcy zaczęli się coraz gorzej czuć w Bargłowie i okolicy. Z początku zaczęli ginąć, nie wiadomo jak i kiedy, najlepsi żandarmi i szpiegowie niemieccy. Później już nawet całe placówki nie czuły się bezpiecznie.

Niemcy zaczęli się mścić na ludności. Po wsiach rozpoczęły się rewizji za bronią i peowiakami. Ludzie żyli w ciągłym niepewności i obawie o życie swoje i swoich najbliższych.

Aż jednego dnia sierpniowego 1918 roku, lotem błyskawicy, rozeszła się po wsi wieść, że Niemcy aresztowali Staszka Strzałkę i Janka Nagolskiego.

Na drodze, koło urzędu gminnego stał już konwój żandarmów niemieckich, z bagnetami nałożonymi na karabiny, a pośrodku między nimi trzej chłopcy w kajdanach: Byli to Staszek Strzałko i Janek Nagolski z Bargłowa i Kosakowski z Tajna.

Na drodze zgromadził się tłum ludzi, z którego wypadła ku Niemcom jakaś kobieta i rozzwierającym głosem wołała:

– Oddajcie mi moje dziecko! Zbójce przekłete! Oddajcie mi jego jedynaka, Staszka!

Najbliżej stojący Niemiec pchnął kolbą matkę, która upadła na ziemię i zanosila się płaczem.

Z tłumu dał się słyszeć szloch kobiet i groźny pomruk mężczyzn. Niemcy – z gotowymi do strzału karabinami – dali rozkaz do odmarszu.

Tłum bezradny rozstał się. Kajdany zabrzączały i konwój skierował się w stronę Rajgrodu.

W celi więziennej w Grajewie, na pryczy, pół siedząc, a pół leżąc, spoczywał młody, może 18-letni chłopiec. Przez kraty małego okienka padły na jego twarz pierwsze promyki wschodzącego słońca. Był to Staszek Strzałko. Wczoraj przywlekli go to z Bargłowa i wczoraj skazali go na śmierć przez rozstrzelanie za udział w POW.

Stasze spędził całą noc na rozmyślaniach. Przed oczyma stała mu teraz jak żywa chwila, gdy składał przysięgę razem ze swymi towarzyszami i radość w nim wzbierała, że przysięgi dotrzymał. Na śledztwie obiecywano mu wolność, jeśli wskaże nazwiska należących do Polskiej Organizacji Wojskowej i kierujących nią. Staszek zniósł wszelkie tortury, ale żadnego nazwiska nie zdradził. Zwyciężył!... I teraz czuł w sobie nadziemską szczęśliwość.

Staszek zapadł w półsen... Widzi ojca, wiozącego zboże do stodoły. Kłosa bujne tak, jak w żadnym roku dotychczas. Dziw, że tak zboże urodziło. To znów Staszek widzi matkę swoją, jak z rozwichrzonymi włosami i wyciągniętymi rękoma odgraża się Niemcom i woła: – Staszku! Synu mój! Ty nas porzucasz!...

Staszek ocknął się i zobaczył przed sobą matkę w otoczeniu strażników więziennych. Przyszła tu, aby ratować swego jedynaka. Biedna!... Nie wie, że widzi go żywym już po raz ostatni.

Długo łkała w objęciach swego syna. Długo tuliłaby go do siebie, gdyby nie żandarm, który kazał jej opuścić celę. Staszek opanowując wzruszenie, żegnał matkę słowami: – Nie płaczcie, mamu... Raz człowiek rodzi się i raz umiera... Ja umieram za Ojczyznę... O was będzie rząd polski pamiętać!...

Drzwi celi więziennej zamknęły się i Staszek pozostał sam.

Następnego dnia od wczesnego rana, do bramy więziennej w Grajewie dobijała się Katarzyna Strzałkowa. Wczoraj po opuszczeniu murów więziennych dowiedziała się od strażników niemieckich, że syn jej ma być dziś rozstrzelany.

Kołała teraz do bramy, aby jej pozwolono jeszcze raz zobaczyć się z dzieckiem swoim. Niestety!... Nie wpuszczono jej do środka. Osłabła z wysiłku, wyczerpania i bólu, usłyszała naraz spoza muru... salwę karabinową.

Zrozumiało serce matki... Zaszumiało jej w głowie i upadła zemdlna na ziemię.

26. Ks. Józef Kaczyński

Roch Modzelewski w Piekutach (Wspomnienie z lat 1930-1944)

Ks. Roch Modzelewski nastał do Piekut z parafii Łyse w 1930 roku – po ks. Antonim Gerwelu. Pamiętam tę translokację: byłem wtedy ministrantem; miałem 13 lat. Otrzymałem od niego w 1930 roku świadectwo moralności do Gimnazjum OO. Jezuitów w Pińsku. Jako kleryk pomagałem mu w pracy parafialnej w kościele, a 29 września 1941 roku ks. Modzelewski wyprawił mi uroczyste prymicie.

Jeszcze jako alumn jeździłem z proboszczem po wsiach na spotkania z młodzieżą. W latach 1941-1944 rozpędzaliśmy wspólnie zabawy taneczne; ks. proboszcz napominał młodzież, że nie godzi się tańczyć, gdy się leje krew w obronie Ojczyzny. Usilnie też zwalczał ks. proboszcz bimbrownie, gdzie wyrabiano samogonkę ze zboża; naszych parafian nauczyli pędzić bimber okupanci ruscy.

W 1937 roku rozpoczął ks. proboszcz budowę murowanego kościoła i murowanej szkoły. Pod szkołę dał ks. proboszcz plac; to był jeden z powodów, dla którego w 1999 roku został wybrany na patrona szkoły. Budowę kościoła po ks. Modzelewskim prowadził ks. Wacław Olszewski, a ja ją ukończyłem; konsekracja odbyła się w 1974 roku; dokonał jej ks. bp Mikołaj Sasinowski.

Razem z ks. Stanisławem Falkowskim ks. Roch zaopiekował się chłopcem żydowskim podczas likwidacji Żydów przez Niemców.

Po rozbiciu Wojska Polskiego przez Niemców we wrześniu 1939 roku zaopiekował się ks. Roch kilkoma wdowami po poległych polskich oficerach, przyjmując je na plebanię. Zaopiekował się też dwoma kapelanami Wojska Polskiego: ks. Stanisławem Miklaszewiczem, po którego posłał mnie do Sylwanowiec pod Grodnem, i ks. Apoloniuszem Glińskim.

Owi księża-kapelanowie nie byli zadowoleni z obecności na plebanii w Piekutach wdów po poległych oficerach i prosili ks. Modzelewskiego, by te wdowy z plebanii usunął. W 1940 roku zaprzyjaźnili się ci księża kapelanowie z pracownicą Urzędu Gminnego w Piekutach, niejaką

Agnieszką; była ona – jak się okazało – na usługach niejakiego Ambulajewa, szefa NKWD w Brańsku i często odwiedzała księży-kapelanów na plebanii, usiłując poznać personalia wspomnianych wdów: starała się też dowiedzieć, kto z mężczyzn bywa na plebanii i gdzie wyjeżdża ks. proboszcz. NKWD podejrzewało ks. proboszcza o kontakty i współpracę z polskim podziemiem i usiłowało usunąć z plebanii ks. proboszcza przy pomocy nieżyczliwych mu parafian głównie z Krasowa Wielkiego i Krasowa-Częstek, których buntował ks. Gliński, za co ks. bp Stanisław Łukomski go zasuspendował.

Na wiadomość o suspensie zebrali się w kościele parafianie głównie z wymienionych wyżej wiosek – daty nie pamiętam – w obronie ks. Glińskiego, który z kielichem w ręku klęczał w kościele, bo jako zasuspendowany nie mógł odprawiać mszy św.; odprawiał ją ks. Roch. Po mszy św. zebrali się zbuntowani parafianie – głównie kobiety – przed zakrystią i wyzywając proboszcza bardzo obelżywymi słowami usiłowali nie puścić go z kościoła na plebanie, popychali go, ciągli za sutannę i wołali: „Wynoś się od nas!”.

Widząc to, wziąłem z kościoła krzyż wiszący przy wodzie święconej i podałem go ks. proboszczowi. Prosiłem bardzo zbuntowanych, by uszanowali krzyż i swego duszpasterza, który jest tak bardzo zasłużony dla kościoła, dla parafii, dla szkoły i dla Polski, bo był kapelanem w Armii Polskiej podczas walk z bolszewikami w 1920 roku. Mówiłem też wtedy do zebranych, że za znieważanie sługi Bożego, duszpasterza, nie minie ich kara Boża. Słowa te pomogły i zebrani przepuścili proboszcza z krzyżem w ręku, idącego wśród głosu dzwonów na plebanie. Krzyż ten oddał mi ks. proboszcz mówiąc: „Weź ten skarb naszej wiary sobie na pamiątkę, bo może i tobie kiedyś się przyda.

Awanturą tą kierowało NKWD, dowodzone przez szefa, Ambulajewa, z którym współpracowała Agnieszka z Gminy.

13 maja 1941 roku został sporządzony w Białymstoku raport pisemny służb NKGB o polskim podziemi i o udziale w nim ks. Modzelewskiego – treści następującej.⁶⁸

⁶⁸ Ks. Kaczyński w oryginale swego tekstu daje własny przekład cytowanego dokumentu; jest on jednak niepełny i w kilku miejscach niedokładny; dlatego dajemy tutaj pełny i dokładny przekład własny.

Bardzo pilne. Ściśle tajne.

Dla sekretarza białostockiego obkomu KP(b)B, tow. KUDRIAJEWA.

Notatka z raportu.

Według materiałów agenturalno-śledczych dotyczących spraw k.-r.⁶⁹ organizacji powstańczej „Batalion Śmierci” ustalono, że ks. dziekan kościoła piekuckiego, Obwodu Brańskiego, Roch Piotrowicz MODZELEWSKI, urodzony 1883 roku, w przeszłości kapitan byłej armii polskiej, [który] w 1920 roku brał czynny udział w walkach przeciw RKKA, udekorowany przez były rząd polski wysokim odznaczeniem – krzyżem *Virtuti militari* – w minionym okresie był organizatorem i przywódcą w Gminie Piekuckiej k.-r. partii „Narodowców”.

Od chwili ustanowienia władzy sowieckiej w Zachodniej Białorusi, MODZELEWSKI prowadzi aktywną robotę kontrrewolucyjną, werbując mieszkańców do organizacji powstańczej w celu walki z władzą sowiecką.

Aresztowany przywódca powstańczej organizacji kontrrewolucyjnej, STĘPIEŃ, zeznał podczas śledztwa:

„10 kwietnia 1940 roku spotkałem się z przybyłym z Warszawy oficerem DOMRZYŃSKIM, który mówił, że na terytorium Powiatu Wysoko-Mazowieckiego istnieje i prowadzi aktywną działalność polska organizacja powstańcza, zwana „[Związkiem] Ludowo-Narodowym”, której duchowym przywódcą jest ks. kościoła piekuckiego – Roch MODZELEWSKI.

Uważając, że MODZELEWSKI, jako ksiądz, ma wielki wpływ na nacjonalistyczną część ludności polskiej, pragnąc skłonić ją do roboty w kontrrewolucyjnej organizacji powstańczej „Batalion Śmierci”, STĘPIEŃ i DOMRZYŃSKI sprowadzili go przez łącznika JUSZKIEWICZA do wsi Wierzbowizna, gdzie MODZELEWSKI zgodził się być komendantem gminnej (уездной) organizacji powstańczej „Batalion Śmierci”.

Podczas rozmowy o zadaniach i celach organizacji „Batalion Śmierci” MODZELEWSKI pokazał list, który otrzymał od kapitana byłej armii polskiej i jednego z przywódców polskiej organizacji powstańczej, istniejącej na terytorium Województwa Białostockiego, CZARNEGO, który zapraszał ks. MODZELEWSKIEGO do wspólnej roboty w organizacji.”

Zeznania aresztowanego w związku z kontrrewolucyjną organizacją powstańczą „Batalion Śmierci”, BOROWSKIEGO, obciążają Rocha MODZELEWSKIEGO jako aktywnego uczestnika tej kontrrewolucyjnej organizacji.

„R. P. MODZELEWSKI dawał schronienie i ukrywał w swoim domu przywódcę organizacji powstańczej „Batalion Śmierci”, STĘPNIA (aresztowany). Łącznik centrum warszawskiego, JUSZKIEWICZ, często odwiedzał

⁶⁹ Tu i niżej: skrót od „kontrrewolucyjny”.

mieszkanie Stanisława OLĘDZKIEGO (aresztowanego), współwłaściciela konspiracyjnego i jawnego mieszkania.”

Źródło „Marysia” 8 września 1940 roku zgłosiła, że ks. MODZELEWSKI w dniu wyborów do rad, posłał specjalnie organistę kościoła [na wieś] i polecił mu ustalić, kto z młodzieży wziął udział w tańcach, a siedem dni później MODZELEWSKI, wygłaszając kazanie stwierdził:

„Z tego świętego miejsca przeklinam wszystkich tych, którzy ośmielili się w taki czas tańczyć: w czas, kiedy dobrzy Polacy przelewają łzy za swoich braci i krewnych, którzy utracili swoją ojczyznę.”

Mając pewien wpływ na młodzież, MODZELEWSKI zaczął wzywać młodzież, przybywającą do kościoła, aby wstępowała do związku „Młodzieży Katolickiej”.

W związku z przeprowadzonymi aresztowaniami członków k.-r. organizacji powstańczej „Batalion Śmierci” ks. MODZELEWSKI powiedział łącznikowi „Fadaj”:

„Mieszkający u mnie STĘPIEŃ i JUSZKIEWICZ chcieli być generałami i wielkimi działaczami, coś tam organizowali, ale nic z tego nie wyszło, gdyż nie chcieli mnie słuchać, a robili tylko to, co im do głowy przyszło. Początkowo nie żyłem z nimi szczególnie dobrze, ale za władzy sowieckiej znajdowali się oni u mnie - jako prześladowani.”

MODZELEWSKI ze szczególnym zainteresowaniem pytał łącznika, jakie chodzą słuchy o jego działalności kontrrewolucyjnej, wyrażając żal z powodu aresztowania OLĘDZKIEGO i BISA.

W rozmowie z naszym źródłem „Marysia” dotyczącej sprawy działalności organizacji MODZELEWSKI powiedział źródłu:

„Nie wiadomo o organizacji niczego, ponieważ z chwilą aresztowania Pawła GANCOWSKIEGO, przywódcy organizacji, działalność ucichła, a STĘPIEŃ uciekł za granicę i żadnych wiadomości o nim nie ma. Jeśliby organizacja kontynuowała swoją działalność, wiedziałbym coś-niecoś o tym; [...]”;⁷⁰ teraz trzeba się modlić i siedzieć cicho.”

Aresztowana aktywna uczestniczka kontrrewolucyjnej organizacji powstańczej „Batalion Śmierci”, Agnieszka Józefowna MAZURÓWNA podczas przesłuchania 12 maja br. zeznała:

„Ks. Roch MODZELEWSKI jest aktywnym uczestnikiem kontrrewolucyjnej organizacji powstańczej „Batalion Śmierci”, ukrywał u siebie w mieszkaniu przywódców tej organizacji: STĘPNIA i in.; za pośrednictwem kościoła zbierał od mieszkańców pieniądze dla finansowania organizacji powstańczej.

⁷⁰ Fragment opuszczony, gdyż tekst rosyjski nie jest jasny.

Miał bezpośredni związek ze sztabem organizacji powstańczej w Warszawie, skąd do niego niejednokrotnie przybywali oficerowie byłej armii polskiej, znajdujący się we władzach tego sztabu.

Podczas jednego ze spotkań zimą 1940 roku z ks. MODZELEWSKIM, ten ostatni mi mówił o tym, że kilka dni temu u niego gościło dwóch ludzi z Warszawy, jakoby przedstawicieli innej organizacji. Pokazał mi tekst przysięgi, którą oni mu zostawili, i powiedział, że organizacja ta jest zapewne lepsza od organizacji STĘPNIA, gdyż można naocznie zobaczyć, że przysięga zaczyna się od imienia Boga.⁷¹

Po szeregu przeprowadzonych aresztowań uczestników organizacji powstańczej we wsi Piekuty, żony aresztowanych zaczęły grozić ks. MODZELEWSKIEMU, że ponieważ jest on organizatorem organizacji powstańczej i z jego winy uwięziono ich mężów, więc one na niego doniosą do NKGB; to skłoniło MODZELEWSKIEGO do ukrycia się poza wsią Piekuty.

Na podstawie podjętych działań operacyjnych ustalono, że MODZELEWSKI obecnie przebywa we wsi Waniewo, w Obwodzie Łapskim, przygotowując się do nielegalnej ucieczki za granicę. Aby udaremnić dokonanie możliwej ucieczki MODZELEWSKIEGO za granicę, wysłaliśmy grupę operacyjną dla niezapowiedzianego (негласного) aresztowania MODZELEWSKIEGO.

Naczelnik UNKGB Rejonu Białostockiego, major bezpieczeństwa państwowego – BIELCZENKO.

Naczelnik SPO UNKGB Rejonu Białostockiego, starszy lejtnant bezpieczeństwa państwowego – KACEW.

[Protokół sporządził:] Łoparewicz.

13 maja 1941 roku.

Nr 2/1780.

Miasto Białystok.

W związku z powyższym stwierdzam, że ks. Roch Modzelewski przybył w maju 1941 roku do Piekut z Waniewa i udaliśmy się wozem konnym w Święto Wniebowstąpienia Pańskiego ze mszą do Hodyszewa, o czym obaj kapelani donieśli do NKWD w Brańsku. Proboszczem w Hodyszewie był ks. Marcejan Dąbrowski. Po mszy św. ks. Modzelewski przebrał się w ubranie kobiece, bo uprzedzono nas, że NKWD jest w Hodyszewie. Przebrany tak ks. Modzelewski ukrył się w piwnicy na plebanii, a ja zostałem z ks. Dąbrowskim w kuchni. Weszli enkawu-

⁷¹ W oryginale – małą literą („boga”).

dziści i zapytali nas, gdzie jest ks. Roch Modzelewski. Ks. Dąbrowski odpowiedział, że wyszedł i nie ma go tu, a gdzie wyszedł – nie wie. Oni na to: „Poszukamy go!”, a do mnie powiedzieli: „Chodź z nami!” Obeszliśmy razem wszystkie pokoje, a na końcu poszliśmy do piwnicy, gdzie ukrył się za drzwiami ks. Modzelewski w pozycji siedzącej. Żandarmi rozpoznali go, oświadczyli: „Ksiądz jest aresztowany” – i polecili mu iść przed sobą do samochodu. Przy samochodzie pozwolili księdzu przebrać się w sutannę, którą mu przyniosłem z plebanii; następnie kazali mu zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Zgodzili się na to, żebym pożegnał się z księdzem i kazali mi iść na plebanie. Samochód odjechał do Białegostoku, a my na plebanii popłakaliśmy się, ja zaś poczułem się opuszczoną sierotą.

Dnia 22 czerwca wybuchła wojna sowiecko-niemiecka, poprzedzona wywózką naszej inteligencji na Syberię.

W Białymstoku ludzie otworzyli więzienie i więźniowie wyszli na wolność. Jak inni więźniowie z parafii piekuckiej, ks. Modzelewski razem z p. Wyszyńskim z Piekut pieszo skierowali się do Piekut. Na moście na Narwi koło Strabli stali jeszcze dwaj żołnierze sowieccy: chyba nie wiedzieli o wybuchu wojny. Mieli broń. Wyszyński rzucił się na jednego z żołnierzy, by mu odebrać broń, ale ten strzelił w stronę Wyszyńskiego i zabił go. Do ks. Modzelewskiego nie strzelali i doszedł on pieszo do Tykocina, gdzie się zatrzymał. Do Piekut nie chciał wracać, tak bardzo był rozżalony na parafian i na dwóch księży- kapelanów za doznane przykrości od tych, którym przecież uczynił tyle dobra. Spotkałem się w klasztorze w Tykocinie z ks. Modzelewskim; w rozmowie ze mną wyraził głęboki żal do dawnych swoich parafian i dodał: „Przebaczam im!”.

W roku 1944 ks. Modzelewski został mianowany proboszczem parafii Rosochate i był nim do roku 1950. W latach 1946-1949 odbudował tam kościół pod wezwaniem św. Doroty. Stary kościół z 1546 roku Niemcy spalili w 1944 roku.

Ks. Modzelewski zmarł 8 lipca 1961 roku i został pochowany na cmentarzu w Rosochatem. Budowę pomnika na jego grobie zajął się ks. Falkowski, który był wikariuszem przy ks. Modzelewskim w Piekutach od 1941 do 1943 roku.

Po ks. Modzelewskim pozostał kościół pod wezwaniem św. Doroty w Rosochacie oraz dobre wspomnienie u wielu parafian w Sylwanowcach, w Rajgrodzie, w Bargłowie, w Łysych, w Piekutach i w Rosochacie, gdzie był duszpasterzem.

Niektórzy parafianie z Piekut uważają, że wymordowanie przez Niemców mieszkańców wsi Krasowo-Częstki dnia 17 lipca 1943 roku było karą Bożą za zniewagę, której się dopuścili w 1941 roku wobec ks. Modzelewskiego, którą to karę przepowiedział ks. Modzelewski w 1941 roku – jak opisałem to na początku niniejszych wspomnień.

*In quorum fide*⁷² – ks. Józef Kaczyński

Dnia 25 marca 2001 roku.

⁷² Łac.: Na dowód czego [składał podpis].

27. Anna Jadacka i Bożena Jadacka-Józków

Osobowość Rocha Modzelewskiego

Anna Jadacka:

Ks. Modzelewski wielką wagę przywiązywał do oświaty. Przyjaźnił się z wieloma nauczycielami, a w swoich parafiach wyszukiwał talenty i opłacał ich edukację. Dzięki Niemu zdobył w ten sposób wykształcenie m.in. ks. Stanisław Miklaszewicz z Sylwanowiec i Stefania (niestety nie pamiętam nazwiska) z Piekut – pierwszy w seminarium duchownym, druga w tzw. pedagogium.

U swoich podopiecznych nie tolerował pijaństwa. «Wizytował» potańcówki – i biada, jeśli wśród bawiącej się młodzieży znalazł kogoś choćby podchmielonego.

Nie był człowiekiem zamożnym. Od ludzi biednych nie przyjmował żadnych opłat za posługi religijne, a najubożsi (jako proboszcz wiedział, kto naprawdę potrzebuje wsparcia), po dorocznej kolędzie znajdowali – bywało – pod obrusem pieniądze. Wszystko co miał – zgodnie z Jego wolą – przekazano po śmierci na pokrycie kosztów opieki nad dawną gospożą, Franusią.

Lubił muzykę i znał się na niej. Miał gramofon i sporą kolekcję płyt. Nie stronił od rozrywek w wesołym towarzystwie i sam odznaczał się dużym poczuciem humoru.

Z usposobienia raczej choleryk – nieraz żałował ponieważ swoje gwałtowne reakcje; rolę «odgromnika» odgrywała z powodzeniem matka, której w takich razach zwykle ustępował, zwłaszcza po przedwczesnej śmierci ojca.

Bożena Jadacka-Józków:

W 1957 roku, świeżo po maturze, spotkałam się z Wujem Rochem – na jego prośbę – w saloniku na plebanii w Rajgrodzie, gdzie przyjechał z Tykocina. Miałam wielką treść, ale byłam bardzo ciekawa, jak wygląda dawny opiekun mojej Matki.

Kiedy weszłam do saloniku i przywitaliśmy się, Wuj Roch poprosił mnie, żebym przeszła się po pokoju. Byłam zaskoczona, ale spełniłam jego prośbę. On tym czasem powiedział: „Musisz dbać o to, żeby ładnie chodzić – bo chód zdradza środowisko, z którego się wyszło”. Potem pytał mnie o szkołę i o moje zainteresowania. Ożywił się, gdy powiedziałam, że interesuję się plastyką i muzyką. „To dobrze” – powiedział. „Człowiek kulturalny powinien interesować się sztuką.” Potem mówiliśmy jeszcze o wielu sprawach; rozmowa trwała kilka godzin. Szczegółów już nie umiem dziś odtworzyć. Pamiętam jednak, że zapytał mnie m.in. o to, czy należę do jakichś organizacji młodzieżowych. Ucieszył się, kiedy odpowiedziałam, że – nie.

Na koniec rozmowy zapytał mnie, czy Rodzice mówili mi o nim coś złego. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą: „Nigdy nie usłyszałam złego słowa o Wujku”. Wtedy Wuj wyraził żal, że rozstał się z moją Matką. Powiedział: „Byłem przeciwny Jej małżeństwu z Twoim przyszłym Ojcem, choć ją kochałem, a jego ceniłem – ale... osobno.

Utkwiły mi w pamięci jego ostatnie słowa: „Pamiętaj, Bożenko, o swoim pochodzeniu! Cokolwiek się wydarzy, nie wolno Ci wyrzec się polskości!”

Kiedy już pożegnałam się i wychodziłam z saloniku dodał cicho: „Jakże Ty jesteś podobna do Hanulki!”.

28. Jacek Jadacki

Curriculum vitae Rocha Modzelewskiego

1883 – 15 sierpnia urodził się w Modzelach Starych jako syn Piotra i Aleksandry z Modzelewskich.

1892-1896 – uczył się w czteroklasowej szkole powszechnej w Łomży.

1896-1903 – uczył się w siedmioklasowym gimnazjum w Łomży.⁷³

1903-1906 – uczył się w Seminarium Duchownym w Sejnach.

1906-1909 – był wikariuszem w Sylwanowcach.⁷⁴

1909⁷⁵ – 22 marca otrzymał święcenia kapłańskie.

1909-1912 – był wikariuszem w Sokołach.

1912-1915 – był wikariuszem w Rajgrodzie, a następnie (krótko) w Becejlach.

1915-1918 – był administratorem, a następnie proboszczem w Bargłowie.

1916 – w końcu lutego założył (używając ps. „Robak”) z Janem Wielgatem (ps. „Lot”) z Brzozówki pierwszą sekcję Polskiej Organizacji Wojskowej; należało do niej 12 młodych mężczyzn; 13 czerwca 1917 złożyli oni przysięgę przed komendantem okręgu.

1917 – w styczniu POW zlikwidowała dowódcę żandarmerii i konfidentkę; Niemcy wtedy zarządzili, aby wszyscy mężczyźni w wieku od 17 do 25 lat meldowali się władzom w pierwszą niedzielę każdego miesiąca – zarządzenie to zostało jednak (za namową ks. Modzelewskiego) zbojkotowane.

1917 – 21 stycznia podczas nabożeństwa, celebrowanego przez ks. Modzelewskiego, Niemcy otoczyli kościół, aby aresztować znajdującą się w nim młodzież męską; ks. Modzelewski nie wpuścił ich jednak do kościoła.

⁷³ W wykazie absolwentów Gimnazjum Męskiego w Łomży nie ma nazwiska Rocha Modzelewskiego.

⁷⁴ Informacja niepewna. Według innych źródeł był w Sylwanowcach w tym okresie proboszczem i odnowił plebanię, postawił zabudowania gospodarcze i zakupił figurę Chrystusa do wielkanocnego Grobu Pańskiego.

⁷⁵ Według niektórych źródeł: 1908.

1917 – w listopadzie został przez Niemców aresztowany i internowany w Raczkach; po rozprawie sądowej w Augustowie został osadzony najpierw w więzieniu w Margrabowej (obecnie: Olecko) w ówczesnych Prusach Wschodnich, a potem w obozie w Hawelbergu, gdzie poznał wielu znanych oficerów Legionów Polskich.

1918 – w listopadzie został – w następstwie rewolucji w Niemczech – uwolniony i powrócił do Polski.

1919 – 1 stycznia ochotniczo zgłosił się do 1 Pułku Strzelców Suwalskich (przemianowanego później na 41 Suwalski Pułk Piechoty), w którym został kapelanem; brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

1920 – przebywał wraz ze swoim pułkiem w Witebsku; po zwycięstwie nad bolszewikami został zwolniony z wojska w stopniu kapitana⁷⁶ i przeniesiony do rezerwy;

1921 – został odznaczony Krzyżem Walecznych.

1920-1926 – był proboszczem w Sylwanowcach koło Grodna.

1926-1930 – był proboszczem w Łysych (parafię objął przed 30 października 1927); dbał tam o zachowanie miejscowych odrębności; doprowadził m.in. do tego, że młode pary zawierały ślub kościelny ubrane w tradycyjny strój kurpiowski; corocznie 16 sierpnia budowano mu – zgodnie z miejscowym zwyczajem – przetykane polnymi kwiatami i ziołami «bramy triumfalne» z życzeniami imieninowymi.

1930-1944 – był proboszczem w Piekutach Nowych.

1931-1939 – uczył religii w szkole piekuckiej.

1933 – został odznaczony Medalem Niepodległości (*Monitor Polski* nr 24).

1935 – podczas mszy św. w Hodyszewie (15 sierpnia) i w Piekutach (18 i 24 sierpnia oraz 1 września) – sympatyzując ze Stronnictwem Narodowym – nawoływał wiernych do udziału w przypadających 1 września w Hodyszewie uroczystościach odpustowych, co pośrednio było wezwaniem do bojkotu wyznaczonych na ten dzień wyborów.

1936 – potępił antyżydowską akcję bojkotową; część mieszkańców Piekut wystąpiła w związku z tym (skądinąd bezskutecznie) do ks. Stanisława Kostki Łukomskiego, ówczesnego ordynariusza łomżyńskiego o odwołanie go z parafii piekuckiej.

⁷⁶ Według niektórych źródeł – w stopniu pułkownika.

1937 – rozpoczął budowę w Piekutach szkoły i murowanego kościoła według projektu Feliksa Michalskiego (budowę zakończono dopiero w 1971 roku); dotychczasowy kościół – była to właściwie prowizoryczna kaplica, wybudowana po spłonięciu w 1915 roku drewnianego kościoła parafialnego pw. św. Kazimierza z 1720 roku.

1937 – 16 marca otrzymany przez ks. Modzelewskiego w 1933 roku Medal Niepodległości został przez Prezydenta RP zastąpiony Krzyżem Niepodległości „za pracę w dziele odzyskania niepodległości” (*Monitor Polski* nr 64).

1940 – 15 lutego sowiecka gazeta *Izwestia* donosiła: „Rejon ciechanowiecki zalany jest obrońcami religii. Prowadzą oni agitację wśród ludności przeciwko wyborom w dniu 24 marca, ponieważ w tym dniu jest katolickie święto wielkanocne. W piekuckiej radzie wiejskiej (rejon brański) aktywnie działał miejscowy ksiądz [tj. Roch Modzelewski]. Rozklejał on wezwanie do Polaków, w którym wzywał rodziców, żeby nie wysyłali dzieci do sowieckich szkół.

1940 – 31 marca – jak donosił agent NKWD („Marysia”) – ks. Modzelewski podczas kazania miał powiedzieć: „Z tego świętego miejsca przeklinam wszystkich, którzy ośmielili się w takim czasie tańczyć. Kiedy dobrzy Polacy leją łzy po swoich braciach i bliskich, znajdujących się w niewoli, którzy utracili swoją niezależność i ojczyznę, są wśród nas tacy, który się z tym nie liczą”; według informacji uzyskanych przez NKWD – na tajnym spotkaniu ze Stępnem (ps. „Czarny”), Domrzyńskim i Juskiewiczem (ps. „Olek”?) w Wierzbowiznie ks. Modzelewski został powołany na powiatowego komendanta „Batalionu Śmierci”, oddziału partyzanckiego liczącego kilkudziesięciu członków, dysponujących bronią, granatami i materiałami wybuchowymi.

1941 – po 13 maja NKWD wydało rozkaz „niejawnego” aresztowania ks. Modzelewskiego; został on osadzony w więzieniu w Białymstoku.

1941 – 22 czerwca – po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej i otwarciu więzienia przez ludność – odzyskał wolność; po powrocie do Piekut mieszkał w prywatnych domach parafian, gdyż Niemcy zajęli plebanię na potrzeby swojej żandarmerii.

1941-1943 – udzielał schronienia i pomocy osobom pochodzenia żydowskiego, które przybyły do Piekut z Białegostoku; na liście ura-

towanych przy jego udziale osób znalazły się m.in.: Maria Bardzińska z d. Jurczak („Kasia”), Marianna Jurczak (konwertytka na katolicyzm) i jej dzieci, Anna Klemensowicz, Zofia Moćko z córką, oraz Szejna Kamieniecka (lekarka z Brańska); za jego wiedzą wikariusz Stanisław Falkowski opiekował się czternastoletnim chłopcem żydowskim, Ariem Fajwiszycem, który uciekł z transportu do obozu w Treblince; wójt piekucki, Stanisław Olędzki, wydał mu dokumenty na nazwisko Józefa Kutrzeby, dzięki którym chłopiec mógł wyjechać na roboty do III Rzeszy, co uratowało mu życie.

1943 – ks. Modzelewski został przez Komendę Główną AK odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami – jako kapelan 33 Pułku Piechoty AK (gdzie używał pseudonimu „Zagłoba”).

1943 – 18 lipca, po pacyfikacji Krasowa-Częstek, która miała miejsce 11 lipca, ks. Modzelewski ogłosił tygodniową żałobę; na środku kościoła ustawiony został katafalk i codziennie odprawiana była msza w intencji ofiar pacyfikacji; za katafalkiem stali nieliczni mieszkańcy Krasowa-Częstek, którzy ocaleli; niedługo potem ks. Modzelewski został znowu aresztowany – tym razem przez okupantów niemieckich.

1945-1950 – był proboszczem w parafii Rosochate; odbudował tu – pod kierunkiem Piotra Kosińskiego – spalony w 1944 roku późnogotycki (pochodzący z 1546 roku) kościół pw. św. Doroty.

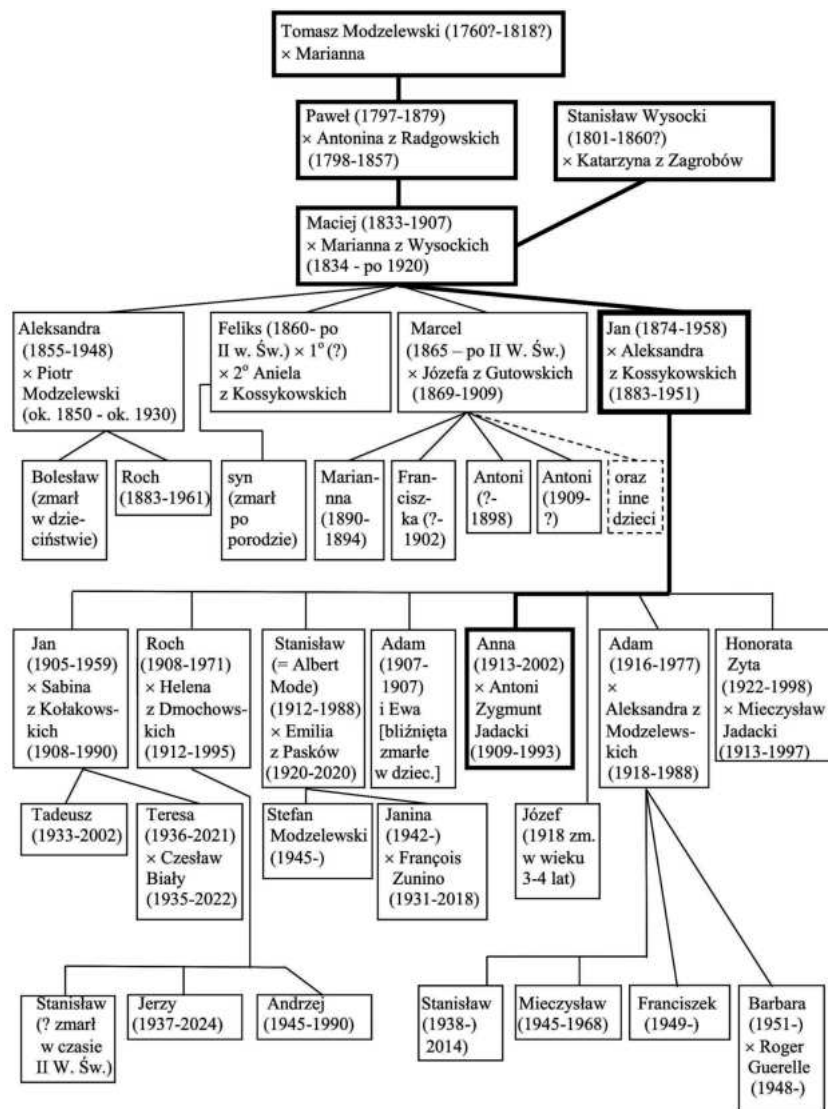
1951-1957 – był proboszczem w Kałowie koło Łodzi.

1957 – po przejściu na emeryturę zamieszkał w klasztorze w Tykocinie; stamtąd przyjechał do Rajgrodu i spotkał się z córką Anny i Antoniego Jadackiego – Bożeną. .

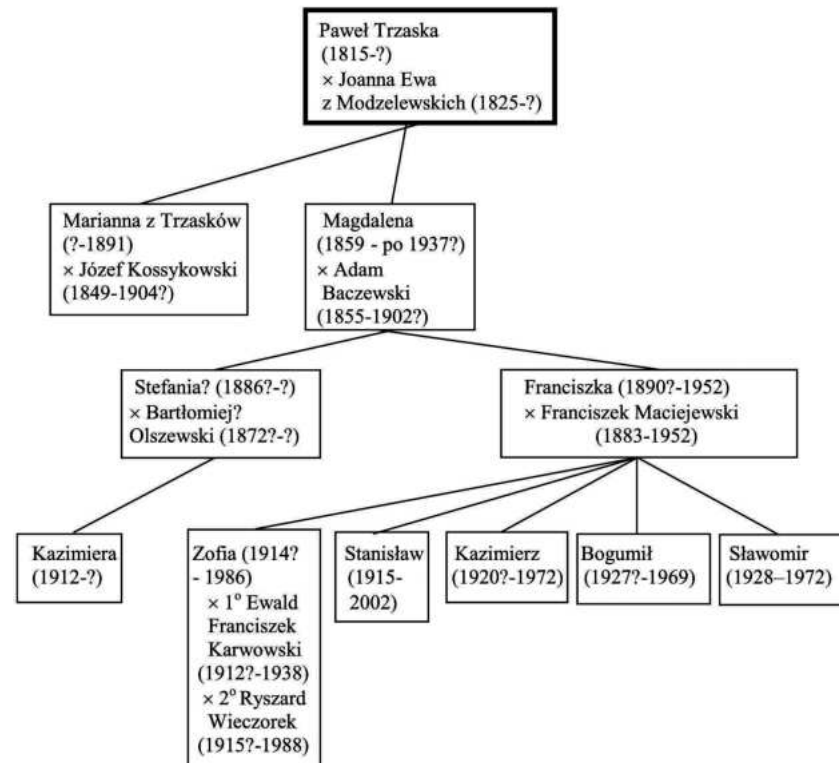
1961 – 18 lipca zmarł w Tykocinie.

CZĘŚĆ IV. DRZEWA RODOWE

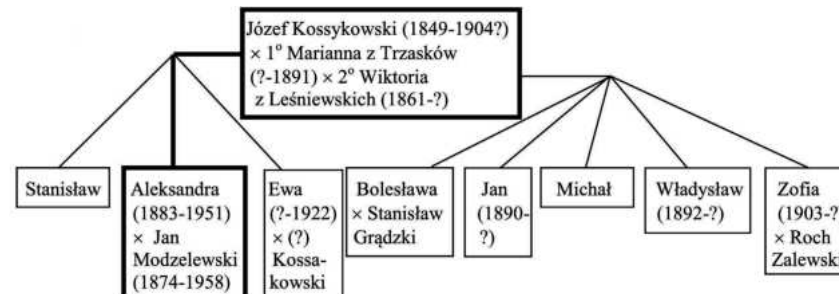
CZEŚĆ IV. DRZEWA RODOWE



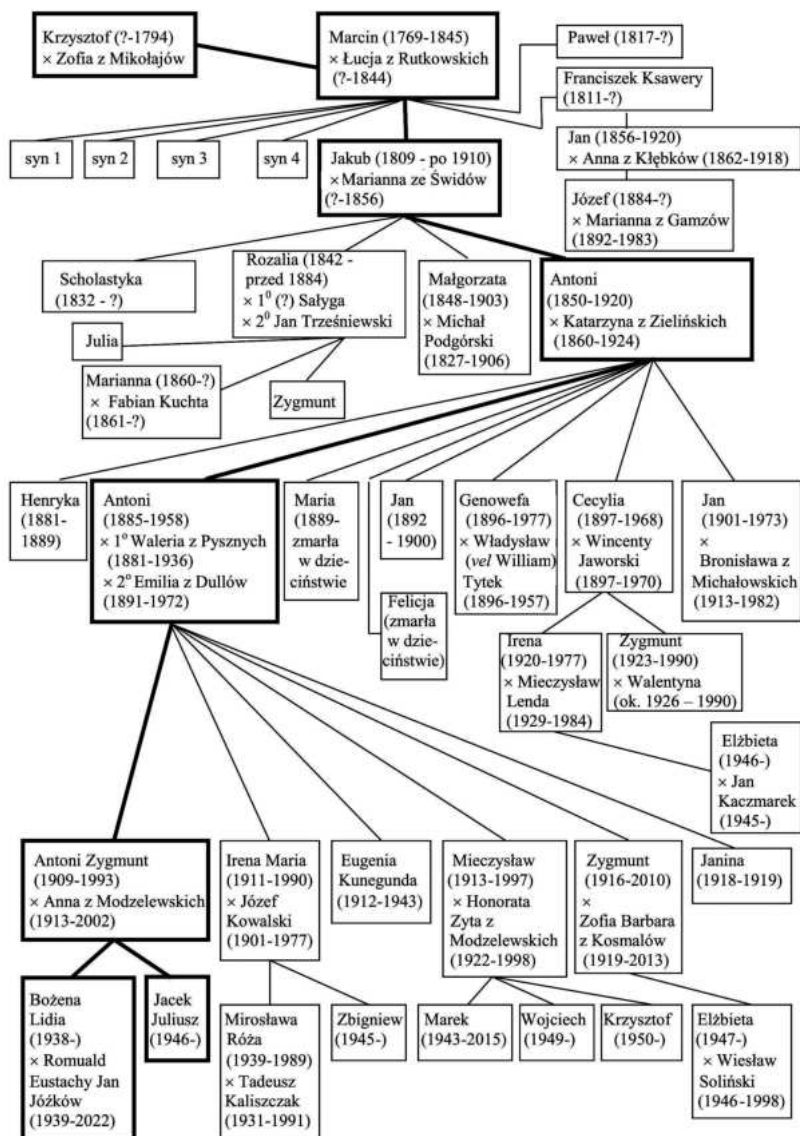
B. Drzewo rodowe Trzasków



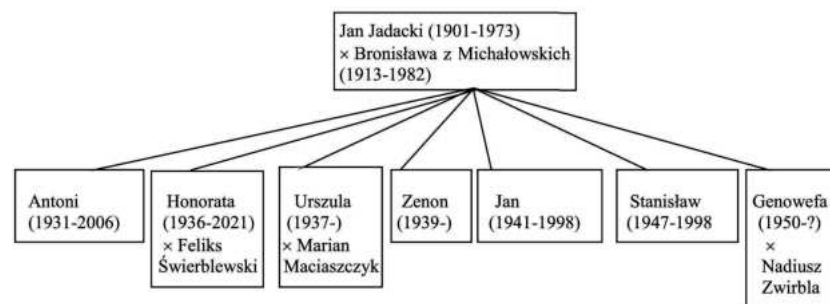
C. Drzewo rodowe Kossykowskich



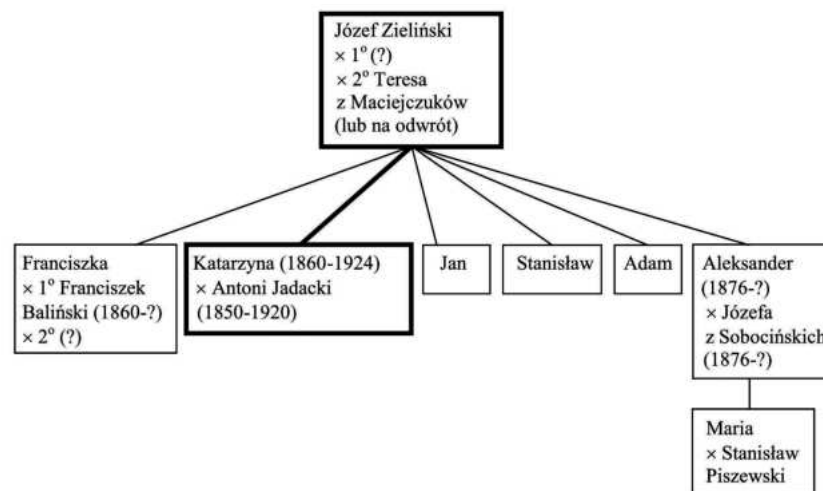
D. Drzewo rodowe Jadackich (1)



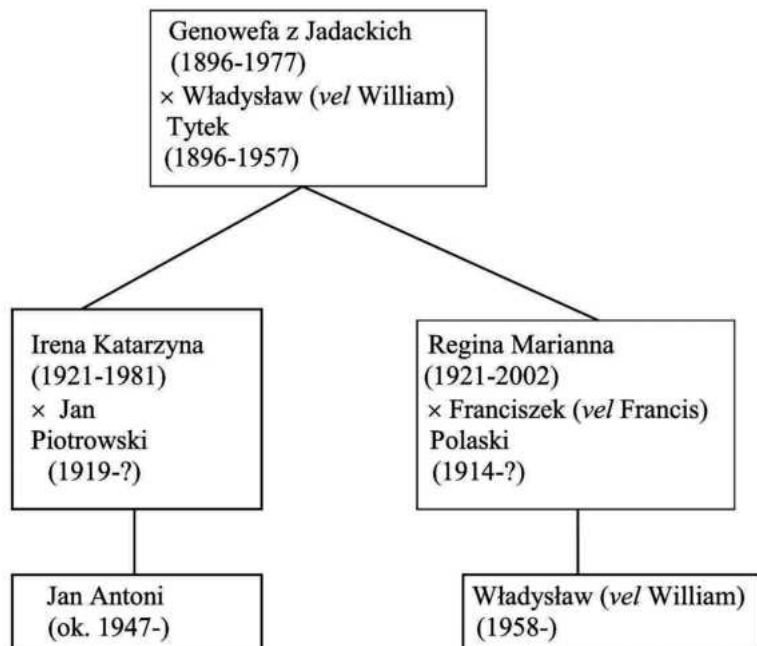
E. Drzewo rodowe Jadackich (2) (potomkowie Jana, syna Antoniego (sen.))



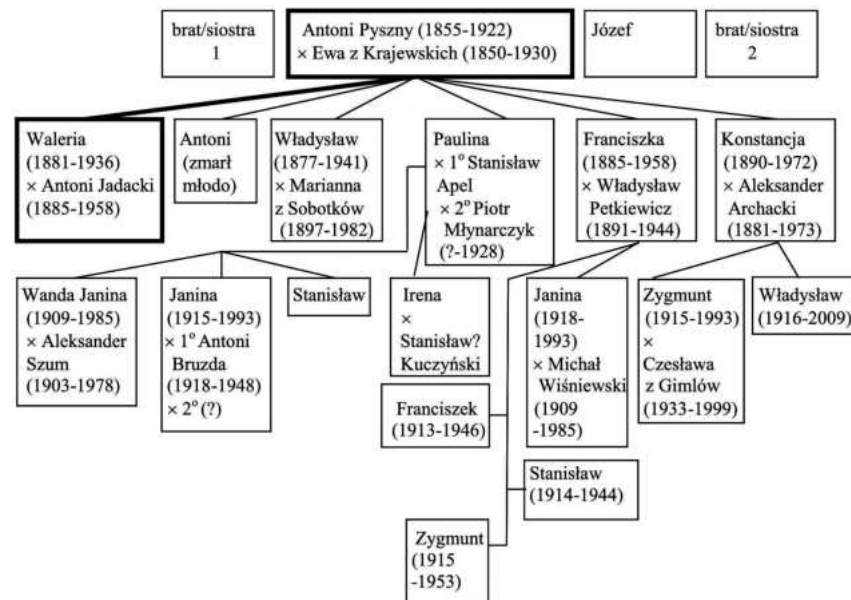
F. Drzewo rodowe Zielińskich



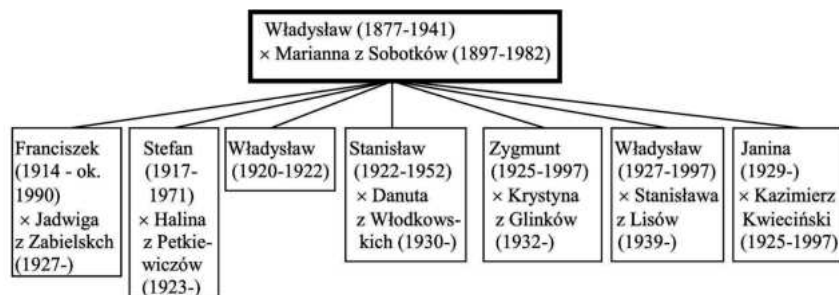
G. Drzewo rodowe Tytków



H. Drzewo rodowe Pysznych (1)



I. Drzewo rodowe Pysznych (2) **(potomkowie Władysława, syna Antoniego)**



ZDJĘCIA

A. JAN I ALEKSANDRA MODZELEWSCY I ICH PRZODKOWIE



A-01. Maciej Modzelewski,
ojciec Jana.



A-02. Marianna Modzelewska,
żona Macieja.



A-03. Jan Modzelewski,
syn Macieja.



A-04. Aleksandra,
żona Jana.



B. POTOMKOWIE JANA I ALEKSANDRY MODZELEWSKICH (poza Anną i Honoratą Jadackimi)



B-01. Jan
Modzelewski
(jun.).



B-02. Sabina
Modzelewska,
żona Jana.



B-03. Roch
Modzelewski.



B-04. Helena
Modzelewska
żona Rocha.



B-05.
Stanisław
Modzelewski.



B-06. Emilia
Modzelewska,
żona Stanisława.



B-07. Adam
Modzelewski.



B-08. Aleksandra
Modzelewska,
żona Adama.



B-09. Stanisław Modzelewski (we Francji).



DZIECI JANA (JUN.) MODZELEWSKIEGO



B-10. Tadeusz
Modzelewski.



B-11. Teresa
Biała.



B-12. Czesław Biały,
mąż Teresy.

DZIECI ROCHA MODZELEWSKIEGO



B-13. Stanisław
Modzelewski.



B-14. Jerzy
Modzelewski.



B-15. Andrzej
Modzelewski.

DZIECI STANISŁAWA MODZELEWSKIEGO



B-16. Stefan
Modzelewski.



B-17. Janina
Zunino.



B-18. François Zunino,
mąż Janiny.

DZIECI ADAMA MODZELEWSKIEGO



B-19.
Stanisław
Modzelewski.



B-20.
Mieczysław
Modzelewski.



B-21.
Franciszek
Modzelewski.



B-22. Barbara
Guerelle.



B-23. Roger
Guerelle,
mąż Barbary.

C. KS. ROCH MODZELEWSKI

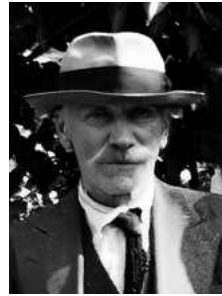


C-01. Aleksandra Modzelewska
żona Piotra.



C-02. Ks. Roch Modzelewski,
syn Piotra.

D. ANTONI (SEN.) I WALERIA JADACCY



D-01. Antoni (sen.) Jadacki.



D-02. Waleria Jadacka, żona Antoniego (sen.).

RODZEŃSTWO ANTONIEGO (SEN.) JADACKIEGO



D-03.
Genowefa
Tytek.



D-04. Władysław
Tytek,
mąż Genowefy.



D-05. Cecylia
Jaworska.



D-06. Wincenty
Jaworski,
mąż Cecylii.



D-07. Jan (sen.) Jadacki.



D-08. Bronisława Jadacka,
żona Jana.

E. ANTONI (JUN.) I ANNA JADACCY



E-01. Antoni (jun.) Jadacki.



B-10. Tadeusz
Modzelewski.



B-11. Teresa
Biała.

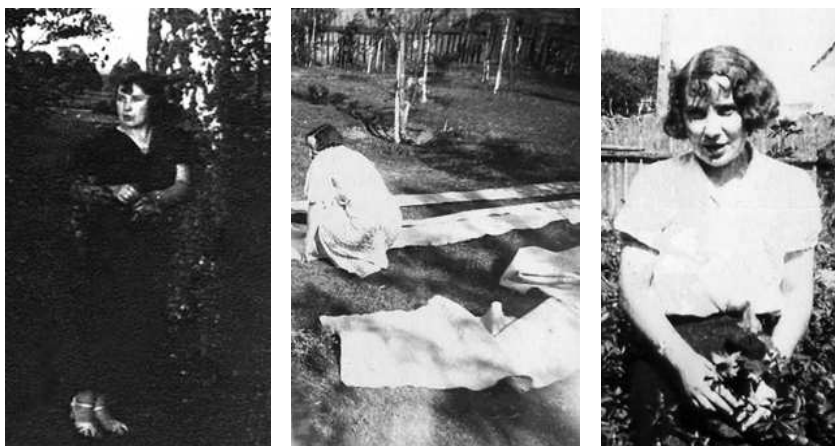


B-12. Czesław Białý,
mąż Teresy.





E-05. Anna Jadacka, żona Antoniego (jun.).



E-06. W Modzelach.



E-07. W Melgwi.



EE-08. Na melgiewskim cmentarzu przykościelnym.



E-09. Na łąkach melgiewskich (1943).



E-10. W stawie mełgiewskim.



EE-11. W Mełgwi – z psem Finkiem.



E-12. W Mełgwi.



E-13. W Puchaczowie.



E-14. W Rajgrodzie.



E-15. W Augustowie (1958).



E-16. W Rosochatem.



E-17. W Wygodzie – z psem Zbójem (1988).



E-18. W Warszawie.

F. INNI POTOMKOWIE ANTONIEGO (SEN.) JADACKIEGO



F-01. Irena Jadacka.



F-02. Eugenia Jadacka.





F-03. Kaplica w Krasowie-Częstkach poświęcona pacyfikacji, podczas której Niemcy zamordowali m.in. Eugenię Jadacką.



F-04. Mieczysław Jadacki.



F-05. Honorata Jadacka, żona Mieczysława.



F-06. Honorata i Mieczysław Jadaccy (zdjęcie ślubne).



F-07. Honorata Jadacka w Modzelach.



F-08. Zygmunt
Jadacki.



F-09. Zofia Jadacka,
żona Zygmunta.

DZIECI IRENY JADACKIEJ



F-10. Mirosława
Kaliszczak.



F-11. Tadeusz Kaliszczak,
mąż Mirosławy.



F-12. Zbigniew
Jadacki.

DZIECI MIECZYŚŁAWA JADACKIEGO



F-13. Marek Jadacki.



F-14. Wojciech Jadacki.



F-15. Krzysztof Jadacki.

CÓRKA ZYGMUNTA JADACKIEGO



F-16. Elżbieta Solińska.



F-17. Wiesław Soliński,
mąż Elżbiety.



G-01. Irena
Katarzyna
Piotrowska.



G-02. Jan
Piotrowski,
mąż Ireny.



G-03. Regina
Marianna
Polaska.



G-04. Franciszek
Polaski,
mąż Reginy

SYN IRENY PIOTROWSKIEJ

SYN REGINY POLASKIEJ



G-05. Jan Antoni Piotrowski.



G-06. Władysław Polaski.



G-07. Stoją od lewej: Regina, Irena, Genowefa i Władysław Tytkowie.

H. POTOMKOWIE CECYLII JAWORSKIEJ



H-01. Irena
Lenda.



H-02. Mieczysław
Lenda,
mąż Ireny.



H-03. Zygmunt
Jaworski,
brat Ireny.



H-04. Walentyna,
żona Zygmunta.

CÓRKA IRENY LENDY



H-05. Elżbieta
Kaczmarek.



H-06. Jan Kaczmarek,
mąż Elżbiety.



I-01. Antoni
Jadacki.



I-02. Honorata
Świerblewska,
żona Feliksa.



I-03. Feliks
Świerblewski.



I-04. Urszula
Maciaszczyk.



I-05. Zenon
Jadacki.



I-06. Jan
(jun.)
Jadacki.



I-07. Stanisław
Jadacki.



I-08. Genowefa
Zwirbła.



I-09. Nadiusz
Zwirbła,
mąż Genowefy.

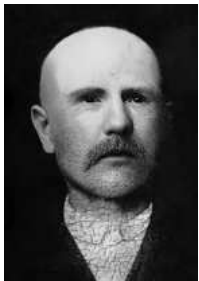


I-10. Strzelce Krajeńskie.
Od lewej: Antoni (sen., brat Jana (sen.)), Urszula, Bronisława,
Stanisław (na ręku Bronisławy), Jan (jun.), Jan (senior), Antoni,
Honorata i Zenon. Brak Genowefy (najmłodszej).



I-11. Strzelce Krajeńskie.
Stoją od lewej: Bronisława, Antoni (sen., brat Jana (sen.)), Antoni (syn Jana),
Miroslawa, Jan (sen.) i Irena Jadaccy.

J. POTOMKOWIE ANTONIEGO PYSZNEGO
(poza Walerią Jadacką)



J-01. Władysław Pyszny.



J-02. Marianna Pyszna,
żona Władysława.



J-03. Franciszek Młynarczyk,
II mąż Pauliny,
1^o voto Apel.



J-04. Franciszka Petkiewicz.



J-05. Konstancja Archacka.

SYN WŁADYSŁAWA PYSZNEGO



J-06. Franciszek Pyszny.

CÓRKA PAULINY APEL



J-07. Wanda Szum.



J-08. Aleksander Szum,
mąż Wandy.

CÓRKA FRANCISZKI PETKIEWICZ



J-09. Janina Wiśniewska.

DZIECI KONSTANCJI ARCHACKIEJ



J-10. Zygmunt Archacki.



J-11. Władysław Archacki.

K. POTOMKOWIE MAGDALENY BACZEWSKIEJ



K-01. Magdalena Baczewska.

CÓRKI MAGDALENY BACZEWSKIEJ



K-02. Stefania Olszewska.



K-03. Franciszka Maciejewska.



K-04. Franciszek Maciejewski, mąż Franciszki.



K-05. Akt urodzenia Franciszka Maciejewskiego.

CÓRKA STEFANII OLSZEWSKIEJ



K-06. Kazimiera Olszewska.

DZIECI FRANCISZKI MACIEJEWSKIEJ



K-07. Zofia Wieczorek.



K-08. Ewald Karwowski, I mąż Zofii.



K-09. Stanisław Maciejewski.



K-10. Kazimierz Maciejewski.



K-11. Sławomir Maciejewski.



K-12. Nekrolog Ewolda Franciszka Karwowskiego
(Kurier Warszawski 4 r. CXVIII nr 233).



K-13. Warszawa. Maciejewscy – od lewej: Stanisław (1) Maciejewski, koleżanka dzieci (2), Zofia Maciejewska (3), Magdalena Baczevska (4) i Kazimierz Maciejewski (5).



K-14. Grób Maciejewskich na Bródnie.



K-15. Tablice na grobie Maciejewskich.

L. ZDJĘCIA RODZINNE (MIESZANE)



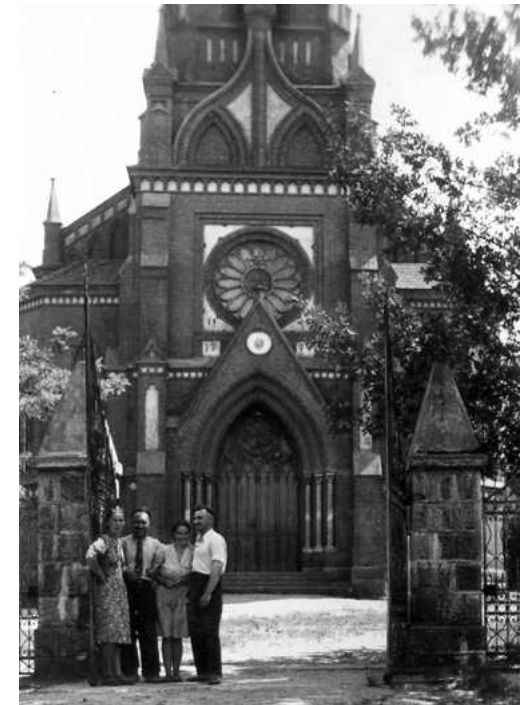
L-01. Warszawa. Od lewej: Kazimiera Olszewska (1), Ewald Karwowski (4), Zofia Maciejewska (5), Kazimierz Maciejewski (6) i Magdalena Baczewska, babka Zofii (10).



L-02. Strzelce Krajeńskie. Od lewej bracia: Jan i Antoni (senior) Jadaccy.



L-03. Od lewej: Irena i Eugenia Jadackie oraz Franciszek Pyszny.



L-04. Czarnia. Od lewej: Honorata, Antoni, Zofia i Zygmunt Jadaccy.



L-05. Rajgród. Od lewej: Anna, Antoni (sen.) i Antoni (jun.) Jadaccy.



L-06. Rajgród. Od lewej: Bożena, Jacek i Antoni (sen.) Jadaccy.



L-07. Rajgród. Od lewej: Jacek i Antoni (sen.) Jadaccy (1953).



L-08. Strzelce Krajeńskie. Od lewej: Antoni (jun.) i Antoni (sen.) Jadaccy



L-09. Strzelce Krajeńskie. Bożena i Antoni (sen.) Jadacki (1952).



L-10. Zygmunt Jadacki (stoi po prawej) na przyjęciu towarzyskim.



L-11. Mełgiew. Od lewej: Anna i Antoni (sen.) Jadaccy.



L-12. Mełgiew. Od lewej: Anna i Honorata Jadackie.



L-13. Mełgiew. Od lewej: Bożena, Marek, Honorata i Anna Jadaccy.



L-14. Mełgiew. Od lewej: Bożena i Mieczysław Jadaccy.



L-15. Mełgiew. Stoją od lewej: Honorata, Mieczysław, Bożena i Anna Jadaccy.



L-16. Mełgiew. Od lewej: Honorata, Mieczysław, Bożena, Antoni (jun.) i Anna Jadaccy.



L-17. Mełgiew. Od lewej: Anna, Antoni (jun.), Bożena, Mieczysław i Honorata Jadaccy.



L-18. Mełgiew. Od lewej: Bożena i Honorata Jadackie.



L-19. Mełgiew. Od lewej: Honorata, Bożena, Mieczysław i Zygmunt Jadaccy.



L-20. Mełgiew. Od lewej: Honorata, Mieczysław, Anna i Bożena Jadackie.



L-21. Przy pompie mełgiewskiej. Od lewej: Anna, Bożena, Honorata, Mieczysław i Genowefa Jadaccy.



L-22. Mełgiew. Od lewej: Mieczysław, Anna i Antoni Jadaccy.



L-23. Mełgiew. Od lewej: Anna, Mieczysław i Honorata Jadaccy.



L-24. Mełgiew. Od lewej: Mieczysław, Zygmunt, Bożena i Honorata Jadaccy (przed sklepem *Spółem*).



L-25. Modzele Stare. Od lewej: Anna i Antoni Jadaccy.



L-26. Modzele Stare. Od lewej: Anna Jadacka, Jerzy Modzelewski i Honorata Jadacka.



L-27. Modzele Stare (1946). Od lewej: Roch, Helena, Andrzej, Jerzy, Honorata, Marek, Mieczysław, Aleksandra (żona Adama), Stanisław i Teresa.



L-28. Mełgiew. Siedzą od lewej: Zygmunt, Antoni (sen.) i Irena Jadaccy. W oknie: Eugenia Jadacka.



L-29. Puchaczów. Od lewej Bożena Jadacka, Aleksandra Modzelewska, Anna Jadacka (w ciąży z Jackiem) i Honorata Jadacka



L-30. Rajgród.
(1) Od lewej: Jan Bogudziński, Anna Jadacka i Władysław Archacki.



L-31. Rajgród.
Od lewej: Konstancja i Władysław Archaccy.



L-32. Rajgród. Od lewej: Konstancja Archacka, Bożena i Anna Jadackie oraz Genowefa Olender.



L-33. U wejścia do kościoła w Mełgwi stoją od lewej: Irena, Bożena, Mirosława i Anna Jadackie.



L-34. Rajgród. Od lewej:
Bożena, Jacek i
Antoni (sen.) Jadacki.



L-35. Sea Cliff (1975).
Genowefa Tytek i Jacek Jadacki.



L-36. Jeziorko. Od lewej: siedzą Emilia
i Stanisław Modzelewscy;
stoją Anna i Honorata Jadackie.



L-37. Jeziorko. Od lewej stoją:
Mieczysław i Honorata Jadaccy,
Emilia Modzelewska, Anna i
Antoni Jadacki; siedzą w kucki:
Krzysztof Jadacki i
Tadeusz Modzelewski.



L-38. Jeziorko. Siedzą od lewej: Honorata Jadacka, Stanisław Modzelewski i
Anna Modzelewska. Stoją od lewej: Mieczysław Jadacki,
Tadeusz Modzelewski, Krzysztof i Antoni Jadaccy.

L. LOSY JANA I ALEKSANDRY MODZELEWSKICH



Ł-01. Pieczęć księcia Janusza I Mazowieckiego z 1376 roku – dobrodzieja rodu Modzelewskich.



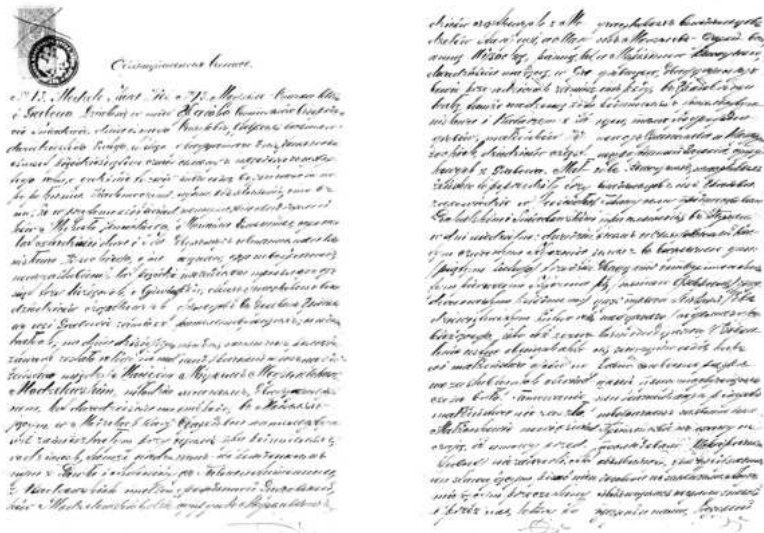
Ł-02. Dyplom szlachecki Modzelewskich z 1848 roku.



Ł-03. Wypis aktu chrztu Pawła Modzelewskiego, dokonanego w 1793 roku (1897).



Ł-04. Wypis akt chrztu Macieja Modzelewskiego, dokonanego w 1833 roku (1897).



Ł-05. Wypis aktu ślubu Marianny i Macieja Modzelewskich, dokonanego w 1854 roku (1897).



Ł-06. Stary kościół w Puchalach (stan z okresu międzywojennego).



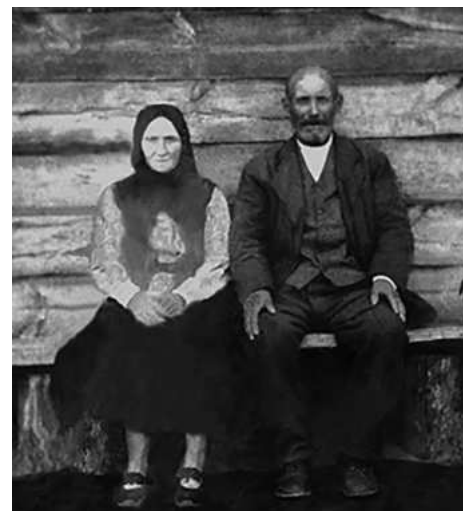
Ł-07. Modzelewianka na tle Modzelskiej Bieli (2024).



Ł-08. Modzelski Las („Modzelak”) widziany z Wygody (2024).



Ł-09. Nieistniejący dom Aleksandry i Jana Modzelewskich w Modzelach Starych od ulicy i od podwórka. Krzewy złotego deszczu od ulicy zasadzone były jeszcze w XIX wieku przez pradziadka Macieja.
Rys. Bożena Jadačka-Józków (2024).



Ł-10. Aleksandra i Jan Modzelewscy na ławce przy szczycie domu w Modzelach Starych.



Ł-11. Aleksandra Modzelewska
w trumnie.



Ł-12. Jan Modzelewski
w trumnie.



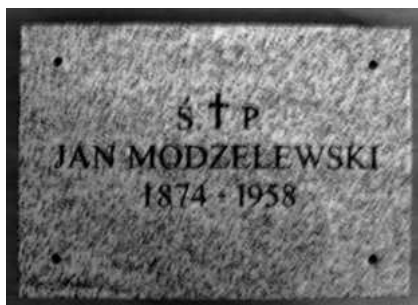
Ł-13. Nad trumną Aleksandry Modzelewskiej.
Klęczą od lewej: Tadeusz Modzelewski (2), Adam Modzelewski (3),
Anna Modzelewska (6), Jan Modzelewski (7), Sabina Modzelewska (8),
Teresa Modzelewska (9), Honorata Jadacka (10), Roch Modzelewski (13).
Stoi od prawej: Mieczysław Jadacki (3).



Ł-14. Nad trumną Jana Modzelewskiego.
Klęczą od lewej: Sabina Modzelewska (1), Anna Jadacka (2),
Andrzej Modzelewski (3), Adam Modzelewski (4), Honorata Jadacka (5).
Stoją od lewej: Roch Modzelewski (4); stoją od prawej:
Tadeusz Modzelewski (1), Mieczysław Jadacki (2) i
Marek Modzelewski (3).



Ł-15. Stara brama cmentarna w Puchałach.



Ł-16. Nagrobek Aleksandry i Jana Modzelewskich na Cmentarzu w Puchałach: przed wymianą i po wymianie tablic.

M. LOSY KS. ROCHA MODZELEWSKIEGO

W BARGŁOWIE

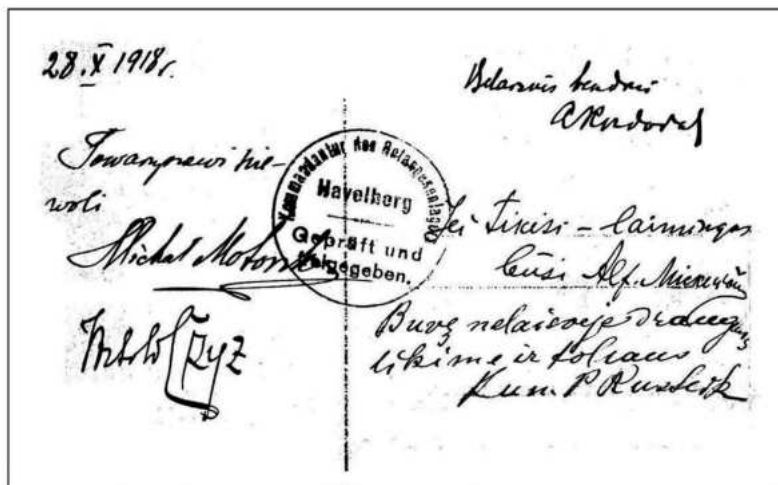


M-01. Nagrobek Stanisława Strzałki w Grajewie.

W HAVELBERGU



M-02. Ks. Roch Modzelewski (2 od prawej) w niemieckim obozie jenieckim.



M-03. Ks. Roch Modzelewski (1 od prawej) w niemieckim obozie jenieckim (28.10.1918).

W SUWAŁKACH



M-04. Ks. Roch Modzelewski (1 od lewej) podczas powitania 41 Suwałskiego Pułku Piechoty przez Józefa Piłsudskiego (24.08.1919).



M-05. Ks. Roch Modzelewski (6 od prawej w 2 rzędzie od dołu) wśród odznaczonych Krzyżem Niepodległości POW-iaków na tle jednego z budynków Koszar Suwałskich (1937).

ŻYCIE I PRACA

Organ informacyjno-społeczny poświęcony sprawom Ziemi Województwa Białostockiego.

[illegible]

Refleksje z Obchodu 10-lecia
41 p. p. w Suwałkach.

Obchód 10-lecia suwalskiego pułku rozpoczął się od uroczystej akademii, która odbyła się 6 maja w wielozadaniowym Centrum Kultury i Sportu w Suwałkach. W programie dnia zostało odprawione w kościele garnizonowym żałobne nabożeństwo za poległych tego pułku, a 8 maja uroczyste nabożeństwo dziękczynne odprawiono w kościele św. Aleksandra przez ks. Biskupa Bandurskiego, który również omówił wygłosił okolicznościowe przemówienie. Po wspaniałej defiladzie wojska odbył się w koszarach obiad żołnierzy wraz z zaproszonymi gośćmi, gdzie wygłoszono wiele toastów.

Na tę uroczystość stawili się z różnych zakątków Rzeczypospolitej prawie wszyscy oficerowie tego pułku, niektórzy z nich już pułkownikami—jak pulk. Oziewicz, pulk. Juszczański i pulk. Wilniewicz; pierwszy dowódca tego pułku jest nawet jenerał— jenerał Mackiewicz; w tejsze uroczystości wzięli udział i pierwsi kapelani Suwalskiego pułku—należeli podpisywać wraz z ks. Gawędzkim.

Mile to było spotkanie po tylu latach rozłąki. Serce się radovalo widząc tych bohaterów, co prowadzili zastępy walecznych żołnierzy na wroga; a jednak wielu z nich brak, bo wiele ofiar pułk kosztowało — drogo opłaciliśmy nasze zwycięstwo... były to chwile prawdziwego heroizmu i poświęcenia.

Z rozzerwieniem wspominam te czasy i oczyma duszy spoglądam na tych dzielnych oficerów i odważnych żołnierzy, jak poszli, jak się rzucili na wraże zastępy, które już walny wścięła dłońa do bram stolicy, jak bohaterko rozzerwali się żelazny pierścienia a na karkach ich pogнали na wschód i zachód, na północ i południe i obwieścili narodowi i światu zapowiedź świętego zwycięstwa. Lida, Wilno, Mińsk, wyprawa na Kijów, Borkowo, walki o naszą stolicę są to przeżycia gwiazdy na błękitnie działają wojskowych suwalskiego pułku.

Bóg błogosławił orężowi polskiemu i ochronił nas od zaguby i zatyraty. Dziś „wolni od haniebnych ubecy przemocy nakazów” jako godni spadkobiercy naszych przajców stanowimy Naród świadomy swej odrębności i praw swoich. Zdolność do orężnego czynu wywołanego przez zadośćuczyniliśmy w blasku zwycięskich szabel i bagietów teraz przysłała kolej dnia odpowiedzi, że nie tylko w głorii sławnych zapasów Naród się odrodził i dawną swą ryćnicą odnalazł powłokę, lecz że istotnie zrzucił ze siebie zaskorupałą powłokę anarchy i wspierany czynną miłością Ojczyzny, mstwio wykazać jest zdolny, w energii czynu dnia podwyższonego.

Jakkolwiek miesiąc krąg Bojów w nas wymierzono i wielu wadom nas wyleczyć szeroko rozwarł nam oczy na bezządz i niedołatę własne i wypalił nam na czołach czerwone piętna smroty i pohabienia, to jednak nie wszystkie pierzchy narowy. Trwa i goruje nad innemi hydra straszliwa, której na imię niezgoda. I kiedyż się wreszcie niezgody tej wyzbędzimy? Póki niezgoda ta rozrywa nas będzie na wroble sobie partje i niecić wada bratnia? Kiedyż się wreszcie upamiętlamy i nauczymy się wyznastać: a narodu dzieł na naród męczył dojranych, wrogi narodził, a wroga nie wystraszony, nie przestawom całego narodu? Kiedyż zaczniemy się uczyć z historii naszej i praktycznie w czyn wciągać dostojne a często bolesne lekcje?

Trafnie ujmuje stan panujących dziś stosunków w Polsce jeden z delegatów sejmiku narodowego w Polsce na pogrzeb Gołacza, pisze on: „szukamy między sobą netylioko wielkiej, silki cudownych ludzi, wyczerpiemy cudownego sposobu, wyeliminujmy sie z rzeszy, niechajmy i kłómy, przegniemy w jakis cyrkowy sposób zwyciężyć parokroć, upajamy się gorzej, niż kiedykolwiek fraszami, projektami, budowaniem na lodzie”, a tymczasem jednego potrzeba: abyśmy do pracy dla dobra Ojczyzny stanęli wszyscy zjedni i te tażna wolność oparli na poznanowaniu praw Bożych i ludzkich i to będzie jako rzeczywisty owoc naszego zwycięstwa, a owoców tego zwycięstwa narodowi niewolno marnować.

Takie to myśli przeauwały mi się żywo w pamięci podczas złoobnego nabożeństwa za poległych suwalskiego pułku, jednocześnie ze czcياً wspominając tych bohaterów, którzy krwią swą ofiarą wraz z innymi bratnimi formacjami wywalczyli nam wolność i niepodległość. Synowie tej ziemi w całej pełni spełnili swój obowiązek i okazali prawdziwy i gorący patriotyzm.

Szczęśliwy jestem, iż jako pierwszy kapelan tego pułku mogłem brać udział w jego krwawych bojach o wolność Ojczyzny i patrzeć na bohaterkie jego czyny. I schyłam czoło przed tą armią krzyżów, pod którejmi spoczął kwiat i wybór naszej Ojczyzny. Te krzyże zdają się wyciągać ku nam swe drewniane ramiona, walając jakoby na przestrzę, abymy nie zapomnieli o groźącym nam zawsze niebezpieczeństwie.

Suwalskiej ziemi, co takich obrońców Ojczyzny wydała i za jej pamięć o tych bohaterach i za dalszą opiekę na żołnierzem polskim tego pułku cześć i chwałę.

Ks. Roch Modzelewski.



M-07. Widok na kościół i zabudowania seminaryjne (1927).



M-08. Ks. Roch Modzelewski (1 od prawej w dolnym rzędzie lewego skrzydła) podczas Świeta Narodowego (21.09.1919). Przemawia Walery Roman.

W SYLWANOWCACH



M-09. W najwyższym rzędzie: Ks. Roch Modzelewski.
W rzędzie niżej od lewej: Ludwik Faustyn Świdorski (z Grodna).
W rzędzie najniższym od lewej: ks. Stanisław Miklaszewicz (2).



M-10. Ks. Roch Modzelewski (po prawej) z psem Zegarem.



M-11. Ks. Stanisław Miklaszewicz (w młodości i pod koniec życia).

W ŁYSYCH



M-12. Kościół parafialny.



M-13. Kurpianki.

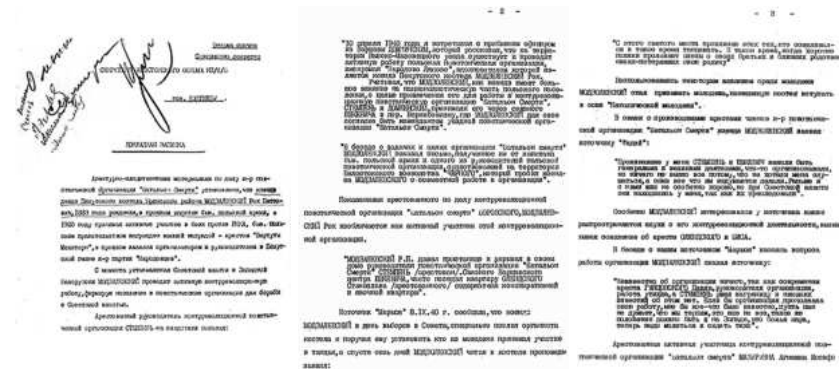


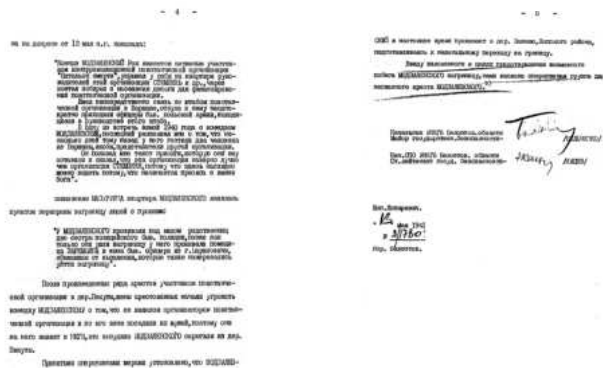
M-14. Ks. Roch Modzelewski wśród Kurpianek.



M-15. Ks. Roch Modzelewski z młodzieżą gimnazjalną z Łomży.

W PIEKUTACH NOWYCH





M-16. Akta śledztwa sowieckiego NKWD przeciwko ks. Rochowi Modzelewskiemu (1941).



M-17. Ks. Stanisław Falkowski. M-18. Kazimierz Kamiński.



M-19. Tablica ku czci ks. ks. Stanisława Falkowskiego i Rocha Modzelewskiego.

W ROSOCHATEM



M-20. Kościół.



M-21. Dzwonnica.



M-22. Nagrobek ks. Rocha Modzelewskiego.



M-23. Anna Jadacka na grobie ks. Rocha Modzelewskiego.



M-24. Nagrobek ks. Franciszka Guzewicza.

N. LOSY
ANTONIEGO (SEN.) I WALERII JADACKICH

W GULCZEWIE
 (czyli na rodzinnej ziemi Jadackich)



N-01. Bug pod Gulczewem.



N-02. Chałupa w Gulczewie – pozostałość dawnej zabudowy wsi.

W ZATORACH



N-03. Ruiny pałacu Wiktorii i Józefa Iżyckich (1989).



N-04. Obraz Matki Boskiej Chełmskiej i wieczna lampa z niezachowanego kościoła z lat 1820-1913, w którym praktykował jako organista Antoni (sen.) Jadacki.



N-05. Ruiny kościoła pw. św. Małgorzaty z lat 1913-1915, zburzonego przez Niemców w czasie I Wojny Światowej (fotografia środkowa), oraz drewniany kościół zbudowany w 1914 roku (dwie pierwsze od lewej fotografie dolne). *Tygodnik Ilustrowany* (1916 nr 7 s. 81).



N-06. Kościół zbudowany w 1924 roku (1989).



N-07. Lasek Zatorski (1989).

W DRWAŁACH



N-08. Pozostałości dawnego gospodarstwa (widok obecny).

W WIELEĆCINIE



N-09. Las pod Wielęcinem (widok obecny).

W POPOWIE



N-10. Pałac Stanisława Skarżyńskiego (1989).



N-11. Kościół pw. Narodzenia NMP (1989).



N-12. Krypta Stanisława Skarżyńskiego.

W DĄBRÓWCE



N-13. Kościół parafialny.

W ZAMBSKACH



N-14. Kościół pw. św. Wojciecha.

W ZJAWIENIU



N-15. Kaplica z cudownym źródłem.



W GOWOROWIE



N-16. Fasada kościoła pw.
Podwyższenia Krzyża Świętego.



N-17. Ołtarz główny.



N-21. Władysław Glinka ze Szczawna.

N-18. Ks. Antoni Brykczyński. N-19. Od lewej: ks. Antoni Brykczyński (1) i ks. Walenty Załuski (2).



N-20. Tablica poświęcona ks. prałatowi Antoniemu Brykczyńskiemu
w kościele goworowskim.

[illegible][illegible][illegible]

- 1 -

II) Myxobolus capri
(Galeo) - dan chilling gigit salmon
W thali salmon 3. Hosome
Pemeriksaan salmon
Terdapat salmon Polaki - Bayir
Endemik salmon
III) Zoon salmon
W thali salmon organik
Zoon salmon
IV) Bulu majus semicula
(salmon, gigit, gigit, gigit)
W thali salmon Baski - Baski
H. Baski - Baski
Pemeriksaan salmon

N-22. Karta poborowa Antoniego (sen.) Jadackiego.

W CZARNI



N-23. Fasada kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP.



N-24. Ołtarz główny w okresie międzywojennym i obecnie.

W MYSZYŃCU



N-25. Fasada kościoła pw. Trójcy Przenajświętszej.



N-26. Widok na prospekt organowy.





N-27. Chałupy spod Myszyńca. Rys. Reginy Piotrowskiej według opowiadań matki (1968).



N-28. Ozdoby kurpiowskie.
W środku – podłaźniczka. Rys. Reginy Piotrowskiej (1968).

Parafia r.-k. Myszyńca

METRYCZKA ŚLUBU

z aktu spisanego w roku 1909. No 3

Antoni Jadacki kawaler 24 lata
syn Antoniego i Katarzyny z Kieliszkiej
z Walerii Jadackiej panny 20 lat
córka Antoniego i Ewy z Krajewskiej
zawarli małżeństwo w Myszyńcu dnia 19 stycznia 1909 r.
w wieku czterdziestu dwóch lat



Proboszcz L. Fr. Kuligowski

N-29. Metryka ślubu Antoniego i Walerii Jadackich.



Kalina, malina,	Tego oplakuje
czerwona jagoda,	wianka rucianego,
czegoż oplakujesz,	com go utraciła
dziewczyno nieboga?	dla ciebie marnego.



- | | |
|---|--|
| 1. Moje białecki,
byśta wiedziały,
jek to nie dobrze,
kiedy chłop stary. | 3. A młody z młodem,
jek cukier z miodem;
stary ze starém.
jak słoma z sianem. |
| 2. Stary wybije,
nie pozatuje;
młody pokocha
i pocałuje. | (v. A młody z młodem
jako chleb z miodem;
stary ze starém
jek ciernie z głogiem). |

N-30. Piosenki weselne z okolic Myszyńca
(według Oskara Kolberga, Mazowsze IV).

W OBRYTEM



N-31. Kościół pw. Świętej Trójcy.



N-32. Беженцы.

W BROKU



N-33. Most na Bugu (lata dwudzieste XX wieku).



N-34. Kościół pw. św. Andrzeja Apostoła (lata dwudzieste XX wieku).



N-35. Ks. Józef Ciesielski.



N-36. Franciszek Szabelski.



N-37. Jacek Jadacki przy organach, na których w latach 1915-1928 grał jego dziadek – Antoni (sen.) Jadacki.



N-38. Organistówka.



N-39. Ulica Rybna z widokiem na ratusz.



N-40. Budynek dawnej szkoły przy ul. Spokojnej 2.



N-41. Dwór Hornowskich na rogu ul. Spokojnej i pl. Kościelnego.



N-42. Ruiny Pałacu Biskupów Płockich (lata dwudzieste XX wieku).



N-43. Brok. Siedzą od lewej: Euzebiusz, Irena i Eugeniusz Balowie.



N-44. Eugeniusz Bala.



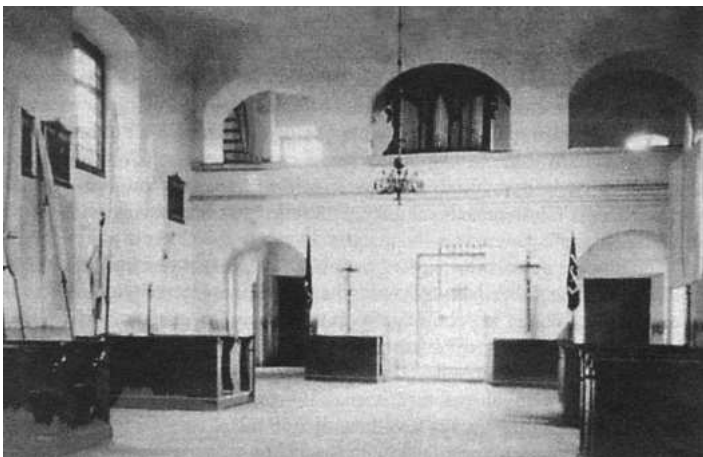
N-45. Nagrobek Eugeniusza Bali na Cmentarzu w Lindholme.

Ке Тенгиске Късакович

W. Hugh Kusowski

A black and white photograph of a large, light-colored building with a prominent central tower and a dark, gabled roof. The building is partially obscured by dense, dark foliage and trees. In the foreground, there is a low, light-colored fence or wall. The sky is overcast and cloudy.

455



N-51. Prospekt organowy (w okresie międzywojennym)



N-52. Ołtarz główny kościoła parafialnego (widok obecny).



N-53. Dwór Rudzkich.



N-55. Stara plebania
(sprzed 1925 roku).



N-54. Tablica na grobie
Adolfa Rudzkiego.



N-56. Nowa plebania
(po 1925 roku).



N-57. Ks. Wacław Wacławski pod
lipą przykościelną.



N-58. Epitafium ks.
Wacława Wacławskiego.

Od miesiąca Urzędnika w Brańszczyku jest nowy organista Stanisław Adamski, cichy i stary, powierzył, odpowiednio urodzony i wykształcony. Poprowadził jego Antoni Jadacki jako zupełnie głuchy przeszedł na mieszkaniu do Ostrowi M. i tam utrzymuje parafialną szkołę, encykliczną.

N-59. Fragment kroniki parafialnej Brańszczyka, autorstwa ks. Wacława Wacławskiego.

W STRZELCACH KRAJENSKICH



N-60. Jezioro Dolne.



N-61. Nuty przepisane ręką Antoniego (sen.) Jadackiego.



N-62. Nagrobek Antoniego (sen.).



N-63. Nagrobek Antoniego (sen.) po ekshumacji.

Urodził się w mieście Ostrowi, dnia dwudziestego ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, o godzinie dziewiętej rano. Hmilił się Antoni Bogacki organista z Ostrowi, lat siedemdziesiąt osiem i Antoni Zygmunt Jadacki organista z Piekut - Nowych powiatu Turycho - Mazowieckiego, syn zmarłej lat dwadzieścia sześć mającej, i oświadczyli, że wczoraj, o godzinie dziewiętej rano umarła w Ostrowi Walerja Jadacka lat pięćdziesiąt dwa mająca, urodzona w osadzie i parafii Myśzynie powiatu Ostrołęckiego, córka niegdyś Antoniego i Ewy z Krajewskich małżonków Tyszyńskich, zostawiwszy po sobie orodowanego męża Antoniego Jadackiego emeryta. Po przekonaniu się nawzajem o rejencji Walerji Jadackiej, akt ten starającą się pociągając, pater noster i pater noster podpisany został. - Prokurator parafii Ostrowskiej utrzymujący akt Hmili Cywilnego

J. Dr. Józef Kisielecki

Antoni Bogacki i Jadacki Antoni Bogacki

N-64. Akt zgonu Walerii Jadackiej.



N-65. Pierwotny nagrobek Walerii Jadackiej w Ostrowi Mazowieckiej.



N-66. Nagrobek Walerii Jadackiej w Ostrowi Mazowieckiej na początku XXI w.



N-67. Nagrobek Walerii Jadackiej w Łomży (po ekshumacji).

O. ANTONI (JUN.) JADACKI W BRAŃSZCZYKU



O-01. Z kolegami nad Bugiem. Od lewej: Antoni (jun.) Jadacki (2) i Mieczysław? Ciesielski (5).



O-02. Z kolegami nad Bugiem. Od prawej: Antoni (jun.) Jadacki (1) i Mieczysław? Ciesielski (2).



O-03. Z kolegami nad Bugiem. Od lewej: Antoni (jun.) Jadacki (1) i Mieczysław? Ciesielski (2).



O-04. Z kolegami nad stawem. Od lewej: Antoni (jun.) Jadacki (1) i Mieczysław? Ciesielski (2).



O-05. Z kolegami na polowaniu. Od lewej: Antoni (jun.) Jadacki (1) i Mieczysław ? Ciesielski (3).



O-06. Przygotowanie do spotkania. Od lewej: Mieczysław? Ciesielski (1), Antoni (jun.) Jadacki (2) i (prawdopodobnie) ks. Antoni Rogowski (3).



O-07. Z koleżankami i kolegami na wycieczce. Antoni (jun.) Jadacki – 2 od prawej.



O-08. Z koleżankami i kolegami na wycieczce. Stoją od prawej – Marta Kaliszówna (1) i Antoni (jun.) Jadacki.



*p. Ambolkowi
na pamiątkę.
Marta.
Brasimierz 24/VII*

O-09. Marta Kaliszówna (późniejsza Piechocińska) – pierwsza wielka miłość Antoniego (jun.) Jadackiego.



O-10. Na wozie w obejściu wójta Tomasza Kalisza.
Antoni (jun.) Jadacki siedzi na wozie 2 od lewej.



O-11. Władysław Archacki (1 z prawej) z kolegami.

P. MŁODE LATA ANNY MODZELEWSKIEJ (PÓŹNIEJSZEJ JADACKIEJ)



P-01. Wyciąg z aktu urodzenia sporządzony w 1942 roku
(nagłówek „Rzeczpospolita Polska” wykreślony).

W ŁYSYCH

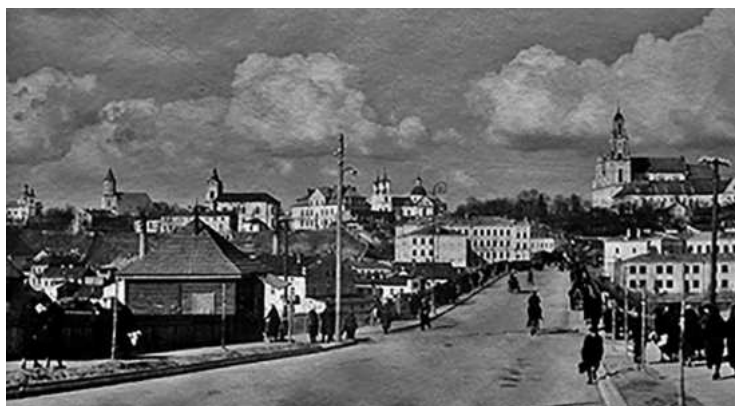


P-02. Od lewej: Anna Modzelewska (1), ks. Roch Modzelewski (2)
z psami Pikiem i Zegarem oraz Aleksandra Modzelewska
(matka ks. Modzelewskiego) (4).

W GRODNI



P-03. Plan Grodna (1923).



P-04. Grodno międzywojenne.



P-05. Panorama miasta (1971).
Z lewej – Kościół Farny;
z prawej – Kościół Pobernardyński.



P-06. Panorama miasta (1997).



P-07. Kościół farny (1971).



P-08. Uliczki grodzieńskie (1997).



P-09. Dwór Elizy Orzeszkowej (1937).



P-10. Na przedmieściach (1997).



P-11. Ruina dworu polskiego w okolicach domu Elizy Orzeszkowej (1997).



P-12. Niemen (1971).



P-13. Ujście Horodniczanki do Niemna (1997).



P-14. Karczma w Sopoćkiniach (początek XX wieku).



P-15. Od lewej: Natalia Świderska (1),
z siostrą Marią Sztachelską (2)



P-16. Ludwik Brunon
Świderski (1935).



P-17. Wśród Świderskich. Stoją od lewej: Irena, Ludwik Faustyn, Natalia, Zdzisław, Jerzy, Anna Modzelewska, Emilia Śleszyńska i Ludwik Brunon.



P-18. Od lewej: Anna Modzelewska (1) i Emilia Śleszyńska (2).



P-19. Od lewej: Irena Świdorska (1), Emilia Śleszyńska (2) i Anna Modzelewska (3).



P-20. Dworek Ireny Świdorskiej w Makasiowszczyźnie (1930).



P-21. Prom na Niemnie koło Sylwanowiec. Od lewej: Natalia Świdorska (1) i Józef Śleszyński (4).



P-22. Wycieczka statkiem po Niemnie.



P-23. Kartka imieninowa od Natalii Świdorskiej z dopiskiem od Ireny (1930).

DYPLOM MAGISTRA FILOZOFII

PAN LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI
URODZONY Dnia 1 sierpnia 1913 roku w Górnym

odnotowując studia w Uniwersytecie Warszawskim na Wydziale Humanistycznym w zakresie filologii polskiej i nauk matematycznych
z groności opieranej na wykładach polonistycznych, z wykładem dydaktycznym
z groności opieranej na wykładach matematycznych
wiedzy: z wykładem dydaktycznym
z podstawowych wiadomości z literatury polskiej (języka polskiego) i filologii
(z uwzględnieniem zasad nauki o języku). z wykładem dydaktycznym
z historii literatury polskiej wina z podstawowymi wiadomościami z literatury, polskiej i wykładem z wykładem dydaktycznym
z historii politycznej, ustroju i kultury
Polski z wykładem dydaktycznym
z filozofii nauk filozoficznych, z wykładem dydaktycznym
z historii literatury starożytnej greckiej i rzymskiej z wykładem dydaktycznym
z historii literatury polskiej w okresie odrodzenia i oświecenia z wykładem dydaktycznym

Nr 1.5.
1937.15.15.

P-24. Dyplom magisterski Ludwika Brunona Świderskiego.

na podstawie z wykładem dydaktycznym na temat:
„Technika powieści E. Orzeszkowej”.
Wobec tego Kasa Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego
na wniosek Komisji Egzaminacyjnej nadała
Pana Ludwika Brunona Świderskiego
STOPIEN
MAGISTRA FILOZOFII,
JAKO DOWÓD ZAKOŃCZENIA STUDIÓW WYŚWETCZYCH W ZAKRESIE
FILOLOGII POLSKIEJ

Warszawa, dnia 28 czerwca 1935 r.

REKTOR DZIEKAN
Profesor dr Stefan Piłchowski Profesor dr Władysław Antkowiak.

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI EGZAMINACYJNEJ

Profesor Stanisław Sołtan.

Nr 1.



P-26. Bohatyrowicze. Jacek Jadacki przy grobie Jana i Cecylii (1997).



P-25. Artykuł Ludwika Brunona Świderskiego o Elizie Orzeszkowej opublikowany w *Tygodniku Ilustrowanym* (1937 nr 13).



P-27. KL Auschwitz. Widok ogólny.



P-28. Ludwik Brunon Świdorski. W KL Auschwitz (nr obozowy 20413).



P-29. Gimnazjum Żeńskie w Grodnie (ok. 1925).



P-30. Irena Hermanowiczówna, koleżanka gimnazjalna.



P-31. Anna Modzelewska (stoi 6 od lewej) wśród koleżanek gimnazjalnych.



P-32. Anna Modzelewska (4 od lewej ze śniegiem) wśród koleżanek gimnazjalnych.



P-33. Ks. Ludwik Sawoniewski.



P-34. Od lewej: ks. Ludwik Sawoniewski (1), Adam Bajcar i Anna Modzelewska (8) (widać tylko głowę).



P-35. Adam Bajcar.



P-38. Na wycieczce nad Niemen. Anna Modzelewska tyłem w 2 parze od lewej z Niną Pietkiewiczówną, córką śpiewaczki.

W ŁOMŻY



P-36. Ks. Ludwik Sawoniewski w czasie lekcji.



P-39. Katedra Łomżyńska (1989).



P-37. Na wycieczce. Od lewej: Irena Jastrzebska; na pierwszym planie w pierwszej parze: Wanda Królówna (1); w drugiej parze: Bronisława Sopoćkówna (1) i Maria Marzejkowska (2). Od prawej: Tekla Kondracinkówna (1) i Anna Modzelewska (2).



P-40. Budynek Poczty (okres międzywojenny).



P-41. Gimnazjum Żeńskie.



P-42. Przedmieście Rybaki na początku XX wieku.



P-43. Przedmieście Rybaki dziś (1989).



P-44. Radzisław Bednarczyk z synem (Witoldem?) i córką.



P-45. Gimnazjalistki łomżyńskie (1928).
Od lewej: Anna Modzelewska, Irena Moczulska i Helena Chojnowska.



P-46. Koleżanki gimnazjalne.
Stoją od lewej: Anna Modzelewska (2) i (?) Włodkówna (3).



P-47. Od lewej: Anna Modzelewska (1) i Helena Chojnowska (2).



P-48. Po prawej: Helena Chojnowska.



P-49. Anna Bielicka.



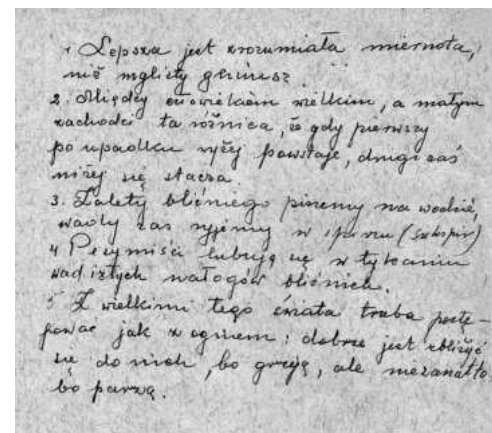
P-50. Rodzeństwo Brodowsy.



P-51. Krystyna Jezierska.



P-52. Gimnazjum Żeńskie w Łomży (1930).
Od góry i od lewej: Zosia (1), współmieszkanka Anny – Anna Karwowska? (4), Janina Ostrowska (6), Anna Modzelewska (8), Zofia Ramotowska (10), Sara (12), Irena (14), (?), nauczycielka polskiego (15), Krystyna Jezierska (16), Zofia Szwejczerówna? (17), Estera (18), Zofia Bielawska (19), (?), współmieszkanka Anny (20), Irena Stankówna? (21).



P-53. Pięć złotych myśli wybranych przez 17-letnią gimnazjalistkę.

abydłaga - # rocznie sep - ustojpnie (1 + mm)
abogaga - aboceni umyslowe
adominacja - napomni me
adren - do reny
adulterium - stapianie warg matenialny
afektacja - # przesada, wymiownosc, wolowanie
afektacja - # przesada
afirmacja - potwierdzenie
abornia - kawowate
agresywny - napastczyj, wzajemny
akceptacja - przyjecie, potwierdzenie
aklimatyzacja - ciu sie dobrze, przyzwyczai sie
akomodacja - dopasowanie sie do czegoś
akcja - # bezglosny prawdy, prawda
amerykanizm - amerykanizacja
amplifikacja - dwubiegowe opowiadanie
Bajonowa - # wyzwanie
Baniacja - skracanie nazwy z nazwy
Baniacja - skracanie nazwy z nazwy
daltonizm - # ciota na barwy
Decepcja - # oszukiwanie, oszukiwanie
degradacja - obnizenie w stopniu i godnosci
delektacja - # ciota, # ciota
delirja - # ciota, # ciota
deklaracja - # ciota, # ciota
demotywacja - # ciota
demotywacja - # ciota
despotizm - # ciota, # ciota
egzaltacja - # ciota, # ciota
eksplozja - # ciota, # ciota
erozja - # ciota, # ciota
fantazja - # ciota, # ciota
fantazja - # ciota, # ciota
fenomenalny - # ciota, # ciota
fajkowy - # ciota, # ciota
fikcyjny - # ciota, # ciota
impreza - # ciota, # ciota
in gremio - # ciota, # ciota
intencjonalny - # ciota, # ciota



P-55. Łomża. Sodalicja Mariańska. Anna Modzelewska (5 od prawej u góry).



P-56. Szkaplerz Karmelitański Anny Modzelewskiej z czasów łomżyńskich.



P-57. Harcerki z Gimnazjum Łomżyńskiego. W środku: dyrektor Mieczysław Pogonowski; na prawo ks. Józef Kłoskowski; na lewo Anna Bielicka. Pierwsza od lewej: Anna Modzelewska.



P-58. Harcerki łomżyńskie w Lesie Jednaczewskim. Pierwsza od lewej: Anna Modzelewska; w środku: ks. Józef Kłoskowski.



P-59. Harcerki łomżyńskie. Stoją od prawej: Anna Modzelewska (1) i Zofia Ramotowska (2).



P-60. Dolny dwór w Drozdowie.



P-61. Wincenty Lutosławski.



P-62. Stanisław Lutosławski.



P-63. Ks. Kazimierz Lutosławski.



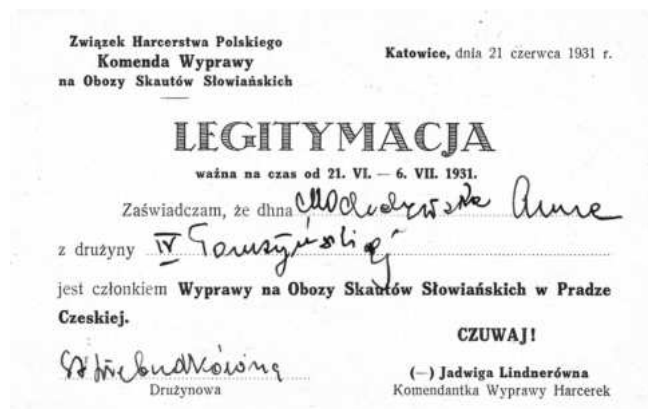
P-64. Podczas konferencji *Lutosławscy w kulturze polskiej* w Drozdowie (1996). Stoją od lewej: Maria Teresa Deorffer (wnuczka Wincentego Lutosławskiego) i Jacek Jadacki.



P-65. Poznań. I Wystawa Przemysłowa (1929). Od lewej: Krystyna Jezierska (1) i Anna Modzelewska (2).



P-66. Widoki z I Wystawy Przemysłowej w Poznaniu (1929).



ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO

DZIENNICZEK

UCZESTNIKA WYPRAWY

NA

**ZŁOT SKAUTÓW
SŁOWIAŃSKICH
W PRADZE**

21 CZERWCA — 12 LIPCA 1931

NAKŁADEM
KOMENDY WYPRAWY
1931

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.

P-67. Złot Skautów Słowiańskich w Pradze (1931).



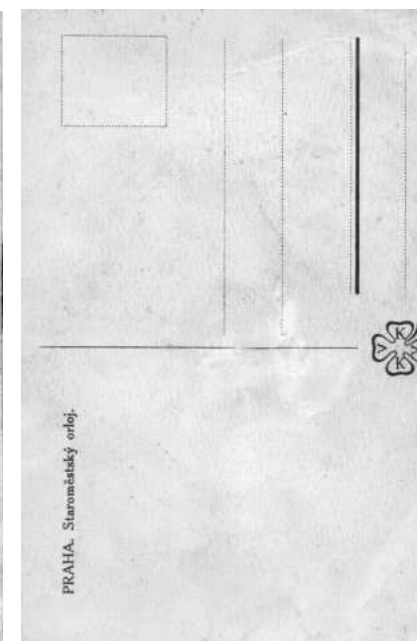
P-68. Panorama Pragi.



P-69. Hradczany (lata trzydzieste XX w.)



P-70. Pamiątka z Pragi: pocztówka z zegarem astronomicznym („orlojem”) z ratusza staromiejskiego.





P-71. Kulesze Kościelne. Obóz harcerski. Anna Modzelewska podnosi flagę.



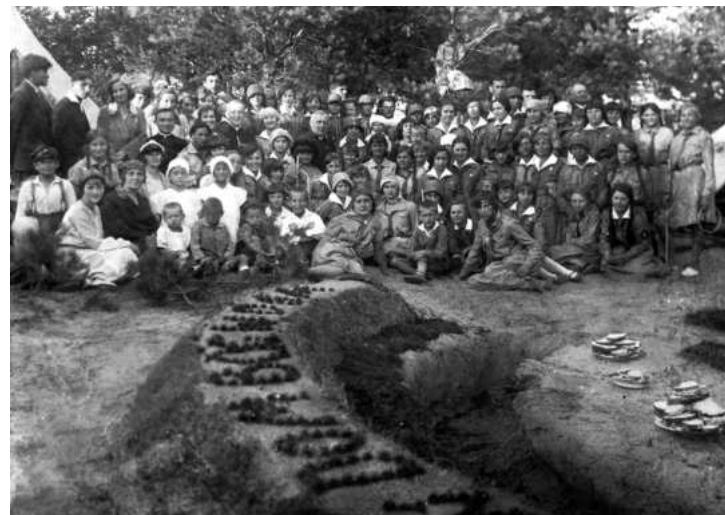
P-72. Kulesze Kościelne. Obóz harcerski. Anna Modzelewska w kapelusiku pije z kubka na lewo od masztu.



P-73. Kulesze Kościelne. Obóz harcerski. Anna Modzelewska pod literą R(ski).



P-74. Obóz harcerski. Anna Modzelewska stoi 4 od prawej.



P-75. Hel. Obóz harcerski. Anna Modzelewska stoi 7 od prawej w chustce w cętki.



P-76. Hel. Obóz harcerski. Anna Modzelewska 5 od lewej.



P-77. Hel. Plaża. Anna Modzelewska 4 od lewej.

W WARSZAWIE



P-78. Zofia Bielawska.



P-79. Irena Hankiewiczówna z Żyrardowa (1932).



P-80. Zofia Hewelówna.



P-81. Od prawej: Wanda Koenig.



P-82. Ludwika Smellówna z Łęczycy.



P-83. Stoją od lewej: Anna Modzelewska (1) i Ludwika Smellówna (2).



P-84. Idą od lewej: Ludwika Smellówna (1) i Anna Modzelewska (2).



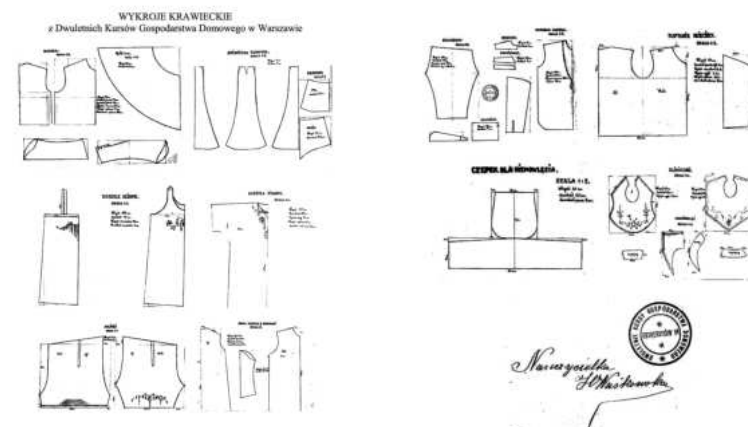
P-85. Aleje Ujazdowskie. Idą od lewej: Ludwika Smellówna (1) i Anna Modzelewska (2).



P-86. Łazienki (13.06.1932). Irena Hankiewiczówna („Mosiek”).



P-87. Krakowskie Przedmieście. Od lewej: Zofia Hewelówna (2).



W PIEKUTACH NOWYCH



P-97. Anna Modzelewska (2 od prawej) wśród piekuckich przyjaciółek.



P-98. Od lewej:
ks. Roch Modzelewski (1)
i Anna Modzelewska (5).



P-99. Od lewej stoi
ks. Roch Modzelewski (2);
siedzi Anna Modzelewska (1).



P-100. Stoi od prawej: ks. Roch Modzelewski;
siedzą od prawej: Stanisław Olędzki (1) i Anna Modzelewska (2).



P-101. Upoważnienia do prowadzenia kursów.

W TEOLINIE K. SOPOĆKIŃ



P-102. Widok na kościół parafialny (1936).
Zakład Fotograficzny J. Borkowskiego
w Sopotkach.



P-103. Kościół parafialny
po przebudowie (1993).



P-104. Piosenka z okolicy Sopotek (według Oskara Kolberga, *Mazowsze V*).



P-105. Na zdjęciu widoczni: (1) Janina Brodzikówna, Kazimiera Chmielewska,
Anna Glińska (Babcia), Eugenia Głębocka, Jadwiga Jastrzębska,
Aniela Mianowska, Czesława Płotczykówna, Wanda Podbielska,
W. Prosińska, Aleksandra Przeździecka, Aleksandra Tyszka (Ciocia),
Bronisława Wojszówna, Władysława Wojszowa,
Janina Wyszomierska i Aniela Żyłowska.



P-106. Od lewej w środkowym rzędzie: Anna Modzelewska (2).



P-107. Od lewej: Anna Modzelewska (2).

W SREBRNEJ K. ZAMBROWA



P-108. W środkowym rzędzie od lewej: Anna Modzelewska (5).

W MODZELACH STARYCH I OKOLICY



P-109. Typowa chałupa w Modzelach Starych (przed II Wojną Światową).



P-110. Modzele Stare. Anna Jadacka (1 od lewej) ze służącą Franciszką („Franusią”) Giedroyć na tle domu rodzinnego.



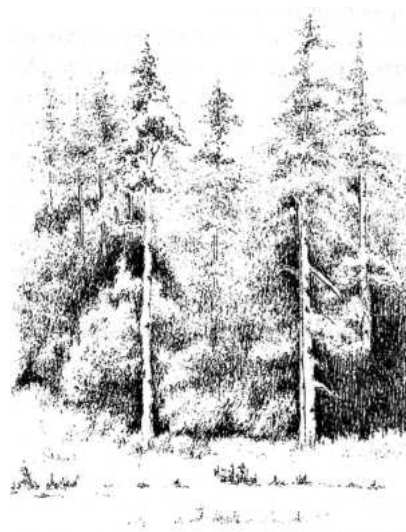
P-111. Kapliczka w Wygodzie (2024).



P-112. Krzyż z 1899 roku na skraju Modzel Starych od strony Puchał.
Rys. Bożena Jadacka-Józków (2024).



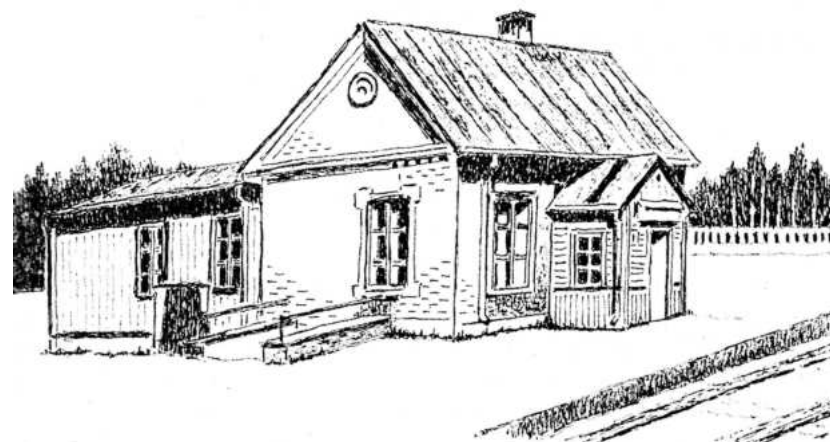
P-113. Lasek Wyrzykowski przy drodze z Modzel do Puchał (2024).



P-114. Czerwony Bór. Rys.
Jerzy Rudnicki (przed 2005).



P-115. Wieża ciśnienia na stacji PKP
w Czerwonym Borze.



P-116. Nieistniejący budynek stacji PKP w Czerwonym Borze.
Rys. Jerzy Rudnicki (przed 2005).

R. ANNA I ANTONI (JUN.) JADACCY: ŚLUB, DZIECI I ŚMIERĆ

ŚLUB



R-01. Nieistniejący kościół pw. św. Wojciecha
(fotografia z lat trzydziestych XX wieku).



R-02. Kościół w Puchalach.
Rys. Karin Majdowska (1983).



R-03. Ks. Bronisław
Taładzewicz.

RZECZPOSPOLITA POLSKA.

Województwo Białostockie Powiat Lomżyński
Parafia Puchaty gmina Puchaty

ŚWIADECTWO MAŁŻENSTWA № aktu 56.

Miejsce zamieszkania	Oblubieniec		Oblubienica		Data ślubu		
	Imię i Nazwisko	Wiek	Imię i Nazwisko	Wiek	Dzień	Miesiąc	Rok
Ostrowo- Masoszele	Antoni Zygmunt Jadacki	lat 28.	Anna Modzelewska	lat 24.	27	grudzień	1937.
Modzele- Stare	Antoni i Waleryj z Synnych		Jana i Aleksandry z Gossykowskich				

Słownie: tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku
Puchaty, dnia 5 stycznia 1938 r.

Przyjmujący Akta Stanu Cywilnego
Proboszcz Ks. B. Taładzewicz

R-04. Świadectwo małżeństwa Anny i Antoniego Jadackich (1938).



R-05. Anna i Antoni Jadacy. Zdjęcie ślubne.
Zakład Fotograficzny Ludwika Hartwiga. Lublin,
Krakowskie Przedmieście 29 (Hotel Europejski).



R-08. Wygoda (1969). Życzenia Wigilijne.

DZIECI



R-06. Mełgiew. Anna i
Antoni Jadacki.



R-07. Rajgród. Anna i Antoni w
bramie cmentarza przykościelnego.



R-09. Mełgiew. Od lewej: Antoni,
Bożena i Anna Jadacy.



R-10. Puchaczów. Anna Jadacka.
W tle: Jacek i Bożena Jadacy.



R-11. Mełgiew.



R-12. Rajgród (ok. 1950).
Anna i Bożena Jadackie.



R-13. Rajgród (1955).



R-14. Puchaczów. Anna i Jacek Jadaccy.



R-15. Rajgród. Od-lewej: Anna, Bożena i Jacek Jadaccy.



R-16. Mełgiew. Antoni i Bożena Jadaccy.



R-17. Puchaczów. Antoni i Jacek Jadaccy.



R-18. Bożena Józków.



R-19. Romuald Józków,
mąż Bożeny.



R-20. Jacek Jadacki.



R-21. Akt zgonu Anny Jadackiej.



R-22. Białystok. Grobowiec rodzinny po pogrzebie.



R-23. Nagrobek Anny i Antoniego Jadackich (stan obecny).



R-24. Tablica poświęcona
Antoniemu (jun.) Jadackiemu
w budynku
Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Zambrowie.

SPIS KRAJÓW, MIEJSCOWOŚCI I RZEK

A

Alzacja
AMERYKA (*vel* STANY ZJEDNOCZONE)
ANGLIA
Augustów
Auschwitz – zob. Oświęcim
AUSTRIA

B

BABILONIA
Bacze Mokre k. Śniadowa
Bacze Suche k. Śniadowa
Bajany
Bałtyk
Barcice k. Wyszkowa
Barczewo
Bargłów k. Augustowa
Becejły
Bereza (Kartuska)
Berlin
Białaszewo
Białystok
Biebrza
Bielsk (Podlaski)
Brańsk
Brańszczyk n. Bugiem
Brok n. Bugiem
Brzeziny k. Puchaczowa
Brzeźno k. Lubaczowa
Brzostowa
Brzozowy Kąt
Brzozówka k. Augustowa
Bug
Bydgoszcz

C

CHINY
Ciechanów
Cieńska k. Pułtusk
Czarna Wieś k. Rajgrodu
Czarnia
CZECHY
Czerwony Bór
Częstochowa
Czuraj w Broku
Czyżew

D

Dąb k. Kołak
Dąbrówka Kościelna
Dąbrówka n. Bugiem
Dębniaki
Dolina k. Stanisławowa
Drozdowo k. Łomży
Drwały k. Obrytego
Działdowo

E

EGIPT
Ełk

F

Fontainebleau
FRANCJA

G

Gdańsk
Gdynia
Giżycko
Gorzów (Wielkopolski)
Goworowo
Goworówek k. Goworowa
Grabowo k. Śniadowa
Grajewo
Grandicze k. Grodna

Grodno
Grudziądz
Gulczewo k. Wyszkowa
Guty

H

Hel
Henrysin
Hodyszewo
Horodniczanka
Hoża
Hradczany w Pradze (czeskiej)

J

Jabłoń
JACWIEŻ
Janki
Janowce
JAPONIA
Jasienica
Jastarnia
Jedlanka
Jegrznia
Jezioroki k. Augustowa
Jezioro Głuche
Jezioro Rajgrodzkie
Juchnowiec k. Białegostoku

K

Kadzidło
Kałowo k. Łodzi
Kamieńczyk
Kamionka k. Szczuczyna Litewskiego
Kanał Augustowski
Kartuzy
Kijów
Kodeń
Komorów
Konary n. Pilicą
Konstancin k. Warszawy

Kostrzyn k. Poznania
Koszalin
Koziowce k. Sylwanowiec
Kołowo k. Pniewa
Kozłówka k. Rajgrodu
Kraków
Krasowo-Częstki
Krasowo Wielkie
Krępiec k. Mełgwi
Krępiek k. Wyszkowa
Krzyszów k. Mełgwi
Kulesze Kościelne
KURPIE

L

Lasek Buloński
Lasek Wyrzykowski
Lasek Zatorski
Las Jednaczewski (k. Łomży)
Las Modzelski (Modzelak)
Lasy Krępieckie
Leśmierz
Lindholme (Anglia)
Liza Nowa
Lotaryngia
Lubaczów
Lubiel n. Narwią
Lwów

Ł

Łapy
Łęczycza
Łojki k. Sylwanowiec
Łomża
Łopień
Łódź
Łuck
Łyse

M

Majdanek k. Lublina
Makasiowszczyzna
Malbork
Maków
Małkinia
Małopolska
Mandżuria
Margrabowa – zob. Olecko
Markowo-Wólka
Małkinia
Mełgiew
Mierzęcin
Minkowice
Mława
Modlin
Modzelak (zob.: Las Modzelski)
Modzele (Stare)
Modzele-Wypychy
Modzelewianka
Modzelska Biel
Mont Saint-Michel
Morgowniki k. Nowogrodu
Mystkowiec Stary k. Wyszkowa
Mystowiec-Szczucin k. Zator
Myszyniec (po kurpiowsku: Mysianiec)

N

Nałęczów
Narew
NIEMCY
Niemnowo
Nowe Miasto w Broku
Nowogród

O

Obory
Obryte
Ochudno/Ochudnów k. Wyszkowa
Olecko (vel Margrabowa)

Olędry k. Zator
Olsztyn
Ostrołęka
Ostrów (Mazowiecka) (vel Mazowieck)
Ostrówek
Oświęcim (vel. Auschwitz)

P

Piaski k. Warszawy
Piaski Luterskie
Piekuty (Nowe)
Pilica
Płock
Płonka
Pniewo
Pobyłkowo k. Serocka
Podzamcze k. Mełgi
Pojezierze Augustowsko-Suwalskie
Pokrzywnica
POLSKA
Popowo
Poręba
Poryte
Powiśle w Warszawie
Poznań
Praga (czeska)
Praga (warszawska)
Probostwo k. Goworowa
Prostyń k. Małkini
PRUSY WSCHODNIE
Pruszków
Przasnysz
Przyłubie
Psary
Puchaczów
Puchały
Pułtusk
Puszcza Augustowska
Puszcza Biała
Puszcza Zielona

R

Radom
 Radziejówka
 Radzymin
 ROSJA
 Rosochate
 Różan
 RUŚ
 Rybaki (przedmieście Łomży)
 Ryn

S

Sadowne
 Sadykierz
 Sea Cliff
 Sejny
 Serock
 Sokołów K. Zambsk
 Sokoły
 Somianka
 Sopoćkinie
 Srebrna k. Zambrowa
 Stanisławów
 STANY ZJEDNOCZONE – zob.: AMERYKA
 Strachocin k. Szelkowa
 Stare Miasto w Broku
 Sterławki (Małe)
 Struga
 Strzelce Krajeńskie
 Surowa k. Myszyńca
 Suwałki
 Sylwanowce
 Szczawin: Glinkowie
 Szczuczyn (Litewski)
 Szelkowo
 Szepietowo
 Sztabin k. Augustowa
 Szumowo
 Śniadowo

T

Tabędz
 Teolin k. Sopoćkiń
 Toruń
 Trzcianka
 Trzcianna
 Tworki
 Tykocin

U

UKRAINA

W

Warszawa
 Wawer k. Warszawy
 Wąsosz
 Wełtawa
 WĘGRY
 Wielbark
 Wielęcin k. Pułtуска
 Wierzbowizna
 Wieżyca k. Kartuz
 Wilno
 Wólka
 Wólka-Folwark
 Wólka-Pieńki
 Wszechpole k. Hoży
 Wygoda k. Zambrowa
 Wyszków

Z

Zambrów
 Zamski k. Obrytego
 Zatory
 Zegrze
 Zielona Góra
 Zjawienie (część Radzymina)

Ż

Żuromin
 Żyrardów

SPIS NAZWISK

A

Aksamitowski, Piotr – mieszkaniec Wielęcina
 Aleksander, św. (250-326)
 Ambulajew [Амбулаев], (?) – szef NKWD w Brańsku
 Andrzej Apostoł, św. (- ok. 65)
 Anna, św. – matka św. Marii
 Apel, Stanisław I – I mąż Pauliny
 Apel, Stanisław II – syn Pauliny i Stanisława I
 Apel-Młynarczyk, Paulina z d. Pyszna (Myszyniec-Myszyniec) – żona Stanisława, a potem Piotra
 Archacka, Czesława z d. Gimel (12.04.1933, Brzeźno k. Lubaczowa - 1999, Myszyniec) – żona Zygmunta
 Archacka, Konstancja (Kostusia) z d. Pyszna (1890, Myszyniec - 1972, Myszyniec) – córka Antoniego
 Archacki, Aleksander (1881, Myszyniec - 1973, Myszyniec) – mąż Konstancji
 Archacki, ks. Władysław (Władziulek) (12.08.1916, Myszyniec - 14.10.2009, Zielona Góra, pochowany w Myszyńcu) – syn Aleksandra
 Archacki, Zygmunt (9.08.1915, Myszyniec - 1993, Myszyniec) – syn Aleksandra
 *Asztarte – fenicka bogini miłości

B

Bach, Johann Sebastian (1685-1750) – kompozytor niemiecki
 Baczewska, Irena – żona Jana
 Baczewska, Magdalena z d. Trzaska (1859 – po 1937?)
 Baczewski, Adam (1955-1902?) – mąż Magdaleny
 Baczewski, Jan – mieszkaniec Wygody
 Baczyński, Krzysztof Kamil (1921-1944) – poeta polski
 Bajcar, Adam (1896-?) – nauczyciel propedeutyki filozofii z Grodna
 Bagiński, ks. Henryk (1896-1956) – z Łap
 Bajkowska, (?) – mieszkanka Łopienia

Balcerowiczówna, Halina – szwaczka w Goworowie
 Bala, Eugeniusz (1908-1942) – mieszkaniec Broku nad Bugiem
 Bala, Euzebiusz – brat Eugeniusza
 Balińska, Natalia z d. Łabanowska (1912-2000) – żona Aleksandra
 Baliński, Aleksander (1908-1997) – mieszkaniec Augustowa
 Balińska, Franciszka z d. Zielińska – siostra matki Antoniego (sen.) Jadackiego, żona Franciszka
 Baliński, Franciszek (1860-?) – mąż Franciszki
 Balzac, Honoré de (1799-1850) – powieściopisarz francuski
 Banasiak, Joanna (1952-) – wnuczka Leokadii Gorlińskiej
 Bardzińska, Maria (Marysia) z d. Jurczak – mieszkanka Białegostoku
 Bednarczyk, Radzisław (Włodek) (1880-?) – mieszkaniec Łomży
 Bednarczyk, Witold? – syn Radzisława
 Berbecka, Wanda – córka Leona, koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
 Berbecki, Leon Piotr (1875-1963) – generał Wojska Polskiego
 Beethoven, Ludwig van (1770-1827) – kompozytor niemiecki
 Biała, Teresa z d. Modzelewska (1936 – 26.02.2021, Bacze Suche) – żona Czesława
 Biały, Czesław (1935 – 24.11.2022, Bacze Suche)
 Bielawska, Zofia (Zośka) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży (vel z Warszawy)
 Bielczenko, Siergiej Sawicz [Бельченко, Сергей Савич] – naczelnik UNKGB Rejonu Białostockiego
 Bielicka, Anna Weronika (Hanka) (1915-2006) – aktorka polska
 Bielicka, Maria (Maryna) (1913-1988) – siostra Anny
 Bieniewska, Maria z d. Krajewska – córka Edmunda, uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Biernacki, ks. Józef (1907-2001) – prefekt w Ostrowi
 Bierut, Bolesław (1892-1956) – polityk polski
 Bis, Mieczysław – sekretarz Gminy Piekuty w 1937 roku
 Błaszczak, ks. Jan – młodszy wikary w Goworowie
 Błażej, Leon (Leoś) (1922-1947?) – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Mełgwi
 Boczkowska, Helena (1899-?) – nauczycielka łaciny w Łomży
 Bogacki, Antoni (1867-1943) – organista w Popowie, potem od ok. 1900 w Ostrowi
 Bogudziński, ks. Jan (1907-1979) – proboszcz w Puchaczowie
 Bogusławski, Wojciech (1757-1829) – dramatopisarz polski
 Bolesław Śmiały (ok. 1042 - ok. 1081) – król polski

Borkowska, Elżbieta z d. Wiśniewska – córka Janiny
 Borkowski, J? – fotograf z Sopoćkiń
 Borowski, Tadeusz (Tadek) – mieszkaniec Łopień
 Bratny, Roman Jerzy (1921-2017) – pisarz polski
 Brochocka, Klementyna (1870?-?) z d. Hornowska – z Broku, żona Ignacego
 Brochocki, Ignacy – z Broku, kuzyn bpa plockiego
 Brodnicka, Kazimiera – mieszkanka Modzel
 Brodowscy, (?) (?) – rodzeństwo z Łomży
 Broniewski, Władysław (1897-1962) – poeta polski
 Bronikowska, Janina – mieszkanka Teolina
 Bruzda, Antoni (1918 - 12.08.1948, Myszyniec), I mąż Janiny
 Bruzda, Janina z d. Apel (1915-25.01.1993, Myszyniec) – córka Władysława, wyszła za mąż po raz drugi
 Brykczyński, ks. Antoni (1843-1913) – prałat, proboszcz w Goworowie
 Brysacz, Helena – uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Brysacz, Mieczysław (1946-) – brat Heleny, uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Brzozowski, Władysław – mieszkaniec Piekut
 Budny, Kazimierz – sędzia z Myszyńca, brat Stanisław
 Budny, Stanisław – dzierżawca dóbr w Pokrzywnicy
 Budzyńscy, (?) (?) – sklepikarze z Czarni
 Budzyński, Władysław – najstarszy syn sklepikarzy z Czarni
 Bulak, Franciszek – organista łomżyński
 Buonarrotti, Michał Anioł (1475-1564) – artysta włoski
 Bytomski, Józef Mieczysław – sekretarz Gminy Piekuty w 1937 roku

C

Callaerts, Joseph (1830-1901) – kompozytor belgijski
 Cąkała, ks. Edward (1910-1941) – wikary w Mełgwi
 Cecylia, św. (III w.)
 Cezar, Gajusz Juliusz (100-44 a.Chr) – imperator rzymski
 Chętnik, Adam (1885-1967) – etnograf polski
 Chętnik, Tadeusz – nauczyciel muzyki w Zambrowie
 Chmielewska, Kazimiera – z Teolina
 Chojnowska, Helena – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Cholewa, Irena (Ira) ze Świdorskich (1912-1943) – żona Mieczysława
 Cholewa, Maria Kruszyńska (Krusia) (1939-1943) – córka Ireny
 Cholewa, Mieczysław – właściciel Makasiowszczyzny

Chopin, Fryderyk Franciszek (1810-1849) – kompozytor polski
 Chorażewicz, (?) – gospodarz z Czarni
 Ciesielski, ks. Józef (1878-1944) – proboszcz w Broku
 Ciesielski, Mieczysław? – kolega Antoniego (jun.) Jadackiego z Brańszczyka
 Cieśluk, Tadeusz (1943-2012) – nauczyciel w Augustowie
 Cudnik, Irena (1922-2010) – z Augustowa
 Cygankow, (?) – Rosjanin, strażnik akcyzny w Czarni
 Czarkowscy, (?) (?) – znajomi Eugenii Jadackiej (chyba) z Ostrowi
 Czarnowski, Teofil (?-1957) – proboszcz w Puchałach
 Czarny, (?) – jeden z przywódców białostockiej organizacji powstańczej
 Czereński, Władysław – aptekarz w Broku

D

*Damokles – dworzanin syrakuzkański
 Dante, Alighieri (1265-1321) – poeta włoski
 Dardzieński, (?) – kierownik szkoły w Lutostani
 Dąbrowski, ks. Marjan (1877-1942) – proboszcz w Hodyszewie
 Dekabanówna, Łucja – nauczycielka z Warszawy
 Diamant, Jakiel – szmugler w Wygodzie
 Długozima, Sławomir – nauczyciel muzyki w Zambrowie
 Dmochowski, (?) – „półziemianin” z Broku, brat ks. Piotra
 Dmochowski, ks. Piotr (1865-1941) – kanonik plocki
 Dmowski, Roman (1864-1939) – polityk polski
 Dmowski, Piotr – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Mełgwi
 Dobosz, Bolesław – z Brańszczyka
 Dobosz, Jan – z Brańszczyka, brat Bolesława
 Dobosz, Józef (1908/1898-1980/1989) – właściciel Lasów Krępieckich
 Dobrzyńscy, (?) (?) – rodzice Marii Jagielskiej
 Doerffer, Maria Teresa z d. Meissner (1918-2006) – wnuczka Wincentego Lutosławskiego
 Dominiowa, Eugenia (1872-1917) – pisarka POLSKA
 Domrzyński, (?) – oficer organizacji podziemnej z Warszawy
 Dorota, św. (III w.)
 Drecka, Anna Maria z d. Wichlińska (1903-1984) – żona Kazimierza
 Drecki, Kazimierz (1895-1940) – właściciel Krzesimowa
 Dziekoński, Józef Pius (1844-1927) – architekt polski

E

Eustachiusz, św.

F

Fajwiszyc, Arie – zob. Józef Kutrzeba
Falkowski, bp Czesław (1887-1969) – ordynariusz łomżyński
Falkowski, ks. Stanisław (1916-2004) – wikary z Piekut
Faszcza, Łukasz (1966-) – historyk polski
Fedorczyk, Jan – organista w Brańszczyku
Feiner, Władysław (1900-1940) – nauczyciel w Augustowie
Feliński, Elżbieta (1927-2015) – profesor polonistyki
Fredro, Aleksander (1793-1876) – komediopisarz polski
Furmanik, Józef (1867-1953) – profesor teorii i harmonii w Wyższej Szkole im. Fryderyka Chopina w Warszawie

G

Gajcy, Tadeusz Stefan (1922-1944) – poeta polski
Gałczyński, Konstanty Ildefons (1905-1953) – poeta polski
Gassek, (?) – organista w Czarni
Gawrychowska, Halina – nauczycielka muzyki w Zambrowie
Gawrychowska, Ludwika – nauczycielka muzyki w Zambrowie
Gerson, Wojciech (1831-1901) – malarz polski
Gerwel, ks. Antoni (1894-1942) – proboszcz w Piekutach
Giedroyc, Franciszka (Franusia) – mieszkanka Modzel
Glinka, Joanna z d. de Calonne – żona Władysława Bonifacego
Glinka, Władysław Bonifacy (1864-1930) – właściciel Szczawina
Glińska, Anna („Babcia”) – mieszkanka Teolina
Gliński, ks. Apoloniusz (1905-1988) – kapelan Wojska Polskiego
Głębocka, Eugenia (Genia) – mieszkanka Teolina
Godlewski, Mirosław – nauczyciel muzyki w Zambrowie
Goethe, Johann Wolfgang von (1749-1832) – poeta niemiecki
Gorlińska, Leokadia z d. Ogonowska (1894-1987) – pielęgniarka z Wygody
Gounod, Charles (1818-1893) – kompozytor francuski
Grabert, Martin (1868-1951) – kompozytor niemiecki
Grabowski, Piotr – nauczyciel w Broku
Grądzka, Bolesława z d. Kossykowska – córka Józefa i Wiktorii
Grądzki, Stanisław – mąż Bolesławy
Grodzka, Teofila z d. Zajkowska (1892-?) – właścicielka karczmy w Wygodzie
Grodzki, Edwin Karol (1913 - ok. 1982) – syn Teofili, mieszkaniec Wygody, żołnierz AK

Grodzki, ks. Eugeniusz (1902-1960) – działacz Akcji Katolickiej z Łomży
Grohmanowa, Anna (1874-1949) – nauczycielka religii z Warszawy
Grygo, Andrzej (1948-) – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
Grzybowska, Eliza – uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
Guerelle, Barbara z d. Modzelewska (18.08.1951-) – córka Adama
Guerelle, Roger (1948-) – mąż Barbary
Guzewicz, ks. Franciszek („hrabia de Guzin”) (1905-1981) – przyjaciel Anny Jadackiej, proboszcz w Rosochatam
Guzowski, ks. Władysław (1862-1932) – wikary w Goworowie, potem – 1908-1932 – proboszcz w Czarni

H

Haller, gen. Józef (1873-1960) – generał WP
Halliop, ks. Józef (1883-1964) – proboszcz w Puchaczowie
Hankiewiczówna, Irena – z Żyrardowa, koleżanka Anny Jadackiej
Hartwig, Ludwik (1883-1975) – fotograf z Lublina
Hermanowiczówna, Irena – koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
Henning, Carl (1784-1861) – kompozytor niemiecki
Hepke, Rudolf (1870-1942) – dyrektor banku w Ostrowi
Hepke, Wacław Nikodem (1909-1971) – syn Rudolfa, kolega Antoniego (jun.) Jadackiego z Ostrowi
Hewelówna, Zofia – koleżanka Anny Jadackiej z Warszawy
Hitler, Adolf (1889-1945) – polityk niemiecki
Hebbel, Friedrich (1813-1863) – pisarz niemiecki
Herbich, Anna z d. Maciejewska (1948-) – córka Stanisława
Herbich, Piotr (1975-) – wnuk Stanisława Maciejewskiego
Hirsfeld, Ludwik (1884-1954) – lekarz polski
Homer (VIII w. a.Chr) – poeta grecki
Hornowski, (?) – urzędnik do spraw wodnych w Broku
Hryniewicz, Aleksander (1896-1981) – oficer Wojska Polskiego, adiutant Józefa Piłsudskiego

I

Iglikowska, Janina z d. Bobińska (1894-?) – nauczycielka polskiego w Ostrowi
*Ikarios – król Sparty
Iżycka, Leonia Antonina z d. Dachowska (1862-1949) – żona Józefa
Iżycka, Janina (ok. 1901 - 1918) – córka Józefa
Iżycki, hr. Józef Feliks (1854-1909) – właściciel dóbr w Zatorach

J

Jabłońscy, (?) (?) – mieszkańcy Piekut
 Jacewicz, Krystyna z d. Kukowska – żona Stanisława
 Jacewicz, Stanisław – elektryk z Wygody k. Zambrowa
 Jachna, Franciszek – nauczyciel w szkole w Broku, potem pułkownik
 Jadacka, Anna z d. Kłębek (1862-1918) – żona Jana I
 Jadacka, Anna (Andziulka, Haneczka, Hania, Hanka, Hanula, Hanusia, Hanuś, Hanuśka, Modzel) z d. Modzelewska (2.08.1913, Modzele - 2.06.2002, Białystok) – żona Antoniego (jun.)
 Jadacka, Bronisława z d. Michałowska (1.02.1913, okolice Grodna - 21.04.1982, Strzelce Krajeńskie) – żona Jana (sen.)
 Jadacka, Emilia z d. Dull (3.02.1891, Dolina k. Stanisławowa - 1972, Gorzów Wielkopolski) – córka Aleksandra i Franciszki, II żona Antoniego (sen.)
 Jadacka, Eugenia Kunegunda (Genia) (1912, Czarnia - 17.07.1943, Krasowo-Częstki) – córka Antoniego (sen.)
 Jadacka, Felicja (zmarła w dzieciństwie w Wielęcinie) – córka Antoniego I
 Jadacka, Henryka (1881, Wielęcin – 1889, Wielęcin) – córka Antoniego I
 Jadacka, Honorata Zyta z d. Modzelewska (22.04.1922, Modzele - 11.09.1998, Wygoda) – żona Mieczysława
 Jadacka, Irena z d. Kłosowicz (?) – żona Ryszarda, wnuka Jana
 Jadacka, Janina (1918, Brok - 27.10.1919, Brok) – córka Antoniego (sen.)
 Jadacka, Katarzyna z d. Zielińska (1860 - 29.03.1924, Brok) – żona Antoniego I
 Jadacka, Łucja z d. Rudkowska (vel Rutkowska) (?-1844) – żona Marcina
 Jadacka, Maria (vel Marianna) (1889, Wielęcin – zmarła w dzieciństwie, pochowana na Bródnie) – córka Antoniego I
 Jadacka, Marianna z d. Gamza (1892-1983) – żona Józefa
 Jadacka, Marianna z d. Świdwa (?-1856) – żona Jakuba
 Jadacka, Scholastyka (8.10.1832, Kozłowo - ?) – córka Jakuba
 Jadacka, Waleria z d. Pyszna (1881, Myszyniec - 27.04.1936, Ostrów, po ekshumacji: Łomża) – pierwsza żona Antoniego (sen.)
 Jadacka, Zofia z d. Mikołaj – żona Krzysztofa, matka Marcina
 Jadacka, Zofia Barbara z d. Kosmala (10.11.1919, Mełgiew – 22.11.2013, Łomża) – żona Zygmunta

Jadacki, Antoni I (1850, Dębniaki - 7.04.1920, Ochudno k. Wyszkowa) – syn Jakuba
 Jadacki, Antoni (sen.) (5/7.05.1885, Zatory - 28.04.1958, Strzelce Krajeńskie) – syn Antoniego I
 Jadacki, Antoni (jun.) Zygmunt (Antek, Antolek, „Bączyk”, „Irszulek”, „Szeryf”, Toleczek, Tolek, Tolusiek, Toluś, Tosiek) (15.11.1909, Czarnia - 8.12.1993, Białystok) – syn Antoniego (sen.)
 Jadacki, Antoni (18.12.1931-2006) – syn Jana (sen.)
 Jadacki, Franciszek Ksawery (1811-?) – syn Marcina
 Jadacki, Jacek Juliusz (Jacuś) (11.09.1946, Puchaczów -) – syn Antoniego (jun.)
 Jadacki, Jakub (1809, Krępiek – po 1910, Wyszków) – syn Marcina, żył ponad 100 lat
 Jadacki, Jan I (1856, Gulczewo – 2.11.1920, Gulczewo) – syn Franciszka
 Jadacki, Jan II (1892, Wielęcin - 1900, Zatory) – syn Antoniego I
 Jadacki, Jan (sen.) (15.04.1901 - 9.05.1973, Strzelce) – syn Antoniego I
 Jadacki, Jan (jun.) (24.05.1941-6.09.1998) – syn Jana (sen.)
 Jadacki, Józef (1884-?) – syn Jana I
 Jadacki, Krzysztof (? – 7.10.1794, Gulczewo) – prapradziadek Antoniego (sen.) Jadackiego
 Jadacki, Krzysztof (26.08.1950, Miastkowo -) – syn Mieczysława
 Jadacki, Marcin (1769, Gulczewo - 1845) – syn Krzysztofa, ojciec Jakuba
 Jadacki, Marek (1943, Mełgiew - 2015) – syn Mieczysława
 Jadacki, Marek (?) – syn Zenona
 Jadacki, Mieczysław (Mietek) (18.12.1913, Lubiel - 18.04.1997, Wygoda) – syn Antoniego (sen.)
 Jadacki, Paweł (1817-?) – syn Marcina
 Jadacki, Stanisław (29.12.1947-6.09.1998) – syn Jana (sen.)
 Jadacki, Wojciech (1949-) – syn Mieczysława
 Jadacki, Zbigniew (Zbysio, Zbyszek) (5.05.1946, Strzelce Krajeńskie -) – syn Ireny Kowalskiej
 Jadacki, Zenon (1939-) – syn Jana (sen.)
 Jadacki, Zygmunt (Zydek, Zygmus) (6.11.1916 – 3.11.2010, Łomża) – syn Antoniego (sen.)
 Jadacki, (?) – karbowy w Cieński, pow. Pułtusk
 Jagielska, Maria (Marysia) z d. Dobrzyńska – żona Tadeusza z Wólki-Pieniek
 Jagielski, Tadeusz – mieszkaniec Zator
 Jakubowicz, Barbara – nauczycielka muzyki w Zambrowie

Janiak, ks. Józef – wikary w Ostrowi
 Janicki, Aleksander (1888-?) – nauczyciel francuskiego w Łomży
 Jankowski, Edward Jerzy (1912-1991) – historyk literatury polskiej
 Janusz I Starszy (1340-1429) – książę mazowiecki
 Januszewski, ks. Józef (1908-1993) – z Rajgrodu
 Jaraczewska, Jadwiga z d. Piłsudska (1920-2014) – córka Józefa
 Jarosik, Adam – organista w Barcicach
 Jastrzebska, Irena – koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
 Jastrzebska, Jadwiga – mieszkanka Teolina
 Jaworska, Cecylia z d. Jadacka (1897-1968) – córka Antoniego I Jadackiego
 Jaworska, Walentyna z d. (?) (ok. 1927 - 1990) – żona Zygmunta, wyszła za mąż po raz drugi
 Jaworski, Ludwik (1896-1986) – nauczyciel w Augustowie
 Jaworski, Wincenty (1897-1970) – mąż Cecylii
 Jaworski, Zygmunt (1923-1990) – syn Wincentego
 Jemielity, ks. Witold (1935-2022) – historyk ziemi łomżyńskiej
 Jezierska, Krystyna (Krysia) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Jezus Chrystus (ok. a.Chr. - ok. 30 n.e.)
 Jończyk, Halina z d. Miller (1943-) – siostra Haliny, aktorka, uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Józef, św. (30 a.Chr. - 20)
 Józków, Bożena Lidia z d. Jadacka (28.11.1938, Lublin -) – córka Antoniego (jun.)
 Józków, Małgorzata (1964-) – wiolonczelistka polska, córka Bożeny i Romualda
 Józków, Romuald Eustachy Jan (29.03.1930, Działdowo - 2022, Białystok)
 Judka, Herszek (Irszulek) – syn sklepikarza
 Judka, (?) – sklepikarz w Wygodzie
 Judka, (?) – żona sklepikarza w Wygodzie
 Jurand, Jerzy (1905-1960) – kompozytor polski
 Jureczak, Marianna – z Białegostoku
 Juchimowicz, Małgorzata z d. Solińska (1970-) – wnuczka Zygmunta Jadackiego
 Juszkiewicz, (Antoni?) („Olek”) – łącznik armii podziemnej

K

Kac, Abram – syn felczera
 Kac, (?) – felczer w Ostrowi

Kacew, A.J. [Кацев, А.Я.] – oficer sowieckiej bezpieki
 Kacjan, (?) – młynarz w Ostrowi
 Kaczmarek, Elżbieta z d. Lenda (1946-) – córka Ireny
 Kaczmarek, Jan (1945-) – mąż Elżbiety
 Kaczyński, ks. Józef (1917-2009) – proboszcz w Piekutach
 Kalinowski (Czesław?) – mieszkaniec Częstok
 Kalinowski, (?) – mieszkaniec Zator
 Kalinowski, (?) – organista w Brańszczyku
 Kalisz, Tomasz – wójt Brańszczyka w latach trzydziestych XX wieku
 Kaliszczak, Mirosława (Mirka) Róża z d. Jadacka (28.02.1939, - 28.05.1989, Strzelce) – żona Tadeusza
 Kaliszczak, Tadeusz (3.10.1934 - 28.12.1991, Strzelce)
 Kaliwoda, Leon (1897-1918) – harcerz łomżyński
 Kamieniecka, Szejna (1907-?) – lekarka z Brańska
 Kamienowscy, (?) (?) – z Łomży, krewni Aleksandry Modzelewskiej (żony Jana)
 Kamieńska, Aleksandra z d. Spaleńska, Io voto Markowska
 Kamieński, Franciszek – wójt Gminy Piekuty w 1937 roku
 Kamieński, Kazimierz (ps. „Huzar”) (1919-1953) – syn Franciszka
 Kapp, Michał (1901-1941) – nauczyciel historii w Łomży
 Karol IV Luksemburski (1316-1378) – król czeski
 Karownicy, (?) (?) – mieszkańcy Piekut
 Karwowska, Anna (vel Janina, Anka) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Karwowska, Zofia z d. Maciejewska – zob.: Zofia Wieczorek
 Karwowski, Ewald Franciszek (1912 – 27.08.1938, Bródno) – I mąż Zofii Wieczorek, przemysłowiec
 *Kazimierz – bohater Gwiazdy Syberii
 *Kazimierz, św. (1458-1484)
 Keller, Hermann (1885-1967) – kompozytor niemiecki
 Kempisty, (?) – bractewny w Broku
 Kiepora, Jan (1902-1966) – śpiewak polski
 Kiepora, Marta z d. Eggerth (1912-2013) – żona Jana, śpiewaczka węgierska
 Kiliński, Jan (1760-1819) – uczestnik Powstania Kościuszkowskiego
 Kimaczyński, ks. Antoni (1889-1945) – ksiądz z Biłgoraja
 Klemensowicz, Anna – mieszkanka Białegostoku
 Klimek, Karol (1882-1969) – kierownik szkoły w Broku
 Kliszcz, (?) – nauczyciel z parafii Puchały

Kluz, Barbara z d. Blando – uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Kłos, (?) – organista w Wyszku
 Kłoskowski, ks. Józef (1902-1972) – prefekt łomżyński
 *Kmicic, Andrzej – bohater Potopu Henryka Sienkiewicza
 Knapkiewicz, Andrzej (1953-) – nauczyciel muzyki w Zambrowie
 Kociak, Dawid – młynarz w Wygodzie
 Kocot (Jan?) – organista w Zambskach
 Kocotowa (Zofia?) – żona organisty
 Koenig, Wanda – koleżanka Anny Jadackiej z Warszawy
 Kolberg, Oskar (1814-1890) – etnograf polski
 Kolosek, (?) – mieszkanka Brzostowej
 Kołakowski, (?) – profesor solfeżu i śpiewu gregoriańskiego w Wyższej Szkole im. Fryderyka Chopina w Warszawie
 Konopnicka, Maria (1842- Kondracikówna, Tekla – koleżanka Anny Jadackiej z Grodna 1910) – pisarka polska
 Konwa, Stach (-1734) – przywódca kurpiowski
 Korczakowa, dr Celina – nauczycielka higieny z Warszawy
 Korycka, Maria – kursantka z Sopoćkiń
 Kosakowski, (?) – uczeń z Bargłowa
 Kosiński, Piotr – budowniczy kościoła w Rosochatem
 Kosmaczewski, Bolesław – strażnik akcyzny w Czarni
 Kossak, Juliusz (1824-1899) – malarz polski
 Kossakowska, Ewa z d. Kossykowska (?-1922) – córka Józefa i Marianny
 Kossakowski, (?) – mąż Ewy
 Kossykowska, Marianna z d. Trzaska (? - 13.11.1891) – I żona Józefa
 Kossykowska, Wiktoria z d. Leśniewska (1861-?) – II żona Józefa
 Kossykowski, Jan (1890-?) – syn Józefa i Wiktorii
 Kossykowski, Józef (1849-1904?)
 Kossykowski, Michał – syn Józefa i Wiktorii
 Kossykowski, Stanisław – syn Józefa i Marianny
 Kossykowski, Władysław (1892?-?) – syn Józefa i Wiktorii
 Kostro, Bolesław (1885-1952) – kleryk w Piekutach w 1937 roku
 Kościuszkowski, Tadeusz (1746-1817) – naczelnik insurekcji 1794 roku
 Kotarbiński, Tadeusz (1886-1981) – filozof polski
 Kotulski, Józef (1906-1989) – dekarz z Mełgwi
 Kowalska, Irena Maria (Irenka) z d. Jadacka (1911-1990) – córka Antoniego (sen.)

Kowalski, Józef (12.02.1901 - 29.12.1977, Strzelce) – mąż Ireny
 Koziorowski, Bronisław (1881-1968) – okulista warszawski
 Kowalik, Stefan – nauczyciel muzyki w Zambrowie
 Krajewska („Krajesia”), Ewa – gospodyni ks. Kuskowskiego w Broku
 Krajewska, Maria z d. Malinowska (1911-1990) – żona Edmunda, nauczycielka w Rajgrodzie
 Krajewska, ? – kuzynka Walerii Jadackiej z Broku
 Krajewski, Bogdan – syn Edmunda, uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Krajewski, Edmund (1904-1960) – nauczyciel w Rajgrodzie
 Krajewski, Edmund (Mundzio) – syn Ewy
 Krajewski, (?) – mieszkaniec parafii Puchały
 Krakowiak, ks. (?) (? - ok. 1925) – wikary w Broku
 Kranc (vel Kranz), (?) – właściciel sklepu w Częstokach
 Krasicki, bp Ignacy (1735-1801) – pisarz polski
 Kraszewski, Józef Ignacy (1812-1887) – pisarz polski
 Kraus, Franciszek (1896-1969) – nauczyciel geografii w Łomży
 Krawczyk, Halina – uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Królówna, Wanda – koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
 Krzyżanowski, Julian (1892-1976) – historyk literatury polskiej
 Kubicki, (?) – policjant piekucki
 Kuchta, Fabian (1861-?) – mąż Marianny
 Kuchta, Marianna z d. Trześniewska (1860-?) – córka Rozalii i Jana
 Kuczyńska, Irena z d. Młynarczyk – córka Pauliny
 Kuczyński, Stanisław – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w latach 30-tych
 Kuczyński (Stanisław?) – mąż Ireny
 Kudriajew, Władimir Gieorgijewicz [Кудряев, Владимир Георгиевич] – sekretarz białostockiego obkomu KP(b)B
 Kulka, Konstanty Andrzej (1947-) – skrzypek polski
 Kurowicka (Stanisława?) (1931-2001) – nauczycielka muzyki w Zambrowie
 Kuskowski, ks. Henryk (1869-1939) – proboszcz w Broku, potem w Ciechanowskiem
 Kutrzeba, Józef (pierwotnie: Arie Fajwiszyc) (1927-?) – Żyd uratowany przez ks. Falkowskiego
 Kuźmicz, Larysa (1914-2010) – mieszkanka Augustowa

Kwiecińska, Janina z d. Pyszna (18.07.1929, Myszyniec -) – żona Kazimierza
Kwieciński, Kazimierz (9.03.1925, Popów - 13.02.1997, Warszawa)

L

Laskowski, Witold (1912?-2000?) – kuzyn Ludwika Brunona Świderskiego
Lebioda, Jan – organista w Myszyńcu
Lejbka, Icchak (Icek) – szewc w Wygodzie
Lenartowicz, Teofil (1822-1893) – poeta polski
Lenda, Irena z d. Jaworska (1929-1977) – córka Cecylii
Lenda, Mieczysław (1929-1984) – mąż Ireny
Lenin, Władimir [Ленин, Владимир] (1870-1924) – polityk rosyjski
Lewicki, Henryk – nauczyciel w Rajgrodzie
Libera, Zdzisław (1913-1998) – historyk literatury polskiej
Lichey, Reinhold (1880-1957) – kompozytor niemiecki
Lisowska, Anna (1931-) – córka Mariana
Lisowski, Marian (1904-1944) – lekarz z Mełgwi
Lutosławska, Maria Józefa z d. Jabłońska (1870-1936) – żona Stanisława
Lutosławski, ks. Kazimierz (1880-1924) – brat Stanisława
Lutosławski, Stanisław Kostka (1864-1937) – właściciel Drozdowa w okresie międzywojennym
Lutosławski, Wincenty (1863-1954) – brat Stanisława, filozof

Ł

Łaniewska, Maria – nauczycielka z Warszawy
Łobrow, Mikołaj – mieszkaniec Broku
Łobrowa, Eliza (Liza) – siostra Mikołaja
Łobrowa, (?) – żona Mikołaja
Łojewska, Helena – żona Józefa
Łojewski, Jan („Zielone Ucho”) – syn Józefa uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego z Rajgrodu
Łojewski, Józef – mieszkaniec Rajgrodu
Łoparewicz, Iwan Zacharowicz – protokolant NKWD
Łuczaj, ks. (?) – ksiądz z Piekut
Ługowski, Krzysztof – nauczyciel muzyki w Zambrowie
Łukawska, Felicja z d. Sobolewska (1915-1967) – żona Józefa
Łukawski, Józef – mieszkaniec Augustowa

Łukawski, Stanisław (1948-) – syn Józefa
Łukawski, Władysław (1946-2021) – syn Józefa
Łukomski, bp. Stanisław Kostka (1874-1948) – ordynariusz łomżyński

M

Maciaszczyk, Marian – mąż Urszuli
Maciaszczyk, Urszula z d. Jadacka (1937-) – córka Jana (sen.)
Maciejewska, Franciszka z d. Baczewska (1890? - 1.09.1952, Bródno) – córka Magdaleny
Maciejewski, Bogumił (Bogdan, „Bubek”) (1927? - 24.11.1969, Bródno?) – syn Franciszka, architekt
Maciejewski, Franciszek (6.10.1883 - 2.05.1952, Bródno) – mąż Franciszki
Maciejewski, Kazimierz (1920? - 9.08.1972, Bródno) – syn Franciszka
Maciejewski, Sławomir (10.08.1928, Warszawa - 17.08.1972, Kraków) – syn Franciszka
Maciejewski, Stanisław (11.08.1915 - 26.01.2002, Bródno) – syn Franciszka
Magellan, Ferdynand (1480- 1521) – żeglarz portugalski
Majdowska, Karin – malarka polska
Majdowski, Andrzej – polski historyk architektury
Major (Zurech?) – rzeźnik w Wygodzie
Malewski, Stanisław (1928-2004) – nauczyciel muzyki w Zambrowie
Małgorzata, św. (III w.)
Małkińska, Irena z d. Bala – siostra Eugeniusza i Euzebiusza
Mandelbaum, Krystyna – zob. Krystyna Modrzewska
Mann, Thomas (1875-1955) – pisarz niemiecki
Maria, św. (I w.) – matka Jezusa Chrystusa
Marianiński, (?) – mieszkaniec Broku
Marczykowie, (?) (?) – koledzy Antoniego (jun.) Jadackiego w Ostrowi
Markowska, Helena – mieszkanka Goworówka k. Goworowa
Marzejkowska, Maria – koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
Matejko, Jan (1838-1893) – malarz polski
Matuszewski, Emil (vel Emilian?, „Garbusek”) – pomocnik organisty w Pniewie
Matuszewski, (?) – stolarz w Goworowie, ojciec Emila
Mazur, Józef – mieszkaniec Piekut
Mazurkiewicz, Adam – ziemianin z łomżyńskiego

Mazurkiewicz, Franciszek (1861-?) – syn Adama i Luizy, ziemianin z Wygody
 Mazurkiewicz, Luiza – żona Adama
 Mazurkiewicz, Stanisława z d. Jankowska (1863-?) – ziemianka z Pniewa, żona Franciszka
 Mazurówna, Agnieszka – córka Józefa, pracowniczka Urzędu Gminnego w Piekutach
 Mianowska, Aniela – z Teolina
 Michalski, Feliks (1879-1946) – architekt polski
 Mickiewicz, Adam (1798-1855) – poeta polski
 Mierzejewska, Koleta – siostra sekretarza w Goworowie
 Mierzejewski, (?) – sekretarz w Goworowie
 Mieszkowski, ks. Bolesław (1880-1935) – proboszcz w Broku
 Miklaszewicz, ks. Stanisław – wikary z Sopoćkiń, pod koniec lat trzydziestych proboszcz w Kadzidle i Myszyńcu
 Mikołaj, św. (III-IV w.)
 Milewski (Tadeusz?) (1875-?) – lekarz w Ostrowi Mazowieckiej
 Miller, Ewa – siostra Haliny Jończyk uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Młynarczyk, Piotr (?-1928) – II mąż Pauliny Apel-Młynarczyk
 Moczulska, Irena (Irenka) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Moczulski, Kazimierz (Kazio) – brat Ireny
 Moczydłowski, (?) (?) – mieszkańcy Piekut
 Moćko, Zofia z d. Fajnzilberg (1919-200) – mieszkanka z Białegostoku
 Mode, Albert – zob. Stanisław Modzelewski – syn Jana (sen.)
 Mode, Emilia (vel Amelia) – zob. Emilia Modzelewska
 Modrzewska, Krystyna (pierwotnie: Mandelbaum) (1919-2008) – profesorka w Akademii Medycznej w Białymstoku i Lublinie
 Modzelewska, Aleksandra II z d. Kossykowska (1883 - 18.01.1951, Modzele) – żona Jana (sen.)
 Modzelewska, Aleksandra I z d. Modzelewska (1855 - 13.06.1948, pochowana w Puchałach) – żona Piotra
 Modzelewska, Aleksandra (Olesia) III z d. Modzelewska (1918-1988) – żona Adama II
 Modzelewska, Aniela z d. Kossykowska – II żona Feliksa
 Modzelewska, Antonina z d. Radgowska (1798-1857) – żona Pawła
 Modzelewska, Bożena – bibliotekarka z Wygody
 Modzelewska, Emilia (vel Amelia Mode) z d. Pasek (1920 – 27.08.2020) – żona Stanisława I

Modzelewska, Ewa (1907 - zmarła w dzieciństwie) – córka Jana (sen.), bliźniacza siostra Adama I
 Modzelewska, Franciszka (? - 1902, Guty) – córka Marcela
 Modzelewska Helena z d. Dmochowska (1912-1995), żona Rocha
 Modzelewska, Irena z d. Wiśniewska (1930-) – żona Tadeusza
 Modzelewska, Józefa z d. Gutowska (1869-1909) – żona Marcela
 Modzelewska, Kazimiera z d. Głębocka (1945-) – żona Jerzego
 Modzelewska, Krystyna (1947-) – z Wygody
 Modzelewska, Leokadia z d. Jaskielewicz (1941-) – żona Stanisława, syna Adama II
 Modzelewska, Marianna – żona Tomasza
 Modzelewska, Marianna (1890 - 1894, Guty) – córka Marcela
 Modzelewska, Marianna z d. Wysocka (1834, Grabowo - po 1920) – żona Macieja
 Modzelewska, Marie-Thérèse z d. Lafosse (1931-) – żona Stefana
 Modzelewska, Sabina z d. Kołakowska (1908-1990) – żona Jana (jun.)
 Modzelewska, Stefania (Stefa) – z Modzel
 Modzelewski, Adam I (1907-1907) – syn Jana (sen.), bliźniaczy brat Ewy
 Modzelewski, Adam II (1916-1977) – syn Jana (sen.)
 Modzelewski, Andrzej (1945-1990) – syn Rocha
 Modzelewski, Antoni (? - 1898, Guty) – syn Marcela
 Modzelewski, Antoni (1909, Guty - ?) – syn Marcela
 Modzelewski, Bolesław (zmarł w dzieciństwie) – syn Piotra
 Modzelewski, Feliks (Feliś) (1860 - po II Wojnie Światowej) – syn Macieja
 Modzelewski, Franciszek (1.01.1949 – de facto: 25.12.1948, Modzele -) – syn Adama II
 Modzelewski, Jan (sen.) (26.07.1874 - 11.12.1958, Modzele) – syn Macieja
 Modzelewski, Jan (jun.) (1905-1959) – syn Jana (sen.)
 Modzelewski, Jarosław – syn Stanisława III
 Modzelewski, Jerzy (1937-2024) – syn Rocha
 Modzelewski, Johann (1970-) – syn Stefana
 Modzelewski, Józef (1918 - zmarł w wieku 3-4 lat) – syn Jana (sen.)
 Modzelewski, Krzysztof (1955-) – syn Tadeusza
 Modzelewski, Krzysztof – prawnuk Jana (sen.)
 Modzelewski, Maciej (23.02.1833 - 1907) – syn Pawła
 Modzelewski, Marcel (1865 - po II Wojnie Światowej) – syn Macieja
 Modzelewski, Marek – syn Stanisława III

Modzelewski, Mieczysław (1945, Modzele - 1968, Sterławki, pochowany w Rynie) – syn Adama II
 Modzelewski, Paweł (24.07.1797 - 1879) – syn Tomasza
 Modzelewski, Piotr (ok. 1850, Modzele - ok. 1930, pochowany w Bargłowie)
 Modzelewski, ks. Roch („Zagłoba”. „Robak”) (15.08.1883-18.07.1961) – syn Piotra Modzelewski, Roch (Roszek) (1908-1971) – syn Jana (sen.)
 Modzelewski, Stanisław I (vel Albert Mode) (1912, Modzele - 1988) – syn Jana (sen.)
 Modzelewski, Stanisław II (- zm. podczas II Wojny Światowej) – syn Rocha
 Modzelewski, Stanisław III (1938, Modzele - 2014, Ryn) – syn Adama II
 Modzelewski, Stefan (Stéphane) (11.03.1945-) – syn Stanisława I
 Modzelewski, Tadeusz (1933-2002) – syn Jana (jun.)
 Modzelewski, Tomasz (1760?-1818?)
 *Mojżesz (XIII w. a.Chr.)
 Morawski (Stefan?) – półziemianin z Broku
 Morawski, ks. (Wojciech?) (1810?-1875?) – kanonik płocki, brat Stefana
 Moryto, Stanisław (1947-2018) – kompozytor i organista polski
 Morzkowski, Michał (1816-1868) – poeta polski
 Mróz, Stanisław – pomocnik organisty w Goworowie

N

Nadwodna, Bronisława – mieszkanka z Goworowa
 Nagolski, Jan (Janek) – uczeń z Bargłowa
 Najder, Zdzisław (1930-2021) – historyk literatury i polityk polski
 Nejfeld, Janina – żona Władysława
 Nejfeld, Władysław – mieszkaniec Rajgródu
 *Niobe – mityczna królowa Teb
 *Noe

O

Ochrynik (Tomasz?) – organista w Dąbrówce n. Bugiem
 Okrasina, (?) – mieszkanka Broku
 Olender, Genowefa (Nusia) – bratanica Wacława
 Olender, ks. Wacław (1901-1991) – proboszcz w Rajgrodzie
 Olędzka, Bożena z d. Zawko (1938-) – nauczycielka muzyki z Białegostoku

Olędzka, Władysława z d. Truskolaska – żona Aleksandra
 Olędzki, Aleksander – mieszkaniec Krasowa-Częstek
 Olędzki, Stanisław – mieszkaniec Wierzbowizny
 Olędzki, (?) – organista z diecezji łomżyńskiej
 Olszewska, Kazimiera (1912-?) – córka Bartłomieja?
 Olszewska (Stefania?) z d. Baczewska (1886?-?) – córka Adama
 Olszewski (Bartłomiej?) (1872?-?) – mąż Stefanii?
 Olszewski, ks. Wacław (1901-1991) – proboszcz w Piekutach
 Opatowska, Michalina – mieszkanka Wygody
 Ormezewski, Leon (1896-1949) – nauczyciel muzyki i rysunków z Ostrowi
 Orzeszkowa, Eliza z d. Pawłowska (1841-1910) – pisarka polska
 Ostrowska, Janina – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Oziewicz, Jadwiga (Jadzia) – córka Ignacego, koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
 Oziewicz, Ignacy (1887-1966) – pułkownik Wojska Polskiego, komendant Narodowych Sił Zbrojnych

P

Palutis, ks. (?) – ksiądz z Teolina
 Partyka, Waldemar – syn Ireny Kłosowicz-Jadackiej
 Paweł, św. (I w.)
 Pazik, Feliks (1868-1921) – krewny Jadackich w Łomży
 Pecyner, Jecia – dziewczynka z Wygody
 Pełka, Daria (2.06.1993, Drezdenko-) – wnuczka Zbigniewa Jadackiego
 Penderecki, Krzysztof (1933-2020) – kompozytor polski
 *Penelopa
 Petkiewicz, Franciszek (1913 - 29.11.1946) – syn Władysława
 Petkiewicz, Franciszka (Franeczka) z d. Pyszna (1885, Myszyniec - 14.11.1958, Myszyniec) – córka Antoniego
 Petkiewicz, Stanisław (1914 - 19.06.1944) – syn Władysława
 Petkiewicz, Władysław (1891-1944, Myszyniec) – mąż Franciszki
 Petkiewicz, Zygmunt (1915-20.06.1953) – syn Władysława
 Piasecki, Stanisław – zob. Stanisław Jadacki
 Piechocińska, Marta z d. Kalisz (1912-1991) – mieszkanka Brańszczyka, córka miejscowego wójta
 Piekarzewski, (?) – piekarz z Goworowa
 Pierzchała, Kazimierz – mieszkaniec Piekut

Pietkiewicz, Janina (Nina) – córka Anny, koleżanka Anny Jadackiej w Grodnie
 Pietkiewicz, Anna (1891-1975?) – śpiewaczka polska i nauczycielka śpiewu w Grodnie
 Piliński, Stanisław – uczeń Antoniego (jun.) z Mełgwi
 Piłsudska, Aleksandra z d. Szczerbińska (1882-1963) – żona Józefa
 Piłsudska, Wanda (1918-2001) córka Józefa
 Piłsudski, Józef (1867-1935)
 Piotr, św. (I w.)
 Piotrowska, Irena Katarzyna z d. Tytek (1921-18.06.1981) – żona Jana
 Piotrowski, Jan (1919-?)
 Piotrowski, Jan Antoni (ok. 1947 -) – syn Jana
 Pisarska, Barbara z d. Bauchrowicz – żona Feliksa
 Pisarska, Honorata z d. Sitowicz – I żona Piotra
 Pisarska, ? – II żona Piotra
 Pisarska, Honorata Paulina (1894-) – córka Piotra i I żony Honorata Sitowicz
 Pisarska, Maria (Maniuta) – córka Piotra i II żony
 Pisarska, Stanisława (1890-) – córka Piotra i I żony
 Pisarska, Stefania – córka Piotra i I żony
 Pisarski, Feliks (1857-?) – organista z Pniewa, brat Piotra
 Pisarski, Piotr (ok. 1862 - 1910) – organista z Goworowa
 Pisarski, Władysław Filip (1883 - 16.05.1909) – syn Feliksa
 Piszczatowski, Edward – nauczyciel muzyki w Zambrowie
 Piszewska, Maria z d. Zielińska – córka Aleksandra
 Piszewski, Stanisław – mąż Marii
 Plater, Emilia (1806-1931) – bohaterka Powstania Listopadowego
 Płotczykówna, Czesława – mieszkanka Teolina
 Poczobutt-Odlanicki, Henryk (Henio) (1909-1996) – kolega Anny Jadackiej z Grodna; od 1929 student Wydziału Humanistycznego USB
 Podbielska, Wanda – mieszkanka Teolina
 Podbielski, Jan (1904-1958) – kolega Antoniego (jun.) Jadackiego z Ostrowi
 Podedworny, Eugeniusz – mieszkaniec Zambrowa
 Podgórska, Małgorzata z d. Jadacka (11.01.1848, Mystkowice Stary - 31.10.1903, Drwały k. Obrytego) – córka Jakuba
 Podgórski, Michał (1827-1906) – mąż Małgorzaty
 Pogonowski, Mieczysław (1880-1947) – nauczyciel matematyki i fizyki w Łomży

Polaska, Regina Marianna z d. Tytek (15.12.1921-12.03.2002) – żona Franciszka Polaskiego.
 Polaski, Franciszek (vel Francis, Frank James) (1914-?)
 Polaski, Władysław (vel William, Bill) (1958-)
 Poreda, Janina – nauczycielka muzyki w Zambrowie
 Prosińska, Bożena – nauczycielka muzyki w Zambrowie
 Prosińska, (W?) – mieszkanka Teolina
 Prostko, Jan – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Prus, Bolesław (1847-1912) – pisarz polski
 Przedpełski, ks. Wacław (1864-1925) – proboszcz w Zamskach
 Przerwa-Tetmajer, Kazimierz (1865-1840) – pisarz polski
 Przeździecka, Aleksandra – mieszkanka Teolina
 Puławscy, (?) (?) – z Piekut
 Pyszna, Danuta z d. Włodkowska (1930-) – żona Stanisława (1922-1952)
 Pyszna, Ewa z d. Krajewska (1850-1930), Myszyniec – żona Antoniego I
 Pyszna, Halina z d. Petkiewicz (1923, Myszyniec -) – żona Stefana
 Pyszna, Jadwiga z d. Zabielska (1927, Pieczyńska -) – żona Franciszka
 Pyszna, Krystyna z d. Glinka (1932-) – żona Zygmunta
 Pyszna, Marianna z d. Sobotko (16.03.1897, Brzozowy Kąt - 16.01.1982, Myszyniec) – żona Władysława I
 Pyszna, Stanisława z d. Lis (1939, Lipniki -) – żona Władysława III
 Pyszny, Antoni I (1855, Myszyniec - 1922, Myszyniec)
 Pyszny, Antoni II (zmarł młodo) – syn Antoniego I
 Pyszny, Franciszek (1914, Myszyniec - ok. 1990, Ostrołęka) – syn Władysława I
 Pyszny, Józef – brat Antoniego I
 Pyszny, Stanisław (1922, Myszyniec - 1952, Myszyniec) – syn Władysława I
 Pyszny, Stefan (26.04.1917, Brzozowy Kąt - 21.04.1971, Myszyniec) – syn Władysława I
 Pyszny, Władysław I (1877 Myszyniec - 1941, Myszyniec) – syn Antoniego I
 Pyszny, Władysław II (1920, Myszyniec - 1922, Myszyniec) – syn Władysława I
 Pyszny, Władysław III (1927, Myszyniec - 12.1997, Myszyniec) – syn Władysława I
 Pyszny, Zygmunt (10.08.1925, Myszyniec - 22.08.1997, Myszyniec) – syn Władysława I

R

Ramotowska, Zofia (Zosia) (1914-?) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży; późniejsza studentka Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Wileńskiego (od 1934)
Rapacki, Józef (1871-1929) – malarz polski
Remarque, Erich Maria (1898-1970) – pisarz niemiecki
Renik, Wanda z d. Janowska (1925-2011) – teatrolog, członkini Stowarzyszenia Grodnian im. Elizy Orzeszkowej
Rogowski, ks. Antoni – wikary w Brańszczyku
Rokicka, Bronisława (1895?-?) – służąca proboszcza a potem wikarego w Broku
Roman, Walery (1877-1952) – polityk polski
Ropiak, Franciszek – przemytnik w Czarni
Rostkier, Rachela – córka handlarza w Wygodzie
Rostkier, (Szloma?) – handlarz w Wygodzie
Roszkowski, Czesław (1903-1966) – wikariusz w Ostrowi
Rowińska, Maria (Marysia) – mieszkanka Broku
Rowiński, i (Józef?) – naczelnik straży pożarnej w Broku
Różycki, Ludomir (1883-1953) – kompozytor polski
Rudnicki, Jerzy (1926-2008) – lekarz polski, historyk, malarz-amator
Rudziński, Krzysztof – nauczyciel muzyki w Zambrowie
Rudzka, Leonia (1900-1992) – córka Adolfa i Marii
Rudzka, Maria Katarzyna (1884 - ok. 1984?) – żona Adolfa
Rudzki, Adolf (1884-1927) – ziemianin z Brańszczyka
Rulikowska, Maria z d. Michalska (1888-1951) – żona Zygmunta
Rulikowski, hr. Zygmunt (1874-1960) – właściciel Podzamcza
Rychlicki, Zdzisław (Zdziś)
Rydz-Śmigły, Edward (1886-1941) – polityk polski
Rylke, Albert – nauczyciel w Grodnie

S

Sadowski, Stanisław – strażnik akcyzny w Czarni
Sałyga, (?) – zięć Jakuba Jadackiego
Sałyga, Zygmunt – wnuk Jakuba Jadackiego
Sałyga, (?) z d. Jadacka – siostra Antoniego (sen.)
Sałyga, Julia – siostrzenica Antoniego (sen.)
Sałyga, Zygmunt – siostrzeniec Antoniego (sen.)
Samsonow, Aleksander – generał carski
Sasinowska, Janina – mieszkanka Piekut

Sasinowski, bp Mikołaj (1909-1982) – ordynariusz łomżyński
Sasinowski, Stanisław – mieszkaniec Ostrowi
Sawoniewski, ks. Ludwik („Pomidor”) (1891-1966) – prefekt z Grodna
Shakespeare, William (1564-1616) – dramaturg i poeta angielski
Sianożęcki, Jan (vel Jan Wojnicz-Sianożęcki) (1878-1957) – nauczyciel fizyki w Ostrowi Mazowieckiej
Siebsiak, Janina z d. Wójcik (1902-?) – akuszerka z Brzezin
Sieczkowska, Halina z d. Wiśniewska – żona Andrzeja
Sieczkowski, Andrzej (1913-1998) – językoznawca polski
Sienkiewicz, Henryk (1846-1916) – powieściopisarz polski
Siennicki, ks. W(acław?) – pierwszy proboszcz w Czarni
Sikorski, Władysław – generał, polityk polski (1881-1943)
Simonides (ok. 556 - 468 a.Chr.) – poeta grecki
Skarżyński, Aleksander – organista w Piekutach
Skarżyński, ks. Bolesław (1867-1941) – proboszcz z Lubiela n. Narwią
Skarżyński, Stanisław (1847-1921) – dziedzic Popowa k. Wielęcina
Skierkowski, ks. Władysław (1886-1941) – duchowny i etnograf polski
Słabiak, (?) – nauczycielka z Wielęcina
Słabiak, Stanisław – mieszkaniec Wielęcina
Słowacki, Juliusz (1809-1849) – poeta polski
Smellówna, Ludwika (Ludka) – z Łęczycy
Słomka, ks. Zdzisław – proboszcz w Hodyszewie
Sobocińscy, (?) (?) – z Zator, teściowie Józefa Zielińskiego
Sokołowska, Danuta – uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
Sokołowski, Andrzej – nauczyciel muzyki w Zambrowie
Sokołowski, Ryszard – brat Danuty, uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
Solińska, Elżbieta z d. Jadacka (26.04.1947, Myszyniec -) – żona Wiesława
Soliński, Wiesław (3.01.1946, Wąsosz - 25.05.1998, Barczewo)
Sopoćkówna, Bronisława – koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
Soroka, Antoni – mieszkaniec Grodna
Staff, Leopold (1878-1957) – poeta polski
Stalin, Josip (1878-1953) – polityk rosyjski
Staniaszko, ks. Ignacy (1869-1958) – wikary w Goworowie; potem proboszcz w Żurominie
Stanisław, św. (1030-1079)
Starzeński, Leopold (1835-1904) – pisarz polski

Staszczyk, Adam (1850-1909) – dramaturg i poeta polski
 Stefczyk, Franciszek (1861-1924) – działacz spółdzielczy
 Stępień, Władysław („Czarny”) – działacz podziemny
 Strękowska, Krystyna z d. Wardaszk (1966-) – córka Eugeniusza
 Strzałko, Stanisław (1898 - 1918) – uczeń z Bargłowa
 Strzałko, Franciszka z d. Klekot – matka Stanisława
 Stuczyński, Józef – kościelny w Brańszczyku
 Stuczyński, Eugeniusz (Genek) – syn Józefa
 Syczewski, Norbert (1876-1964?) – nauczyciel muzyki w Łomży
 Sygniak, Franciszek – kierownik szkoły w Piekutach
 Sygniakowa, Wiktora – żona Franciszka, nauczycielka
 Szabelski, Bolesław (1896-1979) – syn Franciszka, kompozytor polski
 Szabelski, Franciszek – organista z Sadownego
 Szabot, (?) – nauczyciel w szkole w Pobyłkowie k. Serocka
 Szaykowski (vel Szakowski), (?) – lekarz powiatowy w Ostrowi
 Szczepanik, Andrzej (1879-1954) – ogrodnik w Janowicach
 Szczęsny, Stanisław – mieszkaniec Wielęcina
 Szczęsny, (?) („Moros”) – ojciec Stanisława
 Sztachelska, Maria Antonina z d. Gorska (1891-1953) – siostra Natalii
 Świdorskiej
 Sztrant, (?) – młynarz w Goworowie
 Szulkowska, Helena – z Probostwa koło Goworowa
 Apel (1909 - 1985, Myszyniec) – żona Aleksandra
 Szum, Aleksander (1903 - 1978, Myszyniec)
 Szum, Wanda z d. Szumowska, Teresa – mieszkanka Zambrowa
 Szwarc, Jan – karczmarz w Goworowie, potem sklepikarz w Broku
 Szwarc, Janina – córka Jana
 Szwarc, Kazimiera – córka Jana
 Szymanowski, Karol (1882-1937) – kompozytor i pianista polski

Ś

Śleszyńska, Emilia – córka Józefa, koleżanka Anny Jadackiej z Grodna
 Śleszyński, Józef (1888-1937) – lekarz w Grodnie
 Śmiech, Stanisław – kościelny w Mełgwi
 Śniegocki, ks. Józef (1881-1967) – ksiądz-katecheta w Ostrowi
 Średniewski, ks. Marek (1972-) – proboszcz w Puchałach
 Świdorska, Alina z d. Majewska – żona Zdzisława Wiktora
 Świdorska, Helena – żona Ludwika Bronona

Świdorska, Natalia Joanna z d. Gorska (1889-1956) – żona Ludwika
 Faustyna, siostra Marii Sztachelskiej
 Świdorska, Wacława – żona Jerzego
 Świdorski, Jerzy (1918 - 27.12.1939, Wawer) – syn Ludwika Faustyna
 Świdorski, Ludwik Brunon (Ludwiczek, Ludwiś, Lutek) (1913 - 1941,
 KL Auschwitz) – syn Ludwika Faustyna
 Świdorski, Ludwik Faustyn (1886-1957)
 Świdorski, Zdzisław Wiktor (1926-2009) – syn Ludwika Faustyna
 Świeczko, Mirosława z d. Lisowska (1931, Lublin -) – córka Mariana,
 siostra Anny
 Świerblewska, Honorata z d. Jadacka (1936 – 1.03.2021, Siewierz) –
 córka Jana (sen.)
 Świerblewski, Feliks – mąż Honoraty

T

Tałandzewicz, ks. Bronisław (1892-1970) – proboszcz w Puchałach
 Tatarkiewicz, Władysław (1886-1980) – filozof polski
 Tauter, Kazimierz (1910-1989) – kolega Antoniego (jun.) Jadackiego
 z Warszawy
 Tobot, Józef – mieszkaniec Trzciannej
 Topczewska, Elżbieta z d. Hornowska – żona Bronisława
 Topczewski, Bronisław – mieszkaniec Broku
 Topoliński, Wacław (1880-1928) – nauczyciel łaciny w Ostrowi
 Trzaska, Joanna Ewa z d. Modzelewska (1825-?) – żona Pawła
 Trzaska, Paweł (1815-?) – ojciec Marianny Kossykowskiej i Magda-
 leny Baczewskiej
 Trześniewska, Julia – córka Jana
 Trześniewska, Marianna (1860, Olędry - ?) – córka Jana
 Trześniewska, Rozalia z d. Jadacka, 1o voto Sałyga (1842, Mystko-
 wiec-Szczucin – po 1910) – córka Jakuba
 Trześniewski, Jan – mąż Rozalii
 Trześniewski, Zygmunt – syn Jana
 Tur, (?) – Niemiec, rządcą majątku Popowo koło Wielęcina
 Turek (Eugeniusz?) – mieszkaniec Piekut
 Turkówna, Maria – jedynaczka z Wielęcina
 Turowska, Barbara – pracownik Muzeum Przyrody w Drozdowie
 Tysza, Aleksandra („Ciocia”) – mieszkanka Teolina
 Tytek, Genowefa z d. Jadacka (1896 - 25.05.1977) – córka Antoniego I
 Tytek, Władysław (vel William) (1896 - 17.04.1957) – mąż Genowefy

U

Ujejski, Józef (1883-1937) – historyk literatury polskiej

V

Vauvenargues, Luc de (1715-1747) – pisarz francuski

W

Wacławska, (?) – siostra ks. Wacława

Wacławski, ks. Wacław – wikary w Goworowie, potem proboszcz w Brańszczyku

św. Walenty (II-III w.)

Walesiów, Stanisław – sympatia Honoraty Jadackiej z d. Modzelewskiej

Wardaszko, Eugeniusz – nauczyciel z Wygody

Wardaszko, Janina z d. Ciborowska – żona Eugeniusza

Wańkowska, Halina – nauczycielka kroju i szycia z warszawy

Wiechowski, Tomasz (1891-1965) – profesor organów w Wyższej Szkole im. Fryderyka Chopina w Warszawie

Wieczorek, Ryszard (1915? - 29.02.1988, Bródno) – mąż Zofii, malarz polski

Wieczorek, Zofia (Zocha, Zosia) z d. Maciejewska (1914? - 19.02.1986, Bródno) – córka Franciszka, lo voto Karwowska

Wielgat, Jan („Lot”) (1898-1963) – działacz POW w Augustowskim

Wieliszewska, (?) – żona Jana

Wieliszewska, Sabina (Sabcia) – córka Jana

Wieliszewski, Jan (1861 lub 1863 - 1942?) – organista w Zatorach

Wieliszewski, Wacław – syn Jana

Wiesiołek, Józef – mieszkaniec Sadykierza, z parafii Obryte; syn bogatych chłopów, uczeń organisty w Zatorach

Wiesiołek, Maria z d. Zalewska – córka organisty z Obrytego

Wilde, Oscar (1854-1900) – pisarz irlandzki

Winogradów, Alina (vel Halina) (1902-1997) – siostra Leona

Winogradów, Leon (1908-1973) – mieszkaniec Ostrowi, kolega Antoniego (jun.) Jadackiego

Wiśliński, ks. Czesław (1911-1988) – wikary w Mełgwi

Wiśniewska, Janina z d. Petkiewicz (20.11.1918 - 1.12.1993, Olsztyn, pochowana w Myszyńcu) – córka Władysława

Wiśniewska, Maria z d. Świdarska (?-1962) – siostra Ludwika, matka Haliny Sieczkowskiej

Wiśniewski, Michał (1909 - 11.01.1985, Olsztyn, pochowany w Myszyńcu) – mąż Janiny

Wiśniewski, Zbigniew – nauczyciel muzyki w Zambrowie

Wiśniewski, (?) – kolega Antoniego (jun.) Jadackiego z Ostrowi

Witwicki, Władysław (1878-1948) – psycholog polski

Włodkówna, (?) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży

Wojnicz-Sianożęcki, Jan – zob. Jan Sianożęcki

Wojaszowa, Władysława – z Teolina

Wojaszówna, Bronisława – z Teolina

Wolska, Rachela – córka handlarki

Wolska, (?) – handlarka w Wygodzie

*Wołodziejowski, Andrzej

Wójcicki, ks. Jakub (1884-1955) – kanonik plocki, teolog

Wóycicki, Kazimierz (1807-1879) – pisarz polski

Wróblewski, (?) – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie

Wysocka, Katarzyna z d. Zagroba – żona Stanisława

Wysocki, Stanisław (1801-1860?) – ojciec Marianny Modzelewskiej, żony Macieja

Wyszomierska, Janina – z Teolina

Wyszyński, (?) – mieszkaniec Piekut

Z

Zadrozny, (?) – organista w Lubielu

Zakrzewski, Adam (1856-1921) – pisarz polski

Zalewska, Halina – uczennica Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie

Zalewska, Maria – żona lekarza z Goworowa

Zalewska, Zofia z Kossykowskich – córka Józefa i Wiktorii

Zalewski, Antoni – brat Haliny, uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie

Zalewski, Kazimierz – nauczyciel muzyki w Zambrowie

Zalewski, Tadeusz – brat Haliny, uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie

Zalewski, Roch – mąż Zofii

Zalewski, ks. Wacław (1903-1941) – wikary z Mełgwi

Zalewski, (?) – lekarz w Goworowie

Zalewski (Zygmunt?) – organista w Obrytem

Zaluski, ks. Walenty (1859-1927) – z Goworowa

Zaniewski, Wiesław – nauczyciel muzyki w Zambrowie

Zapolska, Gabriela (1857-1921) – pisarka polska

Ząbkówna, Klementyna (Klima) – nauczycielka w Sylwanowcach
 Zielińska, Cecylia – nauczycielka gotowania z Warszawy
 Zielińska, Teresa z d. Maciejczuk (żyła 75 lat) – II (lub I) żona Józefa
 Zielińska, Józefa z d. Sobocińska (1876-?) – żona Aleksandra
 Zielińska, (?) – I (lub II) żona Józefa
 Zieliński, Adam – syn Józefa, kościelny w Broku
 Zieliński, Aleksander (1876-?) – syn Józefa
 Zieliński, Jan – syn Józefa
 Zieliński, Józef (żył 109 lat) – ojciec Katarzyny Jadackiej
 Zieliński, Stanisław – syn Józefa
 Zimmerman, Krystian (1956-) – pianista polski
 Zimiński, Andrzej – uczeń Antoniego (jun.) Jadackiego w Rajgrodzie
 Ziomek, Teodor (1874-1937) – malarz polski
 Zunino, Janina (Jeanine) z d. Modzelewska (23.12.1942-) – córka Stanisława I
 Zunino, François (31.08.1931-13.11.2018) – mąż Janiny
 Zwirbla, Genowefa z d. Jadacka (1950-?) – córka Jana (sen.)
 Zwirbla, Nadiusz – mąż Genowefy
 Zygmunt August (1520-1572) – król polski

Ż

Żdziarska, Anna (Andzia) – mieszkanka Broku

Ż

Żeromski, Stefan (1864-1925) – powieściopisarz polski
 Żmijewska, Julia – córka Józefa
 Żmijewski, Józef – mieszkaniec Wielęcina
 Żochowski, Stanisław? – mieszkaniec Piekut
 Żyłowska, Aniela – mieszkanka Teolina
 Żyszkiewicz, ks. Józef (1865-1944) – proboszcz w Mełgwi

OSOBY WSKAZANE TYLKO Z IMIENIA, INICJAŁAMI LUB PSEUDONIMEM

Abramek – syn Chaima; rzeźnik w Wielęcinie
 Abramkowa – żona Abramka
 Aleksey – ks. z Częstochowy
 Alojzy – stolarz z Popowa; bezdzietny
 Anna (Andzia) – służąca proboszcza w Czarni
 Bella – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Bronisława (Bronia) – córka prawosławnego ekonoma i matki-Polki w Zatorach; przeniosła się do Grajewa
 Chaim – sklepikarz z Wielęcina
 Chaimowa – żona Chaima
 Eliza (Liza) – córka żandarma-Rosjanina z Zator; 11/2 wiorsty leśniczówka na drodze do Wielęcina; przeprowadzili się do Pułtusk
 Eстера – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Eugenia (Genia) – kuzynka gosposi w Broku
 „Fadej”[„Фадей”] – konfident NKWD
 Franek – uczeń z Bargłowa
 Genowefa (Genia) – z Lizy Nowej
 Helena – po-gosposia w Czarni
 Irena I – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Irena II – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Irena (Irka) – koleżanka Ludki i Anny Jadackiej
 Izabela (Izia) – młodsza siostra Łodzi; córka ślusarza w Zatorach
 Janek – pierwsza miłość Ludki
 Józef – woźnica ks. Rocha
 Józek – uczeń z Bargłowa
 Kasia – gospodyni ks. Krakowiaka w Broku
 Leokadia? (Łodzia) – córka ślusarza w Zatorach
 Maria – szewcówna z Goworowa
 „Marysia” – konfidentka NKWD
 Natan – sklepikarz w Wygodzie
 Olek – uczeń z Bargłowa
 Piotr – uczeń z Bargłowa

Piotr („Gajda”) – mieszkaniec z Wielęcina
 Piotr (Piotrek) – jeden z trzech kościelnych w Goworowie
 Sara (Salcia) – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Sara (Sarusia) – narzeczona Cygankowa z Czarni
 Stefania – mieszkanka Piekut
 Szmul (Szmulek) – piekarz w Wygodzie
 Tekla – nauczycielka z Zakładu św. Józefa na Sewerynowie
 T.M. – sympatia Anny Jadackiej
 Tomek – mieszkaniec Częstochowy, sympatia Anny Jadackiej
 Zofia – pracownica poczty w Piekutach (vel Szepietowie)
 Zofia – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Zosia – koleżanka Anny Jadackiej z Łomży
 Wanda – hrabianka z Warszawy
 Wiktoria – właścicielka domu kupionego przez Annę Jadacką w Raj-
 grodzie

SŁOWNICZEK TRUDNIEJSZYCH SŁÓW I WYRAŻEŃ GWAROWYCH

A

akcyźnik – urzędnik pobierający podatek
 aolina – łagodny głos organowy (cynowy)
 asekuracja – odszkodowanie

B

birbantka – hulanka
 borgować – sprzedawać na kredyt
 bractewny – członek bractwa religijnego
 brantka – rurka do prochu
 brudno pisać – pisać z poprawkami („nie na czysto”)
 brzduc – gra zręcznościowa⁷⁷

C

cyceles – frędzle żydowskiej chusty rytualnej
 czworak – czwororodzinny budynek folwarczny

D

duplikat – drugi egzemplarz książki parafialnej
 dziesiątka – tu: dziesięć groszy

F

flinta – strzelba myśliwska
 funt – ok. pół kilograma

⁷⁷ Prawdopodobnie jest to ta sama gra, którą Oskar Kolberg (Mazowsze VII) opisuje jako „brduc” (od „brzęk”): „Stają chłopcy i dziewczęta rzędem długim jedno za drugim, trzymając się za pas lub suknię, i wywijają się w tę i ową stronę, aby umknąć od natarczywości pierwszego, czyli na czele stojącego gąsiora, który ma pytać w ręku z pasa lub krajki skreconą i bije nią wciąż za siebie, wykręcając się szybko na wszystkie strony (bije tych, którzy za jego ruchami nie dość szybko pomykają się).”

G

galopowy – galopujący

I

iść po lansach – iść po to, by się czymś chwalić

i trup – i na nic

J

jednorurka – jednolufowa strzelba śrutowa

K

kapiszon – spłonka do inicjowania głównego wybuchu

karpa – karcz, pniak

kaflany – kaflowy

karbowy – nadzorca

kieby łania – dorodna (kobieta)

kircha – kościół protestancki

kiszka – dętka, opona

klapa – koniec

klompy – chodaki

kolejować się – robić coś na zmianę

komplementy – umizgi

kontrabanda – przemyt towarów

korab – tu: wielbłąd

kordon – łańcuch posterunków wzdłuż granicy państwowej

korzec – miara pojemności (ok. stu dwudziestu litrów)

kośnik – kosiarz

kuca – zagroda dla ptactwa domowego

kugel – babka ziemniaczana

kulawiec – iść słabo

kum/kuma – współ-chrzestny/chrzestna

kumoszka – tu: przyjaciółka

kuternoga – człowiek kulejący

L

luft – przewód w piecu

luftka – gruby śrut

łuśnia – drążek

M

metr (jako miara wagi) – kwintal (sto kilogramów)

motopiryna – aspiryna

mrzeć – umierać

mularz – murarz

N

na gapia – jako obserwator

na pytel – na chybcika

O

oberstrzelec – starszy strzelec

ochotnicki – ochotniczy

odebrać dług nad studnią – nigdy nie odebrać długu?

ordynans – służący w wojsku

ordynaria – część zarobków w naturze

oszukanicha – oszustka

ośmiorak – ośmiorodzinny budynek folwarczny

P

pachciarz – dzierżawca

paka – więzienie

pismo – list

pod hajrem – na słowo honoru

polot – aspiracja

popaść kogoś – rzucić się na kogoś

posyłka – pomocnik do załatwiania drobnych spraw

pryncypał – zwierzchnik

przynająć – dodatkowo wynająć

przystawca – dozorca

pydy – drewniane nosidła do wody

R

raptularz – brulion

rekomendować się – przedstawiać się

robić coś dopadkami – robić coś dorywczo

rokicina – krzak wierzbowy

rozparzeniec – niedouczek

ruptura – przepuklina

S

sąsięg – część stodoły przeznaczona na przechowywanie słomy, siana lub ziarna
sotnia – stuosobowy oddział wojskowy
stadnik – buhaj
starowny – gospodarny
stempel – pręt do ubijania prochu w lufie
subiekcja – kłopot
supultura – akt zgonu?
suspendium – zawieszenie księdza w pełnieniu funkcji
sybiasty – o krzywych nogach
sypać – udać się szybko
szlachcic dyplomowany – szlachcic, który został wylegitymowany w XIX wieku przez Heroldię Królestwa Polskiego
szlachtarz – rzeźnik
szlachturowe – opłata za zabicie wiepsza
szpicak – dłuto; żartobliwie o szczupłym chłopcu
szyfkarta – bilet na statek morski dla emigranta
szwajca – szydło

Ś

świecić bakę – nadszakać

T

tłoka – wspólna praca mieszkańców wsi
trząść cholerą – wściekać się

U

ukłony do kogoś – ukłony dla kogoś
unikat – pierwszy egzemplarz książki parafialnej

W

wikariatka – dom zamieszkały przez wikarych
wiorsta – ok. jednego kilometra
woal – przejrzysty szal
wolant – czterokołowy powóz
wychłapywać – pić lub jeść łączywie
wykapać – stopniowo roztrwonić
wyłaguzić – wyłudzić

Z

zbuchać - nawymyślać
zlegować – przekazać prawnie jako dar
z pretensjami być – uważać się za osobę atrakcyjną

Ż

żyd – kleks

Яцек Ядацький
(у співпраці з Боженою Ядацькою-Юзьковою)

На Мазовії, Підляшші і в Малопольщі

Спогади і листи
Антонія Ядацького (ст.), Антонія Ядацького (юн.)
та Анни Ядацької, уродженої Модзелевської
– і пов'язаних з ними людей –
з доповненням про Роха Модзелевського

Комп'ютерна верстка: Наталія Кальченко.
Обкладинка: Андрій Кальченко.
Формат 60x84/16. Умовн. друк. арк. 32,6.
Підписано до друку 01.07.2024.
Наклад 100 прим. Зам. №

Віддруковано ТОВ „Друкарня „Рута”
(свід. Серія ДК № 4060 від 29.04.2011 р.).
м. Кам'янець-Подільський, вул. Руслана Коношенка, 1.
Тел. (+038)494-22-50, drukruta@ukr.net